

William Faulkner

ABSALOMIE, ABSALOMIE..

(Absalom. Absalom!)

Tłum. Zofia Kierszys

I

Zasiedli parę minut po drugiej i przez to długie i parne, znużone i zmartwiałe wrześnie popołudnie siedzieli w tym pokoju, który panna Coldfield wciąż jeszcze nazywała kantorem, bo tak go kiedyś nazywał jej ojciec – w pokoju mrocznym i dusznym, z żaluzjami szczelnie zasuniętymi już od lat czterdziestu trzech, bo w czasach kiedy panna Coldfield była młodą dziewczyną, ktoś tam uważał, że światło i przewiew przynoszą gorąco i że w mroku jest zawsze chłodniej. Teraz (w miarę jak słońce coraz pełniejszym blaskiem padało na tę stronę domu) mrok kratkowało coraz więcej żółtych ukośnych krech, w których drgały niezliczone cząsteczki kurzu czy też może – myślał Quentin – odpryski starej, zeschniętej farby z łuszczących się żaluzji, wdmuchiwane do pokoju przez słońce zupełnie tak, jak mógłby je wdmuchiwać wiatr. Za jednym oknem pięła się po drewnianej kracie rozkwitła już po raz drugi tego lata wistaria i słychać było stamtąd od czasu do czasu nagły, suchy, dobitny furkot wróbli wśród liści, a naprzeciwko Quentina siedziała panna Coldfield w odwiecznej żałobie, którą od czterdziestu trzech lat nosiła nie wiadomo po kim: po siostrze czy po ojcu, czy po nigdy nie istniejącym mężu – wyprostowana w twardym, kanciastym fotelu, takim dla niej wysokim, że nogi jej, proste i sztywne, zdawałyby się, wykute z żelaza, zwisały jak dziecku z jakąś bezradną statyczną wściekłością, nie dosięgając podłogi – siedziała i mówiła tym swoim posepnym, steranym, zdumionym głosem, mówiła i mówiła, aż wreszcie chwilami słuchanie zapierało się samo siebie, zmysł słuchu się unicestwiał i przed oczami Quentina stawał ten od dawna zmarły przedmiot jej daremnej, bezsilnej, a przecież niespożytej nienawiści – jak widmo wywołane wspomnieniem zniewagi, spokojne, obojętne i już nieszkodliwe, powstałe z wieczystego snu zwycięskich prochów.

Głos panny Coldfield nie milkł, po prostu przebrzmiewał. Mrok wtedy zalegał, trumiennie pachnący i osłodzony, przesłodzony wonią wistarii ponownie rozkwitłej na zewnętrznej ścianie domu – wonią ujętą i destylowaną, przedestylowaną przez zaciekle a ciche słońce września. W ten mrok, niby trzepnięcia bacika, dolatywały pierzaste trzepoty wróbli i wsnuwał się zatęchły zapach starego kobiecego ciała długo hartowanego w dziewictwie, i majaczyła w tej mgłę zwrócona ku Quentinowi twarz panny Coldfield, mizerna i sterana ponad nikłym trójkątem żabotu i mankietów na tle oparcia tego zbyt wysokiego fotela, na którym ona cała, panna Coldfield, wyglądała jak ukrzyżowane dziecko. Głos jej nie milkł, po prostu przebrzmiewał w nich przeciągłe chwile ciszy po to, by znów wybrzmiewać z nich powoli, sącząc się niby strumień z jednej ławicy suchych piasków do drugiej, a w głosie, posłuszne mu posłuszeństwem cienia, dumało to widmo, jak gdyby było widmem nawiedzającym właśnie głos, podczas gdy inne widma,

szczęśliwsze, nawiedzają domy. Aż w scenę tak spokojną, godnie przyzwoitą, jak scena z nagrodzonej szkolnej akwareli, wydarł się nagle z jakiegoś bezgłośnego grzmotu on (ten człowiek-koń-demon), jeszcze w dymie siarki snującym się po włosach, ubraniu i brodzie – wdarł się nagle na czele bandy dzikich Negrów podobnych do częściowo oswojonych zwierząt, przyuczonych jedynie do tego, by chodzić na dwóch łapach po ludzku; Negrów otepiałych, zwierzęco obojętnych, wśród których się kulił ten francuski architekt – posepny nieborak w łachmanach i w kajdanach. On, z rudą brodą jeździec na koniu, w bezruchu trzymał dłoń podniesioną, za nim się tłoczyli w ciszy ci dzicy czarni i jeniec architekt, paradoksalnie dzierżąc zdobywcze łopaty, kilofy i topory – broń zwycięstwa na drodze pokoju, nie wojny. A potem w drugiej chwili, w której nie było miejsca na zdumienie, wydało się Quentinowi, że widzi, jak oni rzucają się gwałtownie na sto kwadratowych mil dziewiczej, spokojnej, zadziwionej ziemi, by natychmiast z Nicości bezszelestnej wyrwać dom wśród pysznych strzyżonych francuskich ogrodów i ciskając to niby karty w grze na stół stwarzają pod kapłańską, nieruchomą dłonią tę „Setkę Sutpena” – to „Niech się stanie Setka Sutpena”, jak niegdyś owo pradawne „Niech się stanie Światłość”.

A potem słuch Quentinowi powrócił i wydawało mu się, że słucha rozmowy dwóch Quentinów Compsonów: tego jednego Quentina Compsona przed wyjazdem na studia, Quentina tymczasem wciąż jeszcze na Południu, tu na zabitym deskami Południu, martwym już od roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego, zaludnionym przez gadatliwe, znieważone, zawiedzione widma przeszłości, Quentina, który teraz słucha, musi słuchać tego, co mu o dawnych widmowych czasach opowiada jedno z owych widm, opierające się dłużej niż inne konieczności spoczywania w ciszy, i tego drugiego Quentina Compsona, który z racji swej młodości jeszcze nie może być widmem, ale kiedyś i tak na pewno widmem zostanie z tej prostej przyczyny, że tak samo jak ona, panna Coldfield, urodził się i wychował na zabitym deskami Południu. Słuchał teraz, jak rozmawiają ze sobą ci dwaj Quentinowie, dwaj nie-ludzie mówiący nie-mową – jak w długiej ciszy rozmawiają ze sobą tak:

Zdaje się, że ten demon... on się nazywał Sutpen... (Pułkownik Sutpen)... Pułkownik Sutpen. Znikąd zniemacka przybył z bandą obcych Negrów na tę ziemię i założył plantację... (Przemocą wydarł z ziemi plantację, mówi panna Rosa Coldfield)... przemocą wydarł. I ożenił się z jej siostrą Ellen, i spłodził syna i córkę, którzy... (Jak cham spłodził, mówi panna Rosa Coldfield)... jak cham. Którzy byliby jego chlubą, podporą i pociechą w starości, gdyby nie to, że... (gdyby nie to, że oni mu zniszczyli życie czy jak to tam było, bądź też on ich zniszczył czy coś tam. I umarł)... i umarł. Nikt nie czuje bólu z tego powodu, mówi panna Rosa Coldfield... (Nikt oprócz niej.) Właśnie, nikt oprócz niej. (I

oprócz Quentina Compsona.) Właśnie. I oprócz Quentina Compsona.

– Bo Quentin jedzie na Uniwersytet Harwardzki, jak mi mówiono – powiedziała panna Coldfield. – Otóż ja sobie nie wyobrażam, żeby kiedykolwiek Quentin tu powrócił i osiadł na stałe jako prowincjonalny adwokat w takiej małej miejscinie jak Jefferson. Już się Jankesi postarali o to, żeby na Południu niewiele dla młodego człowieka zostało do roboty. Więc może wkroczy Quentin na drogę kariery literackiej, tak jak to obecnie czyni tu dużo panów i pań z towarzystwa, i może kiedyś Quentin to wszystko sobie przypomni i o tym napisze. Pewnie będzie Quentin już żonaty i żona zapragnie nowej sukni albo nowego fotela w domu, więc Quentin o tym napisze i złoży to w redakcji jakiegoś czasopisma. Może życzliwie wspomni Quentin wtedy staruszkę, która chociaż Quentin by wolał spędzić ten czas z rówieśnikami na świeżym powietrzu, kazała mu siedzieć ze sobą przez całe popołudnie w tych czterech ścianach i słuchać cierpliwie opowiadania o ludziach i sprawach, i wydarzeniach, jakich, na swoje szczęście, Quentin uniknął. Ja wiem, że Quentin by wolał być teraz z rówieśnikami.

– Tak, proszę pani – powiedział Quentin.

„Tylko że tak naprawdę to jej wcale nie chodzi o mnie – pomyślał. – Ona po prostu chce, żeby to wszystko zostało wypowiedziane.”

To było na początku tej całej rozmowy. Jeszcze miał w kieszeni kartkę, którą mu przed samym południem doręczył jakiś mały Murzynek – tę kartkę od panny Coldfield z zaproszeniem – cudaczna, sztywna, oficjalna prośba, będąca właściwie pozwem nieomal z tamtego świata – ten dziwaczny archaiczny arkusz staroświeckiej dobrej papeterii, schludnie zapisany nikłym, zwartym pismem. Pismo to świadczyło o charakterze zimnym, nieubłaganym, a nawet bezwzględnym, na czym Quentin się nie poznał może, dlatego, że tak bardzo był zdumiony zaproszeniem kobiety prawie trzy razy starszej od niego, z którą nie zamienił w sumie nawet stu słów, chociaż znał ją przez całe swoje życie, a może po prostu dlatego, że miał dopiero dwadzieścia lat. Posłuszny wezwaniu, natychmiast po wczesnym obiedzie przewędrował poprzez suchy, zakurzony upał początków września te pół mili z domu Compsonów do jej domu. Jej dom, podobnie jak ona sama, wyglądał na nieco mniejszy, niż był w rzeczywistości – niski, pomimo że jednopiętrowy, nie otynkowany i trochę odrapany, miał jednak w sobie cechę posępnej trwałości, jak gdyby, podobnie jak panna Coldfield, został stworzony po to, by trwać, być nieodzowną częścią, uzupełnieniem jakiegoś świata pod każdym względem mniejszego niż rzeczywisty świat naokoło. W sieni z okiennicami szczelnie zamkniętymi, gdzie mrok był gorętszy niż jasność na dworze, jakby to nie sień była, a stary grobowiec, w którym się zatrzymały te wszystkie westchnienia czasu opieszałego, nabrzmiałego żarem, wciąż się powtarzające i powtarzające w ciągu minionych czterdziestu trzech lat, już czekała na

Quentina miała postać w czerni nawet nie szeleszczącej, z twarzą mglistą ponad bladym trójkątem koronek żabotu i mankietów – badawcza, natarczywa i skupiona czekała, żeby go poprowadzić w głąb domu.

„Ona po prostu chce, żeby to wszystko zostało powiedziane – myślał Quentin – żeby ludzie, których ona nigdy nie zobaczy i o których nigdy nie usłyszy, którzy ani o jej istnieniu nie wiedzą, ani jej nie widzieli, kiedyś to przeczytali i wreszcie pojęli, dlaczego Bóg dopuścił do tego, żeśmy przegrali wojnę: tylko w ten sposób, poprzez krew naszych mężczyzn i łzy naszych kobiet, Bóg mógł powstrzymać tego demona, zetrzeć jego imię i potomstwo z powierzchni ziemi.”

A potem prawie natychmiast doszedł do wniosku, że to nie jest powód, dla którego panna Coldfield wysłała tę kartkę, i to właśnie do niego, bo gdyby po prostu chciała, żeby to zostało wypowiedziane, napisane czy nawet wydrukowane, to przecież by nie potrzebowała wzywać w tym celu nikogo – ona, kobieta, która już w czasach młodości jego (Quentina) ojca zyskała w miasteczku i hrabstwie sławę poetki laureatki, pisując dla garstki purytańskich abonentów miejscowej gazety liczne poematy, ody, panegiryki i epitafia czerpane z zapasów jakiegoś zażartego, nieubłaganego oporu nie pozwalającego jej uznać klęski Południa.

Miały jednak minąć jeszcze trzy godziny, zanim Quentin się dowiedział, dlaczego panna Coldfield go wezwała, bo część jej opowieści, tę pierwszą część, znał od dawna. To była część jego dziedzictwa, nabył do tego prawo oddychając przez dwadzieścia lat tym samym powietrzem, którym niegdyś oddychał ów człowiek. Sutpen, I słuchając o nim opowiadań ojca – to była od osiemdziesięciu lat część dziedzictwa całego miasteczka Jefferson, oddychającego tym samym powietrzem przez cały czas pomiędzy tym wrześnieowym popołudniem w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym a tamtym czerwcowym porankiem niedzielnym w roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim, kiedy to on, Sutpen, wprost ze swej niezbadanej przeszłości po raz pierwszy wjechał do Jefferson i zdobył ziemię nie wiadomo jak. i wybudował sobie dom, dwór, na pozór z niczego, i ożenił się z lillen Coldfield, i spłodził dwoje dzieci: syna, który zabił narzeczonego swojej siostry, oraz córkę, która została przez to wdową, nie będąc jeszcze oblubienicą – spłodził tych dwoje dzieci i w ten sposób doprowadził przeznaczony mu bieg wydarzeń do gwałtownego (sprawiedliwego, przynajmniej tak by powiedziała panna Coldfield) kresu. Quentin wyrósł wśród tych opowieści: nazwiska padały w nich niezliczone, dające się doczepiać do każdej z niezliczonych osób. Jego dzieciństwo było ich pełne; on sam właściwie był jak pusta sala z ciągłym echem tych dźwięcznych, pokonanych nazwisk; był nie małą, jednostką, rosnącym stworzeniem, ale ogromną ich rzeczą pospolitą. Był jakby koszarami tej armii upartych, wstecz, w przeszłość zapatrzonych widm, które wciąż

jeszcze, nawet teraz, po długich czterdziestu trzech latach, powracały do zdrowia z gorączki zbowiennej, co już je wyleczyła z odwiecznej choroby, powoli się budziły nieświadome nawet, że walcząc tak przed laty pragnęły pokonać wcale nie swą chorobę, lecz właśnie gorączkę – widma wciąż zapatrzone z zaciętym uporem wstecz poza tę gorączkę na okres choroby, wciąż go wspominające z rzeczywistym żalem, i chociaż po gorączce bardzo jeszcze słabe, to przecież już zupełnie od choroby wolne, wcale nie pojmujące, że własnej bezsile dziś wolność zawdzięczają.

– Ale po co mi to opowiadać? – zapytał ojca wieczorem po powrocie do domu, po tym, jak już panna Coldfield wreszcie pozwoliła mu odejść, kiedy jej obiecał, że przyjedzie po nią bryczką o wyznaczonej godzinie. – Po co mi to opowiadać? Co mnie obchodzi, że ta połać ziemi, czy coś tam, miała go w końcu dosyć i obróciła się przeciwko niemu, i zabiła go? To co, że zabiła także i jej, panny Coldfield, rodzinę? Kiedyś obróci się przeciwko nam wszystkim i z kolei nas pozabija bez różnicy, czy się nazywamy Sutpen czy Coldfield, czy inaczej.

– Tak – powiedział pan Compson. – Przed laty myśmy tu na Południu zrobili z naszych kobiet damy. A potem przyszła wojna i z dam zrobiła widma. Cóż nam dżentelmenom, pozostaje teraz innego, jak słuchać tych widm? – Po czym zapytał: – Chcesz znać ten prawdziwy powód, dla którego ona wybrała właśnie ciebie? – Siedzieli na werandzie po kolacji i Quentin miał jeszcze sporo czasu do chwili wyjazdu po pannę Coldfield. – To dlatego, że ona potrzebuje kogoś, kto by tam z nią pojechał... jakiegoś mężczyzny, dżentelmena, na tyle jednak młodego, żeby posłusznie zrobił to, co ona chce, i w taki sposób, jaki ona uzna za stosowny. A ciebie wybrała, dlatego, że twój dziadek był dla Sutpena w naszym hrabstwie czymś najbardziej zbliżonym do przyjaciela. Więc ona prawdopodobnie sądzi, że Sutpen może coś opowiadał dziadkowi o sobie i o niej, o tych zaręczynach, które ich nie zaręczyły, o tej przysiędze wierności, której nie zdążyli sobie złożyć. Że może nawet powiedział dziadkowi, dlaczego ona ostatecznie dała mu kosza. I że może dziadek opowiedział to mnie, a ja z kolei opowiedziałem tobie.

Tak, więc w pewnym sensie cała ta sprawa, cokolwiek by się jeszcze tam dzisiaj zdarzyło, pozostanie w dalszym ciągu w rodzinie; ta straszna tajemnica rodzinna, (jeżeli to jest straszna tajemnica) pozostanie w zamkniętej rodzinnej szafie. Może ona sądzi, że bez przyjacielskiej pomocy dziadka Sutpenowi nigdy nie udałoby się tutaj osiedlić i, co za tym idzie, nie udałoby mu się również ożenić z Ellen. Więc może ona uważa, że ty dziedzicznie jesteś obciążony częściową odpowiedzialnością za wszystko, co się przez Sutpena stało z nią i z jej rodziną.)

Bez względu na to, czym powodowała się panna Coldfield wybierając właśnie jego, nawiązanie do tego powodu, myślał Quentin, jakoś zabiera jej bardzo dużo czasu.

A przecież, jak gdyby odwrotnie proporcjonalnie do tego przebrzmiewającego głosu, wywołane widmo człowieka, którego panna Coldfield ani przebaczeniem, ani zemstą osiągnąć nie mogła, zaczęło nabierać jakichś cech konkretnych i trwałych. Samo otaczające się swym własnym kształtem, zamknięte w tym siarkowym wyziewie piekielnym, w aurze niemożliwości ponownego życia i odnowy moralnej, dumało to widmo (dumało, myślało, może miało nawet zdolność odczuwania i dzięki temu chyba wiedziało, że chociaż jest wyłączone ze spokoju, którego ona dać mu nie chce, to jednak, będąc widmem człowieka jakoś przecież odpornego na zmęczenie, nadal nieodwołalnie znajduje się poza jej zasięgiem, więc ona go nie może dotknąć ani skrzywdzić) – spokojny, już nieszkodliwy, nawet nie bardzo uważny straszny ludojad z baśni, który podczas dalszego przebrzmiewania głosu panny Coldfield wyłonił z siebie przed oczami Quentina dwoje dzieci, też na pół ludojadów, po czym owe trzy postacie razem utworzyły cieniste tło dla czwartej. Tą czwartą była matka tych dzieci, zmarła siostra panny Coldfield, Ellen: ta bez łez Niobe, która poczęła z demonem w jakimś nie do pojęcia straszliwym koszmarze, która nawet za życia chodziła bez życia, rozpacziała nie płacząc, oto się zjawiała samotna i spokojna, nieobecna duchem, nie jak ta, co przeżyła i męża, i dzieci, i nie jak ta, co zmarła przed nimi wszystkimi, ale tak jakby nigdy w ogóle nie żyła. Wydawało się Quentinowi, że widzi ich wszystkich czworo upozowanych w konwencjonalnej grupie rodzinnej z tamtego okresu, zastygłych martwo, godnie i uroczyście niby na jakiejś wyblakłej staroświeckiej fotografii – powiększonej i wiszącej teraz na ścianie z tyłu ponad przebrzmiewaniem głosu, którego właścicielka (panna Coldfield) wcale o nich nie wiedziała, jak gdyby po raz pierwszy była w tym pokoju i jeszcze nie zdążyła się rozejrzeć. Ta fotografia, ta grupa rodzinna nawet dla Quentina miała w sobie jakąś obcość, sprzeczność i cudaczność, coś niezupełnie zrozumiałego i (nawet w oczach dwudziestolatka) coś niezupełnie na miejscu – ostatnia osoba tej grupy umarła przed dwudziestu pięciu laty, a pierwsZA przed półwiekiem, ale oto teraz, wywołani z dusznych mroków zmartwiałego domu, znów byli tu wszyscy razem pomiędzy posępną nieubłaganą zawziętością staruszki a biernym rozdrażnieniem dwudziestoletniego chłopca.

„Kiedy się kogoś kocha – pomyślał Quentin – może trzeba znać go straszliwie dobrze, ale kiedy się kogoś przez czterdzieści trzy lata nienawidzi, wtedy zna się go z pewnością tak straszliwie dobrze, że już lepiej znać go nie można. Więc to właściwie świetnie, bo po czterdziestu trzech latach ten ktoś znienawidzony już nie może niczym ani zaskoczyć, ani bardzo uradować, ani doprowadzić do wielkiej wściekłości

Może to (ten głos, to wszystko, co ten głos mówi, to niedowierzanie, niemożliwe do zniesienia zdumienie) było głośnym krzykiem kiedyś dawno temu, kiedy ona była młoda

– myślał – krzykiem młodego buntu przeciwko rozpacz i krzykiem oskarżenia przeciwko złym, ślepym splotom okoliczności i strasznym zdarzeniom, ale teraz to już nie jest krzyk... teraz to jest już tylko cichy głos starej niezaspokojonej kobiety, w ciągu czterdziestu trzech lat hartowanej w poczuciu dawnej zniewagi, w dawnej zawziętości, kobiety znieważonej i zdradzonej przez tę ostateczną i pełną obrazę, jaką była dla niej śmierć Sutpena.”

– To nie był dżentelmen. To nawet nie był dżentelmen. Kiedy tu przyjechał, miał tylko konia, dwa pistolety i nazwisko, o jakim nikt nigdy przedtem nie słyszał; i nikt nie wiedział, czy to aby na pewno jest jego prawdziwe nazwisko, tak samo jak nikt nie widział, czy ten koń, i nawet te pistolety, to naprawdę jego własność. Przyjechał tu, bo szukał dla siebie kryjówki i hrabstwo Yoknapatawpha takiej kryjówki mu dostarczyło. Starał się o gwarancję ludzi szacownych, żeby się nią osłonić przed innymi, późniejszymi przybyszami, którzy by mogli z kolei poszukiwać tu jego, i Jefferson takiej gwarancji mu dostarczyło. A potem jeszcze potrzebował przyzwoitej pozycji towarzyskiej, tarczy w postaci jakiejś cnotliwej kobiety, na to, żeby swoje stanowisko umocnić, uczynić je twierdzą nie do zdobycia nawet w owym nieuniknionym dniu, w owej nieuniknionej godzinie, kiedy ludzie, chociaż mu przedtem dawali protekcję, musieli przeciwko niemu powstać z pogardą, strachem i oburzeniem; to właśnie nasz ojciec, mój i Ellen, dał mu tę przyzwoitą pozycję towarzyską Och, ja nie zamierzam wcale bronić Ellen: ślepa, zwariowana romantyczka, która na swoje usprawiedliwienie miała tylko młodość i brak doświadczenia, jeżeli to w ogóle usprawiedliwieniem być może. Ślepa, zwariowana romantyczka, a potem ślepa zwariowana matka. I już nie dało się jej usprawiedliwiać ani młodością, ani brakiem doświadczenia, kiedy leżała na łożu śmierci tam w tym wspaniałym domu, za który wymieniła i dumę, i spokój. I była tam przy niej tylko córka, właściwie już wtedy wdowa, chociaż nigdy nie była oblubienicą, chociaż prawdziwą wdową, nigdy w ogóle nie będąc żoną, miała zostać dopiero w trzy lata później. Syna przy Ellen nie było, bo wyrzekł się dachu, pod którym się urodził i pod który miał jeszcze kiedyś powrócić raz jeden tylko, i to jako morderca, nieomal bratobójca. A on, ten bies, łajdak, szatan, walczył wtedy w stanie Wirginia, tam gdzie szansę ziemi na to, żeby się go pozbyć, były większe niż gdziekolwiek indziej pod słońcem, ale przecież myśmy obie z Ellen i tak wiedziały, że on na pewno stamtąd wróci, że raczej wszyscy co do jednego mężczyźni z naszych wojsk będą musieli polec, zanim kula czy pocisk armatni odnajdzie właśnie jego. Więc nie było przy Ellen nikogo, tylko córka i ja, dziecko, uważa Quentin, dziecko o cztery lata młodsze od tej siostrzenicy, którą miałam ocalić. I to właśnie do mnie, do tego dziecka, zwróciła się Ellen ze słowami: „Uchroń ją. Uchroń przynajmniej Judith.” Tak, tak, ślepa, zwariowana romantyczka. Jej nawet nie pociągała ta stumilowa

plantacja, która najwidoczniej takie wrażenie zrobiła na naszym ojcu, ani ten duży dom, ani ta banda niewolników na każde skinienie w dzień i w nocy, to wszystko, co skłoniło, że nie powiem: spięło ostrogą, naszą ciotkę do popierania tego małżeństwa. Nie: pociągała ją tylko twarz tego mężczyzny zadającego szyku nawet na koniu... chociaż on tak dalece, jak wszystkim (łącznie z ojcem, który miał dać mu córkę za żonę) było wiadome, albo w ogóle nie miał żadnej przeszłości, albo nie umiał jej wyjawić; wjechał do miasteczka znikąd, mając tylko konia dwa pistolety, i stado dzikich zwierząt, które w jakiejś pogańskiej okolicy, tam gdzieś, skąd uciekł, zdołał sam jeden upolować tylko dlatego, że był silniejszy w swoim strachu niż te dzikusy w swoim; miał jeszcze ze sobą tego francuskiego architekta, zastraszonego, jakby jego z kolei upolowali i schwytali ci dzicy Murzyni. Z tym wszystkim uciekł nie wiadomo skąd i przybył tu, i ukrył się, schował za przyzwoitą pozycją towarzyską i za tymi stu milami ziemi nie wiadomo w jaki sposób nabytej od plemienia nieoświeconych Indian, i za tym domem wielkim jak gmach naszego sądu. Przez trzy lata mieszkał w tym domu bez okien, bez drzwi, bez łóżka, a jednak od początku nazywał to Setką Sutpena zupełnie tak, jakby to była posiadłość z nadania królewskiego, która w nieprzerwanej ciągłości dziedziczenia przeszła na niego po pradziadku. A potem już miał ognisko rodzinne, szacowność: żonę i dzieci... to, co było konieczne jako całkowita osłona, co więc przyjął wraz z innymi atrybutami swojej przyzwoitej pozycji towarzyskiej, tak jakby w gąszczu głogów pełnych cierni przyjął konieczną jakąś niewygodę czy nawet ból, gdyby tylko gąszcz ten dał mu osłonę, jakiej chciał dla siebie.

Nie. Nawet nie dżentelmen. Ani nie małżeństwo z Ellen, ani nawet małżeństwo z dziesięcioma tysiącami takich Ellen nie uczyniłoby z niego dżentelmena. To nie znaczy, żeby on chciał dżentelmenem pozostać czy choćby za dżentelmena być uważanym. Nie chciał. To nie było konieczne, skoro najzupełniej mu wystarczyło nazwisko Ellen i naszego ojca na świadectwie ślubu (bądź też na jakimkolwiek innym dyplomie przyzwoitej pozycji towarzyskiej) dostępnym dla oczu ludzkich, tak samo jakby mu wystarczył podpis naszego ojca (bądź kogoś innego równie szacownego) na jakimś rewersie. Bo nasz ojciec wiedział, kim był nasz dziadek w Tennessee i kim był nasz pradziadek w Wirginii, a nasi sąsiedzi i wszyscy wokół nas wiedzieli, że my to wiemy, my zaś ze swej strony wiedzieliśmy, że oni wiedzą, że my wiemy, i wiedzieliśmy również, że oni by uwierzyli we wszystko, co byśmy im powiedzieli o pochodzeniu kogokolwiek, nawet w wypadku gdybyśmy kłamali. A przecież dość było spojrzeć na niego raz jeden, żeby wiedzieć, że on na pewno by skłamał mówiąc, kim jest i skąd, i po co tu przyjechał... świadczyło o tym choćby to, że najwyraźniej wcale na ten temat nie chciał mówić. Ale już sam fakt, że musiał sobie zdobyć przyzwoitą pozycję towarzyską, żeby się nią osłonić, był

dostatecznym dowodem (jeżeli w ogóle ktokolwiek potrzebował jakichś dalszych dowodów) na to, że on na pewno uciekł od czegoś wręcz przeciwnego niż wszelka szacowność, od czegoś zbyt ciemnego, żeby o tym mówić. Bo on był za młody. Bo on miał dopiero dwadzieścia pięć lat, a przecież człowiek dwudziestopięcioletni dobrowolnie nie skazuje się na ciężkie trudy i wyrzeczenia związane z karczowaniem puszczy dziewiczej i zakładaniem plantacji w obcym kraju tylko po to, żeby mieć pieniądze; w żadnym razie nie zrobiłby tego młody człowiek nie mający nic do ukrywania... i to w stanie Missisipi w roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim, kiedy na Rzece pełno było parostatków zatłoczonych wiecznie pijanymi durniami, którzy skrzyli się od brylantów i z nudów mieli ochotę na hazard, na przetrwonienie swoich niewolników, swojej bawełny jeszcze przed zawinięciem do Nowego Orleanu; w żadnym razie nie w tamtych czasach, kiedy to wszystko, te fortuny znajdowały się w odległości możliwej do przebycia konno w ciągu jednej nocy, a jedyną złą stroną czy przeszkodą w zdobyciu pieniędzy stanowili bądź inni łajdacy, bądź też ryzyko przymusowego lądowania gdzieś na ławicy piasku, i tylko w razie pecha zagrażał strychezek. I on nie był żadnym młodszym synem jakiejś szacownej rodziny z jakiegoś starego spokojnego kraju, jak Wirginia czy Karolina, wysłanym ze zbędnymi niewolnikami na poszukiwanie nowej ziemi pod uprawę. Nie, nie, bo każdy już na pierwszy rzut oka mógł poznać, że wprawdzie ci jego Murzyni może i pochodzą (i prawdopodobnie pochodzili) z kraju znacznie starszego niż Wirginia czy Karolina, ale że na pewno to nie jest kraj spokojny. I każdy już od razu na pierwszy rzut oka mógłby poznać po jego twarzy, że on by wolał Rzekę i nawet pewność strychezka od tego, co musiał przedsięwziąć, nawet gdyby wiedział, że na tej ziemi, którą kupił, czeka na niego zakopane złoto.

Nie. Ja nie zamierzam wcale bronić Ellen ani też nie zamierzam bronić siebie samej. Jeszcze mniej bronię siebie, boja przed przyjęciem jego oświadczeń miałam dwadzieścia lat czasu na to, żeby mu się przypatrzeć, a Ellen miała ich tylko pięć. Pięć lat nawet nie na to, żeby go widzieć, ale tylko na to, żeby słyszeć o jego poczynaniach od osób trzecich – słyszeć tylko połowę prawdy, bo, jak się zdaje, o połowie tego, co on rzeczywiście robi, nie wiedział nikt, a znów połowy tego, co było wiadomo, żaden mężczyzna nie powtórzyłby swojej żonie, a cóż dopiero młodemu dziewczęciu. Bo on po przybyciu tutaj przez całe pięć lat urządzał pokazy osobliwości, a Jefferson płaciło mu za tę rozrywkę osłanianiem go przynajmniej tak dalece, że żonom i córkom nie mówiono, co to takiego. Więc Ellen miała mało czasu na to, żeby mu się przedtem przypatrzeć. Ale ja miałam całe życie. Te lat dwadzieścia zwę mym całym życiem, bo najwidoczniej dla jakiejś przyczyny, której się niebu wyjawiać nie chciało, mym przeznaczeniem było życie skończyć w pewne wiosenne popołudnie kwietnia lat temu z górą już czterdzieści trzy, bo przecież tego, co ciągnęłam

później, nie mógłby nazwać życiem nikt... ktoś nawet, kto życia w pełnej treści tego słowa zaznał tak mało, jak ja go zaznałam od kwietniowego tego popołudnia. Widziałam, co stało się z Ellen, z moją siostrą. Widziałam, jak żyła w samotności nieomal pustelniczej, jak patrzyła na tych dwoje z góry skazanych dzieci, których w bezradności swojej ocalić nie mogła. Widziałam, jaką cenę zapłaciła za ten dom, za ten przepych. Widziałam, jak kolejno zaczynają przypadać terminy płatności tych odręcznych rewersów na dumę i zadowolenie, i spokój, i to wszystko, pod czym ona położyła swój podpis w tamten wieczór, kiedy wkroczyła do kościoła. Widziałam, jak zaręczyny Judith zostają zerwane wskutek zakazu ni w pięć, ni w dziewięć, bez cienia pretekstu. Widziałam, jak Ellen umiera, może tylko do mnie, do dziecka, niedorosłej dziewczyny, zwrócić się z prośbą o uchronienie swego pozostałego dziecka. Widziałam, jak Henry odrzeka się domu rodzinnego i pierworództwa, a potem wraca i nieomal ciska zakrwawione zwłoki ukochanego swojej siostry na rąbek jej ślubnej sukni; i widziałam, jak wraca on, ten człowiek, to źródło zła, to zarzewie, które przetrwało wszystkie swoje ofiary, ten człowiek, który spłodził dwoje dzieci nie tylko po to, żeby one zburzyły sobie życie nawzajem, nie tylko po to, żeby zmarnować własną rodzinę, ale i po to, żeby zmarnować moją rodzinę także, a przecież zgodziłam się wyjść za niego za mąż.

Nie. Ja nie zamierzam wcale bronić siebie. Nie usprawiedliwiam się młodością, bo tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy rok chyba nie zostawił na Południu żadnego stworzenia – mężczyzny, kobiety, Negra czy muła – które by czas miało albo sposobność już nawet nie żeby być młodym, ale bodaj żeby usłyszeć, co znaczy być młodym, od tych, co kiedyś młodości zaznali. Nie usprawiedliwiam się tym, że on, ten człowiek, był pod ręką: że byłam wtedy młoda, w wieku odpowiednim do małżeństwa, a młodzi mężczyźni, których w normalnych okolicznościach mogłabym była poznać, przeważnie już polegli na polach przegranych bitew; ani tym, że przez dwa lata mieszkałam z nim pod wspólnym dachem. Nie usprawiedliwiam się też koniecznością materialną: faktem, że ja, sierota i nędzarka, musiałam z natury rzeczy zwrócić się z prośbą nie tyle o opiekę, ile o samo utrzymanie do moich jedynych krewnych: do rodziny mojej zmarłej siostry. Chociaż niechby tylko kto spróbował potępić taką jak ja sierotę dwudziestoletnią, młodą kobietę bez żadnych zasobów pieniężnych, za to, że pragnąc nie tylko zalegalizować swoje położenie, ale i bronić honoru rodziny cieszącej się zawsze nieposzlakowaną reputacją swoich kobiet, przyjęła uczciwą propozycję małżeńską mężczyzny, na którego utrzymaniu zmuszona była i tak pozostawać. A przede wszystkim nie szukam usprawiedliwienia w samej sobie – w tym, co czułam ja, młoda kobieta, która wynurzyła się ze zgłiszcz stosu ofiarnego samotna, już bez rodziców, bez pewności jutra, w ogóle bez niczego, która widziała, jak to wszystko, co oznaczało dla niej życie, wali się w gruzy

u stóp kilku postaci o kształtach ludzkich, ale o staturze i nazwiskach nadludzkich bohaterów – młoda kobieta, powtarzam, rzucona w codzienną, cogodzinną styczność z jednym z owych mężczyzn, który wbrew temu, czym mógł być w swoim czasie, i wbrew wszystkiemu, co ona mogła o nim sądzić czy nawet wiedzieć, walczył przecież przez cztery zaszczytne lata o ziemię i o tradycje jej ojczystego kraju. Walczył o to, więc choćby był łotrem spod ciemnej gwiazdy, musiał w jej oczach, już przez sam tylko swój związek z bohaterami, przybrać również staturę i postać bohatera; poza tym on właśnie wynurzył się tak jak ona z tej samej ofiary całopalnej, nie mając nic, przy pomocy, czego mógłby stawić czoło grozie, jaką dla Południa kryła przyszłość – nie oprócz gołych rąk i szpady, której przynajmniej nie ukorzył przed wrogiem, i pochwały za męstwo otrzymanej od swego pokonanego Naczelnego Wodza. Och, on był waleczny. Nigdy temu nie przeczyłam. Jednak to szkoda, że gdy nasza sprawa i samo życie, nadzieje na przyszłość, duma z przeszłości zostały rzucone na szale wojny, musieli to wesprzeć mężczyźni tacy jak on – ci mężczyźni mający w sobie i męstwo, i siłę, ale zupełnie wyzuci z litości albo z honoru. Czyż to więc dziwne, że niebo uznało za rzecz stosowną dopuścić do faktu naszej przegranej?

– Nie, proszę pani – powiedział Quentin.

– Ależ że też to musiał być nasz ojciec, mój i Ellen, właśnie nasz ojciec, z tych wszystkich ludzi, których on znał, z tych wszystkich, którzy tam do niego jeździli pić i uprawiać hazard, i przyglądać się jak on walczy z tymi swoimi dzikimi Murzynami, z tych wszystkich, od których on mógłby nawet córki wygrywać w karty. Że też to musiał być właśnie nasz ojciec. W jaki sposób on zdołał się zbliżyć do ojczulka, na jakiej płaszczyźnie? Cóż to takiego oprócz zwykłej uprzejmości dwóch znajomych z ulicy mogło łączyć naszego ojca z tym człowiekiem, przybyłym znikąd, nie mającym odwagi wyznać, skąd przybył; co mogło łączyć takiego człowieka z ojczulkiem, starszym gminy metodystów, kupcem, który nie był bogaty, który nie tylko nie potrafił zrobić niczego w kierunku polepszenia sobie bytu bądź widoków na przyszłość, ale nawet nie mógłby wyobrazić sobie, że jest właścicielem czegokolwiek, co by chciał mieć, choćby jakiejś rzeczy znalezionej na drodze; nie miał ani ziemi, ani niewolników; nasze dwie służące Murzynki wyzwolił natychmiast, kiedy je nabył; nie pił, nie polował, nie grał w karty. Co mogło ojczulka łączyć z tym człowiekiem, który, jak wiemy na pewno, wszedł do kościoła w Jefferson tylko trzy razy w całym swoim życiu: pierwszy raz, kiedy tam zobaczył Ellen, drugi raz, kiedy odbywał próbę ślubu, i trzeci raz, kiedy brali ślub... przecież wystarczyło tylko spojrzeć na tego człowieka, żeby wiedzieć, że on, chociaż chwilowo najwidoczniej nie ma pieniędzy, z pewnością w swoim czasie je miał i zamierza mieć je znowu, i będzie je zdobywał bez żadnych skrępowań. Taki to człowiek po raz pierwszy zobaczył Ellen

w kościele. W kościele, uważa Quentin, jakby sam Pan Bóg czuwał nad spełnieniem klątwy wiszącej nad naszą rodziną, iżby ten kielich został wychylony aż do ostatniej kropli i osadu. Tak, tak, wisiała klątwa, wyrok losu i nad Południem, i nad tą rodziną, może dlatego, że któryś z naszych pradziadów postanowił kiedyś osiedlić swoje potomstwo tu właśnie, tu, na tej ziemi znanej z wielkich nieszczęść i na nieszczęścia już z góry skazanej, czy też może to nasza rodzina, przodkowie ojca naszego sami na siebie ściągnęli klątwę przed laty i zostali zmuszeni do osiedlenia się na ziemi z góry przeklętej i w czasie przeklętym przez samo niebo.

Więc nawet ja, dziecko jeszcze za małe, żeby wiedzieć, co i jak, chociaż Ellen była moją rodzoną siostrą, Henry moim siostrzeńcem, a Judith siostrzenicą... ja, dziecko, któremu wolno było tam jeździć tylko z ojczulkiem albo z ciotką i bawić się z Henry'm i Judith tylko w domu w obecności starszych (i to przecież nie dlatego, że byłam młodsza od Judith o cztery lata, a od Henry'ego o sześć – bo czyż to nie do mnie Ellen konając powiedziała: „Uchroń ich”?)... nawet ja często się zastanawiałam, jakiegoż to śmiertelnego grzechu dopuścił się nasz dziadek albo nasz ojciec przed poślubieniem naszej matki, że my z Ellen musimy pokutować za to obie, że nie wystarczyłaby pokuta tylko jednej z nas; jakąż to zbrodnię popełnił nasz ojciec, że na rodzinę naszą spadła taka sama klątwa, że przeznaczenie nas skazało na to, iżbyśmy były narzędziem zagłady nie tylko jego, tamtego człowieka, ale i naszej własnej.

– Tak, proszę pani – powiedział Quentin.

– Tak, tak – zawtórował posępny cichy głos sponad nieruchomego trójkąta mglistych koronek.

I teraz wśród tych zjaw zadumanych, godnie przyzwoitych wydało się Quentinowi, że widzi, jak z umarłego czasu wylania się nagle jeszcze jedna postać – w schludnej nakrochmalonej sztywno krynolinie i w długich pantaletkach, dziewczynka z warkoczami splecionymi schludnie, godnie i przyzwoicie. Jak gdyby zaczajona stała teraz cicho na malutkim, ponurym mieszczańskim podwórku albo może trawniku i zza białych sztachet schludnego ogrodzenia patrzyła posępnie na spokojną uliczkę tej małej miejsciny, będącą dla niej światem ludojadów z baśni; patrzyła z przemądrzałą miną owych dzieci urodzonych zbyt późno w życiu swych rodziców i przywykłych do tego, by czyny dorosłych uważać za zbyteczne i dziwne szaleństwo, z tą miną kasandryjską, bez śladu uśmiechu, głęboko i surowo proroczą, poważną wręcz nieproporcjonalnie do ilości lat przeżytych przez to dziecko, choćby ono nawet ani przez jedną chwilę nie miało dzieciństwa.

– Boja się urodziłam za późno. Urodziłam się o dwadzieścia dwa lata za późno. Urabiałam sobie pojęcia na podstawie podsłuchanych rozmów dorosłych tak długo, aż

twarz mojej siostry, twarze dzieci mojej siostry stały się dla mnie twarzami z baśni o ludojadach, jakie zwykle opowiada się dzieciom po kolacji, przed położeniem ich do łóżek. To były dla mnie właśnie takie istoty, zanim podrosłam na tyle, że pozwolono mi się bawić z Judith i z Henry'm. A przecież to do mnie siostra zwróciła się w końcu, kiedy leżała na łożu śmierci i kiedy syn zniknął już, skazany na to, żeby zostać mordercą, a córka skazana już była na to, żeby zostać wdową, chociaż nawet nie zdążyła być żoną; przecież to do mnie Ellen powiedziała: „Uchroń ją przynajmniej. Przynajmniej uchroń Judith.” Byłam dzieckiem, a jednak jakiś niezawodny dziecięcy instynkt podszeptał mi odpowiedź, której dojrzała mądrość starszych ode mnie chyba podszeptać by nie umiała. „Uchroń ją? Przed kim i przed czym? Przecież on już dał im życie: więc już dalej ich krzywdzić nie musi. To przed nimi samymi ich trzeba uchronić.”

Godzina powinna być późniejsza, niż rzeczywiście była; powinno być później, a przecież żółte, kurzem rozedrgane krechy słonecznego blasku nie podniosły się wyżej na tej nieuchwytniej ścianie mroku pomiędzy Quentinem i panną Coldfield; to było tak, jakby słońce w ogóle się nie przesunęło. Wydawało się (jemu: Quentinowi), że to wszystko (ta rozmowa, to opowiadanie) ma w sobie jakąś cechę przeczącą wszelkiej logice i rozumowi, jak sen, o którym wiadomo po przebudzeniu, że był pełny i wyśniony, chociaż trwał tylko chwilę, ale w którym ta właśnie cecha (prawdopodobieństwo) jest nieodzowna, żeby wzbudzić w śpiącym wiarę – strach czy uczucie przyjemności, czy zdumienie; podobnie też bywa z muzyką, z literaturą: całe wrażenie zależy wyłącznie od tego, czy się formalnie uzna prawdopodobieństwo i czy się przyjmie, że czas minął i nadal mija.

– Tak, tak. Urodziłam się za późno. Jako dziecko miałam zapamiętać te trzy twarze (i jego twarz) tak, jak je po raz pierwszy zobaczyłam w powozie w ten pierwszy niedzielny poranek, kiedy miasteczko sobie uświadomiło, że on drogę wiodącą z Setki Sutpena do kościoła zamienił w tor wyścigowy. Miałam wtedy trzy lata i nie ulega wątpliwości, że widywałam ich już przedtem; na pewno ich widywałam. Ale tego nie pamiętam. Nawet nie pamiętam, czy samą Ellen widziałam kiedykolwiek przed tamtą niedzielą. Więc tak to było, jak gdyby ta siostra, której na oczy przedtem nie widziałam, która jeszcze zanim się urodziłam, zniknęła w twierdzy jakiegoś straszliwego ducha czy ludojada, miała oto, uwolniona tylko na ten jeden dzień, wrócić na dawno porzucony, już jej obcy świat. Czekałam – dziecko trzyletnie obudzone wcześniej z racji tej uroczystości, wystrojone, wyfiokowane jak na Boże Narodzenie, bo miała to być uroczystość jeszcze większa niż Boże Narodzenie, skoro ten ludojad czy straszliwy duch zgodził się wreszcie ze względu na żonę i dzieci przyjechać do kościoła, pozwolił im przynajmniej zbliżyć się w sąsiedztwo zbawienia, dał Ellen przynajmniej tę jedną szansę na to, by się z nim zmierzyła w walce

o dusze ich dzieci na polu bitwy, gdzie mogła mieć poparcie nie tylko nieba, ale i własnej rodziny, i ludzi ze swojej sfery; tak, tak, zgodził się nawet sam chwilowo poddać odkupieniu czy też, jeżeli dla niego zatwardziałego w grzechach, to było niemożliwością, zgodził się przynajmniej przez tę chwilę być rycerski. Tego właśnie się spodziewałam.

A oto, co zobaczyłam, kiedy pomiędzy ojczulkiem i ciotką stałam tam przed kościołem, czekając na powóz, którym oni mieli przyjechać te dwanaście mil z Setki Sutpena. I chociaż na pewno widywałam i Ellen, i dzieci już przedtem, to jest właśnie wspomnienie mojego pierwszego spotkania z nimi, obraz, który zabiorę ze sobą do grobu: niby w nadlatującym orkanie mignął ten powóz, a w powozie biała twarz Ellen i dwie miniaturowe kopie jego twarzy po obu stronach Ellen, a na koźle twarz i zęby czarnego dzikusa-stangreta, no i on, jego twarz zupełnie taka jak twarz tego Murzyna, z tą różnicą tylko, że nie błyszcząły mu zęby (bez wątpienia po prostu dlatego, że przysłaniał je zarost). To wszystko mignęło w tętencie jak grzmot, w galopie, w szale dzikookich koni, w tumanie kurzu.

Och, niejeden go podjudzał, pomagał mu zmienić tę niedzielną jazdę do kościoła w wyścigi; niedziela, godzina dziesiąta rano, a ten powóz z przednimi kołami w powietrzu pędzi wprost ku drzwiom kościoła, na koźle czarny dzikus w chrześcijańskim ubraniu zupełnie jak jaki tresowany tygrys w prochowcu i w cylindrze; i Ellen bez kropli krwi w twarzy, trzymająca dwoje tych dzieci, których wcale nie trzeba trzymać, które wcale nie płaczą – tak jak ona idealnie nieruchome, z twarzyczkami zastygłymi w tym jakimś potwornym dzieciennym wyrazie jeszcze wtedy niezupełnie dla nas zrozumiałym. Och, tak, tak, niejeden mu pomagał, podjudzał go; nawet on by nie mógł urządzić wyścigów nie mając się z kim ścigać. Bo jeśli coś go wreszcie powstrzymało, to nie opinia publiczna, nawet nie ci mężczyźni, których żonom i dzieciom w rozpedzonych powozach groziło niebezpieczeństwo zwałenia się do rowu; to pastor osobiście przemówił w imieniu kobiet Jefferson i hrabstwa Yoknapatawpha. Więc on sam przestał przyjeżdżać do kościoła; odtąd w niedzielne poranki przyjeżdżała tylko Ellen z dziećmi. Więc już przynajmniej wiedzieliśmy, że nikt nie będzie się zakładał, skoro to, co odbywało się teraz, trudno właściwie nazwać prawdziwymi wyścigami, skoro nie było już tam jego twarzy, tylko ta idealnie nieodgadniona twarz czarnego dzikusa-stangreta z zębami błyszczącymi już nie tak bardzo. Więc już nie było wiadomo, czy to są wyścigi, czy też ponoszą rozhukane konie. Ale jeżeli ktoś wtedy triumfował, to tylko ten człowiek w oddalonej o dwanaście mil Setce Sutpena – on, który po to, żeby triumfować, nawet nie musiał być przy tym, nie musiał tego widzieć. Teraz całe zamieszanie wywoływał jego Murzyn: mijając inne powozy mówił do tamtych koni to samo, co mówił do swoich – mówił coś nie słowami, bo prawdopodobnie słowa nie były mu potrzebne, tylko tą mową, którą te dzikusy

mamrotały przez sen w mule moczarów, w Bóg wie jakich ciemnych okolicach, tam gdzie on ich znalazł i skąd ich sprowadził tutaj... Więc teraz to robił ten Murzyn. Tumany kurzu, tętent jak grzmot, powóz jak trąba powietrzna pędził ku drzwiom kościoła, kobiety i dzieci rozbiegały się z krzykiem, a mężczyźni z całej siły ściągali lejce koniom przy innych powozach. Murzyn na chwilę zatrzymywał powóz przed drzwiami, żeby Ellen z dziećmi wysiadła, i jechał dalej na miejsce postoju w lasku, tłukąc konie za to, że się rozhukały; kiedyś nawet znalazł się głupiec, który próbował się w to mieszać, ale Murzyn zamierzył się na niego biczyskiem, błysnął zębami i powiedział: „Pan każe, ja robię. Powiedz panu.”

Tak, tak. Od nich samych; od nich samych trzeba ich było uchronić. A tym razem to już nawet nie był pastor, sprzeciwiła się temu sama Ellen. Ciotka rozmawiała z ojczulkiem, a ja weszłam do pokoju i ciotka powiedziała: „Wyjdź się pobawić.” Choćbym nawet nie słyszała tej rozmowy przez drzwi, i tak potrafiłabym ją powtórzyć.

Ciotka mówiła: „To przecież twoja córka, twoja rodzona córka.”

A ojczulek: „Właśnie. To jest moja córka. Kiedy będzie chciała, żebym się do tego wtrącił, powie mi sama.”

Bo to akurat w tę niedzielę Ellen i dzieci, wychodząc na frontowy ganek, zobaczyły, że przed domem czeka nie powóz, tylko faeton Ellen ze starą łagodną klaczą, którym Ellen sama zwykle powoziła, i że zamiast tego czarnego dzikusa siedzi na koźle stajenny chłopiec niedawno kupiony przez niego. Judith tylko raz spojrzała na ten faeton i już wiedziała, co to znaczy, i zaczęła wrzeszczeć, wrzeszczała i kopała, kiedy ją wnosili z powrotem do domu i kładli do łóżka. Nie, jego przy tym nie było. Nie twierdzę też, że zaczajony za firanką w którymś z okien przyglądał się temu z triumfem. Prawdopodobnie byłby równie zdumiony jak my wszyscy, nawet ja, kiedyśmy sobie już uświadomili, że to jest coś więcej niż zwykły dziecinny napad złego humoru czy nawet hysterii; że przez cały czas, (choć on zostawał w domu) była w tym powozie jego twarz; że to właśnie Judith, dziewczynka sześćioletnia, podzegała tego Murzyna, nakazywała mu tak popędzać konie, żeby ponosiły. Nie Henry, uważa Quentin, nie chłopiec, co już i tak byłoby faktem dostatecznie oburzającym, ale właśnie Judith, dziewczynka.

Wyczułam to natychmiast, kiedy w tamtą niedzielę po południu wjechaliśmy z ojczulkiem w bramę ich parku. To było tak, jak gdyby gdzieś w tym niedzielnym spokoju i ciszy jeszcze wciąż brzmiało echo wrzasków Judith rozwlekające się w powietrzu już nie jak dźwięki, ale jak coś, co się słyszy skórą, włosami na głowie. Jednak nie zapytałam od razu. Miałam wtedy zaledwie cztery lata; siedziałam przy ojczulku w bryczce tak samo spokojnie, jak stałam pomiędzy nim a ciotką przed kościołem w tamtą pierwszą niedzielę, kiedy mnie wystrojono na pierwsze spotkanie

z siostrą, siostrzeńcem i siostrzenicą. Siedziałam przy ojczulku i patrzyłam na ten dom. Też już bywałam w tym domu przedtem, oczywiście, ale nawet podczas pierwszej wizyty, jaką pamiętam, zdawało mi się, że wiem, jak będą wyglądać te pokoje, tak samo jak mi się zdawało, że wiem, jak będą wyglądać Ellen i Judith, i Henry, kiedy czekałam na to spotkanie z nimi, spotkanie, które zawsze będę pamiętała jako pierwsze. Nie, nawet później nie zapytałam o to, co chciałam wiedzieć, tylko z ową dziecięcą zdolnością do przyjmowania spokojnie rzeczy niewytłumaczalnych, patrząc na ten cichy, olbrzymi dom zapytałam: „W którym pokoju Judith leży chora, ojczulku?” – chociaż nawet wtedy, teraz już to wiem, zastanawiałam się, chciałam wiedzieć, co Judith zobaczyła, kiedy wyszła na ganek i zastała przed domem faeton zamiast powozu, spokojnego chłopca stojącego zamiast dzikusa; co ona takiego zobaczyła w tym faetonie, który dla nas wszystkich miał wygląd tak niewinny... czy też, jeszcze gorzej, czego ona nie zobaczyła, kiedy spojrzała na ten faeton i zaczęła wrzeszczeć. Tak, tak; niedzielne popołudnie parne i ciche, zupełnie takie jak dzisiaj; jeszcze pamiętam, jaka niezmacona cisza panowała w tym wielkim domu, kiedyśmy tam weszli z ojczulkiem... od razu poznałam, że jego w domu nie ma, chociaż nie mogłam wiedzieć, że on w altanie na tylnym dziedzińcu popija z Washem Jonesem. Wiedziałam tylko, i to natychmiast, kiedyśmy z ojczulkiem przestąpili ten próg, że jego w domu nie ma: jak gdybym w jakimś wszechwiedzącym przekonaniu czuła, że on wcale nie musi być obecny, wcale nie musi obserwować swego triumfu, i że w porównaniu z tym, co miało nastąpić później, ten triumf to tylko drobiazg niegodny nawet naszej uwagi. Tak, tak, cichy ciemny pokój, zasunięte story i Murzynka z wachlarzem przy łóżku, a na poduszce biała twarzyczka Judith z okładem kamfory na czole... Judith we śnie, jak mi się wtedy zdawało: możliwe zresztą, że ona spała albo też można było powiedzieć, że śpi, i twarz Ellen blada i spokojna, i głos ojczulka: „Wyjdź, Rosa. Zobacz, gdzie jest Henry, i poproś go, żeby się z tobą pobawił.”

Wysłałam wtedy i stanęłam tuż pod tymi cichymi drzwiami, w tym cichym hallu na pierwszym piętrze. Stanęłam tam, bo bałam się odejść choćby spod tych drzwi, bo słyszałam niedzielną popołudniową ciszę tego domu głośniejszą niż dudnienie grzmotu, głośniejszą niż śmiech nawet triumfalny.

„Pomyśl o swoich dzieciach” – powiedział ojculek.

„Pomyśl? – zapytała Ellen. – A cóż ja robię innego? Przez całe bezsenne noce cóż ja robię innego, jak nie myślę wciąż o nich?”

Nie padło pomiędzy ojczulkiem a Ellen ani jedno słowo o tym, żeby Ellen wróciła do domu. Nie. Bo to się działo jeszcze w tamtych czasach, zanim nadeszła ta obecna moda na naprawianie popełnionych błędów odwrotem, ucieczką. To było tak, jakby te dwa spokojne głosy za zwyczajnie zamkniętymi drzwiami omawiały jakiś utwór wydrukowany

w czasopiśmie; a ja, dziecko, stałam tuż przy drzwiach, bo chociaż bałam się tam być, jeszcze bardziej bałam się stamtąd odejść, nieruchoma, jak gdybym chciała stopić się w jedno z ciemnością tego drewna, niby kameleon stać się niewidzialna, stałam tam i słuchałam, jak żywy i obecny duch tego domu, przepojonego już zarówno częścią życia i oddechem Ellen, jak częścią życia i oddechu jego, wydaje przeciągły, bezbarwny bezdźwięk zwycięstwa i rozpacz, triumfu i grozy.

„Kochasz tego...” – zaczął ojczulek.

„Ojczulku” – powiedziała Ellen.

To było wszystko. Ale wyobraziłam sobie wtedy wyraz jej twarzy tak wyraźnie, jak ją widział ojczulek: taki sam wyraz, jaki miała siedząc w powozie w tę pierwszą niedzielę i w niedziele następane. A potem przyszedł służący i oznajmił, że nasza bryczka już jest gotowa do odjazdu.

Tak, tak. Ich trzeba było uchronić przed nimi samymi. Nie przed nim, nie przed nikim innym, tak samo zresztą jak i nikt by nie zdołał ich ocalić, nawet on. Bo w jakiś czas później on nam pokazał, dlaczego ten triumf nie był godny jego uwagi. To znaczy, pokazał to Ellen, nie mnie. Mnie tam wtedy nie było; minęło już sześć lat, w ciągu których prawie go nie widywałam. Ciotka od nas odeszła i teraz ja sama prowadziłam ojczulkowi gospodarstwo. Może raz na rok jeździliśmy tam z ojczulkiem na obiad, a może cztery razy na rok Ellen na cały dzień przyjeżdżała z dziećmi do nas. On nie przyjeżdżał. O ile wiem, od chwili ślubu z Ellen już ani razu nie przestąpił naszego progu. Byłam wtedy młoda; byłam młoda nawet na tyle, by wierzyć, że nie pozwala mu do nas przyjeżdżać jakiś tłący się jeszcze uparty węgiel jego sumienia, jeżeli już nie same wyrzuty sumienia, przecież możliwe nawet u niego. Wierzyłam w to, ale teraz już wiem lepiej, co o tym sądzić. Wiem, że nie przyjeżdżał do nas tylko, dlatego, że odkąd ojczulek wydając za niego córkę zapewnił mu przyzwoitą pozycję towarzyską, on już nic od ojczulka nie potrzebował, więc nawet prosta wdzięczność, nie mówiąc już o konieczności zachowania pozorów, nie mogła go zmusić do wyrzeczenia się jakiejś własnej przyjemności, ażeby choć spożyć posiłek wspólnie z rodziną żony. Więc widywałam ich rzadko. Nie miałam teraz czasu na zabawę, nawet gdybym miała na zabawę jakąkolwiek ochotę. Zresztą ja nigdy nie potrafiłam się bawić i nie widziałam żadnego powodu, dla którego powinna bym się tego uczyć, nawet gdyby czas mi na to pozwalał.

Więc już minęło sześć lat. Co prawda i w ciągu tych sześciu lat to na pewno nie było dla Ellen żadną tajemnicą, skoro najwidoczniej odbywało się stale już od chwili, kiedy on powbijał ostatnie gwoździe w ten dom. Stale się odbywało tak samo, jak za jego kawalerskich czasów, z tą tylko różnicą, że ci wszyscy, którzy przybywali to oglądać, zostawiali teraz swoje zaprzęgi, konie wierzchowe i muły w gaju za stajnią, zajeżdżając

tam na przełaj przez pastwiska, żeby nie było ich widać z domu. Bo wciąż jeszcze tych widzów gromadziło się mnóstwo; tak jakby Bóg czy Szatan wyzyskiwał nawet jego nałogi, żeby przy dopełnieniu tej naszej klątwy rodzinnej mieć różnych świadków nie tylko z naszej sfery, z towarzystwa, ale i spośród tałatajstwa, mętów, którym na pewno w żadnym innym wypadku nie byłoby wolno przybliżyć się do tego domu nawet gdzieś od tyłu. Tak, tak; Ellen sama z dwojgiem dzieci w domu oddalonym o dwanaście mil od miasteczka, a oni wszyscy tam w stajni... ring w świetle latarni otoczony z czterech stron twarzami, kwadrat twarzy otaczający ring; białe z trzech stron i czarne z jednej, a na środku ringu walczą ze sobą dwaj z jego czarnych dzikusów, i to walczą nie tak jak biali – według przepisów i z bronią w rękę, ale właśnie tak jak Murzyni, którym chodzi tylko o to, żeby wzajemnie zranić się szybko i ciężko. Ellen o tym wiedziała albo też zdawało się jej, że wie; to jeszcze nie w tym tkwiło sedno. Nie godziła się z tym, ale to przyjmowała: przyjmowała – bo może bywa chwila na wytchnienie nawet i w ciągłym poczuciu zniewagi, jakiś czas, krótki, gdy niemal z wdzięcznością człowiek przyjmuje tę ciągłą zniewagę, skoro jest pewny, że może powiedzieć: „Dzięki Ci, Boże, więc to już jest wszystko; dobrze przynajmniej, że ja już to znam, że nie zaskoczy mnie już więcej nic” – ona właśnie tak myślała, kurczowo czepiała się tej myśli, kiedy wbiegła do stajni tamtego wieczora. Ci sami ludzie, którzy zakradli się tam od tyłu, rozstąpili się przed nią przynajmniej z odrobiną przyzwoitości, a ona zobaczyła wtedy nie dwa walczące ze sobą czarne bydlaki, jak się tego spodziewała, ale jednego czarnego i jednego białego, nagich do pasa i usiłujących sobie wyłupić oczy tak, jak gdyby skórę mieli obaj nie tylko tego samego koloru, ale obrośniętą sierścią. Tak, tak. Widać on przy pewnych okazjach, może po to, by zakończyć taki wieczór, taki spektakl, wspaniałym finałem, czy też może po to, by koniecznie zaznaczyć swoją władzę i wyższość, sam wychodził na ring i walczył z którymś z Murzynów. To właśnie zobaczyła Ellen: zobaczyła, jak jej mąż, ojciec jej dzieci, stoi tam nagi, dysząc, zakrwawiony do pasa, nad Murzynem najwidoczniej powalonym przed chwilą, zakrwawionym tak samo jak on, z tą tylko różnicą, że na czarnej skórze krew wyglądała po prostu jak pot czy tłuszcz; Ellen przybiegła z domu, bez kapelusza zbiegła ze wzgórza akurat w porę, żeby usłyszeć ten hałas, te wrzaski, jeszcze biegnąc po ciemku, jeszcze zanim widzowie się zorientowali, że ona jest między nimi, zanim jednemu z nich przyszło na myśl powiedzieć: „To koń” – a potem: „Nie, to kobieta” – a potem: „Mój Boże, toż to dziecko.”

Wbiegła, a widzowie rozstąpili się przed nią, pozwalając jej zobaczyć, jak spośród zbitej gromady przytrzymujących go Murzynów, krzyżąc i wymiotując, wynurza się Henry. I nie stanęła, nawet nie spojrzała na cofające się przed nią twarze, tylko podbiegła do Henry’ego i żeby podnieść, uklękła w stajennym gnoju. Na Henry’ego też nie

spojrzała, tylko wpatrzyła się w niego, a on tam sobie stał jak gdyby nigdy nic, nawet trochę błyskając zębami wśród zarostu, kiedy jakiś inny Murzyn zgrzebnym workiem ocierał mu krew.

„Wiem, że nam wybaczycie, panowie” – powiedziała Ellen.

Ale oni już i tak odchodzili wszyscy, i Negry, i biali, wykradali się stamtąd w taki sam sposób, w jaki się tam zakradli, przy czym Ellen nawet teraz na nich nie patrzyła, tylko klęczała w tym gnoju przy Henry’em, który trzymał się jej kurczowo i płakał; a on wciąż jeszcze tam stał, kiedy trzeci Negr podawał mu koszulę czy surdut, a raczej dźgał go tą koszulą czy surdudem tak, jakby kijem drażnił węża w klatce.

„Thomas, gdzie jest Judith?” – zapytała Ellen.

„Judith? – zapytał. Och, zapytał, bo naprawdę nie wiedział. Nie kłamał; po prostu nie nadał się za własnym triumfem; budował Zło jeszcze lepiej niż sam przypuszczał. – Judith? To ona jeszcze nie śpi?”

„Nie kłam mi, Thomas – powiedziała Ellen. – Mogę zrozumieć, że przyprowadzasz tu Henry’ego, żeby to widział... że chcesz, żeby Henry to widział; spróbuję to zrozumieć; owszem, nakażę sobie spróbować to zrozumieć. Ale nie Judith, Thomas. Nie moja mała dziewczuszka, Thomas.”

„Nie oczekuję od ciebie, żebyś to zrozumiała – powiedział on. – Bo jesteś kobietą. Ale ja tu nie przyprowadzałem Judith. Nie zrobiłbym tego. Nie oczekuję od ciebie, żebyś w to uwierzyła. Ale przysięgam ci na to, że to prawda.”

„Obym mogła ci wierzyć – powiedziała Ellen. – Chcę ci wierzyć. – A potem zaczęła wołać: – Judith! – wołała głosem pełnym słodyczy i rozpacz. – Judith, kochanie! Już czas do łóżeczka!”

Ale mnie przy tym nie było. Nie było mnie, więc nie widziałam tym razem tych dwóch sutpenowskich twarzy: twarzy Judith i twarzy małej Murzynki u jej boku – wychylonych w dół z kwadratowego wejścia na poddasze.

II

To było lato wistarii. Zmierzch był pełen wistarii i zapachu cygara ojca – kiedy już po kolacji, czekając na czas odjazdu Quentina, wyznaczony przez pannę Coldfield, siedzieli na frontowej werandzie, a ciemność w gęstej, wysokiej trawie gazonu poniżej werandy cięła łagodnie błyskającymi to tu, to tam świetlikami – tego właśnie zapachu, tej woni, którą w pięć miesięcy później list pana Compsona miał przynieść z Missisipi poprzez uparte, nieustępliwe śniegi Nowej Anglii do bawialni Quentina na Uniwersytecie Harvardzkim. To był dzień także i słuchania, dowiadywania się w roku tysiąc dziewięćset dziewiątym głównie o tym, o czym Quentin i tak wiedział już od dawna, bo przecież urodził się w tym miasteczku, wdychał to samo powietrze, w którym kościelne dzwony dzwoniły w tamten poranek niedzielny w roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim, a nawet jeszcze w dni świąteczne słyszał dźwięki jednego z tych trzech dawnych dzwonów, rozdzwonionego w tej samej dzwonnicy, gdzie nadal się gnieździły, puszyły, gruchały praprawnuki tych dawnych gołębi, tak samo do lotu się zrywając od czasu do czasu, by zataczać na letnim pastelowym niebie małe kręgi podobne do mięciutkich maźnięć płynnej farby. Właśnie w tamten czerwcowy poranek niedzielny, kiedy dzwony dzwoniły spokojnie, stanowczo i trochę nie do taktu – trzy wyznania w zgodzie, aczkolwiek nie w harmonii – kiedy w dźwiękach dzwonów zdążyły panie, dzieci i murzyńska służba obok z parasolkami, z packami na muchy, i nawet ci nieliczni pobożni mężczyźni (panie sunęły zwiewnie w wielkich krynolinach pośród miniaturowych surdutów chłopięcych i długich pantaletek malutkich dziewczynek – sunęły w tych spódnicach ówczesnej epoki, w których to damy zwykły nie chodzić, lecz płynąć), wtedy właśnie mężczyźni, siedzący jak zwykle z nogami opartymi o brzeg balustrady na cienistej werandzie zajazdu Holstona, nagle podnosząc oczy ujrzeli obcego; na zajeżdżonym wielkim dereszku się zjawiał już gdzieś w połowie drogi przez rynek tak nagle, jak gdyby tajemnicza jakaś moc stworzyła tego jeźdźca i konia po prostu z powietrza, w złotą słoneczną jasność tej letniej niedzieli zesłała ich w półkroku zmęczonego truchtu. Nikt z nich dotychczas nie słyszał nazwiska tego człowieka, nie znał jego pochodzenia i celu, zresztą i później wiadomego tylko nielicznym. Toteż przez najbliższe cztery tygodnie (Jefferson to wtedy była jeszcze wieś: zajazd Holstona, gmach sądu, sześć sklepów, jedna kuźnia i stajnie dla koni pocztowych, szynk uczęszczany przez poganiaczy bydła i domokrzęców, trzy kościoły oraz może ze trzydzieści domów mieszkalnych) nazwisko obcego przelatywało z ust do ust w miejscach pracy i w miejscach próżniactwa, i w mieszkaniach, rozlegając się miarową strofą i antystrofą: Sutpen Sutpen Y+ Sutpen Sutpen

Prawie przez miesiąc nie wiadomo było o nim nic więcej. Przybył do Jefferson chyba z Południa; miał lat około dwudziestu pięciu, ale o tym dowiedziano się dopiero później – na razie jego wieku nie można było odgadnąć, bo wyglądał jak człowiek, który niedawno przeszedł jakąś ciężką chorobę. Nie jak człowiek, który chorował spokojnie w łóżku i po wyzdrowieniu porusza się trochę nieufnie, trochę niepewnie, jak gdyby zdumiony, że znów jest na tym świecie, chociaż już mu się zdawało, że musi się z nim pożegnać, ale jak ktoś, kto samotnie wypalił w tyglu doświadczenia jakieś przeżycie będące czymś więcej niż tylko zwykłą gorączką, może jak podróżnik-badacz, który nie tylko musiał się uporać z ciężkimi trudami dociekań, na jakie sam się zdecydował, ale mając jeszcze przy tym dodatkową, nieprzewidzianą przeszkodę w postaci choroby, sam jeden bez niczyjej pomocy musiał ją zwalczyć olbrzymim kosztem sił nie tyle fizycznych, ile psychicznych, i to nie dlatego, że go napędzała ślepa, instynktowna wola przetrwania, utrzymania się przy życiu, ale po to, by ostatecznie zdobyć i zachować ku swojej radości tę jakąś namacalną nagrodę, to coś, co było powodem jego zgody na początkowy gambit. Ten mężczyzna o krzepkiej budowie był teraz mizerny, nieomal chudy; miał krótką rudawą brodę, jakby przyklepioną na twarzy w uzupełnieniu jego przebrania; oczy miał jasne, wizjonerskie, a jednocześnie czujne i bezwzględne; cera jego barwą przypominała paloną glinę, jak gdyby zabarwiła ją gorączka owego pieca, w którym wypalił to swoje przeżycie – jakaś gorączka duszy czy może środowiska, przenikającego głębiej niż samo słońce, zastygła teraz pod powierzchnią jego skóry, niby pod martwą nieprzepuszczalną powierzchnią polewanej gliny.

To właśnie zobaczyli ludzie w Jefferson, chociaż lata miały minąć, zanim się dowiedzieli, że on w owym czasie posiadał tylko tego silnego, wyczerpanego konia i to ubranie na grzbiecie, i w małym juczku nie więcej niż brzytwę i jedną zmianę bielizny, i wreszcie dwa pistolety, jak to opowiadała Quentinowi panna Coldfield, z kolbami wypolerowanymi od trzymania jak trzonki oskardów – te pistolety, których on używał z taką precyzją, z jaką kobiety robią pończochy na drutach: dziadek Quentina widział, jak on potrafi, objeżdżając młode drzewko krótkim galopem w promieniu dwudziestu stóp, pakować kule z obu tych pistoletów naraz w kartę do gry przytwierdzoną do tego drzewka. Zamieszkał w zajeździe Holstona, ale klucz od swego pokoju nosił stale przy sobie i codziennie przed świtem, po nakarmieniu i osiodłaniu konia, wyjeżdżał nie wiadomo, dokąd. Ludzie w miasteczku nawet nie próbowali badać celu tych wypraw naocznie, chyba, dlatego, że ten pokaz pistoletowy odbył się już na trzeci dzień po jego przybyciu. Chcąc, więc uzyskać o nim wszelkie możliwe informacje, musieli z konieczności zdać się tylko na badania przeprowadzane (w zajeździe Holstona) przy kolacji w jadalni albo później w hallu, przez który on musiał przechodzić, żeby dotrzeć do

swego pokoju i znów zamknąć drzwi na klucz, co czynił natychmiast po ukończeniu jedzenia. Hall łączył się także i z barem i właściwie bar był, albo raczej powinien być, najodpowiedniejszym miejscem, gdzie można by go było zaczepić, a nawet wypytać, tylko że on nigdy do baru nie chodził. Powiedział im, że w ogóle nie pije. Nie powiedział im, że dawniej pił, ale teraz przestał, ani też że nie pił nigdy. Powiedział im po prostu, że pić nie ma ochoty; nawet dziadek Quentina (też był wtedy młody, generałem Compsonem miał zostać znacznie później) dowiedział się dopiero po paru latach, że powodem, dla którego Sutpen wtedy nie pił, był brak pieniędzy na zapłacenie swojej części bądź na rewanż; to właśnie generał Compson pierwszy się zorientował, że Sutpenowi brakowało na trunki i utrzymywanie stosunków towarzyskich w owym czasie nie tylko pieniędzy, ale również czasu i chęci: że Sutpen był wtedy bez reszty niewolnikiem tajemnej szalonej niecierpliwości, w przekonaniu wyniesionym z tej gorączki psychicznej czy fizycznej, z tego swojego ostatniego przeżycia, czymkolwiek by to przeżycie było – w niezbitym przekonaniu, że trzeba się spieszyć, że czas ucieka mu spod nóg: był niewolnikiem tego wszystkiego, co miało go popędzać przez całe następne pięć lat, póki nie ustało (jak to wyliczył generał Compson) mniej więcej na dziewięć miesięcy przed przyjściem na świat jego syna.

Więc go łapali i przyciskali do muru w tym hallu pomiędzy jadalnią, w której jedli kolację, a jego na klucz zamkniętym pokojem, usiłując dać mu sposobność do tego, by im wreszcie powiedział, kim jest i skąd przybył, i jakie ma zamiary, a on na to tylko powoli, miarowo cofał się przed nimi, dopóki o coś – o ścianę czy o filar – nie opierał się plecami, po czym stojąc tam, mile i grzecznie jak urzędnik hotelowy prowadził z nim rozmowę będącą przelewaniem z pustego w próżne. Interesy swoje załatwiał tylko z Przedstawicielem Rządu do Spraw Indian z Plemienia Chickasaw bądź też za jego pośrednictwem, dlatego więc dopiero po owej nocy z soboty na niedzielę, kiedy obudził miejscowego rejenta, mając w ręku nadanie własności ziemi oraz złotą hiszpańską monetę na zapłacenie kosztów sporządzenia aktu rejentalnego, dowiedziano się w miasteczku, że został właścicielem stu mil kwadratowych jednego z najżyźniejszych w kraju dziewiczych obszarów gleby porzeczej, chociaż nawet i ta wiadomość rozeszła się za późno, bo sam Sutpen już wyjechał z Jefferson, znów nie wiadomo dokąd. Ale był teraz właścicielem ziemskim, ich sąsiadem. Niektórzy zaczęli podejrzewać to, co generał Compson najwidoczniej już wiedział: a mianowicie, że ta hiszpańska moneta, którą on zapłacił za rejentalną rejestrację swej własności, była ostatnią hiszpańską czy niehiszpańską monetą, jaką w ogóle posiadał. Więc teraz stało się już dla nich rzeczą pewną, że wyjechał w celu zdobycia większej ilości pieniędzy; znaleźli się i tacy, którzy (nawet głośno się wypowiadając teraz pod jego nieobecność) przewidywali właśnie to, co

wówczas jeszcze nie urodzona siostra przyszłej żony Sutpena miała Quentinowi powiedzieć po upływie lat prawie osiemdziesięciu: że on w jakiś niezwykle sprytny sposób gdzieś ukrywał zrabowane przez siebie łupy i teraz do tej kryjówki pojechał, żeby na nowo napełnić kieszenie, o ile w rzeczywistości nie było tak, że z dwoma pistoletami udał się z powrotem nad Rzekę pełną parostatków z szulerami, handlarzami bawełny i niewolników, żeby na nowo napełnić tę samą kryjówkę. Przynajmniej niektórzy to sobie mówili, gdy ni stąd, ni zowąd po dwóch miesiącach znów się pojawił w miasteczku, tym razem eskortując wielki kryty wóz. Na koźle wozu siedział zrezygnowany mały człowieczek z romańską twarzą, udręczoną i posepną, ubrany we frak, w kwiecistą kamizelkę i w cylinder, które by nie wzbudziły żadnej sensacji na paryskim bulwarze i w których miał stale chodzić przez całe najbliższe dwa lata – z wyrazem fatalistycznej, zdumionej determinacji miał paradować w teatralnym stroju co najmniej cudacznym, skoro jego biały klient i Murzyni z tej brygady, której miał doradzać, chociaż nie rozkazywać, chodzili zupełnie nadzy pod warstwami zaschniętego mułu. To był właśnie ten francuski architekt. Dopiero po latach dowiedziano się, że przybył aż z Martyniki za samo tylko przyrzeczenie Sutpena i że przez te całe dwa lata żywił się dziczyzną pieczoną nad ogniskiem obozowym i sypiał w namiocie bez podłogi, zrobionym z budy wozu, zanim przynajmniej z daleka powąchał jakąkolwiek zapłatę.

Nie miał nawet zobaczyć Jefferson aż do czasu, gdy po tych dwu latach przejeżdżał tamtędy w drodze powrotnej do Nowego Orleanu; nigdy nie bywał w miasteczku ani sam, ani z Sutpenem pokazującym się tam rzadko, i nawet nie mógł dobrze się rozejrzeć owego pierwszego dnia, bo wóz od razu pojechał dalej. Najwidoczniej tylko wskutek zwykłego geograficznego zbiegu okoliczności Sutpen jechał wtedy przez miasteczko, zatrzymując się na chwilę dostatecznie długi, by ktoś (nie generał Compson) zdążył zerknąć pod budę tego wozu w czarny tunel napełniony nieruchomymi białkami murzyńskich oczu i cuchnący jak jaskinia wilków.

Ale legenda o dzikich Murzynach Sutpena nie miała powstać natychmiast, bo wóz ruszył w dalszą drogę tak szybko, jak gdyby nawet to drewno i żelazo wozu, nawet te muły, które go ciągnęły, już przez samą tylko łączność z Sutpenem nasiąkły ową cechą niezmordowanego pędu na łeb, na szyję, owym przekonaniem, że trzeba się spieszyć, bo czas ucieka; później Sutpen powiedział dziadkowi Quentina, że w tamto popołudnie, kiedy wóz przejeżdżał przez Jefferson, oni wszyscy byli bardzo głodni, bo już poprzedniego wieczora zabrakło im żywności – dlatego więc chciał dotrzeć do Setki Sutpena i do łożyska rzeki jak najprędzej, żeby jeszcze przed zapadnięciem zmroku ubić jakiego jelenia i żeby oni wszyscy: on i architekt i Murzyni, nie musieli o głodzie spędzić jeszcze jednej nocy. Tak więc legenda o tych dzikusach dopiero później rozeszła się

stopniowo po miasteczku, wysnuta ze sprawozdań mężczyzn, którzy jeździli do Setki Sutpena popatrzeć, co tam się dzieje, i już zaczęli opowiadać o tym, jak Sutpen zajmuje stanowisko na szlaku zwierzyny nie ze strzelbą, tylko z pistoletami, a zamiast sfory psów gończych w bagna ruszają Murzyni; opowiadali również w ciągu tego pierwszego lata i jesieni, że ci Murzyni Sutpena nie mają (bądź nie używają) nawet koców do spania, przy czym powtarzano to sobie, jeszcze zanim Akers, łowca szopów, z ręką na sercu oświadczył, że wypłoszył jednego z nich zagrzebanego niczym śpiący aligator w mule i ledwo zdążył w ostatniej chwili odwołać psy. Ci Murzyni dotychczas nie umieli mówić po angielsku i na pewno nie tylko sam Akers uważał tę łamaną francuszczyznę, jaką oni się porozumiewali z Sutpenem, za ciemną i złowieszczą mowę ich rodziną.

Nie tylko Akers tak uważał, wielu było takich, i to spośród obywateli odpowiedzialnych, ziemian, którzy nie musieli czaić się w okolicach obozowiska Sutpena nocą. Ci zbierali się gromadnie w zajeździe Holstona i wszyscy razem wyruszali konno do Setki Sutpena, nierzadko zabierając ze sobą obiad, jak to opowiadała Quentinowi panna Coldfield. W tym czasie Sutpen już wybudował cegielnię i zainstalował tracz i hebel przywiezione jeszcze tym wozem oraz do poruszania ich kierat z długim dyszlem z młodego drzewa, obracany na zmianę przez muły od wozu i przez Murzynów, a czasem nawet i przez samego Sutpena, który też się do niego zaprzęgał, gdy zachodziła potrzeba, gdy cały ten mechanizm zwalniał tempo; Murzyni chodzili w tym kieracie, jak gdyby rzeczywiście byli zupełnie dzicy; generał Compson opowiadał swemu synowi, ojcu Quentina, że przy pracy Sutpen nigdy na nich nie podnosił głosu – zamiast im wymyślać kierował nimi, dawał im przykład, wywołując u nich raczej respekt dla swojej powściągliwej białej wyższości niż zwierzęce zastraszenie. Goście z miasteczka, nie zsiadając z koni (zazwyczaj Sutpen nie witał ich nawet skinieniem głowy, na pozór tak nieświadomy ich obecności, jak gdyby to nie byli ludzie, tylko jakieś nieważne cienie), zbici w gromadę, jakby to im miało zapewnić jakąś wzajemną ochronę, ciekawie w milczeniu patrzyli, jak bal po balu, cegła po cegle z bagna, w którym było drzewa i gliny pod dostatkiem powstaje dwór Sutpena – patrzyli na tego białego brodacza i na dwudziestu czarnych zupełnie nagich pod zaschniętym, zaklejającym skórę mułem. Ci widzowie byli tylko mężczyznami, więc do ich świadomości nie dotarł fakt, że ubranie, które Sutpen miał na sobie, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Jefferson, było jedynym ubraniem, w jakim go zawsze widywali później; kobiety na pewno by się w tym zorientowały, ale tak się składało, że bardzo niewiele kobiet z hrabstwa widywało go w tym okresie. Gdyby nie to, na pewno niektóre z nich, i w tym również uprzedzając pannę Coldfield, odgadłyby, że Sutpen po prostu oszczędza swoje jedyne ubranie, ponieważ przyzwoita, jeżeli nawet nie wręcz wytworna, powierzchowność ma być jego

jedyną bronią (czy może raczej drabiną) przy dokonaniu ostatecznego szturmu na coś, co panna Coldfield i może inni ludzie uważali za przyzwoitą pozycję towarzyską – na tę szacowność, którą Sutpen, zdaniem generała Compsona, uważał w skrytości ducha za osiągnięcie wymagające czegoś znacznie więcej niż zdobycia kasztelanki dla swojego domu. Tak czy owak, nagi w skorupie mułu chroniącej go przed moskitami, pracował pośród swych dwudziestu Murzynów, różniąc się od nich jedynie, jak to powiedziała Quentinowi panna Coldfield, brodą i kolorem oczu. I w całej gromadzie jedynie ów Francuz architekt przypominał z wyglądu istotę ludzką dzięki francuskiemu strojowi, w którym chodził z jakimś niezłomnym fatalizmem i w którym odjechał, gdy dom został ukończony i brakowało w nim tylko szyb, klamek, zamków i zawiasów, a więc tego, czego nie dało się już wykonać ręcznie; na razie jednak dom jeszcze nie był ukończony i pracowano tam w słońcu i w spiekocie lata, w błocie i w lodowych okowach zimy, wciąż pracowano pod naporem cichej, ani na chwilę nie słabnącej pasji Sutpena.

Dwa lata zabrało Sutpenowi i tej załodze importowanych niewolników, na których jego przybrani obecni ziomkowie wciąż jeszcze patrzyli jak na dziwne, zabójczo groźne stwory, o wiele groźniejsze od wszelkich dzikich zwierząt, jakie można było wypłoszyć i ubić w tym kraju. Praca trwała od wschodu do zachodu słońca jak przedstawienie oglądane przez gromady coraz to nowych, nie zsiadających z koni milczących jeźdźców, gdy tymczasem architekt w uroczystym fraku i w paryskim cylindrze, z zastygłym na twarzy wyrazem posępnego, gorzkiego zdumienia czaił się to tu, to tam w okolicach tej sceny, wyglądając, jak mówił generał Compson, na coś pośredniego pomiędzy przypadkowo tu zabłąkanym, obojętnym widzem a jakimś potępionym, skrupulatnym upiorem, zdumionym nie tyle obecnością innych upiorów i tym, co one robią, ile samym niewytłumaczalnym, niewiarygodnym faktem własnej obecności w tym piekle. Był to jednak dobry architekt; nawet Quentin to stwierdził, widząc ten dom stojący w odległości dwunastu mil od Jefferson, otoczony gajem cedrów i dębów, po drugich siedemdziesięciu pięciu latach od czasu ukończenia jego budowy. I był to nie tylko dobry architekt, ale, jak się wyraził generał Compson, również artysta, bo któż, jeśli nie artysta, zdołałby wytrzymać takie dwa lata po to, by wybudować dom, którego oglądać po ukończeniu nie tylko się nie spodziewał, ale nawet za nic w świecie nie chciał. Już nie chodziło o to, powiedział generał Compson, że ta jego dwuletnia praca wprost urągała zdrowemu rozsądkowi i była obelgą dla wszelkiej wrażliwości – chodziło o Sutpena: jedynie artysta mógł znosić bezwzględność i pośpiech Sutpena, a przy tym jeszcze ująć w karby realności to marzenie o posępnym wspaniałym zamczysku, które Sutpen najwidoczniej zamierzał wybudować, bo przecież ten dom taki, jakim go Sutpen zaplanował, niewątpliwie byłby prawie rozmiarów samego Jefferson w owym czasie; posępny, udręczony mały

cudzoziemiec, sam jeden staczając bitwę z tym marzeniem Sutpena, zwyciężył jego gwałtowną wybujałą próżność czy też może pragnienie przepychów, czy chęć utwierdzenia samego siebie, czy wreszcie coś tam innego, cokolwiek to rzeczywiście było (nawet generał Compson wtedy jeszcze nie wiedział co), i zamienił tę klęskę Sutpena w takie jego zwycięstwo, jakiego sam Sutpen, gdyby był zwycięzcą w tej bitwie, nie potrafiłby odnieść.

Tak, więc dom został ukończony aż do ostatniego bala i cegły, i drewnianego kołka – ukończone w nim zostało wszystko, co tylko dało się wykonać ręcznie. Nie pomalowany, bez mebli, bez jednej szybki, klamki czy zawiasu stał w odległości dwunastu mil od miasteczka i prawie równie daleko od najbliższych sąsiadów – jeszcze przez trzy lata stał pustką, otoczony przez francuskie ogrody i aleje, kwatery niewolników i stajnie, i wędzarnie; w promieniu mili krążyły głuszcze i jelenie, jak dym płowe przychodziły z puszczy pozostawiając nikłe ślady lekkich racic na tych francuskich klombach, na których jeszcze przez pełne cztery lata nie miały zakwitnąć kwiaty. W owym okresie, w owej fazie ludzie w miasteczku i w hrabstwie byli jeszcze bardziej zaintrygowani postępowaniem Sutpena. Może to było dlatego, że następny krok Sutpena, wiodący do nowego tajemniczego celu, już znanego generałowi Compsonowi (tak generał Compson twierdził), ale w miasteczku i w hrabstwie pojmowanego tylko bardzo mgliście albo i wcale, wymagał cierpliwości bądź też okresu biernego wyczekiwania zamiast tamtej poprzedniej napędowej pasji, do której Sutpen już zdążył ludzi przyzwyczaić. Tym razem kobiety pierwsze zaczęły podejrzewać, jakie są jego zamiary, jaki będzie ten następny krok. Żaden mężczyzna, z pewnością żaden z tych mężczyzn, którzy znali Sutpena na tyle dobrze, że zwracali się do niego jak do jednego ze swoich, nie podejrzewał, że on chce się ożenić. Bez wątplenia niejednen z nich, zarówno żonaty, jak i kawaler, nie tylko by nie dopuścił tej myśli do głowy, ale nawet stanowczo by jej zaprzeczył, bo życie, jakie Sutpen prowadził przez następne trzy lata, im wszystkim musiało się wydawać egzystencją wręcz doskonałą. Oddalony o osiem mil od najbliższego sąsiada, mieszkał sobie w męskiej samotni, w czymś, co można by nazwać półakrową kajutą oficerską, wspaniałą wręcz feudalnie. Mieszkał sobie w gołych ścianach największej budowli w całym hrabstwie, nie wyłączając nawet gmachu sądu – w budowli, której progów jeszcze żadna kobieta na oczy nie oglądała, wolnej od piętna wszelkiej zniewieściałości i takich zbytków jak szyba okienna czy drzwi, czy materac; mieszkał sobie tam, gdzie nie tylko nie było żadnej kobiety mogącej się sprzeciwić, gdyby mu raptem przyszła ochota spać na sienniku razem z psami, ale gdzie psów nawet nie potrzebował do polowania na zwierzynę, której ślady widać było z progu kuchni, bo naganiały ją istoty ludzkie zależne od niego ciałem i duszą, zdolne jak ogólnie przypuszczano (czy rozpowiadano), do tego, by podczołgać się

do rogowca w legowisku i w mgnieniu oka poderżnąć rogowcowi gardziel.

To właśnie w owym czasie Sutpen zaczął tam do siebie, do tej Setki Sutpena, zapraszać całe gromady mężczyzn, o których mówiła Quentinowi panna Coldfield. Jak w puszczy obozowali okutani w koce w tych nagich komnatach jego załóżkowej, nadętej zamożności; w dzień polowali, nocą grali w karty i pili, przy czym zdarzało się nieraz, że Sutpen wystawiał swoich Murzynów jednego przeciwko drugiemu, i może nawet już wtedy od czasu do czasu brał udział w tych walkach – w tym widowisku, którego, zdaniem panny Coldfield, jego syn znieść nie mógł, a któremu córka przyglądała się zupełnie niewzruszona. Sutpen pił teraz, chociaż nie tylko dziadek Quentina, ale zapewne i inni zauważyli, że gdy mu się nie udawało dostarczyć części trunku, pił bardzo wstrzemięźliwie. Whisky, zazwyczaj przywożoną przez gości, pił z jakimś powściągliwym wyrachowaniem, jak gdyby przeprowadzając w myśli, jak powiedział generał Compson, coś w rodzaju bilansu wypłacalności duchowej, żeby zrównoważyć ilości wypitego przez siebie trunku z ilością biegającego mięsiva, które dostarczał strzelbom gości.

Tak żył przez trzy lata. Miał teraz plantację; w ciągu dwóch lat z dziewiczego bagna wyszarpał dom i ogrody, zaorał i obsiał swą ziemię nasionami bawełny pożyczonymi od generała Compsona. A potem na pozór zrezygnował. Na pozór osiadł sobie w samym środku tego wszystkiego, czego już niemal całkowicie dokonał, i siedział tak przez pełne trzy lata, w ciągu których nic nie świadczyło o tym, aby zamierzał czy pragnął osiągnąć cokolwiek więcej. Może więc nie należało się dziwić tym mężczyznom w hrabstwie, gdy doszli do wniosku, że właśnie takie życie było przez cały czas celem Sutpena; lepiej jednak poinformowany był generał Compson, jedyny z nich, któremu Sutpen kiedykolwiek powiedział coś o swojej przeszłości – jedyny, który poznał Sutpena dość dobrze, żeby mu zaproponować pożyczkę nasion. To właśnie generał Compson dowiedział się pierwszy, że tamta hiszpańska moneta była ostatnią, jaką Sutpen wtedy posiadał, jak również to właśnie Compson (w miasteczku dowiedziano się o tym dopiero po jakimś czasie) zaproponował Sutpenowi, że mu pożyczy pieniędzy na wykończenie i umeblowanie domu, i spotkał się z odmową. Toteż niewątpliwie generał Compson pierwszy w całym hrabstwie mógł powiedzieć, że Sutpen na ukończenie i umeblowanie domu nie potrzebuje pieniędzy pożyczać, bo zamierza się z pieniędzmi ożenić. Pierwszy jednak tylko z mężczyzn, bo kobiety w hrabstwie, jak to w siedemdziesiąt pięć lat później powiedziała Quentinowi panna Coldfield, już przedtem powtarzały sobie i swoim mężom, że Sutpen na pewno nie ma zamiaru opuszczać rąk i na pewno nie po to zadał sobie tyle trudu, zaznał tylu wyrzeczeń i niewygód, żeby teraz po osiedleniu się w tym domu żyć dokładnie tak, jak wtedy gdy go budował, z tą tylko różnicą, że teraz sypia pod dachem, a nie pod budą wozu ustawioną jak namiot na gołej ziemi. Prawdopodobnie kobiety już

się nawet rozglądały wśród córek i siostr mężczyzn, których można było teraz nazwać jego przyjaciółmi, w poszukiwaniu tej przyszłej panny młodej, tego posagu mającego uzupełnić formę i treść przyzwoitej pozycji towarzyskiej, tak czy owak uważanej przez pannę Codfield za cel Sutpena. Kiedy więc przy końcu tej drugiej fazy, w trzy lata po ukończeniu budowy i po wyjeździe architekta, miasteczko znów w niedzielny poranek, znów nieoczekiwanie zobaczyło, jak Sutpen przemierza rynek, tym razem pieszo, ale w tym samym ubraniu, w którym przed pięcioma laty przyjechał i którego nikt od tamtego czasu aż do tej chwili na nim nie widział (on sam czy może jeden z jego Murzynów odprasował ten surdut rozgrzanymi ceglami, opowiadał generał Compson ojcu Quentina), i zobaczyło jak on wchodzi do kościoła metodystów, wtedy zdumienie ogarnęło tylko niektórych mężczyzn. Kobiety orzekły po prostu, że on widocznie już spenetrował wszelkie możliwości w rodzinach mężczyzn, z którymi polował i grał, więc teraz przybył, żeby znaleźć sobie w Jefferson żonę, zupełnie tak, jakby udał się na targ do Memphis po bydło czy niewolników. Ale kiedy już pojęły, z czyjego to on powodu przybył do miasteczka, do kościoła, na kogo to najwyraźniej kieruje swój wybór, ich kobieca pewność siebie zmieniła się w takie samo zdumienie, jakie ogarnęło mężczyzn, a potem stała się czymś jeszcze więcej: oszołomieniem. Bo wydawało się ludziom w miasteczku, że już Sutpena znają. Przez dwa lata patrzyli na niego, gdy z ową zacieklą, nie słabnącą pasją wznosił szkielet swego domu, wytyczał swoje pola; a potem przez trzy lata patrzyli na niego, gdy pozostawał w całkowitym bezruchu, jak gdyby przedtem był napędzany elektrycznością, aż tu raptem ktoś nagle do niego podszedł i usunął, rozebrał jego przewodniki czy też dynamo. Więc w ów niedzielny poranek, ledwie wkroczył w odprasowanym surducie do kościoła metodystów, byli tam tacy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, którym się wydawało, że wystarczy tylko rozejrzeć się wśród wiernych, a od razu się przewidzi kierunek, w jakim go nogi poniosą. Tak im się wydawało, dopóki się nie zorientowali, że on z takim samym zimnym, bezwzględnym rozmysłem, z jakim prawdopodobnie upatrzył sobie przedtem tego francuskiego architekta, teraz upatrzył sobie ojca panny Coldfield. W zgorszonym zdumieniu patrzyli, jak Sutpen spokojnie zarzuca sieci na jedyne w tym miasteczku człowieka, z którym w żadnym razie, a już najmniej w sprawach pieniężnych, nie mógł mieć nigdy nic wspólnego, bo pan Coldfield, to było przecież jasne jak słońce, nie zdołałby się Sutpenowi przysłużyć niczym poza udzieleniem mu kredytu w swym małym narożnym sklepiku bądź oddaniem głosu na niego, gdyby on kiedykolwiek ubiegał się o wyświęcenie na pastora metodystów; ten starszy gminy metodystów, kupiec nie tylko sytuowany skromnie, ale utrzymujący oprócz rodziny, którą sam założył, jeszcze matkę i siostrę z dochodów sklepiku przywiezionego do Jefferson przed dziesięciu laty w jednym wozie, był człowiekiem znanym z absolutnej,

nieugiętej, wręcz purytańskiej prawości w tym kraju, w tym okresie pełnym wszelakich sposobności do bezprawia – człowiekiem, który ani nie pił, ani nie uprawiał hazardu, ani nawet nie polował. Ludzie w swoim zaskoczeniu zupełnie zapomnieli o tym, że pan Coldfield ma córkę na wydaniu. Wcale tej córki nie wzięli pod uwagę. Jakoś im się nie kojarzyło z Sutpenem pojęcie miłości. Widzieli w nim raczej bezwzględność niż sprawiedliwość – chęć wzbudzania raczej lęku niż szacunku, a już w żadnym razie nie współczucia czy miłości: zresztą nazbyt byli teraz pochłonięci snuciem pełnych zdumienia domysłów, jak też Sutpen zamierza bądź potrafi wykorzystać pana Coldfielda przy dalszej realizacji tych swoich jakichś tam tajnych planów. Nie mieli dowiedzieć się o tym nigdy; nawet panna Rosa się nie dowiedziała. Bo począwszy od tamtej niedzieli w Setce Sutpena nie odbywały się polowania i Sutpena widywano wyłącznie w miasteczku. Ale nie wałęsał się tu bez celu. Mężczyźni, którzy przedtem nocowali pod jego dachem i tręcali się z nim kielichami (niejeden osiągnął z nim już nawet taki stopień zażyłości, że zwracał się do niego per „Sutpen”, bez oficjalnego dodatku „panie”), patrzyli teraz, jak on przechodzi na drugą stronę ulicy przed zajazdem Holstona, pozdrawiając ich tylko pro forma podniesieniem ręki do cylindra, i idzie dalej prosto do sklepu pana Coldfielda – to było wszystko.

– A potem pewnego pięknego dnia wyjechał z Jefferson po raz drugi – opowiadał Quentinowi pan Compson. – W zasadzie miasteczko powinno już się przyzwyczaić do jego posunięć. Niemniej jego pozycja w Jefferson w tym czasie nieuchwytnie się zmieniła, czego dowiodła reakcja na jego powrót. Bo kiedy tym razem powrócił, uważano go w pewnym sensie za wroga publicznego. Może powodem było to, co teraz przywiózł ze sobą: ten ładunek bardziej niż zdumiewający w porównaniu z tamtą zwykłą sobie furą Negrów, których przywiózł za pierwszym razem. Ale nie sądzę. To znaczy, że chodziło tu o coś więcej niż o samą tylko wartość jego żyrandoli i mahoniów, i dywanów. Sądzę, że miasteczko poczuło się dotknięte, bo sobie uświadomiło, jak dalece on wciąga ich wszystkich w swoje ciemne sprawy; czymkolwiek by nie była zbrodnia, jaką popełnił dla uzyskania tych mahoni i kryształów, jak dalece on ich zmusza do tego, by patrzyli na tę zbrodnię przez palce. Dotychczas, to znaczy do pierwszej swojej niedzieli w kościele metodystów, jeżeli nawet kogoś źle potraktował czy skrzywdził, to tym kimś był tylko stary Ikkemotubbe, od którego nabył ziemię, a więc była to tylko sprawa pomiędzy jego własnym sumieniem a Wujem Samem i Bogiem. Ale teraz ten stan rzeczy uległ zmianie, bo kiedy coś w trzy miesiące po jego wyjeździe wyruszyły mu na spotkanie nad Rzekę cztery wozy, wszyscy wiedzieli, że człowiekiem, który je wynajął i wysłał, jest pan Coldfield. Były to wielkie wozy ciągnięte przez woły, a kiedy wróciły znad Rzeki, od razu, na pierwszy rzut oka, wiedziano, że bez względu na to, co mogą zawierać, pan Coldfield

z własnej kieszeni na pewno by nie zdołał ich zapełnić, choćby nawet obciążył hipoteką całe swoje mienie; niewątpliwie tym razem fantazja zaczęła ponosić już nie tyle kobiety, co mężczyzn, barwnie im odmalowując wyczyny Sutpena w czasie jego nieobecności w Jefferson: jego twarz w masce zrobionej z chustki do nosa, lufy jego dwóch pistoletów błyszczące w świetle kandelabrow w barze na parowcu, już jeżeli nie coś znacznie bardziej krew mrozącego w żyłach, już jeżeli nie morderstwo, napaść z nożem od tyłu pod osłoną ciemności w jakiejś błotnistej przystani. Zobaczyli go, kiedy na dereszku przejeżdżał przez Jefferson eskortując te swoje cztery wozy; zdaje się, że nawet ci, którzy u niego jadali i strzelali do jego zwierzyny, a nawet nazywali go „Sutpen” bez dodatku „pan”, nie zagadywali go teraz. Po prostu czekali, a tymczasem do miasteczka nadchodziły sprawozdania i plotki o tym, jak Sutpen ze swoimi nieco już obłaskawionymi Murzynami powstawał w domu okna i drzwi, porozmieszczał wszystkie różny i garnki w kuchni, kryształowe żyrandole w salonach i meble, i firanki, i dywany; aż wreszcie pewnego wieczora do baru w zajęździe Holstona wszedł z trochę błędnymi oczami i bardzo rozdziawioną gębą tenże sam Akers, który przed pięcioma laty nadepnął na Murzyna śpiącego w mule, wszedł i powiedział: „No, chłopcy, tym razem to on jak nic ukradł cały, niech go cholera, parostatek.”

Więc wreszcie zakipiała w nich cnota obywatelska. Nadszedł dzień, kiedy się zebrali w ośmiu czy dziesięciu i z szeryfem hrabstwa na czele, całą gromadą wyruszyli do Setki Sutpena. Nie dojechali tam jednak, bo mniej więcej sześć mil za miasteczkiem spotkali Sutpena w jego własnej osobie. Jechał na dereszku: miał na sobie surdut i pilśniowy cylinder, tak dobrze im znane, i nogi miał owinięte plandeką, i wiózł na przednim łąku sakwojaż, i przez rękę przewieszony mały wiklinowy koszyk. Zatrzymał dereszka (to był kwiecień i droga była jeszcze błotnista) i siedząc w zwojach zaszarganej plandeki przenosił wzrok z twarzy na twarz; twój dziadek opowiadał, że oczy miał podobne do kawałków stłuczonego talerza, brodę twardą jak zgrzebło. Tak właśnie to ujął dziadek: „Twarda jak zgrzebło.”

„Dzień dobry, panowie – powiedział. – Jechaliście do mnie?” Niewątpliwie coś więcej niż tylko to przesiąknęło w owym czasie do wiadomości publicznej, chociaż, o ile mi wiadomo, nikt z nich, z tego komitetu czujności, nigdy o tym nie opowiadał. Słyszałem tylko, że ludzie w miasteczku, ci mężczyźni, którzy siedzieli na werandzie zajazdu Holstona, zobaczyli Sutpena w chwili, kiedy wraz z komitetem czujności wjeżdżał na rynek, przy czym on jechał raczej na przedzie, a tamci zbitą gromadą za nim; zobaczyli, jak on, z nogami starannie owiniętymi plandeką, sztywno wyprostowany w wytartym sukiennym surducie i w zniszczonym, porządnie wyczyszczonym cylindrze lekko zsuniętym na bakier, mówi coś przez ramię do tamtych – zobaczyli jego jasne oczy,

spojrzenie twarde, bezwzględne i prawdopodobnie nawet wtedy zagadkowe i może pogardliwe. Ściągnął konia przed drzwiami zajazdu, Murzyn stajenny wyskoczył i przytrzymał deresza za łeb, a on wtedy zsiadł ze swoim sakwojażem i koszykiem i wszedł na schodki. Słyszałem też, że odwrócił się wtedy i spojrzał na tamtych z komitetu czujności, nie bardzo wiedzących, co robić, zbitych w gromadę na koniach. I może to było dobrze, że on miał zarost, bo dzięki temu nie było widać jego ust. A potem odwrócił się i spojrzał na tych, którzy siedzieli na werandzie, opierali nogi o balustradę i też patrzyli na niego – spojrzał na mężczyzn, którzy jeszcze nie tak dawno do niego przyjeżdżali i nocowali na gołej podłodze pod jego dachem, i polowali z nim razem – spojrzał i pozdrowił ich owym zamaszystym, chępliwym podniesieniem ręki do cylindra. (Właśnie, bo on nie miał kindersztuby. To zawsze wychodziło na jaw, opowiadał twój dziadek, w jego wszystkich towarzyskich kontaktach z ludźmi. Można by powiedzieć, że było z nim podobnie jak z tym Johnem L. Sullivanem, co to mozolnie, zmusznie sam się nauczył wreszcie tańczyć szkockiego reela, przy czym tak długo w tajemnicy musztrował się i musztrował, aż doszedł do wniosku, że już nie potrzebuje zwracać uwagi na rytm muzyki. Może Sutpen dopuszczał do głowy myśl, że twój dziadek czy sędzia Benbow zdołał się nauczyć dobrych manier z trochę mniejszym wysiłkiem niż on, ale na pewno by nie dopuścił myśli, że ktokolwiek mógłby wiedzieć lepiej niż on, co i jak wypada zrobić w danej sytuacji. Zresztą miał to przekonanie wypisane na twarzy; cała jego siła uwidoczniła się właśnie w twarzy, mówił twój dziadek, taka siła, że każdy patrząc na niego mógłby powiedzieć: „Niech tylko się nadarzy sposobność albo zajdzie potrzeba, a ten człowiek dokona wszystkiego.”)

No, więc wszedł do zajazdu i zamówił sobie pokój. Tamci czekali nie zsiadając z koni. Pewnie dlatego, że on tak czy owak, kiedyś przecież musiał stamtąd wyjść. I pewnie, dlatego, że im się przypomniały te jego dwa pistolety. Bo, rozumiesz, oni jeszcze nie mieli nakazu aresztowania; to była na razie sprawa tylko opinii publicznej, która swego czasu Sutpena przelknęła, a teraz w żaden sposób nie mogła go strawić.

A potem przyłączyli się do nich i inni jeźdźcy, którzy przejeżdżając przez rynek zorientowali się w sytuacji, toteż było tam już wręcz pospolite ruszenie, kiedy on wreszcie pokazał się znów na werandzie. Pokazał się w nowym cylindrze i w nowym sukiennym surducie, więc już wiedzieli, co przywiózł ze sobą w tym sakwojażu. Już nawet wiedzieli, co przywiózł w tym koszyku, bo trzymał to teraz w ręce już bez koszyka. Niewątpliwie to właśnie zaintrygowało ich wtedy bardziej niż cokolwiek innego, bo, rozumiesz, o istnieniu panny Coldfield oni na śmierć zapomnieli, tacy byli zajęci najpierw dociekaniem, jak on zamierza wykorzystać pana Coldfielda, a potem oburzeniem, kiedy już im się zdawało, że widzą rezultaty jego poczynań, choćby nawet środki, jakich użył,

były dla nich jeszcze zagadką.

Więc niewątpliwie Sutpen znów zatrzymał się na werandzie i znów zaczął przenosić wzrok z twarzy na twarz, bez żadnego pośpiechu, niewątpliwie notując sobie w pamięci twarze nowo przybyłych, przy czym zarost nadal ukrywał wyraz, jaki mogły mieć wtedy jego usta. Ale tym razem nie powiedział nic. Po prostu zszedł ze schodków i ruszył poprzez rynek, a tamci z komitetu (dziadek opowiadał, że liczba ich wzrosła prawie do pięćdziesięciu) pojechali za nim. Podobno nawet się nie obejrzał. Po prostu kroczył dalej wyprostowany w tym nowym cylindrze przekrzywionym na bakier, dzierżąc w dłoni to, co na pewno wydawało im się teraz jakąś ostateczną, niezaskuszoną zniewagą. Jechali stępa za nim – jedni bardziej wysunięci, inni trochę w tyle – a z kolei za nimi sunęli na piechotę wszyscy, przypadkiem obecni na rynku bez koni. Panie, dzieci i niewolnice w mijanych domach podchodziły do drzwi i okien, żeby popatrzeć na tę procesję, która, przesuając się niemo jak jakiś ponury żywy obraz, zatrzymała się dopiero wtedy, gdy Sutpen otworzył furtkę pana Coldfielda i wszedł na chodnik z cegieł wiodący do jego domu, wciąż jeszcze nie oglądając się ani razu, z tym swoim rogiem obfitości z gazety pełnym kwiatów.

Znów na niego czekali. Tłum powiększał się teraz szybko – przyłączyli się jeszcze inni mężczyźni i kilku chłopców, i nawet trochę Murzynów z sąsiednich domów; tłok się zrobił za tymi pierwszymi ośmioma członkami komitetu czujności, którzy, nadal nie zsiadając z koni, wpatrywali się w drzwi domu pana Coldfielda, dopóki Sutpen z nich nie wyszedł. Nastąpiło to dopiero po pewnym czasie i Sutpen wrócił do furtki już bez kwiatów i już zaręczony. Ale oni o tych zaręczynach nie wiedzieli, więc ledwie do furtki podszedł, dokonali jego aresztowania. Panie i dzieci, i domowe czarnuchy wyglądały spoza firanek i zza krzewów w ogródkach, i zza węglów domów, i z kuchni, w których niewątpliwie potrawy w garnkach na ogniu zaczynały się już przypalać, kiedy oni wiedli go z powrotem na rynek, gdzie już wszyscy inni zdadni do służby wojskowej mężczyźni porzucali swoje kantory i sklepy, żeby się do nich przyłączyć, tak że w rezultacie odprowadziła Sutpena do sądu większa eskorta, niżby ją miał zbiegły niewolnik. Sędzia postawił go w stan oskarżenia przed obliczem sprawiedliwości, ale w tym czasie już tam zdążyli przybyć twój dziadek i pan Coldfield, żeby podpisać za niego poręczenie. I trochę później tegoż popołudnia Sutpen znów szedł tą samą ulicą, którą przechodził przed południem, niewątpliwie pod ostrzałem tych samych spojrzeń spoza firanek w oknach – szedł teraz z panem Coldfieldem z powrotem do jego domu na kolację zaręczynową bez wina na stole i bez whisky przed jedzeniem bądź po jedzeniu. Za każdym razem, kiedy szedł w owym dniu ulicą, miał taką samą postawę – ten sam spokojny, niespieszny krok, poruszający do taktu połamami nowego surduta, i pod tym samym kątem zbakierowany

nowy cylinder nad oczami i brodą. Twój dziadek opowiadał, że cera jego już nie przypominała martwej wypalanej gliny, jak przed pięciu laty, kiedy zjawiał się w Jefferson, i że teraz był ucziwie ogorzały. To nie znaczy, powiedział dziadek, żeby utył; nie na tym to polegało; po prostu mięśnie na jego kościach jak gdyby się rozprężyły, uspokoiły, jak gdyby mogły już sobie pozwolić na bierność po jakimś niedawnym kurczowym zetknięciu się z pędem powietrza, po jakimś karkołomnym biegu czy czymś w tym rodzaju, toteż ubranie istotnie już na nim nie zwisało – wypełniał je, chodząc w nim nadal jeszcze z pewną fanfaronadą, ale już nie zawadiacko czy wojowniczo, chociaż, zdaniem dziadka, to, co przedtem miało w nim pozory wojowniczości, było raczej czujnością. Otóż teraz ta czujność, to napięcie zniknęło, jak gdyby po tych trzech latach doszedł do wniosku, że jego mięśnie nie potrzebują już stać na warcie, że wystarczy, jak czuwaniem zajmą się tylko oczy. W dwa miesiące po zaręczynach ożenił się z panną Ellen Coldfield.

Było to w czerwcu tysiąc osiemset trzydziestego ósmego roku – prawie pięć lat od tamtego niedzielnego poranka, kiedy Sutpen na deresz wjechał do miasteczka po raz pierwszy. To się odbyło (ten ślub) w tym samym kościele metodystów, w którym po raz pierwszy, jak twierdziła panna Coldfield, on zobaczył Ellen. Ciotka jakimś cudem – może dogryzaniem (nie przymilaniem się, bo z tego by nic nie wyszło) – zdołała zmusić pana Coldfielda, żeby pozwolił Ellen upudrować twarz na tę uroczystość. Puder miał zakryć ślady łez. Ale zanim cały ceremoniał dobiegł końca, w tym pudrze porobiły się smugi, bruzdy i grudy. Zdaje się, że Ellen w tamten wieczór weszła do kościoła prosto z płaczu, zupełnie tak jakby tam weszła prosto z deszczu, a potem po poddaniu się zaślubinom powróciła znów prosto w płacz, prosto w łzy, i to nawet w te same łzy, w ten sam deszcz. Wsiadła do karety i w rzęsimym deszczu łez odjechała do Setki Sutpena.

Spowodowała to sama ceremonia ślubna, a nie fakt zaślubienia Sutpena. Wszelkie łzy, jakie Ellen miała wylać, dlatego, że wyszła za niego, jeżeli założymy, że w ogóle takie łzy były, popłynęły dopiero później. Nie zamierzano urządzać uroczystego ślubu. To znaczy, pan Coldfield nie zamierzał. Zwróć uwagę, że większość rozwodów to rozwody takich kobiet, którym ślubu udzielał jakiś żujący prymkę sędzia pokoju w wiejskim sądzie bądź też pastor wyrwany z łóżka po północy, jeszcze niezupełnie rozbudzony, z szelkami dyndającymi pod połą surduta i bez kołnierzyka, bełkoczący sennie formułkę ślubną w obecności jakiejś żony czy siostry, starej panny w papierowych papilotach, z konieczności zaproszonej na świadka. Chyba więc nie jest przesadą mniemanie, że te kobiety zaczynają wzdychać do rozwodu nie dlatego, że coś im w życiu małżeńskim nie gra, ale dlatego, że czują się jakoś zawiedzione i oszukane; dlatego, że bez względu na żywe świadectwo swego ślubu w osobach dzieci i we wszystkim innym wciąż jeszcze

piastują w sercach wymarzony obraz siebie samych kroczących przy muzyce wśród spojrzeń tłumu i wszelkich ozdobnych akcesoriów i okoliczności ceremonialnego oddania tego, co wówczas jeszcze posiadały. I czemuż by tak nie miały podchodzić do tej sprawy, skoro dla nich samo oddanie dziewictwa jako takie może być (i zresztą jest) formalnością tak błahą jak rozmiennienie banknotu na drobne po to, żeby kupić bilet kolejowy.

Więc, jak już powiedziałem, pan Coldfield nie zamierzał urządzać uroczystego ślubu; z nich dwóch to właśnie Sutpen pragnął szumu i pełnego kościoła, i uroczystego obrzędu. Wiem o tym, bo kiedyś coś na ten temat wyrwało się twojemu dziadkowi, a dziadek niewątpliwie wiedział to od samego Sutpena, zresztą tak samo przypadkowo jak wiedział od niego o wszystkim innym, bo Sutpen nigdy, nawet narzeczonej, nie zdradził swego życzenia. Faktem jest, że w ostatniej chwili nawet nie chciał jej w tym poprzeć, i to właśnie jego upór był po części przyczyną panińskich łez. Pan Coldfield najwidoczniej zamierzał potraktować ślub córki po prostu jako okazję do użycia kościoła, w który zainwestował już pewną sumę ofiar i niewątpliwie samozaparcią, i na pewno jakiejś rzeczywistej pracy i pieniędzy, pragnąc osiągnąć coś w rodzaju równowagi popytu i podaży na rynku wypłacalności duchowej; jak gdyby kościół był dla niego czymś w rodzaju maszyny do oczyszczania bawełny – maszyny, do której on w swoim przekonaniu nabył tak czy inaczej pewne prawa i której wobec tego mógł używać do oczyszczania bawełny wyhodowanej bądź przez siebie, bądź przez kogokolwiek z bliższej czy dalszej rodziny – tyle tylko, i nic więcej. Może więc to, że on wolał cichy ślub, wpływało z tej samej żmudnej nieustannej gospodarności, dzięki której zdołał utrzymywać matkę i siostrę, ożenić się i założyć rodzinę z samych tylko dochodów owego sklepiku, przed dziesięciu laty mieszczącego się w jednym wozie; czy też może odgrywało tu rolę poczucie stosowności, jakaś wrodzona delikatność (czym, nawiasem mówiąc, jego siostra i córka bynajmniej się chyba nie odznaczały) wobec przyszłego zięcia, którego zaledwie przed dwoma miesiącami swoim podpisem wyciągnął z więzienia. W żadnym jednak razie nie był to brak odwagi spowodowany wciąż jeszcze nienormalną pozycją zięcia w miasteczku. Bez względu na to, jakie stosunki łączyły ich obu przedtem i ewentualnie łączyć ich miały w przyszłości, pan Coldfield na pewno palca by nawet nie podniósł wtedy w obronie Sutpena, gdyby wierzył, że on istotnie dopuścił się jakiegoś przestępstwa. Być może, wierząc w to, nie zabiegałby specjalnie o zatrzymanie Sutpena w więzieniu, ale poręczenia za niego na pewno by nie podpisał. Niewątpliwie więc fakt, że on to podpisał, był czymś w rodzaju najlepszego moralnego odkażenia, jakie Sutpen mógł wówczas otrzymać w oczach współobywateli – to było coś, czego pan Coldfield by nie zrobił tylko po to, żeby ratować swoje dobre imię, choćby to aresztowanie było bezpośrednim skutkiem jego własnych interesów z Sutpenem – zresztą wkrótce już się

z owej transakcji wycofał, kiedy sumienie nie pozwoliło mu jej w dalszym ciągu sankcjonować, przy czym zostawił Sutpenowi cały płynący z niej zysk, nie chcąc nawet przyjąć od Sutpena zwrotu za straty, jakie poniósł wskutek rozwiązania tej spółki. Córce jednak pozwolił wyjść za mąż za człowieka, którego czynów sumienie jego nie pochwalalo. Tym samym po raz drugi postąpił wbrew sumieniu.

Na ślubie zamiast stu zaproszonych gości było, łącznie z orszakiem ślubnym, zaledwie dziesięć osób; chociaż kiedy już z kościoła wyszli (to było wieczorem, Sutpen przywiózł kilku swoich dzikich Murzynów i ustawił ich z płonącymi głowniami pod kościołem), ten niedobór liczebny wyrównywała czekająca tam gromada chłopców i młokosów, i mężczyzn z karczmy na skraju miasteczka, gdzie bywali przeważnie sami handlarze bydła – rozmaitych pastuchów, stajennych i tym podobnych, bynajmniej nie zaproszonych. To była część druga powodu łez Ellen. Bo to ciotka namówiła pana Coldfielda na uroczysty ślub. Sutpen wcale jej w tym nie popierał, chociaż na pewno wbrew sobie. Chciał się przecież ożenić, nie po to, żeby mieć jakąś bezimienną żonę i bezimienne dzieci, ale po to, żeby na akcie ślubnym, na tym patencie, widniało nazwisko żony znanej z nieskazitelnosci i nazwisko równie nieskazitelnego teścia. Bo ten akt ślubu miał być właśnie patentem nawet ze złotą pieczęcią i z czerwonymi wstęgami, gdyby tylko było to praktykowane. Ale Sutpen potrzebował tego patentu nie dla siebie. Ona (panna Rosa) nazwałaby dążenie do złotej pieczęci i czerwonych wstęg próżnością. Jeżeli jednak istotnie tak było, to przecież nic innego jak owa próżność zaplanowała sobie ten wielki dom i wzniosła go na obcej ziemi, nieomal własnymi gołymi rękami i w dodatku stojąc w obliczu zupełnie prawdopodobnej perspektywy, że zgoła zbytecznie ktoś wtrąci się w tę sprawę, tak jak to zwykle się dzieje wskutek niechęci, jaką wszystkie społeczności ludzkie z reguły żywią do sytuacji, których nie rozumieją. A więc próżność... i duma.

Panna Rosa przyznaje, że on był dzielny; może, więc nawet nie odmówiaby mu i dumy, tej samej dumy, co potrzebowała właśnie takiej okazałej siedziby, nie zadowolając się żadną mniejszą, więc gnała Sutpena naprzód do zdobycia jej za wszelką cenę. A potem on już miał ten dom i mieszkał tam samotnie, sypiał na sienniku przez trzy lata, dopóki nie stać go było na meble godne tej wspaniałości – przy czym częścią umeblowania, i to wcale nie najpośledniejszą, był właśnie ten akt ślubu. Panna Coldfield ma zupełną rację. Sutpenowi był potrzebny nie tylko dach nad głową, nie tylko jakaś tam żona i jakieś tam dzieci, tak samo jak był mu potrzebny nie tylko ślub jako taki. Jednakże, kiedy nastąpiło to niewieście przesilenie, kiedy Ellen z ciotką usiłowały go przeciągnąć na swoją stronę, żeby namówił pana Coldfielda do urządzenia uroczystego ślubu, on ich poprzec nie chciał. Niewątpliwie jeszcze lepiej niż pan Coldfield pamiętał

o tym, że nie dalej jak przed dwoma miesiącami groziło mu więzienie; i że opinia publiczna, która w pewnym momencie ubiegłych pięciu lat jakoś go przełknęła, chociaż nigdy nie mogła go dobrze strawić, ostatecznie dokonała jednej z owych przyrodzonych wszystkim ludziom zgola niewytłumaczalnych wolt i gwałtownie go wyrzygała. A jemu ani trochę nie pomogło to, że już przynajmniej dwóch z tych obywateli, zamiast być jeszcze dwoma zębami w szczęce oburzonej opinii, przytrzymało tę szczękę otwartą i bezsilną, kiedy on z niej wychodził bez szwanku.

Ellen i ciotka też o tym pamiętały. Ciotka pamiętała. Będąc kobietą, niewątpliwie należała do owej ligi kobiet w Jefferson, która przed pięcioma laty, już na drugi dzień po przybyciu Sutpena, orzekła, że nigdy mu nie wybaczy braku jakiegokolwiek przeszłości, i która konsekwentnie nigdy mu tego nie wybaczyła. Skoro jednak ten ślub stał się sprawą nieodwołalnie przesądzoną, ciotka prawdopodobnie uznała to nie tylko za jedyną szansę zabezpieczenia przyszłej pozycji bratanicy jako żony Sutpena; chciała tym usprawiedliwić fakt, że jej brat wyciągnął go z więzienia, i własne stanowisko w tej sprawie: chciała, żeby ludzie wiedzieli, że ona wyraźnie sankcjonuje związek, że pozwala na zawarcie tego związku, skoro w gruncie rzeczy i tak by mu nie mogła przeszkodzić. Być może, brała pod uwagę ten wielki dom i tę pozycję, przyszłe znaczenie w świecie, które, jak to kobiety uświadomiły sobie o wiele wcześniej niż mężczyźni, Sutpen nie tylko zamierzał, ale z całą pewnością miał zyskać. Czy też może kobiety nie są aż tak skomplikowane i po prostu uważają, że każdy ślub jest lepszy niż brak ślubu, a uroczysty ślub z łotrem jest lepszy niż cichy ślub ze świętym.

Toteż ciotka wykorzystwała nawet lzy Ellen, żeby ten ślub był jednak uroczysty, a Sutpen, który prawdopodobnie przewidywał, wiedział, jak to się wszystko odbędzie, stawał się tylko z każdym dniem, w miarę zbliżania się wyznaczonej daty, coraz poważniejszy. To nie znaczy, żeby się przejmował: był tylko czujny – taki właśnie, jakim musiał być od owej chwili, kiedy odwrócił się od wszystkiego, co przedtem było mu znane, od twarzy i od obyczajów (a miał wówczas zaledwie czternaście lat, jak opowiadał twojemu dziadkowi), i wyruszył w świat nie znany sobie nawet w teorii, mając już wtedy, w tym chłopięcym wieku, określony cel, jakiego dorośli mężczyźni przeważnie sobie nie stawiają, dopóki krew w nich nie zacznie krążyć wolniej po ukończeniu lat trzydziestu czy nawet więcej, a i wtedy stawiają go sobie tylko dlatego, że tą ich wymarzoną wizją jest osiągnięcie spokoju i stanu, w którym będą mogli sobie pozwolić na lenistwo bądź też przynajmniej uwieńczenie próżności. Sutpen już od czternastego roku życia miał w sobie tę baczność na wszystko czujność, opancerzony w dzień i w nocy, niezmiennie, ani na chwilę nie zdejmując, nie odkładając swego pancerza, nosząc go jak to swoje jedyne ubranie, sypiał i chodził stale w nieznanym kraju wśród nieznanych ludzi, mówiących

jeszcze nie znanym mu językiem; ani na chwilę nie zasypiała w nim uwaga, świadomość, że może sobie pozwolić najwyżej na jakiś jeden błąd – ta czujność nieustannie zajęta odmierzaniem i odważaniem tego, co już się stało, w przeciwstawieniu do tego, co się może stać, warunków i okoliczności w przeciwstawieniu do natury ludzkiej, własnego mylnego sądu i własnej śmiertelnej powłoki w przeciwstawieniu do sił nie tylko ludzi, ale i przyrody – ta czujność, która wybierała i odrzucała, i szła na kompromisy z marzeniem i ambicją, tak jak trzeba pójść na kompromis z koniem, jadąc na przelaj przez zwalone pnie, kiedy się wie, że całe panowanie nad nim zależy tylko od tego, żeby to zwierzę nie zorientowało się, że ma przewagę, bo panować nad nim w tej chwili nie można.

To on, Sutpen, był teraz w dziwacznej sytuacji. To on był tym samotnym. Nie Ellen. Bo Ellen miała podporę w ciotce, a zresztą faktem jest, że kobiety nigdy nie uważają się za samotne, nie szafują argumentem swojej samotności i nie domagają się jej potwierdzenia, dopóki ostatecznie jakaś nieodgadniona i niemożliwa do pokonania okoliczność nie zmusi ich do całkowitej rezygnacji z wszelkiej nadziei na osiągnięcie właśnie tej, a nie innej przypadkiem w danej chwili upragnionej błyskotki. I pan Coldfield też nie był samotny. Ten miał podporę nie tylko w opinii publicznej, ale i we własnej odrazie do hucznych uroczystości, dzięki czemu mógł popierać cichy ślub nie będąc niedorzecznym lub paradoksalnym. A potem (łyzy jednak zwyciężyły; Ellen z ciotką wypisały sto zaproszeń – Sutpen przywiózł do Jefferson jednego ze swych dzikich Murzynów i rozesłał przez niego te zaproszenia po domach, przy czym sam wystosował ze dwanaście zaproszeń mniej oficjalnych na próbę generalną ślubu), w wigilię ślubu przybyli do kościoła na próbę i w samym kościele nie zastali nikogo; tylko w cieniach u kościelnych drzwi stała gromadka ludzi z okolic miasteczka (w tym dwóch Indian starego Ikkemotubbe z plemienia Chickasaw) i wtedy znów popłynęły łyzy.

Ellen wprawdzie odbyła jakoś tę próbę, ale później, kiedy ją ciotka zabrała do domu, stan jej nieomal graniczył z histerią, chociaż do następnego dnia uspokojono ją na tyle, że popłakiwała tylko cicho od czasu do czasu. Była nawet mowa o odłożeniu ślubu. Nie wiem od kogo to wyszło, może od Sutpena. Ale wiem, kto postawił weto.

To było tak, jakby ciotka twardo zadecydowała nie tylko Sutpena, ale sam ten ślub wepchnąć miasteczku w gardło. Przez cały następny dzień w szalu narzuconym na suknię domową chodziła z listą zaproszeń w ręku od domu do domu, przy czym krok w krok za nią sunęła jedna z tych dwóch służących, Murzynek Coldfieldów, może po to, żeby ją w razie czego ochraniać, a może po prostu dlatego, że jak liść została porwana wichurą tej zacieklej herodbabskiej furii zelżonej kobiety; otóż i to, zawitała ciotka także i do naszego domu, chociaż twojemu dziadkowi nawet by przez myśl nie przeszło nie być na tym ślubie: ciotka na pewno nie miała co do tego żadnych wątpliwości, bo przecież to właśnie

dziadek przyczynił się do wyciągnięcia Sutpena z więzienia – tylko że prawdopodobnie już osiągnęła wtedy stan, w którym w ogóle przestała rozumować. To było wkrótce po ślubie twoich dziadków i babcia nie zdążyła jeszcze w Jefferson się zadomowić, więc nie wiem, co sobie myślała podczas tej nieoczekiwanej wizyty, wiem tylko, że nigdy nie chciała mówić o tym, co się wtedy stało – o tej wariatce, którą zobaczyła wtedy dopiero po raz pierwszy, która wpadła do domu jak bomba, nie po to, żeby zaprosić babcię na ślub, ale żeby ją zwymyślać na zapas, w razie gdyby ona na ten ślub spróbowała nie przyjść, po czym znów jak bomba wyleciała z domu. Babcia zrazu nawet nie wiedziała, czyj to ma być ślub, i dziadek, kiedy wkrótce potem wrócił do domu, zastał ją też w ataku hysterii. Nawet po dwudziestu latach moja mama nie potrafiła opowiedzieć, jak to wtedy rzeczywiście było. Nie widziała w tym nic śmiesznego. Ojciec lubił jej dokuczać, ale kiedy tylko zaczynał o tym mówić, nawet po dwudziestu latach od tamtego dnia, widziałem, jak mama podnosi rękę (czasem jeszcze z napaństwem na palcu), jak gdyby chciała się osłonić, i jak na tej twarzy pojawia się pewnie taki sam wyraz, jaki miała wtedy po odejściu ciotki Ellen.

Ciotka obleciała tamtego ranka całe miasteczko. Nie zabrało jej to dużo czasu i w rezultacie nie pominęła nikogo: do zmroku wiadomość o okolicznościach tej sprawy rozeszła się szeroko nie tylko w sferach towarzyskich miasteczka, ale i poniżej, przenikając do stajni dyliżansowej i do karczmy poganiaczy bydła, która na ślub dostarczyć miała gości, jakkolwiek nie zaproszonych. Ellen oczywiście wiedziała o tym wszystkim tyle co ciotka, to znaczy nic; a zresztą one obie, nawet gdyby były jasnowidzące i mogły widzieć generalną próbę dalszych wydarzeń, zanim je zainscenizował czas, i tak by nie uwierzyły. To nie znaczy, żeby ciotka uważała się za zabezpieczoną przed zniewagą tego rodzaju – ona by po prostu nie uwierzyła, że jej pełne przecież najlepszych intencji całodzienne zabiegi mogłyby się choć trochę minąć z celem, dla osiągnięcia którego chwilowo odrzuciła wszelką coldfieldowską godność, ba, nawet skromność niewieścia. Myślę, że Sutpen mógłby ją ostrzec, czym to się skończy, tylko niewątpliwie wiedział, że ona by go nie słuchała. Zresztą chyba w ogóle nie zabierał głosu: zrobił jedynie to, co mógł zrobić w takich okolicznościach, a mianowicie sprowadził z Setki Sutpena jeszcze sześciu czy siedmiu swoich Murzynów, bo na nich mógł przecież polegać, i kazał im stać z płonącymi pochodniami u drzwi kościoła, kiedy zajechała kareta i wysiadł orszak ślubny. I tu właśnie łyzy przestały płynąć, bo na ulicy przed kościołem czekał teraz cały szereg karet, powozów i bryczek, chociaż tylko Sutpen i może pan Coldfield zauważyli, że wszystkie zatrzymały się po drugiej stronie ulicy, przy czym nikt z nich nie wysiadł. Podjazd pod kościołem zmienił się niejako w pustą arenę oświetloną dymiącymi głowniami w podniesionych wysoko rękach Murzynów; blask

poходni pełgał i płaśał po dwóch rzędach twarzy, pomiędzy którymi przeszedł orszak ślubny do kościelnych drzwi. Jeszcze nie było żadnej kociej muzyki, żadnego szyderstwa; ani ciotka, ani Ellen zupełnie nie podejrzewały, że coś tu nie jest w porządku.

Na jakiś czas Ellen wyszła z tego płaczu, z tych łez jak z deszczu wkraczając do kościoła. W kościele nie było nikogo oprócz twego dziadka i babci, i paru innych osób przybyłych na sam ślub w jakimś poczuciu lojalności wobec Coldfieldów czy może po to, żeby wszystko zobaczyć z bliska, żeby nic nie uронić z awantury przewidywanej, zdaje się, zarówno przez miasteczko, które reprezentowały te czekające po drugiej stronie ulicy pojazdy, jak i przez samego Sutpena. Ceremonia ślubu rozpoczęła się i skończyła, a w kościele nadal było pusto. Ellen też miała w sobie rodzaj dumy czy już przynajmniej próżność, która w pewnych chwilach może przejąć funkcję dumy i męstwa; zresztą na razie nic się jeszcze nie działo. Tłum przed kościołem zachowywał się jeszcze cicho, może wskutek szacunku dla kościoła, tej skwapliwej gotowości Anglosasów-mistyków do uznawania w całej pełni wszelkich ofiarnych bałwanów i kamieni. Ellen wyszła z kościoła prosto w ten tłum, chyba nic nie podejrzewając. Czy też może nadal poruszała się w płaszczu dumy, która nie pozwoliła jej na płacz w obecności ludzi w kościele. Po prostu chciała teraz zapewne przejść jak najprędzej do karety, żeby tam już spokojnie w odosobnieniu sobie popłakać; może pierwszym dla niej ostrzeżeniem był dopiero okrzyk: „Uwaga! W nianie walcie, no!” A potem coś obok niej mignęło – garstka błota czy gnoju, czy co tam to było, czy może tylko sam blask nagle poruszonej pochodni. Więc odwróciła się i zobaczyła, że jeden z Murzynów z podniesioną pochodnią skacze już w kierunku tłumu, w kierunku tych twarzy, ale Sutpen zatrzymuje go jakimś słowem w tym obcym języku, w którym dotychczas ogół ludzi w hrabstwie nie rozpoznawał języka narodu cywilizowanego. To właśnie zobaczyła – natomiast tamci z pojazdów po drugiej stronie ulicy zobaczyli, jak panna młoda kuli się pod osłoną ramienia pana młodego, jak pan młody przyciąga ją za siebie i stoi bez ruchu, nawet wtedy gdy coś innego (nie rzucano niczym, co by rzeczywiście mogło skaleczyć; to były tylko grudy błota i odpadki jarzyn) strąca mu z głowy cylinder, a jeszcze coś uderza go prosto w pierś; jak on stoi tam z wyrazem twarzy niemal podobnym do uśmiechu, błyskając zębami wśród zarostu, trzymając swoich dzikich Murzynów na wodzy tym tajemniczym słowem (niewątpliwie niejeden w tłumie miał pistolet, a już z całą pewnością nóż: ten Murzyn by nie przeżył nawet dziesięciu sekund, gdyby na nich skoczył), a krąg twarzy z rozdziawionymi ustami, z oczami płomiennymi od blasków pochodni, zdawał się przybliżać do orszaku ślubnego i falować wokoło, i przesuwając się, i zanikać w dymie tych płonących głowni sosnowych. Sutpen wycofał się do karety, osłaniając Ellen i ciotkę, jakimś innym słowem rozkazując Murzynom, żeby szli za nimi. Ale z tłumu już nikt nic nie rzucił. Najwidoczniej to był

tylko taki pierwszy spontaniczny wybuch, chociaż oni wszyscy, nie tylko ci, co już rzucali te grudki błota i odpadki, przyszli tu uzbrojeni w takie śmieci i przygotowani do ich rzucania. W istocie chyba na tym właśnie zakończyła się cała sprawa, nabrzmiewająca od owego dnia przed dwoma miesiącami, kiedy komitet czujności eskortował Sutpena do furtki pana Coldfielda. Bo ci mężczyźni zgromadzeni przed kościołem, ci handlarze bydła i poganiacze, i furmani powrócili tam, skąd przyszli, znów zniknęli gdzieś tam, skąd na ów moment wylegli jak szczury; znów się rozproszyli, rozjechali po okolicy, unosząc ze sobą te swoje twarze, których nawet Ellen nie miała zapamiętać – twarze ukazujące się na czas jednego posiłku czy noclegu, czy tylko pociągnięcia łyku gorzałki w innych karczmach oddalonych o dwadzieścia i pięćdziesiąt, i sto mil przy rozstajach nie nazwanych traktów, a potem znikające i stamtąd też. A ci wszyscy, którzy przybyli pod kościół w powozach i bryczkach zupełnie jak na odpust, jeździli później znów w odwiedziny do Setki Sutpena i jedli przy Sutpena stole, mężczyźni polowali na jego zwierzynę i czasami zbierali się o zmroku w jego stajni, żeby oglądać walki, do których Sutpen dobierał swoich Murzynów, tak jak inni dobierają do walk koguty, i nawet sam nieraz wchodził na ring. Ten incydent ślubny się zatarł, niekoniecznie jednak w pamięci. Sutpen nie zapomniał tamtego wieczora, chociaż, jak mi się zdaje, zapomniała o tym Ellen, zmyła to z pamięci łzami. Właśnie, bo ona wsiadając do ślubnej karety już znowu płakała. Zaiste, rześisty deszcz padał na to wesele.

III

Gdyby on puścił kantem pannę Rosę, to ona chyba by nikomu nie chciała tego opowiadać – powiedział Quentin.

– Aha – jeszcze raz powiedział pan Compson. – Panna Rosa dopiero w jakiś czas po śmierci pana Coldfielda, a pan Coldfield umarł w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym, przeprowadziła się do Setki Sutpena, żeby zamieszkać z Judith. Miała wtedy lat dwadzieścia. Posłuszna ostatniej woli siostry, zabrała się do uchronienia tej o cztery lata od siebie starszej siostrzenicy przed klątwą rodzinną, którą, jak jej się wydawało, ściągnąć miał Sutpen. Najwidoczniej chciała Sutpena unieszkodliwić przez sam fakt wyjścia za niego za mąż. Ona (panna Rosa) urodziła się w roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym, kiedy jej siostra była mężatką od lat siedmiu i matką dwojga dzieci; rodzice jej byli już w średnim wieku (pani Coldfield, co najmniej czterdziestoletnia, umarła przy tym porodzie, czego panna Rosa nigdy ojcu nie wybaczyła) i w takim stanie ducha – jeśli się przyjmie, że panna Rosa była tylko nikłym odbiciem ich stanowiska wobec zięcia – że łaknęli już tylko spokoju i ciszy i prawdopodobnie nie spodziewali się czy może nawet nie chcieli mieć jeszcze jednego dziecka. Ale panna Rosa się urodziła, i to za cenę życia matki, o czym jej nigdy nie pozwolono zapomnieć. Wychowała ją ta sama ciotka, stara panna, która swego czasu usiłowała zmusić opierające się miasteczko, żeby przełknęło nie tylko pana młodego, ale i samą uroczystość ślubną. Panna Rosa wzrastała w zamkniętym kobiecym wolnomularstwie, ucząc się widzieć w fakcie, że w ogóle chodzi po tym świecie, nie tylko jedyne uzasadnienie ofiary, jaką poniosła jej matka umierając po to, żeby ona się urodziła – nie tylko ucieleśnione memento ojcowskiej winy, ale również żywe, wszechobecne, a nawet przenośne oskarżenie całego rodzaju męskiego (któż, jak nie mężczyźni pozostawili ciotkę trzydziestopięcioletnią nie tkniętą dziewicą). Tak więc mieszkała w tym ponurym małym domu przez pierwsze szesnaście lat swego życia razem z ojcem – zdziwaczalym mrukiem, człowiekiem, którego podświadomie nienawidziła, którego jedynym towarzyszem i przyjacielem było, zdaje się, tylko własne sumienie, a jedyną rzeczą, o jaką dbał, nieskazitelna reputacja u bliźnich, i który później miał sam za sobą zabić gwoździami drzwi poddasza, bo wolał zagłodzić się tam na śmierć niż patrzeć, jak jego ziemia ojczysta w męczarniach odpiera armię najeźdźców – i (przez pierwsze dziesięć lat) z ciotką. Ciotka jeszcze po dziesięciu latach mściła się za fiasko ślubu Ellen, wymierzając ciosy w miasteczko, w całą ludzkość poprzez każdego z osobna i wszystkich razem jej przedstawicieli – brata, obie bratanice, męża starszej bratanicy, siebie samą i w ogóle wszystkich – wymierzając te ciosy z ową ślepą, irracjonalną furią węża

oblażącego ze skóry. To właśnie ciotka nauczyła pannę Rosę widzieć w siostrze kobietę straconą dla świata – kobietę porwaną nie tylko z rodziny i rodzinnego domu, ale także i z życia do jakiejś posepnej budowli, niby do zamku Sinobrodego, zaklętą tam w jakąś maskę biernie i z beznadziejnym żalem patrzącą wstecz na ten świat już nieodwołalnie jej obcy, nie uwięzioną wprawdzie, ale trzymaną tam w stanie jakiegoś straszliwego szyderczego zawieszenia; sprawcą tego nieszczęścia był mężczyzna, który, jeszcze zanim panna Rosa się urodziła, wtargnął w życie jej i jej rodziny z nagłością tornada, wyrządzając niepowetowaną i nieoszacowaną szkodę, na czym bynajmniej nie miał zamiaru poprzestać. W takiej to ponurej, grobowej atmosferze purytańskiej prawości ojca i mściwego oburzenia zelżonej ciotki minęło dzieciństwo panny Rosy – owa starca, sędziwa, nic wspólnego nie mająca z jej istotnym wiekiem nieobecność młodości wypełniona kasandryjskim podsłuchiowaniem pod zamkniętymi drzwiami, szpiegowaniem po mrocznych sieniach w rozsnutym wszędzie prezbiteriańskim wyziewie żalobnego, mściwego przewidywania przyszłych wydarzeń. Daremnie czekała panna Rosa na to, żeby niemowlęstwo i dzieciństwo, w które tak oszukańczo wplątała ją natura, zaczęły wreszcie dotrzymywać kroku owej dezaprobacie w stosunku do wszystkiego, co zdołało przeniknąć ściany jej rodzinnego domu za pośrednictwem jakiegokolwiek mężczyzny, a zwłaszcza jej ojca. Daremnie na to czekała, bo ta dezaprobata, w którą ciotka ją przyodziła już, zdaje się, w chwili kiedy ją owinęła zaraz po urodzeniu w pierwsze pieluszki, była dezaprobatą kobiety starej.

Kiedy ojciec umarł i po jego śmierci, będąc sierotą bez środków do życia, musiała ostatecznie szukać dachu nad głową, opieki swojej najbliższej krewnej – a ową krewną była właśnie siostrzenica, o której uchronienie prosiła ją umierająca siostra – może uznała, że to sam los daje jej sposobność do spełniania tej prośby. Może nawet uznała siebie za narzędzie zadośćuczynienia: jeżeli już nie za narzędzie samoczynne i dość mocne, żeby się z Sutpenem uporać, to przynajmniej za jakiś bierny symbol, który powinien być dla Sutpena ciągłym nieuniknionym przypomnieniem, za bezkrwisty, bezwymiarowy symbol, który miał powstać z kamienia ofiarnego tej małżeńskiej łożnicy. Bo dopóki Sutpen nie wrócił z Wirginii w sześćdziesiątym szóstym roku i nie zastał jej w swoim domu razem z Judith i Clytie... (Właśnie, Clytie to też jego córka: Clytemnestra. Sam jej nadał to imię. Im wszystkim sam nadawał imiona: swojemu potomstwu i potomstwu swoich dzikich Murzynów już później, kiedy okolica zaczęła sobie tych Murzynów przyswajać. To panna Rosa ci nie powiedziała, że wśród Negrów w wozie tamtego dnia były dwie czarne kobiety?

– Nie, proszę ojca – powiedział Quentin.

– Właśnie. Dwie kobiety. I on ich nie przywiózł przez przypadek czy przez

przeoczenie. Już on zadbał o to, on, który niewątpliwie patrzył w przyszłość dalej niż tylko na odległość dwóch pierwszych lat, na ten czas, jaki mu istotnie zabrała budowa domu i przekonanie sąsiadów o swoich dobrych zamiarach. Wiedział, że tak czy owak sąsiedzi kiedyś mu pozwolą kojarzyć jego dziki inwentarz z ich oswojonym, skoro różnice językowe pomiędzy jego Murzynami a ich Murzynkami mogą stanowić barierę najwyżej na parę tygodni czy może nawet dni. Te dwie kobiety przywiózł rozmyślnie... dla siebie, i prawdopodobnie wybrał je tak samo pieczołowicie i fachowo, jak wybierał inny inwentarz żywy – konie, muły i bydło – przy zakupywaniu go później. I mieszkając tam prawie przez pięć lat nie miał żadnych znajomości wśród białych kobiet w hrabstwie z tejże samej przyczyny, dla której nie miał w domu żadnych mebli, a mianowicie dlatego, że nie posiadał wtedy nic, za co mogłyby je mieć. Właśnie. Więc dał tej córce na imię Clytie, tak jak dawał imiona im wszystkim, nawet temu dziecku, które mu się urodziło jeszcze przed Clytie i Henry'm i Judith. Z tym swoim niezmiennym jurnym, sardonicznym zuchwalstwem sam chrzczył własny zrodzony z ironii losu posiew smocznych zębów. Tylko że zawsze, kiedy o tym myślę, wolę wierzyć, że on w gruncie rzeczy zamierzał Clytie nazwać Kasandrą, że on nie tylko ją spłodził, ale z jakąś czysto dramatyczną instynktowną oszczędnością środków chciał z góry określić rolę tej zwiastunki jego zguby, a imię Clytemnestra wpadło mu do głowy tylko przez pomyłkę zupełnie naturalną u kogoś, kto czytać zapewne nauczył się prawie sam, bez niczyjej pomocy.)

Do jego powrotu z wojny w roku sześćdziesiątym szóstym panna Rosa przez całe swoje życie widziała go w sumie najwyżej ze sto razy. I nawet w tych nieczęstych chwilach, kiedy go widziała, to był dla niej ów ludojad z dzieciństwa – twarz ze strasznej baśni ujrzana tylko raz, a potem już tylko odtwarzająca się w długich odstępach czasu przy różnych okazjach nie do zliczenia i nie do zapamiętania. Twarz, jak w greckiej tragedii maska, co przechodzi nie tylko z jednej sceny na drugą, ale i od aktora do aktora, zasłania sobą wszystkie związane z jej oglądaniem wydarzenia, okoliczności i daty tak całkowicie, że panna Rosa istotnie nie potrafiła powiedzieć, ile poszczególnych razy widziała Sutpena, mając go przed oczami właściwie ciągle, bo ciotka nauczyła ją nie widzieć na jawie ani we śnie nic innego. W rzeczywistości spotykała Sutpena bardzo rzadko, nawet podczas tych ponurych, wręcz ceremonialnych uroczystości, kiedy pod czułą strażą ciotki jeździła na cały dzień do Setki Sutpena i ciotka polecała jej pobawić się z siostrzeńcem i siostrzenicą zupełnie tak, jakby jej mogła polecić odegranie czegoś na fortepianie dla przyjemności zebranego towarzystwa; rzadko spotykała tam Sutpena nawet przy obiedzie, bo ciotka zawsze starała się tak urządzić, żeby te wizyty przypadwały w czasie jego nieobecności, a zresztą, nawet gdyby był obecny, panna Rosa usiłowałaby

go unikać. A i wtedy, gdy cztery czy pięć razy na rok Ellen na cały dzień przywoziła dzieci do ojcowskiego domu, ciotka (ta mściwa konsekwentna kobieta, która, zdaje się, była mężczyzną dwa razy bardziej niż pan Coldfield i która, tak Bogiem a prawdą, była dla panny Rosy nie tylko matką, ale i ojcem) wytwarzała również i w czasie tych wizyt atmosferę zażartej, bojowej konspiracji i sojuszu przeciwko dwóm przeciwnikom: panu Coldfieldowi i Sutpenowi. Pierwszy z nich, bez względu na to, czyby potrafił, czy nie potrafił utrzymać się na pozycji, i tak już dawno odwoływał ze stanowisk swoje czaty, rozmontował artylerię i wycofał się do niezdobytej i pewnej twierdzy własnej biernej prawości; a drugi przeciwnik, Sutpen, chociaż prawdopodobnie potrafiłby pierwszy zaatakować te kobiety, a nawet zmusić je do odwrotu, wcale nie wiedział, że jest wrogiem na polu bitwy. Bo nigdy do Coldfieldów nie przyjeżdżał bodaj na obiad. Powodowała nim może pewna delikatność wobec teścia. Prawdziwej przyczyny i początku jego stosunków z panem Coldfieldem nie znały ani ciotka, ani Ellen, ani panna Rosa, Sutpen miał je wyjawiać tylko jednemu człowiekowi – a i to zobowiązując go do zachowania tajemnicy za życia pana Coldfielda – przez szacunek dla nieposzlakowanej opinii, o której zachowanie pan Coldfield tak bardzo dbał i ze względu, na którą sam pan Coldfield swojej sprawy z Sutpenem na pewno, jak twierdził twój dziadek, nigdy by nikomu nie wyjawiał. Albo może Sutpen nie bywał teraz u teścia dlatego, że odkąd zdobył wszystko, co pan Coldfield posiadał, a jemu mogłoby się przydać, nie śmiał spojrzeć teściowi w oczy i nie miał w sobie wdzięczności czy bodaj taktu na tyle, żeby choć cztery razy w roku tę uroczystą grupę rodzinną uzupełnić swoją osobą. Albo może nie bywał tam z powodu, który podawał i w który ciotka właśnie dlatego nie chciała wierzyć – może więc rzeczywiście wszystko sprowadzało się do tego, że on nie codziennie przyjeżdżał do miasteczka, a kiedy już przyjeżdżał po prostu wolał spędzać ten czas (już nie stronił od baru) z mężczyznami, zawsze w południe zbierającymi się w zajeździe Holstona.

To była ta twarz, którą panna Rosa widywała, jeżeli w ogóle ją widywała, poprzez stół przy obiedzie w jego własnym domu – twarz wroga nieświadomego, że jest na polu bitwy. Panna Rosa miała teraz dziesięć lat i od chwili kiedy ciotka zeszła z posterunku (teraz sama panna Rosa prowadziła ojcu gospodarstwo, tak jak przedtem, przed swoją romantyczną ucieczką przez okno i zniknięciem, robiła to ciotka), już nie tylko nie było nikogo, kto by ją zmuszał do prób zabawy z siostrzeńcem i z siostrzenicą w owe uroczyste żałobne dni wizyt w Setce Sutpena, ale już nawet nie musiała tak często tam jeździć i oddychać tym samym powietrzem, którym ten ludojad oddychał, w którym ten ludojad nawet podczas swojej nieobecności był obecny, przyczajony, jak jej się wydawało, w każdym kącie, wiecznie czuły, sardoniczny, triumfalny. Bywała w Setce Sutpena tylko raz na rok; oboje z ojcem świątecznie wystrojeni wybierali się tam na cały dzień,

przejeżdżając te dwanaście mil solidną, dość poobijaną bryką zaprzęzoną w dwa krzepkie, solidne kuce. To właśnie pan Coldfield, chociaż za czasów ciotki nigdy tam z nimi nie jeździł, teraz zaczął się upierać przy tych wizytach, być może również z poczucia obowiązku, co było powodem przez niego podawanym i w co nawet ciotka w tym wypadku by uwierzyła, pewno właśnie, dlatego, że to nie był powód prawdziwy, bo prawdą tu było coś w co by nie uwierzyła nawet panna Rosa, a mianowicie pan Coldfield po prostu chciał się widywać z wnuczętami, czując coraz większy niepokój na myśl o dniu, w którym się dowiedzą (już co najmniej wnuk, jeżeli i nie wnuczka także) od swego ojca o tym dawnym interesie pomiędzy ojcem a dziadkiem, przy czym wcale nie był pewny, czy zięć już się nie wygadał. Każda z tych wypraw do Setki Sutpena, chociaż teraz bez ciotki, nadal była przez ciotkę (przecież udało jej się ten spadek zostawić) zaprawiona jeszcze bardziej posmakiem wypadu z twierdzy na wroga nieświadomego, że jest w stanie wojny. Bo po ucieczce ciotki Ellen też wycofała się z tego triumwiratu, pomimo że panna Rosa, ostatnia na posterunku, bezwiednie usiłowała ją zatrzymać. Osamotniona siedziała więc teraz panna Rosa przy stole naprzeciw Sutpena, nie mając podpory nawet w Ellen (w tym czasie Ellen uległa całkowitej metamorfozie, wynurzyła się w swoje następne pięciolecie tak skończenie inna, jak gdyby istotnie urodziła się na nowo) wobec tego wroga, który nawet nie wiedział, że jest nie gospodarzem i szwagrem, tylko przeciwnikiem podczas chwilowego zawieszenia broni. Sutpen prawdopodobnie nigdy nawet na nią nie spojrział zważywszy, że w porównaniu z żoną i dziećmi była dla niego nikim, drobną, wątłą dziewczynką, która nawet później, jako osoba dorosła, siedząc na własnych krzesłach nie miała dosięgać nogami podłogi; była kruszyną w porównaniu z Ellen, jak to się mówi, kobietą przy kości (i taką by Ellen pozostała do śmierci, gdyby nie musiała kończyć życia w okresie, kiedy nawet mężczyźni niewiele znajdowali do jedzenia, i gdyby schyłku jej dni nic nie zakłóciło. Nie gruba, po prostu zaokrąglona i pełna, miałyby siwe włosy, ale oczy nadal młode i nawet lekki rumieniec na przywędłych policzkach i ręce, nadal idealnie gładkie, pulchne, iskrzące się pierścionkami, spokojnie beczynne na tle adamaszkowego obrusa i porcelany Haviland w jasnym blasku kandelabrow); i kruszyną była panna Rosa w porównaniu z Henry'm, który mając szesnaście lat nie był wprawdzie taki wysoki jak czternastoletnia Judith, ale zapowiadał się na mężczyznę wzrostu swego ojca; podczas posiłku odzywała się rzadko, tylko siedziała tam blada, schludna, z oczami jak dwa kawałki węgla, (jeżeli można to tak ująć) wepchnięte w miękkie ciasto, z włosami o owym szczególnym mysim odcieniu, jakiego nabierają włosy rzadko wystawiane na słońce – tak zupełnie niepodobna do czerstwych i ogorzałych Henry'ego i Judith, dzieci wsi. Judith miała włosy matki i oczy ojca. Henry był szatynem, czymś pośrednim pomiędzy rudym ojcem a brunetką matką,

i miał błyszczące piwne oczy. Panna Rosa, mała, drobna, z tą miną zarazem ciekawą i paradoksalnie niepewną, wyglądała przy nich jak w kostiumie w ostatniej chwili wypożyczonym na maskaradę, w której musiała wbrew woli brać udział, czy też jak stworzenie wyrwane z jakiegoś hermetycznego zamknięcia, z jakiegoś teraz już rozmyślnie przez siebie wybranego schronienia, wyrwane nagle i raczej uczące się oddychać powietrzem w mękach przymusowego terminatorstwa niż oddychające dobrowolnie czy choćby tylko uległe – z musu służebnica ciała i krwi, już w oczekiwaniu na możliwość ucieczki od tej służby, ucieczki w pisanie pensjonarskich wierszy tak martwych, tak papierowych jak ona. Najmniejsza, z najmniejszą twarzą w tym towarzystwie, patrzyła ponad stołem na Sutpena ze spokojem, z dziwacznym głębokim skupieniem, jak gdyby w swoim obcowaniu z tą płynną kolebką wydarzeń, jaką jest Czas, kiedy podsłuchiwała pod zamkniętymi drzwiami obezwładniona, chłodna, niezdolna ani do krytyki poglądów, ani do niewiary, słysząc nie to, co tam mówiono, ale owo przedgorączkowe narastanie temperatury klęski, nabyła bądź też sama w sobie rozwinęła pewną świadomość – taką właśnie, jakiej potrzeba, żeby zostać jasnowidzem i czasem przepowiadać trafnie – świadomość przyszłej katastrofy, zamętu, w którym ta twarz ludojada z jej dzieciństwa zniknie na pozór tak całkowicie, że ona, panna Rosa, nawet się zgodzi na poślubienie dawnego właściciela tej twarzy.

Być może, to wtedy (tam przy stole w Setce Sutpena) widziała go w ten sposób po raz ostatni. Bo potem przestali tam jeździć. Pan Coldfield przestał. Dni tych wizyt nigdy nie ustalano z góry. Pewnego ranka pan Coldfield po prostu przychodził na śniadanie w mieszczańskim, ciepłym, czarnym surducie, w którym brał ślub i który odtąd wkładał pięćdziesiąt dwa razy na rok aż do ślubu Ellen, kiedy włożył go dodatkowo, chociaż to nie była niedziela; po ślubie Ellen znów wkładał go pięćdziesiąt dwa razy na rok, dopóki ciotka nie uciekła i nie zaczął go wkładać znów dodatkowo przed każdym z tych dorocznych wyjazdów z panną Rosą do Setki Sutpena, aż wreszcie włożył go już raz na zawsze owego dnia, kiedy poszedł na strych i drzwi zabił za sobą gwoździemi, a młotek wyrzucił przez okno – i w tymże surducie tam umarł. Więc kiedy tak ubrany przychodził na śniadanie, panna Rosa natychmiast po jedzeniu udawała się do swojego pokoju, żeby wynurzyć się stamtąd w imponujących czarnych czy też brązowych jedwabiach, które ciotka wykoncypowała dla niej przed laty i które panna Rosa, nawet wówczas gdy mocno już się wyświechtały, przywdziewała w niedzielę i przy wszelkich uroczystych okazjach, zanim ojciec dochodząc do wniosku, że ciotka najwidoczniej już nie wróci, pozwolił jej nosić ciotczyną garderobę pozostawioną w noc owej romantycznej ucieczki. Więc oboje w tych swoich świątecznych strojach wsiadali do bryki i wyruszali w drogę, przy czym pan Coldfield zawsze tym dwóm służącym Murzynkom odliczał z zarobków gotowanie

obiadu, którego w tym dniu nie musiały gotować, jak również (tak przynajmniej uważano w miasteczku) potrącał im koszta resztek jedzenia z dnia poprzedniego, którymi miały się pożywić.

Aż potem pewnego roku nie pojechali. Niewątpliwie pan Coldfield po prostu nie przyszedł na śniadanie w czarnym surducie i dni mijały, a on wciąż nie przychodził na śniadanie w czarnym surducie, i to było wszystko. Może teraz, kiedy wnuczęta dorosły, uznał, że ten rewers już nie obciąża jego sumienia, skoro Henry odjechał daleko na uniwersytet stanowy w Oxford, a Judith przebywała duchem jeszcze dalej niż Henry ciałem, w owym przejściowym stanie pomiędzy dzieciństwem a kobiecością, bardziej niż kiedykolwiek niedostępna dla dziadka, który zawsze mało się jej udzielał i, tak czy owak, obchodził ją prawdopodobnie jeszcze mniej; Judith odeszła w świat dziewczęcego marzenia, odgradzony jak gdyby przezroczystym szklanym murem, gdzieś, gdzie nawet głos z zewnątrz nie sięga, gdzie młode dziewczyny przebywają (i to dziewczysko także: ona, która potrafiła i zwykła brać górę nad bratem w łażeniu po drzewach i w jeździe konnej, i w bójkach zarówno z nim, jak u jego boku), istnieją w jakimś perłowym płaszącym blasku bez cieni, same stanowiąc cząstkę tego blasku; w jakimś zawieszeniu mglistym i dziwnym, gdzie nic przewidzieć się nie da, gdzie nawet ich dziewczęce kształty są płynne, delikatne i nierealne, nie unoszą się, nie płyną same przez się w dążeniu do dojrzałości, ale po prostu na dojrzałość czekają, pasożytnicze, pełne pogodnej mocy, bez żadnego wysiłku przyciągając do siebie dziedzictwo swojej płci, dokoła którego mają się ukształtować i zaokrąglać ich pośladki, piersi, łona i biodra, i uda. Rozpoczął się teraz okres zakończony później ową katastrofą, z której panna Rosa wyszła tak odmieniona, że zgodziła się poślubić tego kogoś, kogo nauczyła się w dzieciństwie uważać za ludojada. To nie była wolta charakteru: charakter jej się nie zmienił. Nawet jej postępowanie nie zmieniło się ani trochę. Nawet gdyby Charles Bon nie został zabity, chyba i tak wcześniej czy później po śmierci ojca przeniosłaby się do Setki Sutpena, a skoro już raz by się tam znalazła, mieszkałaby tam prawdopodobnie aż do śmierci. Tylko, że gdyby Bon żył i ożenił się z Judith i gdyby Henry nie przepadł bez wieści, przeniosłaby się do Setki Sutpena wtedy, gdy uznałaby za stosowne, i mieszkałaby u rodziny zmarłej siostry wyłącznie jako ciotka, którą istotnie przecież była. Nie charakter jej się zmienił, chociaż mogłoby tak być w ciągu tych mniej więcej sześciu lat, kiedy rzeczywiście nie widywała Sutpena, a już jeżeli nie w ciągu całych sześciu lat, to z pewnością w ciągu tych czterech lat wojny, wypełnionych dla niej potajmnym nocnym dostarczaniem żywności ojcu kryjącemu się na strychu przed żandarmerią wojsk konfederackich. W tym samym czasie pisała jednak poezje o heroizmie tychże samych żołnierzy, przed którymi krył się ojciec i którzy pewnie by go zastrzelili albo powiesili bez sądu, gdyby go tylko znaleźli – przy

czym tak się złożyło, że jednym z nich, i to jednym z najlepszych, był ludojad jej dzieciństwa (wrócił z pochwałą za męstwo wypisaną własnoręcznie przez generała Lee). I nie twarz panny Rosy się zmieniła. Do Setki Sutpena, żeby tam już mieszkać do końca życia, panna Rosa przyjechała z tą samą twarzą, z którą kiedyś siedziała przy stole naprzeciwko Sutpena i o której on też, podobnie jak panna Rosa o jego twarzy, nie potrafiłby powiedzieć, ani ile razy ją widział, ani kiedy, ani gdzie, chociaż nie dlatego, żeby mu stała ciągle przed oczami, ale dlatego, że prawdopodobnie nigdy nie przyjrzał jej się choćby na tyle, żeby ją opisać w dziesięć minut po odwróceniu od niej spojrzenia. Więc i twarz panny Rosy się nie zmieniła – już nie dziewczynka, a kobieta, nadal patrzyła na Sutpena z tym samym posepnym, zimnym skupieniem.

Otóż na początku owego okresu przed katastrofą panna Rosa chociaż samego Sutpena nie miała widzieć przez długie lata, częściej niż kiedykolwiek przedtem widywała siostrę i siostrzenicę. Ellen była teraz u szczytu tego, co ciotka by nazwała jej odstępstwem. Mogłoby się wydawać, że Ellen nie tylko najspokojniej w świecie pogodziła się ze swoim życiem i małżeństwem, ale że istotnie jest z niego dumna. Rozkwitła przepyszenie, jak gdyby Los, zamiast dać jej normalne babie lato, w którym powinna rozkwitać stopniowo, po czym powoli, z wdziękiem więdnąć przez lat sześć czy osiem, wtłoczył od razu jej najpełniejszy rozkwit w okres lat trzech czy czterech, chcąc może wynagrodzić jej w ten sposób to, co miało nastąpić później, czy też może doprowadzić do porządku księgi handlowe, uregulować rachunek podpisany imieniem Losu przez jego żonę, Naturę. Ellen zbliżała się do czterdziestki, pulchna i bez zmarszczek. Cerę miała tak świeżą, jak gdyby wszelkie możliwe ślady przeżyć, widoczne na twarzy w epoce przed zniknięciem ciotki, zostały przez następne lata niezakłóconego, krzepnącego spokoju ciała całkowicie usunięte spomiędzy kości i skóry, spomiędzy sumy doświadczenia i koperty, która sumę doświadczeń zawiera. Postawę i minę miała teraz Ellen trochę królewską – często bywała z Judith w miasteczku, składając wizyty tym samym paniom, które przed dwudziestu laty ciotka usiłowała zmusić do przybycia na jej ślub, a z których niejedna teraz była już babką, oraz tak dalece jak to wtedy było możliwe na tej głębokiej prowincji załatwiając sprawunki – poruszała się trochę jak królowa z baśni, jak gdyby udało się jej wreszcie zrzucić z siebie nie tylko dziedzictwo purytanizmu, ale i samą rzeczywistość; w ofierze całopalnej złożyć oburzającego męża i niepojęte dzieci, żeby z popiołów zmartwychwstali już tylko jako cienie; uciekała wreszcie ta Ellen w świat czystego złudzenia, gdzieś, gdzie poza zasięgiem wszelkiej krzywdy poruszała się, żyła przechodząc z jednej pozy do drugiej na swoim efektownym tle kasztelanki najzamożniejszego z kasztelanów, żony najbogatszego męża, matki najszcześniejszych dzieci”. Kiedy robiła zakupy (w Jefferson było już dwadzieścia sklepów), chociaż nie

znizła się do tego, żeby wysiąść z powozu, raczyła być przystępna, łaskawa, z wielką pewnością siebie plotąc jakieś wierutne głupstwa, błyskotliwe, utarte, bezsensowne kwestie z roli, w której sama siebie obsadziła, grając księżną rozdzielającą rekwizytowe zupki i leki wśród wyzwolonych z pańszczyzny bezrolnych chłopów, a przecież gdyby tylko miała w sobie dość męstwa, żeby znieść smutek i zgryzotę, mogłaby istotnie zabłysnąć jak gwiazda w roli matki rodu, decydować przy kominku swojej starości o losach i chwale całej rodziny zamiast zwrócić się w końcu do tej najmłodszej z nich wszystkich z prośbą o uchronienie pozostałych.

Często dwa, a czasem nawet i trzy razy na tydzień bywając w miasteczku, zajeżdżały po drodze do Coldfieldów one obie, Ellen i Judith, Ellen – ta świetnie zakonserwowana, głupia, gadatliwa kobieta, fantastka już od sześciu lat nieobecna na świecie rzeczywistym, ta sama, która niegdyś w potoku łez opuściła dom rodzicielski i w jakiejś bagnistej krainie cieni, w jakichś zatrutych okolicach Styksu urodziła dwoje dzieci, a potem, niby wylęgły na moczarach motyl, nie obciążony wagą żołądka i tych wszystkich ciężkich organów bólu i doświadczenia, wzniosła się i uleciała w jasną, wiekiustą próżnię na zawsze zatrzymanego słońca; i Judith – młoda dziewczyna, rozmarzona, żyjąca w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, w odcięciu od rzeczywistości jak w głuchocie.

Dla nich obu panna Rosa teraz już na pewno nie była w ogóle niczym: ani dzieckiem, nie tak jeszcze dawno przedmiotem i ofiarą nieustannej mściwej troski i uwagi zaginionej ciotki, ani kobietą, za jaką można by ją było teraz uważać, skoro samodzielnie prowadziła gospodarstwo domowe, a już na pewno nie siostrą i ciotką, czym przecież istotnie była. Z drugiej strony trudno powiedzieć, która z nich dwóch pannie Rosie wydawała się bardziej nierealna: czy ta dorosła siostra po swej ucieczce od życia w jakieś przyjemne królestwo lalek, czy ta młodziutka siostrzenica śpiąca na jawie w jakimś zawieszeniu tak całkowicie fizycznym, że aż podobnym do stanu przed urodzeniem, i równie odległa od bieguna swojej rzeczywistości, jak Ellen była odległa od bieguna swojej; dwa albo i trzy razy na tydzień wpadały obie do panny Rosy, a raz, kiedy Judith miała lat siedemnaście, zatrzymały się u niej latem przed daleką podróżą do Memphis, dokąd jechały, żeby kupić dla Judith garderobę – właśnie: wyprawę ślubną.

To było lato po pierwszym roku studiów Henry'ego na uniwersytecie, już po tym, jak Henry przyjechał do domu na Boże Narodzenie z Charlesem Bonem. Wracając na te letnie wakacje też przywiózł ze sobą Bona, który spędził wtedy w Setce Sutpena tydzień czy coś koło tego, po czym odjechał nad Rzekę, żeby parowcem udać się do siebie do Nowego Orleanu. Tego lata, właśnie przed ich przyjazdem Sutpen wyruszył w podróż „w interesach”, jak mówiła Ellen, niewątpliwie nie mając pojęcia, w mgiełkach swego babiego lata, co to jest za podróż, ani nawet sobie nie uświadamiając, że wcale nie jest

tego ciekawa. Nikt z wyjątkiem twojego dziadka i może Clytie nigdy nie miał się dowiedzieć, że Sutpen wyjechał wtedy również do Nowego Orleanu.

Więc obie wchodziły do domu panny Rosy, do tego mrocznego, ponurego, ciasnego domku, gdzie nadal panował taki nastrój, jakby ciotka, pomimo że cztery lata minęły od jej zniknięcia, stała z ręką na klamce; przez dziesięć czy piętnaście minut Ellen napełniała małe pokoiki piskliwą wrzawą, po czym odjeżdżała razem z marzycielską, bezwolną Judith, która przez cały czas tych wizyt nie odzywała się ani słowem; a panna Rosa, faktycznie ciotka tej dziewczyny, chociaż z racji swego wieku powinna być raczej jej siostrą, zupełnie nie zwracając uwagi na tę matkę, podążała myślą tylko za odjeżdżającą niedostępną córką – podążała za Judith swoją krótkowzroczną, niesformułowaną tęsknotą bez żadnej zawiści, rzutowała na Judith wszystkie poronione marzenia i rozczarowania swojej z góry skazanej, daremnej młodości. Wreszcie ofiarowała Judith jedyny prezent ślubny (nieraz Ellen opowiadała o tym z piskami rozbawienia), jaki ofiarować mogła: a mianowicie zaproponowała, że nauczy Judith, jak trzeba prowadzić gospodarstwo, planować posiłki i liczyć bieliznę do prania. W podziękę za tę propozycję otrzymała tylko obojętne, niezgłębione spojrzenie i roztargnione: „Słucham. Co powiedziałaś, ciociu?” – a przecież nawet roztrzepaną Ellen mile to zaskoczyło. A potem odjechały – powóz, pakunki, pyszniąca się uciecha Ellen i nieprzeniknione marzenie siostrzenicy. Kiedy następnym razem przybyły do miasteczka i powóz zatrzymał się przed domem pana Coldfielda, do furtki wyszła jedna z domowych Murzynek z oznajmieniem, że panny Rosy nie ma w domu.

Tego lata panna Rosa zobaczyła też Henry’ego. Nie widziała go od lata poprzedniego roku, chociaż przyjechał do domu z Charlesem Bonem, przyjacielem z uniwersytetu, na święta Bożego Narodzenia; dochodziły do niej słuchy o balach i przyjęciach wydawanych w tym czasie w Setce Sutpena, ale oboje z ojcem przestali już tam jeździć. A kiedy Henry, wracając z Bonem na studia, drugiego stycznia wstąpił do ciotki z wizytą, rzeczywiście nie było jej w domu. Więc zobaczyła go latem dopiero po roku. Wyszła wtedy do miasta po zakupy i na ulicy rozmawiała z twoją babcią, kiedy Henry przejeżdżał konno. Nie widział jej; jechał w cylindrze i w surducie jak dorosły mężczyzna, na nowej klaczy, którą dostał od ojca; babcia opowiadała, że był już wzrostu ojca i siedział na tej klaczy z ową sutpenowską fanfaronadą, chociaż bez sutpenowskiej pompatyczności, jak gdyby jego kości, drobniejsze niż kości Sutpena, były już zdolne do utrzymania tej fanfaronady, ale jeszcze zbyt lekkie i elastyczne, żeby udźwignąć tę pompatyczność. Bo Sutpen stał się pompatyczny; tak jak Ellen on też grał swoją rolę. Zdeprawował Ellen pod niejednym względem. Był teraz właścicielem największej posiadłości ziemskiej i plantacji bawełny w całym hrabstwie, osiągnąwszy to taką samą taktyką, jaką stosował budując sobie dom

– taką samą nigdy nie słabnącą wytrwałością przy całkowitym lekceważeniu zarówno tego, co ludzie w miasteczku myślą o jego poczynaniach, które widzą, jak i tego, czego się domyślają na temat poczynañ, których widzieć nie mogą. Niejeden jeszcze teraz uważał, że niechybnie coś w trawie piszczy, że ta plantacja jest tylko pokrywką jakiejś bardzo niejasnej prawdziwej profesji Sutpena, bądź też że Sutpen potrafi w jakiś sposób oszachrować nawet rynek i dzięki temu uzyskiwać za belę bawełny o wiele wyższą cenę, niż to się udaje ludziom uczciwym, bądź też wreszcie że te dzikusy, te czarnuchy przywiezione przez niego, mają w sobie jakąś moc nieczystą, więc wyczarowują z każdego akra tej ziemi więcej bawełny, niż mogliby to kiedykolwiek zrobić Murzyni oswojeni. Sutpen nie był lubiany (bynajmniej się tym chyba nie martwił), ale odczuwano przed nim strach, co go, zdaje się bawiło, jeżeli nawet nie sprawiało mu istotnej przyjemności. Jednakże go przyjmowano; miał oczywiście zbyt dużo pieniędzy, żeby można go było nie przyjmować czy choć raz czymkolwiek jeszcze mu się narazić.

Dokonał tego: przez pierwsze dziesięć lat swego małżeństwa doprowadził plantację do kwitnącego stanu (miał teraz rządę; był to syn tego samego szeryfa, który przed laty w owym dniu zaręczyn aresztował go przy furtce jego przyszłej żony) i grał teraz rolę butnego, nadętego jaśnie pana, który ma dużo wolnego czasu, przy czym rola ta, w miarę jak w dobrobycie i bezczynności przybierał na wadze, stawała się coraz bardziej pompatyczna. Właśnie on tą swoją rolą, tym bogactwem, tą pozycją w świecie zdeprawował Ellen, doprowadził ją do czegoś więcej niż odstępstwo, chociaż trzeba na jego usprawiedliwienie powiedzieć, że tak samo jak ona nie wiedział, że ten jego rozkwit też jest rozkwitem sztucznym i że kiedy on przed publicznością jeszcze odgrywa to przepyszne widowisko, za jego plecami Los, przeznaczenie, odwet, ironia – ten inspicjent, zresztą nazwij go sobie, jak chcesz – już zaczyna dekoracje usuwać ze sceny, już zaczyna zza kulis ściągać nowe cienie i formy dekoracji do następnego aktu.

„O, tam jedzie...” – powiedziała babcia.

Ale panna Rosa sama zobaczyła Henry’ego. Stała przy babci ledwie głową sięgając do jej ramienia, drobniutka i szczuplutka, w jednej z tych sukien pozostawionych przez ciotkę, tych kreacji, które tak samo własnym przemyślem przykroila na swoją figurę, chociaż nikt jej nie nauczył szyć, jak zaczęła prowadzić gospodarstwo, a nawet ofiarowała się nauczyć tego Judith, chociaż nikt jej nie nauczył gotować – jeśli w ogóle ją czegoś nauczono, to tylko podsłuchiwać pod zamkniętymi drzwiami. Stała tam na ulicy w szalu na głowie, tak jakby miała lat pięćdziesiąt, a nie piętnaście, i na widok swego siostrzeńca powiedziała: „jak to... on się już goli?”

A potem przestała się widywać nawet z Ellen. To znaczy, Ellen przestała do niej przyjeżdżać, przestała robić ten wyłom w cotygodniowym rytuale objeżdżania po kolei

wszystkich sklepów, kiedy to nie wysiadając polecała kupcom i subiektom przynosić do powozu galanterię, sukna i świecidełka, co oni posłusznie czynili, chociaż jeszcze lepiej od niej wiedzieli, że ona będzie tylko grymasić, dotykać tych rzeczy, rozrzucać je, a potem odrzucać w potoku wartkiej, kąśliwej paplaniny i w rezultacie nie kupi nic. Nie zachowywała się przy tym pogardliwie ani nawet protekcyjnie w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale w sposób uprzejmy, niemal dziecinnie wykorzystywała cierpliwość czy dobre maniery, czy też po prostu bezradność tych ludzi, tych kupców i subiektów, a kiedy później wstępowała do ojcowskiego domu, też go wypełniała bezsensowną, próżną wrzawą, udzielając licznych niemożliwych, nieuzasadnionych rad panie Rosie odnośnie ojca i domu, i strojów panny Rosy, i ustawienia mebli, i sposobu przygotowywania potraw, a nawet pory ich podawania. Teraz jednak zbliżał się już czas (był rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty i prawdopodobnie nawet pan Coldfield przyznawał, że wojna jest nieunikniona), kiedy miało się spełnić przeznaczenie Sutpenów, które przez lat dwadzieścia, jezioro powstałe ze spokojnych źródeł w spokojnej dolinie, coraz większe, wzbierające prawie niedostrzegalnie, utrzymywało ich czworo na swej sennej fali w jakimś łagodnym słonecznym zawieszeniu, i oto teraz nastąpił pierwszy podziemny wstrząs, nieznacznie posuwając ich ku ujściu, ku gardzieli wiodącej prosto w katastrofę nie tylko ich rodziny, ale również całej tej ziemi, wstrząs nie gwałtowny, a przecież oni nagle się odwrócili, żeby na siebie spojrzeć jeszcze nie z lękiem czy nieufnością, tylko po prostu czujnie, bo się zorientowali, że zaczyna zapadać zmrok; jednak nie była to jeszcze chwila, w której człowiek rozgląda się wśród towarzyszy klęski i zadaje sobie pytanie: „Kiedy przestanę szukać ratunku dla nich, kiedy zacznę ratować tylko siebie?”, i żadne z nich nawet nie wiedziało, że już ta chwila się zbliża.

Więc teraz panna Rosa straciła z oczu ich wszystkich; Charlesa Bona nigdy w ogóle nie widziała (ani nie miała za jego życia zobaczyć) – tego Charlesa Bona z Nowego Orleanu, przyjaciela Henry’ego. Bon, nie tylko o parę lat starszy niż Henry, ale istotnie już za stary na to, żeby być studentem, z pewnością był trochę nie na swoim miejscu w małej, niedawno założonej uczelni stanu Missisipi, na głębokiej prowincji, a nawet wśród głuszy, oddalonej o trzysta mil od okazałego, wręcz cudzoziemskiego miasta, które było jego domem; ten wytworny młody światowiec, ponad wiek obyty i pewny siebie, przystojny, najwidoczniej bogaty, mający za sobą raczej niejasną postać opiekuna prawnego niż jakichkolwiek rodziców, musiał w tym odległym od wielkiego świata stanie Missisipi tamtych czasów wydawać się nieomal feniksem, od razu w pełni dojrzałym, nie zrodzonym z żadnej kobiety, odpornym na wszelkie mijanie czasu, a potem nagle znikającym bez śladu, nie pozostawiającym nigdzie kości swoich ani prochów – maniery miał wspaniałe, szyk i jakąś rycerską fantazję, w porównaniu z którą cała pompatyczna

arogancja Sutpena była tylko niezdarną pozą, a Henry jako taki był zwykłym wiejskim prostytutkiem.

Panna Rosa nigdy nie widziała Bona; tak go sobie wyobrażała. To nawet nie było to, co jej opowiadała Ellen, ten motyl u szczytów swego słonecznego lata – rozjaśniona jeszcze dodatkowym urokiem, jakiego jej przydawało owo pełne wdzięku i dobrej woli łaskawe scedowanie własnej młodości na następczynię, dziedziczkę krwi i płci, owo przeżywanie narzeczeństwa córki sprawiające, że każda matka może, jeżeli chce, stać się w osobie córki wychodzącej za mąż niejako oblubienicą. Ktoś obcy, słuchając Ellen, mógłby nieomal pomyśleć, że to małżeństwo, o którym, jak z dalszego rozwoju wypadków wynika, nawet nie było mowy pomiędzy młodą parą a rodzicami, już istotnie zostało zawarte. Ellen zupełnie nie mówiła o miłości Judith i Bona. Nie napomykała o tym ani jednym słówkiem. Miłość w odniesieniu do tych dwojga była dla niej tematem tak wyczerpanym, tak całkowicie nieaktualnym, jak byłaby na przykład sprawa dziewictwa jej córki, gdyby się już urodził pierwszy wnuk. Mówiła o Bonie w taki sposób, jakby to nie był człowiek, tylko trzy martwe przedmioty zawarte w jednym czy też może jeden przedmiot, dla którego ona ze swymi dziećmi gotowa jest znaleźć trzy jednocześnie zastosowania: a więc Bon mógł być strojem Judith takim jak amazonka czy suknia balowa, mógł być meblem, uświetniać, uzupełniać umeblowanie jej domu i pozycje towarzyską; i wreszcie mógł być podręcznikiem dobrego tonu, przykładem, wzorem doskonale ubranego, swobodnego światowca dla prowincjusza.

Zdawało się, że Ellen ujęła w karby czas. Sama zadysponowała tymi minionymi latami, w ciągu których nie było żadnego miodowego miesiąca, żadnego urozmaicenia, i z których oto wyłoniło się pięć (teraz już pięć) twarzy, jak gdyby zastygłych w wiecznym, martwym rozkwicie, zawieszonych w próżni niby pięć portretów namalowanych wtedy, gdy te twarze wyglądały najładniej, i wyretuszowanych, oczyszczonych z wszelkich myśli i przeżyć – pięć portretów ludzi, co żyli tak dawno, że nawet pamięć o ich radościach i smutkach musiała opuścić deski tej sceny, na której niegdyś pysznie kroczyli, przybierali pozy, śmieli się i płakali. To właśnie podczas takiej paplaniny panna Rosa, nie słuchając Ellen, ujrzała obraz wyłaniający się już z pierwszego słowa, może z samego tylko imienia i nazwiska: Charles Bon. Ta istota, w wieku lat szesnastu skazana na staropanieństwo, siedziała w jasnym rozmigotanym promieniu złudy zupełnie tak, jakby po raz pierwszy w życiu będąc w jakimś kabarecie zobaczyła kolorową smugę reflektora wypełnioną nierzeczywistym połyskiem rozmigotanych pyłków, zobaczyła, jak ta smuga oświetla ją nagle, zatrzymuje się na niej przez chwilę, a potem przesuwa się dalej. Nie zazdrościła Judith. Nie roztkliwiała się też nad sobą kiedy tam siedziała i patrzyła na rozgadaną siostrę mrugającymi bez ustanku oczami, ubrana w którąś z tych

pocerowanych, starych sukien (garderoba czasem podniszczona, ale najczęściej nowa, jaką od czasu do czasu dawała jej Ellen, była oczywiście zawsze jedwabna, a więc zgoła niepraktyczna), w jedną z tych szat, które ciotka uciekając z handlarzem koni i mułów pozostawiła po sobie może w nadziei, a może nawet z niezłomnym zamiarem nieubierania się już nigdy w nic podobnego. Otóż to, co odczuwała teraz panna Rosa, prawdopodobnie było tylko spokojną rozpaczą i ulgą w ostatecznej i zupełnej abnegacji, niejako pociechą: skoro już nie ona, dobrze, że właśnie Judith ma złożyć w ofierze swoją dotychczasową daremność, żeby wkroczyć w urzeczywistnioną czarowną baśń. Bo istotnie to brzmiało jak baśń, kiedy Ellen później mówiła o tym twojej babci; tylko że baśń napisana na scenkę jakiegoś modnego damskiego klubu i przez klub odegrana. Ale dla panny Rosy była to na pewno sprawa prawdziwa – nie tylko prawdopodobna, ale w pełni uzasadniona; stąd też ta jej uwaga, która znów wywołała u Ellen okrzyki nerwowego zdumienia (sama Ellen cytowała to później jako dziecięcy żart).

„My na niego zasługujemy” – powiedziała panna Rosa.

„Zasługujemy? Na niego? – Ellen na to, prawdopodobnie też już z głośnym piskiem. – Jasne, że na niego zasługujemy, jeżeli tak to chcesz ująć. Mam nadzieję, że jestem nawet pewna, że chodzi ci o to, że Coldfieldówny mają wszelkie dane po temu, żeby się odwzajemnić za największy nawet zaszczyt, jaki mógłby na nie spłynąć przez małżeństwo nawet z jak najbardziej wybitną osobistością!”

Oczywiście nikt by nawet nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Przynajmniej panna Rosa, jak to można było wnosić z opowiadania Ellen, nie usiłowała dać żadnej odpowiedzi. Tylko odprowadziła Ellen do powozu, a potem zabrała się do przygotowywania drugiego prezentu ślubnego dla Judith, jaki ofiarować mogła. Bo sobie przypominała, że oprócz tego pierwszego, właściwie odrzuconego, ma do ofiarowania jeszcze drugi, także przekazany jej w spadku przez ciotkę, która ostatecznie przez sam tylko fakt, że pewnej nocy wywędrowała oknem, nauczyła ją zarówno prowadzić gospodarstwo, jak i dopasowywać suknie na swoją figurę, chociaż to drugie, ta umiejętność szycia, rozwinęła się w panie Rosie dopiero później (można by powiedzieć, na zasadzie echa), bo kiedy ciotka sobie poszła, panna Rosa była jeszcze za mała, żeby chodzić w tych porzuconych sukniach nawet po ich skróceniu. Więc teraz panna Rosa zabrała się potajemnie do szycia stroju mającego wchodzić w skład ślubnej wyprawy Judith. Materiał wzięła ze sklepu ojca. Nie zdołałaby go dostać gdziekolwiek indziej. Babcia opowiadała, że w owym czasie panna Rosa właściwie nie umiała liczyć pieniędzy, to znaczy, wprawdzie w teorii znała kolejną wartość poszczególnych monet, ale w praktyce, skoro nigdy nic nie kupowała za gotówkę, chyba nie orientowała się w jej wartości; w pewne dni tygodnia chodziła z koszykiem do miasta i w sklepach wskazanych

przez pana Coldfielda robiła zakupy bez pieniędzy, przy czym nie tylko należne sumy nie przechodziły wtedy z ręki do ręki, ale nawet nie było o nich mowy i dopiero później tegoż dnia płacił je sam pan Coldfield, po wytropieniu ich w rewersach nabazgranych na świstkach papieru bądź na sklepowych ścianach czy kontuarach. Więc panna Rosa, nie mając pieniędzy w ręku, musiała wziąć ten materiał od ojca, chociaż asortyment jego towarów, który najwidoczniej, bo przecież panna Rosa kupowała w innych sklepach, nie mógł z własnych półek zaopatrywać dostatecznie pana Coldfielda i jego córki i na pewno od czasów, kiedy na samym początku składał się tylko z artykułów pierwszej potrzeby, wcale się nie powiększył ani tym bardziej wcale się nie urozmaicił. A jednak pannie Rosie nie pozostawało nic innego, jak udać się właśnie tam, żeby zdobyć ten materiał na ową intymną dziewczęcą garderobę, mającą zastępczo być jej własną wyprawą ślubną, a możesz sobie w dodatku wyobrazić, jakie panna Rosa miała pojęcie o szatkach tego rodzaju, już nie mówiąc o tym, jak jej dzieło musiało wyglądać, kiedy bez niczyjej pomocy ukończyła szycie. Nie wiadomo, w jaki sposób udało się jej zabrać ten materiał ze sklepu. Ojciec na pewno go jej nie dał. Uważałby za swój obowiązek dostarczyć wnuczce jakąś odzież, w razie gdyby była ubrana nieprzyzwoicie bądź obszarpana, bądź zmarznięta, ale przecież wyprawy ślubnej by nie kompletował. Więc myślę, że panna Rosa po prostu ten materiał ukradła. Na pewno ukradła. Nieomal sprzed nosa ojca (bo to był mały sklepik; pan Coldfield sam w nim sprzedawał i z każdego kąta mógł widzieć wszystkie inne kąty) musiała albo złapać to z owym amoralnym zuchwalstwem, z ową gotowością do rozboju, jaka drzemie we wszystkich kobietach, albo też, ja przynajmniej wolę to przypuszczenie, zastosowała jakiś podstęp obmyślony przez niewinność i tak absolutnie niczym nie osłonięty, tak desperacko przejrzysty, że pan Coldfield dał się nabrać samą jego prostotą.

Panna Rosa więc, jak powiedziałem, przestała widywać nawet Ellen. Jak gdyby Ellen już odegrała całą swoją rolę, dopełniła to jasne bezcelowe letnie popołudnie, popołudnie motyla, i zniknęła może jeszcze nie z Jefferson, ale w każdym razie z życia siostry, aż do chwili kiedy jej się pokazała już tylko raz na łożu śmierci, w przyciemnionym pokoju w tym domu, na którym złowrogi Los już położył rękę dość ciężko, żeby się rozsypały czarne podwaliny i usunęły dwa filary – mąż i syn: jeden w ryzyko i niebezpieczeństwo bitew, drugi na pozór w zapomnienie. Bo Henry po prostu zniknął. Panna Rosa usłyszała i o tym także, pochłonięta w owym czasie całymi dniami (i nocami: musiała czekać, dopóki ojciec nie zaśnie) żmudnym, niezdarnym szyciem tych rzeczy do wyprawy Judith, zmuszona do ukrywania swojej roboty nie tylko przed ojcem, ale i przed dwiema Murzynkami, które mogłyby ojcu powiedzieć; uporem i gwałtem zmieniała nagromadzone zapasy splątanego kordonku i przędzy w koronkowe szlaczki, żeby przyozdobić tę bieliznę, kiedy do Jefferson doszła wiadomość o wyborze Lincolna

i o upadku twierdzy Sumpter. Prawie tego nie słuchała: echo pogrzebowych dzwonów pierwszej klęski zwiastującej tragedię ziemi ojczystej wleciało jej jednym uchem i wyleciało drugim pomiędzy dwoma zmudnymi, niezdarnymi ściegami na tych szatkach, których Judith nigdy nie miała ani włożyć, ani zdjąć dla mężczyzny – dla kogoś, kogo ona, panna Rosa nie miała nawet zobaczyć za jego życia.

Henry po prostu zniknął; wiedziała o tym nie więcej, niż wiedzieli ludzie w miasteczku: jak w roku poprzednim, tak i na to Boże Narodzenie Henry znów przyjechał do domu z Bonem, z tym przystojnym i bogatym światowcem z Nowego Orleanu, którego zaręczynami z córką już od pół roku matka napelniała uszy Jefferson. Więc Henry znów przyjechał z Bonem i wszyscy już tylko czekali na zawiadomienie o dacie tego ślubu. I nagle coś się stało. Nikt nie wiedział, co: może Henry i Bon poróżnili się z Judith albo może troje tych młodych poróżniło się z rodzicami. Tak czy owak, Henry i Bon wyjechali z Setki Sutpena jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Ellen stała się niewidzialna (chyba to właśnie wtedy wycofała się do tego zaciemnionego pokoju, gdzie pozostać miała aż do śmierci, która nastąpiła w dwa lata później), a z twarzy Sutpena ani z twarzy Judith, z ich postępowania i ze sposobu bycia nie można było wywnioskować nic, więc w końcu wiedzano tylko to, co opowiadali Murzyni: że owszem, w Wigilię Bożego Narodzenia była jakaś kłótnia, ale nie Bona z Henry'm czy też Bona z Sutpenem – to była kłótnia tylko pomiędzy synem i ojcem; i że Henry formalnie wyrzekł się ojca i domu rodzinnego, i swego pierworództwa, po czym tejże nocy odjechał z Bonem; i że matka leży teraz obłożnie chora, chociaż jak ogólnie uważano w miasteczku, powalił ją nie tyle fakt zrujnowania tego małżeństwa, ile sam wstrząs wywołany przez wkroczenie rzeczywistości w jej życie: było z nią tak jak ze zwierzęciem, które litościwy topór ogłusza tępym ciosem, zanim mu się poderżnie gardziel.

To właśnie słyszała panna Rosa. Co sobie myślała, nie wiadomo. W miasteczku uważano, że czyn Henry'ego jest tylko wybrykiem ognistej młodości, już nie mówiąc o tym, że to jest coś akurat w stylu Sutpenów i że czas to na pewno zabłądzi. Niewątpliwie opinia taka wynikała po części z zachowania się Sutpena i Judith wobec siebie wzajemnie i wobec miasteczka. Od czasu do czasu widywano ich oboje w powozie, kiedy przyjeżdżali do Jefferson zupełnie tak, jakby nic nie zaszło już przynajmniej pomiędzy nimi; przecież na pewno nie bywaliby razem, gdyby ta kłótnia powstała pomiędzy ojcem a Bonem, i prawdopodobnie nie bywaliby razem, gdyby ojciec i Henry pokłócili się na zawsze. W miasteczku bowiem wiedzano, że Judith z Henry'm zawsze łączyła więź mocniejsza niż zwykła wzajemna lojalność brata i siostry; że łączyło ich coś dziwnego, coś, co przypominało zacieklą, ale uczciwą rywalizację dwóch podchorążych wyborowego pułku, którzy jadają z jednej menażki, śpiąją pod jednym kocem, zawsze gotowi do narażania

się razem na niebezpieczeństwo, na śmierć, nie po to, żeby się ratować wzajemnie, ale żeby utrzymać nieprzełamany front samego pułku. Panna Rosa nie wiedziała nic więcej. Nie mogła wiedzieć, bo ci, którzy znali prawdę (to znaczy Sutpen albo Judith: nie Ellen, bo po pierwsze, nie powiedziano by Ellen wszystkiego, a po drugie, nawet gdyby jej powiedziano, ona by i tak z pewnością zapomniała o tym natychmiast, nie przyswoiłaby sobie tego – Ellen, ten motyl, spod którego nagle się usunęło owo lekkie rozświetlone powietrze, pozostawiając ją w mrokach pokoju choroby, gdzie teraz leżała z pulchnymi rączkami na kołdrze, z oczami pełnymi nawet nie bólu, tylko bezradnego niezrozumienia) – nawet ci, którzy znali prawdę, nie powiedzieliby panie Rosie nic więcej, niż mówili komukolwiek w Jefferson czy gdzie indziej. Panna Rosa prawdopodobnie wybrała się do Setki Sutpena – prawdopodobnie pojechała tam raz, i na tym koniec. I na pewno powiedziała panu Coldfieldowi, że tam się nic nie stało, i najwidoczniej sama w to uwierzyła, skoro w dalszym ciągu szła wyprawę dla Judith.

Szła ją jeszcze i wtedy, gdy stan Missisipi wystąpił z Unii i w Jefferson zaczęły się pojawiać pierwsze mundury konfederackie; pułkownik Sartoris i Sutpen przeprowadzili zaciąg do pułku i wyruszyli w pole w roku sześćdziesiątym pierwszym. Sutpen, zastępca dowódcy, pułkownika Sartorisa, odjechał po jego lewej ręce na czarnym ogierze nazwanym jak w powieści Waltera Scotta – pod pułkowym sztandarem, który według projektu jego i pułkownika zeszyły z jedwabnych sukien kobiety z rodziny Sartorisów. Sutpen przytył nie tylko od czasu, kiedy w ową niedzielę trzydziestego trzeciego roku wjechał do Jefferson po raz pierwszy, ale i od czasu kiedy się ożenił z Ellen. Jednakże, chociaż ukończył pięćdziesiąt cztery lata, jeszcze nie był otyły. Zwały tłuszczu, brzuch, pojawiły się dopiero później. Pojawiły się nagle, ni stąd, ni z owąd, już po wojnie, w rok po tym zerwaniu, czy co tam to było, zaręczyn z panną Rosą – po tym, jak panna Rosa opuściła jego dom i wróciła do miasteczka, żeby znów samotnie zamieszkać w domu ojcowskim i nie odezwać się do niego ani jednym słowem już nigdy z wyjątkiem tego jednego jedyne raz, kiedy się dowiedziała o jego śmierci. Roztył się nagle, ten „kawał chłopca”, że użyję tu określenia Murzynów i Washa Jonesa, zupełnie tak, jakby jego tężyzna dopiero teraz osiągnęła szczyt, na którym się zatrzymała, kiedy sama podwalina już się rozkruszyła, a to coś, co on miał pomiędzy zewnętrznymi kształtami, takimi, jakie znali ludzie, a nieugiętym szkieletem tego, czym był istotnie, nagle się upłynęło, zaczęło ciężać ku ziemi i powstrzymywane, powściągane przez powłokę, której się sprzeniewierzył, rozdymać ją jak balon chwiejny w swej martwocie.

Panna Rosa nie widziała wymarszu pułku, bo ojciec zabronił jej w tym czasie wychodzić z domu, nie życząc sobie, żeby wraz z innymi kobietami i dziewczętami brała udział w przygotowaniach do uroczystości pożegnalnej czy bodaj była tam obecna,

jakkolwiek zakazu tego nie spowodował fakt, że przypadkiem w tym pułku jest jego zięć. Pan Coldfield nigdy się nie unosił i do momentu wypowiedzenia wojny oraz wystąpienia stanu Missisipi z Unii zarówno jego czyny, jak przemówienia protestacyjne były nie tylko spokojne, ale logiczne, i nawet całkiem rozsądne. Kiedy jednak kości zostały rzucone, zmienił się całkowicie, nieomal z dnia na dzień, tak jak przedtem, przed laty, zmieniła się jego córka Ellen. Ledwie w Jefferson pojawili się żołnierze, zamknął swój sklep i już go nie otwierał przez cały czas mobilizacji i ćwiczeń. I później po wymarszu pułku nie chciał za żadną cenę sprzedawać swoich towarów ani oddziałom biwakującym w miasteczku w drodze na front, ani, przynajmniej tak sobie opowiadano, żadnym rodzinom nie tylko wojskowych, ale i cywilów popierających secesję i tę wojnę choćby samym słowem, poglądami. Nie przyjął siostry, tej ciotki, która swego czasu uciekła i która teraz, kiedy jej mąż, handlarz koni, był w wojsku, chciała na czas wojny znów zamieszkać u niego; nie pozwalał pannie Rosie nawet przez okno popatrzeć na przechodzące oddziały. Wreszcie zamknął sklep już na dobre i przestał wychodzić z domu.

Zamieszkał z panną Rosą w tylnych pokojach, frontowe drzwi zaryglował, a frontowe okiennice zabił gwoździami. Całymi dniami, jak opowiadali sąsiedzi, stał przy oknie ukryty za lekko uchyloną żaluzją i czekał niby pikietą na posterunku, uzbrojony wprawdzie nie w muszkiet, ale w wielką rodzinną Biblię, w której skrupulatnie zapisane jego schludnym kupieckim pismem figurowały wszystkie ważniejsze daty: przyjście na świat jego i jego siostry i jego ślub, i przyjście na świat Ellen i jej ślub, jak również narodziny jego dwojga wnucząt i panny Rosy oraz śmierć żony (nie było w tej Biblii tylko daty ślubu ciotki; dopiero później panna Rosa ją tam wpisała razem z datą śmierci Ellen, od razu za jednym zamachem owego dnia, kiedy wpisywała datę śmierci samego pana Coldfielda i Charlesa Bona, a nawet Sutpena); czekał tak przy tym oknie, dopóki nie przechodziło tamtędy wojsko; wtedy otwierał Biblię i podniesionym, ochrypłym głosem, przekrzykując nawet miarowe dudnienie przemarszu, deklamował wersety pradawnej, gwałtownej, mistycznej mściwości, które uprzednio wybrał i zakreślił, istotnie tak, jakby jakaś pikietą przygotowała sobie na parapecie okiennym rząd pocisków.

A potem pewnego ranka się dowiedział, że jego sklep został rozbity i splądrowany, niewątpliwie przez biwakującą na skraju miasteczka kompanię obcych żołnierzy, których niewątpliwie podjudzili do tego, o ile nawet nie dali im przykładu, sami obywatele Jefferson. Tegoż dnia wieczorem pan Coldfield z młotkiem i z gwoździami udał się na strych, pozabijał na amen drzwi za sobą i wyrzucił młotek przez okno. Nie był tchórzem. Był człowiekiem o nieugiętej sile ducha, do nowego kraju przybył tylko z niewielką ilością towaru, a jednak potrafił z niej utrzymać pięć osób, zapewnić im życie, jeżeli nie dostatnie, to przynajmniej spokojne, wolne od lęku przed jutrem. Targował się

wprawdzie o każdy grosz: nie zdołałby wyjść na swoje inaczej niż drogą wyrachowania, targów i nieuczciwości, zresztą, jak mówił twój dziadek, każdy, kto w takim kraju jak Missisipi tamtych czasów ograniczałby swoją nieuczciwość do sprzedaży słomkowych kapeluszy, powrozów i solonego mięsa, zostałby przez własną rodzinę zamknięty jako kleptomani. Ale tchórzem pan Coldfield nie był, chociaż od wojny uciekł. Może jego sumienie, mówił dziadek, nie mogło znieść myśli o rozlewie krwi i narażaniu ludzi na śmierć, ile o marnotrawstwie: o tym, że w jakiegokolwiek sprawie zużywa się, pożera i wystrzeliwuje materiały, jakie by one nie były.

Teraz życie stało się dla panny Rosy wyłącznie sprawą podtrzymywania go w sobie samej i w ojcu. Do owej nocy grabieży żywili się zapasami ze sklepu. Z koszykiem chodziła tam po zapadnięciu mroku i przynosiła prowianty w ilości dostatecznej na przetrwanie paru następnych dni. Toteż nie odnawiane od pewnego czasu zapasy jeszcze przed ograbieniem sklepu znacznie się zmniejszyły; Murzynek już nie było, więc ona sama własnoręcznie pitrasila jedzenie z przynoszonych artykułów, coraz gorszych jakościowo, w miarę jak czasy robiły się coraz cięższe – ona, ta panienska nie nauczona żadnych zajęć praktycznych, wychowana przez ciotkę w przekonaniu, że jest nie tylko zbyt delikatna na zajmowanie się takimi czynnościami, ale zbyt dużo warta – pitrasila jedzenie i nocą dostarczała je ojcu, wciągając koszyk na górę za pomocą bloczka nad studnią i liny uwiązanej przy okienku na strychu. Robiła to przez trzy lata: potajemnie w nocnych ciemnościach dzieliła się jedzeniem, ledwie wystarczającym dla jednej osoby, z człowiekiem, którego nienawidziła. Bo ona go nienawidziła. Może sobie tego nie uświadamiała, może nawet teraz sobie tego nie uświadamia, niemniej pierwsza oda do żołnierzy Południa z tego jej tysiąca i iluś wierszy w tece, którą twój dziadek zobaczył w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym, była opatrzona datą z pierwszego roku dobrowolnego uwięzienia się jej ojca oraz notatką, że została napisana o godzinie drugiej w nocy.

A potem pan Coldfield umarł. Pewnej nocy przed świtem w okienku strychu nie ukazała się ręka, żeby wciągnąć na górę koszyk z żywnością. W drzwiach strychu wciąż jeszcze tkwiły te stare gwoździe, więc dopiero sąsiedzi z siekierami pomogli się tam włamać pannie Rosie. Zastali go martwego na sienniku, przy nie tkniętych trzydniowych zapasach jedzenia, tak jak gdyby on, ten człowiek, który przed trzema laty ujrzał, że jego sklep, jedyne źródło utrzymania, rozgrabili obrońcy jego sprawy (właśnie jego sprawy, nawet jeżeli on tej sprawy i jej obrońców się odrzekł) – teraz oto sobie przez te ostatnie trzy dni sporządził swój ziemski bilans, podliczył wszystko i sprawdził jeszcze, po czym pełen zimnej, nieugiętej dezaprobaty, spokojny, śmiertelnie konsekwentny, nie chcąc już patrzeć na swoją współczesność, odwrócił się tyłem od tego widowiska głupoty

i zniewagi, i niesprawiedliwości.

Panna Rosa była teraz nie tylko sierotą, ale i nędzarką. Z całego sklepu została tylko żałosna skorupa, opuszczona buda, z której uciekły nawet szczury, która ziała pustką, nawet nie wspominana życzliwie przez kogokolwiek z dawnej stałej klienteli, zważywszy, że pan Coldfield swoim postępowaniem nieodwołalnie zraził sobie sąsiadów, miasteczko, hrabstwo powstające do boju. Nie było już, jak mówiłem, nawet tych dwóch służących Murzynek wyzwolonych przez niego natychmiast, kiedy został ich właścicielem (nawiasem mówiąc, nie kupił ich, tylko je dostał zamiast pieniędzy od jakiegoś dłużnika); wypisał im wtedy dokumenty wyzwolenia, których one nie umiały odczytać, i przyjął je do pracy za cotygodniową pensję, którą jednak w całości zatrzymywał sobie jako zwrot za ich bieżącą wartość rynkową; odwdzińczyły mu się przy pierwszej okazji, uciekając z pierwszymi Murzynami, jacy ruszyli za oddziałami Jankesów. Więc w chwili śmierci pan Coldfield nie miał nic, bo w rezultacie zarówno niczego nie odłożył, jak niczego nie zachował. Swego czasu gromadził oszczędności, przy czym niewątpliwie jedyną przyjemność swego życia znajdował nie tyle w fakcie samego posiadania tych skromnych, niewielkich zasobów, które udało mu się odłożyć, zanim jego ścieżka skrzyżowała się z drogą Sutpena... nie tyle w tych pieniądzech, ile w tym, co te pieniądze sobą przedstawiają w bilansie jakiegoś duchowego kantoru – przyjemnie mu było wiedzieć, że kiedyś spłacą one jego rewers wystawiony na okaziciela, podpisany przez samozaparcie i męstwo. I niewątpliwie w wyniku interesów z Sutpenem bolał go najwięcej nie fakt samej finansowej straty, ale fakt, że trzeba było ten symbol swego męstwa i wieloletnich wyrzeczeń poświęcić po to tylko, żeby utrzymać w stanie nietkniętym swoją wypłacalność duchową, narażoną na szwank właśnie wtedy, gdy on już nabrał pewności, że dawno zdołał ją ustalić i raz na zawsze zabezpieczyć. To było tak, jak gdyby z powodu drobnego przeoczenia w dacie czy podpisie musiał wykupywać jeden i ten sam rewers dwukrotnie.

Tak, więc panna Rosa była teraz i sierotą i nędzarką, bez żadnych krewnych na świecie z wyjątkiem Judith i ciotki, o której nie miała wiadomości już od dwóch lat, to jest od czasu, kiedy ciotka usiłowała się przedostać przez jankeskie linie bojowe do stanu Illinois, żeby być bliżej męża w Rock Island, bo jej mąż siedział tam w więzieniu, jako że swoje talenty w zdobywaniu koni i mułów ofiarował oddziałowi uzupełnień kawalerii konfederackiej i został na tym schwytany. Ellen nie żyła już od dwóch lat, ten motyl, ta ćma zaplątana w podmuch wichru, zdmuchnięta na mur, do którego przywarła trzepocząc się słabiutko, nawet się nie czepiając życia z jakimś szczególnym uporem, nawet nie odczuwając jakiegoś szczególnego bólu, bo przecież motyle są zbyt lekkie, żeby uderzyć się mocno... i nawet nie bardzo pamiętając ową świetlistą próżnię, w której bujała, zanim ten wicher się zerwał; Ellen oszołomiona, zdumiona, nie pojmująca nic;

jasna, błaha powłoka niezmiennie gładka pomimo całego roku złego odżywiania, odkąd wszyscy Murzyni Sutpena, tak jak inni, odeszli za oddziałami wojsk jankeskich – ci Murzyni Sutpena, ta dzika krew, którą on tu sprowadził i spróbował połączyć z krwią tych oswojonych, osiadłych tu już przedtem, dążąc równie zapobiegliwie do tego samego celu, w jakim łączył krew swego ogiera i w jakim łączył krew swoją własną. I z takim samym pomyślnym rezultatem: jak gdyby sama tylko jego obecność zmuszała ten dom w Setce Sutpena do przyjmowania i utrzymywania ludzkiego życia. Bo może domy istotnie posiadają zdolność odczuwania, osobowość i charakter – cechy niekoniecznie nabyte od ludzi, którzy w nich oddychają czy oddychali, każdą myślą zespoleni z tymi ceglami i drewnem, bądź splodzeni później w gotowych już ścianach przez kogoś, kto te ściany sobie zaplanował i postawił; dom w Setce Sutpena zawsze był nacechowany jakąś nieodwracalną afirmacją pustki, opuszczenia: jakimś nieprzewyciężonym oporem przeciwko temu, żeby być domem mieszkalnym, żeby ktokolwiek w nim mieszkał, o ile nie jest to sankcjonowane i chronione przez bezwzględnych i silnych.

Wracając do Ellen, oczywiście straciła ona trochę na wadze, ale było z nią tak jak z motylem, który ginąc, istotnie ginie w oczach: trochę zmniejszają się skrzydełka i tułów, trochę ściągają się deseń barwnych plam, ale nie widać przy tym ani jednej zmarszczki. Twarz Ellen na poduszce była wciąż tą samą świeżą, nieomal dziewczęcą twarzą (choć panna Rosa właśnie wtedy odkryła, że Ellen najwidoczniej przez lata całe farbowała sobie włosy), te same pulchne, miękkie rączki (co prawda teraz już bez pierścionków) leżały na kołdrze i tylko rozczarowanie, brak zrozumienia w oszołomionych ciemnych oczach świadczyły cokolwiek o jej obecnym życiu, o tym, że ono się kończy – w owej chwili, kiedy prosiła siedemnastoletnią siostrę o opiekę nad pozostałym dzieckiem. (O Henry’em, odkąd dobrowolnie wyrzekł się pierworództwa, nie było żadnych wiadomości; jeszcze nie powrócił, żeby odegrać swoją ostateczną rolę w zagładzie rodziny – więc nawet i to, jak powiedział twój dziadek, zostało Ellen zaoszczędzone, nie dlatego jednak, że ten ostateczny cios by ją zmiażdżył, ale dlatego, że po prostu by się na niej zmarnował, bo przecież ta kurczowo czepiająca się ćma, nawet jeszcze żyjąc, byłaby już niezdolna do odczucia gwałtownego podmuchu wichury.) Byłoby więc rzeczą zupełnie naturalną, gdyby panna Rosa natychmiast po śmierci Ellen przeniosła się do Setki Sutpena i zamieszkała z Judith; zrobiłaby to na jej miejscu każda inna kobieta z Południa, każda dama. Nawet by się nie musiało jej zapraszać; nikt by od niej nie wymagał, żeby czekała na zaproszenie. Bo takie są właśnie damy z Południa. Nie w tym rzecz, że dama z Południa, kiedy jest bez grosza i bez żadnych widoków na to, żeby kiedykolwiek choć jeden grosz jeszcze w życiu posiadać, i kiedy wie doskonale, że wiedzą o tym wszyscy jej znajomi, wprowadza się z parasolką, własnym nocnikiem i trzema kuframi jak gdyby

nigdy nic do czyjegoś domu, czyjegoś pokoju i bez żadnych skrupułów używa bielizny z haftowanymi ręcznie monogramami czyjejś żony; nie w tym rzecz, że ona nie tylko obejmuje dowództwo nad domowymi Murzynami, którzy wiedzą nie gorzej niż ich państwo i ona sama, że nigdy nie dostaną od niej żadnego napiwku, bo i skąd, ale w dodatku wkracza do kuchni, zabiera kucharce warząchew i przyprawia potrawy według własnego smaku, nie dbając o upodobania swoich gospodarzy – nie w tym rzecz, że ona robi to wszystko, żeby się utrzymać przy życiu; rzecz w tym, że z nią jest tak, jakby żyła wyłącznie krwią niczym wampir, chociaż nie z owym ciągłym niedosytem wampira, a już na pewno nie żarłocznie, tylko z ową wspaniałą, pogodną i obojętną bez troską kwiatów, dla samej siebie zmieniając prawa rządzące wampirami, bo ta krew, którą ona się żywi, również krąży i w jej żyłach – ta stara krew, która przepłynęła morza i lądy nie oznaczone na mapach i borykała się z trudami puszczy, z czającymi się niebezpieczeństwami i ze złym losem.

Tego właśnie należałoby oczekiwać od panny Rosy. Ale ona tak nie zrobiła, Judith wciąż jeszcze miała te leżące odłogi akry, mogące jej dać utrzymanie, nie mówiąc już o tym, że była tam Clytie, która jej pomagała i dotrzymywała towarzystwa, i był Wash Jones, który tak samo jak przed śmiercią Ellen dostarczał im pożywienia. Ale panna Rosa nie przeniosła się tam od razu. Może w ogóle nigdy by się tam nie przeniosła. Chociaż chciała zadośćuczynić prośbie Ellen i uchronić Judith, pewnie uważała, że Judith jeszcze tego ratunku nie potrzebuje, bo skoro miłość, nawet opóźniona przez wojnę, mogła Judith dostarczyć woli do życia, do przetrwania aż tak długo, to przecież ta sama miłość, choćby nie wiadomo jak opóźniona, musi zachować i zachować Bona, dopóki to całe szaleństwo mężczyzn nie utknie wreszcie w martwym punkcie po prostu z wyczerpania; a wtedy już Bon powróci, gdziekolwiek by się teraz znajdował, i przywiezie ze sobą Henry'ego – ofiarę tegoż samego szaleństwa i pecha. Przypuszczam, że to był właśnie powód, dla którego ona tam nie zamieszkała od razu. Na pewno widywała się wtedy z Judith i prawdopodobnie Judith nalegała na jej przeprowadzkę, ale ona się tam nie przeprowadziła, przypuszczam, że właśnie dlatego, chociaż nie wiedziała, co się dzieje z Henry'm i z Bonem, a Judith nawet na myśl nie przyszło jej o nich powiedzieć. Bo Judith wiedziała. Może wiedziała już od dłuższego czasu: może wiedziała nawet i Ellen. Albo może Judith matce też nigdy nie powiedziała. Może Ellen umarła nie wiedząc, że Henry i Bon są szeregowcami w kompanii sformowanej przez ich kolegów z uniwersytetu. Pierwszą od czterech lat wiadomość o tym, że siostrzeniec żyje, otrzymała panna Rosa dopiero w tamto popołudnie, kiedy Wash Jones na jedynym pozostałym mule Sutpena podjechał przed jej dom i zaczął ją wołać. Widywała Washa już przedtem, ale teraz go nie poznała – mizerny, wychudzony przez malarię drańgal z wyblakłymi

oczami i twarzą człowieka bez wieku czy też w każdym wieku od lat dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu siedział na nieosiadłym mule i wykrzykiwał znad furtki raz po raz:
„Halo! halo!”

Aż wyszła na ganek; wtedy zniżając głos trochę, chociaż nie bardzo, zapytał:
„To panna jesteś ta Rosa Coldfield?”

IV

Nie ściemniło się jeszcze na tyle, żeby Quentin mógł wyruszyć w drogę, przynajmniej nie ściemniło się tak, jakby sobie tego życzyła panna Coldfield, nawet nie biorąc pod uwagę tych dwunastu mil w tamtą stronę i dwunastu mil z powrotem. Quentin to wiedział. Nieomal widział, jak ona tam czeka w którymś z tych ciemnych, dusznych pokoików, w nieprzeniknionej samotności małego ponurego domu. Na pewno nie zapaliła światła, bo wkrótce ma wyjść, a prawdopodobnie jakiś duchowy potomek, duch pokrewny kogoś, kto jej przed laty powiedział, że światło i przewiew przynoszą gorąco, teraz z kolei pouczył ją, że na koszt elektryczności wpływa nie czas palenia lampy, ale samo wstecz działające pokonywanie bezwładu początkowego, to znaczy przekręcenie kontaktu: tylko to i nic więcej nie ukazuje się na liczniku. Na pewno już włożyła kapelusz, tę czarną budkę z dżetami; wiedział to; i szal, zanim tam usiadła w gęstniejącym trupim zmierzchu; i nawet już ma w ręku czy na kolanach woreczek zawierający wszystkie klucze: od drzwi wejściowych i od schowka, i od kredensu, wszystkie klucze z całego domu, który ona za chwilę opuści może na pełne sześć godzin; i parasolkę od słońca, i parasol od deszczu też – pomyślał i zaraz się zastanowił, jak bardzo panna Rosa musi nie znać się na pogodzie i na porach roku, bo chociaż przez całe swoje życie aż do tego popołudnia nie zamienił z nią w sumie nawet stu słów, dobrze wiedział, że ona prawdopodobnie już od czterdziestu trzech lat, jeśli wychodziła z domu po zachodzie słońca, to tylko w niedziele i środy, na zebrania w kościele metodystów. Tak, ona na pewno już trzyma parasol. Kiedy on tam po nią przyjedzie, ona na pewno wyjdzie z parasolem, wnosząc go zwyczajnie w znużone wzdychanie tego wieczoru nawet bez rosy – wieczoru, w którym zapadającą ciemność zwiastują w tej chwili jedynie to tu, to tam słabe błyski świetlika na gazonie poniżej werandy. Podniósł się z fotela, kiedy pan Compson, po drodze zapalając światło w przedsionku, wrócił z tym listem.

– Chyba będziesz musiał wejść do domu, żeby to przeczytać – powiedział pan Compson.

– Tutaj spróbuję. Jest dosyć jasno – powiedział Quentin.

– Może masz rację – powiedział pan Compson. – Może nawet światło dnia, nie mówiąc już o tym – wskazał żarówkę w kloszu poplamionym i upstrzonym przez owady w ciągu tego drugiego lata, zresztą i bez takich zanieczyszczeń ciemnym – byłoby za jasne dla tego listu, dla nich Właśnie, dla nich: z dnia wczorajszego, z tamtych umarłych czasów. To byli też ludzie tak jak my... ofiary tak jak my, ale ofiary innych okoliczności... ludzie mniej skomplikowani i dlatego w całości więksi, bardziej bohaterscy niż my. I dlatego są to teraz postacie bohaterkiej legendy, nie skarłale i zawile, ale wyraźne,

proste, postacie, które posiadały dziwny dla nas dar, potrafiły kochać tylko raz albo umierać tylko raz zamiast rozpraszać się i rozrzucać, być stworzeniami posklejanymi z najrozmaitszych nie pasujących do siebie części na oślep powyciąganych jak fanty z worka na jakiejś jarmarcznej loterii, sprawcami, a także i ofiarami tysięcy zabójstw i parzenia się, i rozwodów. Może masz rację. Może większe światło niż to byłoby dla nich za jasne.

Ale jeszcze nie dał Quentinowi tego listu.

Znów usiadł i z balustrady werandy wziął cygaro, które znów się rozzarzyło, i prosta smużka dymu o barwie wistarii uniosła się w górę poprzez twarz znów siedzącego Quentina, gdy oparł nogi o balustradę, trzymając ten list w ręce ciemnej, nieomal murzyńskiej na tle jego płóciennych spodni.

– Bo Henry kochał Bona. Odrzekł się pierworództwa i majątku tylko ze względu na Bona: na tego człowieka, który był przynajmniej potencjalnym bigamistą, jeżeli nie łotrem w całym tego słowa znaczeniu, i przy którego zwłokach w cztery lata później Judith miała znaleźć fotografię tej drugiej kobiety i dziecka. Henry kochał go tak bardzo, że aż zadał ojcu kłam, chociaż musiał sobie uświadomić, że twierdzenie ojca o Bonie ani nie mogło być, ani nie zostałyby ogłoszone bez podstawy i dowodu. A jednak zrobił to... on, Henry, sam własnoręcznie wymierzył ten cios, chociaż musiał wiedzieć, że to, co mu ojciec powiedział o tej kobiecie i o tym dziecku, jest prawdą. Sam sobie to mówił, na pewno mówił, kiedy po raz ostatni zamykał za sobą drzwi biblioteki w ową Wigilię Bożego Narodzenia, i na pewno dalej to sobie powtarzał, kiedy u boku Bona odjeżdżał daleko w żelazną ciemność Gwiazdkowego świtu stamtąd, gdzie się urodził i dokąd wrócić miał już tylko jeden jedyny raz w życiu, i to z krwią na rękach, świeżą krwią człowieka teraz jadącego przy nim.

„Będę wierzył. Będę. Będę. Nawet jeżeli jest tak, jak powiedział ojciec, nawet jeżeli to prawda... to, w czym ja sam wbrew samemu sobie czuję tylko prawdę. Pomimo wszystko będę wierzył.”

Bo cóż innego, jeżeli nie tę prawdę, spodziewał się znaleźć w Nowym Orleanie? Ale któż może wiedzieć, dlaczego ranny pomimo szalonego bólu chce rozpaczliwie zachować ponad wszystkie inne zdrowe członki swego ciała właśnie tę rękę czy nogę, którą jak mu wiadomo, trzeba amputować. Ale on kochał Bona. Wyobrażam sobie Sutpena i jego – ich obu w tej bibliotece w Wigilię Bożego Narodzenia: tego ojca i tego brata, cios i odbicie ciosu, niby grzmot i echo grzmotu, to twierdzenie i zadanie kłamu, tę decyzję natychmiastową i nieodwołalną w wyborze pomiędzy ojcem a przyjacielem, pomiędzy stroną, gdzie były więzy krwi i zyski, a stroną, gdzie była miłość, gdzie był honor (w to Henry wierzył na pewno), chociaż już w tej samej chwili, w której zadawał kłam, wiedział,

że ojciec mówi prawdę. Stąd właśnie te cztery lata zawieszenia, te cztery lata próby. On na pewno już wtedy, w tamtą Wigilię Bożego Narodzenia, wiedział, że to się na nic nie zda, już nie mówiąc o tym, czego się dowiedział, co zobaczył na własne oczy później w Nowym Orleanie. Może nawet wiedział, już wtedy znając Bona dobrze, że nie jest prawdopodobne, żeby Bon, który nie zmienił się do tego czasu, miał się zmienić kiedykolwiek później; przy czym on (Henry) nie mógł temu przyjacielowi powiedzieć: „Zrobiłem coś z miłości do ciebie, zrób coś i ty z miłości do mnie.” Nie mógł tego powiedzieć, rozumiesz – ten człowiek zaledwie dwudziestoletni, ten chłopak, który odwrócił się od wszystkiego, co znał, i związał swój los z tym jedynym przyjacielem – z tym kimś, kogo później miał zabić, o czym wiedział już owej nocy, kiedy razem odjeżdżali. Tak samo jak wiedział, że usłyszał od ojca prawdę, musiał też wiedzieć, że jest z góry na to skazany, że po to się urodził – właśnie po to, żeby Bona zabić. Musiał to wiedzieć, tak samo jak wiedział, że jego nadzieje są płonne, chociaż jakie nadzieje i na co – tego by już powiedzieć nie potrafił; jakie nadzieje, jaki sen o tym, że Bon się zmieni, czy też – w tej sytuacji – jaki sen, z którego on, Henry, kiedyś się zbudzi tak, jak ranny budzi się z gorączkowego snu o tym, że ta cenna, ból sprawiająca ręka czy noga jest silna i zdrowa, a bolą tylko tamte, pozostałe w rzeczywistości zdrowe kończyny.

Henry sam wyznaczył ten okres próbny; ich wszystkich troje trzymał w zawieszeniu za zgodą do pewnego stopnia nawet Judith. Judith nie wiedziała, co się stało tamtego wieczora w bibliotece. Aż do tamtego popołudnia w cztery lata później, kiedy znów zobaczyła ich obu, kiedy do domu wniesiono ciało Bona, a ona znalazła w jego kurtce fotografię, nie jej i nie jej dziecka. Nie sądzę, żeby w ogóle cokolwiek podejrzewała; po prostu obudziła się nazajutrz, a ich obu już nie było. Pozostał jej tylko ten list i pozostała jej kartka napisana przedtem przez Henry’ego, bo on niewątpliwie nie pozwalał Bonowi pisać do Judith – więc ta jego poprzednia kartka z zawiadomieniem o ich chwilowym rozejmie, o okresie próbnym, na który Judith się zgodziła: ojcu odmówiłaby równie szybko posłuszeństwa, jak Henry był szybki w rzuceniu mu wyzwania, a przecież Henry’emu w tej sprawie była posłuszna. Posłuszna nie, dlatego, że to mężczyzna z jej rodziny, brat, ale dlatego, że istniała między nimi obojgiem owa szczególna więź duchowa: stanowili jedną osobowość o dwóch ciałach uwiedzionych niemal równocześnie przez człowieka, którego Judith w czasie tego uwodzenia jeszcze nawet ani razu nie widziała. Była Henry’emu posłuszna, przy czym oboje wiedzieli, że jest to posłuszeństwo tylko do pewnych granic: że ona będzie się zgadzała na okres próbny, pozwalając Henry’emu wyciągać korzyści z tego zawieszenia tylko do owego wspólnie przez nich oboje uznanego, chociaż nie ustalonego i nie określonego punktu; niewątpliwie oboje też sobie uświadamiali, że kiedy ów punkt zostanie osiągnięty, Judith

– i to z tym samym spokojem, z tym samym męstwem odrzucającym wszelką tradycyjną słabość płci uległej w przyjmowaniu i dawaniu – odwoła to zawieszenie broni i wystąpi przeciwko Henry’emu jako wróg, nie potrzebując przy tym ani nawet nie chcąc wzywać na pomoc Bona, niewątpliwie nawet nie pozwalając Bonowi się wtrącić, w razie gdyby wtedy był na miejscu; oboje sobie uświadamiali, że Judith będzie bić się z Henry’em o tę sprawę jak mężczyzna, zanim się zgodzi wrócić do roli kobiety, tej ukochanej, tej oblubienicy. A Bon... Henry tak samo nie powiedziałby Bonowi tego, co usłyszał od ojca, jak nie powróciłby do ojca i nie powiedziałby mu, że Bon się tego wyparł; bo przecież gdyby zrobił to pierwsze, musiałby zrobić i to drugie, a wiedział, że wypieranie się ze strony Bona byłoby kłamstwem i że chociaż sam mógłby znieść kłamstwo z ust Bona, na pewno by nie zniósł, żeby doszło ono do uszu Judith albo ojca. Zresztą Henry nie potrzebował mówić Bonowi, co się stało.

Bon, natychmiast po powrocie do domu na te pierwsze wakacje letnie, musiał się dowiedzieć o wizycie Sutpena w Nowym Orleanie. Na pewno zanim jeszcze zobaczył reakcję Sutpena, wiedział, że Sutpen już zna jego tajemnicę – jeżeli w ogóle kiedykolwiek uważał ten swój romans za coś, co trzeba zachowywać w tajemnicy. Bo z pewnością nie była dla Bona ważnym argumentem przeciwko małżeństwu z białą ta sytuacja, dość pospolita w tamtych czasach, jeżeli tylko stać było kogoś na to – i nawet by na myśl Bonowi nie przyszło napomykać o tym narzeczonej czy żonie, czy też jej rodzinie, podobnie jak nie przyszłoby mu na myśl mówić o sekretach takiej czy innej korporacji, gdyby do niej należał przed ślubem. W istocie, sposób, w jaki rodzina jego ewentualnej przyszłej żony zareagowała na to odkrycie, był niewątpliwie pierwszym i ostatnim pociągnięciem Sutpenów, które go kiedykolwiek wprowadziło w zdumienie.

To właśnie on mnie interesuje. Przyjechał do tego odosobnionego purytańskiego domostwa na wsi prawie nie inaczej, niż sam Sutpen niegdyś przyjechał do Jefferson: na pozór powstały już w pełni dojrzałości, bez żadnego tła, pochodzenia, dzieciństwa – człowiek starszy, niżby na to wskazywał jego rzeczywisty wiek, postać przysłonięta, opromieniona niejako scytyjskim blaskiem; bez wysiłku czy specjalnego pragnienia uwiódł to sielskie rodzeństwo, spowodował ten cały zamęt i wrzawę, po czym, w chwili kiedy sobie uświadomił, że Sutpen, jeżeli tylko zdoła, do tego małżeństwa nie dopuści, najspokojniej w świecie wycofał się, mam wrażenie, na pozycję zwykłego widza, biernego, trochę sardonicznego i całkowicie zagadkowego. Mglisty, nieledwie jak duch wzniósł się gdzieś poza i ponad te wszystkie prostolinijne i logiczne, chociaż (dla niego) niezrozumiałe ultimata i twierdzenia, i urągania, i wyznania, i odrzeczenia Sutpenów; przyglądał im się z miną jakiegoś sardonicznego i leniwego roztargnienia, niby młody rzymski konsul odbywający podróż po Europie swoich czasów, pośród barbarzyńskich

hord podbitych przez jego dziadka – młody konsul, którego noc zaskoczyła w jakimś zamczysku ulepionym z błota, pełnym awantur, dziecinady i śmiertelnej powagi, ustawionym w samym sercu puszczy rojącej się od mikrobów i nawiedzanej przez duchy. To było tak, jakby uważał całą tę sprawę nie za wręcz niepojętą, oczywiście, ale za niekonieczną; tak, jakby z góry założył, że Sutpen już wie o tej kochance i o dziecku, i teraz widział w postępku Sutpena, a także i Henry’ego, jedynie skutki jakichś mętniackich przesądów moralnych niegodnych miana choćby myślenia; przyglądał się temu zgoła nie zaangażowany uczuciowo, z uwagą przyrodnika obserwującego mięśnie uspiętej zaby – zadumany przyglądał się temu spoza tarczy swego wyrafinowania, przy którym Henry i Sutpen wydawali się po prostu jaskiniowcami. Już nie chodzi o jego powierzchowność, o sposób, w jaki chodził i mówił, i nosił swoje ubrania, i prowadził Ellen do jadalni czy do karety, i (nie chyba, a najzupełniej prawdopodobnie) całował ją w rękę – nie chodzi o to wszystko, na co Ellen patrzyła z zawiścią, bo chciała, żeby taki właśnie był Henry; chodzi o to, czym Bon był w istocie: o ten jego fatalistyczny, nieprzenikniony spokój, z jakim na nich patrzył czekając na dalsze ich pociągnięcia, jakiegokolwiek by one miały jeszcze być, jak gdyby przez ten cały czas dobrze wiedział, że sposobność do tych pociągnięć na pewno powstanie, kiedy on tymczasem musi tylko poczekać; nic więcej, tylko poczekać; jak gdyby dobrze wiedział, że zbyt gruntownie uwiódł tych dwoje, by teraz żywić najmniejszą bodaj wątpliwość, czy uda mu się ożenić z Judith wtedy, gdy będzie sobie tego życzył. To u niego nie była owa głupia przebiegłość, polegająca częściowo na instynkcie, częściowo na wierze we własne szczęście i częściowo na mechanicznym nawyku zmysłów i nerwów – owa przebiegłość gracza, który tylko czeka, żeby zagarnąć wszystko, co może, z tego, co widzi; to było coś, co wynikało z jakiegoś nieugiętego pesymizmu, nagromadzonego przez pokolenia już od wielu wieków, odarte ze wszystkich śmieci i rupieci zagracających umysły ludzi, którzy jeszcze niezupełnie wynurzyli się z barbarzyństwa (właśnie! takich jak Sutpen i Henry, a także i Coldfieldowie), ludzi, którzy jeszcze za dwa tysiące lat będą triumfalnie zrzucać z siebie jarzmo kultury i cywilizacji łacińskiej, zresztą nigdy specjalnie nie zagrażającej im na stałe.

Bo ten Bon kochał Judith. On by tu niewątpliwie dodał, że kochał ją „na swój sposób”, ponieważ, jak to już było wiadomo jego ewentualnemu przyszłemu teściowi, odgrywał nie po raz pierwszy rolę zakochanego i przyrzekał nie po raz pierwszy to, co przyrzekał Judith, nie mówiąc już o tym, że poddałby się nie po raz pierwszy ceremonii ślubnej dla upamiętnienia tych przyrzeczeń, z tym jednak, że uczyniłby (bo on był poniekąd katolikiem) pewne, w granicach swoich możliwości, rozróżnienie pomiędzy ceremonią ślubną z białą kobietą, a ceremonią ślubną z tamtą. Bo zaraz przeczytasz ten

list, wprawdzie nie pierwszy z jego listów do Judith, ale przynajmniej pierwszy i ostatni, który ona, jak wiadomo było twojej babci, kiedykolwiek komuś pokazała; więc teraz, kiedy Judith już nie żyje, wydaje się nam, że tylko ten jedyny list zachowała, że tamtych wszystkich innych listów nie chciała trzymać, jeżeli oczywiście nie było tak, że to dopiero panna Rosa czy Clytie je zniszczyła już po jej śmierci. Ten list ocalał. Nie, dlatego, że Judith go odłożyła w tym celu, ale dlatego, że po śmierci Bona sama go tu do nas przywiozła i dała babci, być może tego samego dnia, kiedy zniszczyła wszystkie inne jego listy (o ile oczywiście to właśnie ona je zniszczyła) co było zresztą zupełnie prawdopodobne po tym, jak znalazła w kurtce Bona tę fotografię metresy – Mulatki o jednej ósmej krwi murzyńskiej w żyłach – i małego chłopczyka. Bo Bon był pierwszą i ostatnią miłością Judith. W istocie, na pewno patrzyła na niego oczami Henry'ego. I właściwie trudno byłoby powiedzieć, komu z nich dwojga Bon wydawał się bardziej wspaniały: czy jej, która miała nadzieję, choćby nawet podświadomą, że ten obraz stanie się jej własnością przez sam fakt poślubienia Bona, czy też jemu, który sobie uświadamiał tę nieprzekraczalną barierę pomiędzy sobą a Bonem, beznadziejnie i raz na zawsze ustawioną przez fakt, że obaj są mężczyznami. Henry zobaczył Bona po raz pierwszy może w uniwersyteckim gaju, kiedy Bon przejeżdżał tamtędy na jednym z tych swoich dwóch wierzchowców przywiezionych z Nowego Orleanu, albo może gdzie indziej na terenie uniwersytetu, kiedy Bon przechodził w paltocie i w kapeluszu na modłę raczej francuską, albo też może (to przypuszczenie odpowiada mi najbardziej) oficjalnie go przedstawiono temu Bonowi ubranemu w kwiecisty, nieomal niewieści szlafrok, opartemu o parapet słonecznego okna swoich apartamentów. Może tak właśnie pojawił się w życiu Henry'ego ten mężczyzna przystojny i wytworny, mający w sobie coś z kota – ten mężczyzna już za stary, żeby być studentem na uniwersytecie, za stary nie tyle wiekiem, co doświadczeniem, daleki w jakichś nieomal namacalnych oparach znajomości życia i przesyty, i czynów dokonanych, i zaspokojeń zgłębionych, i rozkoszy wyczerpanych, ba, nawet zapomnianych. Na pewno więc nie tylko dla Henry'ego, ale i dla wszystkich innych studentów tej małej prowincjonalnej uczelni był źródłem rozpaczy... nie zawiści, bo zawiść odczuwamy tylko w stosunku do kogoś kogo uważamy za równego sobie i wywyższonego jedynie przez czysty traf, jaki, naszym zdaniem – zakładając, że będziemy mieć więcej szczęścia, niż mieliśmy dotychczas – kiedyś może wywyższyć i nas samych; był źródłem rozpaczy: przesywającej, wstrząsającej, straszliwej, beznadziejnej rozpaczy młodych, która czasem przybiera formę oburzenia, a nawet czynnego napadania na człowieka będącego jej przedmiotem, albo też w wyjątkowych wypadkach, takich jak wypadek Henry'ego, przybiera formę oburzenia i napadania na wszystko i wszystkich, co owemu przedmiotowi uwłaczają, i tu mamy na dowód gwałtowne

wyparcie się ojca i pierworództwa, kiedy Sutpen zabronił tego małżeństwa.

Tak, Henry kochał Bona, który go uwiódł tak niechybnie, jak uwiódł Judith. Ten chłopak z głuchej wsi patrzył na Bona urzeczony wraz z innymi pięcioma czy sześcioma synami plantatorów, studentami tej małej uczelni, których Bon dopuścił do bliższej znajomości i którzy małpio naśladowali jego sposób ubierania i maniery, i (tak dalece, jak byli do tego zdolni) sam styl jego życia widząc w nim, co najmniej bohatera jakichś młodzieńczych Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy – kogoś, kto natknął się na cudowny talizman czy czarodziejski kamień i został wskutek tego obdarzony nie tyle mądrością czy władzą, czy bogactwem, ile zdolnością i ciągłymi sposobnościami do tego, żeby przechodzić z jednej nieziemsko rozkosznej przygody do równie cudownej przygody następnej bez żadnej przerwy, bez ustawiania w drodze bez przesytu. Już samo to, że Bon w swoim sybaryckim zaciszu, leniwie rozwalając się w cudzoziemskich, nieomal kobiecych szlafrokach, twierdził, że ma wszystkiego po dziurki w nosie, tylko wzmagało ich zdumienie i gorzkie, beznadziejne poczucie zniewagi. Henry był prowincjuszem, wiejskim prostakiem nieledwie; skłonny raczej do gwałtownego, impulsywnego działania niż do myślenia, może nawet w głębi duszy sobie uświadamiał, że jego zażarta małomiasteczkowa duma z powodu dziewictwa siostry jest wartością fałszywą, która, żeby być w cenie, żeby w ogóle istnieć, musi zawierać niemożliwość utrzymania tego dziewictwa, a więc siłą rzeczy musi zależeć od jego utraty, bo to dopiero będzie dowodem, że ono w ogóle istniało. W istocie, może to jest kazirodztwem czystym i doskonałym: właśnie to, że brat uświadamiając sobie, że siostra musi utracić dziewictwo na dowód, że je w ogóle miała, sam jej to dziewictwo odbiera w osobie szwagra, mężczyzny, którym sam by był, gdyby mógł stać się nim, przemienić się w tego kochanka, tego męża, i zarazem, którego sam by sobie wybrał po to, żeby mu oddać swoje dziewictwo, gdyby mógł stać się siostrą, przemienić się w tę kochankę, tę żonę. Może to właśnie nurtowało Henry'ego – jego duszę, a nie umysł. Bo on nigdy nie myślał. On tylko czuł i natychmiast działał. Znał uczucie lojalności, więc postępował lojalnie, znał dumę i zazdrość, więc kochał, smucił się i zabijał, smucąc się nadal i – wierzaj mi – nadal kochając Bona, tego człowieka, któremu dał cztery lata na okres próby, cztery lata na wyrzeczenie się i rozwiązanie tamtego małżeństwa, chociaż wiedział, że te cztery lata nadziei i czekania nie zdadzą się na nic.

Tak, to nie Bon, to Henry uwiódł Judith, o czym zresztą świadczy cały ten dziwnie spokojny przebieg zalotów Bona i Judith, te zaręczyny, jeśli w ogóle były zaręczyny, w ciągu tamtego roku obejmującego zaledwie świąteczne wizyty, kiedy Bon występował w charakterze gościa brata i chyba wciąż jeździł konno i polował z Henry'm albo też biernie dawał się podziwiać niby jakiś wykwintny i ezoteryczny, bezwolny cieplarniany

kwiat, którego pochodzenie, całe dzieje i przeszłość sprowadzały się do krótkiej nazwy wielkiego miasta – kwiat wokół którego Ellen trzepotała się i czupirzyła swoje nieświadome babie lato motyla; Bon, żywy mężczyzna, został przywłaszczony, rozumiesz. Nie było czasu, nie było przerwy, nie było żadnej luki w tych zatłoczonych dniach, żeby on mógł się do Judith zalecać. Trudno nawet sobie wyobrazić ich dwoje sam na sam. W najlepszym razie widzi się dwa cienie, utkane z ich myśli dążących do siebie wzajemnie, podczas gdy on i ona – ludzie z krwi i kości – niewątpliwie przebywali oddzielnie w dwóch różnych miejscach; więc widzi się tylko, jak dwa cienie, pogodne w spokoju nie zmaconym przez żadne sprawy ciała, suną po alejach letniego ogrodu – i jak te same dwa fantomy pogodne, szybując niejako w przestworza, patrzą bezstronnie, uważnie i spokojnie ponad i poza ów niewytłumaczalny punkt, gdzie już się zbiera burza zakazów i wyzwania, i odrzeczeń, gdzie błysną w łunie błyskawicy, zajaśnieją na chwilę i zgasną tamci dwaj: Sutpen, opoka, i zmienny, gwałtowny Henry. To nie Bon, to Henry uwiódł Judith – Henry, który nigdy dotąd nie wyjeżdżał nawet do Memphis, nigdy nie oddalał się od rodzinnego domu, zanim owego roku we wrześniu nie wyruszył razem ze swoją prowincjonalną garderobą, wierzchowcem i stajennym Murzynem w drogę na uniwersytet. Sześciu ich tam było czy siedmiu w tym samym wieku, z tego samego środowiska: jedynie w czysto powierzchownych szczegółach odżywiania się, ubrania i zajęć codziennych różnili się od czarnych niewolników, utrzymujących ich swoją pracą – tak samo się pocili, z tą tylko różnicą, że ten pot u Murzynów spowodowany był harówką na polach, a u nich stanowił cenę prymitywnych, niewymyślnych przyjemności dostępnych im tylko dzięki temu, że nie potrzebując pocić się na polach, mogli sobie pozwalać na te zaciekle, szaleńcze polowania i jazdę konną) takie same mieli rozrywki, z tą tylko różnicą, że hazard Murzynów sprowadzał się do gry o wyszczerbione noże i mosiężną biżuterię, zwitki tytoniu i guziki, i części garderoby, bo właśnie te rzeczy były przypadkiem pod ręką i najłatwiejsze do zdobycia – oni natomiast z tegoż powodu grali o pieniądze, konie, strzelby i zegarki; takie same urządzali zabawy: przy identycznej muzyce identycznych instrumentów, topornych skrzypiec i gitar, chociaż tu, w wielkich domach, płonęły świece i szeleściły jedwabne suknie, i lał się szampan, a tam, w brudnych chatkach, dymią gównie, tańczyły perkaliki i popijano wodę osłodzoną melasą. To Henry uwiódł Judith, bo Bon jej w tym czasie jeszcze nawet nie widział. Prawdopodobnie nawet nie pamiętał, że Henry ma siostrę, bo nie dość uważnie słuchał bełkotliwych opowiadań Henry’ego o jego błahych sprawach i szablonowym środowisku – ten bezwolny człowiek, za stary już na to, żeby znaleźć choćby jakie takie towarzystwo wśród młokosów, dzieciaków, z którymi teraz przebywał; niewłaściwą rolę dostał do odegrania w tym okresie swego życia i wiedział to, przyjmował to z jakiejś przyczyny tak

istotnej najwidoczniej, że jednak tę sytuację znosił, i zarazem tak poważnej czy przynajmniej tak osobistej, że się z tego nikomu z nowych znajomych nie zwierzał; tę samą bezwolność graniczącą nieomal z brakiem zainteresowania, toż samo roztargnienie wykazał później w czasie tej całej wrzawy na temat zaręczyn, do których, o ile w Jefferson było wiadomo, nigdy oficjalnie nie doszło, o których on sam nigdy się nie wypowiedział ani twierdząco, ani przecząco; wycofał się wtedy na ostatni plan zupełnie tak, jakby ta wrzawa i ten zakaz, wszystko to razem dotyczyło nie jego czy nawet nie jakiegoś nieobecnego przyjaciela, w którego imieniu by występował, ale kogoś, z kim w ogóle się nie stykał i kto go nic a nic nie obchodził. Wydaje się, że nie było nawet żadnych zalotów. Najwidoczniej wyświadczył Judith ten wątpliwy komplement, że nawet nie próbował jej zdobywać już nie mówiąc o tym, że nie próbował nalegać na to małżeństwo ani przedtem, ani później, już po zakazie Sutpena, a na uniwersytecie uważasz, zdążył sobie pozyskać wśród kobiet opinię mężczyzny jurnego, a na długo zanim konkretnie stwierdził to Sutpen. Nie było żadnych zaręczyn, nie było nawet żadnych zalotów. Bon widział się z Judith w ciągu dwóch lat tylko trzy razy, przez siedemnaście dni w sumie, wliczając w to czas, jaki pochłonęła Ellen; rozstali się nawet bez pożegnania. A jednak w cztery lata później Henry musiał Bona aż zabić, żeby nie dopuścić do ich małżeństwa.

Więc to na pewno Henry uwiódł Judith – właśnie Henry, a nie Bon: sam dając się uwieść, jednocześnie uwiódł i ją na odległość pomiędzy Oxford a Setką Sutpena, pomiędzy Judith a tym mężczyzną jeszcze zupełnie jej nie znanym; to była ta sama telepatia, za pomocą której jako dzieci zdawali się oboje nawzajem przewidywać swoje czyny, podobni w tym do dwóch ptaków podrywających się naraz z gałązki – więź znacznie mocniejsza niż konwencjonalne złudzenie więzi pomiędzy bliźniętami, więź raczej mogąca bez względu na różnice wieku czy rasy, czy języka łączyć dwoje ludzi od urodzenia odosobnionych na jakiejś bezludnej wyspie; w tym wypadku tą wyspą była Setka Sutpena – samotność w cieniu ojca, którego nie tylko opinia miasteczka, ale i rodzina ich matki przyjęła na warunkach rozejmu, zamiast uznać go za swojego i wchłonąć. Rozumiesz? Oto oni: ta dziewczyna, ta na wsi wychowana młoda dziewczyna, w ciągu półtora roku widzi mężczyznę godzinę dziennie przez dwanaście dni jego życia, a jednak pragnie wyjść za niego za mąż, i to tak dalece, że jej brat jest zmuszony uciec się do ostatecznego środka, czyli do zabójstwa, jeżeli już nie do morderstwa, żeby do tego małżeństwa nie dopuścić, i to jeszcze po okresie czteroletnim, chociaż ona w ciągu tych czterech lat nawet nie zawsze była pewna, czyjej ukochany żyje; dalej, ten ojciec widzi ukochanego córki tylko raz jeden, a przecież to mu wystarcza jako powód do odbycia sześciusetmilowej podróży celem zasięgnięcia o nim wiadomości i wykrycia tego, co już najwidoczniej w jakimś jasnowidzeniu podejrzewał czy też, jeżeli nie tego, to

przynajmniej czegoś, co równie dobrze ma posłużyć za podstawę do zabronienia tego małżeństwa; i ten brat: chociaż dla niego – zakładając, że między rodzeństwem istniała ta dziwna, niezwykła więź – honor i szczęście tej siostry i córki powinny może nawet w jeszcze większym stopniu niż dla ojca być godne zazdrosnego strzeżenia i cenne... ten brat najwidoczniej popiera to małżeństwo tak dalece, że odrzeka się ojca i rodziny, i domowego ogniska po to, by się uzależnić od odrzuconego konkurenta, stać się jego zausznikiem na cztery lata, zanim go zabije, najwidoczniej kierując się tym samym, co mu kazało porzucić dom rodzinny dla poparcia tej sprawy cztery lata przedtem; i wreszcie ten amant; na pozór bez żadnej woli czy chęci daje się uwikłać w zaręczyny, ani do nich nie dążąc, ani ich nie unikając, przyjmuje kosza w tymże samym biernym, sardonicznym nastroju i raptem w cztery lata później tak bardzo pragnie zawrzeć to małżeństwo dotychczas mu całkowicie obojętne, że aż brat, przedtem rzecznik tej sprawy, musi go zabić, żeby do tego nie dopuścić. Otóż to, jeżeli założymy, że nawet nieotrząskany Henry, już nie mówiąc o jego bardziej bywałym w świecie ojcu, uznał za rzecz niedopuszczalną fakt istnienia tej kochanki, Murzynki w jednej ósmej, oraz syna, Murzyna w jednej szesnastej... więc nawet jeżeli założymy, że ta morganatyczna ceremonia – sytuacja tak wchodząca w owym czasie w skład modnego towarzyskiego wyposażenia bogatego młodzieńca w Nowym Orleanie, jak jego lakierki – była dostatecznym powodem tego zakazu, to pomimo wszystko wydaje się nam takie podejście nieco zbyt przesadnym pojmowaniem honoru, przesadnym nawet dla tych wzorcowych cieni, tych naszych przodków urodzonych na Południu, ludzi dorosłych wówczas, około roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego czy tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego. To wprost nie do wiary. To się wprost nie da wytłumaczyć. Albo może tak było rzeczywiście: oni nam tego nie tłumaczą i nie chcą, żebyśmy wiedzieli. Mamy tylko parę starych, z ust do ust przekazywanych opowieści; ze starych kufrów i skrzyń, i szuflad ekshumujemy listy bez nagłówek i bez podpisów, i są w tych listach jacyś mężczyźni i jakieś kobiety niegdyś z krwi i kości, niegdyś żywi, teraz już tylko inicjały bądź pieśzotliwe przezwiska nadane przez zupełnie dziś niezrozumiałe uczucia i brzmiące dla nas jak sanskryt albo mowa plemienna Chickasaw; jakże mgliście widzimy teraz tych ludzi, w których krwi i nasieniu myśmy sami leżeli niegdyś we śnie, czekając – tych ludzi, którzy teraz w tym cienistym rozrzedzeniu czasu krzepną monumentalnie bohaterscy przy dokonywaniu dawnych swoich czynów prostej namiętności i prostego gwałtu – tych ludzi odpornych na czas i niewytłumaczalnych.

Otóż to: Judith, Bon, Henry, Sutpen – oni wszyscy. Oto oni, a przecież czegoś tu brak; są jak wzór chemiczny, ekshumowany z owej zapomnianej komody – ekshumowany starannie, bo papier jest stary i pożółkły, i już się rozpada: pismo

wyblakłe, prawie nie do odczytania, a jednak pełne znaczenia, dobrze znane z kształtu liter i treści, więc możemy odcyfrować symbole lotnych i wrażliwych sił; zestawiamy je razem we właściwych proporcjach, ale nic się nie dzieje; odczytujemy je ponownie, wpatrując się zmuszenie, w skupieniu, żeby się upewnić, czy o czymś nie zapomnieliśmy, czyśmy nie zrobili żadnego błędu w obliczeniach; i znów zestawiamy je razem, i znów nic się nie dzieje: widzimy tylko te słowa, te symbole, same kształty, cienie kształtów nieodgadnione i pogodne na rozdętym tle straszliwego krwawego niepowodzenia ludzkich spraw.

Tak, więc Bon i Henry przyjechali z uniwersytetu na te pierwsze ferie Bożego Narodzenia. Wtedy to Judith, Ellen i Sutpen zobaczyli Bona po raz pierwszy, Judith zobaczyła mężczyznę, którego miała widywać w sumie przez dwanaście dni (bo on wyjeżdżał z Henry'm na dłuższe polowania w sąsiedztwie), a jednak zapamiętać tak dobrze, że w cztery lata później (on po tym odjeździe w Wigilię następnego roku wcale do niej nie pisał; Henry mu nie pozwalał; bo rozumiesz, to był okres próby), po otrzymaniu od niego listu ze słowami: „Czekaliśmy już dosyć długo”, zabierze się natychmiast przy pomocy Clytie do szycia ślubnej sukni i welonu ze starych gałganków. Ellen zobaczyła w Bonie ezoteryczny, niemal barokowy, niemal dwupłciowy objet d'art, który z dziecinną zachłannością usiłowała włączyć w skład umeblowania i dekoracji swego domu. Sutpen zobaczył człowieka, w którym na pierwszy rzut oka, zanim jakiegokolwiek zaręczyny istniały gdziekolwiek indziej niż w umyśle jego żony, ujrzał potencjalną groźbę dla triumfalnego (nareszcie teraz) ukoronowania dawnych mozołów i ambicji – groźbę najwidoczniej dość konkretną, żeby uzasadnić tę sześciusetmilionową podróż po jej dowód: i to podróż właśnie jego, Sutpena, chociaż znając go przypuszczałoby się, że on raczej wyzwie i zastrzeli kogoś, kogo nie lubi albo się boi, niż przejedzie bodaj dziesięć mil w celu zasięgnięcia o tym kimś informacji. Rozumiesz? Można by nieomal uwierzyć, że ta wycieczka Sutpena do Nowego Orleanu była tylko czystym przypadkiem, po prostu dalszą odrobiną nielogicznych knoń przeznaczenia, które wybrało sobie właśnie tę rodzinę ze wszystkich innych rodzin w całym tym hrabstwie czy na całej tej ziemi – dokładnie tak, jak mały chłopiec wybiera sobie jakieś jedno mrowisko po to, by je oblać wrzątkiem, bo przedkłada je ponad wszystkie inne z jakiejś przyczyny, nawet jemu samemu nie znanej. Minęły dwa tygodnie tych ferii Bożego Narodzenia i Bon z Henry'm odjechali z powrotem na uniwersytet, zatrzymując się po drodze w Jefferson, żeby odwiedzić pannę Rosę, której jednak nie zastali w domu; w ciągu tego drugiego trymestru przed letnimi wakacjami dużo rozmawiali ze sobą, jeździli konno, no i uczyli się (Bon studiował prawo. Jasne, że studiował, nieomal musiał studiować, skoro tylko to jedno mogło uczynić jego pobyt na uniwersytecie znośnym bez względu na powód, jaki

go tam trzymał: stanowiło to zresztą znakomitą oprawę dla jego ospałego, bezwolnego życia z dnia na dzień – grzebanie się w zapleśniałych dziełach Blackstone’a i Coke’a na tej uczelni, gdzie przy dwucyfrowej liczbie ogólnej wszystkich studentów wydział prawa liczył prawdopodobnie tylko ośmiu słuchaczy, łącznie z nim, Bonem, i Henry’em; otóż to, bo on i Henry’ego skusił do studiowania prawa; Henry przeniósł się z wydziału na wydział w samym środku trymestru), przy czym Henry nadal naśladował, a raczej może karykutował sposób ubierania się i mówienia Bona. A Bon, chociaż już znał Judith, był według wszelkiego prawdopodobieństwa nadal tym samym, mającym w sobie coś z kota, leniwym sybarytą, któremu Henry zupełnie tak, jak w jesiennym trymestrze narzucał mu wraz z kolegami rolę Lotharia, teraz narzucał rolę przyszłego męża swojej siostry. A tymczasem Ellen i Judith załatwiały sprawunki w miasteczku dwa, nawet trzy razy na tydzień, i raz, jak już mówiłem, wybrały się w celu poczynienia zakupów również i do Memphis, wstępując po drodze do panny Rosy; wybrały się tam kareta, przed którą jechał pusty furgon przeznaczony na łupy tej wyprawy i na koźle której obok stangreta siedział specjalny Negr do tego, żeby w czasie postojów co kilka mil rozpalać ognisko i na nowo zagrzewać cegły pełniące rolę piecyków pod ich stopami; załatwiały teraz sprawunki, bo kompletowały wyprawę ślubną, chociaż formalne zaręczyny istniały jedynie w umyśle Ellen. A cóż na to Sutpen, po tamtej pierwszej wizycie Bona już podczas wizyty następnej w domu nieobecny? Któż może wiedzieć, co Sutpen sobie myślał, na co czekał – na jaką chwilę, na jaki dzień z tym, żeby się udać do Nowego Orleanu i dowiedzieć się rzeczy, których chyba już przedtem był pewny. Nie miał przy sobie nikogo, z kim mógłby porozmawiać o swoich obawach i podejrzeniach. Nie ufał żadnemu mężczyźnie, żadnej kobiecie, zziębnięty, pozbawiony ciepła, skoro Ellen była do miłości niezdolna, Judith była zbyt do niego podobna, a syna Bon, choćby nawet córkę jeszcze można było przed nim ocalić, zdążył już zdeprawować, co on, ojciec, musiał zobaczyć od razu na pierwszy rzut oka. Za dobrze się Sutpenowi powiodło, rozumiesz; jego udziałem stała się, więc owa samotność pełna pogardy i nieufności, owoc sukcesu, jeśli się go odniosło nie dzięki swemu szczęściu, ale po prostu własnymi wyteżonymi siłami.

A potem nadszedł czerwiec i koniec roku nauki i Henry z Bonem wrócili do Setki Sutpena; Bon przyjechał na krótko przed wyjazdem nad Rzekę, skąd parowcem udał się do domu, do Nowego Orleanu, tam gdzie Sutpen już właśnie był. Ta wizyta Bona w Setce Sutpena trwała zaledwie dwa dni, a przecież to właśnie teraz, jeśli już w ogóle kiedykolwiek, Bon miał możliwość dojścia do porozumienia z Judith, może nawet zakochania się w niej. Chociaż ani on, ani Judith nie mogli wiedzieć, że to jest dla niego możliwość raz na zawsze jedyna, skoro Sutpen w ciągu swojej zaledwie dwutygodniowej nieobecności w domu niewątpliwie już się dowiedział o tej metresie oktoronce i o tym

dziecku. Toteż można by powiedzieć, że Bon i Judith po raz pierwszy i ostatni mieli wolne pole do działania – można by tak powiedzieć, gdyby nie to, że w rzeczywistości pole do działania miała Ellen. Wyobrażam sobie, jak ona montowała te zaloty, dostarczając Judith i Bonowi najrozmaitszych okazji do romantycznych spotkań i zakłębionych, nieustannie się do nich wtrącając z nieśmiałym a niezmordowanym wścibstwem, od którego prawdopodobnie oni oboje usiłowali na próżno wymigiwać się i uciekać: Judith z nerwowym, a przecież jeszcze pogodnym zakłopotaniem, Bon z owym sardonicznym, pełnym zdumienia niesmakiem, jak się zdaje, zwykłym zewnętrznym przejawem swego niezgłębionego, mgławicowego charakteru. Otóż to: mgławicowego; bo to był mit, widmo: coś, co spłodzili i stworzyli w całości sami Sutpenowie; jakiś wyziew ich krwi i charakteru, tak jak gdyby Bon jako człowiek nigdy w ogóle nie istniał.

A jednak było przecież ciało, które zobaczyła panna Rosa, które Judith pochowała przy grobie swojej matki na rodzinnym cmentarzyku. No, i to: ten fakt przetrwania nieokreślonych, nigdy w żadne słowa nie obieczonych zaręczyn, co samo już dowodzi słuszności twierdzenia, że oni oboje się kochali, bo przecież zwykła jakaś miłostka rozwiązałaby się na pewno w ciągu tych dwóch dni, umarłaby z przesłodzenia i nadmiaru sposobności. Więc, jak już powiedziałem, Bon po dwóch dniach pojechał nad Rzekę i wsiadł na statek. I teraz to: ktoś może wiedzieć, czy gdyby Henry pojechał z Bonem właśnie wtedy, tego lata, zamiast czekać z tym do następnego Bożego Narodzenia, Bon musiałby umrzeć, tak jak umarł; gdyby tylko Henry wtedy pojechał do Nowego Orleanu i wtedy dowiedział się o tej kochance i dziecku... Bo jeszcze nie było za późno: dowiedziałby się wcześniej niż ojciec i może by zareagował na to odkrycie dokładnie tak, jak zareagował Sutpen, i tak jak przystało na zazdrosnego brata. Bo skąd można wiedzieć, czy on zadał kłam ojcu nie, dlatego, że chodziło o sam fakt tej kochanki i dziecka, ale dlatego, że to właśnie ojciec mu o tym powiedział, że uprzedził go w tym właśnie ojciec – ojciec, ten z natury rzeczy wróg każdego syna i przyszłego zięcia, którego sojuszniką jest matka, zanim po ślubie również z natury rzeczy ojciec nie zacznie sprzyjać zięciowi, mającemu śmiertelnego wroga teraz z kolei w matce swojej żony. Ale Henry tym razem z Bonem nie pojechał. Odprowadził go konno nad Rzekę i wrócił do domu: po jakimś czasie wrócił również i Sutpen i to tak, że aż do świąt Bożego Narodzenia nikt nie miał wiedzieć, dokąd i w jakim celu jeździł.

I minęło tamto lato, ostatnie lato, dawne lato spokoju i zadowolenia, kiedy Henry niewątpliwie bez świadomej intencji bronił sprawy Bona o wiele lepiej, niżby to robił sam Bon, ten leniwy, bezwolny fatalista, jeśli już w ogóle kiedykolwiek zadałby sobie ten trud. A Judith słuchała w owej pogodnej cichej zadumie, która jeszcze przed rokiem czy dwoma laty była nieokreśloną, nieskoordynowaną marzycielską ospałością młodej

dziewczyny, a teraz stała się już spokojem kobiety dojrzałej i zakochanej. Przychodziły tamtego lata listy od Bona i Henry czytał je wszystkie nie odczuwając zazdrości, całkowicie unicestwiając siebie, wcielając się jak gdyby w tamtego, który miał zostać ukochanym siostry. A Sutpen wciąż jeszcze nie mówił nic o tym, czego się dowiedział w Nowym Orleanie, tylko czekał o nic nie podejrzewany nawet przez Henry'ego i Judith, czekał nie wiadomo na co, może w nadziei, że Bon, jak należało tego oczekiwać, dowiedziawszy się, że Sutpen odkrył jego tajemnicę, uprzytomni sobie, że wszystko skończone, i już nawet nie wróci do Oxford na następny rok studiów. Ale Bon wrócił; znów spotkał się z Henry'm na uniwersytecie; i stajenny Henry'ego co tydzień przywoził listy, teraz od nich obu. A Sutpen wciąż jeszcze czekał, tym bardziej nie wiadomo na co, bo przecież jest rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, żeby czekał właśnie na święto Bożego Narodzenia na mający spaść na niego cios... on, człowiek, o którym mówiono, że nie tylko sam wychodzi na spotkanie swoim kłopotom, ale czasem nawet sam je prowokuje. Tym razem jednak czekał, i to spadło na niego: na Boże Narodzenie Henry znów przyjechał do Setki Sutpena z Bonem i teraz nawet w miasteczku uwierzono Ellen, że zaręczyny są faktem dokonany.

Nadszedł dwudziesty czwarty grudnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku i Murzyniątka z gałązkami jemioli i ostrokrzewu już się czały na tylnym dziedzińcu wielkiego domu, żeby z wrzaskiem dopominać się o „prezent na Gwiazdkę” od białych państwa, i ten bogaty pan z dalekiego miasta przybył do Judith w konkury, a Sutpen wciąż jeszcze nie mówił nic nawet wtedy; jeszcze nikt o nic go nie podejrzewał z wyjątkiem, być może, Henry'ego, który tegoż wieczora doprowadził sprawę do przesilenia; Ellen nie podejrzewała na pewno, unosząc się na najwyższej fali swego nierealnego, nieważkiego życia – na fali, która nazajutrz o brzasku miała się pod nią załamać i zmyć ją ze świata zmartwiałą, zdumioną, nic nie pojmującą, w mrok pokoju z zamkniętymi okiennicami, skąd po dwóch latach miała ją zabrać śmierć... Ta Wigilia Bożego Narodzenia, ten wybuch okryty tajemnicą, bo nikt nigdy nie miał się dowiedzieć dokładnie, dlaczego czy też jak to się stało, co takiego zaszło pomiędzy Henry'm i jego ojcem. Tylko szepty Murzynów z chaty do chaty rozsnuwały wieść o tym, że Henry z Bonem odjechali w ciemnościach i że Henry uroczyście odprzysiągł się domu rodzinnego i pierworództwa.

Odjechali obaj do Nowego Orleanu. Odjechali w zimne świtanie, a potem w jasność świątecznego dnia nad Rzekę i wsiedli na parowiec, przy czym Henry nadal prowadził i przewodził, tak jak miał prowadzić i przewodzić aż do owej ostatniej chwili, kiedy to po raz pierwszy przez cały czas ich przyjaźni role się zmieniły i poprowadził Bon, a Henry tylko poszedł za nim. Henry po zerwaniu z ojcem wcale nie musiał jechać z Bonem.

Wprawdzie stał się dobrowolnie nędzarzem, ale mógł przecież udać się do dziadka. Nie, nie musiał jechać z Bonem. Po drodze Bon usiłował od niego wydobyć, co właściwie zaszło. Bon oczywiście wiedział, co wykrył Sutpen w Nowym Orleanie, ale chciał się zorientować, co i ile z tego wszystkiego Sutpen powiedział Henry'emu. Henry jednak nie mówił nic. Niewątpliwie Henry jechał na tej nowej klaczy, wiedząc, że i ją również ma oddać, poświęcić z całą resztą swojego dotychczasowego życia i dziedzictwa; jechał teraz szybkim kłusem, sztywno wyprostowany, nieodwołalnie odwrócony od tego domu, domu rodzinnego, od tego całego swojskiego tła dzieciństwa i młodości, odrzuconego tak zdecydowanie ze względu na przyjaciela, z którym wciąż jeszcze, pomimo ofiary złożonej przez miłość i lojalność, nie mógł być całkowicie szczery. Bo wiedział, że usłyszał od Sutpena prawdę. Na pewno to wiedział już w tej samej chwili, kiedy w oczy zadał ojcu kłam. Więc teraz nie miał odwagi żądać od Bona, żeby Bon temu zaprzeczył. Nie miał odwagi, rozumiesz. Potrafił stanąć w obliczu nędzy, wydziedziczenia, ale nie potrafiłby znieść tego kłamstwa z ust Bona. Jednakże jechał do Nowego Orleanu. Jechał prosto w to jedyne miejsce, w to właśnie miejsce, gdzie choćby nie wiem jak przeciwdziałał, musiał przekonać się o prawdzie twierdzenia, które nazwał kłamstwem, kiedy je usłyszał od ojca. Jechał tam w tym celu: jechał tam, żeby to stwierdzić. A Bon, jadąc przy nim, usiłował od niego wyciągnąć, co powiedział Sutpen. Już od półtora roku Bon patrzył, jak Henry małpuje jego sposób ubierania się i wyrażania, już od półtora roku widział, że jest przedmiotem tych pełnych samozaparcia uczuć, jakimi tylko młody chłopak, nigdy kobieta, potrafi darzyć innego młodego chłopca czy mężczyznę: już dokładnie od roku patrzył, jak również i siostra za przykładem brata ulega temu samemu urokowi, i to bez żadnego aktu woli ze strony uwodziciela, nawet bez skinienia jego palca, zupełnie tak, jak gdyby to nie on, ten uwodziciel, ale sam brat rzucił urok na siostrę, uwiódł ją na rzecz własnego zastępczego obrazu, który chodził i oddychał w ciele Bona. A jednak tu jest ten list wysłany w cztery lata później, napisany lakierem do pieców, znalezionym w jakichś zdobytych składach jankeskich, na papierze ocalałym z jakiegoś wypalonego domu w Karolinie: list Bona do Judith po czterech latach, w ciągu, których tylko brat ją zawiadamiał, że on (Bon) jeszcze żyje, a od niego bezpośrednio nie miała żadnych wiadomości. Otóż wracając do tej ich podróży do Nowego Orleanu, chyba Bon sobie uświadamiał, że bez względu na to, czy Henry już wie o tamtej kobiecie, czy nie wie, teraz i tak już na pewno będzie musiał się o niej dowiedzieć. Wyobrażam ich sobie, kiedy tak jechali: Henry jeszcze rozplomieniony swoim gwałtownym zrywem w obronie lojalności, Bon mądrzejszy, bardziej bystry, choćby tylko z racji swego szerszego doświadczenia i starszeństwa; więc chociaż Henry wcale sobie tego nie uświadamiał, Bon przecież od niego wyciągał, co powiedział Sutpen. Bo Bon wiedział, że Henry teraz już na pewno

będzie musiał i tak się dowiedzieć. Nie sędzę, żeby Bon chciał przygotować grunt, po to, żeby zachować przy sobie Henry'ego jako sojusznika na wypadek, gdyby taki sojusznik w jakiejś przyszłej krytycznej chwili był mu potrzebny. Chciał przygotować grunt, bo nie tylko kochał „na swój sposób” Judith, ale kochał również Henry'ego, i to, jak sędzę, kochał go w jakimś głębszym sensie niż tylko na „swój sposób.” Może to, że bardziej z tych dwojga kochał Henry'ego, wynikało z jego fatalizmu: może widział w jego siostrze tylko cień, naczynie kobiece do spełnienia miłości, której istotnym przedmiotem był ten chłopak – miłości duchowego Don Juana w odwrotnym porządku rzeczy niż w romansach, pokochanie tego, co się zraniło. Albo może nawet chodziło o coś więcej niż tylko o Judith czy o Henry'ego: może chodziło o to życie, tę egzystencję, jakiej oboje byli symbolem. Bo kto wie, cóż za obraz spokoju Bon mógł zobaczyć w tych stojących wodach prowincjonalnej jednostajności? Jaką ulgę, jaką ucieczkę dla znużonego skwarem dróg pielgrzyma, który w zbyt młodym wieku zawędrował już zbyt daleko, mogła stanowić ta zamknięta granitowymi górami, naiwna wiejska wiosna?

Wyobrażam, więc sobie, jak Bon powiedział Henry'emu o tej kochance, jak powoli go do tego przygotowywał. Wyobrażam sobie, jak Henry stawiał pierwsze kroki w Nowym Orleanie. Przedtem nie był jeszcze nawet w Memphis: całe jego doświadczenie światowe ograniczało się do odwiedzin innych plantatorów, gdzie było mniej więcej tak samo jak w jego domu rodzinnym, gdzie znajdował takie same rozrywki, jakie miał u siebie w domu – takie same polowania i walki kogutów, i amatorskie wyścigi konne: tory wyścigowe gospodarskiej roboty i konie zupełnie w porządku, nawet pełnej krwi i z rodowodem, ale nie hodowane do wyścigów i czasem może na pół godziny przed tymi wyścigami wyprężane z linijki czy nawet karety; takie same zabawy taneczne z jednakowymi, w ogóle nie różniącymi się od siebie, prowincjonalnymi dziewczycami, przy muzyce też takiej samej jak w domu, przy takim samym szampanie, niewątpliwie najlepszym, rozlewany jednak niezdarnie przez czarnych kamerdynerów, którzy z tąże elegancją, dobrą w farsie, nosiliby po salonach i zwykłą lemoniadę (podobnie zresztą jak goście, którzy pomiędzy jednym kwiecistym, trywialnym toastem a drugim pociągali sobie tego szampana jak czystą whisky). Wyobrażam sobie Henry'ego z jego purytańskim dziedzictwem, tym szczególnie anglosaskim dziedzictwem zacieklego, dumnego mistycyzmu i drażliwości na punkcie własnej niewiedzy i niedoświadczenia. Wyobrażam go sobie w tym cudzoziemskim mieście, w paradoksalnej atmosferze tego miasta, zabójczej i roz tęsknionej zarazem, zniewieściałej i twardej jak stal. Ponury, smętny chamek ze wsi, wyrwany ze skamieniałej spuścizny ojców, stamtąd gdzie nawet domy, już nie mówiąc o ubraniu i postępowaniu, są na obraz i podobieństwo zazdrosnego, okrutnego Jehowy – wyrwany właśnie stamtąd i nagle umieszczony w dziwnym mieście,

którego mieszkańcy stworzyli sobie własnego Wszechmogącego i podtrzymujący Go chór: tę całą hierarchię nadobnych aniołów i pięknych świętych na obraz i podobieństwo własnych domów i ozdobnych strojów, i rozkosznych istnień. Otóż to, wyobrażam sobie, jak Bon powoli prowadził Henry'ego do tego wstrząsu: wyobrażam sobie tę zręczność, to wyrachowanie, kiedy przygotowywał purytański umysł Henry'ego zupełnie tak, jakby brał pod uprawę jakieś kamieniste poletko, żeby na nim wyhodować pożądane plony. Znaczenie miał sam fakt, że odbyła się ta ceremonia ślubna, bez względu na to, jakiego była rodzaju; to właśnie mogło spłoszyć Henry'ego. Bon wiedział o tym. A więc nie fakt istnienia tej kochanki czy nawet dziecka... nawet nie fakt, że ona miała w sobie krew murzyńską, a jeszcze mniej, że takąż krew miało to dziecko; to nie miało znaczenia z tej prostej przyczyny, że Judith i Henry wzrastali przecież z własną siostrą przyrodnią, Murzynką; Henry nie mógł się tą kochanką zgorszyć, z pewnością nie mógł się zgorszyć kochanką pochodzącą z Negrów żaden chłopak ze sfery Henry'ego. Przecież w środowisku, w jakim Henry wychowywał się i żył, tak zwaną płęć piękną podzielono definitywnie na trzy wyraźne kategorie, przy czym dwie z nich były rozdzielone przepaścią możliwą do przebycia tylko raz i tylko w jednym kierunku; były więc damy, kobiety i samice, to znaczy: dziewice, z którymi dżentelmeni w swoim czasie się żenili, kurtyzany, do których chodzili odprawiając swoje sabaty w miastach, i wreszcie niewolnice, na których opierała się ta pierwsza kasta dam, zawdzięczająca im w niejednym wypadku fakt swego dziewictwa. Henry więc nie mógł mieć nikomu za złe faktu posiadania kochanki Murzynki – w żadnym razie nie ten młody Henry, pełnokrwista ofiara ciężkiego celibatu przyjeździe konnej i polowaniach rozgrzewających, rozzuchwalających młodą męską krew i przy tej całej zaprawie, do jakiej on i jemu podobni byli zmuszeni, bo jakże inaczej mieliby spędzać swój wolny czas; dziewczęta z ich sfery zakazane i niedostępne, kobiety tej drugiej klasy równie nieosiągalne, bo kontakt z nimi wymagał pieniędzy i pokonywania odległości; pozostawały przeto tylko niewolnice: albo pokojówki wymuskane i wystrojone przez swoje białe panie, albo może spocone dziewczyny prosto z pola, na skraj którego taki młody człowiek podjeżdżał konno, skinieniem przywoływał pilnującego nadzorcę i powiadał: „Przyślij no mi Juno czy Missylenę, czy Chlory” – a potem wjeżdżał między drzewa, zsiadał z konia i czekał.

Nie: tu miała znaczenie ceremonia ślubna – ślub wprawdzie nieprzepisowy, i z Murzynką, niemniej ślub; to niewątpliwie leżało na sercu Bonowi. Więc wyobrażam go sobie... wyobrażam sobie sposób, w jaki on to podawał do wiadomości Henry'emu: jak wziął tę czystą negatywną kliszę prowincjonalnej duszy i umysłu Henry'ego i powoli, stopniowo wyświeślał ją w tym ezoterycznym środowisku, osiągając obraz po obrazie coraz bliższy tego, co w myśl jego decyzji ta klisza miała przyjąć i zatrzymać. Widzę, jak

on stopniowo deprawuje Henry'ego, jak go wciąga w krąg eleganckich światowych uciech, przy czym zasadniczy cel tego planu bez żadnych komentarzy wstępnych, bez żadnego uprzedzenia miał być osiągnięty dopiero wtedy, gdy klisza przyjmie ów ostateczny obraz. Widzę, jak on powoli wyświeśla tę kliszę, najpierw uzyskując lekkie kontury; konstrukcję nieco dziwną, gotyk płomienisty; zniewieściałą, a przeto w oczach Henry'ego pełną blasku, zmysłową, grzeszną; te domy, w których się wyczuwało olbrzymie, łatwo nabyte bogactwa odmierzane ładunkami parowców, a nie tym, co dotychczas było Henry'emu znane: tym żmudnym posuwaniem się spoconych ludzkich istot cał po calu poprzez pola bawełny; błyskały i lśniły niezliczone koła ekwipaży, w których kobiety królowały jak na tronach, przelatując szybko przed zdumionymi oczami, objawiając się niby nieruchome, przepiękne portrety u boku mężczyzn strojnych w koszule nieco cieńsze niż koszule, jakie Henry widywał dotychczas, i w brylanty nieco okazalsze, i w sukno nieco porządniejsze, i w kapelusze nasunięte nieco bardziej na bakier nad twarzami nieco bardziej śniadymi, o wyrazie nieco pyszniejszym. A mentor Henry'ego – ten człowiek, dla którego Henry wyrzekł się nie tylko więzów krwi i domu, ale również i chleba powszedniego, i dachu nad głową, i odzieży, ten człowiek, którego sposób ubierania i mówienia Henry usiłował ślepo naśladować wraz z całym jego podejściem do kobiet i pojęciami o dumie i o honorze – ten to mentor, patrząc na swego ucznia jak kot, z jakimś zimnym, nieodgadnionym wyrachowaniem, wreszcie, kiedy ten pierwszy obraz na kliszy już się wyłonił i ustalił, powiedział: „Ale to jeszcze nie to. To jest dopiero próg, pierwszy stopień. To może mieć każdy.”

A Henry na to: „Mówisz, że to jeszcze nie to? Że są rzeczy jeszcze większe, wyższe, bardziej wyszukane?”

A Bon na to: „Tak. To jest dopiero pierwszy stopień. To ma każdy.”

Taki dialog bez słów, rozumiesz, rozmowa obliczona na to, żeby utrwalić ten obraz i zaraz potem bez zamazywania bodaj jednej linii usunąć dotychczasowe tło z kliszy teraz już na nowo wolnej, na nowo czystej, czulej, czekającej z ową purytańską uległością na wszystko, co przyniesie raczej uczucie niż rozum, niż jakiś fakt, a za tą kliszą borykało się i dusiło ludzkie serce, powtarzając sobie raz po raz: „Będę wierzył! Będę! Będę! Wszystko jedno, czy to prawda, czy nieprawda, będę wierzył!”

I czekało na następny obraz, który ten mentor, ten deprawator zamierzał na kliszę rzucić. A potem następny obraz już się wyłonił i ustalił, a mentor, wciąż jeszcze patrząc uważnie na tę trzeźwą, zadumaną twarz, chociaż wiedział, miał pewność, że owo purytańskie dziedzictwo każe tej twarzy okazać dezaprobatę, zamiast zdumienia czy nawet rozpacz albo raczej nawet nic niż dezaprobatę, którą ktokolwiek mógłby interpretować jako zdumienie czy rozpacz powiedział teraz już może słowami: Ale nawet

to, to jeszcze nie to.”

I Henry: „Mówisz, że są rzeczy jeszcze większe, jeszcze wyższe niż nawet to?”

Już nie w dialogu bez słów, tylko w prawdziwej rozmowie, bo on (Bon) przemawiał teraz leniwie, nieomal tajemniczymi symbolami, sam osobiście nanosząc na kliszę żądany następny obraz; wyobrażam sobie, jak on to robił... wyobrażam sobie to wyrachowanie, tę chirurgiczną, zimną czujność i obojętność, to wyświetlanie krótkie, tak krótkie, że nieomal symboliczne, nieomal staccato na tej kliszy jeszcze nieświadomej, co ukaże ostatecznie wykończony obraz, na razie ledwie widoczny, a przecież już nie do wymazania. Sklepiony zaułek: powóz, koń wierzchowy przed zamkniętą, dziwnie klasztorną bramą w okolicy trochę zapuszczzonej, a nawet trochę złowrogiej – nazwisko właścicielki niedbale padające z ust Bona... niedbale, bo to był subtelnie zastosowany nowy sposób deprawacji, wytwarzanie w Henry’m pojęcia, że to jeden światowiec mówi do drugiego, że światowiec Bon mówiąc nawet jakieś oderwane słowo będzie zrozumiany przez światowca Henry’ego, przy czym Henry oczywiście nie rozumiał, o co Bonowi chodzi, ale w swoim purytanizmie raczej nie okazywał nic, niż miałby okazać zdumienie czy brak zrozumienia. Senna w porannej mgłę przezłoczonej słońcem fasada domu z zamkniętymi okiennicami, właściwie zupełnie zwyczajna, a jednak przez ten łagodny, symbolami operujący głos obdarzona jakąś tajemniczością niemożliwych do wyobrażenia, przedziwnych rozkoszy. Henry nawet nie wiedział, co to jest, ale doznał wrażenia, że ta o niczym nie świadcząca, złuszczone zapora, rozsuwając się przed nim, odkrywa nie coś, co jest zrozumiałe dla umysłu, który waży i odrzuca, ale coś, co uderza prosto i niechybnie w jakąś pierwotną, ślepą i niepomną podwalinę marzenia i nadziei wszystkich młodych mężczyzn. Ten rząd twarzątek niby wystawa kwiatów, ta najwyższa apoteoza własności, ciał na ten targ wyhodowanych z dwóch ras, czarnej i białej – szpaler skazanych, tragicznych twarzątek jak kwiaty w otoczeniu posępnych starych dueni i eleganckich panów, wymuskanych, drapieźnych i (w tej chwili) sprośnych jak kozły. Ukazał się Henry’emu ten obraz przelotnie, szybko został na kliszy wyświetlony i zaraz z niej usunięty, po czym znów odezwał się mentor, głosem nadal łagodnym, przyjemnym, operując symbolami, nadal zakładając, że to mówi jeden światowiec do drugiego o czymś co oni obaj dobrze rozumieją, nadal opierając się na tym purytanizmie, licząc na ten strach purytańskiego prowincjusza przed okazaniem zdumienia czy niewiedzy, bo przecież Bon znał Henry’ego o wiele lepiej, niż Henry znał Bona. A Henry istotnie nic po sobie nie pokazał, Henry wciąż jeszcze powstrzymywał ów pierwszy krzyk grozy i żalu: „Będę wierzył! Będę! Będę!”

Otóż to, obraz ten ukazał się przelotnie, tak przelotnie, że Henry nawet nie zdążył sobie uświadomić, co właściwie zobaczył. Ale teraz Bon zwalniał tempo: nadchodziła

chwila, do której zmierzał.

Nowy obraz: jakiś mur nie do przebycia, w tym murze wrota ciężkie, zaryglowane; trzeźwy wiejski chłopak po prostu czeka w skupieniu, wciąż jeszcze bez pytań: „Dlaczego?” ani „Co to jest?” A więc wrota z masywnych belek, a nie jak zazwyczaj w Nowym Orleanie z koronkowych żelaznych krat; minęli te wrota i Bon zapukał do małej przybudówki przy murze, z której wyszedł śniady człowiek, jakby żywcem wycięty z jakiegoś starego drzeworytu przedstawiającego szumowiny rewolucji francuskiej; zaniepokojony, a nawet trochę przerażony popatrzył najpierw na jasny dzień wokół, a potem na Henry’ego i powiedział do Bona po francusku coś, czego Henry nie zrozumiał, a Bon błysnął zębami w uśmiechu i również po francusku mu odpowiedział: „Z nim? Z Anglosasem? To przecież gość. Musiałbym mu więc dać wybór broni, a stanowczo nie mam ochoty pojedynkować się na topory. Nie, nie; co to, to nie. Chodzi mi po prostu o klucz.”

Po prostu o klucz; i już te masywne wrota zamknięte są za nim zamiast tak jak przed chwilą były przed nimi; nad wysokim grubym murem nie widać nic, co by świadczyło o istnieniu tego niskiego miasta wokół, nie słychać prawie żadnych odgłosów miejskich; są tylko gąszcza oleandrów, jaśminów, lantan i mimoz, niby jeszcze jeden mur otaczające zielonym labiryntem pas gołej ziemi wysypany mielonymi muszlami, zagrabiony i nieskazitelny, i na nim widoczne tylko najświeższe brązowe palmy; i zaraz ten głos mentora – przewodnika, który stoi z boku, patrząc na poważną twarz prowincjusza: głos niedbały, mile gawędziarski: „Zwyczajowo przyjęty sposób to stanąć plecami do pleców przeciwnika z pistoletem w prawej ręce i skrajem peleryny przeciwnika w lewej. Na dane hasło obaj przeciwnicy ruszają przed siebie i w momencie kiedy czują, że peleryna w ręce się napręży, odwracają się i strzelają. Chociaż od czasu do czasu są i tacy, którzy mają krew szczególnie gorącą albo jeszcze do tego chłopską, więc wolą wybrać noże i jedną pelerynę. Stoją naprzeciw siebie, uważasz, pod jedną peleryną, przy czym jeden drugiego trzyma za przegub lewej ręki. Ale ja się nigdy w ten sposób nie pojedynkowałem...”

Powiedział to tak sobie, niedbale, tonem pogodnej pogawędki, rozumiesz, i czekał na opóźniające się pytanie tego wieśniaka, który już znał odpowiedź, zanim spytał: „O co ty byś... o co oni mieliby się pojedynkować?”

Otóż to! Henry już wiedział albo raczej zdawało mu się, że już wie; co więcej, tę sprawę pojedynków prawdopodobnie uważał za punkt szczytowy, więc tym samym gotów był przyjąć już bez większego wrażenia to, co miało nastąpić później – ten cios ostateczny, samo zadanie tego ciosu – niby skomplikowane cięcie dokonane przez zręcznego chirurga, cięcie, którego pacjent nawet nie czuje swymi już przedtem porażonymi nerwami, nie wiedząc, że tamte uprzednie mocne wstrząsy, jakich doznał,

były tylko uderzeniami na chybił trafił, żeby dotrzeć do siedliska choroby. Bo znaczenie miała ceremonia ślubna. Bon wiedział, że właśnie temu Henry by się opierał, właśnie to uznałby za trudne do przełknięcia. Och, bo on był przebiegły, ten Bon. Henry, który już od tygodni zdawał sobie sprawę, że go wcale nie zna, mierząc swój nowy surdut patrzył teraz, jak ten obcy mu człowiek, z całym zapamiętaniem pogrążony w uroczystych, nieomal obrzędowych przygotowaniach do tej ważnej wizyty, grymasi nad jego nowym surdudem prawie jak kobieta. Bo Bon obstał dla Henry'ego surdut, zmusił Henry'ego do przyjęcia tego prezentu, który miał służyć do wytworzenia z góry nastroju tej wizyty, jeszcze zanim wyruszyli z domu, zanim Henry zobaczył tę kobietę. Tak, więc Henry, oszołomiony wieśniak, popłynął na nieuchwytnej fali spokojnie niosącej go do punktu, gdzie musiał albo zdradzić samego siebie i całe swoje wychowanie, i sposób myślenia, albo też wyprzeć się przyjaciela, dla którego już wyrzekł się domu i rodziny, i w ogóle wszystkiego. Oszołomiony i (w tym czasie) bezradny, gotów wierzyć wbrew samemu sobie, dał się przyjacielowi, mentorowi, wprowadzić w jedną z owych nieodgadnionych, dziwnie zmartwiałych sieni, podobną do tej, przed którą zobaczył niedawno tego wierzchowca i ten powóz, a potem dalej w głąb domu, aż tam gdzie swoim purytańskim, prowincjonalnym umysłem uznał, że wszelka moralność stanęła na głowie i że wszelki honor zaginął. Bo to było miejsce stworzone dla rozkoszy, dla nieposkromionych i bezwstydných zmysłów, dla nich i przez nie. Ten wiejski chłopak z całym swoim prostym, kiedyś tak zupełnie jasnym kodeksem moralnym, w którym kobiety to albo damy, albo ladaczniczki, albo niewolnice, patrzył teraz na apoteozę dwóch skazanych ras, patrzył, jak tej apoteozie patronuje jej własna ofiara – kobieta z twarzą jak tragiczna magnolia, ta odwieczna Ona, odwieczna Ta-Co-Cierpi; i patrzył na tego malca, na to dziecko śpiące wprawdzie w jedwabiach i koronkach, ale w pełnym znaczeniu tego słowa będące po prostu ruchomością dla tego, kto je spłodził i posiadał jego ciało i duszę, i mógł sprzedać (jeżeli tylko chciał) jak cielaka czy szczeniaka, czy owcę. A mentor znów obserwował swego ucznia, może nawet przestając być w tej chwili mentorem, może jak gracz pytając się w myśli: „Wygrałem czy przegrałem?” Może kiedy stamtąd wyszli i wrócili do apartamentów Bona, Bon nie był na razie zdolny nawet do powiedzenia czegokolwiek, do żadnej przebiegłości, bo tym razem już nie liczył na ów purytański charakter, któremu nie wolno okazywać ani zdumienia, ani rozpacz – bo tym razem musiał liczyć (jeżeli w ogóle mógł na coś liczyć) na sam stopień zdeprawowania, na miłość; nie mógł nawet zapytać: „No, co powiesz?” Mógł tylko czekać, i to na coś nie dającego się przewidzieć, na posunięcie człowieka kierującego się instynktem, a nie rozumem. Więc czekał, aż Henry się odezwał pierwszy: „Ale kobieta kupiona. Ladaczniczka.”

Odpowiedział mu łagodnie nawet teraz: „Nie ladacznica. Nie mów tak. Co więcej, nigdy tutaj w Nowym Orleanie żadnej z nich nie określaj tym mianem. Bo w przeciwnym razie może dojść do tego, że będziesz musiał za własną krew kupić sobie przywilej mówienia w ten sposób, i to prawdopodobnie od tysiąca mężczyzn.”

I dalej mówił wciąż jeszcze łagodnie, może nawet z niejaką litością: ową pesymistyczną, sardoniczną litością intelektualną, jaką człowiek inteligentny odczuwa dla wszelkiej ludzkiej niesprawiedliwości czy głupoty, czy cierpienia: „Nie ladacznica. One nie są ladacznicami, a tym bardziej nie są ladacznicami za naszą sprawą, przez nas, przez ten tysiąc mężczyzn. Wprawdzie to my, ten tysiąc, biali mężczyźni, to myśmy je powołali do życia, stworzyli, wyprodukowali; myśmy nawet ustanowili prawo, w myśl którego jedna ósma krwi rasy czarnej przeważa siedem ósmych krwi rasy białej. Przyznaję to. Ale inni biali i z nich też by uczynili niewolnice, służące, kucharki, może nawet robotnice rolne, gdyby nie ten tysiąc, tych niewielu mężczyzn, może pozbawionych, twoim zdaniem zasad i honoru. My nie możemy, może nawet nie chcemy ocalić ich wszystkich. Może tysiąc tych dziewcząt, ocalałych dzięki nam, nie stanowi nawet jednego tysiąca na milion. Ale ocalamy przynajmniej ten tysiąc. Bóg może oznaczyć pierwszego lepszego wróbla, ale my się nie bawimy w Boga, uważasz. Może nawet nie chcemy być Bogiem, ponieważ żaden mężczyzna nie chciałby mieć tylko pierwszego lepszego wróbla. A z drugiej strony, Bóg wglądając w jakąkolwiek z tych instytucji podobnych do tej, którą ty dzisiaj zobaczyłeś, też może by nie wybrał żadnego z nas na swoje miejsce teraz, kiedy On już jest stary i zmęczony. Chociaż On musiał niegdyś być młody, chyba był niegdyś młody, więc chyba to już nie jest interesujące dla kogoś, kto istnieje tak długo jak On i tak jak On musi patrzeć na tyle chamskich i rozwiązłych grzechów popełnianych bez wdzięku, bez żadnego umiaru czy przyzwoitości, i ostatecznie musi widzieć również i zasady honoru, przyzwoitości i dobrego wychowania, choćby nawet ich przykłady zdarzały się raz na milion, w odniesieniu do tego idealnie zdrowego instynktu, który, wy, Anglosasi, z uporem nazywacie chucią, ale mu służycie powracając wtedy w swoje sabaty do pierwotnych pieczar, przy czym to odejście od tak zwanej przez was łaski jest zamglone i zachmurzone, urągając niebiosom skruchą i tłumaczeniami, natomiast powrót do łaski jest otrąbiany, zwiastowany przeproszającymi niebiosą, błagalnymi krzykami nasyconego upodlenia i samobiczowania. Otóż patrząc na to wszystko tak długo niebiosą chyba nie mogą już w niczym, ani w tym urąganiu, ani w tym przeproszaniu, znaleźć nic ciekawego, nic, co by stanowiło jakąkolwiek rozrywkę nawet po pierwszych paru razach. Więc może Bóg teraz, kiedy już jest starcem, wcale się nie interesuje, w jaki my sposób służymy temu, co wy nazywacie chucią; może On nawet nie wymaga od nas, żebyśmy ocalili tego

jednego wróbla, podobnie jak my z naszej strony, ocalając naszego wróbla, wcale nie robimy tego w celu uzyskania od Boga jakiegokolwiek pochwały. Ale oczywiście ocalamy tego jednego wróbla – tę jedną dziewczynę, która, gdyby nie my, zostałaby sprzedana byle chamowi mogącemu sobie pozwolić na zapłacenie jej ceny, przy czym ten cham posiadłby ją nie tylko jak białą prostytutkę na jedną noc, ale jej ciało i duszę na całe życie, mogąc ją wykorzystywać z większą bezkarnością, niżby wykorzystywał jakieś zwierzę: jałówkę czy klacz, a potem, kiedy ją zużyje, kiedy przestanie mu się opłacać jej utrzymanie, odrzucić czy sprzedać, czy nawet zamordować. Tak: to wróbel, którego Bóg opuścił i nie oznaczył. Bo chociaż stworzyli ją mężczyźni, biali mężczyźni, Bóg jakoś temu nie zapobiegł. Bóg posiał ziarno, z którego ona wzrosła, rozkwitła jak piękny kwiat. Bóg wlał w nią krew rasy białej po to, żeby barwę skóry i kształty tego czegoś, co biali mężczyźni nazywają kobiecą pięknnością, nadać czarnej pra-kobiecie, która żyła już królewska i pełna w tej gorącej równikowej pachwinie świata na długie wieki przed czasem, kiedy ta nasza biała zeszła z drzew i utraciła swoje małpie uwłosienie, i zbielała; prakobiecie doskonale uległej, nabrzmiałej ową nieznaną, dziwną, pradawną rozkoszą cielesną (która jest przecież wszystkim, bo nie ma nic innego), rozkoszą, od jakiej białe jej siostry, nie mające za sobą tradycji dnia wczorajszego, uciekają w świętym oburzeniu i grozie. A już jeżeli nie uciekają, to koniecznie muszą czynić wszelkie starania, żeby sprawę rozkoszy zamienić w sprawę pieniędzy, zupełnie tak jak ktoś, kto się upiera przy wstawieniu lady czy wagi, czy kasy do jakiegoś składu czy przedsiębiorstwa w zamian za pewien procent zysków. Tymczasem tamta mądra, bezwolna i zarazem wszechmocna króluje z tronu swego bezsłonecznego jedwabnego łoża. Nie, nie ladacznice. Nawet nie kurtyzany – te istoty wybrane troskliwie w dzieciństwie i zerwane jak kwiaty, i dogłądane staranniej niż jakakolwiek dziewczyna biała, jakakolwiek zakonnica, a nawet niż jakakolwiek klacz pełnej krwi. Osoba, która nad nimi czuwa, otacza je taką zawsze czujną pieczołowitością, taką uwagą, jakiej nigdy nie okaże żadna matka. Robi to oczywiście za pewną cenę, ale za cenę ofiarowaną, po czym albo przyjętą, albo odrzuconą w drodze systemu bardziej formalnego niż jakikolwiek system stosowany przy sprzedaży białych dziewcząt, ponieważ te są towarem cenniejszym niż białe, ponieważ te wychowuje się i szkoli specjalnie po to, żeby wypełniały jedyny cel i przeznaczenie kobiety: to znaczy, żeby kochały, żeby były piękne, żeby bawiły; czuwa się nad tym, żeby nie widziały ani jednej męskiej twarzy, dopóki nie przywiezie się ich na ten wprowadzający bal, gdzie zostają zaoferowane jako towar i wybrane przez mężczyzn-nabywców. Mężczyzna biorąc taką dziewczynę musi w zamian – nie to, że może czy chce, ale m u s i – dać jej właściwą oprawę do tego, żeby kochała i była piękna, i bawiła, a ponadto zazwyczaj życiem czy już przynajmniej wpływem krwi ryzykuje przywilej jej posiadania. Nie, nie, nie ladacznice.

Czasem mi się wydaje, że w Ameryce są to jedyne kobiety naprawdę czyste, że już nie powiem dziewicze, bo pozostają bezwzględnie wierne jednemu mężczyźnie nie tylko do chwili, kiedy on umiera albo je wyzwala, ale aż do chwili swojej własnej śmierci. A gdzie znajdziesz ladacznicę czy damę, u której możesz na pewno na to liczyć?”

A Henry na to: „Ale tyś ją pojął za żonę. Tyś ją pojął za żonę.

A Bon – teraz już odrobinę gwałtowniej, odrobinę ostrzej, chociaż nadal łagodnie, cierpliwie, chociaż nadal nieugięty jak żelazo, jak stal – pewny siebie gracz, jeszcze niezupełnie zmuszony do wyciągnięcia ostatniego atutu: „Aha, ta ceremonia. Rozumiem. Więc o to ci chodzi. Przecież to czcza formułka pogańskiego obrzędu, jakieś hasło bez znaczenia wygłoszone przez kogoś powołanego specjalnie dla wymogów tej sytuacji: w lochu oświetlonym garścią palących się włosów, mamlanie starej czarownicy w języku, którego nawet te dziewczęta już nie rozumieją, a może nie rozumie nawet i sama czarownica; ta ceremonia, chociaż nie przynosi żadnych korzyści finansowych dziewczynie czyjej ewentualnemu potomstwu, już przez samo to, żeśmy się zgodzili przecierpieć tę farsę, jest dla niej dowodem i zapewnieniem tego, czego ceremonia jako taka w żadnym razie nie mogłaby na nas wymusić. Przecież to nie nadaje nikomu żadnych praw nowych, nie odbiera nikomu żadnych jego praw starych – obrzęd bez znaczenia, jak tajne nocne rytuały uczniaków, nawet te same archaiczne symbole. I ty to nazywasz małżeństwem, kiedy zarówno noc poślubna, jak i przypadkowy kontakt z prostytutką polega na takiej samej suwerenności w jakimś zacisznym pokoju i na takim samym porządku zdejmowania z siebie takiego samego ubrania, i wreszcie na takim samym złączeniu się w jednym łóżku. Czemu ty chcesz to nazywać małżeństwem?”

A Henry na to: „Och, ja wiem. Ja wiem. Dodajesz przy mnie dwa do dwóch i mówisz, że to razem jest pięć, więc to naprawdę już jest pięć. Niemniej nawet takie małżeństwo jest małżeństwem. Przypuśćmy, że podejmuję jakieś zobowiązania wobec kogoś, kto nie zna mojego języka i chce, żeby to zobowiązanie zostało wygłoszone w jego własnym języku, a ja się na to zgadzam. Czy dlatego, że przypadkiem nie nauczyłem się przedtem języka, w jakim ten ktoś mnie przyjął w dobrej wierze, ta cała formalność zobowiązuje mnie choć trochę mniej? Nie: to mnie zobowiązuje tym bardziej, tym bardziej.”

A Bon na to, już wyciągając swój atut, już głosem znów zupełnie łagodnym: „Czy zapominasz, że ta kobieta, ten dzieciak to Negry? Ty, Henry Sutpen z Setki Sutpena w stanie Missisipi? Ty mówisz o małżeństwie, o ślubie w tym wypadku?”

A Henry – już z rozpaczą, z ostatnim okrzykiem gorzkiego protestu wobec klęski swojej klęski: „Tak. Ja wiem. Ja to wiem. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. To niesłuszne. Nawet fakt, że to robisz ty, nie czyni tego słusznym. Nawet fakt, że to robisz ty.”

I na tym się skończyło. Na tym powinno było się skończyć; tamto popołudnie, które nastąpiło dopiero w cztery lata później, powinno było nastąpić nazajutrz; te cztery lata, ta przerwa były tylko odprężającym złagodzeniem, przedłużeniem epilogu, chociaż ten epilog już dojrzał, więc mógł nastąpić nazajutrz po tej ich rozmowie... przedłużeniem spowodowanym przez wojnę, przez to głupie, krwawe opętanie, jakiemu uległo wzniosłe (i niemożliwe) przeznaczenie Stanów Zjednoczonych. Być może, przyczyniła się do tego również i owa fatalność ciążyąca nad rodziną Sutpenów, fatalność, która przy wszystkich innych swoich cechach przejawiała zupełny brak poczucia równowagi pomiędzy przyczyną a skutkiem – owa rozrzutność, zresztą zawsze charakterystyczna dla Losu, kiedy jest zmuszony do używania istot ludzkich jako narzędzi, jako materiału przy dokonywaniu swoich wyroków. Tak czy owak, Henry czekał cztery lata, trzymając siebie i Bona, i Judith w tym zawieszeniu, w tym areszcie; czekał z nadzieją, że może Bon wyrzeknie się tej kobiety i rozwiąże to małżeństwo, które, jak już nawet on sam (Henry) przyznawał, małżeństwem wcale nie było; czekał, chociaż zapewne już od pierwszej chwili, odkąd zobaczył tę kobietę i dziecko, wiedział, że Bon się ich nie wyrzeknie. Co więcej w miarę jak czas mijał i Henry przyzwyczajał się coraz bardziej do myśli, że ta ceremonia ślubna nie była zawarciem związku małżeńskiego, może cały jego kłopot zaczął polegać na czymś innym – nie na tym, że Bon już zawarł jeden ślub, ale na tym, że mógłby żyć z dwiema kobietami naraz; nie chodziło o to, że Bon zamierza popełnić bigamię, ale o to, że w rezultacie siostra jego (Henry'ego) mogłaby się stać czymś w rodzaju młodszej żony w haremie. Tak czy owak, Henry czekał, miał nadzieję, przez cztery lata.

Na wiosnę po tym drugim Bożym Narodzeniu Henry i Bon wrócili z Nowego Orleanu na północ, do Missisipi. To już było po bitwie pod Bull Run i na uniwersytecie organizowano kompanię studencką. Obaj wstąpili do tej kompanii. Prawdopodobnie Henry napisał wtedy do Judith, gdzie oni są i co zamierzają zrobić. Zaciągnęli się razem, rozumiesz, z tym, że Henry pilnował Bona, a Bon pozwalał się pilnować, bo to był okres próby, ten areszt: Henry wolał nie spuszczać Bona z oczu. nie z obawy jednak, że Bon pozostawiony sam sobie ożeni się z Judith, kiedy on, Henry, nie zdoła temu przeszkodzić, tylko z obawy, że jeżeli Bon w czasie jego, Henry'ego, nieobecności ożeni się z Judith, to on (Henry) będzie musiał żyć aż do śmierci ze świadomością, że chociaż go w ten sposób zdradzono, on się z tego cieszy, cieszy się jak byle tchórz, który się poddał na polu walki nierozstrzygniętej. Bon nie rozłączył się z Henry'm z tegoż samego powodu; najwidoczniej nie chciał mieć Judith samej bez Henry'ego, bo przecież od początku nie wątpił, że mógłby ożenić się z Judith wbrew woli jej brata i jej ojca. Powtarzam zawsze, to nie Judith była przedmiotem miłości Bona czy też przyczyną samotności Henry'ego.

Judith była tylko pozbawionym indywidualności kształtem, pustym naczyniem, w którym każdy z nich dwóch usiłował przechować nie wyobrażenie własne o samym sobie, czy o tym drugim, ale wyobrażenie o tym kimś, kim, jak mu się zdawało, był w oczach tego drugiego. Jeszcze zanim Judith, choćby tylko jako dźwięk dziewczęcego imienia, weszła w ich wspólne życie, ci dwaj – ten mężczyzna i ten chłopak, uwodziciel i uwiedziony – już poznali się wzajemnie, już się uwodzili i z kolei byli uwodzeni, terroryzowali się wzajemnie, przy czym zwycięzca zwyciężał dzięki własnej sile, zwyciężony zwyciężał dzięki własnej słabości. I kto wie? teraz była wojna; więc kto wie, czy zarówno te złe moce, jak i ich ofiary nie myślały, nie miały nadziei, że wojna tę sprawę załatwi, uwalniając jednego z tych dwóch nieprzejednanych, bo czyż mało to razy młodość przyjmuje katastrofę jako bezpośrednią ingerencję Opatrzności, mającą na celu wyłącznie rozwiązanie jakiegoś problemu osobistego, kiedy sama młodość rozwiązać go nie potrafi.

A Judith: jakże inaczej można ją wytłumaczyć, jeżeli nie w ten sposób? Chyba Bon w ciągu dwunastu dni nie zdążył jej zarazić fatalizmem – on, który nie usiłował nie tylko zarazić jej rozwiążnością, ale nawet rzucić wyzwania jej ojcu. Nie: była raczej wszystkim, tylko nie fatalistką; była z krwi i kości Sutpenówną, z tym bezwzględnym sutpenowskim kodeksem pozwalającym brać wszystko, co się chce, byleby się miało dostateczną siłę, podczas gdy z tych dwojga dzieci Henry był Coldfieldem, z coldfieldowskim pomieszaniem pojęć moralnych, zasad dobra i zła; przecież owego wieczora w dzieciństwie, kiedy Henry na widok Sutpena na pół nago walczącego z jednym z tych dzikich na pół nagich Negrów krzyczał i wymiotował, ona, Judith, wyglądała przez otwór w poddaszu, patrząc tak chłodno, uważnie i ciekawie, jak Sutpen przyglądałby się walce Henry’ego z jakimś małym czarnuchem w jego wieku i o jego wadze. Judith nie mogła wiedzieć, dlaczego ojciec sprzeciwił się temu małżeństwu. Henry jej nie powiedział, a ona sama nie zapytałaby o to ojca. Zresztą, nawet gdyby wiedziała, nie sprawiłoby to jej żadnej różnicy. Postąpiłaby nie inaczej, niż postąpiłby Sutpen z każdym, kto by mu stanął na drodze: przyjęłaby oświadczyzny Bona, tak czy owak. Wyobrażam sobie, że ona w razie potrzeby mogłaby nawet zamordować tamtą kobietę. Ale z pewnością nie przeprowadzałaby żadnego śledztwa, a potem by nie roztrząsała w imię moralności wszelkich „za” i „przeciw” tego, co chciała, i tego, co uważała za słuszne. A jednak czekała. Cztery lata czekała, nie mając od Bona żadnych wiadomości, wiedząc tylko tyle, że on żyje, o czym zawiadamiał ją Henry. To był ten okres próby, ten areszt; wszyscy troje to zgodnie przyjęli i nie sędzę, żeby Henry i Bon coś sobie przy tym wzajemnie obiecywali bądź żądali od siebie obietnic. Ale Judith przecież nie mogła wiedzieć, co i dlaczego stało się w tamtą Wigilię Bożego Narodzenia... Czy zauważyłeś, jak często, kiedy usiłujemy

odtworzyć przyczyny pewnych ludzkich postępów, ze zdumieniem stwierdzamy, że pozostaje nam tylko wierzyć, że postęпки te wynikają z pewnych dawnych cnót ludzi, którzy je popełnili? Bywają złodzieje, którzy kradną nie przez chciwość, ale z miłości, mordercy, którzy zabijają nie z żądzy krwi, ale ze współczucia. Judith zaufaniem bez zastrzeżeń darzyła to, co kochała, i miłością bez zastrzeżeń darzyła to, z czego wywodziło się jej życie i duma: ta duma prawdziwa, a nie falsyfikat dumy przetwarzający sprawy w danej chwili niezrozumiałe w przedmiot swojej wzdargy, w narzędzie swojej zniewagi, żeby w ten sposób znaleźć upust w rozdrażnieniu i w szarpaninie – to była ta prawdziwa duma, więc bez uczucia poniżenia potrafiła sobie powiedzieć: „Kocham, nie zgodzę się na żadne namiastki; coś zaszło pomiędzy nim a moim ojcem; jeżeli ojciec ma rację, to już nigdy go nie zobaczę; jeżeli ojciec nie ma racji, to on przyjedzie albo mnie wezwie do siebie; jeżeli mogę być szczęśliwa, to szczęśliwa będę; jeżeli muszę cierpieć, to cierpieć mogę.”

Bo ona przecież czekała, nie czyniła żadnych wysiłków, żeby robić cokolwiek innego. Jej stosunki z ojcem nie zmieniły się ani na jotę; widząc ich oboje razem można by myśleć, że Bon nigdy w ogóle nie istniał; oboje mieli taki sam nieprzenikniony spokój na twarzach, kiedy powozem przyjeżdżali do miasteczka w ciągu miesięcy choroby Ellen od tamtych świąt Bożego Narodzenia do dnia, w którym Sutpen odjechał z Sartorisem na czele pułku. Nie rozmawiali ze sobą, nic sobie nie mówili – Sutpen nie mówił tego, czego się dowiedział o Bonie, Judith nie mówiła, że wie, gdzie Henry i Bon się znajdują. Nie potrzebowali ze sobą rozmawiać. Zbyt byli do siebie podobni. Tak to bywa z dwojgiem ludzi, którzy znają się już wzajemnie tak dobrze bądź podobni są do siebie tak bardzo, że rozumieją się doskonale bez pomocy ucha czy umysłu, przy czym zarówno cała zdolność, jak potrzeba porozumiewania się słowami, wskutek tego, że słów nie używają, stopniowo u nich zanika, aż oboje, kiedy jednak rozmawiają, nie mogą zupełnie się zrozumieć. Więc Judith nie mówiła Sutpenowi, gdzie są Henry i Bon, wobec czego Sutpen dowiedział się o nich dopiero wtedy, gdy ta kompania studencka wyruszyła w pole. Bo Bon i Henry dopiero wtedy się do niej przyłączyli, czekając na jej wymarsz gdzieś w ukryciu, chociaż zaciągnęli się już przedtem, w czasie jej organizowania. Najpewniej tak było. Najpewniej zatrzymali się w Oxford tylko po to, by się do tej kompanii zaciągnąć, i natychmiast pojechali gdzieś dalej, ponieważ nikt, kto ich znał w Oxford czy w Jefferson, nie wiedział wówczas, że oni już są żołnierzami, czego raczej nie dałoby się ukryć, gdyby ich tam widziano.

Bo teraz ludzie – ojcowie i matki, i siostry, i krewni, i narzeczone tych młodych żołnierzy – ściągali do Oxford z okolic dalszych niż Jefferson, ściągali całymi rodzinami z żywnością, pościelą, służbą na biwak u mieszkańców samego Oxford, żeby napawać

oczy buńczuczными marszami i kontrmarszami swoich synów i braci, i ukochanych; oni wszyscy – bogaci i biedni, arystokraci i robotnicy rolni – zjeżdżali tu przyciągnięci tym, co prawdopodobnie jest widowiskiem najbardziej poruszającym, najmocniejszym ze wszystkich ludzkich doznań masowych, znacznie podnioślejszym niż widok owych niezliczonych dziewic niegdyś w ofierze składanych jakiejś pogańskiej Zasadzie, jakimś Priapowi... Oto młodzi żołnierze, lekkie, śmigłe ciała, wartko płynąca w żyłach waleczna, oszukana krew, oto młodzi żołnierze, w połyskach wojennych mosiądzów, pióropuszcach maszerują w bój. A nocami była tam muzyka – skrzypce i triangle – płonęły świece, w wysokich oknach wzdymały się firanki poruszane nocnym podmuchem tej kwietniowej ciemności, kołysały się krynoliny bez różnicy, w oplocie szarych, pozbawionych naszywek rękawów żołnierza i w oplocie złotym galonem obszytych rękawów oficera, bo to było wojsko, jeżeli nawet nie wojna, panów, dżentelmenów, gdzie szeregowiec i pułkownik mówili do siebie po imieniu, nie tak, jak mówi po imieniu farmer do farmera nad zatrzymanym pługiem na zagonie bądź nad sztukami perkalu, serem i smarami w wiejskim sklepiku, ale tak, jak mówią do siebie mężczyźni nad uroczymi, upudrowanymi ramionami kobiet, nad dwoma wzniesionymi kielichami wina z własnych piwnic albo sprowadzonego szampana... Muzyka i co noc powtarzający się ostatni walc, bo z dnia na dzień kompania czekała na rozkaz dowództwa, gotowa do wymarszu; te buńczucznie rozmigotane białe gwiazdy na tle czarnej chmury, która jeszcze nie była katastrofą, tylko po prostu tłem, to odwieczne pożegnalne wdychanie bezpowrotnej wonnej wiosny młodości; a Judith tam nie było i nie było tam Henry'ego, tego romantyka, ani Bona fatalisty, bo oni obaj: ten, który pilnował, i ten, który był pilnowany, przebywali gdzieś w ukryciu, a tu wciąż i wciąż przepełnione kwiatami, rozsrebrzone dźwiękami trąbek świty tego kwietnia, maja i czerwca wlewały się w sto okien, za którymi sto nie zaślubionych wdów w koronach ciemnych i kasztanowatych, i złotych loków spoczywało na błogich, bezpamiętnych falach dziewiczych marzeń sennych, a Judith nie była jedną z nich; i pięciu z kompanii w nowych, nieskazitelnych szarych mundurach ze stajennymi i osobami służącymi w wozie furazowym jeździło konno po całym stanie, wożąc sztandar kompanii sfastrygowany ze skrawków jedwabiu od domu do domu, dopóki każda ukochana każdego żołnierza w kompanii nie zrobiła na nim własnoręcznie paru ściegów. A Henry'ego i Bona wśród tych pięciu również nie było, bo przyłączyli się do kompanii dopiero po jej wyruszeniu na front. Zapewne z tej kryjówki, w której się zaczaili, żeby wstąpić w szeregi kompanii w przemarszu, wynurzyli się tak, jakby dołączali się niepostrzeżenie wychodząc z krzaków przydrożnych czy z gęstwiny lasu. Oni obaj, ten chłopak i ten mężczyzna: chłopak teraz już dwukrotnie pozbawiony swoich praw rodowych, bo przecież powinien być jednym z tych żołnierzy

żegnanych w blasku świec, przy muzyce skrzypiec, wśród pocałunków i łez rozpacz, powinien nawet być jednym z tego pocztu sztandarowego objeżdżającego stan z nie uszytym sztandarem; i ten mężczyzna, który tam w ogóle być nie powinien, który był za stary, żeby tam w ogóle być, za stary zarówno wiekiem, jak doświadczeniem – ten psychicznie i duchowo osierocony człowiek, skazany najwidoczniej na bytowanie w jakiejś otchłani w połowie drogi pomiędzy miejscem, gdzie się znajdował, a miejscem, gdzie pragnął się znajdować ze swoją mentalnością, z całym duchowym zapasem nagromadzonych doznań; był wprawdzie studentem tego uniwersytetu, ale ze względu na sam tylko dojrzały wiek wciśniętym na kurs prawa pozaakademicki, liczący zaledwie sześciu słuchaczy; był żołnierzem, ale z tego samego względu żołnierzem wyniesionym na wojnie w odosobnienie stopnia oficerskiego. Otrzymał stopień porucznika, zanim kompania stoczyła pierwszą bitwę. Nie sędzę, żeby tego chciał; wyobrażam sobie nawet, że próbował tego uniknąć, nie przyjąć. Ale tak już się układało: jeszcze raz został osierocony przez tę samą sytuację, na którą i przez którą był skazany. Tak, więc oni obaj byli na wojnie – teraz już oficer i żołnierz, ale wciąż jeszcze jeden z nich pilnował, drugi był pilnowany, wciąż jeszcze obaj czekali sami nie wiedząc na co, na jaki akt losu, przeznaczenia, na jaki wyrok Sędziego czy Arbitra, który miał rozstrzygnąć tę sprawę raz na zawsze już nieodwołalnie, ponieważ nic połowicznego, nic, co by dało się odwołać, chyba by nie wystarczyło. Ten oficer, ten porucznik posiadał z urzędu lekką przewagę, bo przecież mógł powiedzieć: „Wy tam idźcie”, a sam przynajmniej pozostać z tyłu za swoim plutonem, ten szeregowiec takiej przewagi nie miał, ale na własnych plecach przeniósł tego oficera rannego w ramię, kiedy pułk pod ostrzałem artylerii jankeskiej wycofywał się spod Pittsburgh Landing – przeniósł go w bezpieczne miejsce najwidoczniej po to, żeby móc go pilnować jeszcze przez dwa lata, zawiadamiając Judith, że obaj żyją. I to było wszystko.

A Judith? Żyła teraz samotnie. Może żyła samotnie już od tamtego dnia Bożego Narodzenia, który, coraz bardziej odsuwając się w przeszłość, najpierw był w zeszłym roku, potem przed dwoma laty, potem przed trzema, a potem przed czterema laty. Chociaż żyła samotnie, sama, odkąd Sutpen odjechał z Sartorisem na czele pułku, a Murzyni – to dzikie stado, które niegdyś stworzyło Setkę Sutpena – odeszli za pierwszymi oddziałami Jankesów, jakie przeciągnęły przez Jefferson, to jednak można to było nazwać wszystkim, tylko nie samotnością, bo ona właściwie nie miała czasu na samotność, zajmując się Ellen przykutą do łóżka w zaciemnionym pokoju, wymagającą nieustannej opieki, jak dziecko, w tym swoim biernym, oszołomionym, nieświadomym niczego oczekiwaniu na śmierć. Razem z Clytie, żeby się utrzymać przy życiu, zajmowała się też uprawianiem nędznego warzywnika, przy czym cięższe roboty ogrodowe

wykonywał Wash Jones, poza tym, że dostarczał od czasu do czasu najpierw Ellen i Judith, a potem już tylko samej Judith ryby i zwierzyne. Wash Jones za pozwoleniem Sutpena mieszkał z córką i małą wnuczką w opuszczonym, butwiejącym domku rybackim, który Sutpen wybudował w wyschlym łożysku rzeki, jeszcze zanim do jego domu weszła pierwsza kobieta, Ellen, i wyszedł stamtąd ostatni łowca jeleni i niedźwiedzi. Wash Jones teraz już nawet wkraczał w progi wielkiego domu, chociaż do czasu odjazdu Sutpena nie podchodził bliżej niż do altany obrośniętej winogronami muszkatołowymi za kuchnią, gdzie w niedzielne popołudnia popijał z Sutpenem whisky z jednego gąsiora i wodę z wiadra, tę wodę, którą dźwigał ze źródła oddalonego prawie o milę; przy czym Sutpen mówił rozparty w hamaku, a on przykucnięty pod słupem altany tylko parskał i krztusił się usłużnym śmiechem. Otóż to, Judith nie miała czasu na samotność, a już z pewnością nie miała czasu na beczynność. W miasteczku widywano ją teraz z twarzą tak samo nieprzeniknioną i pogodną, z tą tylko różnicą, że już trochę starszą, już trochę szczuplejszą niż wtedy, gdy ukazywała się tam u boku ojca parę razy na tydzień, i wiadomo już było, że jej narzeczoney i brat odjechali nocą i zniknęli bez śladu. Ubrana, podobnie jak teraz wszystkie już kobiety Południa, w starą nicowaną suknię, przyjeżdżała wprawdzie jeszcze powozem, ale ciągniętym przez muła zabranego od pługą i mającego zaraz potem do pługą powrócić, i już bez stangreta, który by powoził i zaprzęgał tego muła, i wyprzęgał. Przyjeżdżała, żeby pracować razem z innymi kobietami w miasteczku, żeby razem z nimi (bo w Jefferson byli wtedy ranni) w zaimprovizowanym szpitalu (ona wśród nich – ta cieplarniana dziewczica, to tradycyjnie beczynne dziecię klasy panów) obmywać, opatrywać zanieczyszczone odchodami i zropiałe ciała nieznanymi rannymi i konającymi, skubać szarpie z firanek okiennych, z pościelowej i stołowej bielizny domów rodzinnych tych dam; i żadna z nich nie pytała Judith o brata i o narzeczonego, kiedy rozmawiały o swoich synach, braciach i mężach ze łzami i może z rozpaczą, ale przynajmniej mając pewność, świadomość swojej normalnej sytuacji. Judith tego nie miała: tak jak Henry i Bon czekała, z tym, że nie tylko tak jak oni dwaj nie wiedziała, na co czeka, ale w przeciwieństwie do nich dwóch nie wiedziała nawet, dlaczego czeka. A potem umarła Ellen, ten motyl zapomnianego lata, już od dwóch lat martwa, niekonkretna powłoka, cień odporny na wszelkie zmiany rozkładu dzięki samej swojej nieważkości – cień bez ciała do pogrzebania: po prostu kształt, wspomnienie przeniesione w pewne słoneczne popołudnie bez ceremonii pogrzebowej z dzwonami czy katafalkiem do tego ich cedrowego gaju, żeby tam spocząć w prochach – nieważki paradoks przywalony tysiãcfuntowym marmurowym nagrobkiem. Sutpen (teraz już pułkownik Sutpen, bo Sartoris został złożony ze stanowiska na dorocznych wyborach oficerów pułkowych) przywiózł ten marmur już później wozem furazowym

z Charleston w Południowej Karolinie i postawił go nad porośniętym nikłą trawą wklęśnięciem ziemi, o którym Judith mu powiedziała, że to jest grób Ellen. A potem umarł dziadek, zagłodziwszy się w zamknięciu na własnym zabitym gwoździami strychu, i wtedy Judith niewątpliwie zaproponowała pannie Rosie przeprowadzkę do Setki Sutpena, a panna Rosa to zaproszenie odrzuciła, jak gdyby także czekając na tę pierwszą od czterech lat bezpośrednią wiadomość od Bona – na ten właśnie list. Judith, w tydzień po pochowaniu również i Bona w pobliżu grobu matki, osobiście przywiozła ten list twojej babci, przyjeżdżając do miasteczka bryczką i ciągniętą przez muła, którego z Clytie nauczyła się łąpać i zaprzęgać. Judith, która teraz nie bywała u nikogo i nie miała żadnych przyjaciół, dobrowolnie przywiozła ten list twojej babci, chociaż niewątpliwie tak samo jak babcia nie wiedziała, dlaczego wybrała do tego właśnie ją, a nie kogoś innego; zjawiała się u babci już nie szczupła, ale wręcz chuda, z twarzą tak mizerną, że sutpenowska czaszka istotnie zaznaczała się z twarzą już dawno niepomną swej młodości, a przecież idealnie nieprzeniknioną, idealnie pogodną: bez śladu żaloby, bez śladu rozpacz. Zjawiała się u babci, a babcia zapytała.

„Ja? Chcesz, żebym ja to zachowała?”

„Tak – powiedziała Judith – albo żeby pani to zniszczyła. Jak pani chce. Może pani to przeczytać, może pani tego nie czytać. Jak pani woli. Bo, pani rozumie, człowiek wywiera sobą takie małe wrażenie na świecie. Rodzi się człowiek i próbuje wyrzucić wrażenie; sam nie wie dlaczego, ale wciąż i wciąż próbuje. Rodzi się jednak w tym samym czasie co mnóstwo innych ludzi, jest z nimi zespolony, więc te wszystkie jego próby są takie, jakby poruszał rękami i nogami przy pomocy sznurków jednocześnie przywiązanych do rąk i nóg innych. I tamci inni też próbują, i też nie wiedzą, dlaczego, nie wiedzą nic z wyjątkiem tego, że te sznurki wzajemnie sobie przeszkadzają. Zupełnie tak, jakby pięć czy sześć osób próbowało jednocześnie utkać kilim na tym samym warsztacie i każda chciała utkać jakiś własny deseń; to pewnie nie ma znaczenia, wie pani, bo w przeciwnym razie to przecież te siły wyższe, które taki warsztat ustawiają, na pewno by urządziły te sprawy jakoś lepiej. A jednak to powinno mieć znaczenie, bo człowiek wciąż i wciąż próbuje albo nawet musi próbować wciąż i wciąż, aż nagle, ni stąd, ni zowąd jest już po wszystkim i z tego całego próbowania zostaje tylko jakaś kamienna płyta z wydrapanym napisem, o ile w ogóle znajdzie się ktoś, kto pamięta, żeby się zająć wydrapaniem napisu, i zabiera się do tego, i ma na to czas. I na tę płytę deszcz pada, słońce świeci i po jakimś czasie już nikt nie pamięta ani tego imienia, ani niczego, co ten wyryty napis usiłuje wyrazić, więc to wszystko nie znaczy już nic. Więc może, jeżeli można przyjść do kogoś, im bardziej obcego, tym lepiej, i dać mu coś... kawałek papieru, coś, wszystko jedno co, samo przez się bez znaczenia... dać to temu komuś, choćby nawet

ta osoba ani nie przeczytała, ani nie zachowała, ani nawet nie pofatygowała się tego wyrzucić czy zniszczyć, to przynajmniej sam fakt, że się komuś tę rzecz daje, już będzie czymś, co się stało, czymś do zapamiętania, choćby to było tylko przekazanie z ręki do ręki, z myśli do myśli... już będzie przynajmniej draśnięciem, znakiem na czymś, co było... co rzeczywiście było tylko dlatego, że rzeczywiście może umrzeć, podczas gdy płyta kamienna nie jest, bo nigdy nie może stać się czymś, co było, bo nigdy nie może umrzeć, przestać być...”

A twoja babcia patrzyła na nią, na tę nieprzeniknioną, spokojną, idealnie pogodną twarz i płakała.

„Nie! Nie! Tylko nie to! Pomyśl o swoim...”

Judith patrzyła na babcię, rozumiejąc, o co babci chodzi, nadal pogodna, nawet bez odrobiny goryczy.

„Och! Ja! Nie, na pewno nie to. Bo trzeba przecież zajmować się Clytie, a niedługo i ojcem także. Ojciec będzie chciał coś jeść, kiedy wróci do domu, bo to już niedługo potrwa, skoro oni zaczynają zabijać się wzajemnie. Nie, na pewno nie to. Kobiety nie robią tego z miłości. Nawet nie wydaje mi się, żeby mężczyźni to robili. W każdym razie nie teraz. Bo przecież teraz nie byłoby dla nich miejsca tam, dokąd by poszli po śmierci, gdziekolwiek to jest, jeżeli jest w ogóle. Już tam ich jest pełno. Przepelnione. Jak w teatrze, w operze, jeżeli się oczekuje, że znajdzie się tam zapomnienie, rozrywkę, zabawę; jak w łóżku już zajęтым, jeżeli chce się tam znaleźć możliwość położenia się spokojnie, żeby spać, spać, spać...”

Pan Compson wyciągnął rękę. Na pół wstając, Quentin wziął od niego ten list i w mętym świetle sączącym się spod upstrzonego śladami owadów, zamazanego klosza rozłożył ten arkusz, ten wysuszony prostokąt tak ostrożnie, jak gdyby to był nie papier, a nietknięty popiół, który zachował kształt i konsystencję listu. Nie słuchając słyszał głos pana Compsona, który mówił tymczasem dalej:

– Teraz już rozumiesz, dlaczego powiedziałem, że on ją kochał. Bo były inne listy, dużo listów szarmanckich, kwiecistych, nieszczerých, o niczym, przysłanych po tym pierwszym Bożym Narodzeniu przez posłańca z odległości tych ponad czterdziestu mil pomiędzy Oxford a Setką Sutpena... leniwe, subtelne pochlebstwa (niewątpliwie dla Boga rzecz błaha), pańskie gesty wielkomijskiego galanta pisującego do sielskiego dziewczęcia, a to sielskie dziewczę w owym głębokim, zgoła niewytłumaczalnym, spokojnym i cierpliwym jasnowidzeniu kobiety, wobec którego firecykowate zgrywanie się tego galanta było tylko rozbrykaniem małego chłopca, to sielskie dziewczę, otrzymując te niezrozumiałe dla siebie listy, nawet ich nie zachowywało pomimo ich wyszukanej formy, wykwinnych rycerskich zwrotów i wymyślnych metafor. Aż przyszedł ten list ostatni. Po

przerwie czteroletniej musiał spaść na nią jak grom z jasnego nieba i ona go zachowała, uznała, że przecież wart jest tego, żeby dać go komuś obcemu do przechowania albo nie do przechowania, nawet niekoniecznie do przeczytania, w zależności od woli i chęci tej obcej osoby, dać go tylko po to, żeby zrobić to draśnięcie, ten nie ginący znak na obojętnym obliczu zapomnienia, na które my wszyscy jesteśmy skazani, o którym ona, Judith, powiedziała, że... Quentin nie musiał słuchać, żeby to słyszeć, odczytując te nikłe pajęczne litery nie jak znaki skreślone niegdyś na papierze ręką ludzkiej istoty żywej, z krwi i kości, ale jak cienie rzucone na papier zaledwie przed chwilą, zanim on zdąży na nie spojrzeć, cienie, które natychmiast mogą zblaknąć, zniknąć, zanim on zdąży je odczytać, te martwe słowa rozbrzmiewające po czterech latach, a potem jeszcze po latach prawie pięćdziesięciu łagodnie, sardonicznie, kapryśnie, z jakimś nieuleczalnym pesymizmem w tym liście bez daty, bez podpisu, bez nagłówka.

„Zechciej zauważyć, że ja ani Ciebie, ani siebie nie obrażam twierdzeniem, że to jest głos z dna klęski, jeżeli nawet nie spoza grobu. Co więcej, gdybym był filozofem, to bym z tego listu, który trzymasz teraz w swoich dłoniach, wyciągnął wnioski i pisząc jakiś ciekawy a stosowny przyczynek o naszych czasach, wysnuł w dodatku wróżby na przyszłość. Ten list bowiem to arkusz papieru z najlepszymi, jak widzisz, znakami wodnymi sprzed lat siedemdziesięciu, uratowany (czy też, jeśli wolisz, ukradziony) ze spustoszonego, wypalonego dworu jakiegoś zrujnowanego arystokraty starego Południa; a napisany jest najlepszym lakierem do pieców, jaki wyprodukowała nawet nie dalej niż niecały rok temu jakaś fabryka w Nowej Anglii. Otóż właśnie. Lakier do pieców. Myśmy go zdobyli: to cała historia sama w sobie. Proszę sobie wyobrazić nas, asortyment jednorodnych strachów na wróble, nie powiem głodnych, żadnej, bowiem kobiecie, damie czy niedamie, na południe od Linii Masona i Dixona w naszym roku pańskim tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym nadmieniać tego nie trzeba, tak jak zbędnym byłoby nadmieniść, żeśmy oddychali. Nie powiem nawet o tych obszarpanych mundurach czy nawet o braku butów, obszarpani, bowiem i bez butów jesteśmy wszyscy już tak długo, że zdążyliśmy do tego przywyknąć; człowiek, Bogu niech będą dzięki (przywraca mi to wiarę może nie w naturę ludzką, ale przynajmniej w człowieka), naprawdę nie wdraża się nigdy w trudne warunki i wyrzeczenia: wdraża się w to jedynie umysł, ordynarna, wszystkożerna, ciężka od ścierwa dusza; samo ciało, Bogu niech będą dzięki, nigdy się nie pogodziło z brakiem dawnego jedwabistego dotknięcia mydła i czystej bielizny, z brakiem uczucia, że pomiędzy ziemią a stopą ma się coś, co odróżnia stopę od łapy zwierzęcej. Więc poprzestańmy na tym, że potrzeba nam było tylko amunicji. Proszę sobie wyobrazić nas, te straszdyła na wróble podejmujące jeden z owych planów wykoncypowanych w czystej straszdyłowej desperacji – planów, które nie tylko muszą się

udać, ale rzeczywiście się udają, bowiem ani przed człowiekiem, ani przed niebiosami nie ma miejsca na alternatywę, nie ma zacisznego kąta na ziemi czy pod ziemią, nie dałoby się znaleźć nawet kawałka przestrzeni ani na to, aby przystanąć, ani na to, by odetchnąć, ani na to, aby zostać złożonym do wspólnej mogiły czy do grobowca; nam (tym straszidłom na wróble) udaje się przeto nasz plan i już wytaczamy naszą zdobycz z wielkim rozmachem, że nie powiem z hałasem; proszę sobie wyobrazić, powtarzam, ten łup i tę nagrodę, te dziesięć tęgich furgonów zdobytych na bezbronnych markietanach, i nas, te straszydła na wróble, jak wywalamy z furgonów jedną piękną skrzynię po drugiej, przy czym na każdej z tych skrzyń widnieje stempel „U” i stempel „S” – litery, które już od lat czterech są dla nas symbolem łupu zwyciężonych, symbolem chlebów i ryb, jak niegdyś symbolem było promieniejące Czoło w nimbie Korony Cierniowej. Chwytamy się przeto my, te straszydła na wróble, za te skrzynie, otwierając je, czym się da: kamieniami i bagnetami, i nawet gołymi rękami – otwieramy je w końcu i znajdujemy w nich... Co? Lakier do pieców. Galony i galony, i galony najlepszego lakieru do pieców, przy czym żadna z tych skrzyń nie ma jeszcze nawet roku i bez wątpienia jest to dostawa usiłująca dogonić generała Shermana ze spóźnionym uzupełnionym poprawkami rozkazem, żeby przed podpalaniem domów lakierować w nich piece. Jakżeśmy się śmieli. Tak, śmieliśmy się, w ciągu tych czterech lat bowiem nauczyłem się przynajmniej tego, że śmiech wymaga pustego żołądka, ponieważ jedynie wtedy, gdy człowiek jest głodny albo się boi, może ze swego śmiechu wyciągnąć jakąś ostateczną kwintesencję, tak samo jak na czczo wyciąga się ostateczną kwintesencję z alkoholu. Mamy wszakże lakier do pieców. Mnóstwo go mamy. Właściwie za dużo, bo nie potrzeba aż takich ilości, abym mógł nim napisać to, co mam do powiedzenia, jak się przekonasz sama. Otóż mój wniosek z tego wyciągnięty, chociaż filozofem nie jestem, i wróżba na przyszłość przedstawia się następująco: Czekaliśmy już dość długo. Zechciej zauważyć, że i teraz również Cię nie obrażam, nie twierdzę bowiem, że to ja czekałem dosyć długo. A przeto, ponieważ Cię nie obrażam twierdzeniem, że to ja czekałem, nie dodaję: «Oczekuj mnie.» Nie mogę, bowiem nawet powiedzieć, kiedy możesz mnie oczekiwać. Ponieważ to, co BYŁO, jest jedną sprawą i teraz już tego nie ma, to bowiem już umarło, umarło w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym, a przeto ważne jest tylko to, co JEST... (Masz ci los! znów zaczęli strzelać, co, skoro już o tym mowa, jest tematem, którego poruszanie jest równie zbyteczne jak poruszanie tematu oddychania czy braku amunicji. Czasami, bowiem mam wrażenie, że ta strzelanina nigdy nie ustaje. Strzelają wciąż istotnie, nie to mam wszakże na myśli: wydaje mi się mianowicie, że to nigdy nie bywa jakaś następna, nowa strzelanina, że była tylko jedna strzelanina cztery lata temu, która rozległa się tylko raz, a potem została zatrzymana, zaczarowana, bowiem

wzniesione lufy zaczarowały wzniesione lufy i wówczas ta strzelanina zastygła na zawsze w jakimś samoistnym pełnym grozy zdumieniu i nigdy już teraz się nie powtarza, a to, co sływać, to tylko donośne przerażone echo, w którym zgrzyta muszkiet upuszczony przez znękanego wartownika albo wali się z wyczerpania sam wartownik-echo z powietrza, wiszące nad ziemią tam, gdzie owa strzelanina rozległa się po raz pierwszy i ostatni i gdzie musi wciąż pozostawać, żadna bowiem przestrzeń pod niebiosami nigdy jej nie przyjmie. Te strzały obecnie oznaczają, że znowu jest świt i że muszę przestać. Co przestać? – zapytasz. No cóż, przestać myśleć, wspominać... zechciej zwrócić uwagę, że nie mówię, mieć nadzieję, po to, aby raz jeszcze na okres bez granic czy umiejscowienia w czasie stać się niebacznym irracjonalnym towarzyszem i mieszkańcem ciała, które nawet po tych czterech latach z jakąś ponurą, niezłomną wiernością, moim zdaniem, niewiarygodnie wprost imponującą, nadal pograżone jest w zapamiętałej zadumie, we wspomnieniach dawnego spokoju i zadowolenia, aczkolwiek ja sam nawet nie wiem, czy pamiętam choćby nazwy tych dawnych woni i dźwięków, i nadal głuche jest na terażniejszość i groźbę rozszarpania ręki Czy nogi tak, jak gdyby uzyskało jakąś niezawodną obietnicę i pewność nieśmiertelności. Niemniej skończmy już z tym). Nie mogę powiedzieć, kiedy możesz mnie oczekiwać. Albowiem to, co JEST, to znów inna sprawa, gdyż przedtem to jeszcze nie żyło. A wobec tego, ponieważ niniejsza kartka w Twoich dłoniach jest najlepszym papierem starego Południa, które już umarło, a te słowa, które czytasz, zostały na nim skreślone najlepszym (sądząc z napisu na każdej skrzyni tym naj-najlepszym) lakierem do pieców nowej Północy, która zwyciężyła, a zatem czy chce, czy nie chce, będzie musiała przetrwać – wydaje mi się teraz, że Ty i ja, dość dziwne, zostaliśmy przydzieleni do zastępów skazanych na to, aby żyć.”

– I to jest wszystko – powiedział pan Compson. – Judith dostała ten list i natychmiast zabrała się z Clytie do szycia ślubnej sukni i welonu ze skrawków... może z tych skrawków, które miały, które powinny iść na szarpie i nie poszły. Nie wiedziała, kiedy on przyjedzie, bo on sam tego nie wiedział; i może zwierzył się Henry’emu, pokazał mu ten list przed odejściem poczty, a może nie; może wciąż’ jeszcze było to pilnowanie i czekanie, przy czym Bon mówił: „Czekałem już dosyć długo!”

A Henry go pytał: „Więc wyrzekasz się tamtej? wyrzekasz się?”

A Bon mu odpowiadał: „Nie wyrzekam się. Już od czterech lat daję losowi sposobność do tego, żeby się wyrzekł w moim imieniu, ale wydaje mi się teraz, że jestem skazany na to, żeby żyć, że Judith i ja, my oboje, jesteśmy skazani na to, żeby żyć...”

To wyzwanie, to ultimatum ogłoszone gdzieś przy biwakowym ognisku, to ultimatum wykonane w Setce Sutpena przed bramą wjazdową, do której musieli obaj pojechać na koniach niemal łeb w łeb, jeden z nich spokojnie, niewzruszenie, nie

opierając się nawet – fatalista do ostatniej chwili, ten drugi bez skrupułów, z niezmienną żalością i rozpaczą...(Wydawało się Quentinowi, że naprawdę widzi, jak oni obaj patrzą sobie w oczy przy tej bramie wjazdowej. Za bramą to, co kiedyś było pięknym parkiem – w zielonym zapuszczeniu rozczochrane gąszcze, dziwnie tu obce, senne i oszołomione niby nie ogolona twarz kogoś, kto właśnie w blasku słońca się budzi z uspienia eterem, a wśród nich ślad alei do wielkiego domu, gdzie już oblubienica czeka w sukni ślubnej uszytej z jakichś starych ukradzionych skrawków – do domu, który stoi dawno zapuszczony, łuszczy się, zieje pustką zbutwiałej skorupy, wprawdzie nie zrujnowany w zamęcie najazdu, lecz na mieliźnie czasu osadzony martwo, zapomniany w stojących wodach katastrofy – szkielet, który wytacza resztki swojej krwi ciężką kroplą po kropli, meble i dywany, bieliznę, srebra, wszystko, żeby pomóc umrzeć tym rannym, udreńczonym żołnierzom Południa, nawet w chwili konania świadomym, że przecież ich ofiara, udreńka od tyłu miesiący i tak się nie zda na nic.

Ci dwaj patrzą na siebie przy bramie wjazdowej, siedząc na wychudzonych, wynędzniałych koniach – ci dwaj mężczyźni młodzi, jeszcze nie dość długo żyjący na tym świecie, żeby już być starzy, ale z oczami starców, mizerni, sterani, kudłaci, potargani, tacy ogorzali, jakby jakaś surowa i wręcz sknerska ręka wyrzeźbiła, odlała ich oblicza z brązu; obaj w szarych mundurach, wytartych, łatanych, wyrudziałych na barwę zeschniętego liścia, jeden z nich z oficerskim wyblakłym galonem, ten drugi z mankietami gładkimi, bez odznak, i z pistoletem jeszcze nie wycelowanym, jeszcze teraz leżącym spokojnie na łąku. Oni obaj, dwie twarze spokojne, dwa głosy nawet nie podniesione: „Nie jedź poza cień słupa, tej gałęzi, Charles!”

I: „Przejadę przez cień, Henry.”

– A potem – mówił pan Compson – potem Wash Jones zajechał na oklep na tym mule przed furtkę panny Rosy i zaczął ją wołać w słonecznej, spokojnej ciszy tej uliczki, i zapytał:

„Panna jesteś ta Rosa Coldfield? To lepiej tam zaraz się pospieszyć, Henry wziął i zabił tego zatraconego Francuza. Jak wołu go zabił.”

V

Oni Quentinowi już na pewno opowiadali o tym, jak kazałam Jonesowi zabrać tego muła, zresztą pożytecznego, za dom do stajni i zaprząc go do naszej bryczki, a sama przez ten czas włożyłam kapelusz i szal i pozamykałam dom. Nic więcej nie potrzebowałam robić, bo jak oni na pewno Quentinowi opowiadali, niepotrzebny mi był żaden kuferek czy torba podróżna, bo odkąd zniszczyła się ta garderoba, którą miałam szczęście odziedziczyć po ciotce dzięki jej dobroci czy też z powodu jej pośpiechu bądź przeoczenia, ubierałam się tylko w to, co mi dawała Ellen, kiedy od czasu do czasu sobie o tym przypomniawszy, a Ellen przecież już od dwóch lat nie żyła. Więc musiałam tylko pozamykać dom, zanim wsiadłam do tej bryczki, żeby po raz pierwszy od śmierci Ellen przejechać te dwanaście mil do Setki Sutpena – przejechać je przy boku tego bydlaka, któremu, dopóki Ellen nie umarła, nie wolno było nawet zbliżyć się do ich domu od frontu. To był bydlak i potomstwo miał bydlęce; to właśnie jego wnuczka miała zająć moje miejsce, już, jeżeli nie w domu mojej siostry, to przynajmniej w łóżu mojej siostry, w tym łóżu, do którego (oni tak Quentinowi powiedzą) ja rościłam sobie pretensje. Ten bydlak (bydlęce narzędzie tej sprawiedliwości, która nad tokiem ludzkich zdarzeń czuwa, która, dopóki jest w sercu człowieka, sprawuje rządy gładko i łagodnie – szpony ukrywa, rękę ma niczym aksamit, ale niech tylko człowiek ją odrzuci, to rozpędzona mknie jak stal ognista, obala wszystko, co jest na jej drodze, zarówno słabych, na wskroś sprawiedliwych, jak i mocnego niesprawiedliwego, zarówno biedne, niewinne ofiary, jak i zwycięzcę, obala wszystkich z całą bezwzględnością w imię niezłomnych praw swoich i prawdy) – ten bydlak miał nie tylko czuwać nad rozmaitymi formami i wcieleniami diabelskiego przeznaczenia Thomasa Sutpena, ale miał także dostarczyć mu w końcu ciało kobiece po to, żeby on w tym ciele pogrzebał swój ród i nazwisko. Ten właśnie bydlak siedział przy mnie w bryczce jak gdyby nigdy nic, jak gdyby uważał, że już zrobił swoje samym tylko wrzaskiem o krwi i pistoletach na ulicy przed moim domem; widocznie wszelkie dalsze wiadomości, jakich mógł mi udzielić, były, jego zdaniem, zbyt skąpe albo zbyt nijakie, albo zbyt nieważkie na to, by mu się opłacało wypluć z ust prymkę, bo żuł ją bez przerwy przez cały czas tej dwunastomilowej jazdy, nie mówiąc wyraźnie ani jednego słowa o tym, co się stało.

Opowiadali Quentinowi, jak przejechałam znowu te dwanaście mil w dwa lata od śmierci Ellen (czy też to było w cztery lata od zniknięcia Henry’ego, czy w dziewiętnaście lat od owej chwili, w której przyszedłam na ten świat?) i nic nie wiedziałam, niczego się nie mogłam dowiedzieć poza tym, że dwie kobiety, dwie młode kobiety, same w próchniejącym domu, w którym od dwóch lat nie rozlegały się żadne męskie kroki,

nagle usłyszały strzał słaby, daleki, nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego – usłyszały strzał i w ciszy upiornych przypuszczeń zamarły na chwilę nad szyciem tej sukni; a potem kroki rozległy się w hallu i zaraz na schodach; ktoś biegł, ktoś się spieszył, jakiś mężczyzna; i Judith, w samej tylko halce, ledwie zdążyła pochwycić tę niedokończoną suknię, żeby się nią osłonić, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i na progu stanął oszalały morderca, jej brat, teraz, po czterech latach, kiedy ona myślała, że on jest (jeśli w ogóle jest, jeśli w ogóle jeszcze żyje i oddycha) gdzieś w odległości tysiąca mil od domu; i spojrzeli na siebie – oni dwoje, dwoje tych przeklętych dzieci, na które teraz dopiero spadł pierwszy cios tego ich diabelskiego dziedzictwa – spojrzeli na siebie ponad tą znieruchomiałą w rękach Judith, nie dokończoną suknią ślubną. Dwanaście mil tam jechałam bryczką u boku tego bydlaka, który potrafił stanąć na ulicy przed moim domem i na cały głos ryczeć spokojnie w tę zaludnioną cieniami, zasłuchaną samotność o tym, że mój siostrzeniec właśnie zamordował narzeczonego swojej siostry, ale który nie pozwolił sobie na popędzanie muła, bo „on żaden mój ani jego, pana pułkownika, także nie, a jeszcze do tego nie żre, jak trzeba, odkąd w lutym wyszła cała kukurydza”, a kiedy już w końcu zakręcał w bramę wjazdową, musiał jeszcze muła zatrzymać i, wskazując batem, splunąć i powiedzieć: „To było akuratnie tam.”

„Co było akuratnie, głupcze?!” – krzyknęłam.

A on odpowiedział: „A to.”

I nie ruszał z miejsca, dopóki nie zabrałam mu bata i sama nie podciąłam muła.

Ale oni nie mogą Quentinowi opowiedzieć o tym, jak jechałam dalej tą aleją wjazdową koło zapuszczonych, porośniętych chwastami klombów Ellen, jak dojechałam do domu, do tej skorupy, do tego (tak mi to przyszło na myśl) kokona martwo kryjącego w sobie łoża małżeńskie Młodości i Smutku, ani jak przekonałam się, że, wbrew moim przypuszczeniom, przybyłam nie za późno, ale za wcześnie. Z próchniejącym portykiem, ze złuszczonej ścianami, dom ten, nie spustoszony przez najeźdźców, bez śladu kul czy podkutych żołnierskich butów, stał tak, jakby był zarezerwowany raczej na coś więcej; stał w zapuszczeniu gorszym niż ruina, jak gdyby oparł się z żelazną mocą całopaleniu, płomieniom choć straszny, mniej niż on srogim, mniej nieubłagany, co zamiast buchnąć, raczej się cofnęły przed tym szkieletem odpornym, zwycięskim, nie śmiejąc go palić, gdy nadeszła chwila ostatecznego zmierzenia swych sił. Jeden stopień schodków, jeden bal odgnął już zupełnie i zachwiał się teraz pod moją stopą (czy też zachwiałby się, gdybym nie stąpnęła lekko i szybko), kiedy wbiegałam do sieni, z której od dawna już zniknął chodnik, zużytkowany wraz z całą bielizną stołową i pościelową na szarpie. A potem zobaczyłam tę sutpenowską twarz i krzyknęłam: „Henry! Henry! Coś ty zrobił? Co ten głupiec mi nagadał?” – w tej samej chwili sobie uświadamiając, że, wbrew moim

przypuszczeniom, przybyłam nie za późno, ale za wcześnie. Bo to jeszcze nie była twarz Henry'ego. To była twarz dość sutpenowska, ale nie jego; twarz o barwie kawy, dość sutpenowska tam, w tym półmroku, na straży schodów; wbiegając wprost z jaskrawego popołudnia w dudniącą jak grzmot ciszę tego zadumanego domu, na razie nie widziałam nic; dopiero później, stopniowo wyłoniła się ta twarz, ta sutpenowska twarz, nie zbliżając się, nie wypływając z mroków, ale już tam czekając, już tam będąc niby opoka wcześniejsza niż czas, ten dom, ta klątwa i to wszystko razem (tak, tak; on dobrze wybrał; lepiej wybrać nie mógł – on, który na obraz i podobieństwo swoje stworzył tego zimnego Cerbera swojego prywatnego piekła) – ta twarz, jak zawsze bez wieku i płci: ta sama twarz sfinksa, z jaką ona, Clytie, się urodziła, jaką wychylała przy twarzyczce Judith z poddasza stajni tamtego wieczora, jaką ma jeszcze dzisiaj, ukończywszy lat siedemdziesiąt cztery – ta twarz zwrócona była wtedy ku mnie bez drgnienia, bez żadnej zmiany wyrazu na mój widok, zupełnie tak, jak gdyby ona, Clytie, już przedtem wiedziała co do sekundy, kiedy mam wejść, jak gdyby czekała tam na mnie przez te całe dwanaście mil drogi za wlokącym się mułem, patrząc, jak zbliżam się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie wchodzę w te drzwi... jak gdyby wiedziała, że ja na pewno wejdę (a jakże, może to było sądzone, skoro istnieje jak Moloch żarłoczna, z brzuchem przepastnym owa sprawiedliwość, która połyka wszystko bez różnicy: i kość, i chrząstkę, i najkruchsze mięso). Na widok tej twarzy zatrzymałam się jak wryta (nie moje ciało: ciało biegło naprzód; ale ja sama, to głębsze istnienie, dane nam wszystkim istnienie prawdziwe, wobec którego ruch kończyn jest tylko lichym, spóźnionym akompaniamentem, jak amatorska zbyteczna przygrywka zbyt wielu naraz różnych instrumentów nie w takt melodii). Zatrzymałam się jak wryta w tym ogołoconym hallu, ze schodami (także już bez dywanu) wznoszącymi się w mroczną górną sień wśród echa nie tyle słów moich i kroków, ile raczej nieodwołalnie straconego tego Co-Byłoby, echa, które nawiedza wszystkie domostwa i zamknięte ściany wzniesione ręką ludzką nie dla ciepła, nie dla schronienia, ale po to, by ukryć przed wzrokiem ciekawego świata ciemny labirynt, przez jaki przechodzą owe prastare a wieczyście młode mamidła dumy, nadziei, ambicji (tak, i miłości też).

„Judith – zawołałam. – Judith.”

Nie było odpowiedzi. Mówiąc to nie spodziewałam się żadnej odpowiedzi; możliwe, że nawet i potem nie spodziewałam się, że Judith mi odpowie – może było ze mną tak jak z dzieckiem, kiedy przed samym nadejściem chwili pełnego, obezwładniającego strachu ono woła matkę czy ojca, chociaż wie (bo jeszcze strach nie zdążył w nim zabić zdolności wszelkiego sądu), że ich nie ma nigdzie w pobliżu, że oni tego wołania nawet nie usłyszą. Krzyczałam nie do kogoś, do czegoś, ale (usiłowałam przedrzeć się krzykiem) poprzez

coś, poprzez tę siłę, ten rozszalały, a przecież całkowicie kamienny, zastygły w bezruchu antagonizm, który mnie zatrzymywał – krzyczałam poprzez tę obecność, tę dobrze znaną kawową twarz, tę postać (nieruchomo wpartą bosymi kawowymi stopami w gołą posadzkę tuż przed zakrętem wznoszących się schodów), a ona, nie większa ode mnie, skamieniała, wciąż z tym samym spojrzeniem (ani na chwilę nie spuściła ze mnie wzroku, może dlatego, że patrzyła nie na mnie, ale przeze mnie, najwidoczniej wciąż jeszcze dumając o pogodnym prostokącie otwartych drzwi, który przełamalam sobą), zdawała się rozrastać, wydłużać, rzutować w górę – obecna tam na górze nie myślą, nie duszą, ale raczej do głębi czujnym słuchem czy też wysiłkiem dosłyszenia czegoś, czego ja sama ani słyszeć nie mogłam, ani słyszeć nie miałam, obecna tam na górze jakąś zadumaną świadomością ulegle przyjmującą zjawiska poza zasięgiem oka i rozumu, będącą dziedzictwem rasy starszej i czystszej niż rasa moja. A tymczasem ja – moja świadomość stwarzała, postulowała, kształtowała w pustym powietrzu pomiędzy nami to, co jak mi się zdawało, tam zastanę (ale skąd! co m u s z ę zastać, bo inaczej samym faktem, że stoję i oddycham, zaprzeczyłabym faktowi, że się w ogóle urodziłam) w tej sypialni długo nie otwieranej i zatęchłej, to łóżko bez powleczenia (to ślubne łożo Miłości i Smutku), na którym, szkarłatem zabarwiając nie osłonięty niczym materac, leży błądy zakrwawiony trup w połatanym, wyrudziałym szarym mundurze, i tę przywaloną nieszczęściem, niezaślubioną wdowę na klęczkach przy łóżku – to właśnie widziałam w pustym powietrzu, chociaż wciąż jeszcze pędziłam naprzód (nie ja, tylko moje ciało, bo ciało zatrzymało się dopiero wtedy, gdy poczuło tę rękę, to dotknięcie). To właśnie widziałam ja, głupia, sama przez siebie zakłęta, jeszcze wierząca, że to, co być musi, może być tylko tak, a nie inaczej, bo w przeciwnym wypadku musiałabym zaprzeczyć zarówno temu, że jestem zdrowa na umyśle, jak i temu, że oddycham. Więc biegłam dalej prosto na tę nieodgadnioną kawową twarz, tę twarz zimną, nieubłaganą i bezmyślną (nie, nie bezmyślną: wszystko, tylko nie bezmyślną; wyryła się na niej jego własna jasnowidząca wola, zahartowana w amoralności nieugiętego zła przez tę chętną czarną krew, z którą on krew swoją skrzyżował), tę kopię jego twarzy, stworzoną przez niego, powołaną jego wyrokiem do czuwania nad jego nieobecnością. Prosto na tę twarz biegłam – może zdarzyło się kiedyś Quentinowi widzieć, jak ptak wśród nocy, ze strachu szalony, z dzikim trzepotem uderza w zabójczą lampę ze spżu.

„Zaraz – powiedziała ona. – Tam nie.”

Jeszcze się nie zatrzymałam; na to trzeba było tej ręki; jeszcze biegłam, robiąc te ostatnie parę kroków na przestrzeni, poprzez którą wlepialiśmy w siebie oczy – chyba nie jak dwie ludzkie istoty o ludzkich twarzach, ale jak dwa oderwane od rzeczywistości przeciwieństwa, jakimi byliśmy faktycznie; żadna z nas głosu nie podniosła, jak gdyby ta

nasza rozmowa była wolna od wszelkich ograniczeń i prawideł mowy i słuchu.

„Co?” – zapytałam.

„Tam na górę nie, Rosa”

Właśnie w taki sposób ona to powiedziała: tak cicho, tak spokojnie; i znów doznałam wrażenia, że to nie ona, ale sam dom wypowiedział te słowa... ten dom wzniesiony przez niego, wytworzony wokół niego przez ropienie się jego zła, podczas gdy pot jego ciała może uprządl jakieś uzupełniające (choćby nawet niewidzialne) kokonowate ściany, w których Ellen musiała żyć i umrzeć jako obca, w których Henry i Judith mieli albo umrzeć, albo żyć jako uwięzione ofiary. Bo tylko dom, a nie ona, mógł wypowiedzieć w tej chwili to imię, to słowo, nazwać mnie Rosą. Ona wprawdzie tak do mnie mówiła, kiedy byliśmy dziećmi, tak samo jak do tych dwojga mówiła „Henry” i „Judith”; wiedziałam, że nawet teraz nazywa Judith (i Henry’ego też, kiedy o nim mówi) po imieniu. I właściwie byłoby rzeczą zupełnie naturalną, gdyby nadal nazywała mnie Rosą, skoro dla wszystkich ludzi, jakich znałam, byłam nadal dzieckiem. Ale w tej chwili nazwać mnie tak nie mogła. W tej chwili już wcale nie uważała mnie za dziecko; istotnie w ciągu tych sekund, kiedy patrzyliśmy na siebie (tych sekund, zanim moje ciało, wciąż jeszcze posuwając się naprzód, miało otrzeć się o nią w przejściu i wbiec na schody), okazała mi więcej łaskawości i uszanowania niż ktokolwiek inny przez całe moje życie; bo wiedziałam, że odkąd weszłam w te drzwi, właśnie dla niej ze wszystkich innych znanych mi ludzi, właśnie dla niej już nie jestem dzieckiem.

„Rosa?! – krzyknęłam. – Ty tak do mnie? Do mnie?” A potem ona mnie dotknęła i wtedy rzeczywiście zatrzymałam się jak wryta. Chociaż możliwe, że samo moje ciało nie zatrzymało się nawet i wtedy, bo wydawało mi się, że czuję, jak ono wciąż jeszcze napiera ślepo na tę konkretną, a przecież nieważką zaporę (to nie ona jest tą zaporą; ona jest tylko narzędziem; twierdzą to jeszcze dzisiaj), na tę wolę odgradzającą mnie od schodów; możliwe, że już przedtem wdarł się pomiędzy nas dźwięk tamtego głosu, to jedno słowo wypowiedziane na szczycie schodów, rozdzielając nas, zanim ono (moje ciało) zdążyło się zatrzymać. Nie wiem. Wiem tylko, że cała moja istota w jakimś pędzie na oślep w coś potwornego, w coś nieruchomego, zderzyła się z tym czymś zbyt wcześnie i zbyt szybko, żeby odczuć samo tylko zdumienie i oburzenie wobec tej ręki czarnej, obelżywej, nieustraszonej, która mnie zatrzymała, ręki na moim ramieniu, ramieniu białej kobiety. Bo kiedy ciała dwa się dotykają, jest w tym dotknięciu coś, co unicestwia, jak nożem ostrym przecina skręcone i powikłane przewody myślenia, gestów i czynów, jakie nakazuje nam przyzwoitość; znają to dobrze zarówno wrogowie, jak kochankowie, i to właśnie każe jednym i drugim dotykać ciała – tej twierdzy, zamkniętego ośrodka prawdziwej jaźni kochanka czy wroga – to, w czym zawiera się jego „Ja jestem”: nie

duch, nie dusza; umysł jest płynny i nieopasany; każdy go może ująć i określić w każdym zakątku przyciemnionych sieni tego ludzkiego ziemskiego mieszkania. Ale niech tylko ciało dotknie ciała, a już opada, jak skorupka jajka, z tego „Ja jestem” wszelkie piętno kasty i piętno rasy. Tak, tak – zatrzymałam się jak wryta – nie pod dotknięciem ręki kobiecej, murzyńskiej ręki. Zatrzymałam się ściągnięta jakimiś wodzami mającymi mnie powstrzymać i pokierować tą rozszalałą nieugiętą wolą. Krzyknęłam nie do niej, nie do jej ręki: krzyknęłam poprzez tę rękę, poprzez tę Murzynkę, tę kobietę, i to tylko wskutek wstrząsu, wskutek doznania, które nawet nie zdążyło być poczuciem zniewagi, bo prawie natychmiast miało się przerodzić w grozę. Krzyknęłam ani się nie spodziewając, ani nie otrzymując odpowiedzi, bo obie wiedziałyśmy, że to nie do niej: i „Precz z tą ręką, ty czarnucho!”

Nic nie powiedziała. Tylko stałyśmy tam obie – ja znieruchomiła w półkroku, w biegu, ona sztywno wyprostowana w tym swoim rozszalałym bezruchu; obie wciąż jeszcze połączone tą dłonią, tą ręką niby jakąś wściekle napiętą pępownią czyniącą z nas bliźniacze siostry, córki rozszalonej ciemności, która ją, Clytie, zrodziła. Będąc dzieckiem nieraz patrzyłam na nią, Clytie, kiedy tarosiła się z Judith, a nawet z Henry’em, w tych brutalnych zabawach, w jakie oni tak lubili się bawić (możliwe zresztą, że lubią to wszystkie dzieci; nie wiem), i słyszałam, że one we dwie z Judith nawet śpiąją w jednym pokoju, Judith śpi w łóżku, a ona rzekomo na sienniku na podłodze. Ale słyszałam, że czasem zdarzało się Ellen zastać je obie śpiące razem na sienniku, a raz nawet zastała obie w łóżku. Ja jednak zawsze trzymałam się od Clytie z daleka. Nawet nie chciałam się bawić zabawkami, którymi ona się bawiła z Judith; jak gdyby ta wypaczona surowa samotność, zwana przeze mnie moim dzieciństwem, nauczyła mnie nie tylko, (choć mało co więcej) słuchać, zanim potrafiłam pojmować, nie tylko rozumieć, zanim coś usłyszałam, ale również bać się instynktownie jej, Clytie, i tego, czym ona była, bać się tak dalece, że unikałam nawet przedmiotów dotykanych przez nią. Więc stałyśmy tam obie. I nagle ogarnęło mnie uczucie... nie to uczucie zniewagi, na które czekałam, kiedy instynktownie krzyknęłam... i nawet nie groza; to było jakieś nagromadzenie tej całej rozpacz, z którą przyjechałam, która została oszukana. Pamiętam, że kiedyśmy tam tak stały połączone tą bezwonną ręką (właśnie: ta ręka też była ofiarą obdarzoną czuciem – taką samą ofiarą jak ona, Clytie, i jak ja), krzyknęłam może nie głośno, nie słowami (i nie do Judith, uważa Quentin; bo może wiedziałam już w chwili, kiedy weszłam do tego domu i ujrzałam tę twarz będącą zarazem czymś mniej i czymś więcej niż Sutpen... może już wtedy wiedziałam to, w co jeszcze nie byłam gotowa, nie chciałam, nie mogłam uwierzyć) – krzyknęłam: „Więc ty też nic? Ty też? Siostra, siostra?!”

Czego ja się spodziewałam? Przejechałam dwanaście mil, ja głupia, sama przez siebie

zakłeta, oczekując... czego? Że może Henry wyjdzie z któregoś pokoju, stanie w drzwiach tak przywykłych kiedyś do dotknięcia jego dłoni na klamce i jego stóp na progu i zobaczy w hallu to małe, nieładne, przerażone stworzenie, za którym dotychczas nikt, żaden mężczyzna, żadna kobieta nigdy się nie obejrzała, którego on sam, Henry, nie widział przez cztery lata, a i przedtem nie widywał dość często, żeby je zapamiętać, ale które przecież mógłby poznać, chociażby po tej zniszczonej brązowej sukni, przed laty tak bardzo twarzowej sukni jego matki, i po głosie wypowiadającym przecież jego imię jak ktoś z rodziny. Więc że Henry wyjdzie z któregoś pokoju i powie:, Ależ to Rosa! Ciocia Rosa! Zbudź się, ciociu Roso, zbudź się.” A ja, uśpiona, będę snu się czepiać tak, jak się chory czepia do ostatka upojonej chwili słabnięcia swej strasznej, wręcz niemożliwej do zniesienia męki, żeby zaostrić smak ustania bólu; aż wreszcie zbudzę się w rzeczywistość, w coś więcej niż rzeczywistość, bo to już nie będą te nie tknięte żadną zmianą dawne czasy, ale czas inny, dopasowany do mego złego snu – snu, co istnieje, dopóki się śni, po czym zostaje obrócony wniwecz apoteozą jawy: „Matka i Judith są w pokoju dziecinnym, a ojciec z Charlesem spacerują po ogrodzie. Zbudź się, ciociu Roso, zbudź się.” Albo może nie spodziewaj się niczego, nawet nie miej nadziei, nawet nie śnij – bo złe sny nie chodzą przecież parami, a ty już miałaś dzisiaj jeden zły sen o tym, że przez mil dwanaście ciągnął cię nie jakiś zwykły śmiertelny muł, ale chimera, pomiot samej istoty koszmaru. (A jakże, zbudź się, Rosa, zbudź się... nie z tego, co było, co było kiedyś dawno, ale z tego, czego nie było, czego nigdy być nie mogło; zbudź się, Rosa... nie do tego, co byłoby, co być mogłoby, ale do tego, czego w żadnym razie być nie może; zbudź się, Rosa, z nadziei – ty, która wierzyłaś, że w żałobie jest jakieś dostojenie, jeżeli nawet nie ma w niej rozpaczy; ty, która wierzyłaś, że będziesz tu potrzebna, żeby ocalić może nie miłość i szczęście, i spokój, ale przynajmniej to, co z nich pozostało tej wdowie, a jednak przekonałaś się, że do ocalenia nie ma tutaj nic; ty, która miałaś nadzieję uchronić Judith, jak to obiecałaś Ellen (nie Charlesa Bona uchronić ani nie Henry’ego; żadnego z tych dwóch nigdy nie miałam nadziei uchronić ani przed nim, Sutpenem, ani nawet przed sobą wzajemnie), ale teraz już na to za późno. Spóźniłabyś się nawet, gdybyś tu wkroczyła prosto z łona matki albo gdybyś już od razu w pełni swojej ziemskiej dojrzałości czekała tutaj, kiedy Judith przychodziła na świat. Przebyłaś dwanaście mil i dziewiętnaście lat, żeby ocalić coś, co ocalenia wcale nie potrzebowało, i tylko zgubiłaś samą siebie.)

Nie wiem, co spodziewałam się tam zastać, wiem tylko, że tego nie zastałam. Natomiast znalazłam się tam raptem w owym stanie snu, nieruchomej ucieczki od grozy, w jaką się nie wierzy, ku bezpieczeństwu, w jakie też się nie wierzy; na uwięzi tego snu trzymały mnie nie owe bezdenne, zmienne i ruchome piaski koszmaru, ale ta twarz,

która miała własną duszę i była tej duszy inkwizytorem, i ta ręka, która dokonała samoukrzyżowania – trzymały mnie tak, dopóki nas nie rozdzielił, nie przerwał zaklęcia ten głos: To było tylko jedno słowo: „Clytie”, wypowiedziane w ten właśnie sposób, tak zimno, tak spokojnie – wypowiedziane nie przez Judith, chociaż głosem Judith, ale przez sam ten dom. Och, znałam ten głos dobrze ją, która jeszcze przed chwilą wierzyłam w dostojność żałoby; znałam go tak dobrze, jak znała go ona, Clytie. Słyszając go nie poruszyła się, tylko tej ręki, tej ręki już nie było, zanim sobie uświadomiłam, że nie czuję jej dotknięcia. Nie wiem, czy to Clytie ją cofnęła, czy to ja się usunęłam, ale w każdym razie – już jej nie było. I tego też oni Quentinowi nie mogą opowiedzieć, jak wtedy wybiegłam, jak frunęłam na te schody i jak zastałam na górze nie zrozpaczoną owdowiałą oblubienicę, ale po prostu Judith spokojnie stojącą pod zamkniętymi drzwiami tej komnaty; ubrana w tę bawełnianą suknię w pepitkę, w której ją widywałam za każdym razem, kiedy się z nią spotykałam od czasu śmierci Ellen, stała tam, coś trzymając w zwieszanej ręce; i jeżeli w ogóle były przedtem jakieś łzy rozpaczy, jakaś udręka, to ona już je zdążyła, całkowicie czy nie całkowicie, tego nie wiem, odłożyć na bok razem z tą nie dokończoną suknią ślubną.

„To ty, Rosa?” – zapytała znów w ten sposób, tak spokojnie, tak zimno, a ja znów zatrzymałam się w biegu, w półkroku, chociaż moje ciało, ślepa, nieczuła taczka omamionej gliny i tchnienia, jeszcze wciąż sunęło naprzód. I tego też oni Quentinowi opowiedzieć nie mogą; jak zobaczyłam, że to, co ona trzyma bezwładnie, niedbale w ręce, to fotografia, jej własna podobizna w metalowym medalionie, którą kiedyś podarowała jemu, a teraz trzymała tak, jakby to była jakaś książka rozrywkowa, jakby ktoś na chwilę czytanie jej przerwał.

To właśnie zastałam. Może spodziewałam się tego, może wiedziałam, że to zastanę (potwierdziłabym: „Wiedziałam, chociaż miałam dopiero dziewiętnaście lat”, gdyby nie to, że przecież to było moje dziewiętnaście lat, moje własne dziewiętnaście lat bardzo szczególnego rodzaju). Może nawet nie mogłam ani chcieć nic więcej, ani przyjąć nic mniej – ja, która już w wieku lat dziewiętnastu musiałam wiedzieć, że życie to jedna chwila wieczysta i ciągła, kiedy wszyscy stoimy przed tym Co-Ma-Być ukrytym za wiszącą zasłoną z arrasów, na pewno ustępliwą za najlżejszym pchnięciem, gdybyśmy tylko śmieli podnieść dłoń, gdybyśmy byli dostatecznie dzielni (nawet niedostatecznie mądrzy, bo do tego żadnej mądrości nie potrzeba), gdybyśmy byli dostatecznie dzielni na to, by nagle rozchylić zasłonę. Nie robimy tego. Zresztą, może to nie jest z naszej strony brak odwagi: to nie tchórzostwo nie chce spojrzeć wprost na tę chorobę tkwiącą gdzieś odwiecznie w prapodwalinach planu wszystkich faktów ludzkiego życia na tym łożu padole – planu, co trzyma duszę jak w więzieniu, skąd dusza, sącząc jad tej prachoroby, szarpiąc swe wątle

żyły i tętnice, zawsze chce wyrwać się w górę, ku słońcu, i uwięziona też więzi z kolei zamkniętą w sobie ową iskrę snu, a czymże sen jest? to pełnia kulista, chwila wolności duszy, owa chwila, co jak zwierciadło odbija, odtwarza (odtworza? ach nie, tworzy, obraca w kruchą, ulotną, tęczową kulę) przestrzeń wszelaką, czas i konkret ziemi. Bez takiej iskry dusza to kipiąca, pełna zarazków bezimienna masa, która przez wszystkie lata od prawieków nie ciągnie żadnej nauki ze śmierci poza tym, że ma powstawać na nowo, znów się odradzać; sen wprawdzie znika, nie ma go, umiera: nic nie zostawia. Ale czyż trzeba prawdziwej mądrości na to, by pojąć, że przecież istnieje coś, Co-By-Mogło-Być.. coś, co prawdziwsze jest niż sama prawda i z czego budząc się człowiek nie pyta: „Czy mi się śniło?”, tylko chce raczej rzucić oskarżenie Mocom niebieskim: „Czemu już nie śpię? – zbudziwszy się teraz, nigdy nie zasnę?”

Kiedyś było... czy zwrócił Quentin uwagę, jak wistaria pod naporem słońca tu na tej ścianie przesącza się do pokoju i coraz dalej, i dalej (nic sobie nie robiąc ze światła) jakimś tajemnym, usilnym nękanem przenika każdy najdrobniejszy pyłek tych niezliczonych składników ciemności? To jest właśnie istota wspomnienia – wrażenie, widok, zapach” przyjmują to mięśnie, którymi widzimy i słyszymy, i czujemy – a nie umysł, nie myśl, i nie ma takiej rzeczy jak pamięć. Mózg przypomina sobie tylko to, co wymacają mięśnie: nic więcej, nic mniej, a wynika stąd suma jest zazwyczaj błędna, fałszywa i godna tylko miana snu. Na przykład wyciągnięta ręka człowieka śpiącego, dotykając świecy przy łóżku, przypomina sobie ból, cofa się i ucieka, a tymczasem umysł i mózg śpią dalej i tylko tworzą z tego chwilowego zetknięcia się z ciepłem świecy jakiś lichy mit ucieczki od rzeczywistości; nie inaczej zmysłowe odczucie tej ręki, muskającej jakąś powierzchnię przyjemną i gładką, przez tenże umysł i mózg zostaje zmienione w tworzywo różnych wyobrażeń tak wypaczonych, że już niepodobnych do żadnego doznania. A jakże, rozpacz płowieje i znika; my wiemy, ale kanaliki łzowe? – one na pewno nie zapominają, jak łzy wylewać.

Więc kiedyś było (tego też oni Quentinowi nie mogli opowiedzieć) lato wistarii. Wistaria przenikała wszędzie (miałam wtedy czternaście lat), tak jakby te wszystkie moje wiosny, które jeszcze nie nadeszły, które miały skapitulować dopiero w przyszłości, skondensowane zostały w jedną wiosnę, w jedno lato: w tę właśnie wiosnę i tę letnią porę, jaka należy się każdej istocie rodzaju żeńskiego na tej ziemi, będąc zadośćuczynieniem za wszystkie zdradzone wiosny wszystkich bezpowrotnie minionych czasów, ich odbiciem i ponownym rozkwitem. Był to rok winobrania dla wistarii: rok winobrania przesyconego słodyczą niecierpliwiej tęsknoty korzenia, słodyczą rozkwitu, słodyczą pory i pogody, a ja (miałam czternaście lat)... Nie twierdzę, że rozkwitłam razem z tą wistarią ja, za którą żaden mężczyzna nie obejrzał się jeszcze ani nie miał się obejrzyć

kiedykolwiek później, ja, dziecko, w którym dziecięcość nigdy nie rozkwitła, ja, kobieta, w której nigdy nie rozkwitła kobiecość. Nie mówię też, że zieleniałam się razem z tą wistarią – ja roślina o listkach powykrzywianych, chropowatych, bladych i skurczonych, na pół tylko rozwiniętych, nie roszcząca sobie żadnych pretensji do bujnej zieleni, żeby nią przyciągać te czule efemeryczne muszki dziecięcej zabawy w miłość bądź powstrzymywać samcze drapieżne osy i pszczoły późniejszej żądy. Ale jak wistaria miałam korzeń, miałam w sobie tę niecierpliwą tęsknotę, z jaką korzeń wysyła swoje pędy ponad ziemię ku słońcu, miałam na pewno, bo czyż nie odziedziczyłam tego po wszystkich Ewach, z których każda była jedną jedyną kobietą na świecie od czasów Węża? Właśnie, tę niecierpliwą tęsknotę: byłam tylko powykrzywianym brzydactwem, ale z jakiegoż doskonałego ślepego nasienia! Bo któż potrafi powiedzieć już z góry, czy rosochaty, zapomniany korzeń nie mógłby jeszcze wydać z siebie kwiatów w pełni jakiegoś stężonego piękna, tym pyszniejszego, bardziej stężonego i pijanego swą rozkwitłą chwałą, że chociaż nędzny, krzywy, karłowaty, nie jest korzeniem martwym, lecz po prostu śpi w zapomnieniu!

Niewłaściwą rolę musiałam odegrać w tym należącym mi się lecie mojej jałowej młodości. Otrzymałam w nim (na ten krótki czas, na ten krótki, zwięzły w treści, bezpowrotny czas zakwitania kobiecego serca) rolę nie kobiety, dziewczyny, ale mężczyzny, którym może powinnam była być. Miałam wtedy czternaście lat, czternaście lat. | jeśli w ogóle latami można nazywać istnienie w tym nieprzekroczonym korytarzu zwanym przeze mnie dzieciństwem, bo to przecież było nie życie, ale jakieś rzutowanie z mroków samego łona; bez wieku, już ukształtowana i zupełna, wciąż jeszcze przebywałam w łonie tylko dlatego, że zabrakło jakiegoś cesarskiego cięcia, zimnych kleszczów położniczych, żeby za głowę wydrzeć mnie na wolność mógł bezlitosny czas; czekałam nie na światło, ale na ten wyrok, który nazywamy kobiecym zwycięstwem, który brzmi: przetrwać w dzieciach i dalej przetrwać w dzieciach dzieci, przetrwać bez ładu, składu, i bez żadnej nagrody – przetrwać dalej; byłam jak ślepa ryba w jeziorze podziemnym, co zatrzymała w sobie jakąś iskrę z przeszłości dawnej, dawniejszej niż pamięć, iskrę w tym sennym, zimnym, mrocznym ciele wciąż rozedrganą, tętniącą bez snu, wywołującą to dawne swędzenie niewysłowione inaczej jak tylko: „to zwano światłem”, a tamto: „zapachem”, tamto: „dotknięciem”, a tamto inne: „coś”, bo nie została w spadku nawet nazwa, żeby określić trel ptaka, woń kwiatów, brzęczenie pszczoły czy jasność, czy słońce, czy miłość; tak, tak, nawet rosłam, nawet się rozwijałam, nie przez światło ukochana i kochająca światło, ale wyposażona tylko w tę chytrość, tę samotność, która rozrasta się wewnątrz jak rak, tę samotność, w której wszystkożerny, irracjonalny słuch zastępuje wszystkie inne zmysły; toteż zamiast stopniowo docierać do

rozstawionych w przewidzianych odległościach kamieni milowych dzieciństwa czaiłam się jak gdyby poza szlakiem dzieciństwa i jego zasięgiem, obuta w samą wilgotną, aksamitną ciszę łona, nie zdradzając się żadnym odgłosem, nie zajmując miejsca w powietrzu, czaiłam się, skradałam spod jednych zamkniętych, zakazanych drzwi do drugich i tylko w ten sposób nabywałam całą moją wiedzę o tej jasności i przestrzeni, gdzie ludzie poruszają się i oddychają, zupełnie tak, jakbym mogła (ja – to samo dziecko) nabierać pojęcia o słońcu, gdybym je oglądała przez zakopcone szkło.

Miałam czternaście lat – byłam o cztery lata młodsza od Judith, o cztery lata później niż u Judith nastąpił u mnie ten przelotny stan znany tylko dziewicom; gdy duch subtelnie całym nastawieniem przeżywa jakieś przedziwnie dwupłciowe, bezosobowe, wciąż niedopełnione, wciąż przed szczytowym punktem zaślubiny; to jeszcze nie jest to wdowieństwo podczas conocnych gwałtów, jakich nieuniknienie dopuszcza się wzdurliwy nieboszczyk miłości, to wdowieństwo, które jest nagrodą lat dwudziestu, trzydziestu i czterdziestu, na razie to jest żywe małżeństwo, jak światło i powietrze wypełniające świat wokół młodego dziewczęcia.

Ale to nie było lato dziewiczego, drażniącego niezaspokojenia; to nie było lato cesarskiego cięcia, które powinno było wydrzeć mnie, martwe ciało czy nawet embrion, z żywego łona; ani też lato pod bronią, lato męskiego miecza, a nie kobiecości bezbronnej – lato samczego gwałcącego natarcia.

Było to lato po tym pierwszym Bożym Narodzeniu, na które Henry przyjechał do domu z nim, Charlesem Bonem; lato rozkwitłe po tych dwóch czerwcowych dniach spędzonych przez Bona w Setce Sutpena na początku wakacji letnich, zanim on odjechał nad Rzekę, żeby parowcem udać się do Nowego Orleanu; lato, kiedy ciotki już u nas nie było, a ojczulek musiał gdzieś wyjechać w interesach, więc na czas swojej nieobecności wysłał mnie do Ellen, pod jej opiekę (być może, zdecydował się na to tylko dlatego, że w tym czasie Thomas Sutpen również gdzieś wyjechał). Widocznie wymagałam opieki – ja urodzona za późno, urodzona w chwili jakiegoś dziwnego zwichnięcia w życiu ojca, i pozostawiona wyłącznie w jego (teraz, po odejściu ciotki, właściwie owdowiał już po raz drugi) rękach – ja, wprawdzie dosyć biegła w dosięganiu półki kuchennej, liczeniu łyżek, obrębianiu prześcieradeł i wlewaniu odpowiedniej ilości mleka do maślnicy, ale poza tym przecież niedołączna – widocznie jednak byłam zbyt cenna, żeby mnie mogli pozostawić samą. Jego, Bona, nigdy nie widziałam. (Nigdy. Nie widziałam nawet jego zwłok. Słyszałam nazwisko, widziałam fotografię, a potem pomagałam kopać grób, i to już koniec), chociaż on raz nawet był u mnie, w ów dzień Nowego Roku, kiedy Henry, z obowiązku siostrzeńca chcąc mi złożyć wizytę, wstąpił z nim do nas w drodze na uniwersytet, tylko, że mnie wtedy nie zastali. Do owego dnia nawet nie znałam jego

nazwiska, nawet nie wiedziałam o jego istnieniu. A przecież kiedy tamtego lata przyjechałam do Setki Sutpena, czułam się tak, jak gdyby to jego przypadkowe zatrzymanie się na moim progu pozostawiło w tej piwnicznej ziemi mego życia jakieś ziarno, jakiś drobny zatruty posiew skory do wykiełkowania, do rozwinięcia się w coś, co chyba nie było miłością (ja go nie kochałam; jakżeby mogła? Nigdy nawet nie słyszałam jego głosu; tylko od Ellen wiedziałam, że ktoś taki jest) i na pewno nie było szpiegowaniem, chociaż bez wątpienia Quentin tak by nazwał to, co czyniałam przez sześć miesięcy od owego dnia Nowego Roku do czerwca, żeby przyoblec w ciało ten cień o jakimś nazwisku rozblęśnym w czczej, głupiej paplaninie Ellen, tę postać jeszcze nawet bez twarzy, bo wtedy jeszcze nawet nie widziałam jego fotografii – postać odbijającą się w tajemniczym, zadumany spojrzaniu młodego dziewczęcia Judith. Boja niczego nie nauczyłam się o miłości, nawet o miłości rodzicielskiej – o owym czułym i cennym, i stałym gwałceniu ciszy osobistych doznań, o ogłupianiu wiecznie pączkującej i niepoprawnej jaźni, ogłupianiu, co jest nagrodą należną na świecie każdej istocie zrodzonej ze ssaków; nie nauczyłam się o miłości niczego, a pomimo to, nie kochając, nie będąc kochaną, stałam się czymś więcej niż sama miłość: stałam się wszechwiedzącą, dwupłciową rzeczniczką miłości.

On na pewno pozostawił jakieś ziarno, które wykiełkowało i sprawiło, że dziecięca bezprzedmiotowa baśń nagle ożyła w tamtym ogrodzie. Bo chodziłam krok w krok za Judith nie po to, żeby szpiegować. Nie szpiegowałam, chociaż Quentin może by powiedział że to było szpiegowanie. A już nawet gdybym szpiegowała, to w żadnym razie nie czyniłabym tego orzez zazdrość, bo ja go nie kochałam. (Jakżeby mogła, skoro nigdy go nie widziałam?) A już nawet gdybym go kochała, to przecież nie tak, jak kochają kobiety, jak naprawdę czy też tylko w naszym mniemaniu kochała go Judith. Jeżeli to była u mnie miłość (a wciąż jeszcze powtarzam: jakżeby to miłość być mogła?), to chyba raczej taka jak miłość matki, która dając dziecku klapsa za to, że się wdało w bijatykę z synkiem sąsiadów, bije właściwie poprzez własne dziecko tego synka sąsiadów; a jeżeli jej dziecku ktoś okazał dobroć, to pieszcząc je, pieści właściwie tego kogoś, kto dał mu ów wypocony groszak. Ale to nie była miłość, jaką kochają kobiety. Bo ja nic od niego nie chciałam, rozumie Quentin. I co więcej, nic mu nie dawałam, a przecież właśnie to jest suma kochania. Jakżeż! nawet do niego nie tęskniłam. Teraz już nawet nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek uświadamiałam sobie, że wcale nie widziałam jego twarzy, że znałam tylko tę fotografię, ten cień, ten obrazek w dziewczęcej sypialni: wizerunek w ramce postawiony jakby od niechcienia na gotowalni wśród rozmaitych gracików, a przecież stojący jak w altance, w girlandach (czy może tak mi się tylko wydawało) z lilii i róż wszystkich dziewczęcych marzeń – bo przecież jeszcze zanim tę fotografię

zobaczyłam, potrafiłabym poznać... ach! nie! opisać tę właśnie twarz. Ale jego nie widziałam nigdy. Ja sama na własne oczy nie stwierdziłam nawet, czy Ellen go kiedykolwiek widziała naprawdę, czy Judith go kiedykolwiek kochała, czy Henry go zabił: więc ktoś będzie spierać się ze mną, jeżeli zapytam: „Skąd wiedzieć mam, że on nie jest tworem mojej wyobraźni, moim wymysłem?” I powiem jedno: gdybym była Bogiem, tobym w tym kipiącym wirze, który nazywamy postępem, wynalazła coś (jakąś maszynę może) do przystrajania pustego zwierciadlanego ołtarzyka każdej nieładnej dziewczyny na tym świecie czymś właśnie takim jak ta twarz na fotografii, czymś tak niewielkim, ponieważ tak niewiele nam potrzeba.

Za tą twarzą nie musiało być nawet czaszki; niemal bezosobowa, po to, żeby w ogóle istnieć, potrzebowała tylko nieokreślonego pojęcia o jakiejś istocie z krwi i kości, pożądanej przez inną istotę, choćby tylko w królestwie cieniów, królestwie na niby. Wystarczyła fotografia oglądana ukradkiem, cichutko (moje dzieciństwo, zamiast nauczyć mnie miłości nauczyło mnie takiego podkradania się po cichu i bardzo mi się to przydało; zaiste bardziej, niżby mi się przydała miłość). W ciągu dnia, kiedy w pokoju Judith nie było nikogo, chyłkiem tam chodziłam, żeby popatrzeć na tę fotografię. Nie żeby marzyć (na to nie trzeba było chodzić aż tam, boja przecież przez cały czas mieszkałam w marzeniu), ale żeby odświeżyć rolę, odbyć próbę roli. Podobnie jak niezdarny, choć gorliwy amator mógłby w chwilach, kiedy na scenie nie dzieje się nic specjalnego, zakradać się za kulisy, żeby usłyszeć przelotny głos suflera. I jeżeli odczuwałam zazdrość, w żadnym razie nie była to zazdrość ludzka, zazdrość istoty, która kocha; i to nie było szpiegowanie, nawet szpiegowanie z miłości pragnącej widzieć, smakować i pieścić owo samotne marzenie dziewczęce, co z wolna rozrzedza zasłonę zwaną dziewictwem; widzieć, smakować i pieścić nie po to, żeby na światło dzienne się wyrwała z głębi istoty sama jaźń kochania, zwalając mury nagłej wstydlivości, która po części już jest słowem „kocham”, ale poprzestać na pieszczotach wzroku, na pożądaniu tych krągłych ochocznych piersi jak kwiaty w swym różanym śnie, zanim wstydlivość zacznie stawiać mury. Nie, tego u mnie nie było; ja nie szpiegowałam. Chodziłam po piaszczystych wygrabionych ogrodowych drózkach i myślałam: „To były ślady jego stóp, tylko że zatarto je grabiami. Ale nawet pomimo grabi te ślady jeszcze są tutaj – ślady stóp jego i jej, kroczących obok siebie, wolno, harmonijnie, kiedy serce, umysł uważać nie potrzebuje na posłuszne (a jakże, nawet chętne) kroki; – i myślałam: – Jakich to westchnień dwóch bliźniaczych dusz słuchały tutaj w tym cichym zakątku nieprzeliczone, pełne szeptów uszy krzewów i pnączy? Jakaż przysięga, jaka obietnica, jakież płomienie cudownych urzeczeń koronowały deszcz cyklamenowy tej tu wistarii albo opadanie płatków tej pysznej ociążalej róży?” I to było najlepsze ze wszystkiego – bytowanie

w czymś najlepszym ze wszystkiego, o wiele lepsze niż to, co naprawdę jest: niż prawdziwe życie i cielesna powłoka marzeń. Och, nie, ja nie szpiegowałam, kiedy przyczajona w przystaniach moich własnych krzewów i winorośli patrzyłam na Judith siedzącą na ustronnej ławce, na której jeszcze się zachował niewidoczny ślad jego ud; i marzyłam, jak w moim pojęciu marzyła Judith. Bo on był wszędzie: ten wszystko wchłaniający piasek na ścieżkach i miliony unerwionych palców zieleni, nawet słońce i oczy gwiazdnych konstelacji, które patrzyły na niego z góry, i to powietrze wokół – wciąż jeszcze przytrzymywały gdzieś jego stopę, jego postać w przejściu, jego twarz, brzmienie jego głosu, jego imię i nazwisko: Charles Bon, Charles Dobry, Charles Lada-Chwila-Mąż. Nie, nie szpiegowałam, nie kryłam się nawet: przecież byłam jeszcze na tyle dzieckiem, że kryć się nie musiałam, bo moja obecność, nawet gdyby on siedział przy Judith, wcale by nie zakłócała ich samotności we dwoje, a zarazem byłam już na tyle kobietą, że mogłam przyjść do niej, w pełni uprawniona do tego, żeby ona mnie obdarzyła (może nawet z zadowoleniem, z wdzięcznością) tym bezwstydnym dziewczęcym zaufaniem, z jakim młode dziewczęta mówią o miłości. Tak, tak, byłam na tyle dzieckiem, że mogłam przyjść do niej i poprosić: „Pozwól mi spać z tobą”, i na tyle kobietą, żeby poprosić: „A kiedy położymy się razem do łóżka, opowiadaj mi o miłości”, jednak o to nie prosiłam, bo musiałabym wtedy powiedzieć: „Nie mów mi o miłości, tylko pozwól, żebym ja ci o niej mówiła, bo ja już o miłości wiem więcej, niż kiedykolwiek ty będziesz wiedziała czy potrzebowała wiedzieć”.

A potem ojciec wrócił z tej swojej podróży i przyjechał po mnie, i zabrał mnie do domu, gdzie znów stałam się czymś nijakim – już zbyt długo dzieckiem, jeszcze zbyt krótko kobietą – ubrana w niedopasowane suknie po ciotce, zajęta prowadzeniem niedopasowanego gospodarstwa; ja, która nie szpiegowałam, nie kryłam się, tylko czekałam, czuwałam, nie myśląc o żadnej nagrodzie, o żadnym podziękowaniu – ja, która nie kochałam jego, Bona, w zwykłym tego słowa znaczeniu, bo przecież taka miłość musi być podparta nadzieją, w przeciwnym razie w ogóle nie istnieje – ja, która, jeżeli nawet kochałam, to miłością wykraczającą daleko poza granice wszelkich gładkich książkowych romansów – miłością rezygnującą z tego, czego nigdy nie miała – miłością za groszaka, odrobiną stanowiącą dla ofiarodawczyni wszystko, ale przedmiotowi tej miłości nie przydającą żadnej treści swoją znikomą wagą – a jednak ja to z siebie dałam. I nie jemu, tylko jej, Judith, jak gdybym jej powiedziała: „Masz, weź to też. Ty nie potrafisz go kochać tak, jak on powinien być kochany. Chociaż on tak samo nie poczuje znaczenia tego daru, jak nie odczuwał nigdy jego braku, to jednak w waszym życiu małżeńskim może zdarzyć się chwila, kiedy on nagle znajdzie tę odrobinę, ten mój dar, dostrzeże go jak mały błąd pęd w dobrze znanym klombie... i zatrzyma się, i zapyta; «Skąd to się tu

wzięło?» – A ty wtedy nie będziesz musiała powiedzieć nic więcej, tylko: «Ja nie wiem.»

Więc wróciłam do domu i minęło pięć lat, a potem usłyszałam echo strzału, wbiegłam na te koszmarnie schody i zastałam...

No cóż? Jakaś kobieta w sukni w pepitkę stała spokojnie przy zamkniętych drzwiach pokoju, do którego wejść mi nie pozwoliła – kobieta bardziej obca mnie niż wszelkiemu smutkowi przez to, że tak zupełnie nie było w niej smutku – i padły jej spokojne słowa: „to ty, Rosa?”, w sam środek, w sam półkrok mojego biegu, trwającego (teraz już to wiem) od pięciu lat, bo on (Bon) i u mnie w domu był także, pozostawiając tam tyleż śladów, ile ich pozostawił w domu Ellen, gdzie był tylko kształtem, cieniem: nie cieniem mężczyzny, człowieka, ale jakiegoś ezoterycznego mebla – krzesła czy biurka, czy wazonu – jakąś zachcianką Ellen; był i u mnie, i u niej, jak gdyby po to tylko, żeby samo jego odbicie (czy też brak odbicia) zatrzymało na coldfieldowskich i sutpenowskich ścianach złowieszczą zapowiedź tego, co miało nastąpić.

Tak, tak, biegłam przez całe pięć lat już od tamtego roku (tamtego roku przed samą wojną), kiedy to Ellen mi opowiadała o wyprawie ślubnej (wyprawie przecież mojej własnej), o tej wymarzonej pełnej zbroi potrzebnej do poddania się mężczyźnie, które było poddaniem się moim, chociaż to, z czym mogłabym się poddać, a zarazem, co w ogóle miałam, stanowiło niewiele. To była wyprawa ślubna, to było moje poddanie się mężczyźnie, bo przecież istnieje to Coś-Co-By-Mogło-Być, owa jedyna na świecie opoka, jakiej się czepiać możemy wśród wirów rzeczywistości złej i niemożliwej. A potem przez cztery lata wierzyłam, że Judith czeka właśnie tak, jak ja czekam, kiedy ten znany nam, zdawałoby się oparty na mocnych podstawach, świat walił się w ogniu i dymie, aż wreszcie pewność i spokój zniknęły zupełnie, a razem z nimi duma i nadzieja, pozostawiając tylko weteranów kalekiego honoru i miłości. Tak, tak, powinna istnieć miłość z wiarą i istnieć musi – na pewno istnieje pozostawiona nam przez ojców, mężów, kochanków, braci, którzy w przedniej straży honoru nieśli nadzieję zwycięstwa i dumę, tak jak nieśli swe sztandary. Tak, tak, miłość z wiarą na pewno istnieje, bo inaczej za cóż by mężczyźni walczyli? Za cóż innego warto by im było umierać? Przecież nie w puste imię honoru czy w imię dumy, czy nawet pokoju, ale za tę miłość z wiarą, która po nich pozostaje. Bo on (Bon) miał umrzeć; wiem to, wiedziałam to, że miał umrzeć, jak umrzeć miały pokój i duma. W przeciwnym razie czymże udowodnić, że miłość jest nieśmiertelna? Nie sama miłość i nie sama wiara. Bo sama miłość bez żadnej nadziei może umiera podobnie jak wiara, w której jest mało powodów do dumy, lecz miłość z wiarą przeżyje na pewno wszystkie morderstwa i głupotę wojny, by ze zhańbionych, od czci odsądzonych prochów ocalić, choć cząstkę zgasłego, bezpowrotnego urzeczenia serca.

Tak, tak, zastałam ją przy tych zamkniętych przede mną drzwiach (ona także, o ile mi wiadomo, już tam nie wchodziła, dopóki Jones z tym drugim człowiekiem na górę nie wnieśli trumny). Z tą fotografią w zwieszonej ręce, z twarzą idealnie spokojną patrzyła na mnie przez chwilę, a potem podnosząc głos tylko na tyle, żeby słycać go było w hallu poniżej, powiedziała: „Clytie. Panienska Rosa zostanie na obiedzie; przynieś trochę więcej mąki. – I zwróciła się do mnie: – Zejdziemy na dół? Muszę porozmawiać z panem Jonesem, żeby się wystarał o deski i gwoździe.”

To było wszystko. Albo raczej nie wszystko, bo nigdy nic nie jest pełne, wykończone; nie sam cios przecież sprawia nam cierpienie, lecz te rozwlekle, ciągnące się później następstwa ciosu, te śmieci, które po nim się walają i które trzeba uprzętać, wymiatać z progów rozpaczy. Rozumie Quentin, ja nigdy go nie widziałam. Nie widziałam go nawet wtedy, gdy leżał już martwy. Słyszałam echo, ale nie słyszałam strzału; widziałam zamknięte drzwi, ale nie przekroczyłam ich progu: pamiętam każdy szczegół tamtego popołudnia, kiedyśmy wynosili trumnę z domu (Jones z jakimś drugim białym, ekshumowanym nie wiadomo skąd, zbili tę trumnę z desek wyłamanych z wozowni); pamiętam, że przy tym obiedzie, który ugotowała Judith... właśnie Judith, z twarzą nadal spokojną, chłodną, nieruchomą stojąc nad kuchenną płytą... więc przy tym obiedzie podanym w pokoju bezpośrednio pod pokojem, gdzie leżał on, słyszałyśmy młotki i piłowanie desek za domem; i pamiętam, że Judith w wyblakłym kapturku z bawełnianej pepitki, tej samej co suknia, wyszła tam, żeby im dać jakieś wskazówki; pamiętam, jak przez to całe bezgranicznie długie słoneczne popołudnie ci dwaj walili młotkami i piłowali tuż pod oknem salonu na tyłach; pamiętam to powolne, doprowadzające do szału, miarowe zgrzytanie piły, głuche, odmierzone w czasie walenie młotków, za każdym razem może już ostatnie, a przecież wcale nie – walenie powtarzające się znów i znów akurat wtedy, gdy niemożliwie napięte, znużone nerwy zaczynały doznawać jakiejś otepiałej ulgi w ciszy mającej natychmiast zamienić się w jeszcze jeden wielki krzyk; aż wreszcie ja sama poszłam za dom (i zobaczyłam przy kurniku wśród chmary kurcząt Judith stojącą z zebranymi jajkami w fartuchu) i zapytałam tych dwóch: i „Dlaczego? Dlaczego tutaj? Dlaczego to musi być właśnie tutaj?”

A oni obaj przerwali robotę na chwilę dostatecznie długą, nawet za długą na to, żeby Jones się odwrócił i znów splunął, i odpowiedział:

„Bo stąd nie tak daleko taszczyć tam tę skrzynię – i zanim zdążyłam odejść, dodał jeszcze, on albo może ten drugi, z jakąś zdumioną, nieporadną, drętwą logiką: – A jeszcze poręczniej to by było znieść go tu na dół i nad nim zbijać te deski, tylko że może panience Judith to by nie było w smak.”

Pamiętam, że kiedyśmy go wynosili do wozu, który czekał przed domem, usiłowałam

wziąć na siebie cały ciężar tej trumny, żeby samej sobie udowodnić, że on w niej rzeczywiście jest. I właściwie nie mogłabym twierdzić na pewno, że oni go tam włożyli. Byłam jednym z jego karawaniarzy, a przecież nie mogłam uwierzyć, nie wierzyłam w to, co wiedziałam ponad wszelką wątpliwość. Bo przecież ja go nigdy nie widziałam. Quentin rozumie? Zdarzają się czasem pewne rzeczy, których i zmysły, i inteligencja przyjmować nie chcą, tak samo jak czasem żołądek nie chce wcale przyjąć czegoś, co podniebienie nasze już przyjęło, czego natomiast nasz system trawienny wchłonąć nie może: i wobec pewnych wydarzeń jak wryci zatrzymujemy się niby przed szybą, nienamacalną, lecz mocną zaporą, patrząc, jak wszystkie tych wydarzeń skutki toczą się, toczą w bezszelestnej próżni, bledną, znikają – i oto ich nie ma, a my w bezruchu, w bezsile, bezradni pozostajemy, trwamy w jednym miejscu do samej śmierci; tak było ze mną. Byłam tam; jakaś częśćka mojej istoty szła równym krokiem w takim samym tempie, w jakim szli Jones i ten jego towarzysz, i Clytie, i Theophilus McCaslin, który nie wiadomo jak dowiedział się o tym w miasteczku; razem z nimi znosiłam ze schodów zwięzających się na zakręcie tę niezdarnie skleconą, nieporęczną skrzynię, kiedy Judith, idąc za nami, podtrzymywała ją od tyłu; jakaś częśćka mojej istoty niosła ją dalej przed dom do tego wozu; jakaś częśćka mojej istoty pomogła ponieść na ten czekający wóz to, czego sama podnieść by nie mogła, a jednak ja w to nie wierzyłam; jakaś częśćka mojej istoty stała w ponurym mroku cedrów nad rozwartą ziemią i słyszała to nieudolne pogrzebowe dzwonienie grud o drewno trumny, i odrzekła: „Ja nie wiem”, kiedy już po zasypaniu grobu Judith powiedziała: „On był katolikiem. Może ktoś z was wie, jak katolicy...”

A Theophilus McCaslin powiedział: „Licho bierz katolików; on był żołnierzem. A już ja się potrafię modlić za każdego żołnierza Konfederacji – a potem wrzasnął swoim starczym, szorstkim, skrzekliwym głosem: – Czeeeść, panie generale Forest! Czeeeść, panie pułkowniku Sartoris! Czeeeść!”

A potem jakaś częśćka mojej istoty wracała razem z Judith i Clytie na przełaj przez pole o zachodzie słońca i w jakimś dziwnym pogodnym zawieszeniu coś tam odpowiadała, kiedy pogodny cichy głos mówił o tym, że trzeba będzie zaorać pole pod kukurydzę i narąbać drzewa na zimę. A potem w kuchni, w blasku lampy, jakaś częśćka mojej istoty tym razem już pomagała w przygotowaniu posiłku i próbowała jeść znów w tym pokoju pod tym sufitem, ponad którym on już nie leżał. A potem jakaś częśćka mojej istoty poszła spać (tak, tak, wzięła świecę z mocnej ani trochę nie drżącej ręki i pomyślała: „Ona nie wylała nawet jednej łzy”, po czym w ponurym lustrze zobaczyła swoją własną twarz i pomyślała: „Ty też nie”), a potem zasnęła w tym domu, gdzie on jeszcze tak niedawno przebywał (już nieodwołalnie po raz ostatni) – przebywał przez

małą, przelotną chwilę, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, nawet łez. Tak, tak. Kiedyś go, nie było. A potem był. A potem znów go nie było. To trwało zbyt krótko, minęło zbyt szybko, zbyt błyskawicznie; wystarczyło na to zaledwie sześć godzin letniego popołudnia – czas za krótki na to, żeby pozostawić przynajmniej ślad ciała odcisnięty na materacu, bo krew to żaden dowód... krew może pochodzić z czyjegokolwiek skaleczonego palca, jeżeli w ogóle były jakieś ślady krwi. A jego przecież nie widziałam. I powiedziano mi tak mało... nieomal mogłabym sądzić, że w ogóle nie było żadnych zwłok, że nie było nawet żadnego mordercy (nie mówiłyśmy tamtego dnia o Henry'm, żadna z nas nie mówiła; ja – ciotka, stara panna, nie zapytałam: „A dobrze wyglądał czy mizernie?”, nie powiedziałam żadnej z tysięcznych błahostek, jakimi zawsze zwycięska kobiecość bagatelizuje świat męski, w którym właśnie brat, syn czy krewny postąpił dzielnie, tchórzliwie albo głupio, w zrywie pragnienia albo ze strachu, za co inni mężczyźni chcą go słać bęc ukrzyżować), że nie było u nas żadnego mordercy, bo ten, który wybiegł i z hukiem otworzył drzwi, żeby krzyknąć o swojej zbrodni i zniknąć, stał się – przez sam fakt, że żył nadal – jeszcze bardziej cieniem niż ta abstrakcja, którą pochowałyśmy w zabitej gwoździami skrzyni; nic, tylko echo strzału, jakiś koń nieznan, wychudzony: uzda, puste siodło i w jukach pistolet, jedna czysta wystrzępiona koszula i pajda twardego jak żelazo chleba; tego konia dopiero w dwa dni później w odległości czterech mil od Setki Sutpena ktoś schwytał przy drzwiach swojej stajni, wygłodniałego, usiłującego się wdrzeć do komórki z paszą. Tak, tak, jeszcze jaka abstrakcja: bo on, Bon, był nieobecny, a jednak był obecny; wrócił, a jednak go nie było; trzy kobiety włożyły coś w ziemię, zasypały to i już od razu było tak, jakby on w ogóle nigdy nie istniał.

A teraz pewnie Quentin zapyta, dlaczego ja tam zostałam. Mogłabym odpowiedzieć, że nie wiem. Mogłabym podać tysiące byle jakich powodów, wszystkich nieprawdziwych, i Quentin by uwierzył, że zostałam, żeby mieć co jeść... ja, która potrafiłabym w poszukiwaniu jedzenia przetrząsać brzegi rowów i zagony chwastów bądź założyć i uprawiać ogród warzywny równie dobrze u siebie w miasteczku, jak tam u nich, już nie mówiąc o tym, że może bym nawet przyjmowała wsparcie od sąsiadów i znajomych, bo przecież nędza ma swoje sposoby, umie zagłuszać w naszych wszystkich czynach te rozmaite subtelne skrupuły, podszeptywane przez honor i dumę, albo że zostałam, żeby mieć dach nad głową, ja, która teraz byłam już rzeczywiście właścicielką nie obciążonego żadnymi podatkami domu; albo że zostałam, żeby mieć towarzystwo... ja, która przecież w miasteczku miałam towarzystwo sąsiadów, ludzi przynajmniej z mojej sfery, znających mnie, odkąd przyszłam na świat, a nawet i jeszcze dawniej w tym sensie, że cały ich sposób myślenia był nie tylko taki jak mój własny, ale i taki jak sposób myślenia moich przodków, podczas gdy w Setce Sutpena mogłam mieć tylko towarzystwo tych dwóch

kobiet: jednej z nich, swojej siostrzenicy, ani nie rozumiałam, ani zrozumieć wcale sobie nie życzyłam wobec tego, co wywnioskowałam na podstawie obserwacji; ta druga tak dalece nie miała nic wspólnego ze mną i z całym moim światem, jakbyśmy obie były przedstawicielkami nie tylko dwóch odmiennych ras (którymi zresztą byłyśmy), nie tylko dwóch odmiennych płci (którymi nie byłyśmy), ale i dwóch krańcowo różnych gatunków stworzenia – jak byśmy były istotami nie mówiącymi żadnym zrozumiałym dla obu językiem, przy czym nawet te proste słowa, jakich musiałyśmy używać, żeby ustalać porządek naszych zajęć, w jeszcze mniejszym stopniu znamionowały myśl czy zamiar niż dźwięki, jakie mógłby wydawać ptak do czworonoga czy czworonóg do ptaka.

Ale ja nie podaję żadnego z tych powodów. Po prostu tam zostałam i czekałam na powrót Thomasa Sutpena z wojny. Tak, tak, Quentin powie (albo i nie powie, tylko tak sobie pomyśli), że ja już wtedy czekałam na to, żeby z Thomasem Sutpenem się zaręczyć; gdybym zaprzeczyła, to Quentin by uważał, że kłamie. Ale ja nie zaprzeczam. Czekałam na niego dokładnie tak, jak czekały Judith i Clytie: bo on teraz był wszystkim, co nam zostało, był wszystkim, co nam dawało jakikolwiek powód do tego, żeby istnieć dalej: żeby jeść i spać, i budzić się, i wstawać znowu. Wiedziałyśmy, że będziemy mu potrzebne; wiedziałyśmy (bo przecież znałyśmy go tak dobrze), że on natychmiast po powrocie zabierze się do ratowania tych szczątków Setki Sutpena i do zagospodarowania plantacji. To nie znaczy, żeby on ze swojej strony miał być czy też był nam potrzebny. (Ja nigdy, ani przez chwilę, nie myślałam o tym małżeństwie, nigdy, ani przez chwilę, sobie nie wyobrażałam, że on spojrzy na mnie, że on w ogóle mnie zobaczy, skoro dotychczas nigdy na mnie nie patrzył, nigdy mnie nie widział. Może mi Quentin wierzyć, bo kiedy przyjdzie czas, żebym opowiedziała, jak zaczęłam o tym myśleć, na pewno nic nie będę obwiją w bawełnę.) Nie. On nam nie był potrzebny. Jeszcze pierwszy dzień nie minął naszej wspólnej kobiecej gospodarki we trójkę, kiedy jasnym się stało, że nie trzeba nam pomocy żadnego mężczyzny, dopóki w sąsiedztwie mieszka czy przebywa Wash Jones. Radziłyśmy sobie doskonale, bo ja przecież sama utrzymywałam dom ojcowski prawie przez cztery lata, które ojciec spędził na strychu, Judith też już gospodarowała sama tu na wsi, a Clytie potrafiła narąbać drzewa i zaorać bruzdę nawet lepiej (czy przynajmniej prędej) niż Jones. Thomas Sutpen nie był potrzebny. A rzecz to smutna, jedna z najsmutniejszych: owa znużona, wypłowiała nuda ogarniająca twe serce i ducha, kiedy już wcale nie jest ci potrzebny ktoś, kto wciąż jeszcze bardzo potrzebuje twojej przyjaźni, twojego uczucia. Nie. On nam nie był potrzebny nawet zastępczo. Nie potrafiłyśmy nawet przejąć się tym jego pełnym pasji (zdawało się, że nieomal szalony zamiar, z jakim on wrócił do domu, emanuje, promieniuje przed nim, zanim zdążył zsiąść z konia) pragnieniem zagospodarowania plantacji, przywrócenia jej dawnej świetności, dla której

przedtem poświęcił litość i miłość, i wszystkie inne piękne cnoty serca – jeśli w ogóle kiedykolwiek w sercu je miał, więc mógł je poświęcić, odczuwać ich brak, chcieć je znaleźć u innych ludzi. Nawet tym się nie przejęliśmy. Ani Judith, ani mnie nie zależało na tej świetności. Może dlatego, żeśmy to uważały za rzecz niewykonalną, chociaż wydaje mi się, że to było coś więcej: że istnialiśmy teraz w apatii nieomal będącej spokojem takim jak spokój ślepej i nieczulej ziemi, która snem nawet, marzeniem nie goni żadnej łodyżki kwietnej czy też pąka i w której nawet nie istnieje zazdrość o tę powietrzną, muzyczną samotność wystrzelających w górę świeżych liści karmionych przez nią.

Więc czekałyśmy na niego. Prowadziłyśmy pracowite życie bez żadnych wydarzeń – życie trzech mniszek w jakimś ogołoconym, ubogim klasztorze: mury wokół nas były pewne i dość bezpieczne, jakkolwiek obojętne na to, czy my w ogóle coś jadamy. Żyłyśmy zgodnie, nie tak jak dwie białe kobiety i Murzynka ani nawet nie tak jak trzy kobiety, ale jak trzy stworzenia jeszcze odczuwające potrzebę odżywiania się, chociaż nie sprawia im ono żadnej przyjemności, i potrzebę snu, chociaż nie daje on im owej radości wypoczynku bądź odradzania się na nowo – trzy stworzenia, których płęć była jakimś zapomnianym organem szczątkowym, jak na przykład te szczątkowe skrzela, zwane przez nas migdałami, bądź kciuki, inaczej wykształcone niż pozostałe palce wskutek pradawnej ich funkcjonalności przy włożeniu na drzewa. Utrzymywałyśmy dom w porządku, przynajmniej tę część, gdzie mieszkaliśmy, tę używaną część; dbałyśmy o pokój, do którego miał wrócić Thomas Sutpennie o tę sypialnię, z której wyjechał jako mąż, ale pokój, do którego miał wrócić jako wdowiec nie mający już syna, pozbawiony raz na zawsze męskiego potomstwa, z pewnością bardzo kiedyś upragnionego, skoro zadał sobie tyle trudu i kosztów w związku z płodzeniem dzieci i wychowywaniem ich wśród zagranicznych mebli i kryształowych żyrandoli; nie inaczej zresztą utrzymywałyśmy w porządku pokój Henry’ego, to znaczy właściwie nie ja, tylko Judith i Clytie sprzątały w nim zupełnie tak, jakby w tamto słoneczne popołudnie Henry wcale nie wbiegł na górę i po chwili znów nie zbiegł na dół. Każda z nas siała, hodowała i zbierała nasze pożywienie, uprawiałyśmy założony przez siebie ogród, równie składnie jak zajmowałyśmy się gotowaniem i zjadaniem zbiorów z tego ogrodu; nie myśląc o starszeństwie czy kolorze skóry, zawsze kierowałyśmy się tylko tym, która z nas potrafi najlepiej rozpalić ogień bądź zamieszać zupę w garnku, bądź wypleć klomb, bądź też zanieść fartuch wypełniony ziarnem kukurydzy do młyna z najmniejszym uszczerbkiem dla powszechnego dobra, z najmniejszą stratą czasu czy najmniejszym kosztem innych obowiązków. Aż wydawało się nieomal, że jesteśmy jedną jakąś istotą o trzech w gruncie rzeczy identycznych, zamiennych postaciach – jedną istotą, która uprawia ogród, przędzie nici, tka sukno na naszą odzież, poluje, wyszukuje na zboczach rowów i suszy

nędzne zioła, stanowiące jedyną ochronę, rękojmię i możliwość skromnych kompromisów, na jakie miałyśmy odwagę bądź czas pozwolić sobie w razie choroby, i dręczy, i nęka Jonesa, żeby uprawiał kukurydzę i ścinał drzewa zapewniając nam w ten sposób pokarm i ciepło na zimę – my trzy zespolone: ja, Judith i Clytie; ja w zbyt młodym wieku zmuszona przez okoliczności do prowadzenia sknerskiego gospodarstwa w domu, gdzie, tak jakbym je prowadziła w wieży latarni morskiej, nie nauczyłam się nawet hodować kwiatów na klombie, a cóż dopiero uprawiać warzywnik, i gdzie przywykłam uważać opał i mięso za coś, co samo przez się ukazuje się w skrzyni na drzewo albo w spiżarni; i Judith, stworzona przez okoliczności (przez okoliczności?, nie, przez sto lat piastowania jaśniepańskiej tradycji, może nie dlatego, żeby się z niej wywodziła, nawet ze swą krwią coldfieldowską, ale na pewno dlatego, że bezlitosna wola Thomasa Sutpena przecież wykuła w tej tradycji wnękę), Judith stworzona na to, żeby przejść gładko w jedwabistym nietykalnym odosobnieniu stadia kokonu: być pąkiem, a potem obsłużoną, płodną królową-żoną, a potem królową-matką sędziwą, o miękkich dłoniach, pogodną i zadowoloną z dobrze przeżytego życia – Judith udaremniona przez to, co u mnie będąc tylko nieuctwem kilkuletnim, u niej było żelaznym zakazem już od dziesięciu pokoleń – jej nie nauczono owej pierwszej zasady ubóstwa: skąp i oszczędzaj w imię samego skąpstwa i oszczędności, więc gotowała (i to za namową Clytie) z reguły dwa razy więcej, niż mogłyśmy zjeść, a trzy razy więcej, niż było nas stać, i karmiła każdego obcego, kto tylko zatrzymywał się u nas i prosił o posiłek, bo był to już okres, kiedy w okolicy zaczęli się pojawiać maruderzy; i wreszcie Clytie (wyliczona na miejscu ostatnim, ale nie najpośledniejszym). O Clytie można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że była niezdatna, wszystko, tylko nie to: przewrotna, nieodgadniona i paradoksalna: wolna, a przecież niedorośła do wolności, chociaż nigdy nie przyszło jej do głowy, że jest w niewoli – nie dochowująca wierności nikomu jak ospała, samotna wilczyca czy niedźwiedzica (tak, tak, dzika; na pół czarna i nie oswojona, na pół z krwią sutpenowską w żyłach; i jeżeli słowo „nie oswojona” oznacza to samo co „dzika”, to ta krew sutpenowska niejako w niej stanowi cichy, zawsze czujny, zaciekły bicz pogromcy), jak wilczyca czy niedźwiedzica ulega pozornie, fałszywie, zastraszona, ale niewierna, a już jeżeli, to tylko w stosunku do pierwotnej stałej zasady własnej dzikości; Clytie samym tylko zabarwieniem skóry reprezentowała klęskę, która doprowadziła i Judith i mnie do takiego bytowania, a jej (Clytie) dała to, czego ona przyjąć nie chciała, tak jak przedtem nie chciała uznać – Clytie trwała przy nas, jak gdyby niezależnie, z boku czuwała nad tym Nowym, nadal jednak z pełnym rozmysłem była przedstawicielką straszliwej złowieszczości Starego.

Trzy obce sobie istoty. Nie wiem, co Clytie myślała, jakie życie prowadziła, jadając to,

cośmy tak zgodnie uprawiały i gotowały, ubierając się w sukno naszego wspólnego wyrobu, mieszkając pod tym wspólnym dachem. Ale mogłam nie wiedzieć, bośmy, ona i ja, były przecież jawnymi, a jakże, nawet honorowymi wrogami. Dziwiło mnie natomiast, że nie wiem, co myśli i czuje Judith. Sypiałyśmy w jednym pokoju – wszystkie trzy (i to nie tylko żeby zaoszczędzić drzewa na opał z trudem przytaszczonego przez nas do domu. Sypiałyśmy razem, bo tak było bezpieczniej. Zbliżała się zima i zaczęli już powracać żołnierze – zbłąkani rozbitkowie, niekoniecznie włóczędzy i łotry, ale mężczyźni, którzy wszystko postawili na jedną kartę i wszystko przegrali, którzy nacierpieli się ponad wszelką wytrzymałość i teraz oto wracali do zniszczonego kraju już nie tacy jak wtedy, gdy wyruszyli w bój, przeobrazeni... i to właśnie było najgorsze: ta ostateczna, straszna degradacja, do jakiej wojna doprowadza ducha, duszę... wracali przeobrażeni na podobieństwo człowieka z samej tylko rozpaczy i litości lżącemu żonę czy kochankę zgwałconą, kiedy on był daleko. Bałyśmy się. Dawaliśmy im jeść: dawaliśmy im do ostatka wszystko, cośmy miały, i gdyby tylko to było możliwe, chętnie byśmy przyjęły na siebie ich rany, żeby oni znów mogli być cali i zdrowi. Ale bałyśmy się ich). Więc sypiałyśmy w jednym pokoju i budziłyśmy się skoro świt do wypełniania nie kończących się, żmudnych obowiązków codziennie narzucanych nam przez samą konieczność życia; po kolacji siadałyśmy przy kominku – wszystkie trzy w owym stanie, kiedy same kości i mięśnie są zbyt zmęczone, żeby wypoczywać, a osłabiony, niewidzialny duch już zaczyna zmieniać i przetwarzać nawet beznadziejność w jakąś spokojną niepamięć, pozwalającą nie odczuwać nawet zniszczonej odzieży na ciele – siadałyśmy przy ogniu i rozmawiałyśmy o tych uprzykrzonych, wciąż powracających drobnych sprawach naszego dnia powszedniego... o tysiącach rzeczy, tylko nie o jednej. Mówiłyśmy o nim, o Thomasie Sutpenie, i o końcu wojny (teraz już było widać, że wojna się kończy), o jego powrocie i o jego planach: o tej herkulesowej pracy, którą byliśmy tego pewne, on rozpocznie nie szcędząc trudu, bez wątpienia porywając nas do niej od razu (a jakże, wiedziałyśmy i to też) z całą swoją dawną bezwzględnością, nie dbając, czy chcemy, czy nie; mówiłyśmy i o Henry'm – bezradnie, bezużytecznie, zafrasowane, jak zwykle kobiety, kiedy rozmawiają o nieobecnym mężczyźnie, a więc: jak mu się powodzi, czy nie marznie, czy nie jest głodny – akurat tak samo jak rozmawiałyśmy o jego ojcu i jak gdyby oni obaj wraz z nami wciąż jeszcze żyli w tamtych czasach – w czasach, na których ten strzał, te wściekle szybkie kroki postawiły kropkę, żeby następnie wymazać je całkowicie z rzeczywistości; zaraz potem rozmawiałyśmy tak, jakby tamtego popołudnia w ogóle nigdy nie było. Ale ani razu, ani jednym słowem nie napomknęłyśmy o Charlesie Bonie. Dwukrotnie pod koniec tej jesieni Judith wyszła z domu po obiedzie i pogodna, spokojna wróciła dopiero na kolację. Nie pytałam jej, nie szłam za nią, a przecież

wiedziała tak samo, jak na pewno wiedziała Clytie, że Judith chodzi na ten grób uprzętnąć z niego zeschnięte liście i brudnozłote igły cedrowe, że ona tam chodzi na ten kopiec z wolną zapadający się z powrotem w ziemię, pod którą nie zagrzebałyśmy nic. Nie, nie było żadnego strzału. Ten odgłos był po prostu gwałtownym, ostatecznym zatrzaśnięciem drzwi pomiędzy nami a tym wszystkim, co było i co by mogło być jakimś wstecznym rozdzieleniem się strumienia wydarzeń: chwilą raz na zawsze w nieważkim czasie utrwaloną przez trzy słabe, a przecież niepokonane kobiety – chwilą, która zanim stało się faktem to, czego myśmy uznać nie chciały, pozbawiła tego brata owoców jego czynu, odebrała mordercy jego ofiarę pomimo tej kuli.

Tak to żyłyśmy przez siedem miesięcy. A potem w pewne styczniowe popołudnie wrócił do domu Thomas Sutpen; byliśmy wtedy zajęte pracą w ogrodzie, zapewnianiem sobie żywności na cały ten rok, kiedy któraś z nas nagle podnosząc głowę, zobaczyła, jak on nadjeżdża aleją wjazdową. A potem w pewien wieczór zaręczyłam się z nim.

Zabrało mi to tylko trzy miesiące czasu. (Nie mówię, że jemu... mówię, że mnie zabrało to trzy miesiące, Quentin zauważył, prawda?) Właśnie, zajęło mi to tylko trzy miesiące – mnie, która patrzyłam na niego (kiedy w ogóle patrzyłam, kiedy patrzeć musiałam) jak na jakiegoś ludojada z baśni opowiadanych po to, żeby straszyć dzieci; widziałam, jak jego własne potomstwo poczęte w ciele mojej siostry zaczyna po jej śmierci niszczyć się wzajemnie, a przecież musiałam jak pies na gwizdnięcie podejść do niego już od razu przy pierwszej okazji w to popołudnie, kiedy on, który od dwudziestu lat widywał mnie tyle razy, zechciał po raz pierwszy podnieść głowę i zatrzymać się, żeby spojrzeć na mnie. Och, ja nie zamierzam wcale bronić siebie – przecież mogłam Quentinowi podać (i podałabym... bez wątpienia już nawet podałam) tysiąc wymyślonych powodów dostatecznie istotnych dla kobiety, poczynając od wrodzonej kobiecej niestałości i kończąc na pragnieniu (czy nawet nadziei) zdobycia ewentualnych bogactw, stanowiska czy chociażby tylko na samym strachu przed śmiercią w staropanieństwie, jaki (oni tak na pewno Quentinowi powiedzą) zawsze odczuwają stare panny, czy po prostu na chęci zemsty. Nie. Ja nie zamierzam wcale bronić siebie. Mogłam była jechać do domu, do miasteczka, a nie pojechałam. Może powinnam była jechać do domu. Ale nie pojechałam.

Z Judith i Clytie stałam tam przed butwiejącym portykiem i patrzyłam na niego, kiedy do nas podjeżdżał na tym wynędzniałym, zajeżdżonym koniu, jak gdyby nie siedząc w siodle, ale sam siebie wyprzedzając niby miraż, wyrrywając się z jakąś srogą, dynamiczną, pełną napięcia niecierpliwością naprzód przed tego wynędzniałego konia i siodło, i tę swoją zdolną do odczuwania, chociaż pozbawioną nerwów cielesną powłokę w długich butach, w wytartym płaszczu koloru liścia, z wyblakłym, prującym się

galonem. W oparach tej niecierpliwości zsiadł z konia, w oparach tej niecierpliwości powiedział: „No, córko.”

I schylił się, i musnął brodą czoło Judith, przez cały czas stojącej bez ruchu, z twarzą nieruchomą. Jeszcze w oparach tej niecierpliwości wypowiedzieli oboje te cztery zdania, cztery zdania złożone ze słów prostych, bezpośrednich, ponad którymi, poza którymi i pod którymi wyczułam tę samą więź ich wspólnej krwi, jaką wyczułam owego dnia, kiedy Clytie zatrzymała mnie u stóp schodów: „Henry’ego nie ma?”

„Nie. Tu nie ma.”

„Aha. I...?”

„Tak. Henry go zabił.”

A potem Judith rozplakała się. Tak, tak, rozplakała się – ona, która dotychczas nie uрониła ani jednej łzy, ona, która w tamto popołudnie zeszła na dół i odtąd stale już chodziła z tą zimną, spokojną twarzą, z jaką zatrzymała mnie w półkroku, w biegu przed tamtymi zamkniętymi drzwiami; tak, tak rozplakała się, jak gdyby cały ten płacz nagromadzony w niej od siedmiu miesięcy sam się wyzwolił jednym niewiarygodnym tryśnięciem ze wszystkich por jej policzków (nie poruszyła się przy tym, ani jeden mięsień w niej nie drgnął) i zaraz potem już tych łez nie było – zniknęły tak nagle, tak bez śladu, jakby sroga sucha aura, w którą zagarnął ją ojciec, wysuszała te łzy jeszcze szybciej, niż się wylewały; a on, wciąż przy niej, z rękami w jej ramionach, spojrział wtedy na Clytie i powiedział: „A Clytie!”

I dopiero potem spojrział na mnie – i twarz miał taką samą jak wówczas, kiedy go widziałam ostatnim razem przed wojną, trochę tylko szczuplejszą, i oczy takie same bezlitosne, i włosy już szpakowate. Spojrział na mnie, niczym nie okazując, że mnie poznaje, dopóki Judith nie powiedziała: „To Rosa. Ciocia Rosa. Ona teraz tu mieszka.”

To było wszystko. Wjechał w tę aleję i znów w nasze życie, a przecież na stojących wodach naszej codzienności nie wywoływał żadnej zmarszczki z wyjątkiem tych nagłych niewiarygodnych łez. Bo właściwie nadal go nie było, nie było go w domu z nami; on wcale się tam nie zatrzymał. Przebywała tam tylko jego powłoka, mieszkając w przygotowanym dla niego pokoju, jadając przyrządzane przez nas jedzenie, zachowując się zupełnie tak, jakby już nie potrafiła odczuwać miękkości łóżka ani rozróżniać smaku poszczególnych potraw. Tak, tak, jego tam nie było. Coś z nami spożywało posiłki, pozwalało zwracać się do siebie, odpowiadało na nasze pytania; siedziało razem z nami wieczorem przy kominku i ni stąd, ni zowąd, otrząsało się z bezwładu, z głębokiej zadumy i mówiło – nie do nas, trzech par uszu, trzech umysłów umiejących słuchać, ale do powietrza wokoło, do tej cichej w wyczekiwaniu, posępnej, zbutwiełej obecności samego domu, do ducha domu; napuszona, patosu pełna przemowa szaleńca, który

nawet w deskach własnej trumny widzi swój bajeczny zamek Camelot, swój bajeczny gród Carcassonne. To nie znaczy, żeby on był nieobecny na tej ziemi, na tym samowolnie wybranym kwadratowym obszarze nazwanym Setką Sutpena przez niego samego – wcale nie. Był nieobecny tylko w tym pokoju, a to, dlatego, że chciał czy nie chciał, musiał duchem przebywać gdzie indziej; rozdzielał swą obecność między każdy ugór, każdy przewrócony płot i walące się ściany chaty murzyńskiej czy stajni, czy składu bawełny, rozprzestrzeniał się niejako pod najwyższym napięciem palącego, skrzepłego pośpiechu, świadom, że czasu jest mało, więc nie wolno go marnować, jak gdyby przed chwilą się urodził i rozejrzał się, i natychmiast pojął, że jest stary (miał lat pięćdziesiąt dziewięć), i zatroskał się (nie zatrwożył się, tylko zatroskał) nie tym, że starość odbierze mu siły do przeprowadzenia jego planów, ale tym, że może nie zdążyć ich przeprowadzić przed śmiercią. Słuszność miałyśmy snując przypuszczenia na temat jego poczynań po powrocie: domyślając się, że on nawet nie zaczerpnie tchu, tylko od razu zacznie przywracać dom i plantację do stanu jak najbardziej przypominającego dawną świetność. Nie wiedziałyśmy jednak, w jaki sposób on to robi, i on sam chyba też nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Powrócił z niczym do niczego, do tych czterech lat naszych będących czymś jeszcze mniej niż nic. Nie powstrzymywało go to ani nie onieśmielało. Był jak gracz czujny, zwinny, zaciekły, który zdaje sobie sprawę, że, czy tak, czy owak, istnieje zawsze możliwość przegranej, ale jeśli choć na moment sroga, niezłomna wola w nim osłabnie, to przegranej może być zupełnie pewny, więc zapobiega chwili zawieszenia, stosując jakieś najzwyczajniejsze sztuczki z kartami czy też z kośćmi do gry, póki przewody i gruczoły szczęścia nie będą znów dobrze pracować. Nawet w ciągu tych pierwszych paru dni nie pozwolił swoim pięćdziesięciodziewięcioletnim kościom i mięśniom na trochę pokrzepiającego odprężenia – w ciągu tych pierwszych paru dni, kiedy przecież mogłby z nami porozmawiać, już nie o nas i o tym, cośmy porabiały przez czas jego nieobecności, ale o sobie samym, o swoich własnych ubiegłych czterech latach (sądząc z tego co nam opowiadał, można by myśleć, że w ogóle nie było wtedy wojny albo że wojna toczyła się na jakiejś innej planecie, nie zmuszając go do żadnego ryzyka i nie narażając ani jego, ani nikogo z jego rodziny na żadne cierpienia). Nie pozwolił sobie odsapnąć przez te pierwsze parę dni, w ciągu których siłą rzeczy zawziętość wobec srogiej, aczkolwiek ran na ciele nie pozostawiającej kłębki mogłaby się wypalić, zamienić się w coś takiego jak spokój, jak cisza w szalonym, nieufnym roztrząsaniu jej wciąż na nowo (to właśnie analiza czyni życie znośnym), w stwierdzaniu wciąż na nowo idealnej równowagi pomiędzy zagładą a zwycięstwem – bez czego sama zagłada czyni kłębę czymś nie do zniesienia, obraca się przeciwko człowiekowi, któremu odmówiła śmierci, który więc żyje, a przecież w jej obliczu żyć nie może.

Widywałyśmy go bardzo rzadko. Nie było go w domu od świtu do zmroku. Gdzieś chodził z Jonesem i może jeszcze z jakimiś dwoma ludźmi, których ściągnął nie wiadomo skąd i których czymś opłacał – może tą samą monetą, jaką niegdyś opłacał tego cudzoziemca architekta – trzymał ich przy sobie schlebianiem, obietnicą, pogróżką czy wreszcie przemocą. To była właśnie ta zima, kiedyśmy poznały określenie „ci z torbami”, oznaczające politykierów z Północy, rozbitków powracających z rozbitego frontu, awanturników szukających łatwych zdobyczy, kiedy ludzie... kobiety szczerze na noc zamykały drzwi i okna, zaczynając już straszyć się wzajemnie opowieściami o powstaniu murzyńskim, kiedy pustoszona przez cztery lata, ugorująca, zaniedbana ziemia leżała jeszcze bardziej odłogiem, a mężczyźni z pistoletami w kieszeniach co dzień gromadzili się na tajnych zebraniach w miasteczku. On do tych mężczyzn nie należał; pamiętam, jak pewnego wieczora przez błota wczesnego marca przyjechała tam do nas deputacja, żeby go zmusić do zajęcia zdecydowanej postawy, żeby im powiedział „tak” czy „nie”, czy jest z nimi, czy przeciwko nim, przyjaciel czy wróg; a on odmówił odpowiedzi, uchylił się, rzucił im wyzwanie (bez drgnienia mizernej, hardej twarzy, bez żadnej zmiany tonu), jeżeli to właśnie wyzwania było im potrzeba, powiedział im, że gdyby każdy mężczyzna na Południu za jego przykładem zabrał się do przywracania ładu na własnej ziemi, to cała ziemia w kraju, całe Południe na pewno by się wyratowało samo; a potem wyprowadził ich z pokoju i z domu i najspokojniej w świecie trzymając lampę nad głową stał w przedsionku, kiedy ich rzecznik wygłaszał swoje ultimatum.

„To może oznaczać wojnę, Sutpen.”

„Przywykłem do wojny” – odpowiedział.

Och, właśnie, patrzyłam na niego, patrzyłam na jego samotną starczą zaciekłość w walce już nie jak przedtem z tą ziemią upartą, a przecież z wolną się poddającą, ale z całą konkretną wagą zmienionych nowych czasów – w walce takiej, jakby gołymi rękami usiłował z jednego kamyczka ustawić groblę na rzece: i to tylko, dlatego, że wciąż jeszcze się okłamując liczył na nagrodę, która już raz go zawiodła (zawiodła? zdradziła; a tym razem miała zabić). Teraz już sama widzę tę analogię: widzę, jak coraz szybciej toczyło się z pochylni zabójcze koło jego bezwzględności, pychy i żądzy próżnego splendoru – wtedy jednak nie widziałam.

Zresztą, jakżebym widzieć mogła? Wprawdzie skończyłam już dwadzieścia lat, ale pomimo to nadal byłam dzieckiem, nadal żyłam w owym korytarzu podobnym do łona, gdzie świat nawet nie dawał się słyszeć żywym echem, tylko rzucał martwy, niepojęty cień, i ze spokojnym, niczym nie zakłóconym zdumieniem dziecka patrzyłam na mirażowe wybryki dorosłych: mego ojca, mojej siostry, Thomasa Sutpena, Judith, Henry’ego, Charlesa Bona – zwane honorem, zasadami, małżeństwem, miłością, żalobą,

śmiercią; nadal byłam dzieckiem, chociaż na samego Sutpena patrzyłam już nie jak dziecko, ale jako jedna z tego matczynego triumwiratu utworzonego przez nas trzy: przeze mnie, Judith i Clytie – triumwiratu, który karmił, przyodziwał i ogrzewał tę statyczną powłokę, znajdując w tym jakieś ujście jakieś pole do działania, w bolesnym a czczym złudzeniu mogąc sobie mówić: „Wreszcie moje życie jest coś warte, chociaż to tylko straż i opieka nad opętanym swymi rojeniami, bez granic obłąkanym dzieciakiem.”

A potem w pewne popołudnie (okopywałam wtedy grządki w ogrodzie warzywnym przy ścieżce wiodącej ze stajennego podwórka) podniosłam nagle oczy i zobaczyłam, że on stoi i patrzy na mnie. Przedtem przez dwadzieścia lat mnie widywał, ale teraz patrzył na mnie: stał na ścieżce i patrzył na mnie w środku popołudnia. W tym właśnie rzecz: że to musiało być w pełni popołudnia, w porze, kiedy zamiast znajdować się w pobliżu domu on powinien być gdzieś bardzo daleko, zagubiony nie wiadomo gdzie na tych swoich stu milach kwadratowych ziemi, której jeszcze jakoś nie zadano sobie trudu mu odebrać – powinien gdzieś tam być, może nawet nie w jednym konkretnym miejscu, a wszędzie naraz (nie rozproszony! wszechobecny tam, rozrośnięty, ogarniający wszystko, jak gdyby w jakiejś przeciągłej, nieprzerwanej chwili straszliwego wysiłku obejmował, trzymał w całości ten kwadrat dziesięćmilowy w obliczu tego w czym na pewno, niepokonany i beztrwożny na krawędzi chaosu, widział swoją ostateczną i nieodwołalną klęskę). Zamiast tam być, stał w ogrodzie na ścieżce i patrzył na mnie z wyrazem twarzy tak dziwnym i obcym, jakby to podwórko, ta ścieżka, w chwili kiedy doszedł do miejsca, skąd mnie zobaczył, były ciemnym bagnem, z którego on się wynurzył nie wiedząc, że wychodzi na światło... stał tak przez chwilę, a potem poszedł dalej... Ta jego twarz, sama ta twarz; to nie była miłość, tego nie mówię, ani nie tkliwość czy litość: to był po prostu jakiś nagły snop światła, blask – i to u kogoś, kto dowiadując się o zbrodni i zniknięciu swego syna, powiedział tylko: „Aha. No, Clytie.” – Poszedł dalej, do domu. Ale to nie była miłość, tego nie mówię; ja nie zamierzam wcale bronić siebie. Mogłabym powiedzieć, że byłam mu potrzebna; że skoro i tak już mnie wykorzystywał, czemuż miałabym się buntować, kiedy zapragnął wykorzystać mnie jeszcze bardziej? Ale ja tego nie mówię; mogłabym tym razem powiedzieć, że nie wiem, jak to było, i powiedziałabym prawdę. Bo ja rzeczywiście nie wiem. Poszedł sobie dalej, a ja nie wiedziałam nawet, że już go tam nie ma, bowiem istnieje jakiś metabolizm zarówno ducha, jak i organizmu, i czas przeżyty gromadzi w nas żary, płodzi i tworzy coś, co niespodzianie nagle odbiera dziewictwo duchowe ciała głodnemu; a jakże, jedna sekunda wystarczy – tak, tak, i traci się już swoje godło, które wydziera się ze słów „nie mogę”, „nie będę”, „nigdy na pewno nie będę”, już zamazanych w ciągu jednej chwili, jednej szkarłatnej i szalonej chwili. To była moja chwila i mogłam była wtedy uciec,

a jednak nie uciekłam; stwierdziłam, że on już poszedł, a jednak nie wiedziałam, kiedy to się stało; stwierdziłam, że moja praca na grzędce okry została już ukończona, a jednak nie wiedziałam, jak i kiedy ją ukończyłam. Tego dnia wieczorem znów jadłam kolację razem z tą powłoką w mgłach swej utopii już znaną nam i nawet swojską (znów ani razu na mnie nie spojrział w czasie tego posiłku; mogłam była wtedy powiedzieć: „Na pastwę, jakich to marzeń nieczystych wciąż nas wydaje niepoprawne ciało!”, ale nie powiedziałam); a potem, po kolacji, kiedyśmy jak zwykle siedziały przy kominku w sypialni Judith, on stanął we drzwiach i zaczął: „Judith, ty z Clytie...” i urwał, podszedł do nas i powiedział: „No, wszystko jedno. Rosie nie będzie miała nic przeciwko temu, że i wy dwie to usłyszycie, bo czasu mamy już mało, a zajęcia jeszcze bardzo dużo.”

I podszedł, stanął przy mnie i położył mi rękę na głowie. (Na co wtedy patrzył, nie wiem. Wiem tylko, sądząc z samego brzmienia jego głosu, że nie patrzył ani na żadną z nas, ani na żaden przedmiot znajdujący się w tym pokoju.) Mówił: „Możesz sądzić, że dla twojej siostry, Ellen, niezbyt byłem dobrym małżonkiem. Prawdopodobnie tak sądzisz. Ale nawet biorąc pod uwagę fakt, że obecnie jestem już starszy, niż byłem wówczas, wydaje mi się, że mogę ci obiecać, iż dla ciebie będę małżonkiem, jeżeli nie lepszym, to przynajmniej zgoła nie gorszym.”

To były konkury o moją rękę. To błyskawicznie wymienione spojrzenie w ogrodzie warzywnym, ta dłoń na mojej głowie w sypialni jego córki; ukaz, dekret, pogodna, kwiecista przechwątka brzmiąca jak wyrok (a jakże, i to wyrok jakiegoś sądu) nie wygłoszony i usłyszany, ale jak gdyby odczytany z napisu wyrzeźbionego na obojętnym kamieniu, cokole zapomnianego grobowca bez nazwiska. Ja nie szukam wymówek. Ja nie zamierzam wcale bronić siebie, domagać się żadnej obrony, żadnej litości; jeśli nie odpowiedziałam: „Mam wolną i nieprzymuszoną wolę”, to nie, dlatego, że nie zostałam o to zapytana, i nie dlatego, że na odpowiedź nie było miejsca, żadnej luki, żadnej przerwy. Bo przecież mogłam dać odpowiedź. Mogłam sama własnymi siłami wyrwać taką chwilę, gdybym tylko chciała – chwilę nie na łagodne „tak”, ale na chłaiście na oślepie, rozpaczliwą bronią kobiecą, chwilę jak ziejąca rana, z której by się dobywał krzyk: „Nie! Nie!” i „Na pomoc!” i „Ratunku” Ach, nie domagam się żadnej obrony, żadnej litości – ja, która nawet nie drgnęłam pod dotknięciem tej twardej dłoni roztargnionego ludojada mojego dzieciństwa – nawet nie drgnęłam siedząc tam i słysząc, co on mówi do Judith. A potem zobaczyłam rękę Judith – tę dłoń, z której jak z drukowanej kroniki czytałam osierocenie i niedolę, i utratę miłości: te cztery ciężkie, jałowe lata mozołów z prymitywnym warsztatem tkackim, z motyką, z siekierą, z wszystkimi innymi narzędziami gospodarskimi przeznaczonymi dla mężczyzn. Na tej właśnie dłoni leżała teraz obrączka, którą on prawie przed trzydziestu laty dał El len w kościele. Tak, tak,

analogia i paradoks, i obłęd też. Siedziałam tam i czułam – nie patrzyłam na to, tylko czułam, jak on tę obrączkę mnie z kolei wsuwa na palec (też siedział teraz, siedział w fotelu, zwanym przez nas fotelem Clytie, a Clytie stała tuż za kręgiem blasku z kominka) – i słuchałam jego głosu, tak jak dawno, trzydzieści lat przedtem zapewne słuchała go Ellen w kwiecie swojego życia. Nie mówił o mnie ani o miłości, ani o małżeństwie, ani nawet o sobie samym – nie mówił do żadnego zdrowego na umyśle śmiertelnego słuchacza – nie mówił nic, co by płynęło ze zdrowej myśli. Przemawiał do ciemnych mocy samego przeznaczenia, bo już je zbudził i wyzywał z głębi tego rozszalałego, chełpliwego snu, w którym nienaruszona, wspaniała kwitła Setka Sutpena, nie istniejąca teraz i nigdy istnieć nie mająca choć trochę konkretniej niż wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała o niej Ellen – przemawiał zupełnie tak, jakby samym faktem ponownego wsunięcia tej obrączki na żywy palec cofnął wstecz o dwadzieścia lat koło czasu i zatrzymał czas, zamroził czas. Tak, tak, siedziałam tam i słuchałam jego głosu, i mówiłam sobie: „Ależ on jest obłąkany. On zaraz zadecyduje, że to małżeństwo ma zostać zawarte jeszcze dziś wieczorem, i sam sobie udzieli ślubu, będąc równocześnie panem młodym i pastorem; i sam nad sobą wygłosi obłędne błogosławieństwo, trzymając tę samą zapaloną świecę, z którą pójdzie później do ślubnego łoża. A ja też jestem obłąkana, bo się zgodzę, poddam; będę go jeszcze podjudzać i skoczę w odmet.”

Nie, ja nie zamierzam wcale bronić siebie ani nie proszę o litość. Jeżeli tamtego wieczora zostałam uratowana (a zostałam; ofiarę z siebie miałam złożyć dopiero później, już trzeźwo, kiedyśmy... kiedy byłam już wyższa ponad wszelkie usprawiedliwienia, jakie by mi mogło podsuwać natarczywe i zdradzieckie, zaskoczone ciało), to nie spowodował tego żaden błąd, żadne posunięcie z mojej strony, ale raczej fakt, że on z chwilą wskrzeszenia tej obrączki po prostu znów przestał patrzeć na mnie, to znaczy, znów zaczął na mnie patrzeć nie inaczej, niż patrzył przez całe dwadzieścia lat aż do tego popołudnia – rzecz by można, nastąpił u niego koniec chwilowej przerwy w obłędzie, jakiej zaznają obłąkani akurat tak samo, jak ludzie zupełnie normalni miewają chwile obłędu, żeby sobie uświadamiać swoje umysłowe zdrowie. To było nawet coś więcej. Przedtem przez trzy miesiące, chociaż nie patrzył na mnie, codziennie mnie przecież widział, jako że byłam jedną z tego triumwiratu, który bądź co bądź zaskarbił sobie jego burkliwą, nie wypowiedaną słowami męską wdzięczność za spartańskie wygody, jakim otaczałyśmy może nie tyle jego samego, ile przynajmniej ową obłędną ułudę, z jakiej teraz czerpał życie.

Potem natomiast, przez następne dwa miesiące, nie tylko na mnie nie patrzył, ale nawet mnie nie widział. Może z powodów jasnych zupełnie: zanadto był zajęty; i po tych zaręczynach (jeśli się założy, że o to mu właśnie chodziło) na razie widzieć mnie nie

potrzebował. Z pewnością nie potrzebował: nawet data ślubu nie została ustalona. Nieomal się wydawało, że tamtego popołudnia przed zaręczynami w ogóle nie było. Mogło mnie nie być tam w domu. Gorzej: mogłam wyjechać z powrotem do miasteczka i on by nawet nie odczuł, że mnie już nie ma. Bo ja... (bez względu na to, czego on chciał ode mnie, na pewno nie chciał mnie jako takiej, mojej obecności: wystarczył mu sam fakt, że istnieję, czymkolwiek była ta rola, którą Rosa Coldfield czy inna młoda kobieta nie będąca jego krewną miała odegrać w jego planach. Bo tyle już muszę mu przyznać. On na pewno ani razu nie pomyślał o tym, czego ode mnie zażądał, aż do czasu, kiedy tego zażądał. Bo gdyby pomyślał, to przecież z tym żądaniem nie czekałby dwa miesiące, ba, nawet dwa dni)... otóż to, że ja istnieję, było dla niego po prostu równoznaczne z tym, że nie istnieją już czarne moczary i gąszcza poplątanych lian, przez które dotąd przedzierał się nie mając nic, co by go wiodło, co by go popędzało – ani żadnej nadziei, ani żadnego światła, nic, tylko świadomość jakiejś nieodwracalnej klęski; teraz już nie błędził, bo nagle, ni stąd, ni zowąd, wyszedł na suchy stały ląd, na powietrze, w blask słońca – jeżeli coś takiego jak słońce w ogóle mógł odczuwać, jeżeli w ogóle jakiś blask mógł mu zajaśnieć na równi z białą luną jego obłądu.

Tak, tak, on na pewno był obłąkany, chociaż nie tak znów bardzo. Bo w złym się zawsze kryje myśl praktyczna: złodziej czy kłamca, czy nawet morderca ma swe prawa mocniej zaszczipione, niż kiedykolwiek ma sama cnota; czemuż więc obłąd nie miałby ich też? Jeżeli on był obłąkany, to ta gorączka ducha przejawiała się tylko w jego szaleńczych pobudkach, ale nigdy nie w jego metodach: to nie wariat targował się i pochlebstwami wyłudzał ciężką fizyczną pracę od ludzi w rodzaju Jonesa; to nie wariat trzymał się z daleka od prześcieradeł i kapturów, i nocą galopujących koni – od tego wszystkiego, w czym mężczyźni, kiedyś jego znajomi, nawet bliscy znajomi, dawali ujście rakowatemu ropieniu klęski; to nie wariat planową taktyką zdołał za cenę możliwie najniższą i w jedyny skuteczny dla siebie sposób zaręczyć się z jedyną kobietą, jaka w jego otoczeniu nadawała się na jego żonę. Nie, tutaj on nie był wariatem, nie. Bo chyba jest coś takiego w obłądzie, nawet w najbardziej diabelskim obłądzie, przed którym Szatan, widząc swoje dzieło, w grozie ucieka i na które Pan Bóg patrzy z litością... chyba jest w obłądzie jakaś iskierka, jakiś okruch mały na zacyzn dobra, na to, by odkupić to ciało z kości łączonych stawami, tę mowę, zmysły: wzrok, słuch, smak istoty z gatunku ludzi. Zresztą mniejsza o to. Powiem Quentinowi, co on zrobił, i niech to Quentin sam osądzi (czy też może postaram się to Quentinowi powiedzieć, bo są pewne rzeczy, na wypowiedzenie, których trzy słowa są już trzema słowami za dużo, a trzy tysiące słów są trzema tysiącami słów za mało, i to właśnie jest jedna z takich rzeczy, powiedzieć to można; mogłabym użyć wielu zdań, żeby powtórzyć tę zuchwałą, obojętną,

niedwuznaczną, obelżywą propozycję dosłownie tak jak on z nią wystąpił, a Quentin by poczuł tylko tę zgrozę, oburzenie, niewiarę, jaką ja czułam, kiedy pojęłam, co on ma na myśli; albo też mogłabym odsunąć te trzy tysiące słów i powtórzyć Quentinowi tylko to: „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?” – tylko to pytanie, które wciąż sama sobie zadaję, którego słucham już prawie od pięćdziesięciu lat). Ale niech Quentin sam osądzi, niech mi Quentin powie, czy nie miałam racji.

Rozumie Quentin, ja byłam tym jego słońcem albo może tak mi się zdawało, boja przecież mocno wierzyłam, że istnieje w obłędzie owa iskierka, kruszyna boskości, chociaż sam obłąd nie zna żadnego słowa na określenie współczucia czy strachu. Był w moim dzieciństwie jakiś ludojad, który jeszcze przed moim przyjściem na ten świat przeniósł moją siostrę w posępne granice swego ludojadowego królestwa i spłodził dwoje na pół widmowych dzieci, właściwie mi nie znanych, skoro ani mnie nie zachęcano, ani sama nie dążyłam do tego, żeby się z nimi zadawać – jak gdyby mnie, późno zrodzoną do życia, moja samotność nauczyła już zawczasu wyczuwać ten złowrogi splot wydarzeń mających nastąpić w przyszłości, ostrzegła mnie już zawczasu, że nastąpi ten złowieszczy, niejasny, przełomowy moment, ostrzegła mnie, jeszcze zanim poznałam słowo „morderstwo”... Więc był jakiś ludojad, i ja to wybaczyłam; bo potem był pomnik, żołnierz, który odjechał konno pod sztandarem i (demon czy nie demon) odważnie cierpiał – więc ja mu nie tylko wybaczyłam, ale zrobiłam coś więcej. Zabiłam ludojada, bo to ciało, ta krew, to moje wspomnienie o tym ludojadzie przecież powróciło do mnie w pięć lat później, wyciągając rękę i wołając: „Chodź!”, tak jak się woła psa, a ja przyszłam. Tak, tak, to była ta sama postać, ta sama twarz i imię, i nazwisko, i wspomnienie, i tak samo bezbłędnie on pamiętał, co i kogo pozostawił za sobą odjeżdżając, i do czego, do kogo teraz powraca (nie pamiętał tylko mnie, a czyż to nie było jeszcze jednym dowodem, że wcale się nie zmienił?); łotr, to prawda, ale zarazem omylny śmiertelnik, raczej wywołujący litość niż trwogę; ale już nie ludojad; wariat, to prawda, ale zaczęłam się zastanawiać: „Czemuż to obłąd nie miałby paść w końcu sam swą ofiarą?”

I mówiłam sobie: „Może to nawet nie obłąd, a rozpacz samotna, co teraz zmaga się straszliwie z duchem nieszczęsnym, skazanym, ale żelaznym i niezwyciężonym.”

To jednak nie był ludojad, bo ludojad już nie żył, zniknął, może przepadł pochłonięty przez płomień i siarkowy dym wśród urwisk w samotnej głuszy pamięci czy też niepamięci mojego dzieciństwa. Teraz ja stałam się tym słońcem – wierzyłam, że on (po tym wieczorze w pokoju Judith) ani na chwilę o mnie nie zapomina, tylko po prostu chodzi nieprzytomnie, pielgrzym olśniony swym wyjściem, z moczarów, już czując ziemię i radując się słońcem i znowu światłem, chociaż nie jest świadom ani tej ziemi, ani tego

słońca, i wie jedynie, że już nie jest ciemno i że nie musi w moczarach już grzęznąć – wierzyłam, że w krwi obcego człowieka istnieje czar zwany przez nas bladym mianem „miłość”, więc naprawdę mogę ja (choć najmłodsza i najsłabsza) być dla niego słońcem tam, gdzie już ani Judith, ani Clytie nie rzucają żadnego cienia; tak, tak, ja, najmłodsza z nich wszystkich, a przecież potencjalnie bez określonego, wymiernego wieku, skoro tylko ja jedna z nich mogłam powiedzieć: „O stary szaleńcze, wprawdzie nie ma we mnie takiej treści, jaka by pasowała do twojego urojenia, ale dać ci mogę przestrzeń powietrzną i pole działania dla twojego delirium.”

A potem w pewne popołudnie... Och, w tym była ręka Losu: popołudnie i popołudnie, i popołudnie, Quentin rozumie? Po popołudniu śmierć nadziei i miłości, po popołudniu śmierć dumy i zasad, i wreszcie po popołudniu śmierć wszystkiego z wyjątkiem tej dawnej, pełnej grozy i oburzenia niewiary, która jest we mnie jeszcze teraz po czterdziestu latach... Więc on wrócił wtedy do domu i zaczął mnie wołać, krzycheć z tylnej werandy, dopóki nie zesłam do niego na dół; och, powiedziałam już Quentinowi, że on wcale o tym nie myślał aż do tamtej chwili, tamtej drugiej chwili mieszczącej w sobie odległość pomiędzy domem a tym miejscem, gdziekolwiek to było, gdzie on właśnie stał, kiedy mu to przyszło na myśl; i to też był zbieg okoliczności: bo to się zdarzyło właśnie w dniu, w którym on ostatecznie i wreszcie dokładnie się zorientował, ile ze swoich stu mil kwadratowych będzie mógł ocalić i uprawiać, i nazwać swoją własnością w godzinie śmierci, i już wiedział na pewno, że bez względu na to, co się z nim dzieje teraz, uda mu się zachować przynajmniej namiastkę Setki Sutpena, choćby Jedynka Sutpena była dla niej obecnie nazwą bardziej odpowiednią. Więc wołał mnie, krzychał, dopóki nie zesłam na dół. Jeszcze nawet nie uwiązał konia; jeszcze z cugłami przerzuconymi przez rękę (tym razem nie trzymał dłoni na mojej głowie) wypowiedział bez żadnych ogródek tę zniewagę tonem takim, jakim mógłby się naradzać z Jonesem czy z kimś tam innym w sprawie suki czy krowy czy klaczy.

Oni na pewno Quentinowi opowiadali, jak wróciłam do domu, do miasteczka. Och, właśnie, ja wiem: „Rosie Coldfield straciła go i leje łzy; złapała mężczyznę i nie potrafiła go przy sobie zatrzymać.” Och, właśnie (i to mówiło się nawet życzliwie, oni byli życzliwi), Rosa Coldfield – zgorzkniała, osierocona małomiasteczkowa gęś zwana Rosą Coldfield – wreszcie się zaręczyła, zapewniła sobie przyszłość, więc nie będzie ciężarem dla miasteczka i dla hrabstwa... Już oni Quentinowi opowiadali: jak wyjechałam do Setki Sutpena, żeby tam mieszkać do końca życia, bo zobaczyłam w morderstwie popełnionym przez siostrzeńca pretekst do zwalenia wszystkiego na siłę wyższą... że to niby sam Pan Bóg mi dopomaga wypełnić wolę konającej siostry, jej prośbę, żebym uchroniła przynajmniej jedno z jej dwojga dzieci, już i tak przez nią skazanych samym faktem ich

poczęcia, ale że to nieprawda, bo jasne, że ja po prostu chciałam tam być na miejscu w chwili powrotu tego demona, który jako demon będąc odpornym na kule, na pewno wróci cały i zdrowy; mówili, że czekałam tam na niego, bo byłam jeszcze młoda (a czyż ja kiedy nadzieję wiązałam z tym pysznym wojskiem ruszającym w bój?), bo dojrzałam do małżeństwa właśnie w tym czasie, w tym kraju, gdzie mężczyźni młodzi w większości polegli, a wszyscy pozostali przy życiu byli albo starzy, albo już żonaci, albo zmęczeni, zanadto zmęczeni na miłość; więc on, Sutpen, to moja jedyna szansa w tych okolicznościach, w tym otoczeniu, skoro nawet w najlepszym razie, gdyby nie było wojny, miałabym możliwości i tak znikome... ja, dama wychowana według zasad Południa i zarazem osoba ze skromnego środowiska, żyjąca w warunkach bardzo skromnych, a więc siłą rzeczy zmuszona do potwierdzenia swojej wartości tylko postępowaniem własnym – bo gdybym się urodziła córką bogatego plantatora, mogłabym sobie pozwolić na poślubienie nieomal każdego, córce natomiast właściciela małego sklepiku nie wypadło nawet przyjąć kwiatów od byle kogo... więc ostatecznie może bym została skazana na małżeństwo z jakimś pierwszym lepszym praktykantem pracującym w przedsiębiorstwie mojego ojca. Tak, tak, oni na pewno Quentinowi opowiadali: o tej istocie, co jeszcze była młoda, a już musiała pogrzebać wszelką nadzieję w ciągu owej jednej jedynej czteroletniej nocy, kiedy to przy osłoniętej, palącej się od wieczora do rana świeczce balsamowała tę wojnę i jej dziedzictwo: cierpienie i niesprawiedliwość, i żal; wpisywała to na odwrocie stronic w starej księdze handlowej; wchłaniała z powietrza dokoła i balsamowała ten zatruty tajemny wyziew żądź i nienawiści, i zabijania – oni na pewno Quentinowi opowiadali: córka człowieka, który zwrócił się o pomoc do demona, do łotra, córka dekwana, więc miała rację nienawidząc ojca, bo gdyby ojciec nie umarł na swoim strychu, to ona przecież by nie musiała jechać do tamtego domu i tam szukać pożywienia, opieki i dachu nad głową, nie musiałaby zawdzięczać utrzymania i odzieży jemu (jakkolwiek sama pomagała wydzierać ziemi tę żywność i tkąć odzież), gdyby nie musiała zawdzięczać jemu jakiego takiego życia i ciepła w oczekiwaniu na chwilę, kiedy prosta sprawiedliwość, zażąda od niej okazania tej wdzięczności w taki sposób, jakiego on mógłby wymagać, byleby to tylko było zgodne z honorem, więc gdyby nie to, na pewno by się z nim nie zaręczyła, a jeśli już nawet, na pewno by nie spędzało jej snu z powiek pytanie: „Dlaczego?” i „Dlaczego?”, i, dlaczego?” – już od czterdziestu trzech lat: więc chyba jednak miała instynktownie rację, nawet jako dziecko nienawidząc ojca, a te czterdzieści trzy lata nieznośnego, bezsilnego poczucia zniewagi to zemsta jakiejś wyrafinowanej, ironicznej, bezpłodnej natury – zemsta za tę nienawiść do człowieka, który jej, Rosie, dał życie.

Tak, tak, więc oni wtedy mówili: „Rosa Coldfield wreszcie zaręczona; to dobrze, że

siostra pozostawiła jej w spadku przynajmniej coś w rodzaju dachu nad głową i rodziny, bo w przeciwnym razie mogłaby się stać ciężarem dla miasteczka. Ale oto, Rosie Coldfield, straciłaś go i lejesz łzy; znalazła sobie Rosa Coldfield mężczyznę, ale nie udało się jej go zatrzymać” – ta Rosa Coldfield, która może ma rację, cóż kiedy mieć rację to dla kobiet za mało, bo kobiety wolą się mylić niż tylko mieć rację, bo kobietom zależy przede wszystkim na tym, żeby przyznał im rację ten mężczyzna, który się mylił. I właśnie tego mu ona wybaczyć nie może... nie tej zniewagi i nawet nie tego, że musiała go najpierw przyjąć, a potem odrzucić, ale tego, że on nie żyje, więc już nigdy, na pewno nigdy racji jej nie przyzna. Och, właśnie, ja wiem, ja wiem: o tym, jak w dwa miesiące później się dowiedziano, że ona spakowała cały swój dobytek (to znaczy, znów włożyła szal i kapelusz) i powróciła do miasteczka, i samotnie zamieszkała w domu, w którym umarli jej rodzice, do którego od czasu do czasu przybywała teraz Judith, przywożąc jej trochę żywności z tej ich ubogiej spiżarni w Setce Sutpena. Przyjmowała tę żywność od Judith, bo skłaniała ją do tego sroga konieczność, uparta wola życia, zakorzeniona w zwierzęcym niewytłumaczalnym ciele. Zaiste, sroga to była konieczność, bo teraz miasteczko – przejeżdżający farmerzy, murzyńska służba w drodze do pracy w kuchniach białych państwa – widywało ją przed wschodem słońca, kiedy chodziła wzdłuż płotów i zbierała warzywa, wrywając je przez sztachety; własnego ogrodu przecież nie miała ani żadnych nasion, żeby coś zasadzić, ani żadnych narzędzi, żeby własnoręcznie coś uprawiać, nawet gdyby doskonale umiała to robić – ona, ta ogrodniczka domorosła, a zresztą gdyby nawet umiała, to i tak bez wątplenia nie pracowałaby w ogrodzie; przez sztachety płotów sięgała do warzywników i zbierała warzywa, chociaż mogłaby tam wejść powitana życzliwie i otrzymać te warzywa w prezencie, przy czym na pewno sami gospodarze zajęliby się ich zbieraniem i nawet by je odesłali jej do domu, bo przecież nie tylko sędzia Benbow, ale i inni znajomi podrzucali jej nocą na ganek koszyki z żywnością. Ale ona nie chciała do tego dopuścić i nawet nie używała kija, żeby sięgać przez płot i przyciągać warzywa do miejsca, skąd już je mogła zgarnąć – zawsze brała tylko to, co rosło w zasięgu ręki – to była granica jej rozboju, której nie przekraczała nigdy. Robiła to o świcie, ale nie, dlatego, żeby nie widziano, jak ona kradnie, bo przecież gdyby miała Negra, w pełnym blasku dnia wysyłałaby go na furaz wszystko jedno, dokąd, wysyłałaby go zupełnie tak, jak kawalerzyści, ci bohaterowie, o których pisała wiersze, wysyłałaby swoich żołnierzy.

Tak, tak, Rosie Coldfield, straciłaś go i lejesz łzy; złapałaś fatyganta, ale nie potrafiłaś go przy sobie zatrzymać (och, oni na pewno Quentinowi opowiadali); Rosa Coldfield znalazła sobie fatyganta, nie on ją obraził: padły jakieś słowa, których wybaczyć nie można, nie tyle dlatego, że on je wypowiedział, ile dlatego, że on w ogóle to o niej pomyślał. Jak piorun z jasnego nieba spadła na nią razem z tymi słowami świadomość, że

on musiał o tym myśleć już od poprzedniego dnia, od tygodnia czy może nawet od miesiąca, że on patrzył na nią codziennie, już mając to na myśli, a ona o tym nawet nie wiedziała. Ale ja mu wybaczyłam. Oni Quentinowi powiedzą inaczej, ale ja mu wybaczyłam, czemuż bym nie miała mu wybaczyć? Przecież nic do wybaczenia nie było; nie utraciłam go, bo nigdy nie miałam go na własność: po prostu jakaś gruda zgniętego plugastwa wpadła w moje życie, powiedziała mi coś niesłychanego, a potem się rozpadła; to wszystko. Ja nigdy nie miałam go na własność; z pewnością go nie miałam w tym rynsztokowym sensie, w jakim można by to było rozumieć czy może przypuszczać (mylnie przypuszczać), że ja to tak rozumiem. Te sprawy nie miały znaczenia. To nawet nie w tym tkwiła ta obraza. Chcę przez to powiedzieć, że on nigdy ani nie należał, ani nie byłby należał do nikogo i do niczego na tym świecie – nawet do Ellen, nawet do wnuczki Jonesa. Bo on nie miał określonego miejsca na tym świecie. Był chodzącym cieniem. Był jak nietoperz oślepiiony światłem, obraz swej własnej udręki, rzucony przez projekcyjną latarnię diabelską prosto z podziemi czarnych i bezdennych – obraz sunący wstecz i odwrócony; z bezdna ciemności, z otchłani chaosu z powrotem w ciemność wieczystą, otchłanną zatoczył pełną, powolną elipsę w dół (zwrócił Quentin uwagę na to stopniowanie?), czepiając się po drodze na próżno bezcielesnymi rękami tego, w czym widział nadzieję zatrzymania, ocalenia, uchwycenia siebie... w nas to widział, w Ellen (widzi Quentin, ile ich było?) i we mnie, i wreszcie w tej ostatniej ze wszystkich, tej dziewczynie bez ojca zrodzonej z jedynej córki Washa Jonesa, zmarłej podobno w jakimś domu publicznym w Memphis... zatoczył pełną elipsę w dół, gdzie na koniec rozłączyła go z ziemią (bo chyba przecież nie dała mu spokoju wiecznego i spoczynku) zardzewiała kosa. Powiedziano mi, zawiadomiono mnie i o tym także, chociaż tym razem już nie przyjechał Wash Jones, tylko dowiedziałam się od kogoś innego, kto był na tyle uprzejmy, że zboczył ze swojej drogi, żeby wstąpić do mnie z wiadomością, że on nie żyje.

„Nie żyjesz?! – krzyczałam. – Nie żyjesz? Ty? To kłamstwo; ty żyjesz. Niebiosa nie mogą, piekło się nie odważy ciębie przyjąć!”

Ale Quentin nie słuchał, bo w tym opowiadaniu było również i coś, nad czym on sam też nie mógł przejść do porządku... Tamte drzwi, odgłos kroków pospiesznych na schodach, nieomal jeszcze echo dalekiego strzału, dwie kobiety: Murzynka i biała dziewczyna w halce (uszytej albo z płótna workowego, jeżeli w domu były worki z mąką, albo, jeżeli mąki nie było, z firanek), one dwie nad tym swoim zaniechanym szyciem, ze wzrokiem w drzwi utkwionym, położyła kremowa masa starej satyny skłębionej z koronką, przed chwilą rozłożona starannie na łóżku, teraz szybko chwycona przez białą dziewczynę, która się nią zasłania, gdy głośno, gwałtownie drzwi się już otwierają i na progu staje ten brat – żołnierz bez czapki, kudłaty, z włosami przyciętymi bagnetem,

mizerny, sterany, i nie ogolony, w połatanej, spłowiałej szarej kurtce, brat trzymający pistolet w opuszczonej ręce; oto oni oboje naprzeciwko siebie, rodzeństwo tak przedziwnie do siebie podobne, jakby sama różnica płci, zamiast umniejszyć, właśnie uwydatniła wszystkie wspólne cechy w jakimś niesamowitym, niemożliwym stopniu; ich rozmowa – staccato, krótkie, zwięzłe zdania niby ciosy na odlew wymieniane szybko, bez żadnego wysiłku, żeby się uchronić – oni oboje niby szermierze pierś w pierś: „Już za niego nie wyjdiesz.”

„Czemu za niego nie wyjdę?”

„Bo on nie żyje.”

„Nie żyje?”

„Tak. Zabiłem go.”

On, Quentin, nie mógł przejść nad tym do porządku. Nawet nie słuchał Panny Rosy; zapytał:

– Proszę pani? Więc co? Co pani powiedziała?:

– W tamtym domu coś jest.

– W tamtym domu? To Clytie. Czy ona...

– Nie. Tam coś mieszka. Ukrywa się. Już od czterech lat tam coś – jest, ukrywa się w tamtym domu.

VI

Na rękawie płaszcza Shreve'a topniał śnieg, kiedy przed oczami Quentina przesunęła się jego ręka bez rękawiczki, szeroka, jasna, zaczerwieniona i posiekana z zimna. I zaraz na stole przed Quentinem już leżała na otwartym podręczniku pod lampą biała podłużna koperta z niewyraźnym swojskim stemplem: „Jefferson, stycz. 10. 1910 r. Miss.”, a potem, po jej otwarciu, ukazały się słowa: „Kochany Synu”, wypisane drobnym, pochyłym pismem ojca wprost z zakurzonej martwoty tego lata, kiedy Quentin przygotowywał się do studiów, jak gdyby tylko po to, by ten list mógł teraz leżeć tutaj w kręgu lampy na obcym stole w Cambridge; tamten zmartwiały letni zmierzch – wistaria, zapach cygara, pobłyski świetlików – rozrzedzony przesnuł się z Missisipi poprzez te obce obfite śniegi Nowej Anglii do tego obcego pokoju: „Kochany Synu, Panna Rosa Coldfield została pochowana w dniu wczorajszym. Leżała w letargu prawie dwa tygodnie i umarła nie odzyskując świadomości, a więc śmierć miała lekką, jak to się mówi, cokolwiek chce się przez to powiedzieć. Mnie osobiście zawsze się wydaje, że jedyną śmiercią lekką jest chyba taka śmierć, która odbiera człowiekowi zdolność myślenia gwałtownym zaskoczeniem od tyłu, jeżeli można się tak wyrazić, ponieważ jeżeli śmierć jest już w ogóle czymś poza krótkotrwałym, szczególnym stanem emocjonalnym osób pozostawionych w żałobie, to chyba podobnym szczególnym stanem jest i dla samego konającego. Ale czy może być stan boleśniejszy dla każdej inteligencji powyżej poziomu dziecka albo idioty niż powolna, stopniowa konfrontacja z tym, co przez długi okres oszołomienia i grozy człowiek uczy się uważać za nieodwołalną i niezgłębioną ostateczność – tego nie wiem. I czy można znaleźć pociechę albo przestać odczuwać ból uciekając bezpowrotnie przed upartym, pełnym zdumienia poczuciem zniewagi, które przez czterdzieści trzy lata z górą było towarzyszem i chlebem, i ogniem, i wszystkim – tego też nie wiem...”

...ten list sprawił, że znów był właśnie tamten wrześnieowy wieczór (zaraz Quentin miał, musiał powiedzieć: „Nie, to nie ciotka ani nie żadna kuzynka, ani nie wuj. To Rosa, panna Rosa Coldfield, stara duma, która umarła za młodu od zniewagi, dawno, latem w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym”, na co Shreve zapytał: „Chcesz mi wmówić, że ona nie była twoją krewną, że ona wcale nie była twoją krewną? Że naprawdę istniał jakiś Bayard Południa, jakaś Ginewra poza obrębem twojej rodziny? No, to z jakiej racji ona w ogóle umarła?” Nie pierwszy to raz od września Shreve czy ktoś inny w Cambridge prosił Quentina: „Opowiedz mi o Południu. Jak tam jest? Co oni tam robią? Dlaczego oni tam żyją? Dlaczego oni w ogóle żyją?”), znów był właśnie tamten wrześnieowy wieczór, kiedy pan Compson przestał opowiadać i on, Quentin, wreszcie

wyszedł z kręgu tej historii tylko dlatego, że już musiał wyruszyć do panny Coldfield, a nie dlatego, że usłyszał to wszystko do końca, bo przecież od pewnej chwili i tak nie słuchał, bo było coś takiego, nad czym nie mógł przejść do porządku:

Drzwi otwarte na oścież, ta mizerna twarz, tragiczna, dramatyczna młodociana twarz zahipnotyzowana rolą własnej męki niby twarz bohatera tragedii na scenie studenckiego teatru, twarz Hamleta-studenta, który z trudem wraca znów do rzeczywistości, jeszcze się potykając w kurzu gołych desek za pluszową kurtyną, sam, bo inni aktorzy-studenci odeszli po rozdaniu dyplomów. On i siostra z oczami utkwionymi w niego nad ślubną suknią wcale już jej niepotrzebną, tą suknią, której nawet wykańczać nie trzeba – tych dwoje i ich słowa chlaszczące jak szable, słów mniej więcej dwadzieścia, przy czym większość z nich powtórzona dwukrotnie, a nawet trzykrotnie, więc w sumie jest ich może najwyżej dwanaście.

I ona (panna Coldfield) miała na sobie szal, tak jak to Quentin przewidział, i kapelusz-budkę (niegdyś czarny, ale teraz wypłowiwały do barwy tej zacieklej zaśniedziałej zieleni starych piór pawich) i trzymała czarny woreczek chyba niewiele mniejszy od torby podróźnej, zawierający wszystkie klucze z całego domu: od kredensu i od schowka, i od drzwi – klucze takie, których już by się nie dało nawet przekręcić w zamkach, i takie, których nawet przekręcenie do końca nie przeszkodziłoby małemu dziecku otworzyć tych zamków za pomocą szpilki do włosów czy kawałka zeschniętej gumy do żucia, i wreszcie takie klucze, które już nawet do swoich zamków nie pasowały, podobnie jak to bywa ze starymi małżeństwami, kiedy mąż i żona już nie mają ze sobą ani co robić, ani o czym mówić i jedyną rzeczą, jaka ich łączy, jest tylko powietrze wdychane i wydechane przez nich oboje oraz ów odcinek trwałej i niepomnej ziemi, dźwigający na sobie ich ciężar.

Tamten wieczór, te dwanaście mil rozwleczonych za spasioną klaczą w bezksiężycowym wrześniowym kurzu; drzewa wzdłuż szosy nie wznosiły się, nie wzbijały się w górę tak, jak powinny wznosić się wzbijać drzewa, ale niby olbrzymi drób przysiadły z liśćmi pomarszczonymi, ociążale odstającymi od siebie niby rozcapierzone pióra zdyszanego drobiu, pokrytymi ciężką warstwą sześćdziesięciostopniowego kurzu; krzaki i chwasty przydrożne, też powleczone tym kurzem zwulkanizowanym przez upał, wyłaniały się spoza chmury kurzu, w której sunęła klacz z bryczką, i jak dziwaczne jakieś kopulaste bryły stały sztywno, pionowo, nieruchomo, zdawałoby się, wśród pni dawnych, martwych wód wulkanicznych, przedestyłowanych na beztlenowy pierwiastek cieczy. Ta chmura kurzu wokoło bryczki nie rozpraszała się ani na chwilę, bo nie wznosił jej żaden wiatr, nie podtrzymywało jej żadne powietrze, bo zebrała się, zmateriałizowała sama, stopą sześcienną po stopie sześcienną kurzu na stopę sześcienną po stopie sześcienną

objętości konia i bryczki – chwilowa, a przecież wieczysta, w ruchu pod poszarpanymi przez gałęzie perspektywami płaskiego, czarnego, wściekle i ciężko ugwieżdżonego nieba. Posuwała się ta chmura kurzu wciąż naprzód, osnuwając ich oboje w bryczce oprędem nie tyle może groźby, co ostrzeżenia, łagodnej, nieomal przyjacielskiej przestrogi, jak gdyby mówiła: „Jedźcie, jedźcie, jeśli chcecie. Ale ja i tak na pewno dotrę tam przed wami pierwsza. Zbierać będę się, gromadzić wciąż i wciąż, by przybyć pierwsza. Pod kołami, kopytami będę wznosić się i płynąć wciąż i wciąż, ukosem, lekko. I na pewno nie znajdziecie miejsca, które chcecie znaleźć, tylko nagle, nieuchwytnie się wsuniecie na płaskowyż w panoramę niezgłębionej nocy, co nie czyni krzywdy. Nie będziecie mogli wtedy zrobić nic i zawrócicie, więc radziłabym: nie jedźcie, zawracajcie już od razu i w spokoju pozostawcie wszystko tak, jak teraz jest.”

On (Quentin) zgadzał się z tym, siedząc w bryczce u boku tej małej jak lalka, nieubłaganej kobiety z bawełnianym parasolem w kurczowo zaciśniętej ręce i wdychając wzmocniony upałem zapach starego ciała kobiecego, wzmocniony upałem zapach kamfory ulatujący z zagniecionych od długiego leżenia w szafie fałd szala. Czuł się właściwie nie jak człowiek z krwi i kości, ale jak zapalona żarówka elektryczna, bo szybkość tej jazdy nie poruszała dość powietrza, żeby go chłodzić, i zarazem nie wymagała od niego dość ruchu, żeby mógł się spocić. Było mu bardzo gorąco i myślał: „Dobry Boże, tak; nie odnajdujemy tego kogoś czy tego czegoś, nie próbujemy odnaleźć, nie narażamy się zakłóceniem spokoju temu komuś czy temu czemuś.”

A potem znów Shreve się odezwał:

– Poczekaj. Poczekaj. To znaczy, że ta stara, ta ciotka Rosa...

– Panna Rosa – poprawił go Quentin.?

– Dobrze już, dobrze... więc ta stara jejmość, ta ciotka Rosa...

– Panna Rosa, przecież ci mówię.

– Dobrze już, dobrze, dobrze... więc ta stara... ta ciotka Ro... dobrze już, dobrze, dobrze, dobrze... więc że ona tam nie jeździła ani razu, że jej noga nie postąpiła w tamtym domu przez te całe czterdzieści trzy lata, a pomimo to właśnie ona powiedziała, że tam ktoś się ukrywa, i mało tego... w dodatku jeszcze sobie znalazła kogoś, kto jej uwierzył, komu się chciało przejechać bryczką o północy te dwanaście mil tylko po to, żeby się przekonać, czy ona ma rację?

– Owszem – powiedział Quentin.

– Więc ta stara jejmość, która w domu rodzinnym, podobnym do jakiegoś przeludnionego mauzoleum, tak dalece nie miała nigdy nic do roboty, że mogła zajmować się wyłącznie nienawidzeniem ojca, ciotki i szwagra, aż piszczała w tym spokoju i wygodzie czekając na dzień, kiedy oni nie tylko sobie, ale i wszystkim wokół

dowiodą, że to właśnie ona z tą swoją nienawiścią miała przez cały czas rację. No i pewnego wieczora ciotka ześliznęła się po rynnie i zwiła z jakimś handlarzem koni, co dowiodło, że ona słusznie ciotki nienawidziła; więc, jeżeli chodzi o ciotkę, to byśmy mieli już załatwione. A potem ojciec sam z własnej woli uwięził się na strychu, zabił drzwi gwoździami, żeby go przypadkiem nie powołali do buntowniczego wojska, no i zagłodził się tam na śmierć, więc to byśmy mieli też załatwione, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa, kiedy nadeszła chwila, w której ojciec sam przed sobą przyznał, że to właśnie ona miała rację, albo tego powiedzieć już nie mógł, albo może nie miał, komu powiedzieć; więc ona ojca również nienawidziła słusznie, bo gdyby ojciec nie doprowadził do wściekłości generała Lee i Jeffa Davisa, to przecież nie potrzebowałby zamykać się na strychu i tam umrzeć, a gdyby nie umarł, toby jej nie osierocił, nie pozostawiłby jej w nędzy, a tym samym nie naraziłby na sytuację, która tamtemu pozwoliła tak ją śmiertelnie znieważyć. Słusznie też nienawidziła szwagra, bo gdyby on nie był demonem, to by nie trzeba było chronić przed nim jego rodzonych dzieci, więc ona by nie musiała tam jechać na pastwę ciągót własnego starego cielska po to, żeby zamiast jakiegoś owdowiałego Agamemnona, godnego partnera dla niej jako Kasandry, znaleźć tam sędziwego Priama o zeszywniałych stawach, stać się chutliwą, chociaż pod tym względem nie wypróbowaną Tysbe i dopuścić do tego, żeby ten Priam zbliżył się do niej niczym nie sprowokowany w zawilej demoniczności kwietnia i zaproponował, żeby sobie pospółkowali na próbę, po czym dopiero, w razie gdyby owocem tej próby był chłopiec, połączyli się związkiem małżeńskim; i nie musiałyby wiać z powrotem do miasteczka w pierwszym podmuchu tej grozy i poczucia zniewagi, „iżby”... jak to tam jest w Biblii... „pożywała żółci i piołunu” – wykradanych przez sztachety płotów o świcie. Tak więc sprawy szwagra nie mielibyśmy załatwionej raz na zawsze, bo przecież ona nawet nie mogła opowiadać, kim jest jej następczyni, i to nie dlatego, że on tę następczynię sobie przygruchał, ledwie się zdążył obrócić na pięcie, nie tracąc na to nawet jednego dnia, ale dlatego, że ta następczyni była właśnie tym, czym była, czyli każdemu mogłoby przyjść do głowy, że jej, ciotce Rosie, damie, ośmielono się zaproponować stanowisko godne (choćby tylko zdaniem demona) tejże właśnie nędznej następczyni. Sprawa, więc szwagra pozostaje nie załatwiona, bo kiedy nadeszła chwila, w której on mógł przyznać, że źle postąpił, jej z tego tak Mimo jak w wypadku ojca nie przyszło nic, bo on też tak samo jak ojciec już nie żył. Więc ona miała rację, bo przecież na pewno przewidziała jego śmierć, przeznaczoną mu, jeżeli nie dla czego innego, to choćby tylko dlatego, żeby być dla niej tym ostatecznym kamieniem obrazy, przewidziała tę kosę, będącą takim samym symbolem zniewagi jak gwoździe i młotek w sprawie ojca. Właśnie tę kosę – symboliczny wawrzyn triumfu Cezara – tę zardzewiałą kosę, którą demon na dwa lata przed swoim

końcem pożyczył Jonesowi, żeby usunąć chwasty z zarośniętej ścieżki, żeby wygładzić tę drogę do rui – zardzewiałe ostrze co dzień wieńczone jakąś nową jaskrawą wstążką czy tandetnym paciorkiem – wabikiem dla niej (jak to ona ją nazywała? kochanica to jeszcze mało, prawda?)... wabikiem mającym tę taką owaką przyciągnąć do jego, demona, domu. Ona przewidziała tę kosę, poza której symbolicznym kształtem on sobie szydził z jej meji, chociaż już był martwy, chociaż już nawet sama ziemia nie chciała dłużej dźwigać jego ciężaru. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin.

– I ten Faust, ten demon, ten Belzebub uciekał, kryjąc się przed Jakaś rozbłysłą na chwilę luną oburzonego oblicza swego Wierzyiciela rozjątrzonego już do ostateczności. Krył się, zwiewając z ogonem podkulonym pod siebie, zaszywając się w szacowną pozycję społeczną tak, jak szakal się zaszywa w rumowisko skał. Ona właśnie tak na początku myślała, dopóki sobie nie uświadomiła, że on się nie kryje, wcale nie chce się kryć, tylko zupełnie jawnie uczestniczy w jeszcze jednym jedynym końcowym szale zła i krzywdy, zanim Wierzyciel następnym razem nie dosięgnie go już na dobre, i to na zawsze... Ten Faust, co tak nagle w pewną niedzielę się ukazał z dwoma pistoletami i dwudziestoma pomniejszych demonami pomocniczymi i wydębził sto mil ziemi od jakiegoś biednego nieoświeconego Indianina, i wybudował na tej ziemi największy dom, jaki w życiu widziałeś, i odjechał z sześcioma wozami, i wrócił przywożąc kryształ, obicia i meble Wedgewood, którymi sobie ten dom umeblował, przy czym zupełnie nie wiadomo, czy on obrabował jeszcze jeden parostatek, czy po prostu odkopał jeszcze trochę rzeczy pozostałych z dawnej grabieży... ten demon, co to ukrył ogon i rogi pod ludzkimi szatami i pilśniowym cylindrem i wybrał sobie żonę (kupił ją, podstępnie wytargował od swego teścia, prawda?) po trzech latach przewąchiwania, wyważania i porównywania – wybrał sobie żonę nie z któregoś z miejscowych domów książęcych, ale z pośledniejszej baronii, w swoim feudalizmie dostatecznie podupadłej, by nie zachodziła obawa, że ta żona wniesie mu w posagu manię wielkości wcześniej, niż on będzie na to odpowiednio przygotowany, a przecież nie aż tak podupadłej, żeby ta żona nie potrafiła uchronić ich obojga przed zagubieniem się wśród tych wszystkich nowych, zakupionych przez niego noży, widelców i łyżek. Była to żona, która nie tylko miała umocnić jego kryjówkę, ale mogła urodzić i istotnie urodziła mu dwoje dzieci mających bronić i osłaniać zarówno własnymi osobami, jak i osobami swego potomstwa kruche kości i zmęczone ciało starego człowieka w przewidywaniu dnia, kiedy Wierzyciel po raz ostatni przycisnie go do ziemi, nie dopuszczając już do żadnej możliwości ucieczki. I rzeczywiście, córka się zakochała, więc miała wyjść za mąż i mieć dzieci, i syn – ten czynnik stanowiący żywe przedmurze pomiędzy nim, demonem, a karzącą ręką sprawiedliwości Wierzyiciela – też

miał się kiedyś ożenić i mieć dzieci, a tym samym zabezpieczyć demona podwójnie, i to w sposób złożony. Niestety, demon nagle musiał wykonać pełny obrót i nie tylko przepędzić narzeczonego córki ze swego domu, nie tylko doprowadzić syna do opuszczenia domu razem z tym narzeczoną, ale w dodatku tak syna otumanić, zdeprawować, zczarować, że ten syn, w chwili, kiedy powstała groźba porubstwa, przyjął na siebie funkcję ręki zelzonego ojca i nie zawahał się użyć pistoletu; tak, że demon po pięciu latach powracając z wojny zastał tę sytuację, na którą przedtem pracował, jako fakt w całej pełni dokonany: nie miał już syna, bo syn zbiegł tym razem już na zawsze nieomal ze stryczkiem na szyi, a córka była skazana na staropanieństwo. Wobec tego demon, ledwie zdążywszy wyciągnąć stopę ze strzemienia, znów się zabrał do rzeczy i znów się zarczył po to, żeby nową progeniturą zastąpić tamto potomstwo, którego możliwości sam już zburzył. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin.

– Po powrocie z wojny stwierdził, że jego wszelkie dotychczasowe nadzieje na wnuki są płonne, bo już jego dzieci dobrze się tym zajęły, a plantację zastał w ruinie, na ugorach tylko bujny plon chwastów i posiew podatków, danin i grzywien, hojną ręką rozrzucony na tę ziemię przez administrację Stanów Zjednoczonych, i też nie miał ani jednego Negra, bo tym dobrze się zajęli na odmianę Jankesi. Więc można by przypuszczać, że jemu to już zupełnie wystarczyło, że on się już uspokoił, ale gdzie tam! Ledwie stopę wyciągnął ze strzemienia, natychmiast zabrał się nie tylko do przywracania porządku na plantacji, ale i do wyszukania sobie żony. Może miał nadzieję nabrać Wierzyciela na złudzenie, że czas wcale nie minął i że żadne zmiany nie zaszły, ukryć za tym złudzeniem fakt, że on ma Już lat prawie sześćdziesiąt, mieć tak Wierzyciela aż do czasu spółnienia nowej partii dzieci, które staną się dla niego bezpiecznym przedmurzem. Nie tylko zabrał się do wyszukania sobie żony, ale w dodatku wybrał w tym celu ostatnią kobietę świata, jaka według wszelkiego prawdopodobieństwa mogła przyjąć jego oświadczyzny, wybrał tę ciotkę Ro... dobrze już, dobrze, dobrze... która go nienawidziła, która go zawsze nienawidziła, a przecież wybrał właśnie ją z, bezczelną butą, jak gdyby miał jakieś rozpaczliwe przekonanie, że nikt nigdy go nie może odrzucić, że nikt nigdy nie może niczym go zranić – przekonanie pewnie stanowiące część ceny, zapłaty za to coś, co swego czasu zaprzedał Wierzycielowi, cokolwiek by to było: na ogół zaprzedał się duszę, ale przecież, jak mówiła ta stara jejmość, on nigdy duszy nie miał. No więc oświadczył się jej i został przyjęty, i przez trzy miesiące nie padło ani jedno słowo o dacie ślubu ani nawet o małżeństwie jako takim, a potem nagle on stwierdził, że będzie mógł zatrzymać przynajmniej trochę swojej ziemi i że tej ziemi będzie dokładnie tyle a tyle, i tegoż samego dnia zwrócił się do niej i zaproponował, żeby się zabawili we dwoje w hodowlę

psów. Tym samym z diabelską chytrą wynałazł sposób wycofania się, który mężowie i narzeczeni bez skutku usiłowali wynaleźć już od milionów lat – coś, co nie czyniąc facetce żadnej krzywdy ani nie dając jej podstaw do wytoczenia skargi cywilnej, do rozpętania całej akcji zemsty rodowej, nie tylko wystrzela rozmarzoną kobiecinę z jej gołębnika, ale sprawia, że ona już nieodwołalnie zawiera związek małżeński z abstrakcyjnym kościotrupem wieczystego poczucia zniewagi, wieczystej chęci odwetu i w mgnieniu oka on, ten mąż czy narzeczony, z tak przyprawionymi rogami jest siłą rzeczy bezpieczny i wolny.

No więc on jej właśnie coś takiego powiedział i raz na zawsze uwolnił się od wszelkich pogroźek i wścibstwa z czyjejkolwiek strony, skoro w jej osobie usunął wreszcie ostatniego członka rodziny swej zmarłej żony. Był już wolny: syn uciekł do Teksasu czy do Kalifornii, czy może nawet do Ameryki Południowej; córka skazana na staropanieństwo miała w tym rozpadającym się domu mieszkać aż do jego śmierci (a co potem, to i tak już nie było dla niego ważne) i dbać o niego, karmić go, hodować kury i wymieniać jajka na taką odzież, jakiej ona z Clytie nie umiały wykonać własnym przemysłem. No, więc on już nawet nie potrzebował być demonem, mógł spokojnie być po prostu obłąkanym, bezsilnym starcem, który wreszcie sobie uświadomił nie tylko to, że daremne są jego marzenia o przywróceniu Setki Sutpena do dawnej świetności, ale nawet i to, że ta resztką, co mu z plantacji pozostała, nigdy nie utrzyma jego i jego rodziny. Ostatecznie zaczął prowadzić mały sklepik na rozstaju, wziął tam Jonesa na subiekta i przy jego pomocy sprzedawał lemieszce do pługów, powrozy, perkal, naftę i tanie paciorki, i wstążki klienteli rekrutującej się z wyzwolonych czarnuchów i (co to jest? jak wy ich nazywacie? białe co?... aha)... z białego tałatajstwa. Kto wie, może on się łudził, że zrobi na tym dość pieniędzy, żeby wydzwignąć plantację; to już po raz drugi udało mu się uciec od tego, w co się wplątał sam, a z czego się wyplątał przy pomocy Wierzyciela: najpierw podszczęł rodzone dzieci, żeby wzajemnie zmarnowały sobie życie, zanim on zdąży mieć wnuki, ale potem doszedł do wniosku, że może niedobra jest dla niego ta wolność, więc wplątał się w to po raz drugi, po czym dochodząc do wniosku, że może niedobra jest ta niewola, ponownie się wyplątał, tylko że ostatecznie na tym nie poprzestał. Znowu wykonał pełny obrót i wkupił się w to z powrotem paciorkami, perkalem i pasiastymi cukierkami z gabloty i półek własnego sklepiku. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin.

„On tak do tego podchodzi jak ojciec” – pomyślał i (twarz miał przy tym spokojną, jasną, a zarazem w jakiś dziwny sposób nieomal posępną) rzucił szybkie spojrzenie na Shreve’a, który w kręgu lampy pochylał ku niemu pełne jak księżyc, rumiane oblicze z połyskliwym bliźniaczymi księżycami okularów i lśniący, różowy nagi tors prawie nie

owłosiony, gładki jak u niemowlęcia, jak u cherubina. Wydawało się teraz Quentinowi, że czuje zapach cygara i wistarii, że widzi te świetliki dmące nagłymi błyskami we wrześnieowym zmierzchu. -"Dokładnie tak, jak ojciec by do tego podchodził, gdyby wtedy wieczorem, zanim pojechałem z panną Rosą do Setki Sutpena, wiedział tyle, ile wiedział na drugi dzień, już po moim powrocie stamtąd – pomyślał. – Obląkany, bezsilny starzec wreszcie stwierdził, że nawet możliwości samego demona w czynieniu zła i krzywdy muszą mieć granice; to było coś takiego, co może się zdarzyć tancerce czy chórzystce w jakimś kabarecie, gdy sobie uświadomi, że motyw melodii, w takt, której na tej scenie przebiera nogami, płynie nie z instrumentów: z rogów, trąb czy skrzypiec, lecz z samego zegara oraz z kalendarza; i poczuł się jak stare, wysłużone działo, mogące co najwyżej wystrzelić już tylko jeden jedyny pocisk i zaraz się rozpaść skutkiem swego wybuchu i odrzutu w pył; spojrzał na to, co jeszcze mógł dojrzeć, ogarnąć, i zobaczył, że stracił syna, bo ten syn (jeżeli jeszcze żyje) ma inne nazwisko, pod którym znać go muszą gdzieś na obcej ziemi, obcy ludzie i wszelki smoczy posiew sutpenowskiej krwi, kiedyś przez tego syna może tam posiany w ciele obcej kobiety, niósłby tę tradycję i czynił zło dziedziczne i krzywdę wokoło już pod nazwiskiem innym, w innym otoczeniu, już krzywdząc innych ludzi, którzy nie usłyszą nigdy, jak on nazywał się w rzeczywistości; córka jest już skazana na staropanieństwo, chociaż tego pragnęła najwidoczniej przedtem, jeszcze zanim się zjawiał niejaki Charles Bon, skoro ta ciotka przecież, przybываяc do niej, żeby być jej podporą w żałobie i smutku, ujrzała zamiast tego, co oczekiwała, twarz zupełnie spokojną i nieprzeniknioną ponad samodziałową pepitką jej sukni i pod czepkiem od słońca, tę twarz, taką samą przed drzwiami zamkniętymi, jak później, gdy ona stała wśród chmury kurcząt, a Jones hałaśliwie zbijał tam z desek trumnę, i później taką samą przez ten cały rok, gdy ciotka już mieszkała tam w Setce Sutpena i gdy te trzy kobiety same tkwały odzież i same hodowały warzywa dla siebie, i same sobie drzewo rąbały do kuchni (trochę pomocy przy tym udzielał im Jones mieszkający wraz z wnuczką w tym domku rybackim już dawno opuszczonym, z zapadniętym dachem i ze zbutwiałym gankiem, o który oparta w dwa lata później stała zardzewiała kosa; to Sutpen miał mu kosę pożyczyć, a raczej nakazać tę pożyczkę, by spod drzwi ściąć chwasty; i w końcu także Sutpen miał go siłą zmusić do użycia tej kosy, nie do ścięcia chwastów, co prawda, czy przynajmniej nie chwastów roślinnych). Taką samą twarz Judith nosiła i później, gdy oburzenie ciotkę wymiotło z powrotem do miasteczka w samotność chyłkiem odżywianą kradzionymi spod cudzych płotów jarzynami i prowiantem z koszyków bezimiennie nocą przez kogoś podrzucanych na schodki jej ganku. One trzy: te dwie córki – Murzynka i biała – oraz ciotka patrzyły (dwie pierwsze z bliska, a ciotka z odległości aż dwunastu mil), jak ten leciwy demon, ten Faust

z żyłakami, w starczej rozpaczy trwoni resztki swojej siły, i to teraz, gdy twardą rękę mu Wierzyciel kładzie już na ramieniu.

A on zaczął prowadzić mały wiejski sklepik i zarabiał na życie handrycząc się żmudnie o dziesięciocentówki i pięciocentówki z walczącymi o każdy grosz, wynędzniałymi białymi i Negrami – i to kto? ten człowiek, który tak niedawno mógł w każdą stronę świata dziesięć mil przejechać konno po własnej ziemi; teraz z asortymentu tandetnych towarów brał jakieś tanie wstążki, paciorki i stęchłe, jaskrawo farbowane pasiaste cukierki, jakimi nawet starzec z łatwością uwiedzie piętnastoletnią głupią wiejską dziewczyninę, brał to, by zhańbić wnuczkę swojego współnika – tego Jonesa, malarię stoczonego draba, białego, co czternaście lat przedtem za jego pozwoleniem zamieszkał z roczną wnuczką w opuszczonym, wałącym się domku rybackim; ten to Jones, współnik, subiekt i tragarz zarazem, własnoręcznie na rozkaz demona wyjmował (a może i doręczał) z gabloty te wstążki, paciorki i cukierki, nawet sam odmierzał sztuczkę owej tkaniny na to, żeby Judith (która nie owdowiała, nie była w żałobie) pomogła jego wnuczce uszyć suknię, żeby wnuczka w tej sukni mogła paradować wśród gapiów, drwiących szeptów i spojrzeń spode łba, dopóki nie nauczył jej zakłopotania czy może nawet lęku coraz większy brzuch; ten sam Jones, co przed rokiem sześćdziesiątym pierwszym nie miał prawa się zbliżyć do domu od frontu; i później przez te całe cztery lata wojny nie podchodził tam bliżej niż do drzwi kuchennych, a i to tylko wtedy, gdy przynosił ryby, zwierzynę i warzywa konieczne do życia dla małżonki i córki wielmożnego pana, który w parę lat potem miał mu uwieść wnuczkę (i dla Clytie, Murzynki, jedynej służącej, jaka tam pozostała – tej, co mu broniła przestępować progu kuchni, choć przynosił żywność); obecnie wchodził nawet do samego domu w owe (teraz zupełnie częste) popołudnia, kiedy demon znienacka zaczynał przeklinać, że w sklepie brak klientów, zatrząskiwał drzwi, po czym się wycofywał do izby za sklepem i takim samym tonem, jakim zwykł się zwracać do swego ordynansa czy nawet służących za dawnych dobrych czasów (jakim niewątpliwie zwracał się i do Jonesa, każąc mu przynosić te cukierki, paciorki i wstążki z gabloty), rozkazywał Jonesowi wyciągnąć dzban whisky, i obaj zasiadali w tej izbie do picia (Jones także już zasiadał – on, który w te parne niedzielne popołudnia dawnego spokoju i jednostajnej ciszy bezpowrotnych dni w altanie z winogrodu w ogrodzie za domem tylko kucał pod słupem naprzeciw demona rozpartego niedbale w wygodnym hamaku, co chwila się zrywając, żeby demonowi dolać whisky z gąsiora albo wody z wiadra – sam po nią zwykle chodził daleko do źródła – a potem znów przykucał, krztusił się, chichotał, mówiąc za każdym razem, kiedy demon umilkł: «A już, prze pana Toma»). Siedzieli, więc tam w izbie za sklepem i pili na przemian z tego dzbana, i demon nie tylko już nie leżał i nawet nie siedział

spokojnie, lecz po drugiej czy trzeciej kolejce wpadając w ów stan wściekłej, bezsilnej starczej zaciekłości, buntu przeciwko klęsce, zrywał się, zataczał, chwiał, potykał i krzyczał, żeby dać mu konia i dać mu pistolety, to zaraz wyruszy prosto do Waszyngtonu zastrzelić Lincolna (nieżyjącego wtedy co najmniej od roku) i Shertniina zastrzelić.

„Zabiję ich! – krzyczał. – Jak psy ich powystrzelam, bo to przecież psy!”

„A już – Jones mówił na to. – Panie pułkowniku, a już!”

I podpierał demona, kiedy demon padał, a potem rekwirował pierwszy wóz na drodze, żeby odwieźć demona do wielkiego domu. I wnosił go do hallu po frontowych schodkach przez uroczyste, z farby oblażące drzwi pod półokrągłym oknem z taflami szklanymi (zprowadzonymi niegdyś z samej Europy – przez te drzwi, które przed nim otwierała Judith, przytrzymując je zawsze z taką samą twarzą spokojną, zamrożoną, jaką miała teraz niezmiennie od lat czterech; szedł przez hall i po schodach wchodził do sypialni, i układał demona jak niemowlę w łóżku, a potem obok łóżka kładł się na podłodze, nie po to, by się przespać – leżał tam i czuwał; przed świtem pan na łóżku poruszał się, jęczał, a on mówił: „Tu jestem, panie pułkowniku. Wszystko, jak się należy, panie pułkowniku, jeszcze nas oni nie pobili, co?”

Ten sam Jones, który wtedy, gdy demon odjechał razem z pułkiem na wojnę, a ta jego wnuczka miała chyba lat osiem, mówił wszem i wobec, że został, bo pilnować dla pana majora musi domu i Negrów, jeszcze zanim ludzie zdążyli go zapytać, czemu on nie w wojsku; może po jakimś czasie sam wierzył w to kłamstwo – Jones, który jeden z pierwszych powitał demona wracającego z wojny; czekał już przy bramie ze słowami: „No, zabili nas oni, panie pułkowniku, ale nas jeszcze nie pobili, co?”

Jones, który w pocie czoła trudził się, pracował na sam rozkaz demona w tym pierwszym okresie gorączkowym i wściekłym, kiedy demon wierzył, że samą tylko wolą nie do pokonania uda mu się odzyskać tę Setkę Sutpena taką, jaką pamiętał i jaką utracił, a on tylko harował bez żadnej nadziei zapłaty czy nagrody, nie ludząc się wcale, bo musiał pojąć wcześniej, niż demon zrozumiał (bądź przyznał, że zrozumiał), że to wszystko na nic. Ślepy Jones! W tym rozbitku szalonym, rozwiązłym niewątpliwie wciąż jeszcze widział tamtą dawną pańską postać, mężczyznę na karym wierzchowcu w galopie po tych dobrach, obszarze tak wielkim, że oko nie objęłoby jego dwóch granic znikąd, z żadnego punktu.”

– ...zgadza się? – zapytał Shreve.

– Owszem – powiedział Quentin.

„Tak, więc nareszcie nadszedł ten ranek niedzielny; demon wstał przed świtaniem i wyjechał z domu, a Judith to przyjęła za rzecz naturalną, bo właśnie tego ranka urodził

się żrebak – syn karego ogiera, na którym on jeździł, walczył w stanie Wirginia, i na którym wrócił, oraz żony ogiera, klaczy Penelopy. Tylko, że w gruncie rzeczy to nie do żrebaka demon aż tak się spieszył – minął prawie tydzień, zanim wreszcie złapali, znaleźli tę starą, tę położną, Murzynkę, co wtedy o brzasku siedziała przykucnięta przy sienniku wnuczki, kiedy Jones oczekiwał demona na ganku, gdzie od dwóch lat już stała zardzewiała kosa. Stara opowiadała, że słyszała tętent, była przy tym, jak demon wszedł szybko do izby i ze szpicrutą w ręku stanął nad siennikiem, popatrzył w dół na matkę i dziecko i mruknął: „No, Milly, to fatalnie, że nie jesteś klaczą jak moja Penelopa. Gdybyś była klaczą, dałbym ci w stajni przyzwoity boks.”

Odwrócił się i odszedł, a potem ta stara, jeszcze tam siedząc w kucki, słyszała ich obu – głos jego i głos Jonesa: „Odsuń się, słyszysz? Nie dotykaj mnie.”

I odpowiedź: „A ja się dotknę pana pułkownika.”

I usłyszała również chłaśnięcie szpicruty – nie tę kosę, nie poświst powietrza, nie cios, bo zwykle wymierzanie kary bywa głośnie, a to, co pozostawia ostateczną ciszę, następuje wśród ciszy.

Nie wcześniej niż wieczorem znaleźli demona i przywieźli go wozem do domu, i wnieśli zastygłego w spokoju i zakrwawionego, z zębami widocznymi jeszcze wśród zarostu (brodę miał tylko ledwie, ledwie szpakowatą, chociaż włosy miał prawie zupełnie już siwe) w świetle latarń i w blasku sosnowych pochodni, wnieśli go tam po schodkach do drzwi, i znów córka bez łez, z kamienną twarzą, drzwi przytrzymała przed nim, który tak lubił w niedzielne poranki na łeb, na szyję szybko jeździć do kościoła i tym razem pojechał do kościoła szybko (co prawda, w rezultacie nigdy nie dojechał), bo córka uważała, że trzeba go zawieźć do miasteczka, do tego samego kościoła metodystów, gdzie z matką jej brał ślub przed laty, zanim go się pochowa przy matce wśród cedrów.

Judith była kobietą już trzydziestoletnią; wyglądała na starszą – nie było to jednak starzenie się bezsilnych, zamkniętych w statecznym i jak balon rozdętym, już zmartwiałym ciele, ani też to starzenie się szeregiem faz stopniowego rozkładu, którego cząsteczki atakują nie jakiś zasadniczy szkielet żelazny i na razie odporny na starość, ale tylko czepiają się wzajemnie siebie i bytują niejako wspólnie, bezpamiętnie, beztrosko, samoistnie jak kolonia liszek; Judith tak się starzała, jak starzał się demon; coś w niej krzepło: w udręce już się wyłaniała ta sutpenowska twardość, pierwotna, odporna, to ukostnienie, które rumieniec i krągłość ulotnej elektrycznej aury młodości przedtem tylko czasowo zdołał złagodzić, lecz nigdy nie ukryły. Stara panna w niezgrabnej, w domu szytej sukni, z rękami już wprawnymi do zbierania jajek i do utrzymywania pługa w polnej bruździe, pożyczyla dwa młode, na pół dzikie muły, które demona miały zawieźć do kościoła. Tak więc na razie jechał w tamtą stronę szybko – w nędznie skleconej

trumnie, w mundurze pułkowym, z szablą i w haftowanych długich rękawicach – szybko, póki te muły nagle nie poniosły: wóz się wtedy wywrócił i demon wraz z szablą, pióropuszem i wszystkim stoczył się do rowu, skąd córka go dźwignęła z powrotem na wóz i przewiozła tym razem już prosto pod cedry, i sama odczytała modlitwy żałobne. Ten pogrzeb też się odbył bez łez, bez żałoby, może tylko dlatego – może nie dlatego – że ona na żałobę nie znalazła czasu, skoro teraz w dodatku prowadziła sklepik sama, zanim znalazła kogoś, kto go kupił; nie siedziała tam stale przy sklepowej ladzie, tylko zawsze z kluczami w kieszeni fartucha, gotowa na wezwanie każdego klienta, szła tam z kuchni, z ogrodu albo nawet z pola, gdzie musiała odrabiać z Clytie całą orkę teraz, kiedy i Jonesa już nie było też. Bo Jones w pół doby później poszedł za demonem tejże samej niedzieli. (Może w to samo miejsce; może Oni nawet mają tam dla nich obu też taką altanę obrosłą winogrodem; i nic im tam nie każe zarabiać na chleb, i ambicji tam nie ma, porubstwa i zemsty, i może nawet nie ma ochoty do picia, tylko że im tej whisky czasem będzie brak, chociaż nie będą wiedzieć, czego im brakuje – ale to bardzo rzadko; pogodni i mili, nie oznaczeni piętnem wieku, zmian klimatu, będą siedzieć spokojnie i tylko chwilami coś, jakiś cień przeleci albo może wiatr. Demon przestanie mówić, Jones przestanie parskać, obaj spojrzą na siebie niepewnie, w skupieniu, i demon głos zabierze: „No, Wash, co to takiego? Coś przecież się stało. Co to było, Wash?”

A Jones na to, też patrząc na demona czujnie, też niepewnie, z powagą: „Ja nie wiem, panie pułkowniku.”

„Co?”

Będą patrzeć na siebie. A ten cień, ten wiatr będzie niknąć i niknąć, aż Jones wreszcie powie pogodnie, nawet wcale nie triumfująco: „Może nas i zabili, panie pułkowniku, ale nas jeszcze nie pobili, co? Więc ją wywoływały kobiety i dzieci z wiadrami, z koszykami, a ona czy Clytie szła wtedy do sklepiku, otwierała drzwi, sprzedawała im towar, zamykała sklepik i znowu wracała do przerwanej pracy, i tak było, dopóki nie znalazł się kupiec, więc sprzedała mu sklepik i za całą sumę zakupiła nagrobek.” (– Co to była za historia? – zapytał Shreve. – Opowiadałeś mi to przecież. Strzelałeś z ojcem przepiórki... był taki szary dzień po całonocnym deszczu i konie mogły przejść przez ten rów, więc zsiadliście i oddaliście uzdy temu... jak to on się nazywał? ten Negr na mule? Luster... więc właśnie Luster miał przeprowadzić konie naokoło.) On, Quentin, przeszedł wtedy z ojcem na drugą stronę rowu, akurat w chwili gdy znów szary, ciężki, powolny i bezszelestny rozpadał się deszcz. Podjeżdżał do tego rowu w mżawce i z głową pochyloną, więc jeszcze teraz się nie orientował, gdzie są, dopóki nie spojrzął na zbocze przed nimi porośnięte mokrą żółtą turzycą, wlewające się niby fala płynnego złota w deszczową szarość; dopiero wtedy zobaczył ten gaj, kępę cedrów na szczycie wzgórza,

o konturach tak zamazanych deszczem, jakby je narysowano atramentem na mokrej bibule – za tymi cedrami i dalej za ugorem, w odległości pół mili był gaj dębowy i ten stary, opuszczony, spróchniały ogromny dom. Pan Compson przystanął, żeby obejrzeć się na Lusterę, który z głową owiniętą służącym mu zwykle za siodło workiem pakuł, z kolanami podkulonymi, jadąc na swoim mule prowadził oba konie wzdłuż rowu w poszukiwaniu łatwego przejścia na drugą stronę.

– Schowaj się gdzieś przed tym deszczem! – zawołał do niego pan Compson. – On za nic – powiedział do Quentina – nie podjedźcie do tych drzew nawet na odległość stu kroków.

Weszli na zbocze. Bruzdy nieustannie tworzyły się w turzycy świadcząc, że oba psy już przetrząsają ten teren, chociaż wcale nie widzieli ich, dopóki jeden z psów nie wychylił łba, żeby się obejrzeć. Pan Compson wskazał ręką cedry i obaj z Quentinem ruszyli za psami. Ciemno było wśród tych drzew, jeszcze ciemniej niż w ołowianej szarości dnia na otwartym polu; cichy deszcz, który na lufach dubeltówek materializował się kruchymi perełkami, wyglądał na marmurze tych pięciu nagrobków jak krople niezupełnie zakrzepłego wosku ze starych świec. Dwie bliższe marmurowe płyty, ciężkie, owalne, leżały płasko, tamte trzy pozostałe nagrobki unosiły się z lekka na ukos, ukazując tu i ówdzie wyrytą literę czy nawet całe słowo przez chwilę czytelne w mglistym świetle wsączanym w ten mrok cząsteczka po cząsteczce przez krople deszczu. Teraz zjawiły się tu również oba psy z sierścią mokrą i oblepioną; jak dym tu przywiał i natychmiast dla rozgrzewki zwinęły się na ziemi w jeden kłęb, nie do rozróżnienia i na pozór nie do rozplątania.

Te dwie bliższe płyty, jak gdyby załamane pod własnym ciężarem, były przez środek pęknięte (do dziury w zapadniętym murowanym sklepieniu jednego z tych grobowców wydeptały sobie gładką nikłą ścieżynkę jakieś małe zwierzątko, może oposy, bardzo dawno temu, skoro od wielu pokoleń nie mogły już znaleźć w tym grobowcu nic do jedzenia). Napisy na płytach były jednak zupełnie czytelne: ELLEN Z COLDFIELDÓW SUTPEN URODZONA 9 PAŹDZIERNIKA 1817 R. ZMARŁA 23 STYCZNIA 1863 R.

I ten drugi napis:

THOMAS SUTPEN PUŁKOWNIK 23 PUŁKU PIECHOTY STANU MISSISIPI, ARMII KONFEDERATÓW ZMARŁY 12 SIERPNI 1869 R.

Tutaj samą datę dopisano później, topornie ją wyryto prymitywnym dłutem na nagrobku człowieka, który nawet po śmierci chciał zachować tajemnicę miejsca i daty swego urodzenia. Quentin, spokojnie patrząc na te marmury, pomyślał: „Nie ukochana żona. Nie. Tylko Ellen z Coldfieldów Sutpen.”

– Nawet by mi do głowy nie przyszło, że oni w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym

dziewiątym mogli mieć jakieś pieniądze na kupowanie takich rzeczy – powiedział.

– On sam je kupił – powiedział pan Compson. – Kupił te dwie płyty po otrzymaniu od Judith wiadomości, że matka umarła, kiedy jego pułk stał w Wirginii. Zamówił je aż we Włoszech, najlepsze, najpiękniejsze, jakie można było dostać: nagrobek żony z pełnym napisem, nagrobek własny z pustym miejscem na datę śmierci... i to zamówił je w czasie, kiedy służył w wojsku, gdzie nie tylko procent śmiertelności przekraczał straty wszystkich wojsk przedtem i potem, ale gdzie co rok wybierano nowych oficerów pułkowych (co właśnie pozwoliło mu przyozdobić swój nagrobek tytułem pułkownika, ponieważ w wyniku wyborów poprzedniego lata został powołany na miejsce pułkownika Sartorisa)... i to zamówił je wiedząc, że jeszcze przed wykonaniem czy choćby przyjęciem tego zamówienia we Włoszech mógłby już znaleźć się pod ziemią w mogile oznaczonej tylko (jeśli w ogóle oznaczonej) strzaskanym muszkietem, jak również wiedząc, że nawet jeśli będzie zdrów i cały w chwili otrzymania tych nagrobków, mógłby mieć po następnych wyborach stopień już tylko podporucznika czy nawet szeregowca... oczywiście, gdyby istniała możliwość, że jego żołnierze odważą się zrzucić go ze stanowiska. A jednak nie tylko zamówił te marmury i zdołał za nie zapłacić, ale co jeszcze dziwniejsze, udało mu się je przemycić przez wybrzeże objęte tak ścisłą blokadą, że wszystkie przybywające statki szmuglerskie odmawiały przyjmowania jakiegokolwiek cargo z wyjątkiem amunicji.

Wydało się Quentinowi, że to widzi: ci żołnierze o głodzie, o chłódzie, bez butów, w poszarpanych mundurach, osmaleni prochem odwracają mizerne i sterane twarze nad ramionami w strzępach wytartego sukna i kierują spojrzenia oczu rozjarzonych zaciętością, uporem nie do pokonania, rozpaczą, buntującą się przed faktem klęski, na zamknięty blokadą w ciemnościach ocean, tam skąd podąża ku nim bez świateł ponury, samotny parostatek kryjący w swym luku cenny ładunek wagi dwóch tysięcy funtów, nie broń i amunicję, i nawet nie żywność, tylko dwa pompatyczne, piękne obciosane, martwe kamienne bloki, które przez ten rok wchodzić będą w skład pułku, jadąc z pułkownikiem poprzez stan Pensylwania i do Gettysburga furgonem z jego własnym służącym na koźle; te moczary, równiny i górskie przełęcze, i coraz trudniej teraz szybko się posuwać z końmi wycieńczonymi, o zapadłych bokach, z żołnierzami głodnymi i wycieńczonymi, brnącymi po kolana w zimnym błocie, w śniegu, na bagnach, grzęzawiskach, pchającymi żmudnie wśród przekleństw jak armatę ten bezwładny ciężar, te dwa głązy w furgonie, nazywane przez nich „pani pułkownikowa” oraz „pan pułkownik”. Potem przełęcz Cumberland i w dół poprzez góry Tennessee, zawsze nocami pod osłoną mroków, by uniknąć spotkania jankeskich patrolów.

Wreszcie późną jesienią – w sześćdziesiątym czwartym – Missisipi, gdzie w domu

czeka wciąż ta córka, której on swego czasu zabronił małżeństwa, która latem w rok później ma pozostać wdową, chociaż nikt nigdy u niej nie ujrzy żałoby; gdzie jego żona zmarła; gdzie syn się go wyrzekł, sam się wygnał i wyklął. On przyjeżdża I jedną z tych płyt marmurowych kładzie na grobie żony, a drugą zostawia w hallu, i później może, (jeśli nie na pewno) panna Rosa coltvielt patrzeć będzie na nią, jak gdyby to był jego malowany portret, wysnuwając spomiędzy wyrytych tam liter może (albo na pewno też i w tym wypadku) więcej marzeń dziewczęcych, dziewiczej nadziei, niż komukolwiek później będzie mówić o tym, skoro i Quentiinowi wcale nie mówiła o istnieniu tej płyty. Po czym (on – demon) kawę zbożową wypija, zjada placki pieczone przez Judith i Clytie, przelotnym pocałunkiem muska czoło Judith i powiada: „No, Clytie!” – i wraca na wojnę. Wszystko w przeciągu doby. Quentin to ujrzał tak, jakby był przy tym. I zaraz pomyślał: „Nie, gdybym był przy tym, to nie mógłbym tego widzieć aż tak wyraźnie.”

– Ale to nie wyjaśnia sprawy tamtych nagrobków – powiedział. – One też coś musiały kosztować.

– Więc kto mógł za nie zapłacić? – zapytał pan Compson. Quentin czuł na sobie wzrok ojca. – Zastanów się.

Quentin spojrzał na trzy jednakowe nagrobki z nikłymi jednakowymi literami, z lekka pochylone wśród rozmiękłego gliniastego rozkładu nagromadzonych igieł cedrowych; i ten napis również okazał się czytelny, kiedy on podszedł do pierwszego nagrobka.

CHARLES BON URODZONY W NOWYM ORLEANIE W STANIE LUIZJANA,
ZMARŁY W SETCE SUTPENA 3 MAJA 1865 R.

W WIEKU LAT 33 I 5 MIESIĘCY

Czuł na sobie wzrok ojca.

– Ona to zrobiła – powiedział. – Judith. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży sklepu.

– Właśnie – powiedział pan Compson.

Żeby odczytać napis na drugim nagrobku, Quentin musiał się pochylić i odgarnąć z marmuru trochę cedrowych igieł. Jeden z psów podniósł się nagle i podchodząc do niego, żeby też zobaczyć to, na co on patrzył, wyciągnął łeb ciekawie, jak gdyby samo obcowanie z ludźmi rozwinęło w nim ciekawość, tę cechę przecież tylko ludzi i małą.

– Uciekaj! – Quentin odpychając psa jedną ręką, dalej zmiatał drugą igliwie, odgarniał je z niewyraźnego napisu, z tych wyrytych słów:

CHARLES ETIENNE SAINT-VALERY BON 1859-1884 R.

Czuł na sobie wzrok ojca; zanim się wyprostował, zauważył jeszcze, że i na trzecim nagrobku jest data „1884 r.”

– Ale to już nie mogło być za pieniądze ze sprzedaży sklepu – powiedział. – Bo

przecież ona sprzedała ten sklep w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym. A zresztą, ta sama data „1884 r.” jest również i na jej nagrobku.

I pomyślał, że gdyby ona chciała umieścić na grobie Charlesa Bona napis „ukochany mąż Judith...”, to istnienie tego kogoś, kto spoczywał pod napisem: „Charles Etienne Saint-Valery Bon”, mogłoby dla niej być naprawdę straszne.

– Tak – powiedział pan Compson. – Postawieniem tego nagrobka zajął się twój dziadek. Pewnego dnia Judith przyjechała do miasteczka i przywiozła dziadkowi pieniądze, przynajmniej trochę pieniędzy. Skąd je wzięła, dziadek nie miał pojęcia, jeżeli nie była to jakaś pozostałość z tamtych uzyskanych ze sprzedaży sklepu, co zresztą też załatwił dziadek. Przywiozła je podczas tych trzech tygodni, kiedy Clytie była w Nowym Orleanie, gdzie szukała tego chłopca, żeby go przywieźć do domu, ale o tym dziadek oczywiście nie wiedział. Razem z pieniędzmi dała dziadkowi kartkę z tekstem nagrobka (oprócz daty śmierci, rzecz jasna). Nie myślała o własnym grobie, chciała tylko, żeby kiedyś w przyszłości ten chłopiec miał porządny grób.

– Och – powiedział Quentin.

– Otóż to. Bo pięknym życiem żyją one... kobiety. Życiem nie tylko odłączonym od wszelkiej rzeczywistości, ale nieodwołalnie z niej wykluczonym. I dlatego, chociaż śmierć jako taka, ta chwila rozstawania się duszy z ciałem, nie ma dla nich żadnego znaczenia, bo przecież w obliczu bólu unicestwienia, wobec którego najmężniejszy mężczyzna staje się podobny do kwilącego malca, one są odważne i mężne, to jednak oprawa śmierci, te groby i pogrzeby, te drobne małosłowne potwierdzenia dętej nieśmiertelności, te szyldy ich snu wiekiściego mają dla nich znaczenie nieoszacowane. Jedna z twoich ciotek... nie pamiętasz jej, bo i ja nigdy jej nie widziałem, tylko słyszałem tę historię... Otóż czekała tę ciotkę poważna operacja, której ona absolutnie nie spodziewała się przeżyć. Z najbliższą jej krewną od lat ją łączyła czy raczej rozdzielała owa zaciekle, zgoła niewytłumaczalna (dla umysłu męskiego) przyjaźń pełna wrogości, jaka nieraz się zdarza pomiędzy kobietami tej samej krwi; otóż jedynym zmartwieniem tej ciotki wobec rychłego rozstania się ze światem był problem, jak usunąć z domu nietwarzową brązową suknię, bo wiedziała, że ta krewna wie, jak bardzo ona tej sukni nie lubi. Ostatecznie doszła do wniosku, że najlepszy sposób to spalić – nie podarować komuś, ale właśnie spalić. Więc spalono tę suknię na podwórku pod oknem, przy którym ciotka (w rozdzierających bólach) kazała się trzymać, żeby zobaczyć to na własne oczy i raz na zawsze się upewnić, że ta krewna, z natury rzeczy mająca zająć się jej pogrzebem, już w żadnym razie nie będzie mogła ubrać jej w tę suknię do trumny.

I umarła? – zapytał Quentin.

Nie. Natychmiast po spaleniu tej sukni poczuła się lepiej. Operację wytrzymała,

zupełnie powróciła do zdrowia i przeżyła tę krewną o dobrych kilka lat. A potem pewnego dnia po obiedzie umarła sobie spokojnie bez specjalnych dolegliwości i została pochowana w swojej sukni ślubnej.

– Och – powiedział Quentin.

– Otóż to. Ale kiedyś po południu latem w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym na jeden z tych grobów (wtedy były tutaj tylko trzy groby) istotnie lały się łzy. Twój dziadek to widział; to było w czasie, kiedy przeprowadzał dla Judith sprzedaż sklepu; w tej właśnie sprawie przyjechał do Setki Sutpena i niechący stał się świadkiem tego interludium, tej jaskrawej parady uroczystego wdowieństwa. Jeszcze nie wiedział, skąd się tam wzięła ta oktoronka, skąd Judith mogła dowiedzieć się o niej choćby tyle, żeby ją zawiadomić, gdzie Bon został pochowany. Tak czy owak, ta oktoronka tam się znalazła z synkiem już jedenastoletnim, a wyglądającym na lat osiem. To wszystko razem musiało przypominać scenę ogrodową w stylu tego irlandzkiego poety Wilde'a; późne popołudnie, ciemne cedry przetykane poziomymi promieniami słońca, nawet to oświetlenie dokładnie takie, jak być powinno, i te groby, te trzy marmurowe płyty (dziadek z góry wypłacił Judith pieniądze na kupno trzeciego nagrobka z ceny sprzedażnej sklepu) jak dekoracje oczyszczone, wypolerowane i ułożone przez maszynistów teatralnych, którzy po skończonej popołudniówce zaniosą te nagrobki, puste w środku, kruche i nieważkie, z powrotem do magazynu za kulisy, na czas, dopóki znów nie zajdzie potrzeba ich użycia; ta parada: ta scena, ten akt, to wkroczenie na deski sceniczne... kobieta z twarzą jak magnolia, chociaż nieco już pulchniejszą niż dawniej, kobieta stworzona z nocy, przez noc i dla nocy, kobieta w miękko udrapowanej szacie, tak jakby ją ubrał malarz Beardsley nie po to, żeby podkreślić żalobę czy wdowieństwo, ale żeby godnie przystroić to jakieś interludium pomiędzy niedosytem rozkoszy sennym i rzewnym a głodem ciała. Kobieta kroczyła pod koronkową parasolką; za nią szła jaskrawo ubrana gigantyczna Murzynka, niosąc jedwabną poduszkę i prowadząc za rękę małego chłopca – szczupłe, delikatne dziecko z gładką, bezpłciową twarzą o barwie kości słoniowej, już nie tylko ubrane przez Beardsleya, ale żywcem przeniesione z jego teki. Przez cały czas, kiedy matka oddawała Murzynce parasolkę i brała od niej poduszkę, a potem układając fałdy krynoliny klękała, żeby wybuchnąć płaczem, chłopczyk nie puścił fartucha Murzynki, w milczeniu stał, patrzył, mrugał oczami – urodzony i trzymany dotąd w jakimś jedwabnym więzieniu, w świetle ocienionych świec, gdzie zamiast powietrza wdychał gęste, płomieniste i mleczne opary dni i godzin jego matki i rzadko widywał blask słońca, już nie mówiąc o otwartych przestworzach, o trawie, o drzewach i o ziemi. I wreszcie ta druga – Judith. („Która nie owdowiała, nie była w żałobie” – pomyślał Quentin. I pomyślał: „Tak, słuchałem za długo.”) Judith stała tu pod cedrami ubrana w perkalową

suknię i w czepek z tego materiału co suknia, też wypłowiwały i bez fasonu – stała z twarzą spokojną, z rękami, którymi już umiała orać i rąbać drzewo, i gotować, i tkąć, złożonymi na piersiach, w takiej postawie, jakby była obojętną przewodniczką po muzeum i czekała, prawdopodobnie nawet na tamtych nie patrząc. A potem do grobu podeszła ta Murzynka, żeby podsunąć swojej pani wonności w kryształowym flaconie. Pomogła jej wstać z klęczek, zabrała jedwabną poduszkę, podała parasolkę i wszyscy razem ruszyli do domu – ten mały wciąż jeszcze uczepiony fartucha Murzynki, Murzynka drugą ręką podtrzymując tę kobietę, a Judith z twarzą jak maska, jak marmur za nimi – ruszyli z powrotem do domu z wysokim, łuszczącym się portykiem, gdzie Clytie gotowała na kolację jajka i piekła chleb kukurydziany, którym one obie z Judith teraz żyły.

Okoronka była u nich przez tydzień. Spędziła ten czas już do końca w jedynym gościnnym pokoju, gdzie w tym domu były jeszcze na łóżku płócienne prześcieradła; leżała w nowych peniuarach z koronki, z jedwabiu, z satyny o barwach dyskretnych, lila i malwowych, stosownych w żałobie. Powietrze, a raczej brak powietrza w tym pokoju z okiennicami zamkniętymi i z opuszczonymi wypaczonymi żaluzjami przesyciała ciężka, dusząca woń jej ciała, jej dni, jej godzin, jej strojów oraz kompresu na jej skroniach, nasiąkniętego eau-de-cologne z tego kryształowego flaconu. Murzynka na przemian to kładła jej kompresy, to wachlowała ją wachlarzem siedząc przy łóżku w przerwach pomiędzy wędrówkami od drzwi i odbieraniem tac wnoszonych na górę przez Clytie.

Clytie przygotowywała te tace tak, jak jej poleciła Judith, chociaż z pewnością niezależnie od tego, czy Judith jej to powiedziała, czy nie, sama zauważyła, że ta, której służy, jest również Murzynką. A jednak służywała jej tak samo, jak nieraz przerywała pracę w kuchni i przeszukiwała pokoje na dole, żeby znaleźć gdzieś w cieniach biblioteki czy salonu na sztywnym twardym krześle siedzącego samotnie obcego chłopczyka. Ze swoimi czterema imionami i jedną szesnastą krwi murzyńskiej, ubrany w kosztowne, jaśniepańskie ubranko a la Mały Lord, patrzył z jakąś straszliwą fatalistyczną zgrozą na tę bosą, posępną kawową kobietę, która zaglądała do pokoju po to tylko, by spojrzeć na niego, która mu dawała nie herbatniczki, tylko pajdy najzwyklejszego chleba z kukurydzy, posmarowane nie oczyszczoną melasą (a i to ukradkiem, nie dlatego, żeby matka czy duenia mogły mieć coś przeciwko temu, ale dlatego, że w tym gospodarstwie było za mało żywności na jakiegokolwiek przekąski pomiędzy zasadniczymi posiłkami); dawała mu te pajdy, wpychała mu do ręki z powściąganą gwałtownością, a raz po południu, kiedy znalazła go na drodze za bramą parku, gdzie bawił się z jakimś małym, nie większym od niego Murzynkiem, skłęła to Murzyniątko tak dobitnie, tak zabójczo wściekle, że w popłochu uciekło, a jemu kazała iść do domu tonem, którego sama łagodność i spokój były jak chłoszczący bicz i w którym sam nawet brak nagany czy

wściekłości na pozór jeszcze bardziej potęgował tę jej zimną, zabójczą srogość.

Otóż to: Clytie stała jednak nieporuszona przy wozie tego ostatniego dnia, kiedy matka, dziecko i duenia odjeżdżały z powrotem do Nowego Orleanu po jeszcze jednej uroczystej wyprawie na grób wraz z jedwabną poduszką, parasolką i kryształowym flakonem. I twój dziadek nigdy się nie dowiedział, czy to właśnie Clytie czuwała, trzymała w jakiś sposób rękę na pulsie, czekając na nadejście dnia, godziny, chwili, kiedy chłopczyk zostanie sierotą, i wtedy gdy to nastąpiło, sama z własnej inicjatywy pojechała po niego; czy też może to Judith zajmowała się tym czekaniem i czuwaniem, i to Judith wysłała po niego Clytie tamtej zimy, w grudniu roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego. Dotychczas Clytie nigdy nie wyjeżdżała z Setki Sutpena dalej niż do Jefferson, a przecież sama odbyła tę całą podróż do Nowego Orleanu i powróciła z tym dzieckiem, chłopcem teraz dwunastoletnim, ale wyglądającym zaledwie na lat dziesięć w jednym z tych swoich już za ciasnych ubranek a la Mały Lord i w nowym, za dużym palcie, które kupiła mu Clytie (każąc mu je nosić, ale czy tylko ze względu na zimno, tego dziadek nie wiedział), i z resztą jego dobytek w tobołku z jedwabnej wzorzystej chusty. Sama odnalazła w francuskim mieście, zabrała i wywiozła to dziecko, które tak jak ona nie mówiło po francusku, ba, nie mówiło nawet po angielsku – to dziecko z twarzą nie starą, ale w ogóle pozbawioną wieku, jak gdyby nigdy nie miało żadnego dzieciństwa, nie w takim jednak sensie, w jakim mówi to o sobie panna Rosa, ale jak gdyby zamiast się urodzić po ludzku, zostało stworzone jakoś inaczej: bez współdziałania mężczyzny, bez męki kobiety, a teraz zostało sierotą nie osieroconą przez żadną istotę ludzką.

Dziadek opowiadał, że patrząc na niego człowiek się nawet nie zastanawiał, co się stało z jego matką: po prostu nie miało znaczenia, czy to była śmierć, czy jakaś romantyczna ucieczka, czy ślub; ta kobieta na pewno, przechodząc z jednej przemiany – po zerwaniu jakiegoś związku małżeńskiego czy pozamałżeńskiego – do przemiany następnej, nie przenosiła ze sobą tych wszystkich starych, przez lata nagromadzonych śmieci, które nazywamy wspomnieniami, i tego wszystkiego, co się składa na osobowość; ona się tylko zmieniała w poszczególnych fazach tak, jak po opuszczeniu kokonu zmienia się motyl; nie zabierała nic z tego, co było, w to, co jest, nie zatrzymywała sobie nic z tego, co już było poza nią, tylko wysuwała się pełna, nietknięta i bierna w następne swoje wcielenie, podobna do przekwitłej róży czy magnolii przenoszącej się z jednego bujnego czerwca znów w pełnym rozkwicie w czerwiec następny; i nigdzie pomiędzy ziemią a słońcem nie pozostało po niej nic: żadne kości, żadne ciało, żadne prochy po wszelakich już minionych, odwiecznych, bezdusznych aktach uległości cielesnej. Ten chłopiec urodził się od razu zupełny, odporny na wszystkie zarazki w owym przegrzanym, półmrocznym, perfumami przesyconym labiryncie jedwabiów, tak jak gdyby był jakimś

delikatnym przewrotnym duszkiem-symbolem, nieśmiertelnym paziem nieśmiertelnej Lilith, wkraczając w świat rzeczywistości nie w wieku jednej sekundy, ale w wieku lat dwunastu, ubrany w wykwintne ubranko swoich paziowskich czasów, teraz na pół ukryte pod tym szorstkim, niezgrabnym drelichem skrojonym według żelaznego szablonu i seryjnym produktem burleskowych insygniów królewskich – burleskowym mundurem tragicznej burleski synów Chama. Ten drobny, milczący dzieciak, nawet nie umiejący mówić po angielsku, został porwany nagle z ruin, że tak powiem, swego dotychczasowego życia, został zagarnięty przez istotę, którą już kiedyś widział, przed którą już się nauczył odczuwać grozę i lęk, ale, od której uciec teraz nie mógł. Musiał trwać przy niej bezradny i bierny, w stanie będącym na pewno jakąś wprost niewiarygodną mieszaniną strachu i zaufania, skoro on z nią nawet nie umiał rozmawiać (kiedy tę tygodniową podróż parowcem odbywali, musieli odbywać wśród bel bawełny na dolnym pokładzie, jadając i sypiając razem z Murzynami, on nawet nie potrafił swojej towarzysze powiedzieć, że jest głodny czy że musi się załatwić), mógł więc tylko podejrzewać, tylko się domyślać, dokąd ona go wiezie, i nic nie wiedział, niczego nie był pewny poza tym, że wszystko, co kiedykolwiek było mu dobrze znane, teraz rozwiewa się wokół niego jak dym. A jednak nie stawiał oporu; cichutko, potulnie wrócił do tego zmurszałego domu, gdzie już kiedyś był i gdzie razem z tą jego srogą, zadumaną przewodniczką mieszkała ta spokojna biała kobieta, nawet nie sroga, właściwie w ogóle żadna, tyle że spokojna, nawet jeszcze bezimienna dla niego, ale przecież jakoś mu tak bliska, jak bliska mogła mu być właścicielka jedyne na ziemi miejsca, gdzie zobaczył, że jego matka płacze. Wszedł w te obce progi nie wprowadzony tam ani wciągnięty, tylko jak ciele wpędzony przez twardą, nieubłaganą obecność tej czarnej, przekroczył nieodwołalnie linię demarkacyjną i już bez ratunku był w tym nędznym, ogołoconym domostwie, gdzie nawet jego jedyne pozostałe jedwabne ubranko, cienka koszula, pończochy i buciki – ostatnie wspomnienie tego, czym był przedtem – zniknęły, zleciały z jego ciała, rąk i nóg, jak gdyby były utkane z majaków albo z dymu.

Otóż to; sypiał w małym łóżeczku na kółkach wsuwany na dzień pod łóżko Judith – sypiał przy łóżku tej kobiety, a ona patrzyła na niego i traktowała go z zimną, nieugiętą, łagodną obojętnością, co onieśmiało go jeszcze bardziej niż ta zaciekle, bezwzględna, bezustanna opieka Murzynki sypiającej z jakąś niemożliwą do pokonania fałszywą pokorą na sienniku na podłodze. Leżał ten dzieciak tam pomiędzy nimi dwiema bezsennie w jakiejś otchłani biernej, beznadziejnej rozpacz, świadom tej swojej rozpacz, świadom obecności tej kobiety na łóżku, której każde spojrzenie, każdy gest w jego stronę, i każde dotknięcie tych zręcznych dłoni zdawało się tracić całe ciepło, ziębnąć w nieprzejednanej odrazie; i był świadom obecności tej drugiej kobiety na

sienniku, na którą teraz zaczął już patrzeć podobnie, jak słabe, kłów i szponów pozbawione dzikie zwierzątko w klatce, czające się w beznadziejnym, desperackim odruchu pozornej drapieżności, mogłoby patrzeć na człowieka dostarczającego mu pożywienia. (Jakże to? – pytał twój dziadek. – „Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie.” Więc co On chciał przez to powiedzieć? Co? Jeżeli maluczkiemu trzeba aż pozwalać, żeby się zbliżyli do Niego, to jakżeż On ziemię stworzył? Jeżeli trzeba aż w cierpieniu ubiegać się o możliwość zbliżenia się do Niego, to jakież On ma niebiosy?) Bo to właśnie ona, ta czarna, go karmiła, wmuszała mu jedzenie; jak sam widział, były to najwyborniejsze kąski z tego, co one tam miały; kosztem własnych wyrzeczeń przygotowywała mu te posiłki z jakąś dziwną mieszaniną zaciekłości i współczucia, gwałtownej tęsknoty i nienawiści; ona również, ta czarna, ubierała go i myła, wpychała go w wannę z wodą zawsze albo za gorącą, albo za zimną, przeciwko czemu on jednak nie miał odwagi protestować krzykiem, i szorowała go szorstkimi, namydlonymi szmatami czasem z taką powściąganą furią, jak gdyby chciała zmyć z jego skóry ten jedwabisty, nikły żółtawy odcień, tak jak dzieci, nieraz to chyba widzisz, zapamiętałe wycierają mur, chociaż już dawno jakaś brzydka kredą wypisana obelga została tam wymazana. Leżał, więc ten malec bezsennie w nocnych ciemnościach, wyczuwając, że one obie też nie śpią, wyczuwając, że one obie myślą teraz o nim, że otaczają go swoimi myślami, że napęniają burzliwą samotność jego rozpaczmyślami głośniejszymi, niż gdyby to były wymawiane słowa: „Nie śpisz na tym łóżku ze mną, tu, gdzie nie z twojej winy i nie z twojej woli powinno być twoje miejsce.” i: „Nie śpisz na tym sienniku na podłodze ze mną, tu, gdzie nie z twojej winy i nie z twojej woli twoje miejsce być musi i będzie, nie z naszej winy i nie z naszej woli, jako że my, czarni, nic nie chcemy, bo nic chcieć nie możemy.”

I dziadek również nie wiedział, która to z nich dwóch mu powiedziała, że on jest, że musi być Murzynem. On przedtem ani nie słyszał, ani nie rozumiał określenia „Negr” – nie znał nawet takiego określenia w swoim języku – on, urodzony i bytujący przedtem w miękko wyścielonej jedwabnej próżni, która równie dobrze by mogła zwieszać się na głębokości tysiąca sążni w morzu, gdzie kolor skóry nie miał większej wartości moralnej niż te jedwabne ściany i ta woń, i te świeczniki osłonięte różowymi abażurami, gdzie nawet abstrakcje, jakie on mógł zaobserwować – monogamia, wierność, przyzwoitość, tkliwość i serdeczność – tak całkowicie tkwiły korzeniami w funkcjach ciała jak procesy trawienne. Dziadek nie wiedział, czy on wreszcie został z tego łóżeczka na kółkach wyrzucony, czy też przestał tam sypiać na własne życzenie, z własnej chęci; czy w owym czasie, kiedy już jego samotność i żal stwardniały, wycofał się z sypialni Judith sam, czy też kazano mu się stamtąd wynieść. Przez jakiś czas sypiał później w hallu (dokąd również i Clytie przeniosła swój siennik), chociaż nie na sienniku jak Clytie, ale na pryczy

jeszcze wzniesionej ponad podłogą – i to może nawet tak zawyrokowała nie Judith, ale sroga, nieubłagana, fałszywa pokora Murzynki. A potem tę pryczę przeniesiono do izdebki na strychu, gdzie była nawet prowizoryczna szafa za starym kilimem przybitym w kącie dla pomieszczenia tych paru sztuk jego odzieży, tych szmat jedwabnych i sukiennych, w których on przyjechał, i tych szorstkich drelichowych dżinsów i samodziałów, które kupowały mu albo tkwały te dwie kobiety, a które on przyjmował bez podziękowania, bez komentarzy, tak samo jak teraz przyjął izdebkę na poddaszu, o nic nie prosząc, nic nie zmieniając w jej spartańskim urządzeniu. Dopiero w drugim roku po jego przybyciu, kiedy już miał lat czternaście, okazało się, że jednak coś, o czym one nie wiedziały, miał w tej izdebce, bo któraś z nich, Clytie czy Judith, znalazła tam ukryty pod materacem kawałek stłuczonego lustra; któż więc może wiedzieć, ile godzin ze zdumieniem i smutkiem spędzał tam w samotności ten chłopak, wpatrując się bez łez we własne odbicie w tym lustrze, przyglądając się sobie w za ciasnych strzępach wykwintnego ubranka, w którym może już nawet siebie nie pamiętał – pełen cichego, niedowierzającego oszołomienia.

A Clytie go pilnowała; sypiała w hallu na dole, przy schodach wiodących ze strychu; niczym hiszpańska duenia uważała, żeby nie wyszedł, nie uciekł, i uczyła go rąbać drzewo, pracować w ogrodzie, a potem, kiedy już nabrał więcej sił, orać. Właściwie on nigdy nie był bardzo silny, raczej sprężysty, zawsze drobnej kości i prawie wątły. Ten gibki chłopiec z kobiecymi rękami teraz przy orce borykał się z którymś tam kolejnym wcieleniem upartego biblijnego Muła, zmuszał go do posłuszeństwa, jakkolwiek ten tragiczny bezpłodny błazen był przecież jego czworonożnym ziemskim towarzyszem, uzupełnieniem jego życia pod klątwą praojca Chama. Istotę tej klątwy dopiero stopniowo zaczynał pojmować, kiedy tak się borykał z mułem połączony z nim, skuty stałą i drewnem srogiego pługa – tego symbolu męskości, który wydzierał z uległej, bujnej samiczej ziemi kukurydzę mającą wykarmić obu, chłopca i muła. A tymczasem Clytie czuwała, pełna zadumanej, zawziętej, zazdrosnej, nieustannej troski, ani na chwilę nie tracąc go z oczu; przybiegała natychmiast, kiedy tylko ktoś biały czy czarny zatrzymał się na drodze w pobliżu pola, najwyraźniej chcąc zaczekać, aż chłopiec skończy orać brudę i dojdzie do drogi, żeby z nim nawiązać rozmowę – przybiegała wtedy, odganiała chłopca jednym cichym słowem czy nawet gestem stokroć groźniejszym niż cicho mamrotane obelgi, jakimi zegnała owego przechodnia, żeby szedł sobie dalej.

Tak, więc (zdaniem dziadka) żadna z nich obu nie mogła ponosić odpowiedzialności za to, że on przeszedł do Murzynów. Przecież nie Clytie, która go strzegła, jak gdyby był hiszpańską dziewicą, i nawet wówczas, gdy jeszcze w żadnym razie nie podejrzewała, że on kiedykolwiek będzie mieszkał w Setce Sutpena, przerwała mu to jego pierwsze

spotkanie z małym czarnuchem i kazała mu wracać do domu. I przecież nie Judith, która w każdej chwili mogła była nie zgodzić się na to, żeby on sypiał w tym łóżeczku białego dziecka w jej sypialni, i która nawet gdyby nie chciała, żeby on sypiał na podłodze, mogła była kazać Clytie, Murzynce, dzielić z nim, murzyńskim dzieckiem, jakieś inne łóżko – a jednak tego nie zrobiła: i może by uczyniła z niego mnicha, bezżennego, ale przecież na pewno nie eunucha; i chociaż nie wiadomo, czy pozwoliłaby mu uchodzić za cudzoziemca, to jednak wiadomo na pewno, że kto jak kto, ale ona by go nie doprowadziła do zadawania się z Murzynami. To wszystko jednak były raczej przypuszczenia, bo konkretnie dziadek nie wiedział, chociaż i tak wiedział więcej niż miasteczko, cała okolica, gdzie już od dawna krążyły wieści, że w Setce Sutpena mieszka jakiś mały obcy chłopiec, który najwidoczniej wychylił nos z tego domu po raz pierwszy mając już lat dwanaście, przy czym jego obecność nawet nie była dla miasteczka i hrabstwa niejasna, bo ludziom zdawało się teraz, że już wiedzą, dlaczego Henry zastrzelił Bona. Dziwiąc się tylko, w jaki sposób Clytie i Judith zdołały tak długo utrzymać to dziecko w ukryciu, wszyscy byli pewni, że Judith pochowała Bona już jako wdowa w pełnym tego słowa znaczeniu, chociaż nie mogła tego dowieść żadnym papierkiem. Dziadek natomiast snuł wtedy pełne niedowierzania (i zgorszenia) domysły, że może ten chłopiec jest dzieckiem Clytie spłodzonym przez jej ojca na ciele rodzonej córki, (bo, pomimo że miał już w sejfie te sto dolarów i własnoręcznie przez Judith wypisane zlecenie na czwarty nagrobek, jeszcze sobie nie skojarzył tego chłopca z owym chłopczykiem, którego zobaczył przed dwoma laty, wtedy, gdy oktoronka przyjechała popłakać nad grobem). Najpierw widywano chłopca tylko w pobliżu domu, przy czym zawsze gdzieś niedaleko była Clytie, a potem już jako młodzieńca widywano go w polu przy orce, ale że i przy tym Clytie go nie spuszczała z oka, wkrótce już powszechnie było wiadomo, z jaką posępną, bezustanną, czujnością ona wykrywa i udaremnia wszelkie usiłowania wszczęcia z nim rozmowy, więc wreszcie z tych usiłowań zrezygnowano. Tak więc jeżeli ktokolwiek coś o nim wówczas wiedział, to chyba tylko dziadek, który wreszcie go przecież sobie skojarzył z tym dzieckiem przy grobie przed paroma laty.

Nie gdzie indziej też, ale właśnie do kancelarii dziadka przysła Judith w owo popołudnie w pięć lat później, będąc w Jefferson po raz pierwszy od niepamiętnych czasów – kobieta teraz już czterdziestoletnia, wciąż jeszcze w tej samej niezgrabnej perkalowej sukni i w czepku spłowiałym od słońca. Nawet nie chciała usiąść i chociaż twarz miała jak zawsze nieprzeniknioną, emanowała jakimś straszliwym, palącym pośpiechem. Rozmawiała z dziadkiem już idąc, już go prowadząc do sądu, do zatłoczonej sali, gdzie właśnie odbywał się proces tego chłopca (tylko że wtedy to już był mężczyzna) w kajdankach, przy policjancie i z ręką na temblaku, i z głową zabandażowaną, ponieważ

przedtem zabrano go do lekarza. Dziadek dopiero stopniowo dowiedział się, co zaszło, a i to niezbyt dokładnie, ponieważ sam sąd niewiele zdołał wyciągnąć od świadków, którzy w czasie bijatyki uciekli, żeby wezwać szeryfa, oraz od ludzi, z którymi ten chłopak się bił (z tych jeden Murzyn tak ciężko został przez niego poraniony, że nie mógł się stawić na rozprawę). Stało się to na murzyńskiej zabawie w jakiejś chacie oddalonej o parę mil od Setki Sutpena; on tam właśnie był, przy czym dziadek nigdy nie miał się dowiedzieć, jak często przedtem brał udział w takich zabawach i czy tam przyszedł na tańce, czy na grę w kości z mężczyznami w kuchni, gdzie rozpętała się owa awantura – awantura, jak wynikało z zeznań świadków, wszczęta przez niego, a nie przez Murzynów, i to w dodatku ni stąd, ni zowąd, nie spowodowana żadnym podejrzeniem o szachrajstwo, w ogóle niczym. A on tam siedział w sądzie i nie zaprzeczał, nie mówił nic, wcale nie chciał mówić, ponury, blady, milczący: tu, więc cała prawda wraz z wszelkimi dowodami rozplynęła się w obrazie kłębowiska murzyńskich pleców, ramion i głów, i czarnych rąk ściskających polana drzewa, warząchwie i inne utensylia kuchenne oraz brzytw; i w samym środku ten biały z wydobytym nie wiadomo skąd nożem, którym posługiwał się kiepsko, najwidoczniej niewprawnie, a jednak z jakąś zabójczą powagą i siłą wręcz dziwną wobec jego wątłej budowy, płynącą chyba tylko z determinacji woli i odporności na te wszystkie ciosy i chłaśnięcia, jakie w odwecie odbierał tak, jakby ich wcale nie czuł. To była burda bez przyczyny, bez uzasadnienia; nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, jak do niej właściwie doszło, jakie tam padły przekleństwa i epitety, które może by wyjaśniły, dlaczego on się tak rozjuszył. Pośród wszystkich ludzi obecnych w sądzie tylko twój dziadek po omacku, niepewnie wyczuwał ów wściekły protest, oskarżenie rzucone prawom ziemskiego ładu ustalonego z woli Bożej, ciśnięcie rękawicy w twarz temu istniejącemu ładowi, zupełnie w stylu Sutpena, jak gdyby ten dzieciak, a później młodzik, nasiąknął tym wszystkim, choleryczną niepohamowaną rozpaczą, mieszkając w ścianach, w których Sutpen żył i oddychał, dopóki wyzywane przez niego przeznaczenie nie odplaciło mu ciosem ostatecznym. Tylko twój dziadek potrafił wyczuć ów protest, bo ani sędzia, ani ci wszyscy inni zgromadzeni w sali nie zorientowali się, czym jest ten szczupły młody człowiek z ręką na temblaku, z głową zabandażowaną i z ponurą, zastygłą (teraz bezkrwistą) oliwkową twarzą – ten oskarżony, uparcie nie odpowiadający na żadne pytania i nie składający żadnych zeznań; toteż kiedy dziadek wchodził do sali, sędzia (Jim Hamblett to był) już wygłaszał mowę, wykorzystując tę sposobność i to audytorium do popisania się swoim krasomówstwem; już miał oczy szkliste i rozmarzone, jak to zwykle ludzie, którzy lubią słuchać własnych wypowiedzi na forum publicznym.

„I to w dobie obecnej, kiedy nasz kraj się boryka usiłując powstać spod żelaznego

obcasy tyrana i ciemżyciela, kiedy samo umożliwienie w przyszłości znośnego życia dla naszych kobiet i dzieci na Południu zależy wyłącznie od nas samych, od pracy rąk naszych, przy czym narzędziami, jakich używać musimy, narzędziami, na jakich polegać musimy, są: duma, prawość i powściągliwość obywateli kolorowych oraz duma, prawość i powściągliwość obywateli białych; że też więc oskarżony, powiadam, człowiek biały, biały...

Wtedy to dziadek, starając się dotrzeć do niego, przepychając się przez tłum, żeby mu przerwać, zawołał: „Jim, Jim, Jim!”

Ale już było za późno. Hamblett zupełnie tak, jakby go nagle obudziła własna swada albo czyjeś przytknięcie palcami pod nosem, patrzył teraz na więźnia przytomnie, jeszcze z rozpędu powtarzając „biały”, chociaż w głosie jego już nastąpiło krótkie spięcie wywołane raptownym nakazem powstrzymania tego słowa. A potem wszystkie twarze odwróciły się w kierunku więźnia, kiedy Hamblett krzyknął: „Czym oskarżony jest?! Nazwisko? Skąd przybył?”

Dziadek wy dostał go wtedy z więzienia, zatuszował oskarżenie, zapłacił grzywnę, po czym przyprowadził go do swojej kancelarii na niedługą rozmowę, w czasie, której Judith czekała w przedpokoju.

„Jesteś synem Charlesa Bona” – zaczął.

„Nie wiem” – odrzekł tamten szorstko i posepnie.

„Nie pamiętasz?” – zapytał dziadek.

Tamten milczał. Wtedy dziadek mu powiedział, że on musi odjechać, zniknąć, i dał mu pieniądze, żeby miał z czego żyć.

„Bez względu na to, czym jesteś, z chwilą, kiedy się znajdziesz wśród obcych, którzy nic o tobie nie wiedzą, będziesz mógł być, czym chcesz. Już ja to załatwię; porozmawiam z... jak ty ją nazywasz?”

Otóż tu dziadek posunął się za daleko, ale za późno było żeby to cofnąć; popatrzył na tę nieruchomą twarz, podobnie jak twarz Judith nie wyrażającą żadnej nadziei, żadnego bólu – twarz tylko posepną i nieodgadnioną. A potem spuścił wzrok na stwardniałe, kobiece, smukłe ręce z popękkanymi paznokciami, trzymające teraz tam plik banknotów, i pomyślał, że chłopak przecież nie może powiedzieć „panienka Judith”, bo to by bardziej niż wszystko inne świadczyło o jego murzyńskim pochodzeniu. A potem pomyślał: „Nawet nie wiem, czy on to chce ukrywać, czy nie chce” – i ostatecznie powiedział: „Z panną Sutpen”.

„Nie powiem pannie Sutpen, dokąd jedziesz, oczywiście, bo tego I ja sam nie wiem, tylko powiem jej, że odjechałeś za moją wiedzą i że nic się nie stanie złego.”

Tak, więc on odjechał, a wtedy dziadek udał się konno do Setki Sutpena, żeby

powiedzieć o tym Judith. Drzwi otworzyła mu Clytie; bez słowa popatrzyła mu prosto w oczy, przez chwilę przytrzymując Jego spojrzenie, po czym poszła zawołać Judith. A dziadek tam czekał, w tym mrocznym, osłoniętym salonie i wiedział, że nie musi nic mówić ani jednej, ani drugiej. Rzeczywiście nie musiał. Judith zjawiała się po chwili, podeszła do niego, spojrzała mu w oczy i powiedziała: „Przypuszczam, że pan mi nie chce powiedzieć.”

„To nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że nie mogę, bo mu przyrzekłem, że nie powiem – powiedział dziadek. – Chociaż teraz to już nawet nie dlatego nie mogę... Ale on ma pieniądze. Jemu się nic...” – i urwał.

Bo nagle niewidzialnie stanął pomiędzy nimi ten samotny, opuszczony chłopczyk, który przed ośmioma laty przybył tam w palcie włożonym na to, co zostało z jego jedwabnych i sukiennych ubranek, który potem stał się wyrostkiem w drelichu i wystrzępionym kapeluszu – w tym mundurze pradawnej swojej klątwy – potem mężczyzną, młodym i jurnym, a pomimo to nadal przecież pozostał tym samotnym dzieckiem we włosiennicy ze swej żółtawej jak pergamin skóry i z drelichu. Dziadek mówił coś jeszcze, te kulawe ciche słowa, wymyślne puste frazesy, które nazywamy pociechą, i myślał: „Lepiej by było, gdyby on umarł. Lepiej by było, gdyby on w ogóle się nie urodził” – a potem przyszło mu do głowy, jakim dźwiękiem bez treści i bez znaczenia zabrzmiałoby to dla Judith padając z jego ust – ileż razy ona sama to sobie mówiła, myślała w innej tylko osobie i liczbie.

Wrócił do miasteczka. I następnym razem Judith już nie poprosiła go o pomoc. O tym, co się stało, dowiedział się tak samo jak wszyscy w miasteczku: tą wiejską pocztą pantoflową, której pocztylionami są Murzyni. Rozeszła się wieść, że on, Charles Etienne St Valery Bon, jest z powrotem (nie, że znów jest w domu; że jest z powrotem), jeszcze zanim dziadek dowiedział się szczegółów. Otóż on był, pojawił się z czarną jak węgiel, do małej podobną kobietą i z autentycznym świadectwem ślubu: tak pobity i pokaleczony w jakiejś ostatniej bijatyce, że nawet nie mógł się utrzymać na ochwaconym nie osiodłanym mule, na którym przyjechał, więc ta kobieta idąc przy nim musiała go podpierać, żeby nie spadł.

Przyjechał tam, do domu, najwidoczniej po to, żeby świadectwo ślubu cisnąć w twarz Judith, może w zrywie czegoś podobnego do rozpacz, z jaką rzucił się na tamtych Murzynów przy grze w kości.

Nikt nigdy nie miał wiedzieć, co za niewiarygodna historia kryła się w jego rocznej wędrówce, bo on sam o tym ani jednym słowem nie napomykał, tak samo jak nie opowiadała o tym, może dlatego, że opowiedzieć nie potrafiła, ta kobieta, która nawet w rok później, kiedy już im się urodził syn, wciąż jeszcze żyła w upiornej, chyba

samoistnej teraz grozie, zdając się tylko stopniowo, niesłychanie wolno, ze straszliwie zapartym tchem, jakby się pociła ze strachu czy bólu, wypacać z siebie owe dawne przeżycia. Nie było, więc wiadomo, w jaki sposób on ją znalazł i wywłókł z tego jakiegoś tam dwuwymiarowego odludzia, z którego pochodziła i w którym przed wkroczeniem jego wystarczyło jej rozeznania na to, by miała co jeść i gdzie sypiać (nawet nazwy tej miejscowości, tego miasteczka czy wioski ona albo w ogóle nie знаła, albo nie pamiętała wskutek wstrząsu, jaki w niej wywołało samo odejście stamtąd), i nie było wiadomo, jak doszło do tego, że on wziął z nią ślub, niewątpliwie prowadząc jej rękę, kiedy mozolnie podpisywała się krzyżykiem w rejestrze ślubów, jeszcze zanim się dowiedziała, że on nie jest biały (niewykluczone zresztą, że tego nie wiedziała, nawet kiedy już urodziła syna w dawnych kwaterach niewolników, w jednej z tych wałących się chat, którą on odbudował po wydzierzawieniu działki gruntu od Judith); pierwszy rok po tym ślubie był przerywanym szeregiem okresów całkowitego zastoju, zaciemnień jak w popękanym filmie: ten człowiek o białej skórze, ten jej mąż, znów wylizując się z obrażeń odniesionych w najświeższym mordobiciu, leżał wtedy na wznak to w tym, to w innym miasteczku czy mieście, również nie mającym dla niej żadnej nazwy; taki bezruch przeplatały okresy wypełnione wściekłym, bezprzyczynowym ruchem, pochodem i wirem twarzy ludzi, wśród których ten jej mąż się przepychał, wlokąc ją za sobą ku czemuś czy od czegoś, ale co to jest, nie wiedziała, tak samo jak nie wiedziała, jaka furia tak go gna i nie pozwalała mu spocząć, dopóki nie skończy się to nie inaczej niż skończyło się poprzednim razem; w sposób już nieomal rytualny on wyraźnie szukał okazji popisywania się swoją małpią, czarną jak węgiel żoną, z miejsca wyzywał wszystkich razem i każdego z osobna, komu tylko to się nie podobało i kto tylko skłonny był jego wyzwanie przyjmując: murzyńscy dokerzy i chłopcy okrętowi na parowcach i w portowych melinach uważali go za białego i tym mocniej w to wierzyli, im mocniej on temu zaprzeczał; biali kiedy im mówił, że jest Murzynem, myśleli, że on kłamie, żeby ratować swoją skórę albo, co gorsze, że kłamie z czystego upojenia perwersją seksualną; toteż czy to byli Murzyni, czy biali, sytuacja rozwijała się podobnie: ten mężczyzna o ciele i kościach nieomal dziewczęco delikatnych, nie uzbrojony i niebaczny na liczebną przewagę przeciwników, rzucał się na nich pierwszy, zawsze z tą samą nieubłaganą furią i odpornością na wszelkie cierpienia fizyczne, nawet nie klnąc, nie dysząc, tylko się śmiejąc.

Tak, więc pokazał Judith świadectwo ślubu, po czym zabrał tę swoją żonę w mocno już zaawansowanej ciąży do rozwalonej chaty, którą sobie wybrał i miał odbudować; ulokował ją tam, to znaczy, kazał jej tam wejść może tak, jak się każe wejść psu do budy, a sam wrócił do dużego domu. I nikt nie miał wiedzieć, jakie słowa padły tego wieczora

pomiędzy nim a Judith, w którymkolwiek by to było z tych pokoi ogołconych z dywanów, umeblowanych tylko resztkami mebli, których one jeszcze nie zdążyły porąbać i spalić w kominku czy pod kuchnią, żeby ugotować sobie jedzenie albo zagrzać wodę w wypadku jakichś dolegliwości. Nikt nie wiedział, o czym ze sobą rozmawiali: ta kobieta, wdowa, chociaż nigdy nie była żoną, i syn tego, kto okrył tę kobietę żałobą, oraz Murzynki, nałożnicy z babki prababki – człowiek uznający swą krew czarną znacznie spokojniej, niż zapierał się swojej krwi białej, jakkolwiek i to też zaznaczał z dziwną przesadą, pełną tak nieugiętego uporów, jaki mógłby okazać sam demon Sutpen.

Bo to była miłość – powiedział pan Compson. – Był przecież ten list, który ona przywiozła i dała twojej babci...

On, Quentin, zobaczył tamten list tak wyraźnie, jak widział teraz przed sobą ten list rozłożony na otwartym podręczniku na stole – zobaczył tamten list, biały w ręce ojca na tle ciemnej nogawki jego płóciennych spodni, zobaczył go znów o wrześnieym zmierzchu, w smudze zapachu cygara, w zapachu wistarii, w pobłysku świetlików. Pomyślał: „Właśnie. Usłyszałem już za dużo. Powiedziano mi już za dużo: musiałem tego słuchać za dużo, za długo.” I myślał: „Właśnie. Shreve do tego podchodzi prawie tak samo jak ojciec: tamten list. Kto wie, co ona mogła tam wtedy rozważać: o jakim mogła myśleć odrodzeniu ducha w ów wieczór, w samotności, w ciszy tego domu, w ciszy tego pokoju, o jakim przewrocie w twardych, żelaznych prawach odwiecznych tradycji mogła tam myśleć wtedy, skoro już widziała, jak prawie wszystko wokół, w czym się nauczyła widzieć trwałość i stałość, rozwiewa się przed nią, znika źdźbło słomy wśród podmuchów wichru; siedziała tam przy lampie w kanciastym fotelu prosta, sztywna, w tej samej perkalowej sukni co zawsze, choć w tej chwili bez czepka na włosach kiedyś kruczych, a teraz z pasmami siwizny, a on stał patrząc na nią. Stał, bo nie chciał usiąść: może ona go nawet nie prosiła o to. Więc stał przed nią i milczał, kiedy brzmiał ten zimny, bezbarwny głos, na pewno niewiele głośniejszy niż pykanie płomyka lampy.

«Myliłam się. Przyznaję. Wierzyłam, że jeszcze są rzeczy, które mają na świecie znaczenie, i to tylko dlatego, że niegdyś je miały. Myliłam się jednakże. Nic nie ma znaczenia. Wystarczy tylko wiedzieć, że się jest, oddycha, i oddychać, i żyć. A to dziecko, akt ślubu, ten ślubny dokument? Co z tym? Ten dokument wiąże cię z osobą, która jest nieuchronnie, bezsprzecznie Murzynką. Można go unieważnić, nikt się nie ośmieli w inny sposób wyciągnąć go na światło dzienne niż uznając to za młodzieńczy wybryk. A co do tego dziecka... Dobrze, czyż mój ojciec sam nie spłodził jednego murzyńskiego dziecka? Czyż mu to w czyichś oczach, kiedy zaszkodziło? Jeżeli chcesz, będziemy nawet utrzymywać tę kobietę i dziecko; mogą tu zamieszkać i Clytie będzie dbała o jego...”

Patrzyła, wpatrywała się w niego bez drgnienia, wciąż jeszcze nieruchoma, wciąż

wyprostowana, z rękami złożonymi w bezruchu na piersiach, niemal nie oddychając, jakby on był ptakiem albo dzikim zwierzęciem, które można spłoszyć samym tylko oddechem, falowaniem piersi.

„Nie. Nie Clytie. Ja będę. Ja będę już sama chować je i pilnować, by ono... I żadnego nazwiska ono mieć nie musi. I ty nie będziesz musiał wcale go widywać ani troszczyć się o nie. Wcale. Poprosimy generała Compsona, by sprzedał część ziemi. On to zrobi. A wtedy będziesz mógł wyjechać. Na Północ, gdzieś daleko, gdzieś do dużych miast, tam gdzie nie będzie ważne to, że... Ale oni na pewno tego nie wyciągną. Oni się nie ośmielą. Powiem im, że jesteś synem Henry’ego, któż więc mógłby albo śmiać podawać to w wątpliwość...”

A on wciąż tam stał przed nią: patrzył na nią może albo wcale nie patrzył, nie wiedziała sama, bo głowę miał spuszczoną, tę mizerną twarz zastygłą bez wyrazu, gdy ona, wciąż jeszcze z utkwionym w niego wzrokiem, nie śmiać się poruszyć, szeptała dość wyraźnie, dość głośno, a przecież nie mogła go tym szeptem dosięgnąć: „Charles.”

„Nie, proszę pani.”

A ona znów – wciąż jeszcze się nie poruszając, bez najlżejszego drgnienia choćby tylko mięśnia, jak gdyby właśnie stała przed gęstwiną krzaków, w którą zwabiła zwierzę, i dobrze wiedziała, że to zwierzę, choć dla niej teraz niewidoczne, patrzy na nią zza liści, że trochę się płaszczy, ale wcale nie w strachu, nawet nie w napięciu, tylko w tej niepoprawnej, nieważkiej czelności stworzeń wolnych, tak lekkich, że ślad nie zostaje na tej ziemi, co nosi ich ulotny ciężar, a ona nawet nie śmiać dotknąć go, pogłaskać, jakkolwiek ono było przecież w jej zasięgu, jedynie przemawiała do niego łagodnie, głosem czułym i brzmiącym tą uwodzicielską, niebiańską obietnicą, tym zaklęciem kobiet: „Nazywaj mnie, Charles... ciotką Judith.

Otóż to: i nie wiadomo, czy on coś powiedział, czy też nic nie powiedział, zanim się odwrócił, wyszedł z pokoju, z domu. A ona tam dalej siedziała bez ruchu, jeszcze patrząc na niego i jeszcze go widząc, przenikając te ściany, tę ciemność, by patrzeć, jak on idzie z powrotem wśród chwastów uliczką między opuszczonymi, starymi chatami do tej chaty, gdzie czeka jego czarna żona; jak on depta krzemienisty bruk ciernistej ścieżki w Ogrodzie Getsemani, na który się skazał sam, który stworzył sobie sam i w którym sam już się ukrzyżował i zeszedł na chwilę z tego swojego krzyża, i oto tam wraca.

Dziadek nie wiedział. Miał o tym tylko takie wiadomości, jakie krążyły w miasteczku, w hrabstwie: a więc, że ten obcy chłopak, którego kiedyś Clytie pilnowała i uczyła orać, siał i zbierać plony i który potem owego dnia stanął przed sądem już jako dorosły mężczyzna, z głową obandażowaną i z jedną ręką na temblaku, a drugą skutą kajdankami z konstablem, i później zniknął, po czym powrócił z autentyczną żoną przypominającą

zwierzaka z ogrodu zoologicznego, obecnie uprawia małą parcelę, część dawnej plantacji Sutpenów, i to nawet uprawia ją dość dobrze, samotny, wytrwały, gospodarny, jakkolwiek na pozór zbyt wątpliwy jest i lekki do tej pracy, którą sobie wybrał; że jak pustelnik żyje w odbudowanej chacie, gdzie już mu się urodził syn, i że nie zadaje się ani z białymi, ani z czarnymi (Clytie już go nie pilnuje; już nie potrzebuje go pilnować).

W ciągu następnych czterech lat widziano go w Jefferson tylko trzy razy, a i wtedy ukazywał się tam tylko dlatego, że Murzyni, którzy, jak się zdaje, bali się jego czy może Judith, czy Clytie, donosili dziadkowi, że on albo ośleplł, albo jest w sztok pijany w murzyńskim sklepie okręgowym pod Jefferson, wobec czego dziadek jechał tam i przywoził go do siebie (bo inaczej, gdyby on w tym pijanym widzie zaczął się awanturować, zabrałaby go stamtąd policja); trzymał go u siebie, aż ta czarna maskara (nic w niej nie było żywego poza oczami i rękami), jego żona, z powrotem zaprzęgała muły do wozu, przyjeżdżała po niego, ładowała go na wóz i zabierała do domu. Tak, więc na razie nikt nie zwrócił uwagi na to, że go już wcale nie widać w miasteczku; to dopiero lekarz okręgowy powiedział dziadkowi, że on zachorował na żółtą febrę i że Judith go przeniosła do dużego domu i pielęgnowała, i teraz sama jest chora. Dziadek poprosił wtedy lekarza o zawiadomienie panny Coldfield, po czym pojechał do Setki Sutpena. Nie zsiadł z konia; zaczął tylko wołać, aż Clytie wyjrzała z jednego z okien na piętrze i powiedziała – „Im nic nie trzeba.”

W ciągu tego samego tygodnia dziadek się dowiedział, że Clytie miała czy też ma jednak rację, bo tak czy owak, rzeczywiście nic im już nie trzeba, chociaż to Judith umarła pierwsza.”

– Och – powiedział Quentin.

„Właśnie – pomyślał. – Za dużo, za długo mi o tym opowiadali.”

I przypomniał sobie, jak patrząc w tym deszczu pod cedrami na piąty grób, doszedł do wniosku, że ów ktoś, kimkolwiek był, kto pochował Judith, widocznie bał się, żeby pozostali umarli nie zarazili się od niej żółtą febrą, i dlatego ona leży po przeciwnej stronie, tak daleko od pozostałych grobów, jak tylko pozwala na to szerokość tego cmentarzyka.

I pomyślał wtedy: „Tym razem ojciec już mi nie potrzebuje mówić: „Zastanów się» „– bo jeszcze zanim odczytał napis na tym piątym nagrobku, już wiedział, kto go zamówił i postawił. Nie podszedł tam jednak od razu, jeszcze stał przy grobie Charlesa Etienne Saint-Valery Bona i wyobrażał sobie, jakie to staranne, drukowanymi literami wypisane wskazówki Judith musiała (może nawet otrząsając się z maligny) dać Clytie, kiedy sobie uświadomiła nadchodzącą śmierć; i wyobrażał sobie, jak Clytie musiała żyć przez następne lat dwanaście, wychowując to dziecko urodzone w starej chacie niewolników,

jak musiała skącić i oszczędzać pieniądze, żeby do końca spłacić nagrobek, na który Judith złożyła u dziadka sto dolarów przed dwudziestu czterema laty; wyobrażał sobie, jak ona (Clytie) przywoziła to pieniądze i kiedy dziadek wzbraniał się, nie chciał ich przyjąć, stawiała na biurku zardzewiałą blaszankę pełną pięcio – i dziesięciocentówek i poszarpanych banknotów, po czym bez słowa wychodziła z kancelarii.

I z tego piątego nagrobka również musiał odgarnąć mokre cedrowe igły, żeby odczytać napis; patrząc na te litery, tak samo jak tamte powoli wyłaniające się pod jego ręką, zastanawiał się w milczeniu, jak to się stało, że igliwie mogło do nich przywierać całe i nienaruszone, zamiast zmienić się w popiół w chwili zetknięcia z tą szorstką, nieubłaganie nienawistną groźbą:

JUDITH COLDFIELD SUTPEN, CÓRKA ELLEN COLDFIELD. URODZONA 3 PAŹDZIERNIKA 1841 R.

CIERPIAŁA ZNIEWAGI I MOZOŁY TEGO ŚWIATA PRZEZ 42 LATA: 4 MIESIĄCE I 9 DNI.

ODESZŁA NA WIECZNY ODPOCZYNEK 12 LUTEGO 1884 R.

ZATRZYMAJ SIĘ, ŚMIERTELNIKU;

POMNIJ PRÓŻNOŚĆ I GŁUPOTĘ

I STRZEŻ SIĘ.

Teraz to sobie przypominając myślał: „Tak. Nie potrzebowałem pytać, kto ułożył to epitafium, kto to postawił” – i myślał: „Właśnie, za dużo, za długo mi o tym opowiadali. Nie potrzebowałem wtedy słuchać, ale słyszeć to musiałem i teraz znów słyszeć to muszę, bo on, Shreve, podchodzi do tego akurat tak jak ojciec: Pięknym życiem żyją kobiety – naprawdę pięknym.” Samym oddechem czerpią pokarm i napitek z pięknej i rozrzedzonej nierzeczywistości, w której cienie i kształty faktów rzeczywistych-narodzin i żaloby, cierpienia, zdumienia i rozpaczy-poruszają się na niby jak żywe obrazy podczas zabawy w szarady na ogrodowym przyjęciu, doskonale w każdym gościu, pozbawione znaczenia, rozbrojone z jakichkolwiek zdolności do uczynienia krzywdy. Ten nagrobek zamówiła panna Rosa. Obarczyła tą sprawą sędziego Benbowa. Benbow był opiekunem spadku po jej ojcu, nie wyznaczonym wprawdzie przez żaden testament, bo pan Coldfield przecież testamentu nie spisał, jak i nie zostawił majątku oprócz domu i wypatroszonego kompletnie sklepiku. Więc sędzia Benbow musiał sam siebie wyznaczyć – zapewne sam się wybrał na jakimś konklawe sąsiadów panny Coldfield, tych obywateli, którzy się gromadzili celem omówienia jej spraw i ustalenia, co dalej z nią robić, kiedy już było jasne, że nic na tym świecie, z pewnością żaden człowiek, żaden zespół ludzi nie zdoła jej nigdy skłonić, by wróciła do szwagra i do Judith; to ci sami sąsiedzi i obywatele, którzy na próg jej ganku nocą podrzucali te koszyki z żywnością, a ona je brała, zjadała, co tam

było, po czym te talerze, te serwetki wkładała brudne do koszyków, stawiając je z powrotem tam, gdzie je znalazła, zupełnie jakby chciała utrzymać złudzenie, że tych koszyków nigdy nikt jej tam nie stawia czy że przynajmniej ona nigdy ich nie rusza i nie z nich nie wyjmuje, i nie bierze z ganku; ale przecież je brała z miną obojętną, otwarcie, bez żenady, nawet bez wyzwania, i niewątpliwie zawsze oceniała smak, krytykowała jakość, sposób przyrządzania tych potraw, przeżuując, łykając je, czując, jak je później przetrawia; pomimo to ciągle z tym swoim niepoprawnym, spokojnym uporem czepiała się złudzenia, że to, co jest faktem, co potwierdzają wszelkie niezbite dowody, w ogóle nie istnieje... Tak jest z kobietami. Zupełnie w ten sam sposób omamiając siebie nie dopuszczała myśli, że ma trochę grosza, więc nie jest na dnie nędzy po sprzedaży sklepu, i uparcie nie chciała od sędziego Benbowa wziąć tej sumy istotnie za sklep uzyskanej; a przecież przyjmowała wartość tych pieniędzy (po kilku latach znacznie więcej niż ich wartość) wieloma sposobami: więc wyzyskiwała małych murzyńskich chłopców, którzy przechodzili przypadkowo w pobliżu jej domu, wołała ich, kazała im grabić podwórko, przy czym oni wiedzieli, jak wszyscy w miasteczku, że ona potem nawet nie wyjdzie już do nich, chociaż podczas grabienia czuli jej wzrok baczny spoza firanek w oknie; mieli jednak pewność, że im za to zapłaci pan sędzia Benbow. Przychodziła do sklepów i rekwirowała różne przedmioty z półek, z gablot wystawowych w taki sam sposób, w jaki zarekwirowała ten nagrobek dla Judith za dwieście dolarów z kasy sędziego Benbowa – potem wychodziła, unosiła zdobycz ze sklepów do domu, czyniąc to z taką samą obłądną chytrą, z jaką pozostawiała te brudne naczynia i serwetki z koszyków. Nie chciała dyskutować o swych interesach z sędzią Benbowem, skoro musiałaby wtedy dowiedzieć się, że sumy, które dostawała, już nie mogą pochodzić z jej własnych pieniędzy, bez względu na wysokość ceny za ten sklep (on, Benbow, miał u siebie w swoim gabinecie grubą teczkę: na teczce był napis przez środek: „Poufne. Spadek po Goodhue Coldfieldzie”, skreślony atramentem nie do wywabienia. Już po śmierci sędziego Percy, jego syn, otworzył ową teczkę: zawierała sporo programów wyścigowych, nieważnych kuponów na totalizatora, na jakieś gonitwy dawno już padłych koni, których kości teraz były złożone nawet nie wiadomo gdzie, koni przegrywających bądź wygrywających przed czterdziestoma laty na wyścigach w Memphis; znalazł również w tej teczce księgę rachunkową: własną ręką sędziego schludnie sporządzone zestawienie, z podaniem wszystkich dat wyścigów, na których sędzia grywał w ciągu lat czterdziestu, oraz imion tych koni i wysokości stawek przegranych lub wygranych; i drugie zestawienie będące dowodem na to, że sędzia zawsze każdą swą wygraną albo też sumę równą każdej swej przegranej umieszczał na mitycznym koncie panny Coldfield).

– Ale ty, Quentin, nie słuchałeś tego, bo już to znałeś, już się o tym dowiedziałeś,

jako dziecko to wchłonałeś nawet nie z opowiadań, skoro urodziłeś się i żyłeś obok tego wszystkiego, razem z tym wszystkim, przejmowałaś się tym tak, jak przejmują się dzieci; więc to, co ci ojciec mówił przy tych grobach, nie było dla ciebie niczym nowym, raczej tylko uderzało słowem po słowie w dźwięczne struny wspomnień. Byłeś tam już przedtem, nieraz już widziałeś te groby w czasie chłopięcych włóczęgowskich wypraw, mających na celu nie tylko polowanie na zwierzynę. Tak samo nieraz już widziałeś i ten stary, wielki dom, chociaż właściwie znałeś go zawsze, wiedziałeś, jak ten dom wygląda, zanim go zobaczyłeś po raz pierwszy, zanim podrosłeś na tyle, żeby wybrać się tam z kilkoma rówieśnikami, w trwożnej a chępliwej nadziei wywołania tego upiora – bo ten dom na pewno nawiedzały upiory, inaczej być nie mogło, chociaż od dwudziestu sześciu lat stał pustką, na pozór taki niegroźny, i chociaż nikt tam jeszcze żadnego upiora nie spotkał. Kiedyś jednak zajechał tam wóz z jakimiś obcymi przybyszami przenoszącymi się ze stanu Arkansas; chcieli się zatrzymać na noc, ale coś się wtedy stało, jeszcze zanim zdążyli się wyładować. Co to było, nie mówili – albo nie potrafili, albo nie chcieli powiedzieć, to coś jednak sprawiło, że w ciągu niecałych dziesięciu minut muły ich już galopowały z powrotem aleją wjazdową, galopowały w takim popłochu, że zatrzymały się dopiero w Jefferson. Nieraz widziałeś rozpadającą się skorupę tego domu, zapadnięty portyk, łuszczące się ściany, obwisłe żaluzje i okna zabite deskami – ten dom pośrodku posiadłości, która teraz na nowo stała się własnością stanu, którą kupowano i sprzedawano, i znów kupowano, i znów sprzedawano bez końca. Nie, ty nie słuchałeś, nie musiałeś słuchać tego, co ojciec opowiada przy tych grobach; a potem psy się poruszyły i podniosły; i zobaczyłeś, że istotnie, dokładnie tak, jak to zapowiedział ojciec, Luster już zatrzymał muła i wasze dwa konie na deszczu, nie bliżej niż w odległości pięćdziesięciu jardów od cedrów; siedząc tam teraz z kolanami podciągniętymi pod worek, otoczony obłokiem pary z zagrzanych koni i muła, patrzył na ciebie i na ojca jak gdyby z głębi jakiegoś ponurego, spokojnego czyścica.

„No, Luster, schrońże się tutaj przed tym deszczem – powiedział ojciec. – Nie pozwolę na to, żeby stary pan pułkownik zrobił ci krzywdę...”

„Wy, panowie, stąd chodźcie, to pojedziemy z powrotem – oświadczył Luster. – Dzisiaj już bez polowania.”

„Zmokniemy – powiedział ojciec. – Coś wam powiem: jedźmy tam do tego starego domu. Tam przeczekamy deszcz i obeschniemy.”

Ale Luster nawet nie drgnął, tylko dalej siedząc w deszczu, zaczął wynajdywać najrozmaitsze powody, żeby do tego domu nie jechać: że dach tam przecieka i że wszyscy trzej się zaziębią, bo tam nie ma żadnego ognia, i że strasznie zmokniecie w drodze do tego domu, więc lepiej już od razu jechać prosto do Jefferson; ojciec śmiał

się, ty jednak nie śmiałeś się tak bardzo, bo chociaż nie jesteś czarny jak Luster, masz lat nie więcej od niego i Luster był tam z tobą także owego dnia, kiedyście się wybrali – pięciu smyków w jednym wieku – na tę wielką wyprawę. Jeszcze daleko od tego domu targując się, kto wejdzie tam pierwszy, szliście przez dawne kwatery niewolników – w dżungli sumaków i persimonium, głógów i powojów, pośród próchniejących stosów czegoś, co niegdyś było ścianami z bali, pośród rumowiska kamiennych kominów i gontowych dachów; stała tam tylko jedna cała chata, tylko ta jedna. Pod chatą na razie nie widzieliście tej starej kobiety, boście się zagapili na chłopca, na tego Jima Bonda, niezgrabnego brunatnego chłopca z rozdziawionymi ustami, starszego od was o parę lat i większego, w połatanej i wypłowiałej, ale czystej koszuli i w kombinezonie żałośnie za małym; patrzyliście, jak on pracuje na grządce przy chacie, i żaden z was nie wiedział, że ona, ta kobieta, tam jest, aż naraz wzdrygnęliście się wszyscy, zakręciliście się w miejscu, bo oto ona na was patrzyła z krzesła opartego o ścianę – mała, wysuszona babina, niewiele większa od małpy, mogąca równie dobrze być w każdym wieku, mieć nawet dziesięć tysięcy lat; w wypłowiałej obszernej spódnicy i w nieskazitelnie czystej chusteczce na głowie siedziała, bosymi kawowymi stopami oplatając poprzeczkę krzesła zupełnie tak, jak to robią małpy, paliła glinianą fajkę i patrzyła na was oczami jak dwa guziki od pantofli, zagrzebanymi w niezliczonych drobnusieńkich zmarszczkach jej kawowej twarzy – po prostu na was patrzyła i nawet nie wyjmując fajki z ust po prostu zapytała głosem nieomal kobiety białej: „Czego tu chcecie?”

Po chwili któryś z was odpowiedział:

„A nic.”

I już biegliście wszyscy, nawet nie wiedząc, kto zaczął biec pierwszy ani dlaczego biegniecie, bo przecież wcale nie byliście przestraszeni; biegliście z powrotem przez te ugory, poźłobione deszczem, zduszone głógami dawne pola, aż dotarliście wreszcie do starego gnijącego płotu i wszyscyście przeleźli, a raczej przeturlali się przez ten płot, a potem już ziemia i krajobraz: niebo i drzewa, i lasy znów wyglądały inaczej, znów wyglądały tak, jak wyglądać powinny.

– ... zgadza się? – zapytał Shreve.

– Owszem – powiedział Quentin.

– Więc o tym chłopaku mówił Luster wtedy przy grobach – powiedział Shreve. – A twój ojciec wtedy znów popatrzył na ciebie, bo ty przecież nigdy nie słyszałeś tego imienia i nazwiska, nawet ci na myśl nie przyszło, że ten chłopak przecież musi jakoś się nazywać, kiedy go zobaczyłeś tamtego dnia dawno na tym zagonie warzywnym. Więc zapytałeś: „Kto? Jim jaki?”

A Luster powiedział: „To on. Ten kolorowy, co to mieszka z tą staruchą.”

A twój ojciec wciąż jeszcze patrzył na ciebie, a tyś powiedział: „Powiedz po literze, jak on się nazywa.”

A Luster odpowiedział: „To takie adwokatowe słowo. «Bond – to ta kaucja, co to ją zakładają za człowieka, jak go prawo łapie. Po literze umiem mówić tylko słowa z książki.”

Tak właśnie się nazywał ten chłopak; to nazwisko brzmi teraz „Bond”, a jemu i tak jest wszystko jedno, bo to, czym jest, odziedziczył po swojej matce, a tylko to, czym być nie może, po swoim ojcu. Gdyby go zapytano, czy jest wnukiem Charlesa Bona, on nie tylko by tego nie wiedział, ale nawet by się nie przejął, że tego nie wie; a gdyby mu powiedziano, że jest wnukiem Charlesa Bona, to tylko przelotnie to twierdzenie by musnęło to coś, co ty (nie on) nazwałbyś jego umysłem, i zniknęło, jeszcze zanim ten umysł byłby zdolny do jakiegokolwiek reakcji, odczucia grozy czy przyjemności, czy złości, czy rozpaczy. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin.

– I on przez dwadzieścia sześć lat mieszkał w tej chacie na tyłach domu nawiedzanego przez duchy... on z tą starą, która musiała już przekroczyć siedemdziesiątkę, a pomimo to nie miała ani jednego siwego włosa pod tą chustką, ani nie była zwiędła, zupełnie tak, jakby starzała się normalnie tylko do pewnego momentu, a potem zamiast siwieć i wiotczeć zaczęła się tylko kurczyć: skóra na twarzy i rękach zamieniała jej się w drobnusieńką siatkę milionowych zmarszczek, a ciało malało i malało jak mięso w piecu albo jak te głowy wrogów preparowane przez dzikusów na Borneo. Tak wyglądała, że właściwie mogłaby sama straszyć w razie potrzeby, gdyby ktoś nie miał nic lepszego do roboty niż skradać się tam wokoło domu, czego zresztą nikt nie robił; gdyby w tym domu było coś cennego, co warto by uchronić przed kradzieżą, czego przecież nie było; albo gdyby ktoś plądrował i uznał, że to dobra dla niego kryjówka, dobre schronienie, co zresztą też nie wchodziło w rachubę. A jednak ta starka, ta ciotka Rosa, powiedziała ci, że ktoś tam się ukrywa, a ty wtedy powiedziałeś, że to tylko Clytie albo Jim Bond, na co ona powiedziała: „Nie”, a ty, że tak, że na pewno, bo przecież demon już nie żyje i Judith nie żyje, i Bon nie żyje, a Henry przepadł i nawet grób po nim nie został; ale ona jeszcze raz powiedziała: „Nie”, więc pojechaliście tam oboje, bryczką przebyliście te dwanaście mil nocą i zastaliście w tym domu Clytie i Jima Bonda, a tyś wtedy powiedział: „A widzi pani”, a ona (ta ciotka Rosa) wciąż mówiła: „Nie”, więc poszliście dalej, a tam...

– Owszem.

– Zaraz – powiedział Shreve. – Na miłość boską, zaczekaj.

VII

Teraz nie było śniegu na ręce Shreve'a, nie było żadnego rękawa. W krąg lampy powróciła goła ręka, gładka jak ręka amora, sięgając po stojącą na stole puszkę, w której kiedyś była kawa, a teraz Shreve przechowywał swoje fajki. Shreve wyjął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił.

„Więc na dworze jest zero stopni” – pomyślał Quentin; wkrótce miał otworzyć okno i z zaciśniętymi pięściami, obnażony do pasa stanąć w tej ciepłej różanej okiennej wnęce, żeby kilka razy odetchnąć głęboko ostrym, mroźnym powietrzem uniwersyteckiego dziedzińca. Ale jeszcze tego nie zrobił, a już ta chwila, gdy o tym pomyślał, stała się przeszłością sprzed godziny, już ta fajka leżała wywrócona na stole, wypalona i zimna w lekkiej smużce popiołu przed skrzyżowanymi, przysnutymi jasnym puszkami, różowymi rękami Shreve'a, a Shreve przez dwa odbijające światło lampy księżycy okularów patrzył na niego.

– Więc on po prostu chciał mieć wnuka – powiedział Shreve. – Tylko o to mu chodziło. Jezu, paradne jest to Południe, no nie? Lepsze niż teatr. Lepsze niż Ben Hur? Nic dziwnego, że od czasu do czasu musicie stamtąd wyjeżdżać, żeby się przewietrzyć, no nie?

Quentin nie odpowiedział. Siedział przy stole nieruchomo, trzymając ręce z obu stron otwartego podręcznika, tego listu na podręczniku; prostokątny papier, złożony przedtem na pół, rozchylił się w trzech czwartych i unosił tą większą, odkrytą częścią w jakimś paradoksalnym uskrzydlenie zresztą pod takim kątem, że nawet bez tego Quentin z pewnością nie mógł go odcyfrowywać, czytać. A przecież chyba, a dla Shreve'a może na pewno, patrzył właśnie na to pismo zadumany, nieomal posepny, z głową pochyloną.

– On opowiadał o tym dziadkowi – powiedział – wtedy gdy ten architekt uciekł, a raczej próbował uciec w dolinę rzeki, a stamtąd do Nowego Orleanu czy też gdzie to tam było; wtedy właśnie on...

– Ten demon, hę? – zapytał Shreve.

Quentin, nie odpowiadając mu na to, mówił dalej głosem równym, trochę rozmarzonym, a przecież dziwnie podcieniowanym ową posepną zadumą, w której tliło się jakieś poczucie bolesnej zniewagi; mówił głosem takim, że Shreve, który siedział naprzeciw, bez niczego na sobie oprócz okularów (od pasa w dół zasłonięty był stołem; więc każdy wchodząc w tej chwili do pokoju mógłby pomyśleć, że on jest zupełnie nagi), nieruchomy, zdawałoby się barokowy posąg ulepiony z kolorowego ciasta, zagniecionego przez kogoś o z lekka koszarnej skłonności do perwersji, utkwiał teraz wzrok w niego,

pełny skupienia, uwagi, napiętej ciekawości.) – ... zawiadomił dziadka – mówił Quentin – i jeszcze paru innych, po czym urządził polowanie z psami i ze swoimi dzikimi Negrami i upolował tego architekta, już na drugi dzień go znalazł zapędzonego do jaskini nad rzeką. To było latem w drugim roku, kiedy oni tam skończyli wypalać cegły, położyli fundamenty pod dom, ścięli drzewa i zheblowali większość dużych belek. Pewnego dnia architekt nie mógł już znieść tego wszystkiego czy może bał się, że umrze z głodu albo, że te dzikie czarnuchy (i kto wie, może sam pan pułkownik Sutpen także), kiedy im zabraknie żarcia, zabiorą się do zjedzenia jego, albo zaczął tęsknić do kraju, albo po prostu musiał stamtąd odejść...(- Może miał dziewczynkę – powiedział Shreve – może po prostu zachciało mu się dziewczynki. Mówiłeś, że na nich wszystkich, na demona i tych Negrów, były tylko dwie.

Quentin i na to również nie odpowiedział: chyba znów nie dosłyszał, mówiąc dalej tym przytłumionym, dziwnie spokojnym głosem tak, jak gdyby mówił nie do Shreve'a, ale do tej książki na stole, do listu, do własnych rąk leżących po obu stronach książki.)

– ... więc odszedł. Ulotnił się w biały dzień z samego środka gromady dwudziestu jeden ludzi. Może wtedy Sutpen właśnie stał tyłem, a ci czarni widząc, że architekt odchodzi, uznali, że nie ma potrzeby o tym mówić, bo to przecież były dzikusy, więc prawdopodobnie żaden z nich nie wiedział, po co Sutpen tak haruje z nimi nago w tym błocie przez całe dni. Więc przypuszczam, że oni się nie orientowali, w jakim celu tam jest ten architekt, co on ma robić czy już zrobił, czy mógłby zrobić, czy robi; może myśleli, że to sam Sutpen go odprawił, kazał mu odejść i utopić się albo odejść i umrzeć, albo tylko odejść. Więc on odszedł; w biały dzień stamtąd wyskoczył w swojej haftowanej kamizelce i w fontaziu a la Mały Lord, i w cylindrze jak wybrany do kongresu baptysta, chociaż ten cylinder niósł pewnie w rękę. Pobiegł w bagno, a czarnuchy patrzyły, dopóki nie zniknął im z oczu, a potem spokojnie zabrały się znów do pracy; toteż Sutpen nawet nie zauważył, że go nie ma, aż do wieczora, prawdopodobnie aż do kolacji. Dopiero wtedy któryś mu to powiedział, na co on ogłosił, że nazajutrz będzie święto, bo musiał wyjechać, żeby pożyczyć kilka psów. To nie znaczy, żeby psów potrzebował, skoro miał tych Negrów umiejących tropić, ale pewnie sobie pomyślał, że tamci, że ci goście, którzy mu będą pomagać w łapaniu tego architekta, nie są przyzwyczajeni do polowania z czarnuchami, więc raczej będą liczyli na psy. A dziadek (on też był wtedy młody) przywiózł ze sobą szampana, a paru innych gości przywiozło whisky i zaczęło się to zaraz po zachodzie słońca w domu Sutpena, a właściwie nie w domu, bo tam jeszcze nie było nawet ścian, tylko w tych fundamentach. Ale to nic nie szkodziło, powiedział dziadek, bo oni w żadnym razie i tak nie mieli zamiaru położyć się spać. Po prostu tam siedzieli przy ognisku, pili whisky, szampana i jedli udziec jelenia ostatnio ubitego przez Sutpena,

a potem przed północą przybył ten człowiek z psami. A potem był świt i psy na początku miały trochę kłopotu, bo kilku Negrów wybiegło już po tropie prawie milę naprzód, ot tak, dla zabawy. Ale ostatecznie psy znalazły trop i razem z Negrami były już w dolinie rzeki, i większość gości jechała za nimi konno wzdłuż krawędzi wąwozu, gdzie była jaka taka droga. Tylko dziadek i pułkownik Sutpen poszli z psami i z Negrami, bo Sutpen się bał, żeby architekt nie dostał się Negrom w ręce, kiedy go przy tym nie będzie. Obaj z dziadkiem musieli iść piechotą spory kawał drogi, bo konno nie dało się tamtędy przejechać, więc tylko jeden z Negrów prowadził ich konie. Dziadek opowiadał, że była wtedy piękna pogoda i ten trop był dość wyraźny, ale Sutpen powiedział, że byłoby o wiele lepiej, gdyby architekt poczekał z ucieczką do października albo listopada. I tak to się zaczęło, że opowiedział dziadkowi coś niecoś o sobie. Cały kłopot Sutpena to była jego niewinność. Zupełnie zniemacka Sutpen odkrył nie to, co chciał zrobić, ale po prostu to, co chciał czy nie chciał, zrobić musiał. Bo sobie uświadomił, że gdyby tego nie zrobił, nie mógłby już nigdy, aż do śmierci, żyć w zgodzie z własnym ja, z tym, co pozostawili mu w duchowej spuściźnie ci wszyscy już dawno zmarli mężczyźni i kobiety do przekazania z kolei jego potomstwu; nie mógłby żyć w zgodzie z własnym ja wobec tych wszystkich zmarłych, którzy czekają i patrzą, czy on to załatwi należycie. Czy tak to ugruntuje, że będzie mógł spojrzeć w oczy nie im, ale i wszystkim żyjącym, którzy przyjdą po nim, kiedy on sam będzie już jednym ze zmarłych. I ledwie odkrył, co musi zrobić, stwierdził, że do zrobienia tego nie ma żadnych danych. Bo on do tej chwili nie tylko nie wiedział, że będzie musiał to zrobić, ale nawet nie wiedział, że to istnieje, że można tego chcieć, czuć potrzebę osiągnięcia tego. Prawie czternaście lat żył nie wiedząc w ogóle nic, bo urodził się w zachodniej Wirginii, w górach... (– Nie w zachodniej Wirginii – powiedział Shreve.

– Co? – zapytał Quentin.

– Nie w zachodniej Wirginii – powiedział Shreve. – Bo jeżeli on miał dwadzieścia pięć lat w Missisipi w roku tysiąc osiemset trzydziestym trzecim, to urodził się w roku tysiąc osiemset ósmym. A wtedy, w roku tysiąc osiemset ósmym, jeszcze nie było zachodniej Wirginii, bo...

– Dobrze – powiedział Quentin.

– ...zachodnia Wirginia nie została przyjęta...

– Dobrze już, dobrze – powiedział Quentin.

– ... do Stanów Zjednoczonych, dopóki...

– Dobrze, już dobrze, dobrze – powiedział Quentin.

– ...urodził się tam, gdzie ci nieliczni znani mu ludzie mieszkali w chatkach tak samo zbudowanych z bali i tak samo rojących się od dzieci jak jego chata rodzinna; mężczyźni i starsi chłopcy albo polowali, albo leżeli przed paleniskiem na podłodze, gdzie kobiety

i starsze dziewczęta co chwila musiały przez nich przestępować, gotując i chcąc się dostać do garnków na ogniu. Jedynymi kolorowymi byli tam Indianie, na których patrzyło się z góry tylko przez szczerbinę strzelby, kiedy brało ich się na cel. Więc on tam nigdy nawet nie słyszał, nawet sobie nie wyobrażał, że gdzieś na świecie ziemia jest porządnie podzielona między ludzi i rzeczywiście stanowi własność tych, którzy nie mają nic do roboty i tylko jeżdżą po niej na wspaniałych koniach albo wspaniale ubrani siedzą na werandach wielkich domów, kiedy w pocie czoła pracują za nich inni ludzie; nawet sobie nie wyobrażał, że gdzieś na świecie jest takie życie albo pragnienie takiego życia; że gdzieś na świecie istnieją te wszystkie rzeczy i że można ich chcieć, i że ich właściciele nie tylko mogą patrzeć z góry na tych, którzy ich nie mają, ale w dodatku są w swojej pysze utwierdzani zarówno przez innych właścicieli takich rzeczy, jak i przez tych także, na których patrzą z góry, którzy takich rzeczy nie mają i wiedzą, że nigdy mieć ich nie będą. Bo tam, gdzie on się urodził i mieszkał, ziemia należała do każdego i do wszystkich, więc każdy, kto zadałby sobie trud postawienia płotu, żeby o tym ogrodzonym kawałku ziemi powiedzieć: „To moje”, byłby pomyłony, a co do rzeczy, nikt ich tam nie miał więcej niż inni, bo każdy miał akurat tylko to, co mógł zdobyć i utrzymać swoją siłą czy energią; więc tylko pomylenie zadałby sobie trud zagarnięcia czy choćby tylko pożądania czegoś więcej niż to, co mógł zjeść bądź wymienić na proch czy whisky. Więc on, Sutpen, nawet nie wiedział, że gdzieś istnieje kraj podzielony porządnie i na stałe i że ludzie w tym kraju również są podzieleni porządnie i na stałe na kategorie w zależności od koloru skóry, jaki przypadkiem mają, oraz od ilości dóbr, jakie przypadkiem są ich własnością, przy czym pewni nieliczni nie tylko sprawują władzę życia i śmierci nad innymi, nie tylko mogą wymieniać ich i sprzedawać, ale w dodatku na każde swoje skinienie mają żywe istoty ludzkie do nie kończących się posług osobistych, nawet do nalewania whisky z gąsiora, podawania szklanki i ściągania butów z cholewami, kiedy kładą się spać – mają żywe istoty ludzkie do wykonywania wszystkich tych czynności, jakie tutaj, gdzie on się urodził, ludzie od początku świata muszą i do końca świata będą musieli wykonywać przy sobie sami, chociaż ani nie lubią, ani nigdy nie będą lubili tego robić; a nikomu jednak z tych wszystkich znanych mu ludzi nawet przez myśl nie przeszło jakoś się od tego uchylić, tak samo jak jemu nigdy przez myśl nie przeszło uchylić się od żucia i przełykania pokarmu i od oddychania. W dzieciństwie nawet nie słuchał mętnych, chmurnych opowiadań o wspaniałościach wybrzeża, opowiadań przenikających nawet w te góry, w których żył – nie słuchał ich, bo nie rozumiał. A kiedy już wyrósł na chłopca, też ich nie słuchał, bo nie miał wokół siebie żadnego miernika, niczego, z czym mógłby przeprowadzić jakieś porównanie i tym samym uzmysłwić sobie ich sens – a zresztą i tak wcale się nad nimi nie zastanawiał, bo zbyt był zajęty różnymi rzeczami, jakimi

zajmują się tacy chłopcy. Ale już po paru latach sama ciekawość ekshumowała te opowieści i on, nawet nie pamiętając, że już je kiedyś słyszał, zaczął się nimi interesować coraz bardziej, aż wreszcie zapragnął zobaczyć kiedyś te miejsca na własne oczy, bez żadnej jednak zawiści czy żalu, bo po prostu uważał, że tak już ma być: niektórzy ludzie jak skrzek wylęgają się tutaj, niektórzy ludzie wylęgają się gdzie indziej; niektórzy są skrzkiem bogatym (może powiedział: szczęśliwym), a niektórzy biednym, więc (tak opowiadał dziadkowi) właściwie nie ma z tym żadnego kłopotu, bo ludzie sami nie muszą sobie zawracać głowy wyborem i nic im nie pomoże ubolewanie, że jest z nimi właśnie tak, a nie inaczej; bo jemu wtedy jeszcze ani razu nie przyszło na myśl, że ktokolwiek mógłby taki ślepy traf jak to, że jest się tym, czym się jest, uznać za konkretny, uzasadniony powód do wywyższania się nad innych. Więc właściwie on prawie nic nie wiedział o takim świecie, dopóki sam w to wszystko nie wpadł.

Tak to właśnie było. Oni wpadli w ten świat... cała ta rodzina wracając na wybrzeże, skąd przybył w góry pierwszy Sutpen (prawdopodobnie wówczas, gdy statek z deportowanymi z więzienia Old Bailey w Londynie zawinął do Jamestown). Na łeb, na szyję zwalili się znów na wybrzeże samą siłą bezwładu kuli staczającej się po równi pochyłej, jak gdyby ta nitka, która choćby nie wiem jak cienka, przecież wiązała ich z górami, ni stąd, ni zowąd trzasnęła. On coś dziadkowi opowiadał, jak w tym mniej więcej czasie umarła jego matka i jak jego tata wtedy mówił, że to dobra, chociaż męcząca kobieta i że chyba będzie mu jej brak; i jeszcze coś takiego, że to właśnie ta żona zapędziła jego ojca aż tak daleko na Dzikie Zachód. Więc teraz cała gromada, od ojca poprzez dorosłe córki, aż do tego małego, co jeszcze nie raczkowało, zjechała z gór jak na łyżwach w jakimś niechlujnie zwartym ordynku, z chwili na chwilę pędząc coraz szybciej – spłynęła jak kłęb bezużytecznych szczątków na wezbranej rzece, sunących pod prąd powodzi z ową samoistną przewrotnością, jaką czasem przejawiają przedmioty martwe; spłynęła poprzez płaskowyż Wirginii na równiny koło ujścia James River. On nie pamiętał, dlaczego się przenieśli, może nawet wtedy nie wiedział, czy to był u ojca zryw optymizmu, nadziei, tęsknoty, nie wiedział... bo nie wiedział, czy ojciec pochodzi właśnie stamtąd, dokąd jechali, ani nawet czy ojciec jeszcze zna, pamięta, chce sobie przypomnieć i odnaleźć te jakieś tam rodzinne strony. Być może ktoś, jakiś podróżny, opowiadał ojcu, że gdzieś jest dobrze, chleba pod dostatkiem, że można tam uciec przed mrozem, głodem i chłodem życia w górach; albo może jakiś dawny znajomy czy krewny, który przedtem usiłował niezupełnie skutecznie o ojcu zapomnieć, teraz raptem go sobie przypomniał i wezwał, a ojciec tego wezwania usłuchał, bo mu się uśmiechała nie tyle obiecana praca, ile wygoda, bo liczył na to, że uda mu się zwalić na głowę temu krewnemu, jeśli to był krewny, albo też bo wierzył w siłę swego bezwładu i w tych jakichś

czuwających nad nim bogów, jeżeli żadnego pokrewieństwa tam nie było. On tylko pamiętał... (– Ten demon – powiedział Shreve.)

– ...jak kiedyś ojciec zerwał się o świcie i natychmiast kazał starszym córkom zapakować żywność i jak któraś z nich owinęła niemowlę, inna zalała ogień wodą i wszyscy razem zeszli z tej góry tam, gdzie już biegły jakieś trakty. Mieli teraz mały, krzywy dwukołowy wózek i dwa ochwaczone woły. Powiedział dziadkowi, że dokładnie nie pamięta, gdzie, kiedy i jak ojciec zdobył ten wózek. On miał wtedy lat dziesięć, dwaj starsi bracia opuścili już dom i nikt nie wiedział, co się z nimi dzieje. Więc sam musiał powozić i popędzać woły, bo ledwo dostali ten wózek, ojciec zaczął odbywać podróż przeważnie w pozycji leżącej, chrapiąc w oparach alkoholu wśród kołder, latarni, kubelków, tobołków z odzieżą i dzieci. Tak właśnie on to opowiadał. Nie pamiętał, czy podróżowali w ten sposób przez tygodnie czy miesiące, czy rok. Pamiętał tylko, że jedna ze starszych sióstr, która opuściła górską chatę jako panna i nadal była panną, kiedy ostatecznie gdzieś dojechali, została po drodze matką, i to jeszcze zanim stracili z oczu ostatnie sine pasmo gór. Nie pamiętał, czy to najpierw zima, a potem wiosna, a potem lato doganiały ich i przeganiały na tym szlaku, czy może to oni sami, zjeżdżając z gór, doganiali i przeganiaли kolejno te pory roku, czy też może sam tylko zjazd powodował zmiany, a oni nawet nie posuwali się równolegle z mijaniem czasu, tylko zjeżdżali pionowo poprzez klimat i warunki atmosferyczne; był to okr... (choć trudno właściwie nazwać czas tej podróży okresem, bo tak jak on sobie ją zapamiętał, czy też mówił dziadkowi, że zapamiętał, to wszystko nie miało ani określonego początku, ani określonego końca; chyba więc lepiej nazwać tę podróż odprężeniem)... było to odprężanie się z jakiegoś bezwładu, z cierpliwego bezruchu owych długich godzin, kiedy czekali w wózku przed drzwiami rozmaitych karczem i traktierni, aż ojciec zapije się na umór; to było odprężanie się w majakach tej jazdy bez celu, kiedy wreszcie wyciągali tego swojego starego z szopy czy przybudówki, czy stodoły, czy rowu, czy co to tam w końcu było, i znów ładowali go na wózek. Zdawało się, że jadąc wcale nie posuwają się naprzód, tylko wiszą, trwają w zawieszeniu ponad ziemią, która sama z siebie zmienia się i spłaszcza, i rozszerza coraz dalej od tej jaskini górskiej, gdzie oni wszyscy się urodzili, i unosi się, spiętrza wokół nich jak przyływ morza rozfalowany obcymi, szorstkimi, nie ogolonymi twarzami przy karczmach, kiedy ich stary wchodził tam jeszcze na własnych nogach albo kiedy go stamtąd wyrzucano, wynoszono za próg (raz nawet wyrzucił go z karczmy Negr, pierwszy czarny niewolnik, jakiego oni w życiu zobaczyli – wielkie byczysko wynurzające się z ich starym przewieszonym jak worek mąki przez potężne czarne ramie i z gębą rozdziawioną w głośnym śmiechu, pełną zębów wielkich jak nagrobki). Twarze wypływały i znikły, i znów wypływały już inne; ta ziemia, ten świat

wznosił się wokół nich, przesuwał zupełnie tak, jakby sam ich wózek toczył się wciąż na jednym i tym samym odcinku. I minęła wiosna, a potem lato, a oni wciąż byli w drodze ku miejscu, którego nigdy nie widzieli, o którym nie mieli pojęcia, w którym nawet nie chcieli się znaleźć, coraz bardziej oddalając się od tamtego miejsca, małego zagubionego punkcika na górskim zboczu, gdzie trafić z powrotem nie umiałoby już żadne z nich – poza, być może, ojcem pijanym zwykle do nieprzytomności, a raz nawet od etapu do etapu tej podróży wrzeszczącym o rojach białych myszek. W ich trzeźwe, wsiowe zdziwienie wsuwały się przelotnie coraz to nowe twarze; ludzie, gromady ludzi, karczmy i traktiennie stawały się całymi wioskami, wioski stawały się wsiami, wsie miasteczkami; rozciągały się równiny, ubite, porządne trakty i pola uprawiane przez czarnuchów pod nadzorem białych na pysznych koniach. Coraz więcej było pysznych koni i ludzi w pysznych ubraniach – ludzi z zupełnie innymi minami niż miny tamtych w górach; inne gromady zbierały się już wokół traktienni, do których ich staremu nawet nie wolno było wejść od frontu: tutaj jego górski sposób picia powodował, że wyrzucano go, zanim zdążył się upić na dobre (tak że oni teraz zaczęli szybko posuwać się naprzód), a przy tym wyrzucaniu już nikt nie śmiał się ani nie drwił, czego staremu, zdaje się, trochę brakowało, chociaż w tym dawnym śmiechu i drwinach wiele było chamstwa, a niewiele życzliwości.

W ten sposób Sutpen to odczuwał. Nie tylko się nauczył, że istnieje różnica pomiędzy białymi a czarnymi, ale zaczynał już się dowiadywać, że istnieje również różnica pomiędzy białymi a białymi, niewymierna żadną próbą sił przy podnoszeniu kowadeł bądź wybijaniu sobie nawzajem oczu, bądź wyliczaniu szklanek whisky, którą się potrafi wypić, mogąc potem wstać i wyjść z izby. Zaczynał to odkrywać, chociaż jeszcze sobie tego nie uświadamiał. Nadal myślał, że to tylko sprawa skrzeku, z jakiego dany człowiek powstał: czy się ma szczęście, czy się go nie ma: i myślał, że jakkolwiek opieszale i opornie ci pechowcy oddają cześć szczęściarzom z racji ich szczęścia, to jednak ci szczęściarze jeszcze opieszalej i jeszcze oporniej niż pechowcy wykorzystują swoje możliwości czy bodaj sobie uprzytamniają, że to są dla nich możliwości czegoś więcej niż tylko samo szczęście; i myślał, że szczęściarze, jeśli już w ogóle coś odczuwają w stosunku do pechowców, to chyba tylko tkliwość, i to o wiele większą niż ta, jaką kiedykolwiek ci pechowcy mieliby potrzebę odczuwać w stosunku do nich, do tych szczęściarzy. Miał później o tej tkliwości przekonać się sam. Dobrze to zapamiętał, bo to się stało w tej samej sekundzie, w której odkrył swoją niewinność.

Opowiadając o tym dziadkowi nie rozwodził się długo nad ową sekundą, nad ową chwilą, raczej mówił, jak do niej doszło. Przyszedł czas, kiedy oni wszyscy musieli sobie uświadomić, wreszcie uwierzyć, że już nie są w drodze, że już się nie posuwają, nie dążą

do jakiegoś niewiadomego punktu.

Dojechali tam, gdzie mieli dojechać, chociaż on nie orientował się gdzie są. Instynkt człowieka lasu, nabyty już przedtem od otoczenia, w jakim wzrastał, albo może odziedziczony po tych dwóch braciach, którzy zniknęli, a z których jeden kiedyś zapuścił się daleko na Zachód, aż nad rzekę Missisipi – ten instynkt, jaki on miał po nich, tak samo jak zniszczoną odzież z kozłej skóry i inne takie łachy pozostawione przez tych braci, kiedy wyruszyli w świat, ostatecznie później jeszcze wyostrzony w czasie chłopięcych polowań na drobną zwierzynę, pozwalał mu w pierwszych dniach czy tygodniach, czy miesiącach tej podróży orientować się w kierunku tak dalece, że w razie czego potrafiłby (tak powiedział) odnaleźć drogę powrotną do górskiej chaty. Ale to już wkrótce się stało przeszłością leżącą nieodwołalnie poza nim wraz z ową chwilą, kiedy po raz ostatni umiał powiedzieć, gdzie się urodził. Teraz od tygodni i miesięcy może od roku pokręciło mu się, ile ma lat, i już nigdy nie doszedł z tym do ładu: więc ostatecznie, jak powiedział dziadkowi, znał swój wiek tylko w przybliżeniu, równie dobrze mogąc być o rok starszy, jak i rok młodszy, niż sam sobie liczył. Więc już nie wiedział, ani skąd przybył, ani dokąd przybył, ani dlaczego. Po prostu znajdował się w tym nowym miejscu wśród dawnych twarzy, prawie wszystkich twarzy swojej rodziny, jakie miał przy sobie i przedtem, (choć było ich coraz mniej pomimo wysiłków owej niezamężnej siostry, która zupełnie rychło – tak opowiadał dziadkowi – aczkolwiek nadal niezamężna, powiła już drugie dziecko; było ich coraz mniej z powodu klimatu, tego ciepła i wilgoci). Mieszkał w chacie, niemal takiej samej jak tamta chata w górach, tyle że nie wystawionej na porywiste wichry, stojącej nad wielką, szeroko rozlaną rzeką nieraz w ogóle bez prądu, nieraz z jakimś prądem wstecznym. Jego bracia i siostry padali tam jak muchy, aż mu się wydawało, że zaczynają chorować po kolacji, a umierają jeszcze przed śniadaniem nazajutrz. I były tam całe pułki czarnuchów, którzy pod nadzorem białych uprawiali i zbierali plony, o jakich on nigdy przedtem nie słyszał.

Jego stary poza upijaniem się coś przecież teraz robił, przynajmniej wychodził z chaty po śniadaniu i wracał trzeźwy na kolację, tak czy owak ich wszystkich utrzymując. A właścicielem tej całej ziemi, tych czarnuchów, i najwidoczniej tych białych nad czarnuchami też, był człowiek, który mieszkał w największym domu, jaki on dotychczas widział – człowiek ten spędzał prawie całe popołudnia (on opowiadał dziadkowi, jak zakradał się w gąszcza ogrodowych krzewów i z ukrycia to obserwował) w hamaku rozwieszonym pomiędzy dwoma drzewami, przy czym dla wygody nie miał nawet butów na nogach, a Negr nawet w dni powszednie, w lepszym przyodziewku niż on, jego stary i jego siostry kiedykolwiek mieli albo spodziewali się mieć, nie robił nic poza tym, że wachlował swego pana i podawał mu trunki. On, Sutpen (miał wtedy jedenaście czy

dwanaście, czy trzynaście lat, nie wiadomo, bo to właśnie tam, w tych krzewach sobie uświadomił, że nieodwołalnie stracił rachubę swego wieku), leżał tam przez całe popołudnia, kiedy o dwie mile dalej jego siostry, co chwila podchodząc do drzwi chaty, bezskutecznie na niego wrzeszczały, żeby im przyniósł drzewa albo wody – leżał tam i patrzył na tego człowieka, który nie tylko posiadał buty, i to do noszenia nawet latem, ale posiadając je nie musiał ich mieć na nogach.

A jednak wciąż jeszcze nie zazdrościł temu człowiekowi. Pragnął butów i chciałby zapewne, żeby i jego ojciec również miał na swoje skinienie takiego wystrojonego w surdut sukieny małpiszona i żeby ten małpiszon podawał ojcu gąsior, dźwigał do chaty drzewo na opał i wodę dla siostr do prania, bo wtedy on sam nie musiałby tego robić. Może nawet sobie uświadamiał, rozumiał, jaką przyjemność by sprawiał jego siostronom fakt, że są obsługiwane i że to widzą sąsiedzi (ci inni biali, tacy jak oni, zamieszkali również w chatach, które były niezupełnie tak porządnie zbudowane, a już na pewno wcale nie tak dobrze utrzymane jak chaty czarnych niewolników, a przecież otaczała je jaskrawa aura wolności, jakiej chaty czarnych nie miały pomimo najlepszego stanu dachów i ścian bielonych wapnem) Nie zazdrościł temu człowiekowi w hamaku, bo nie tylko miał jeszcze w sercu niewinność, ale nawet nie odkrył, że ją ma. Nie zazdrościł mu bardziej, aniżeli by zazdrościł jakiemuś góralowi przypadkiem posiadającemu świetną strzelbę. Pożądałby tej strzelby, ale tym samym by podtrzymywał i utwierdzał dumę zadowolonego jej właściciela i nawet by mu przez myśl nie przeszło, że ten góral mógłby szczęśliwy traf posiadania strzelby wykorzystać po chamsku, mówiąc: „Bo ja posiadam tę strzelbę, więc dlatego moje ręce i nogi, i krew, i kości są o wiele lepsze niż wasze.”

Tak można by ostatecznie powiedzieć chyba tylko po odniesieniu zwycięstwa w walce na strzelby. A jak, na Boga, mógłby jakikolwiek człowiek walczyć z innymi ludźmi nie na strzelby czy noże, ale na wystrojonych Negrów i na to, że może bez butów wylegiwać się w hamaku przez całe popołudnie? I o co, na Boga, miałby walczyć?

On, Sutpen, nawet nie wiedział, że jest niewinny, tamtego dnia, kiedy ojciec go wysłał do wielkiego domu z jakimś poleceniem. Nie pamiętał (albo nie powiedział dziadkowi), co to było za polecenie. Najwidoczniej wciąż jeszcze nie wiedział dokładnie, czym na tej plantacji zajmuje się (czy też powinien się zajmować) jego stary. Był chłopcem trzynasto – czy czternastoletnim – nie znał swego wieku – miał na sobie ubranie, które ojciec dostał z magazynu plantacji i już zniszczył i które jedna z siostr wyłatała i przykroila na niego; ale on tak samo nie uświadamiał sobie brzydoty nędznego ubrania czy możliwości, że ktoś zwróci na to ubranie uwagę, jak sobie nie uświadamiał własnej skóry. Poszedł drogą wiodącą do wielkiego domu i skręcił w bramę, i szedł dalej aleją wjazdową, mijając trawniki i klomby, gdzie jeszcze inne gromady czarnuchów przez

cały dzień nie miały nic do roboty poza sadzeniem kwiatów i stryżeniem trawy. I wreszcie dotarł do tego domu, do portyku, do drzwi frontowych i pomyślał, że teraz wreszcie zobaczy, jak tam jest w środku, że teraz wreszcie zobaczy resztę tego, co musi mieć taki człowiek, mający specjalnego Negra do podawania trunków i zdejmowania butów, w których nawet nie potrzebuje leżeć czy siedzieć, czy chodzić. I ani przez chwilę nie myślał, nie wątpił, że ten człowiek z przyjemnością pokaże mu dobytek, tak samo jak ów góral pokazałby mu z przyjemnością rożek na proch i formę do kul swojej strzelby. Bo on, Sutpen, wciąż jeszcze był niewinny; wiedział to, nie uświadamiając sobie, że to wie; opowiadał dziadkowi, jak wtedy było, kiedy do drzwi podszedł czarny małpison i zaczął mówić do niego. Zanim skończył, on, Sutpen, doznał wrażenia, że coś w nim się rozpada i że jakaś odłączona część jego istoty nagle odwraca się i pędzi wstecz przez te dwa lata ich pobytu na plantacji; zupełnie tak, jak czasami przechodzi się szybko przez pokój, a potem się wraca przez ten pokój widząc te same meble już z drugiej strony, i stwierdza się, że właściwie nigdy dobrze się ich nie widziało.

Więc pędziła ta jego część przez minione dwa lata, widząc dziesiątki rzeczy, które się zdarzały, a których on jakoś wcale przedtem nie widział: spokojny, bez słów wymowny sposób, w jaki patrzyły na czarnuchów jego starsze siostry i im podobne białe kobiety; nie było w tym strachu ani grozy, była tylko jakaś dogłębna wrogość, nie wiadomo czym spowodowana, nie wiadomo czym uzasadniona, po prostu dziedziczna – wrogość, której poczucie, wyziew przepływał pomiędzy tymi białymi kobietami w drzwiach nędznych chat a czarnuchami przechodzącymi drogą, która nie dawała się w pełni wytłumaczyć faktem, że ci czarni są lepiej ubrani, wrogość, którą czarni odpierali nie wrogością, nie zuchwalstwem czy wymysłami, ale tylko i właśnie tym, że najwidoczniej byli na to obojętni, zbyt obojętni. Wiedziałaś, że możesz czarnucha uderzyć, opowiadał dziadkowi, i że czarnuch tego uderzenia nie odda ani nawet nie będzie próbował uniknąć. Ale uderzyć go nie chciałaś, bo to nie chodziło o nich (o tych czarnuchów), to nie ich chciało się bić; wiedziałaś, że kiedy się go uderzy, to będzie po prostu coś takiego jak uderzenie w dziecinny balon, na którym namalowana jest jakaś twarz – lśniaca i gładka, i rozdęta, i gotowa parsknąć śmiechem – więc nie miałaś odwagi jej uderzyć, bo ona by po prostu pękła, i koniec; więc już lepiej było pozwolić tej twarzy, żeby poszła sobie i zniknęła ci z oczu zamiast stać tam w tym głośnym śmiechu. On, Sutpen, pamiętał wieczorne rozmowy przy ognisku, kiedy przychodzili do nich sąsiedzi albo oni sami szli po kolacji w odwiedzinach do innej chaty – pamiętał te głosy kobiet, nawet dosyć rzeczowe, dosyć spokojne a przecież nacechowane czymś ciemnym, czymś posepnym i tylko czasem któryś z mężczyzn, zazwyczaj jego stary, po pijanemu zaczynał grubiańsko chełpić się swoją siłą, szacunkiem, jaki ta krzepa budzi u towarzyszy, przy

czym ten chłopak trzynasto – czy czternasto-, a może dwunastoletni wiedział, że ci mężczyźni i te kobiety mówią

o jednym i tym samym, chociaż ani razu nie nazywają tego po imieniu, podobnie jak ludzie, którzy mówiąc o wyrzeczeniach i brakach nie wspominają o samym obłączeniu powodującym tę niedolę albo mówiąc o chorobie nie wymieniają nazwy epidemii. Pamiętał również pewne popołudnie, kiedy idąc z siostrą środkiem traktu nagle usłyszał nadjeżdżający powóz; więc zeszedł na bok, a potem zobaczył, że siostra wcale nie ma zamiaru pójść za jego przykładem, że ona dalej kroczy przed siebie z głową podniesioną, z jakąś posepną, nieubłaganą zawziętością, więc krzyknął na nią; a potem był już tylko tuman kurzu – konie stojące dęba, połyskujące sprzączki uprzęży i szprychy kół. Zobaczył w powozie dwie parasolki i Negra stangreta w cylindrze, wrzeszczącego: „Hej tam, dziewczyna! Z drogi!”

A potem już było po wszystkim, wszystko minęło; nie było już ani tego powozu, ani tumanu kurzu, ani tych dwóch twarzy pod parasolkami, wyzierających w dół na jego siostrę; a potem już tylko rzucał grudy błota – na próżno – za tumanem kurzu rozwijającym się w dali.

Teraz już wiedział – w chwili, kiedy mówił do niego czarny małpiszon kamerdyner, tarasując sobą frontowe drzwi wielkiego domu – teraz już wiedział, że te grudy błota rzucał wtedy wcale nie na tamtego Negra stangreta, ale właśnie w sam tylko tuman kurzu wzbity przez pyszne jaśniepańskie koła, i że to tak samo było daremne. I przypomniał sobie pewną noc, kiedy ojciec późno chwiejnym krokiem wrócił do chaty; nieomal znów zaleciały go opary tej whisky, którą poczuł wówczas, chociaż jeszcze był rozespany; nieomal znów usłyszał to zaciekle podniecenie w głosie starego: „Spraliśmy dzisiaj jednego z czarnuchów Pettibone’a.”

On wtedy właśnie otrząsnął się ze snu, obudził się zupełnie i zapytał, którego to z tych czarnuchów Pettibone’a tak sprali, a stary mu powiedział, że nie wie którego, bo nigdy przedtem go nie widział; a on jeszcze zapytał, co takiego ten czarnuch zrobił, a stary powiedział: „Ogień piekielny na tego skurwysyna, tego czarnucha Pettibone’a.”

Bo najwidoczniej on bezwiednie zadał to pytanie właśnie w takim duchu, w jakim ojciec dał mu odpowiedź – bezwiednie, bo on wtedy jeszcze nie odkrył swojej niewinności: żaden czarnuch nie był dla niego prawdziwą, żywą istotą z krwi i kości, odczuwającą ból, wijącą się, krzyczącą z bólu. Nawet sobie wyobrażał, jak to było: te pochodnie w ciemnościach pośród drzew, te zaciekle, histeryczne twarze białych mężczyzn i jak balon twarz czarnucha. Może ręce miał ten czarnuch związane albo oni go za ręce trzymali, ale to i tak nie miało znaczenia, bo przecież nie rękami miała walczyć ta twarz jak balon, nie rękami miała się wywinąć na wolność – w żadnym razie; tylko się

unosila wśród tamtych, lekka i lśniąca, i rozdęta pod balonowo cieniutką powierzchnią. A potem ktoś wymierzył w ten balon jeden desperacki, rozpaczliwy cios, a potem wydawało się jemu, Sutpenowi, że widzi, jak oni wszyscy uciekają, rozbiegają się przed falami aksamitnego śmiechu, które rozlewały się wokół nich, doganiały ich i sunęły dalej, a potem znów powracały, żeby znów ich przytłoczyć tym śmiechem bezsensownym, przeraźliwym, donośnym.

A teraz oto stał przed tymi białymi drzwiami zatarasowanymi przez tego czarnego małpiszona i małpiszon patrzył z góry na jego połatane, nicowane dżinsy, bose nogi i głowę potarganą, bo nie sądzę, żeby on wtedy przeprowadzał jakiegokolwiek doświadczenia z grzebieniem, bo grzebień był na pewno jedną z rzeczy starannie przez siostry ukrywanych. Nigdy dotąd nie myślał o swoich włosach i ubraniu, tak samo jak nie myślał o ubraniu i włosach innych ludzi, dopóki nie zobaczył, jak patrzy na niego ten czarny małpiszon, przypadkiem, szczęśliwym trafem wychowany w jakimś kulturalnym domu, może w Richmond... (– Czy może nawet w Charleston – sapnął Shreve.)

– ...tak się tym teraz przejął, że nawet nie zapamiętał, jak mu to ten czarny powiedział, jakich słów użył, nie dopuszczając go wcale do głosu, do przekazania tej wiadomości, którą miał polecenie przekazać – jakimi słowami ten czarny mu zwrócił uwagę, żeby już nigdy nie podchodził do frontowych drzwi, że dla takich jak on jest wejście od tyłu.

On nawet nie pamiętał, jak stamtąd odszedł. Ni stąd, ni zowąd zorientował się, że biegnie już dosyć daleko od wielkiego domu, i to wcale nie w kierunku chaty. Nie płakał. Nawet nie był wściekły. Musiał tylko nad czymś się zastanowić, więc biegł tam, gdzie mógł się zastanowić w spokoju, tam gdzie było właśnie odpowiednie miejsce. Biegł do lasu. Mówił, że wcale sobie nie powiedział, dokąd pobiec; że to jego nogi same go zniosły w zarośla trzcinowe, gdzie ginął trop zwierzyny i gdzie leżał w poprzek zwalony dąb, tworząc pewnego rodzaju małą jaskinię, w której on przechowywał żelazny ruszt, żeby czasem upiec jakiegoś małego ubitego zwierzaka. Powiedział, że wczłgał się do tej swojej jaskini, usiadł oparty plecami o wyrwane korzenie dębu i zaczął myśleć. Bo jeszcze jakoś nie potrafił dojść z tym do ładu. Jeszcze sobie nawet nie uświadomił, że jego kłopotem, jego zahamowaniem jest niewinność, bo przecież uświadomić sobie tego nie mógł, dopóki nie doszedł z tym do ładu. Pośród tej odrobiny czegoś, co musiał nazywać swoim doświadczeniem, zaczął szukać miernika, ale nie znalazł nic. Kazano mu pójść naokoło do tylnych drzwi, jeszcze zanim zdążył powiedzieć, z jakim poleceniem przyszedł – kazano to właśnie jemu, pochodzącemu z ludzi, których domy mają na tyłach w najlepszym razie okna, a przecież oknem wchodzi i wychodzi tylko ten, kto się ukrywa albo ucieka, czego on, Sutpen, nie miał zamiaru robić. Co więcej, przyszedł do wielkiego

domu rzeczywiście w interesie, w przekonaniu o ważności tego interesu, w dobrej wierze, pewny, że zostanie przyjęty również z dobrą wiarą. Oczywiście nie spodziewał się zaproszenia na posiłek, skoro czas dzielący jedno zagotowanie czegoś w garnku od drugiego nie potrzebował dla niego mierzyć się na godziny czy dni; może nawet wcale nie oczekiwał, że go poproszą do pokoju, ale spodziewał się, był przekonany, że go wysłuchają, bo przecież przyszedł tam, przysłano go w pewnej sprawie, która, chociaż on jej nie zapamiętał i może nawet w tamtym czasie (jak opowiadał) jej nie rozumiał, miała coś wspólnego z plantacją, utrzymującą przecież ten nieskazitelnie biały dom, te nieskazitelnie białe, mosiądzem ozdobione drzwi i nawet to sukno, bieliznę i jedwabne pończochy na tym czarnym małpiszonie, co stojąc w tych frontowych drzwiach kazał mu pójść naokoło od tyłu, zanim on zdążył powiedzieć, jaki ma interes. To było tak, jak gdyby go przysłano z bryłą ołowiu albo nawet z paroma już odlanymi kulami po to, żeby ten człowiek, właściciel tej świetnej strzelby, miał czym strzelać, a ten człowiek podszedł do drzwi i kazał mu zostawić te kule gdzieś na pniu na skraju lasu, i nawet mu nie pozwolił podejść bliżej, żeby popatrzeć na tę strzelbę.

Bo on nie był zły. Podkreślał to, kiedy dziadkowi opowiadał o sobie. On wtedy tylko rozmyślał, bo wiedział, że coś trzeba na to poradzić; że musi coś na to poradzić, jeżeli chce żyć w zgodzie z samym sobą przez resztę życia; tylko nie potrafił zdecydować, co to takiego ma być – nie potrafił właśnie z powodu tej swojej niewinności, którą nagle odkrył (bo on odkrył wtedy nie człowieka, nie tradycję, ale niewinność), z którą miał teraz współzawodniczyć. Nie miał żadnego miernika, żadnego gotowego porównania z wyjątkiem tej analogii ze strzelbą, a i to nie bardzo się nadawało. Był zupełnie spokojny (opowiadał), kiedy tam siedział, obejmując kolana, w tej swojej małej jaskini, przy szlaku zwierzyny, gdzie już nieraz widywał jelenie przechodzące w odległości dziesięciu stóp, jeżeli wiatr wiał w takim kierunku, że one nie czuły obecności człowieka; siedział tam i dyskutował ze sobą cicho, spokojnie, wsłuchany w oba głosy swojej dyskusji, które się zgadzały, że dobrze by było, gdyby znalazł się jeszcze jakiś głos trzeci – ktoś bystry, starszy i mądrzejszy, kogo można by zapytać. Ale nie było nikogo, był tylko on sam: dwa głosy w tej jednej jego osobie, w nim – rozprawiające cicho i spokojnie: „Ale ja go mogę zastrzelić.” (Nie tego czarnego małpiszona. Bo zrobiło się wszystko jedno, czy to ten Negr, czy tamten, któremu jego stary wraz z innymi spuścił lanie wtedy wieczorem. Jeszcze jedna twarz jak balon, połyskliwa, rozdęta, wypełniona aksamitnym śmiechem, takim donośnym, takim strasliwym, że on by nie miał odwagi przekłuć tego balona – twarz patrząca na niego z na pół otwartych drzwi w tej krótkiej chwili, kiedy coś z niego uciekło, zanim sobie to uświadomił – balon z oczami nie do zamknięcia, patrzącymi na niego właśnie tak, jak by patrzył ten człowiek, który nawet nie musiał mieć butów na

nogach, chociaż buty posiadał. Śmiech balona barykadował, chronił tego człowieka przed dostępem takich jak Sutpen i teraz on (ten człowiek) z jakiegoś niewidocznego miejsca, gdzie przypadkiem przebywał, patrzył na tego chłopca u zatarasowanych drzwi, chłopca w połatanym ubraniu, ubłoconego, bosego. A on, chłopiec, sięgając wzrokiem poprzez i poza siebie, ujrzał teraz ich wszystkich: siebie, ojca i rodzeństwo, tak jak przez ten cały czas na pewno ich widział ten plantator bogacz (nie ten Negr), patrzący na nich jak na bydło, ciężkie stworzenia pozbawione łaski Bożej, wydalone na ten świat po bydłecemu, bez żadnego dla nich celu i nadziei, rozmnażające się z bydłą rozwiązlą płodnością, rojące się, dwojące i trojące, żeby zappełnić przestrzenie ziemi nędznymi plemionami, których przyszłość będzie też jednym długim pasmem skracania, łatania i przerabiania odzieży zakupionej na niekorzystny kredyt, bo ich skóra jest biała, w tychże samych magazynach plantacyjnych, gdzie czarnuchy dostają odzież za darmo, i których jedynym dziedzictwem jest widok tej twarzy jak balon, roześmianej od ucha do ucha – właśnie taka twarz wyjrzała spoza tych frontowych drzwi, wyjrzała, żeby ją zobaczył jeszcze jeden zapomniany, bezimienny potomek plemienia ciężkich, bydłych stworzeń, mały chłopiec, kiedy zapukał do tych drzwi i usłyszał od czarnucha, że musi pójść naokoło do drzwi kuchennych.) „Ale ja go muszę zastrzelić” – dyskutował sam ze sobą. A ten drugi głos powiedział: „Nie. To by się na nic nie zdało.”

A ten pierwszy zapytał: „Więc co zrobimy?”

A ten drugi na to odpowiedział: „Nie wiem.”

A ten pierwszy: „Ale ja go mogę zastrzelić. Wśliznąć się prosto tam przez krzewy i czekać, póki on nie wyjdzie i nie położy się w hamaku – wtedy mógłbym go zastrzelić.”

A ten drugi: „Nie. To by się na nic nie zdało.”

A ten pierwszy: „Więc co zrobimy?”

A ten drugi: „Ja nie wiem.”

Poczuł głód. Wybrał się do wielkiego domu jeszcze przed obiadem, a teraz słońca już nie było tam, gdzie przycupnął, chociaż wierzchołki drzew jeszcze lśniły w słonecznym blasku. Ale żołądek dawno mu powiedział, że jest późno i że zrobi się jeszcze później, zanim on dotrze do domu. Opowiadał dziadkowi, że zaczął sobie wtedy powtarzać: „do domu. Do domu” – i najpierw mu się wydawało, że próbuje się śmiać, więc zaczął sobie wmawiać, że to na pewno jest śmiech, i dalej to sobie wmawiał, nawet wtedy, gdy już wiedział, że to wcale nie jest śmiech; wyszedł z lasu i z daleka popatrzył na dom: na te ściany z nie ociosanych, częściowo już przegniłych bali, na zapadnięty dach z dziurami, których nigdy nie zatykali, podstawiając tylko zamiast tego rondle i wiadra pod przecieki, na tę przybudówkę służącą im za kuchnię, nawet zupełnie przydatną, bo przy dobrej pogodzie brak komina nie stanowił żadnego zagadnienia, a kiedy padał deszcz, przecież

i tak nie próbowali jej używać. Na podwórku tyłem do niego stała nad balią rozkołysana miarowo jego siostra, bezkształtna w perkalowej kiece i w butach ojca nie zasnurowanych, trzepoczących wokoło jej kostek przy każdym ruchu, szeroka w zadzie jak krowa i właściwie wykonująca nawet pracę bydłą, znacznie za ciężką w stosunku do wynagrodzenia, tę jakąś pierwotną kwintesencję mozołu, sprowadzoną do najsurowszego absolutu – pracę, jaką wytrzymać może i chce tylko bydło. Kiedy tak patrzył na siostrę (opowiadał dziadkowi), po raz pierwszy uderzyła go myśl, że przecież coś trzeba powiedzieć staremu, więc co on powie, czy skłamię, czy nie, kiedy go stary zapyta, jak on załatwił to polecenie; nawet gdyby skłamał, natychmiast by się to wydało, bo prawdopodobnie ten człowiek, cokolwiek chciał mu przekazać stary, posłał już kogoś z Negrów, żeby się dowiedzieć, czego stary nie wykonał i z czego chce się wykręcić – jeżeli się przyjmie, że właśnie w takiej sprawie stary wysłał jego, Sutpena, do wielkiego domu, co było zupełnie prawdopodobne zważywszy, co to za typ był ten jego stary. Ale to pytanie jeszcze nie padło, bo stary jeszcze nie wrócił do chaty. Więc on na razie miał tylko przeprawę z siostrą, która każąc mu przenieść drzewo obsypała go takimi wymysłami, jak gdyby dotychczas czekała na sam jego powrót do domu, żeby mieć sposobność do użycia strun głosowych; nie powiedział jej, że drzewa nie przyniesie, nie sprzeciwił się, tylko po prostu jej nie słyszał, nie zwracał na nią uwagi, bo wciąż jeszcze myślał. A potem wrócił stary, siostra naskarżyła i stary kazał mu iść po drzewo; ale nie zapytał o to swoje zlecenie ani podczas kolacji, ani po kolacji, kiedy on położył się na sienniku, na którym sypiał, ale nie po to, żeby spać, bo nie mógłby przecież zasnąć, tylko po to, żeby tam leżeć z rękami pod głową i czekać, aż wreszcie stary zapyta; ale stary wciąż jeszcze nie pytał, a on wciąż jeszcze nie wiedział, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę. Bo, jak opowiadał dziadkowi, ta najważniejsza, najstraszniejsza strona tego wszystkiego jeszcze mu wtedy nie przyszła do głowy. Po prostu tam leżał i słuchał, jak te dwa głosy w nim rozprawiają, mówią kolejno, nawet cofają się przed sobą, żeby uniknąć zderzenia – spokojnie, rozsądnie, łagodnie: „Ale ja go mogę zabić.”

„Nie. To by się na nic nie zdało.”

„Więc co my zrobimy?”

„Nie wiem.”

A on tylko słuchał bez specjalnego zainteresowania – jak opowiadał dziadkowi – właściwie słyszał te głosy, nawet ich nie słuchając. Bo przecież nie zapytał pierwszy o to, o czym teraz myślał. To po prostu w nim utkwiło samo w sposób naturalny u chłopca, u dzieciaka, więc już nie zwracał na to nawet uwagi, lekceważył te myśli chłopięce, bo wiedział teraz, że powinien myśleć nie jak chłopiec, ale jak mężczyzna, jeżeli ma zrobić to, co zrobić musi, żeby móc dalej żyć w zgodzie ze sobą.

„Ten czarny nie dał mi dojść do słowa – myślał. – Nie dał mi powiedzieć, z czym tam przyszedłem, więc on (teraz też nie ten Negr) nie będzie wiedział, że tata czegoś tam nie zrobił, i dowie się o tym, kiedy będzie za późno, więc właściwie to kara dla niego za to, że on ma tego czarnucha do takich rzeczy. A co by było, gdybym przyszedł powiedzieć, że jego stajnia, dom się pali, a ten czarnuch nie dałby mi dojść do słowa, ostrzec go...”

A potem, jak opowiadał dziadkowi, zupełnie znenacka to przestało być rozważaniem, to już było jakimś krzykiem, nieomal dość głośnym, żeby go usłyszały siostry na drugim sienniku i stary z dwojgiem najmłodszych dzieci na łóżku, z którego w tej chwili na całą izbę rozbrzmiewało pijackie chrapanie.

„On mi nie dał dojść do słowa.”

Zbyt szybkie, zbyt pomieszane to było: wrzasnęło na niego wszystko od razu, zakotłowało się, zalało go jak śmiech czarnych.

„On mi nawet nie dał dojść do słowa, a tata wcale mnie nie zapytał, czy ja mu powiedziałem, więc tamten nawet nie wie, że tata kazał mu coś powiedzieć, a teraz czy on wie, czy nie wie, już i tak nie jest ważne nawet dla taty. Podszedłem do tych drzwi po to, żeby mi ten czarnuch powiedział, żebym już tam nigdy nie podchodził od frontu. A teraz widać, że ja tamtemu nie tylko nie zrobiłem nic dobrego tą wiadomością, ale nawet nic złego tym, że tej wiadomości ostatecznie nie oddałem. Więc ja jemu nie mogę zrobić nic ani dobrego, ani złego, nic, żeby tam nie wiem co na tym świecie.”

Tak właśnie opowiadał dziadkowi – to był wybuch, luna olśnienia, która natychmiast zgasła, nie pozostawiając po sobie śladu: żadnych popiołów, żadnych węgli; rozpościerała się tylko płaska, bezgraniczna równina, a na tej równinie stał surowy posąg jego niewinności; spokojnie, jak jeszcze nigdy nikt do niego nie przemawiał, ten posąg zaczął go teraz pouczać, używając jego własnego porównania z tą strzelbą, mówiąc jednak przy tym „oni” i „ich” zamiast „on” i „jego”, co oznaczało, że to chodzi nie tylko o jednego, ale w ogóle o wszystkich śmiertelników pod słońcem, którzy mogą bez butów leżeć w hamakach przez całe popołudnia. Myślał: „Przecież gdybyś postanowił walczyć z tymi, co mają świetne strzelby, to przede wszystkim wystarczyłoby się o strzelbę możliwie jak najlepszą, pożyczylbyś ją, ukradł albo sam zrobił, prawda?”

I odpowiedział sobie:

„Właśnie. Ale to nie chodzi o strzelby. Na to, żeby z nimi walczyć, trzeba mieć wszystko, co oni mają, wszystko, co sprawia, że oni postępują tak jak ten człowiek. Na to, żeby z nimi walczyć, trzeba mieć ziemię, czarnuchów i wspaniały dom. Rozumiesz?”

I znów powiedział:

„Właśnie.”

Tej samej nocy odszedł. Obudził się przed świtaniem i odszedł najzwyczajniej

w świecie-tak najzwyczajniej w świecie, jak poprzedniego wieczora położył się spać. Po prostu wstał z siennika i na palcach wymknął się z chaty. Już nigdy nie zobaczył nikogo ze swojej rodziny.

Pojechał do Indii Zachodnich...Quentin nie poruszył się, nawet nie podniósł głowy, wciąż zadumany, zamyślony nad rozłożonym listem leżącym na otwartym podręczniku pomiędzy jego rękami – nad tym listem unoszącym się ukośnie od poprzecznego zagięcia, jak gdyby w połowie uskrzydłonym.

– Tak właśnie Sutpen powiedział to dziadkowi. Obaj z dziadkiem siedzieli teraz na zwałonym pniu i czekali, bo psy zmyliły trop. To znaczy, pilnowały tego drzewa, z którego on (architekt) nie zdołałby w żaden sposób zejść, a na które jednak wspiał się niewątpliwie, bo znalazły tykę z młodego drzewka z szelkami architekta uwiązanymi w pętlę na jednym końcu, więc wiadomo było, że się tam wspiał za pomocą tego urządzenia, chociaż na razie nikt nie mógł odgadnąć, po co szelki. Dopiero po trzech godzinach zrozumiano, że architekt klucząc uciekł się do architektury, fizyki, jak zwykle w krytycznych chwilach człowiek ucieka się do tego, co zna najlepiej. Morderca do morderstwa, złodziej do kradzieży, kłamczuch do kłamstwa. On (architekt) przewidział to polowanie z dzikimi Negrami, choćby nawet nie przewidział, że Sutpen pożyczycy psy; więc wybrał sobie drzewo, wspiał się i wciągnął tę tykę za sobą, a potem obliczył opór, krzywą i odległość i przeskoczył na następne drzewo kawał drogi, jakiego nie zdołałaby przebyć za jednym zamachem latająca wiewiórka. Z tego drugiego drzewa skoczył dalej na trzecie i tak po drzewach przewędrował prawie pół mili zanim znów stanął na ziemi. Dopiero po trzech godzinach któryś z tych Negrów (bo psy nie ruszały się od tego pierwszego drzewa; czekały, że on tam właśnie jest) trafił tam, gdzie architekt zszedł na dół.

Ale to dopiero później. Na razie wszystko z tropem się pomyliło, więc Sutpen i dziadek siedzieli na zwałonym pniu i rozmawiali. Jeden z Negrów poszedł wtedy z powrotem do obozowiska po jakieś żarcie i resztę whisky, a kiedy wrócił, trąbieniem w rogi wezwali tamtych gości i zabrali się wraz z nimi do jedzenia. Na razie jednak czekali na tego Negra i Sutpen jeszcze trochę opowiadał dziadkowi o sobie.

Wyjechał do Indii Zachodnich. Tak właśnie Sutpen to powiedział. Nie mówił o tym, jak zdołał się dowiedzieć, gdzie są Indie Zachodnie i skąd odpływają kursujące tam statki, ani w jaki sposób dostał się do takiego portu i na statek. Nie mówił nic o tym rejsie ani o trudach marynarskiego życia, chociaż na pewno musiało być ciężko takiemu czternasto – czy piętnastoletniemu chłopcu; zaciągnął się na statek w roku tysiąc osiemset dwudziestym trzecim, nigdy przedtem nie widząc oceanu. Tylko powiedział: „Więc wyjechałem do Indii Zachodnich...” – i nic więcej, kiedy siedział z dziadkiem na

tym pniu, a psy wciąż jeszcze obszczekiwały to pierwsze drzewo w przekonaniu, że architekt tam jest, musi tam być, bo przecież nie ma skrzydeł, więc nie fruwa.

Powiedział to zupełnie takim samym tonem, jakim mówił owego dnia w trzydzieści lat później, siedząc w kancelarii dziadka (teraz już w kosztownym, chociaż trochę podniszczonym przez trzy lata wojny i przybrudzonym ubraniu, z pieniędzmi pobrękującymi w kieszeni, z brodą też bujną – on cały, broda, ciało i umysł, w owym szczytowym punkcie, kiedy człowiek może powiedzieć: „Wykonałem wszystko, co sobie postanowiłem, więc teraz, gdybym chciał, mógłbym się już zatrzymać i nikt by nie miał prawa zarzucać mi gnuśności, nawet ja sam.”

Może takie właśnie chwile Przeznaczenie sobie wybiera, żeby człowieka rąbnąć – tylko że ten szczyt rozkwitu wydaje się jeszcze tak wspaniały, że zachwiania się pod pierwszym uderzeniem nie widać.

Mówił wtedy z głową odrzuconą, w tej swojej pozie przyjętej nie wiadomo skąd i dlaczego; może kogoś naśladował albo może się tego nauczył z tejże samej książki, z której przyswoił sobie słowa, jakich używał, te napuszone zwroty, jakie zawsze wygłaszał, nawet wtedy, gdy prosił o ogień albo częstował cygarem. Ale nie było w tym zarozumiałstwa ani śmieszności, mówił dziadek, właśnie przez tę niewinność, bo on jej wcale nie utracił, chociaż o tym nie wiedział, tylko po tamtej nocy, kiedy niewinność ostatecznie mu powiedziała, co on ma zrobić ze sobą, po prostu o niej zapomniał).

Więc wtedy w kancelarii powiedział dziadkowi – powiedział mu, masz pojęcie, nie usprawiedliwiając się, nie prosząc o żadne Współczucie – po prostu mu powiedział, że odprawił swoją pierwszą żonę, zupełnie jakby był jednym z tych królów w jedenastym czy dwunastym wieku.

„Stwierdziłem, że ona, jakkolwiek sama nie jest temu winna, nie przyczyni się ani będzie pomocna w wykonaniu zamierzeń, jakie piastowałem w sercu, a przeto zapewniwszy jej byt, odprawiłem ją.”

Takim tonem właśnie powiedział dziadkowi wtedy na tym pniu, czekając na Negrów, żeby powrócili z tamtymi gośćmi i whisky.

„Więc wyjechałem do Indii Zachodnich. Przez jakiś czas, jednej zimy, kształciłem się trochę, co mi wystarczyło na to, abym coś niecoś się dowiedział o Indiach Zachodnich i abym sobie uświadomił, że jest to kraj najodpowiedniejszy do sprostania moim wymaganiom.”

Nie pamiętał, jak doszło do tego, że zaczął chodzić do szkoły. To znaczy, jak to się stało, że jego stary ni stąd, ni zowąd postanowił go do szkoły posyłać; jakaż wizja, jakiż obraz mógł się nagle wyłonić z tej mgławicy alkoholu, walenia czarnuchów po pyskach i wymigiwania się od pracy – z owej mgławicy, którą stary nazywał swoim rozumem; ten

obraz nauki syna na pewno nie powstał gwoli chwały czy zadośćuczynienia ambicji, chęci ujrzenia, jak syn się kształci dla własnego dobra, ani nie był to też ślepy przebłysk buntu przeciwko życiu w tej nędznej chacie, z dachem dziurawym i przeciekającym nad głowami chyba już stu rodzin takich jak jego rodzina – rodzin, które tu przybywały, mieszkały przez pewien czas, a potem stąd znikwały nie pozostawiając po sobie żadnych śladów: nawet szmat czy potłuczonych naczyń. Prawdopodobnie była to u starego po prostu mściwa zawiść w stosunku do plantatorów. Tak czy owak, on, Sutpen, chodził do szkoły przez jakieś trzy miesiące; siedział ten chłopak trzynasto – czy czternastoletni w izbie szkolnej pełnej dzieciaków młodszych od niego, ale o trzy lub cztery lata w nauce bardziej zaawansowanych, przy czym był zapewne wyższy i silniejszy od nauczyciela (takiego właśnie, jaki mógł nauczać w jednoizbowej wiejskiej szkole przy plantacji na wybrzeżu), a także bardziej męski; do szkoły przyniósł ze sobą nie tylko tę swoją trzeźwą, czujną, górską powściągliwość, ale i sporo ukrytej niesubordynacji, o czym nie wiedział tak samo, jak na początku nie wiedział, że nauczyciel odczuwa przed nim strach. To nie była nieprzystępność i chyba nie można by też nazwać tego dumą, tylko raczej jakaś ufność we własne siły, wyniesiona z górskiej samotności, skoro płynęło w jego żyłach przynajmniej trochę krwi góralskiej (matka była Szkotką, góralką, która, jak powiedział dziadkowi, nigdy nie nauczyła się mówić dobrze po angielsku). Ta sama cecha, cokolwiek by to było, zabroniła mu się zniżyć do wkuwania na pamięć tabliczki mnożenia i temu podobnych rzeczy, pozwoliła natomiast słuchać, kiedy nauczyciel czytał na głos.

„Posyłano mnie do szkoły – opowiadał dziadkowi – gdzie nauczyłem się niewiele poza tym, że większość czynków ludzkich, czy to dobrych, czy złych, ściągających albo hańbę, albo poklask i nagrodę, a leżących w granicach ludzkich możliwości, już została dokonana i można się o nich dowiedzieć jedynie z książek. Dlatego więc słuchałem, kiedy on nam czytał. Okazje te, jak obecnie zdaję sobie sprawę, wynikały po większej części z tego, że on musiał brać się na ten sposób i czytać głośno, wtedy, gdy widział, że nadchodzi chwila, w której wszyscy jego uczniowie będą skłonni do powstania z ławek i opuszczenia izby. Ale tak czy owak, czytał, a ja słuchałem, chociaż podówczas jeszcze nie wiedziałem, że to słuchanie wyposaża mnie wekwipunek na to, co sobie później zamierzyłem, o wiele lepszy, niżby mi go dało dodawanie i odejmowanie w zeszycie do rachunków. W taki właśnie sposób dowiedziałem się o Indiach Zachodnich. Nie o ich położeniu geograficznym, aczkolwiek gdybym był wiedział, że to mi się później przyda, nauczyłem się i tego również. Podówczas dowiedziałem się tylko, że istnieją wyspy zwane Indiami Zachodnimi i że ludzie biedni płyną tam statkiem i zostają bogaczami, przy czym nic na tych wyspach nie ma znaczenia, byleby tylko było się sprytnym i odważnym; uważałem, że odwagę mam, a sprytu zdołam się nauczyć, jeżeli nauczyć się

go można dzięki samej energii i silnej woli w szkole wysiłku i doświadczenia. Pamiętam, że w pewne popołudnie po wyjściu wszystkich uczniów zostałem w szkolnej izbie sam jeden i czekałem na nauczyciela, zacząłem się na niego; był to człowiek raczej niskiego wzrostu, a powierzchowność miał taką jakąś zakurzoną, jak gdyby urodził się i całe swoje życie spędził gdzieś na strychach i w spichrzach. Przypominam sobie, jak on na mój widok odskoczył, a ja sobie wówczas pomyślałem, że gdybym miał go uderzyć, to nie byłoby z tego żadnej wrzawy, tylko po prostu odgłos uderzenia i obłoczek kurzu w powietrzu jak przy trzepaniu dywanu na sznurze. Zapytałem go, czy prawdą jest to, co nam czytał o tych ludziach, którzy w Indiach Zachodnich stają się bogaczami, czy to, aby jest prawdą.

„Czemu by nie miało być? – odpowiedział odskakując. – Nie słyszałeś, jak czytałem z książki?”

„A skąd mam wiedzieć, że to, co pan nauczyciel czyta, jest właśnie w książce?” – zapytałem.

Byłem wówczas takim żółtodziobem, rozumiesz pan, aż takim wsiowym żłobem. Jeszcze nie potrafiłem nawet odczytać własnego nazwiska; chociaż chodziłem do tej szkoły już prawie od trzech miesięcy, ośmielę się powiedzieć, że nie umiałem nic więcej niż owego dnia, kiedy tam przyszedł po raz pierwszy. Ale to o Indiach Zachodnich wiedzieć musiałem, rozumiesz pan. Bo może buduje się sobie przyszłość nie jednym, ale wieloma sposobami, buduje się ją nie tylko na rzecz tego kogoś, kim się będzie nazajutrz czy za rok, ale i na rzecz dalszych czynów jego, nieodwołalnie z nich wynikających czynów następnych i następnych, których na razie słabe zmysły i rozum jeszcze przewidzieć nie mogą, ale które po latach dziesięciu czy dwudziestu, czy trzydziestu od danej chwili ten ktoś, kim się podówczas będzie, na pewno przedsięwzięmie, będzie musiał przedsięwziąć po to, aby ze wszystkiego wyjść cało. A przeto może to nie ja sam go pochwyliłem za rękę, ale zrobił to za mnie mój instynkt, kiedy on, ten nauczyciel, cofnął się przede mną. (Ja w rzeczywistości wcale nie wątpiłem o prawdzie jego słów. Doznaję wrażenia, że nawet wówczas, nawet mając tak niewiele lat, uświadomiłem sobie, że on by nie potrafił sam tego wymyślić, brakowało mu bowiem tego czegoś, co musi mieć człowiek, aby oszukać swoim kłamstwem choćby nawet małe dziecko. Ale, rozumiesz pan, ja musiałem mieć pewność, musiałem zdobyć pewność za pomocą wszelkich środków, jakie by mi się tylko nawinęły pod rękę. A przecież jedynym środkiem, jaki mi się nawinał, był właśnie ten nauczyciel.) Przeto on się cofał, patrząc na mnie spode łba, już zaczynając się szamotać, a ja go trzymałem i pytałem... byłem zupełnie spokojny, zupełnie spokojny; tylko musiałem wiedzieć... pytałem: „A gdybym tam pojechał i przekonał się, że to nie jest prawdą?”

A on wówczas zaczął wrzeszczeć: „Na pomoc! Na pomoc!”

Więc go puściłem.

To, dlatego, kiedy już ta chwila nadeszła, kiedy pojąłem, że do wykonania moich zamierzeń potrzeba mi będzie przede wszystkim i nade wszystko pieniędzy, i to w znacznych ilościach, i to jak najprędzej, wtedy sobie przypomniałem to, co on nam czytał, i wyjechałem do Indii Zachodnich.

A potem zaczęli nadjeżdżać tamci goście i po chwili wróciły Negry z kociołkiem kawy, z udźcem jelenim i z whisky (i z jedną butelką szampana, którą przedtem jakoś przeoczyli, powiedział dziadek), więc na pewien czas. Sutpen przerwał opowiadanie. Już ani słowa o tym nie mówił, aż zjedli i zasiedli z fajkami i cygarami przy ognisku, kiedy Negry i psy węszyły za tropem we wszystkich kierunkach. Trzeba było psy siłą odciągnąć od tego drzewa, a zwłaszcza od tej tyki z szelkami architekta, bo to było tak, jakby one wywahały w tej tyce nie tylko jego samego, ale i jego wzruszenie wywołane tą jeszcze jedną możliwością wymknięcia się pościgowi, i właśnie to wzruszenie tak je rozjuszyło. I psy, i Negry oddalały się coraz bardziej i bardziej, aż dopiero przed samym zachodem słońca jeden z Negrów zaczął wołać: „Hop! Hop!” – i wtedy on, Sutpen...(Dziadek opowiadał, że on milczał już od pewnego czasu, wsparty na łokciu, leżąc tam przy ognisku we wspaniałych butach z cholewami i jedynych swoich spodniach, i w koszuli, którą włożył, kiedy wyszedł z błota i porządnie się wymył, uświadomiwszy sobie, że chyba będzie musiał upolować architekta osobiście, jeżeli chce go odzyskać żywego. Nie odzywał się teraz i prawdopodobnie nawet nie słuchał rozmowy tamtych o bawelnie i o polityce, tylko palił cygaro, którym poczęstował go dziadek, i patrzył na dogasający żar ogniska, może jeszcze raz przeżywając w myśli tę swoją podróż do Indii Zachodnich, dokąd się wybrał, kiedy miał zaledwie czternaście lat i nawet nie wiedział, czy na pewno właśnie tam jedzie i czy kiedykolwiek w ogóle tam dojedzie, czy nie, tak samo jak nie wiedział, czy ci ludzie mu nie skłamacie mówiąc, że ten statek płynie do Indii Zachodnich, tak samo jak przedtem nie wiedział, czy nauczyciel mówi mu prawdę o tym, co było w książce. I nigdy nikomu nie opowiadał, jak dalece ciężka była ta podróż i ile trudów musiał przetrzymać, żeby ją odbyć. Ale wtedy, płynąc do Indii Zachodnich, wierzył, że wystarczy mieć tylko odwagę i bystrość; przy czym wiedział, że odwagę ma, a co do bystrości, to przypuszczał, że potrafiłby się jej nauczyć, gdyby bystrość była czymś, czego trzeba się aż uczyć. Prawdopodobnie to właśnie trudy tej podróży dodawały mu otuchy i umacniały pewność, że ci marynarze nie skłamacie i ten statek naprawdę płynie do Indii Zachodnich, bo on w owym czasie, jak opowiadał dziadek, chyba nie uwierzyłby w nic, co przychodzi łatwo.)

Więc kiedy doleciało z daleka nawoływanie tego Negra, powiedział: „Otóż to!”

I podniósł się, po czym wszyscy ruszyli dalej; w niedługim czasie znaleźli to miejsce, gdzie architekt zeszedł z drzew z powrotem na ziemię, zyskując na tym swoim fortelu prawie trzy godziny. Ponieważ teraz musieli posuwać się szybko, niewiele mieli czasu na rozmowę, a przynajmniej on, Sutpen, jak opowiadał dziadek, jakoś nie przejawiał chęci do podjęcia jej na nowo. A potem słońce zaszło i tamci goście musieli już wracać do miasteczka; wszyscy odjechali oprócz dziadka, bo dziadek chciał jeszcze trochę posłuchać. Więc tylko przez któregoś z tamtych przesłał do domu (też jeszcze nie był żonaty) wiadomość, że zostaje, i dalej szedł z Sutpenem, dopóki zupełnie się nie ściemniło. Dwóch Negrów (oni byli wtedy już o trzysta mil od obozowiska Sutpena) Sutpen wysłał po koce i więcej żarcia. A potem zrobiło się ciemno i szli w blasku pochodni niesionych przez Negrów, nadrabiając stracony czas, zyskując na tym, bo architekt musiał przecież po zapadnięciu zmroku zaszyć się gdzieś na nocleg, żeby po ciemku nie krążyć w kółko. Tak właśnie dziadek to wspominał: obaj z Sutpenem prowadzili swoje konie (od czasu do czasu dziadek się oglądał i widział oczy tych koni błyszczące w blasku pochodni i ich łby, cienie tych łbów w ruchu na końskich grzbietach i bokach); biegły psy i szły te czarnuchy (przeważnie nago, tylko niektórzy w portkach) z pochodniami, które płonęły i dymiły nad nimi, i rzucały czerwony blask na ich kuliste głowy, na ich ręce, na zaschnięte i połyskliwe jak szkło czy porcelana, twarde skorupy mułu, bo oni mułem oblepiali się przed moskitami; ich cienie to pojawiały się wysokie, to znikały, tak samo jak znikały nagle drzewa i zarośla, i gąszcza, żeby znów po chwili się wynurzać i znów znikać, chociaż przez cały czas się wiedziało, że tam są, bo wyczuwało się je oddechem, jak gdyby ta niewidoczna roślinność uciskała i zgęszczała niewidzialne powietrze, którym się oddychało. I opowiadał dziadek, jak Sutpen znów zaczął mówić, zanim dziadek się zorientował, że to jest dalszy ciąg tamtej historii: to było, zdaje się, o czymś, co ma w sobie los człowieka (czy może sam człowiek), co sprawia, że los układa się na człowieku jak jego ubranie, jak ten surdut, który mógł, kiedy był zupełnie nowy, pasować na tysiąc mężczyzn, a przecież po pewnym czasie noszenia leży dobrze już tylko na tym, kto go nosi, i cały, czy to będzie rękaw, czy to będą wyłogi, jest surdudem właśnie tego, a nie innego człowieka, więc tak samo los jego... (– Demona – powiedział Shreve.)

– ...ułożył się już, dopasował do niego, do jego niewinności, do jego pierwotnej, instynktownej skłonności do efekciarstwa, a zarazem do chłopięcej heroicznej prostoty – zupełnie tak jak ten wspaniały sukienki mundur, nie inny niż mundury dziesięciu tysięcy mężczyzn w ciągu tych czterech lat wojny, a jednak na nim, kiedy w trzydziści lat po polowaniu na architekta wkroczył do kancelarii dziadka, już dopasowany do chełpliwych gestów, do sądowego krasomówstwa, w jakie on spokojnie przystrajał najprostsze i najbardziej oburzające rzeczy, wypowiadając je z ową szczerą niewinnością, zwaną

przez nas dziecięcą, chociaż to właśnie ludzkie dziecko jest jedyną na świecie istotą, która nigdy nie bywa ani naprawdę szczerą, ani naprawdę niewinną. On w czasie polowania na architekta jeszcze więcej mówił dziadkowi o losie dopasowanym jak surdut. A potem opowiadał dalej, chociaż nawet słowem nie napomknął, ani jak się dostał tam, gdzie przeżywał to, o czym opowiadał, ani nawet jak do tego doszło (miał wtedy już co najmniej dwadzieścia lat; skulony w ciemnościach strzelał przez to okno z muszkietów, które ktoś mu ładował i podawał). Jak gdyby nigdy nic, tym swoim opowiadaniem przeniósł dziadka i siebie od razu do oblężonego domu na Haiti, tak po prostu, jak przedtem przerzucił się do Indii Zachodnich, mówiąc, że postanowił tam pojechać, więc pojechał. Ta opowieść nie była jakimś planowym dalszym ciągiem tamtej, tylko wspomnieniem, które się w nim obudziło na widok tych Negrów z pochodniami, idących przed nimi. Nie opowiadał, jak się tam znalazł ani co się z nim działo w ciągu tych sześciu lat od dnia, kiedy postanowił wyjechać do Indii Zachodnich, żeby się wzbogacić, aż do owej nocy, kiedy jako nadzorca czy polowy, czy coś tam innego u jakiegoś francuskiego plantatora trzciny cukrowej, zabarykadował się wraz z nim i jego rodziną u niego w domu. I oto, jak opowiadał dziadek, wymknęła się ta pierwsza wzmianka – cień, który na chwilę prawie się wynurzył i natychmiast się rozwiął, ale też niezupełnie – wzmianka o tej... (– To na pewno dziewczyna – powiedział Shreve. – Już ty mi nie mów. Opowiadaj dalej.)

– ... kobiecie, którą on uznał, jak to w trzydzieści lat później powiedział dziadkowi, za nieodpowiednią dla swoich celów, więc ją odprawił, chociaż uprzednio zabezpieczył jej byt. I było tam z nimi wtedy przy tym oknie kilkoro przerażonych służących Mulatów, i on od czasu do czasu odwracając się od okna musiał ich kopać i przeklinać, żeby pomagali tej dziewczynie ładować muszkiety. Kiedy zaczął o tym mówić dziadkowi, dziadek, jak mi się zdaje, powiedział wtedy: „Poczekaj pan, na litość boską, poczekaj.”

Mniej więcej tak, jak ty to powiedziałaś, Shreve. Aż Sutpen urwał i na nowo zaczął to opowiadać, co prawda niezupełnie od początku, ale przynajmniej z jakim takim uwzględnieniem przyczyny i skutku, choćby nawet to wszystko dalej nie miało ciągłości logicznej. Czy też może zaczął opowiadać wyraźniej, nie dlatego że dziadek go o to prosił, ale dlatego, że teraz już znów siedzieli, bo uznali, że zaszli dosyć daleko jak na tę noc. Negrzy rozbili obóz, ugotowali kolację, a oni (on i dziadek) napili się trochę whisky, podjedli sobie, a potem jeszcze popijali siedząc przy ognisku, i właśnie wtedy on zaczął na nowo opowiadać, chociaż wciąż jeszcze to wszystko wcale nie było

Jasne: to „jak” i „dlaczego” on tam się znalazł i czym tam był; to wciąż jeszcze nie było jasne, ponieważ on nie opowiadał o sobie. Opowiadał to jak anegdotę. Nie chełpił się tym czymś, czego dokonał; po prostu opowiadał o przeżyciu niejakiego Thomasa Sutpena, równie dobrze mogąc opowiadać o kimś bezimiennym, o kimkolwiek albo zgola

o nikim; ot, po prostu opowiadał to tak, jak się opowiada rozmaite rzeczy w nocy nad gąsiorem whisky.

Może to właśnie dzięki tej whisky mówił teraz wolniej. Niewiele to jednak rozjaśniło sprawę. Nadal nie wspominał dziadkowi nic o karierze tego kogoś, kto nazywał się Thomas Sutpen. Dziadek powiedział, że jedyna jego wzmianka o tych sześciu czy siedmiu latach, w ciągu których gdzieś przecież na pewno był, coś przeżywał, dotyczyła gwary i języka francuskiego; gwary musiał się nauczyć, żeby móc nadzorować tę plantację, a francuskiego też się musiał nauczyć, może niezupełnie po to, żeby się zaręczyć i ożenić, ale z całą pewnością po to, żeby po francusku odrzec się później tej żony. Więc opowiadał dziadkowi, jak przedtem wierzył, że wystarczy sama odwaga i bystrość, ale potem przekonał się, że nie miał racji, i zaczął żałować, że razem ze swoimi wiadomościami o Indiach Zachodnich nie otrzymał również i wykształcenia: nagle odkrył, że nie wszyscy ludzie na świecie mówią jednym i tym samym językiem; uświadomił sobie, że potrzebna mu jest nie tylko odwaga i zręczność, ale i znajomość nowej mowy, bo inaczej jego plany spełzną na niczym. Więc nauczył się tego języka chyba tak samo, jak nauczył się być marynarzem-wkładając w to wiele zawziętości i wysiłku. Bo kiedy dziadek go zapytał, dlaczego nie wziął sobie jakiejś dziewczyny i nie zamieszkał z nią, żeby się od niej tego nauczyć w sposób najłatwiejszy, on... Dziadek opowiadał, jak on tam wtedy siedział w blasku ognia pelgającym mu po twarzy i po brodzie, odbijającym mu się w oczach spokojnych i trochę roziskrzonych... Dziadek powiedział, że wtedy po raz pierwszy i ostatni usłyszał od niego coś naprawdę spokojnego i prostego: „Do tej nocy, o której opowiadam (i aż do mego pierwszego ślubu, mógłbym dodać), jeszcze nigdy nie miałem kobiety. Pan w to pewnie nie uwierzysz, a gdybym próbował ci wytłumaczyć, to skutek byłby tylko taki, że nie wierzyłybyś mi pan jeszcze bardziej. Więc tylko powiem, że i to także było częścią tego mojego zamierzenia.”

A dziadek zapytał: „Czemu miałbym nie wierzyć?”

A on spojrzał na dziadka, wciąż jeszcze z tą jasnością i spokojem w oczach, i powiedział: „Ale czy pan w to wierzysz? Chyba nie masz mnie pan w takiej pogardzie, żeby aż wierzyć, że ja, mając lat dwadzieścia, nie mogłem ani pokusy doznawać, ani sam pokusy stanowić?”

A dziadek powiedział: „Masz pan rację. Nie powinienem w to wierzyć, ale wierzę.”

Więc to nie była opowieść o kobietach, a już na pewno nie o miłości: ta kobieta, ta dziewczyna była tylko cieniem, który mógł ładować muszkiet, ale któremu nie można było zaufać na tyle, żeby mu pozwolić z tego muszkietu strzelać przez okno owej nocy (czy może przez siedem czy osiem nocy oni tam się zbijali w gromadkę po ciemku i patrzyli z okien na te szopy czy spichrze, czy jak się tam nazywa to coś, w czym się

magazynuje zbiory trzciny cukrowej, i na pola objęte pożarem; on opowiadał, że czuło się ten zapach, że już w ogóle nie czuło się żadnych innych zapachów oprócz tej cuchnącej, odurzającej słodyczy, jak gdyby zapach cukru, spotęgowany ponad wszelką możliwość, zawarł w sobie całą nienawiść i zaciekłość – tysiąc czarnych tajemnych lat, które tę nienawiść i tę zaciekłość zrodziły. Dziadek, kiedy o tym słuchał, przypomniał sobie, jak Sutpen zawsze pije kawę bez cukru, więc teraz dziadek już wiedział dlaczego, ale tak czy owak zapytał, żeby się upewnić, a Sutpen powiedział, że tak, że to właśnie, dlatego i że chociaż wtedy on wcale się nie bał, aż do czasu kiedy wszystkie zabudowania gospodarskie i wszystkie pola wypaliły się doszczętnie, i później wszyscy tam o tym zapachu zapomnieli, on jednak od tamtej pory nie cierpi cukru).

Ta dziewczyna wyłoniła się w jego opowiadaniu tylko na króciutką chwilę, nieomal w jednym słowie, tak przelotnie, powiedział dziadek, że mu tylko mignęła przed oczami w błysku wystrzału z muszkietu – jej pochylona głowa, policzek, zarys podbródka widoczny spoza opadających włosów, biała, szczupła ręka, dłoń, delikatna na kolbie muszkietu – i to było wszystko. Żadnych szczegółów o tym, jak on, Sutpen, dostał się do tego obłożonego domu z pola, które nadzorował, kiedy Negry rzuciły się na niego z maczetami – nie więcej szczegółów o tym niż o tym, jak się dostał z nędznej chaty w stanie Wirginia na te pola i zaczął je nadzorować. I to przejście do domu plantatora, powiedział dziadek, wydawało się jeszcze bardziej niewiarygodne niż fakt, że Sutpen dostał się na tę plantację na Haiti. Bo droga z Wirginii wymagała przecież czasu i przebycia przestrzeni, z czego już by wynikało, że bywały w tym jakieś chwile wytchnienia, skoro czas dłuższy jest niż jakakolwiek odległość, natomiast drogę z pola do twierdzy tego domu on musiał chyba odbyć w jakimś błyskawicznym skrócie, nieomal tak szybko, jak o tym dziadkowi opowiedział. Było to jakieś stężenie czasu wymierne tylko miarą własnej błyskawiczności, a on, Sutpen, mówił teraz o tym jak gdyby nigdy nic, na swój przyjemny, lekko zaprawiony sądowym krasomówstwem, anegdotyczny sposób, widocznie właśnie tak, jak to sobie zapamiętał, pozostając pod wrażeniem, jakie z tego odniósł poprzez jakieś obojętne, bezosobowe zainteresowanie, ciekawość jakby nie wyrośniętą, bo pozbawioną dostatecznej ilości drożdży, jakich mógłby jej na zaczyn przydać strach. (Tylko jeden raz, kiedy mówił o tym zapachu cukru, wspomniał o strachu, a i to też w odwrotnym porządku, opowiadając o czasie, kiedy się nie bał, czyli dając do zrozumienia, że bać się zaczął dopiero później.) Bo on się nie bał, dopóki to trwało, opowiadał dziadek, bo aż do końca znaczyło to dla niego nie więcej niż jakieś widowisko, coś, co trzeba obejrzeć, skoro taka okazja może już nigdy się nie zdarzyć – wciąż jeszcze był niewinny, więc na razie nie wiedział, co to jest strach, i nawet później nie wiedział, że z początku się nie bał; on nawet nie wiedział, że właśnie trafił tam, gdzie

można szybko zdobyć pieniądze, byleby tylko było się odważnym i bystrym (on nie miał na myśli bystrości, powiedział dziadek, jemu raczej chodziło o brak skrupułów, tylko że nie znał tego określenia, bo go nie było w tej książce, z której czytał nauczyciel w szkole; albo może brak skrupułów miał na myśli, kiedy mówił o odwadze, powiedział dziadek). Trafił na to miejsce, chociaż w parze z pieniędzmi szła tam wysoka śmiertelność i połysk na tych dolarach był połyskiem nie złota, tylko krwi. Był to zakątek ziemi, powiedział dziadek, może stworzony i odsunięty na bok przez samego niebiosy po to, żeby stać się widownią gwałtu, niesprawiedliwości, zabijania – wszystkich szatańskich przejawów ludzkiej zachłanności

i okrucieństwa, i ostatniej rozpaczliwej furii wszystkich wyklętych pariasów, wszystkich skazańców – mała wysepka na uśmiechniętym, przyczajonym w swoim rozjuszeniu, niewiarygodnie szafirowym morzu, w połowie drogi pomiędzy tym, co nazywamy dżunglą, a tym, co nazywamy cywilizacją, w połowie drogi pomiędzy ciemnym, nieodgadnionym lądem, z którego przemocą wyrwano czarną krew, czarne kości i ciała, czarne myśli i wspomnienia, i nadzieje, i pragnienia, a tym zimnym, zgoła nie zagadkowym krajem, któremu wysepka ta została przeznaczona kłutwą; ten to właśnie kraj, lud cywilizowany, utoczył trochę własnej krwi, własnych myśli i pragnień zbyt już jaskrawych, żeby można je było dłużej nosić po własnej ziemi, i osadził te bezdomne, zropaczone istoty na małej, zagubionej wśród dalekiego oceanu wysepce, leżącej na takiej szerokości geograficznej, że dla wytrzymania jej klimatu trzeba dziesięciu tysięcy lat podzwrotnikowego dziedzictwa – osadził je na glebie użyźnianej czarną krwią ofiar dwóchsetletniego wyzysku, aż wykwitła z tej ziemi niewiarygodna, paradoksalna, spokojna zieleń ukwiecona szkarłatem i trzcina cukrowa wysoka jak młode drzewka, trzy razy wyższa niż człowiek i chociaż więcej oczywiście zajmująca przestrzeni, warta – funt za funt – prawie tyle, ile warta jest ruda srebra – zupełnie tak, jakby to sama przyroda, robiąc bilans, prowadząc księgę handlową, wypłacała wynagrodzenie za poszarpane kończyny i zelżone serca, choćby człowiek go nie wypłacał... Bujnie wzrastał posiew przyrody i posiew ludzki wzrastał też na tej ziemi, kiedy ją nie tylko nawadniała czarna, daremna krew, ale owiewały wiatry, w których na próżno borykały się statki skazane i trzepotały ostatnie strzępy żagli przed osunięciem się w szafirowe morze i z którymi razem cichł ostatni beznadziejny krzyk kobiety albo dziecka. Posiew ludzki też wzrastał: te jeszcze nie tknięte kości i mózgi, ludzie niosący w sobie wołanie wsiąkłej w ziemię pod ich stopami, niespokojnej krwi tych, co tu cierpieli przed nimi – wołanie o zemstę. A on, Sutpen, to nadzorował, spokojnie jeżdżąc konno i ucząc się tej mowy (to cienka, krucha nić, powiedział dziadek, jedyna, jaką można od czasu do czasu połączyć na chwilę kąciki i krawędzie tajemnych, samotnych istnień ludzkich, zanim pogrążą się

one z powrotem w ciemność tam, gdzie duch krzyknął po raz pierwszy i nie był usłyszany i gdzie krzyknie po raz ostatni i też usłyszany nie będzie). Nie wiedział, że jeździ konno po wulkanie; słyszał, jak nocą powietrze pulsuje i drży dudnieniem bębnów i zawodzeniem, ale nie wiedział, że to pulsuje i drży serce samej ziemi, bo on wierzył (powiedział dziadek), że ziemia jest dobra i łagodna, a ciemność to po prostu coś, co się widzi, czy też coś, w czym się nie widzi; nadzorował to, co nadzorował, nie wiedząc, że nadzoruje ciemność; spokojnie dokonywał codziennych wypadów z białej twierdzy, dopóki nie nadszedł ten właśnie dzień.

Jak to się stało, że taki dzień w ogóle nadszedł, co do tego doprowadziło, również nie opowiadał, bo najwidoczniej właśnie z powodu tej swojej niewinności, jak powiedział dziadek, nie wiedział o niczym, wcale nie pojmował tego, na co z pewnością patrzył codziennie. Pewnego dnia rano znaleziono na poduszce w łóżku właściciela plantacji kość świńską z odrobiną zgniętego, jeszcze przywierającego ochłapu, parę kurzych piór i parę kamyczków zawiniętych w brudną, poplamioną szmatę; i nikt nie wiedział (a już najmniej sam plantator, chociaż spał w tym łóżku), skąd to się tam wzięło, bo w tym samym czasie okazało się, że z domu zniknęła prawie cała na pół murzyńska służba. A on wciąż jeszcze nic nie pojmował, aż ten plantator musiał mu powiedzieć, że plamy na szmacie są nie błotem i nie tłuszczem, tylko krwią; nie wiedział również, że to, co uznał za galijską wściekłość plantatora, jest w rzeczywistości strachem, grozą. Patrzył wtedy na swego chlebowawcę po prostu z ciekawością i z pewnym zainteresowaniem, bo dla niego wciąż jeszcze zarówno ten człowiek, jak i jego córka byli cudzoziemcami. Powiedział dziadkowi, że do tej pierwszej nocy obłączenia ani razu nawet nie pomyślał, że nie zna imienia tej dziewczyny, chociaż może je nawet kiedyś słyszał. Powiedział również dziadkowi – mimochodem, tak jak się czasem wyciąga, a później się o tym nie pamięta, dzokera ze świeżej talii kart – że nieżyjąca już żona tego starego plantatora była Hiszpanką. I to właściwie dziadek sobie uświadomił, a nie sam Sutpen, że on, zanim znalazł się tam w domu plantatora w pierwszą noc murzyńskiego szturm, widział zapewne tę dziewczynę zaledwie kilka razy. Więc wreszcie znaleźli zwłoki jednego ze służących Mulatów. Sutpen je znalazł, szukał ich przez dwa dni, nawet nie wiedząc, że za nieprzeniknionym murem czarnych zagadkowych twarzy, które ma przed sobą, prawie wszystko może się święcić, przygotowywać do wybuchu, i jak zresztą dowiedział się później, prawie wszystko się wtedy przygotowywało. Trzeciego dnia znalazł te zwłoki w miejscu, gdzie nie mógłby ich nie zobaczyć już w pierwszej godzinie pierwszego dnia, gdyby te zwłoki już tam leżały. Kiedy o tym opowiadał, siedział na pniu najzwyczajniej w świecie, gestami podkreślając swoje opowiadanie – ten człowiek, którego dziadek sam widywał walczącego nago pierś w pierś z tym czy innym z tych dzikich Negrów w blasku

obozowego ogniska w czasie budowania domu; ten człowiek, który walczył z Negrami również i później, już w świetle latarni w swojej stajni, już po ślubie z drugą żoną wybraną w nadziei, że ta na pewno będzie mu pomocą przy wykonaniu zamierzeń, jakie „piastował w sercu”; nie patyczkował się przy tych walkach, nie było żadnego podawania ręki ani gratulacji, kiedy obmywał krew i wkładał koszulę, bo zawsze w rezultacie walki ten Negr, jego przeciwnik, leżał rozłożony na obie łopatki, ledwie zipiąc, aż inny z Negrów musiał go oblewać wodą. Siedział tam na pniu i opowiadał dziadkowi, jak wreszcie znalazł tego Mulata czy też to, co przedtem było Mulatem, i powoli zaczął pojmować, że sytuacja może się stać poważna, a potem ten zamknięty dom, barykada, ich pięcioro, plantator, córka, dwie służące i on w domu jak w twierdzy, a powietrze wokół zadymione, przesycone zapachem palącej się trzciny cukrowej, rozjaśnione łuną na niebie, zmacone dymem, rozedrgane dudnieniem bębnow i murzyńskim zawodzeniem. Mała zagubiona wysepka pod kloszem na przemian dni i nocy, jak w próżni, dokąd nie mogła dotrzeć żadna pomoc, dokąd z zewnętrznego świata nawet wiatry przywiewały tylko jako pasaty, wciąż te same wiatry, tam i z powrotem przemiatające wysepkę, wciąż tak samo znużone, wciąż tak samo przerywane znużonymi głosami zamordowanych kobiet i dzieci bez domu, bez grobu, gdzieś w głuchych odmętach samotnego morza. A tymczasem te dwie służące i ta dziewczyna o imieniu jeszcze dla niego nie znanym ładowały muszkiety, z których on i plantator strzelali nie do żadnego wroga, ale do samej nocy na Haiti, krając daremnymi drobnymi błyskami zadumaną, zmęczoną rozlewem krwi, rozświetloną ciemnością; to właśnie była ta pora roku pomiędzy huraganami a jedyną nadzieją deszczu. I opowiadał, jak ósmej nocy zabrakło wody i coś z tym wszystkim wreszcie trzeba było zrobić, więc położył muszkiet, wyszedł z domu i poskromił ich. Tak właśnie on to opowiadał: wyszedł i poskromił ich, a kiedy wrócił, już był z tą dziewczyną zaręczony, a dziadek mu wtedy przerwał mówiąc: „Poczekaj pan, poczekaj. – Tym razem już na pewno tak powiedział: – Przecież pan jej nawet nie znałeś: powiedziałaś, że kiedy to oblężenie się zaczęło, nawet pan nie wiedziałeś, jak ona ma na imię.”

A on spojrzał na dziadka i powiedział: „Tak. Ale widzisz pan, trochę mi zabrało czasu dojście do zdrowia.”

Ani słowa o tym, jak to się stało. Tego też nie opowiadał, bo to też nie należało do tej historii: po prostu położył muszkiet, kazał komuś odryglować drzwi przed sobą, a potem zaryglować je za sobą, wymaszerował w ciemność i poskromił ich może głośnym krzykiem, a może tym, że tam stał, znosząc więcej, niż w ich pojęciu czyjekolwiek kości i ciało mogły czy powinny były znosić (powinny właśnie; bo to musiało być straszliwe – przekonać się, że ciało wytrzymuje więcej, niż powinno się od ciała wymagać). Może wreszcie oni sami zawrócili ze strachem, uciekli od tych białych rąk i nóg, poza kolorem

skóry takich samych jak ich własne czarne ręce i nogi, i tak samo wrażliwych na ciosy i rany, tak samo tryskających krwią i ożywionych tym samym napiętym duchem, który powinien być się wywodzić z tego samego pierwotnego ognia, z jakiego wywodził się duch ożywiający ich ciała, a przecież w żaden sposób wywodzić się stamtąd nie mógł. On pokazywał dziadkowi te blizny. Jedną miał po ranie, która, jak powiedział dziadek, o mało co nie pozostawiła go dziewiczym już do końca życia. A potem nastał świt, po raz pierwszy od ośmiu dni bez dudnienia bębnow, i wynurzyli się z domu (ten plantator z córką prawdopodobnie), i szli przez pogorzelska w jaskrawym słońcu takim, jak gdyby w ogóle nie stało się nic – szli chyba w jakiejś wprost niewiarygodnej głuszy samotności, spokojnej i cichej; wtedy właśnie go znaleźli i przenieśli do domu. A kiedy odzyskał zdrowie, był już z tą dziewczyną zaręczony. I na tym skończył.

– Dobrze – powiedział Shreve. – Mów dalej.

– Powiedziałem, że na tym skończył – powiedział Quentin.

– Słyszałem. Skończył, co? Więc zaręczył się i skończył, a jednak jeszcze miał żonę, którą mógł później porzucić? Powiedziałeś, że nie pamiętał, jak dostał się na Haiti, a potem nie pamiętał, jak dostał się do tego domu oblężonego przez Negrów. Więc czy teraz jeszcze mi powiesz, że on nie pamiętał nawet, jak się ożenił? Że się zaręczył, a potem postanowił, że skończy, tylko, że pewnego pięknego dnia raptem się przekonał, że wcale niczego nie skończył, ale przeciwnie: jest żonaty? I ty go nazywasz tylko dziewiczym?

– On na tym skończył, przestał mówić, opowiadać o tym – powiedział Quentin.

Nieruchomy, zwracał się właściwie nie do Shreve'a, ale (jeżeli już w ogóle do czegokolwiek) do tego listu leżącego na otwartej książce między jego rękami na stole. Naprzeciw niego Shreve już zdążył znów nabić fajkę i znów ją wypalił. Przewrócona w rozszerzającej się wachlarzowato białej smuźce popiołu z miseczki, znów leżała ta fajka na stole przed Shreve'em, który siedział z rękami skrzyżowanymi na nagiej piersi, jakby jednocześnie podtrzymywał się nimi i otulał, bo w pokoju, chociaż dochodziła dopiero godzina jedenasta, robiło się coraz chłodniej, w miarę zbliżania się owej chwili koło północy, kiedy w kaloryferach pozostanie zaledwie tyle ciepła, ile trzeba na to, by rury nie pozamarzały. Co prawda, jeszcze zanim ta chwila nadeszła (dziś już nie będzie głębokich wdechów w otwartym oknie), Shreve musiał pójść do sypialni: najpierw, żeby włożyć płaszcz kąpielowy, a potem jeszcze drugi raz, żeby wrócić w palcie narzuconym na płaszcz kąpielowy i z paltem Quentina przewieszonym przez rękę. Ale to dopiero miało być później, na razie jeszcze siedział nagi do pasa.

– On tylko powiedział, że już był zaręczony – powiedział Quentin. – A potem skończył, przestał opowiadać. Po prostu urwał, powiedział dziadek, wyraźnie z tym

skończył, tak jakby to było już wszystko, wszystko, co się da o tym powiedzieć, wszystko, co sprawia, że jednemu mężczyźnie dobrze się słucha drugiego nocą przy whisky. Może tak było rzeczywiście.

On (Quentin) siedział z głową pochyloną. Nadal mówił tym dziwnym, tym prawie posepnym, jednostajnym głosem, w taki sposób, że Shreve patrzył na niego dociekliwie, z uwagą i bezosobową ciekawością, że nie spuszczał z niego wzroku – uczony cherubin w okularach potęgujących czy może istotnie nadających mu wyraz zdumienia.

– ...Sutpen po prostu wstał, spojrzął na butelkę po whisky i powiedział: „Na dzisiaj dosyć. Idziemy spać. Jutro przecież skoro świt trzeba wyruszać. Może nam się uda go złapać, zanim on nabierze rozpędu.”

Ale im się nie udało. Złapali go dopiero pod wieczór... to znaczy tego architekta, a i wtedy tylko dlatego, że skaleczył się w nogę, próbując za pomocą architektury przeprowić się przez rzekę. Ale że tym razem pomylił się w obliczeniach, więc ostatecznie go wywlekli wśród wrzasku Negrów i jazgotu psów. Może te czarnuchy, powiedział dziadek, uważały, że architekt samym faktem ucieczki zrzekł się dobrowolnie swego stanu prawnego, więc przestał stanowić mięso zakazane, że samym faktem swojej ucieczki naraził się dobrowolnie na gambit, skoro więc im wolno tropić i upolować, tak samo im wolno ugotować go i zjeść – przy czym zarówno oni, zwycięzcy, jak i architekt, pokonany, przyjmą to po sportowemu, bez żadnej urazy czy złości z niczyjej strony. Tamci wszyscy mężczyźni, którzy brali udział w pościgu dnia poprzedniego, wrócili teraz, z wyjątkiem trzech, ale było ich więcej niż na początku pościgu, opowiadał dziadek, bo przywieźli ze sobą innych. No, więc wreszcie wywlekli architekta z jaskini w stromym zboczu tuż nad rzeką. I oto już był między nimi – mały człowieczek we fraku z jednym tylko rękawem, w kwiecistej kamizelce doszczętnie przemoczonej i utyłanej, bo on wpadł do rzeki, i w spodniach rozprutych na łydce spuchniętej, owiązanej zakrwawionym bandażem, a raczej oddartą połą koszuli, i już bez cylindra. Tego cylindra nie odnaleziono, więc dziadek dał mu nowy w dniu jego odjazdu, kiedy budowa domu w Setce Sutpena została zakończona; to było w kancelarii dziadka i dziadek opowiadał, jak architekt przyjmując ten nowy cylinder spojrzął na niego.

Wyszedł z jaskini mały udręczony człowieczek z dwudniowym zarostem na oszalałej twarzy i walczył jak żbik pomimo tej zranionej nogi, a psy szczekały, a Negry wrzeszczały i pokrzykiwały z zabójczą, niecierpliwą radością, chyba już pewne, że po dwudziestu czterech godzinach pościgu wszelkie przepisy muszą być automatycznie zniesione, więc zaraz można gotować ten kasek. Aż wmieszał się w to Sutpen; krótkim kijem odegnał precz wszystkich Negrów i psy i teraz tam stał tylko architekt, też wcale nie wystraszony, tylko trochę zadyszany, z takim wyrazem twarzy, opowiadał dziadek, jak gdyby mu się

zbierało na mdłości, bo Negry w gorączce tego pojmania źle się obeszyły z jego zranioną nogą. Stał tam wygłaszając do nich długą przemowę po francusku tak szybko, że z pewnością, jak powiedział dziadek, nawet rodowity Francuz nic by z tego nie zrozumiał. Ale to brzmiało wspaniale, powiedział dziadek, tak brzmiało, że oni wszyscy, dziadek i tamci goście, i nawet Sutpen, od razu mogli poznać, że architekt wcale nie przeprasza; to była wspaniała przemowa, powiedział dziadek, i powiedział, że Sutpen odwrócił się wtedy do niego, niewłaściwie niepotrzebnie, bo on, dziadek, właśnie podchodził do architekta z butelką whisky, już nawet odkorkowaną. Wtedy dziadek zobaczył te oczy w wymizerowanej twarzy, te oczy architekta pełne beznadziejnej rozpacz, a przecież i nie pokonane i nie do pokonania. Oczy niezwykłe – jeszcze im było do klęski diabelnie daleko, powiedział dziadek, pomimo bezsennych pięćdziesięciu kilku godzin ciemności i bagna, i trudów bez żadnego żarcia, bez żadnego celu, bez świadomości, dokąd skierować kroki, i bez nadziei wydostania się dokądkolwiek – widać było w tych oczach wolę przetrwania i świadomości niedoli, ale diabelnie daleko było im do tego, żeby być oczami kogoś, kto został pokonany. Jedną ręką, brudną, podobną do łapy szopa, architekt ujął butelkę, a drugą podniósł do głowy, nawet przez chwilę macając się po włosach, zanim sobie przypomniał, że już nie ma cylindra; wtedy machnął ręką w sposób, którego, powiedział dziadek, wprost niepodobna opisać, jak gdyby zebrał w palcach wszystkie nieszczęścia i klęski całej ludzkości, zebrał je w szczyptę i cisnął za siebie przez głowę, a potem wznosił butelkę, uklonił się najpierw dziadkowi, później wszystkim tamtym wokoło, patrzącym z koni na niego, i wypił pierwszy w swoim życiu łyk czystej whisky, owego trunku, przy którego picciu nawet w swych najbardziej fantastycznych rojeniach nigdy dotąd na pewno siebie nie widział, podobnie jak bramin by nie uwierzył, że w jakiegokolwiek nawet najfantastyczniejszej sytuacji mógłby zjeść psa. Quentin zamilkł. Natychmiast odezwał się Shreve: – Dobrze. Nie fatyguj się i nie mów, że on skończył, tylko opowiadaj dalej.

Ale Quentin nie zaraz zaczął opowiadać dalej tym jednostajnym, dziwnie martwym głosem, siedząc z głową pochyloną, rozprężony, znieruchomiał; oni obaj siedzieli bez ruchu, bez drgnienia, poza tym, że oddychali – obaj młodzi, obaj urodzeni w tym samym roku: jeden w Albercie, drugi w Missisipi; urodzeni w miejscach odległych od siebie o pół kontynentu, a przecież związani ze sobą, w jakiś sposób na przekór geografii połączeni Wodą Śródlądową, tą Wielką Rzeką, która nie tylko płynie poprzez ziemię jako taką, stanowiąc jej geologiczny pępek, i nie tylko płynie poprzez duchowe istnienia istot żyjących w jej zasięgu, ale która zarazem jest Otoczeniem samym w sobie, niezależnym od stopni geograficznych i klimatu, jest Otoczeniem samym w sobie dla tych istot żyjących w jej zasięgu, chociaż wiele z nich, jak na przykład Shreve, nigdy jej nie

widziało... Oni obaj, jeszcze przed czterema miesiącami zupełnie sobie nie znani, a przecież już od czterech miesięcy połączeni wspólną sypialnią i stołem, używaniem tych samych podręczników – przed tymi samymi wykładami pierwszego roku studiów – w świetle lampy patrzyli teraz na siebie ponad stołem, na którym leżał zabazgrany arkusz papieru, ten list, ta krucha puszka Pandory napelniająca obecnością jakichś gwałtownych, niezdolnych do rozumowania złych duchów i demonów to przytulne mnisie obserwatorium, tę marzycielską nie ogrzewaną alkowę tak zwanego przez nas kwiatu myśli.

– W ogóle się nie fatyguj – powiedział Shreve – tylko mów dalej.

– To by objęło trzydzieści lat – powiedział Quentin. – Minęło trzydzieści lat, zanim Sutpen dorzucił o tym dziadkowi jeszcze coś niecoś. Może przez te lata był zanadto zajęty. Cały czas, jaki mógłby mieć na próżne rozmowy, zajmowało mu urzeczywistnienie tych zamierzeń, które piastował w sercu; jedynym jego odprężeniem były walki z dzikimi Negrami w stajni, tam gdzie ludzie mogli, zajeżdżając od tyłu, uwiązywać konie tak, żeby ich nie zobaczono w domu, bo on już wtedy był żonaty, jego dom jaśniał wykończony do ostatniego szczegółu, i to już było po tym aresztowaniu za kradzież i zwolnieniu, więc wszystko zostało raz na zawsze załatwione i miał teraz w tym domu żonę i dwoje dzieci... nie, nawet troje... i ziemię wykarczował i obsiał ziarnem, które mu dziadek pożyczył na początek, więc odtąd już stale, spokojnie się wzbogacał...

– Aha – powiedział Shreve. – Jeszcze ta sprawa z panem Coldfieldem; co to właściwie było?

– Nie wiem – powiedział Quentin. – Nikt nigdy nie wiedział o tym nic pewnego. To chodziło o jakiś konosament. On jakoś namówił pana Coldfielda, żeby pan Coldfield wykorzystał swój kredyt: to była jedna z tych spraw, co to albo się udają, i wtedy człowiek uchodzi za sprytnego, albo się nie udają, i wtedy człowiek zmienia nazwisko, i przenosi się do Teksasu. Ojciec mówił, że pan Coldfield na pewno siedząc w tym swoim małym sklepiku i patrząc, jak asortyment jego towarów podwaja się w powolnym, na dziesiątki lat rozwleczonym tempie czy może nawet wcale się nie powiększa, tyle tylko że nie maleje, przez cały czas widział również i możliwość zrobienia szybko jakiegoś korzystnego a ryzykownego interesu, na co jednak sumienie (nie tchórzostwo: ojciec powiedział, że on był bardzo odważny) nie chciało mu pozwolić. Aż tu nagle zjawił się Sutpen i zaproponował, że sam to załatwi i jeżeli mu się uda, to oni obaj z panem Coldfieldem podzielą się łupem, a jeżeli się nie uda, to on, Sutpen, przyjmie całe odium na siebie. I pan Coldfield się zgodził. Ojciec powiedział, że pan Coldfield nie wierzył w powodzenie tej sprawy, nie wierzył, że to im ujdzie na sucho, ale ponieważ myśli

o tym go nie opuszczała, uznał, że powinien tego spróbować; bo gdyby w ogóle nie

z tego nie wyszło, to on wreszcie zdołałby tę myśl od siebie odrzucić, a gdyby to zawiodło na całej linii i obu ich skompromitowało, stanowczo przyjąłby część winy na siebie, żeby w ten sposób odbyć karę i pokutę za grzeszenie myślą przez te wszystkie lata. Bo pan Coldfield nigdy nie wierzył, że to się uda. Toteż kiedy zobaczył, że to się jednak udaje, że to się już udało, zrobił przynajmniej tyle, że odmówił przyjęcia swojego udziału w zyskach; i nie Sutpena znienawidził, kiedy zobaczył, że to się udało, ale własne sumienie – własne sumienie i tę ziemię, ten kraj, który najpierw mu sumienie dał, a potem podsunął sposobność do zarobienia tych wszystkich pieniędzy po to, by sumienie musiało je odrzucić. Znenawidził ten kraj tak bardzo, że nawet cieszył się widząc, jak prąd go znosi coraz bliżej zabójczej, przez los przesądzonej wojny; ojciec powiedział, że on by się nawet zaciągnął do wojsk jankeskich, gdyby jeszcze na żołnierza się nadawał i gdyby nie wiedział, że wtedy by albo poległ, albo umarł w ciężkich frontowych warunkach, i tym samym nie dożyłby dnia, w którym Południe sobie uświadomi, że płaci w końcu sprawiedliwą cenę za to, że swoją gospodarkę wzniosło nie na opoce surowej moralności, ale na ruchomych piaskach oportunistycznego i moralnego rozboju. Więc jedyny gest, jaki zdołał wymyślić, chcąc swoją dezaprobatę wyrzucić na tych, którzy tę wojnę przeżyją, więc będą uczestniczyli w ogólnokrajowych wyrzutach sumienia...

– A jakże – powiedział Shreve. – To paradne. Ale Sutpen. To zamierzenie. No, mów dalej.

– Właśnie – powiedział Quentin. – To zamierzenie... Powiększać swoje bogactwo. Na pewno układało się to przed nim pięknie i wyraźnie: miał dom już ukończony, i nawet jeszcze większy, jeszcze bielszy niż tamten dom, do którego wtedy dawno przyszedł od frontu, a ten czarnuch, ubrany jak małpa, kazał mu pójść naokoło do drzwi kuchennych; i miał własną przednią mieszankę czarnuchów, i to takich, jakich nie miał tamten człowiek, leżący bez butów w hamaku, i mógł teraz spośród nich wybrać sobie jednego i wytresować tak, żeby ten czarnuch potrafił wyjść na próg, kiedy jakiś bosy mały chłopak w skróconych portkach swego taty przyjdzie z kolei do niego, do Sutpena, i zapuka do jego frontowych drzwi. Chociaż ojciec powiedział, że teraz to już nie chodziło o to, bo Sutpen u dziadka owego dnia po trzydziestu latach wytłumaczył, o co chodzi.

Nie próbował usprawiedliwiać się bardziej niż wtedy w wąwozie w czasie polowania na architekta, ale tylko chciał to wyjaśnić, bardzo chciał to wyjaśnić, bo już był stary i wiedział, wiedział, że właśnie przeciwko starości musi teraz przemawiać: choćby nawet liczył na swój organizm tak, jak liczył na swoją wolę i odwagę, to jednak miał przed sobą coraz mniej czasu, w którym mógł i chciał wykorzystać swoje szansę. Więc powiedział dziadkowi, że jemu już nie chodzi o tego chłopca-symbol pod drzwiami, bo chłopiec-

symbol to tylko twór wyobraźni zdumionego, zrozpaczonego dziecka; że on chce zabrać tego chłopca tam, gdzie ten chłopiec już nigdy więcej by nie musiał stać przed białymi drzwiami i kołatać, chce go zabrać nie po to, żeby dać mu dach nad głową, ale po to, żeby ten mały, obcy, bezimienny chłopiec, kimkolwiek by był, mógł zatrzaskać te drzwi raz na zawsze za sobą i za wszystkim, co znał dotychczas, i podążyć za świetlistymi, jeszcze nie rozszczepionymi promieniami prosto tam, gdzie jego, chłopca, potomni, którzy może nawet słyszeć nigdy nie będą nazwiska tego przodka, jeszcze czekają na czas, w którym urodzą się i będą żyć, nawet nie potrzebując wiedzieć, że kiedyś raz na zawsze zostali wydarci z bydlęstwa tak samo, jak wydarte zostały jego (Sutpena) rodzone dzieci...

– Już tylko ty mi nie opowiadaj, że to właśnie ja podchodzę do tego tak jak twój staruszek – powiedział Shreve. – Ale mów dalej. Dzieci Sutpena. No, dalej.

– Owszem – powiedział Quentin. – Dwoje tych dzieci. I pomyślał: „Owszem. Może my obaj podchodzimy do tego tak jak ojciec. Może nic nigdy nie zdarza się tylko jeden raz i nic nigdy nie jest ostatecznie skończone. Może żadne zdarzenie nie jest nigdy czymś jednorazowym, tylko rozsuwa się jak zmarszczki na wodzie, kiedy wpada w nią kamyk, i te zmarszczki, te kręgi rozsuwają się coraz dalsze, coraz szersze na stawie połączonym wąską wodną pępowiną z jakimś drugim stawem zasilanym przez ten pierwszy. I niech sobie ten drugi staw nawet ma inną temperaturę wody, inną cząsteczkowość widzenia, odczuwania, pamiętania, niech nawet inaczej odbija bezmiar niezmiennego nieba, to przecież nieważne: wodne echo kamyka, chociaż jego wpadania w wodę staw nawet nie zauważył, i tak roznosi się po wodzie tymi początkowymi kręgami, rozbrzmiewając nieuciszalnym rytmem pierwszego plusku „

I myślał: „Owszem, obaj podchodzimy do tego tak jak ojciec. Albo może ojciec i ja podchodzimy do tego tak jak Shreve, może trzeba było aż ojca i mnie razem, żeby wytworzyć takie podejście Shreve’a, albo może trzeba było Shreve’a i mnie, żeby uznać, że ojciec ma właśnie takie, a nie inne podejście, albo może trzeba było Thomasa Sutpena, żebyśmy podchodzili tak wszyscy.”

– Owszem – powiedział – dwoje tych dzieci, syn i córka, płcią i wiekiem tak świetnie dostrojeni do zamierzeń ojcowskich, że może on, Sutpen, nawet i ten dobór sobie zamierzył; umysłowo i fizycznie tak świetnie dostrojeni, że może on ich wyrwał wprost z niebiańskiej trzody serafinów i cherubinów, dobierając ich tak starannie, jak dobrał tych dwudziestu Negrów w owej wymianie, jaka musiała nastąpić, kiedy się odrzekł pierwszej żony i dziecka, bo odkrył, że ani ta pierwsza żona, ani to pierwsze dziecko niczym do osiągnięcia jego celów się nie przyczynią.

Dziadek twierdził, że nie była to sprawa sumienia, bo Sutpen wtedy w kancelarii po trzydziestu latach powiedział dziadkowi, że wprowadzie zrazu sumienie trochę go gryzło,

ale on to z sumieniem przedyskutował spokojnie i logicznie. Podobnie musiał chyba aż do skutku dyskutować z sumieniem w sprawie tego konosamentu, tego interesu podjętego wspólnie z panem Coldfieldem (tylko że w sprawie żony dyskutował chyba krócej, bo czas naglił). Opowiadał dziadkowi, jak uznał, porzucając żonę, że w tym, co robi, z pewnego punktu widzenia jest jakaś niesprawiedliwość, ale przecież wynagrodził to tak dalece, jak tylko leżało w jego mocy, i postąpił uczciwie; mógłby ją najspokojniej w świecie po prostu opuścić, wziąć kapelusz i wyjść, a jednak tego nie zrobił; miał prawo do wysunięcia roszczeń, jakie dziadek na pewno uznałby za słuszne i sprawiedliwe – roszczeń, jeżeli już nie do całej tej posiadłości, aczkolwiek sam uratował ten dom i plantację, tak samo jak uratował jej białych właścicieli, to przynajmniej do części majątku szczegółowo opisanej i zapisanej mu w intercyzie ślubnej, w owym małżeńskim porozumieniu, w które wszedł w dobrej wierze, nie kryjąc przed nimi swego nędznego pochodzenia i stanu majątkowego, kiedy oni coś nie tylko przed nim ukryli, ale istotnie mu przedstawili fałszywie, a był to fałsz tak jaskrawej natury, że ukryta pod tym fałszem prawda nie tylko by przekreśliła bez jego wiedzy myśl przewodnią jego zamierzenia, ale wszystko, co przecierpiał i zniósł w przeszłości, i wszystko, czego kiedykolwiek zdołałby dokonać w przyszłości dla osiągnięcia swoich celów, zamieniłby w szyderstwo i złudę. Otóż on zrzekł się dobrowolnie wszelkich roszczeń do majątku, biorąc tylko dwudziestu Negrów z tego, do czego miał pełne prawo, co niejedyn człowiek na jego miejscu stanowczo by sobie zatrzymał w zgodzie z prawem, moralnością i obyczajem, już jeżeli nie z własnym sumieniem. A dziadek nie powiedział tym razem: „Poczekaj pan, poczekaj”, bo zobaczył w nim niewinność głęboko wierzącą, że z ingrediencjami moralności jest zupełnie tak samo jak i z ingrediencjami ciasta czy pasztetu, kiedy więc raz je się odmierzy, zrównoważy i wymiesza, i włoży do pieca, nie wyjdzie nic innego niż właśnie owo ciasto czy pasztet. Tak, on tam siedział w kancelarii dziadka i cierpliwie, ze zdumieniem podsumowując sobie to wszystko, usiłował wytłumaczyć, nie dziadkowi ani nawet nie sobie samemu (bo dziadek powiedział, że sam jego spokój świadczył o tym, że on już dawno zrezygnował z wszelkiej nadziei zrozumienia tego kiedykolwiek), tylko okolicznościom, samemu losowi, po kolei te logiczne kroki, którymi chciał dojść do swego celu, a tymczasem doszedł do rezultatu zupełnie odmiennego, wręcz i raz na zawsze niewiarygodnego; powtarzał pokrótce te swoje jasne, proste dzieje (znane teraz im obu, zarówno jemu samemu, jak i dziadkowi) zupełnie tak, jakby je usiłował wytłumaczyć niesfornemu, nieobliczalnemu dziecku: „Bo, pan rozumiesz, piastowałem w sercu pewne zamierzenie; czy ono było dobre, czy złe to już inna sprawa; sedno tkwi w tym, że nie wiem, gdzie popełniłem omyłkę, co ja takiego zrobiłem czy czego nie zrobiłem, kogo skrzywdziłem tym swoim zamierzeniem aż tak bardzo, że doczekałem się

tego rezultatu. Miałem cel, żeby go osiągnąć, potrzebowałem pieniędzy, domu, plantacji, niewolników, rodziny... czyli, oczywiście, i żony. Zabrałem się do uzyskania tego wszystkiego, nie potrzebując niczyjej łaski. Nawet raz zaryzykowałem życiem, jak to pan już ode mnie słyszałeś, chociaż, jak również mówiłem, nie podjąłem tego ryzyka tylko i wyłącznie dla zdobycia żony, aczkolwiek taki to właśnie miało skutek. Ale to też inna sprawa: wystarczy, że już miałem żonę, że przyjąłem ją w dobrej wierze, niczego o sobie nie ukrywając i tego samego oczekując od nich. Nawet nie pytałem o nic, uważasz pan, chociaż można by się było takich pytań spodziewać od kogoś tak nisko urodzonego (a przynajmniej patrzeć na nietakt takiego kogoś przez palce), jako że ten, kto pochodzi z chamów, może przecież nie znać się na dobrych manierach w obcowaniu z jaśnie państwem. Nie pytałem o nic, wierzyłem im i jeszcze sam nalegałem, żeby oni ode mnie wysłuchali wszystkiego o mnie i o moich przodkach; a przecież oni rozmyślnie ukryli przede mną fakt, który znać miałem wszelkie prawo – ukryli, bo orientowali się, że gdybym wiedział, niechybnie uchylilibym się od zawarcia tego związku małżeńskiego. Inaczej przecież by tego przede mną nie ukrywali. O fakcie tym dowiedziałem się dopiero po przyjsciu na świat mego syna. Ale nawet i wtedy nie postąpiłem pochopnie. Mogłem być im wypomnieć te zmarnowane lata, te lata nieodwołalnie już poza mną, stracone, bo nawet o krok nie posunąłem się bliżej celu, te lata stanowiące teraz sumę nie tylko czasu minionego, ale zarazem i sumę czasu przyszłego, który po to, by powetować ten czas miniony i zmarnowany, miałem teraz zużyć na zaczynanie wszystkiego od początku. Ale ja im tego nie wypomniałem. Po prostu im wytłumaczyłem, że ten nowy dla mnie fakt wyklucza tę kobietę i to dziecko z moich życiowych planów, po czym, jak już panu powiedziałem, nie uczyniłem nic, aby zatrzymać sobie nie tylko to, co mogłem uważać za zarobione ryzykiem własnego życia, ale i to, co było moją własnością na mocy podpisanych dokumentów; wręcz przeciwnie, sam sobie odmówiłem wszelkich uprawnień, zrezygnowałem z wszelkich roszczeń do majątku, a to właśnie, żeby naprawić tę jakąś niesprawiedliwość, o którą mógłby mnie ktoś posądzać, jakakolwiek by ona tam była; i zabezpieczyłem te dwie osoby pozbawione, jak może mógłby, kto pomyśleć, tego wszystkiego, co ja zdołałbym posiadać później; sprawa ta została uzgodniona, uważasz pan, uzgodniona pomiędzy obiema stronami. A jednak po trzydziestu latach, po trzydziestu z górą od chwili, kiedy moje własne sumienie ostatecznie mnie upewniło, że nawet gdybym popełnił jakąś niesprawiedliwość, to w każdym razie zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, żeby ją naprawić...”

A dziadek i teraz też nie powiedział: „Poczekaj pan”, tylko powiedział... może nawet krzyknął: „Sumienie? Sumienie? Dobry Boże, człowieku, czegoś ty się spodziewał? Toż nawet mężczyźnie, który był przez ten czas w klasztorze, sam tylko fakt przebywania na

jednym świecie z kobietami, sam instynkt wyczuwania płynącej stąd niedoli podszeptywałyby coś mądrzejszego – już nie mówiąc o mężczyźnie, który przeżył te wszystkie lata tak, jak pan je przeżyłeś. Czyż strach, obawa przed kobietami, jaką przecież musiałeś wyssać z pierwszym mlekiem matki, nie nauczyły cię rozsądku? Cóż to była za otchłanna, ślepo szczenięca niewinność, którą ktoś ci kazał nazywać dziewictwem?! Jakież to sumienie, którym tak frymarczyłeś, mogło ci zagwarantować wiarę w to, że jedyną monetą, za jaką można wykupić się od kobiety, jest sprawiedliwość?”

To właśnie w tej chwili Shreve poszedł do sypialni po płaszcz kąpielowy. Nie powiedział: „Poczekaj”, tylko po prostu wstał i odszedł, pozostawiając Quentina przy stole nad tą książką otwartą i nad tym listem, a potem wrócił już w płaszczu kąpielowym, znów usiadł i wziął ze stołu zimną fajkę, chociaż tylko żeby ją trzymać, ani jej nie nabijając na nowo, ani nie zapalając tej reszty tytoniu, która w niej jeszcze była.

– Dobrze – powiedział. – Więc na Boże Narodzenie Henry przywiózł go do domu, a demon tylko spojrział i już na pierwszy rzut oka poznał tę twarz, którą od dwudziestu ośmiu lat uważał za spleconą po wyrównaniu wszelkich związanych z nią rachunków. Mów dalej.

– Owszem – powiedział Quentin. – Ojciec mówił, że to prawdopodobnie sam Sutpen nazwał go Charles Bon. Charles Dobry. On o tym dziadkowi nie wspomniał. Dziadek tego nie wiedział, ale tak przypuszczał, był prawie pewny. Mogłaby to być część tego oczyszczenia, zupełnie tak, jak on zapewne by odrobił swój udział w uprzątnięciu zużytych łusek po nabojach wtedy po tym oblężeniu na Haiti, gdyby nie był chory (albo może gdyby nie był już zaręczony): może on nawet się upierał przy nadaniu dziecku właśnie takiego nazwiska, jakie sam wymyślił... znów to sumienie, które nie dawało ani tej żonie, ani temu dziecku żadnego miejsca w jego zamierzeniu, nawet gdyby on sam potrafił przymknąć oczy na to coś, co tam było z nimi nie w porządku, już jeżeli nawet nie chciał oszukać reszty świata tak, jak oni oszukali przedtem jego, czy przynajmniej odstraszyć ludzi od wywlekania tego sekretu... więc samo sumienie nie pozwoliło mu nadać temu dziecku, skoro to był chłopiec, ani jego własnego nazwiska, ani nazwiska panińskiego matki, a przecież zarazem zabroniło mu postąpić zgodnie z przyjętym obyczajem i szybko dostarczyć tej porzuconej kobiecie jakiegokolwiek nowego męża po to, by nadać synowi jakieś nazwisko autentyczne. Zdaniem dziadka, on sam wymyślił nazwisko dla tego dziecka, tak samo zresztą, jak wymyślił imiona dla nich wszystkich, jak nazwał ten cały, mówiąc słowami ojca, posiew smoczych zębów: tych Charlesów Dobrych i te Clytemnestry, i tych Henry'ch, i te Judith. I ojciec powiedział...

– Twój ojciec – powiedział Shreve. – On, zdaje się, otrzymał piekielnie dużo spóźnionych wiadomości, i to piekielnie szybko, raptem tylko po czterdziestu pięciu

latach. Jeżeli to wszystko wiedział, to, dlaczego ci mówił, że cały kłopot pomiędzy Henry'm a Bonem to była tylko ta oktoronka?

– On wtedy nie wiedział. Dziadek też mu tego nie mówił. Podobnie jak Sutpen nie powiedział dziadkowi wszystkiego

– No to kto twojemu staruszkowi powiedział?

– Ja. – Quentin nie poruszył się, nie podniósł oczu na Shreve'a, który na niego patrzył. – Na drugi dzień po tym jak... po tej nocy, kiedyśmy...

– Aha – powiedział Shreve. – Po tym, jak ty i ta stara ciotka... Rozumiem. No, dalej. Więc twój ojciec powiedział...

– Powiedział, że on, Sutpen, na pewno stał w tamto popołudnie na frontowej werandzie i patrząc na aleję wjazdową czekał na przyjazd Henry'ego z tym przyjacielem z uniwersytetu, z tym przyjacielem, o którym Henry pisał do domu przez całą jesień. Może, kiedy Henry napisał to nazwisko w swoim pierwszym liście, Sutpen uznał, że to niemożliwe, bo nawet ironia losu ma swoje granice, i za nimi może być już tylko po prostu złośliwym bądź niewinnym zbiegiem okoliczności, igraszką, ale przecież nigdy nie zabójczym ordynarnym kawałem... na pewno tak uważał, bo, jak mówił ojciec, nawet on, Sutpen, prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze nikt na świecie nigdy nie wymyślił imienia czy nazwiska, jakiego ktoś już nie nosi albo kiedyś nie nosił. Więc w końcu oni przyjechali i Henry powiedział:

„To właśnie jest Charles, proszę ojca.”

A on...(– Ten demon – mruknął Shreve.)

– ...zobaczył tę twarz i już wiedział, że czasem zbieg okoliczności może być jak małe dziecko, które przybiegło na boisko piłki nożnej, żeby wziąć udział w rozgrywce; a gracze biegają po boisku wokół nie zadraśniętej głowy tego dziecka i pędzą dalej, ścierają się i w szale walki o fakty zwane wygraną albo przegraną nikt nawet nie pamięta o tym dziecku, nikt nie wie, kto to w końcu przyszedł i zabrał je stamtąd, ratując przed ostateczną zagładą. On, Sutpen, stał tam we własnych drzwiach zupełnie tak, jak przedtem to sobie wyobrażał, planował, zamierzał, i jako żywo po pięćdziesięciu latach oto przyszedł kołatać do jego drzwi ten opuszczony, bezimienny, bezdomny dzieciak, a jednak nigdzie pod słońcem nie było żadnego czarnego małpizona, który by do tych drzwi podszedł i kazał temu dzieciakowi iść precz. Ojciec powiedział, że już wtedy on, Sutpen, chociaż wiedział, że Bon z Judith jeszcze nigdy się nie widzieli, już wtedy chyba ujrzał, jak całe jego zamierzenie – dom, stanowisko, potomstwo i w ogóle wszystko – rozpada się, rozwiewa bezszelestnie, nawet nie wytwarzając podmuchu w powietrzu, nawet nie pozostawiając po sobie żadnych szczątków.

A on tego nie nazwał karą, rykoszetem grzechu ojcowskiego; nawet nie nazwał tego

pechem; zwyczajnie nazwał to pomyłką – pomyłką, której wykryć sam nie potrafił, więc przyszedł z tym do dziadka nie po to, żeby się usprawiedliwiać, ale po to, żeby dokonać przeglądu faktów w obecności kogoś tak bezstronnego (i jego, Sutpena, zdaniem, jak powiedział dziadek, tak znającego się na zagadnieniach prawnych) jak dziadek i żeby dziadek rozejrzał się w tych faktach, zbadał je, przeszukał i wykazał mu, na czym ta pomyłka polega. Nie uważał tego za karę, rozumiesz; widział w tym po prostu skutek jakiejś dawnej rzeczywiście popełnionej pomyłki, którą człowiek odważny i bystry (że był odważny, wiedział; a co do bystrości, to mu się zdawało, że już się jej zdążył nauczyć, że już ją nabył) jeszcze by mógł naprawić, gdyby tylko zdołał ją wykryć. Bo on nie zrezygnował. On nigdy z niczego nie zrezygnował. Dziadek powiedział, że całe jego postępowanie po tej pierwszej wizycie Bona (to, że przez jakiś czas nie robił w ogóle nic, może sam w istocie się przyczyniając do wytworzenia tej właśnie sytuacji, jakiej się obawiał) wynikało nie z nagłego braku odwagi bądź bystrości, bądź bezwzględności, tylko z przekonania, że to wszystko jest skutkiem jakiejś dawnej pomyłki, więc do chwili wykrycia, na czym ta pomyłka polega, nie ma sensu ryzykować popełnienia jakiejś nowej.

Więc zaprosił Bona do swego domu i przez dwa tygodnie tych ferii świątecznych (tylko że na to nie trzeba już było aż tyle czasu; ojciec powiedział, że prawdopodobnie pani Sutpen zaręczyła Judith z Bonem już w chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła nazwisko Bona w liście Henry'ego) Przyglądał się im trojgu: Bonowi, Henry'emu i Judith, albo raczej przyglądał się tylko im dwojgu: Bonowi i Judith, bo o nich dwóch: Henry'm i Bonie, już na pewno i tak wszystko wiedział z samych listów Henry'ego; przyglądał się tym dwojgu przez dwa tygodnie i nie robił nic. A potem Henry i Bon wyjechali z powrotem na uniwersytet i teraz Negr stajenny, który co tydzień woził pocztę pomiędzy Oxford a Setką Sutpena, zaczął przywozić listy do Judith pisane nie ręką Henry'ego (nawet i ten dowód był zupełnie zbyteczny, powiedział ojciec, bo pani Sutpen już i tak zasypywała miasteczko i hrabstwo nowinami o zaręczynach, których jeszcze nie było), a on, Sutpen, widział te listy i w dalszym ciągu nie robił nic. W ogóle nic z tym nie robił prawie do końca wiosny, to jest, dopóki Henry nie napisał, że przywiezie Bona na parę dni przed odjazdem Bona w dalszą drogę. Wtedy to właśnie Sutpen wyruszył do Nowego Orleanu. Nie wiadomo, czy wybrał sobie tę właśnie porę dlatego, że chciał zastać Bona i jego matkę razem i w obecności ich obojga raz na zawsze rozwiązać tę sprawę, tak samo jak nie wiadomo, czy matka Bona go przyjęła, czy nie przyjęła; ani czy-już jeżeli go przyjęła – on próbował raz jeszcze dojść z nią do porozumienia, splanając ją tym razem może pieniędzmi, bo jak powiedział ojciec, człowiek, który może uwierzyć w to, że wzgardzoną, zelżoną i rozgniewaną kobietę da się spłacić za pomocą logiki, może również wierzyć i w to, że da się ją ułagodzić pieniędzmi – więc chyba on spróbował to zrobić,

tylko że mu jakoś nie wyszło; albo też sam Bon, jeżeli był przy tym, odrzucił tę propozycję, chociaż właściwie nie wiadomo, czy Bon kiedykolwiek dowiedział się, że Sutpen jest jego ojcem; może Bon na początku chciał po prostu zemścić się za krzywdę, jaka spotkała jego matkę, i dopiero później poniósł go prąd tej kary, tej klątwy losu, którą, zdaniem panny Rosy, Sutpen, ściągając na siebie, ściągnął też z góry na cały swój ród, zarówno czarny, jak i biały. Tak czy owak, Sutpenowi najwidoczniej nie powiodło się w Nowym Orleanie.

A potem znów nadeszło Boże Narodzenie i znów Henry do Setki Sutpena przyjechał z Bonem, i teraz Sutpen zobaczył, że już nic nie można poradzić na to, że Judith zakochała się w Bonie, przy czym już i tak było wszystko jedno, czy Bon chciał się w ten sposób zemścić, czy też wbrew woli dał się złapać, pogrążyć i skazać. Więc Sutpen, jak się zdaje, wezwał do siebie Henry'ego w tę Wigilię Bożego Narodzenia, wezwał go przed samą kolacją i powiedział mu. (Bo, jak mówił ojciec, on już wreszcie po tym wypadku do Nowego Orleanu poznał kobiety przynajmniej na tyle, że Judith wolał nie wzywać.) I z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź Henry'ego, i Henry rzeczywiście tak odpowiedział, a on spokojnie przyjął zarzut kłamstwa z ust rodzzonego syna, co Henry'ego zupełnie upewniło, że ojciec mu powiedział prawdę. Zapewne Sutpen również z góry wiedział, jak Henry postąpi, i nawet liczył na to, bo, jak powiedział ojciec, on, Sutpen, wciąż jeszcze był przekonany, że to wszystko jest tylko skutkiem jakiejś jego dawnej drobnej pomyłki taktycznej. Był więc jak harcownik w jakiejś małej potyczce, który wprawdzie już nie może się wycofać, chociaż widzi przewagę liczebną przeciwnika, wierzy jednak, że jeżeli tylko będzie dość cierpliwy, dość zręczny, dość spokojny i dość czujny, to na pewno uda mu się doprowadzić do rozsyпки tych przeciwników, po czym każdego z nich wykończyć po kolei.

No, i Henry postąpił w myśl jego przewidywań. On (Sutpen) prawdopodobnie wiedział również, co Henry będzie robił dalej – wiedział, że Henry też pojedzie do Nowego Orleanu, żeby naocznie się przekonać, czy to jest prawda. A potem był już rok sześćdziesiąty pierwszy i Sutpen wtedy też wiedział, co oni zrobią, już nie tylko, co zrobi Henry, ale co zrobi Bon zmuszony przez Henry'ego; może on nawet, (bo przecież był demonem, chociaż na to, żeby przewidzieć tę wojnę, nie trzeba było być aż demonem) przewidział, że Henry i Bon zaciągną się do tej kompanii studenckiej na uniwersytecie; może w jakiś sposób ich obserwował i wiedział nawet, kiedy ich nazwiska się ukazały w wojskowym wykazie, a później przez cały czas w jakiś sposób wiedział, gdzie przebywa ta kompania, jeszcze zanim dziadek wybrano pułkownikiem pułku, w skład którego ta kompania wchodziła. A potem dziadek został ranny pod Pittsburgh Landing (tam gdzie został ranny Bon) i wrócił do domu, żeby się przyzwyczaić do braku prawej ręki, a Sutpen

przyjechał do domu w roku sześćdziesiątym czwartym przywożąc te dwa nagrobki i wtedy właśnie rozmawiał z dziadkiem w kancelarii, tamtego dnia, zanim obaj powrócili na wojnę. Może Sutpen przez cały ten czas wiedział, co się dzieje z Henry'm i z Bonem, może wiedział, że oni są w pułku dziadka, gdzie dziadek do pewnego stopnia może się nimi opiekować, choćby nawet sam (dziadek) nie wiedział, że się nimi opiekuje – jeżeli w ogóle trzeba było na nich uważać, skoro Sutpen i tak już na pewno się orientował, że Henry wyznaczył ten okres próbny dla nich wszystkich trojga: dla siebie, dla Judith i dla Bona, i trzyma ich w tym zawieszeniu, sam borykając się z własnym sumieniem, usiłując je nakłonić do kompromisu z tym, co zamierzał zrobić, dyskutując z własnym sumieniem tak, jak dyskutował przed trzydziestu z górą laty jego ojciec; może Henry stał się teraz takim samym fatalistą jak Bon i zostawił tę sprawę do rozstrzygnięcia samej wojnie, licząc na to, że wojna zabije albo Bona, albo jego, albo ich obu razem (bez żadnej pomocy, żadnego wtrącania się z jego, Henry'ego, strony, skoro to przecież on na własnych plecach przeniósł Bona w bezpieczne miejsce po bitwie pod Pittsburgh Landing), czy też może wiedział, że Południe zostanie pokonane, a wtedy nie będzie już nic aż tak ważne, żeby się zaperzać i sprzeciwiać czy cierpieć, czy umierać, czy nawet żyć dla tego. Więc on przyszedł do kancelarii dziadka... (– Ten demon – mruknął Shreve.)

– ...podczas swego jednodniowego urlopu w domu, kiedy przyjechał z nagrobkami. Już się widział z Judith i myślę, że kiedy popatrzyli sobie w oczy, powiedział: „Ty wiesz, gdzie on jest.”

A Judith mu nie skłamała i wtedy on (bo znał Henry'ego) powiedział: „Ale ty od tamtego jeszcze nie miałaś żadnej wiadomości.” A Judith i tym razem też mu nie skłamała ani nawet nie płakała, bo oboje dobrze wiedzieli, że za jakiś czas i tak przyjdzie list od Bona, jak również wiedzieli, co w tym liście będzie; więc on nawet nie potrzebował pytać: „Kiedy on napisze, że przyjeżdża, to ty pewnie razem z Clytie zabierzesz się do szycia sukni ślubnej?” – choćby nawet Judith, czego zresztą na pewno by nie zrobiła, skłamała, że nie, i tak by wiedział swoje.

Więc umieścił jedną z tych płyt na grobie Ellen, drugą postawił w hallu, po czym pojechał do dziadka i usiłował mu to wszystko wytłumaczyć w nadziei, że może dziadek zdoła wykryć tę pomyłkę, która jego, Sutpena, zdaniem była jedyną przyczyną powstania tego problemu. Siedział tam w kancelarii u dziadka w tym swoim zniszczonym, wytartym mundurze, ze zniszczonymi rękawicami i wypłowiałą szarfą, ze zgniecionym, wystrzępionym i brudnym pióropuszem na kapeluszu (żeby tam nie wiem co, musiał mieć pióropusz; mógłby odrzucić szablę, ale w każdym wypadku pozostawiłby sobie pióropusz); na ulicy przed domem czekał jego osiodłany koń, na którym wkrótce miał wyruszyć w tysięczną podróż do swego pułku; a przecież siedział tam u dziadka w to

jedyne popołudnie urlopu tak spokojnie, jak gdyby takich wolnych dni miał przed sobą jeszcze tysiąc, jak gdyby nigdzie na tym świecie nie było żadnego palącego pośpiechu, jak gdyby po pożegnaniu się z dziadkiem miał jechać nie dalej niż te dwanaście mil do Setki Sutpena, gdzie czekało go tysiąc dni czy może nawet lat monotonnego spokoju we wszelakich dostatkach, gdzie nawet po śmierci miał patrzeć na swoje wspaniałe wnuki i prawnuki rodzące się jak okiem sięgnąć w przyszłość, w której on, chociaż już zmarły, pogrzebany, będzie zawsze tą pyszną figurą, jak go nazywał Wash Jones. W tej chwili jednak w kancelarii dziadka pyszną figurą nie był. W tej chwili niby statek we mgle utkwiał we własnej moralności rozsuwającej wokół niego dumną zaporę bojową; ten mały człowiek zajęty był drobiazgowym dzieleniem włosa na czworo, gdy tymczasem (jak powiedział dziadek) Rzym się rozwiewał i Jerycho waliło się w gruzy – zajęty rozważaniem: „To byłoby słuszne, gdyby...”, albo: „Tamto byłoby niesłuszne, gdyby nie...”, tym roztrząsaniem, do jakiego, jak mówi ojciec, uciekają się zawsze ludzie w starości, kiedy krew krąży im w żyłach coraz wolniej, kiedy kości i arterie im sztywnieją, chociaż ci sami ludzie, gdyby byli jeszcze młodzi, elastyczni i silni, zareagowaliby na te same sprawy jednym prostym „tak” albo „nie”, tak natychmiastowym, pełnym i bezmyślnym jak przekręcenie kontaktu elektrycznego. Siedział tam i mówił, przy czym dziadek teraz już wcale nie wiedział, o czym on mówi, i nawet miał wrażenie, że sam Sutpen nie wie. Bo nawet teraz Sutpen jeszcze nie powiedział dziadkowi wszystkiego. To była znów ta moralność, powiedział dziadek: ta moralność, która nie pozwalała Sutpenowi sprzeniewierzać się, oczerniać pamięci pierwszej żony czy przynajmniej pamięci tego małżeństwa, chociaż on, Sutpen, czuł się przez nie oszukany – nie pozwalała mu na to nawet wobec znajomego, w którego dyskrecję i rozsądek wierzył tak dalece, że chciał się przed nim usprawiedliwić – nie pozwalała mu nawet wobec syna z drugiego małżeństwa, chociaż to właśnie dałoby mu zachować istniejący stan osiągnięć i pragnień całego życia, a już jeżeliby na to pozwoliła, to tylko w razie jakiejś ostateczności. Co nie znaczy, że Sutpen sam nie wiedział, jak postąpić, że się wahał; on by się wtedy nie wahał. Przecież sam nabrał się już, ale przecież się z tego wyplątał, nie prosząc o pomoc nikogo, od nikogo pomocy nie otrzymując, a niechby tak ktokolwiek inny spróbował to zrobić w jego położeniu. Siedział tam w kancelarii dziadka i tylko moralizował nad faktem, że bez względu na sposób postępowania, jaki obierze, rezultat i tak będzie taki sam, czyli to zamierzenie i plan, którym on poświęcił pięćdziesiąt lat swojego życia, równie dobrze przez prawie pełne pięćdziesiąt lat mogłyby w ogóle nie istnieć. A dziadek nawet nie wiedział, o jakim wyborze sposobu postępowania on mówi, przed jaką drugą w swoim życiu koniecznością dokonania wyboru on teraz stoi – nie wiedział dziadek aż do ostatniego słowa, jakie on

wypowiedział, zanim wstał, włożył kapelusz, uściskał dziadkowi lewą rękę i odjechał. Ta druga konieczność dokonania wyboru była dla dziadka równie niejasna, jak niejasny był dla niego przedtem powód rozstrzygnięcia tej pierwszej: to znaczy, wyrzeczenia się tamtej żony i dziecka. Więc dziadek nawet nie powiedział: „Nie wiem, co powinieneś pan wybrać”, nie dlatego, że to byłoby wszystko, co mógłby powiedzieć, i że tak powiem, to byłoby jeszcze mniej niż brak jakiegokolwiek odpowiedzi, ale tylko dlatego, że wszystko, cokolwiek by powiedział, byłoby czymś mniej niż brak odpowiedzi, ponieważ Sutpen i tak na żadną odpowiedź nie czekał, żadnej odpowiedzi się nie spodziewał, skoro przybył do dziadka nie po to, by dziadek mu okazał współczucie albo dał jakąś radę, bo on, Sutpen, przecież i tak by żadnej rady nie przyjął, ani też nie po to, żeby dziadek go usprawiedliwił, bo on przecież to usprawiedliwienie wydusił od własnego sumienia przed trzydziestu laty. Zresztą on, Sutpen, wciąż jeszcze wiedział, że jest odważny, i chociaż może ostatnio zaczął już wątpić o swojej bystrości, którą, jak mu się przedtem zdawało, już dawno nabył, to jednak na pewno wierzył, że ta bystrość przecież gdzieś na świecie istnieje, a skoro istnieje, to można się jej nauczyć, a skoro można się jej nauczyć, to z całą pewnością jeszcze się jej nauczy; a może nawet sobie wyobrażał, jak powiedział dziadek, że choćby ta bystrość nie pomogła mu się wyplątać za tym drugim razem, tak jak mu pomogła za pierwszym, to on przynajmniej mógłby zawsze liczyć na swoją odwagę, na to, że sama odwaga doda mu chęci i siły do zaczęcia wszystkiego od początku po raz trzeci, tak jak już mu chęci i siły dodała po raz drugi. Przybył więc do kancelarii dziadka nie szukając współczucia ani pomocy, bo, jak powiedział dziadek, on nigdy nie nauczył się nikogo prosić o pomoc czy o cokolwiek innego, więc nawet by nie wiedział, co z tą pomocą zrobić, w razie gdyby dziadek zdołał mu jej jakoś udzielić. Przybył do dziadka tylko z tą trzeźwą, spokojną zadumą, może z nadzieją, (jeżeli w ogóle miał jakąś nadzieję, jeżeli w ogóle przybył tam z jakimś innym celem poza tym, żeby pomyśleć głośno), że prawniczy umysł dziadka zdoła spostrzec i wyświetlić tę jakąś początkową pomyłkę, przy której on się w dalszym ciągu upierał, a której sam znaleźć nie potrafił.

„Stałem w obliczu tylko dwóch możliwości: jedną było pobłażanie czemuś, co mi narzucono bez mojej wiedzy, i to w czasie, kiedy byłem w toku osiągnięcia tego, co sobie zamierzyłem, a przecież takie pobłażanie z mojej strony oznaczałoby absolutne i nieodwołalne unicestwienie mojego zamierzenia. Drugą możliwością było trzymanie się pierwotnego zamierzenia, w dążeniu do którego ściągnąłem na siebie to unicestwienie. Wybrałem tę drugą możliwość i w całej pełni, jak tylko to leżało w mojej mocy, wynagrodziłem wszelką krzywdę, którą mogłem tym osobom wyrządzić moim wyborem, płacąc im za przywilej dokonania tego wyboru nawet więcej, niż można było ode mnie oczekiwać albo (na mocy prawa) ode mnie żądać. A jednak oto znów stoję w obliczu

drugiej konieczności wyboru, przy czym dziwnym czynnikiem w tym wszystkim jest nie to, na co pan zwróciłeś uwagę, a co mnie samemu też się wydawało zrazu dziwne: mianowicie fakt, że ta druga konieczność w ogóle powstała; nie, dziwne jest tu tylko to, że każda z tych ewentualności, przed którymi obecnie stoję, że każdy z tych sposobów postępowania, bez względu na to, jakiego wyboru teraz dokonam, doprowadzi do tego samego rezultatu: albo sam własnoręcznie rozbiję moje zamierzenie, co się na pewno stanie, jeżeli będę zmuszony wyciągnąć mój ostatni atut, albo też, jeżeli sam nic nie będę robił, jeżeli pozwolę przybrać tej sprawie taki obrót, jaki sama przybierze, to wprawdzie moje zamierzenie jako takie na pozór, dla oczu świata, zostanie osiągnięte zupełnie normalnie, naturalnie i pomyślnie, ale przecież w moich własnych oczach będzie to tylko szyderstwem, zdradą tego małego chłopca, który przed pięćdziesięciu laty podszedł do tamtych drzwi i został od nich odprawiony z kwitkiem – będzie zdradą tego małego chłopca, dla którego ten cały plan był obmyślony i przeprowadzany do chwili, kiedy powstała konieczność dokonania drugiego wyboru, przy czym ta konieczność wyłoniła się z tamtej dawnej, z tamtej pierwszej konieczności, będącej wynikiem układu narzuconego mi przedtem, chociaż ja do tego porozumienia przystąpiłem w dobrej wierze, nic nie ukrywając, a druga strona czy strony ukryły przede mną ten właśnie czynnik najważniejszy, który rozbiłby mój cały plan, moje zamierzenie, to wszystko, z myślą o czym pracowałem – ukryły go tak dobrze, że dopiero po narodzinach tego dziecka stwierdziłem, że ten czynnik istnieje...

– Twój staruszek – powiedział Shreve. – Kiedy twój dziadek to jemu opowiadał, to przecież on, twój staruszek, tak samo nie rozumiał, o czym ćwierka dziadek, jak dziadek przedtem nie rozumiał, o czym ćwierka demon. Prawda? A kiedy twój staruszek z kolei to opowiadał tobie, ty byś też w ogóle nie rozumiał, o czym oni wszyscy, ten demon i twój dziadek, i twój staruszek, kolejno ćwierkali, gdybyś tam nie pojechał i nie zobaczył się z Clytie. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin. – Dziadek był jego jedynym przyjacielem.

– Demona?

Quentin nie odpowiedział, nie poruszył się. W pokoju było już chłodno. Ciepło z kaloryferów uszło prawie zupełnie: zimne żelazo wygrywało jak na flecie surowe hasło napomnienia, że czas iść spać, czas na sen, na tę małą śmierć, na tę odnowę. Zegar na wieży dawno wydzwonił godzinę jedenastą.

– Dobrze – powiedział Shreve. Wtulił się teraz w płaszcz kąpielowy, zupełnie tak jak przedtem wtulał się w swą nagą, różową, niemal nie owłosioną skórę. – Więc on wybrał. Wybrał rozwiążność. Też bym tak zrobił. Ale mów dalej.

Ta jego uwaga nie była zamierzoną kpina czy uwłaczeniem. Zrodziła się (jeśli w ogóle

z czegoś się zrodziła) z owego pozbawionego wszelkich sentymentów, niepoprawnego sentymentalizmu młodych, który często udaje, że jest twardym, a nierzadko i gruboskórnym lekceważeniem. Nawiasem mówiąc, Quentin nie zwrócił na słowa Shreve'a żadnej uwagi, podejmując swoje opowiadanie tak, jakby go wcale nie przerwał, z głową wciąż pochyloną, wciąż jeszcze zadumany, zdawałoby się, nad tym otwartym listem na otwartej książce między jego dłońmi.

– Tej nocy wyjechał do Wirginii. Dziadek opowiadał, że podszedł wtedy do okna i patrzył, jak on odjeżdża przez rynek, jak oddala się na wychudłym karym ogierze, wyprostowany w wypłowiałym szarym mundurze, w kapeluszu z połamanymi piórami lekko nasuniętym na bakier, ale przecież niezupełnie tak jak ten jego pilśniowy cylinder w dawnych czasach, jak gdyby (mówił dziadek) on już się tak nie chełpił, nie fanfaronował jak dawniej pomimo tej swojej rangi pułkownika i tych wszystkich wojennych przywilejów – nie dlatego, żeby go otrzeźwiła niedola albo żeby był wyczerpany bądź znużony wojną, ale dlatego, że jeszcze nie otrząsnął się z zadumy, nie przestał się borykać z własnymi myślami. Jeszcze nie dając porwać się całkowicie w wir nieobliczalności, niedorzeczności ludzkich poczynań, walczył z tym wirem nie tyle po to, by wynurzając głowę oddychać, ani nawet nie po to, by jakoś próbować ocalić te swoje pięćdziesiąt lat wysiłków i mokołów w celu założenia rodu – walczył, borykał się, bo widział, że jego kodeks moralności i logiki, formuła faktu i dedukcji, ten jego bilans, w którym wyniki się nie zgadzały – że to wszystko razem nie chce pływać czy choćby tylko unosić się na fali. Dziadek zobaczył, jak on podjeżdża do zajazdu Holstona, skąd właśnie wykuszykał stary pan McCaslin z dwoma jakimiś mężczyznami, i zobaczył, jak oni trzech go zatrzymują na chwilę i jak on z nimi rozmawia siedząc na ogierze, mówiąc do nich coś niegłośno, a przecież z tą swoistą pozą i gestem, chociaż bardzo teraz powściągliwym, z tym uniesieniem ramion, jak gdyby wygłaszał kwiecistą orację w sądzie. A potem pojechał dalej. Mógł dotrzeć do Setki Sutpena jeszcze przed zapadnięciem zmroku, więc na pewno dopiero po kolacji skierował swego ogiera w stronę Oceanu Atlantyckiego po pożegnaniu się z Judith, przy którym może znów oboje patrzyli sobie w oczy i on nawet nie potrzebował jej mówić: „Ja do tego nie dopuszczę, jeżeli tylko zdołam.” A ona nie potrzebowała mówić jemu: „Więc nie dopuść do tego, jeżeli tylko zdołasz.” Nie, to było po prostu „do widzenia” i pocałunek w czoło bez żadnych łez; słowo do Clytie i do Washa: pan do niewolnicy, baron feudalny do dworaka: „No, Clytie, dbaj o panienkę Judith. Wash, przyślę ci z Waszyngtonu kawałek poły fraka Abe'a Lincolna.”

Na co Wash chyba odpowiedział takim tonem, jakim zwykł odpowiadać dawniej w altanie obrośniętej winogronami nad gąsiorem whisky i wiadrem wody źródlanej.

„A już, panie pułkowniku; a niech pan pułkownik tam powybijają tych świntuchów, co do jednego.”

Więc on, Sutpen, zjadł placek z kukurydzy, wypił kawę z prażonych żołądź i odjechał.

A potem był rok sześćdziesiąty piąty (dziadek też wrócił na front, już był brygadierem, i to chyba nie tylko dlatego, że stracił rękę) i armia wycofała się przez Georgię do Karoliny, i teraz już wszyscy wiedzieli, że to nie potrwa długo. A potem pewnego dnia Lee posłał Johnstonowi posiłki z któregoś ze swoich korpusów i wtedy dziadek stwierdził, że jednym z podlegających mu teraz pułków jest 23 pułk missisipijski. Dziadek nie wiedział, jak to się stało: czy Sutpen w jakiś sposób się dowiedział, że Henry wreszcie wymusił na swoim sumieniu zgodę, tak jak to jego (Henry'ego) ojciec uczynił trzydzieści lat przedtem, czy może Judith napisała do ojca, że wreszcie otrzymała wiadomość od Bona i że ona i Bon zamierzają się pobrać, czy też może po prostu oni wszyscy czworo jak jedna osoba doszli do punktu, w którym trzeba było coś zrobić, w którym coś musiało się stać – tego już on (dziadek) nie wiedział. Powiedziano mu tylko pewnego ranka, że Sutpen przyjechał do dowództwa pułku i poprosił o pozwolenie zobaczenia się z Henry'm; pozwolenie to otrzymał, z Henry'm się zobaczył, po czym odjechał z powrotem tego samego wieczora, jeszcze przed północą.

– Więc on ostatecznie wybrał – powiedział Shreve. – Ostatecznie rzucił ten swój atut. Więc potem wrócił do domu i dowiedział się...

– Poczekaj – powiedział Quentin.

– ... tego, czego na pewno chciał albo tak czy owak miał się dowiedzieć...

– Poczekaj, mówię ci – powiedział Quentin, chociaż wciąż jeszcze nie poruszył ani nie podniósł głosu podcieniowanego jakąś dziwną powściągliwością. – To przecież ja opowiadam.

„Czy znów będę musiał usłyszeć to wszystko? – pomyślał. – Tak, będę musiał, bo znów to słyszę od początku, znów tego słucham od początku i już nigdy nie będę mógł słuchać niczego innego. Więc najwidoczniej nie tylko człowiek sam kręci się wiecznie w kręgu swego ojca, ale nawet robią to jego przyjaciele i znajomi.”

...Dowiedział się więc, kiedy powrócił do domu, przynajmniej części z tego, co i tak już wiedział, a o czym go uprzedzać ani zawiadamiać wcale nie było trzeba, choćby Judith uprzedziła go nawet o tym, przesłała mu wiadomość, że jest pokonana – ona, która zresztą, zdaniem pana Compsona, w żadnym chyba razie nie pisałyby jemu, że on ją pokonał, tak samo, jakby tego mu nie okazała (przecież nie owdowiała, nie była w żałobie – czyż nie tak powiedziała o niej panna Coldfield?), nie wysłałyby do niego po powrocie inaczej niż tak właśnie, jak do niego wysłała, spokojnie, bez rozpaczyci zacieklej, szalonej,

jakiej on, Sutpen, może się po niej spodziewał, choćby nawet tak mało znał się na kobietach i tak mało się o nich w swym życiu nauczył, jak to twierdził pan Compson, ale przecież na pewno z czymś więcej niż tylko ten lodowaty spokój, z jakim go witała w relacji panny Coldfield... więc znów pocałunek w czoło po tej rozłace bez mała dwuletniej; głosy, słowa spokojne, bardzo powściągliwe, prawie bezosobowe: „I...”

„Tak, Henry go zabił.”

A potem te łzy nagłe, co przestały płynąć już w tym samym momencie, gdy płynąć zaczęły, jakby cała ich wilgoć powlokła warstewką, niby bibułka z papierosa cienką, jakiś nieważki płatek w kształcie ludzkiej twarzy. I już to: „Aha, Clytie! Aha, Rosa! No, Wash! Nie zdołałem się przedrzeć za linie jankeskie tak daleko, by uciąć kawałek tej poły od fraka, wiesz czyjego, co ci obiecałem.”

I to parsknięcie (Jonesa), krztuszący się śmiech, ta dawna idiotyczna wierność garstki gliny połączonej stawami w ciało z krwi i kości, tej garstki, która przetrwa – jak mówił pan Compson – i zwycięstwo, i klęskę.

„No, panie pułkowniku, zabili nas oni, ale nas jeszcze nie pobili, co?”

I to już było wszystko. On wrócił. Był w domu, znów tam, gdzie jego problem sprowadzał się teraz do pośpiechu – do tego, że trzeba się spieszyć, bo czas mija, ucieka.

„On się nie niepokoił – mówił pan Compson – tym, że może mu zabraknąć odwagi i woli; nawet swojej bystrości był pewny. Ani przez chwilę nie niepokoił się tym, że może już nie być zdolny do rozpoczęcia po raz trzeci. On się tylko niepokoił tym, że mogłoby mu nie wystarczyć czasu na dokonanie wszystkiego, na odzyskanie utraconego gruntu pod nogami. Zresztą nie zmarnował ani trochę czasu, jaki mu pozostał. Tej woli i tej bystrości też nie zmarnował, chociaż niewątpliwie nie uważał, żeby dziełem woli i bystrości było podsuniecie mu okazji do trzeciego początku. Prawdopodobnie też nie tyle bystrość czy nawet wola, ile sama odwaga sprawiła, że zaręczył się w ciągu trzech miesięcy z panną Rosą, i to prawie zanim ona to sobie uświadomiła – ta panna Rosa, przodująca uczennica i rzeczniczka kultu nękania demona (nękania, którego on był głównym przedmiotem, ale przecież nie ofiarą), zaręczyła się z nim, jeszcze zanim zdążyła się przyzwyczaić do jego obecności w domu. Otóż to, w tym jego postępku więcej było odwagi niż nawet woli, a jednak było w tym trochę bystrości również – tej bystrości wyrabianej powoli, mozolnie przez całe pięćdziesiąt lat, chwilami kapitulującej nagle i działającej wstecz, chwilami kielkującej nagle i zakwitającej jak kwiat z nasienia posianego w próżni czy też w jakiejś twardej bryle żelaza. Bo, jak się zdaje, on, chociaż nawet się nie zatrzymał w tym przejściu przez dom – w przejściu, które było właściwie nieprzerwanym dalszym ciągiem jego długiej podróży z Wirginii, króciutką przerwą nie po to, żeby przywitać się z rodziną, ale po to, żeby dopaść Jonesa, zaciągnąć go na

zduszone głogami pola wśród resztek płotów i wetknąć mu w rękę topór albo motykę – chociaż się nie zatrzymał, to jednak przeniknął właśnie dzięki swojej bystrości ten jedyny słaby, ten jedyny czuły punkt w zahartowanym staropanieństwie panny Coldfield, potrafił więc jednym natarciem od razu zwyciężyć, wykazując przy tym nieco owej bezwzględnej zręczności strategicznej swego starego mistrza (23 pułk missisipijski był przez jakiś czas pod dowództwem Jacksona). Cóż, kiedy potem bystrość znów go zawiodła. Załamała się, pogrążyła się w dawnej bezsilnej logice i moralności, która już go zdradziła przedtem: jakiego to mogło być dnia, w jakiej bruździe on może stanął wpół kroku jak wryty, z nieczułymi cepigami pługą w chwilowo nieczułych rękach, czy też może jaka sztacheta, którą właśnie przybijał do płotu, zawisła wtedy w powietrzu tak, jakby w ogóle nie miała żadnej wagi dla jego nieczułych rąk, kiedy nagle sobie uświadomił, że w jego problemie kryje się coś więcej niż tylko brak czasu, że ten problem zawiera w sobie jakąś najwyższą esencję tego braku, bo on ma już lat ponad sześćdziesiąt, więc ewentualnie będzie mógł mieć najwyżej jeszcze tylko jednego syna, w najlepszym razie ma jeszcze tylko jednego syna w swoich lędźwiach; może było z nim wtedy jak z tym starym działem, gdyby dział mogło wiedzieć, że ma w sobie już tylko jeden pocisk. W rezultacie, więc zaproponował pannie Rosie właśnie to, co zaproponował, a ona zrobiła właśnie to, co on powinien był przewidzieć i co prawdopodobnie by przewidział, gdyby znów nie utkwiał w machinie tej swojej moralności, która miała wprawdzie wszystkie kółka i śrubki, tylko jakoś nie chciała działać, pójść w ruch. Stąd więc owa propozycja, owa zniewaga i niedowierzanie; potop, podmuch oburzenia i złości, który wywiał pannę Rosę z Setki Sutpena, lekką jak wiór w rozpostartych na tym wietrze, wydętych spódnicach, w kapeluszu (możliwe nawet, że to był jeden z kapeluszy Ellen znaleziony przez nią, kiedy plądrowała na strychu) mocno i byle jak wciśniętym na głowę, przekrzywionym z wściekłości. A on stał z uzdą przewieszoną przez rękę, może z czymś w rodzaju uśmiechu ukrytego pod zarostem i w oczach, co jednak było nie uśmiechem, a wyteżonym skupieniem myśli. A więc to był pośpiech, potrzeba pośpiechu; ta paląca konieczność, ale przecież nie strach, niepokój, tylko po prostu świadomość, że tym razem chybił, chociaż na szczęście to dopiero wstrzeliwanie się w cel lekkim pociskiem, i temu staremu działu, tej starej lufie i lawecie nic to nie zaszkodziło; tylko, że następnym razem może już nie wystarczyć prochu zarówno na wstrzeliwanie się w cel, jak i później na pełny pocisk – on sobie uświadamiał, że nic odwagi i bystrości nawija się na tę samą szpulę, na którą się nawija nic pozostałych mu dni, i że ta szpula coraz bliżej przytacza się w zasięg jego ręki. Ale to jeszcze nie był poważny kłopot, skoro to wszystko (ta dawna logika, dawna moralność, do tej pory niezawodnie zawodzące) już zaczynało się przystosowywać do schematu, już mu w konkluzji wykazując, że to on miał rację,

właśnie tak, jak wiedział, że ją miał, czyli to, co się stało, jest tylko złudzeniem, nie rzeczywistością.

– Nie – powiedział Shreve – ty poczekaj. Teraz mnie daj się trochę pobawić. Więc teraz Wash. On (demon) stoi tam przy koniu: wierzchowiec osiodłany, szabla w pochwie, szary mundur już czekający na spokojny spoczynek wśród moli; i wszystko stracone... jest tylko hańba; i wtedy głos wiernego grabarza, który tę sztukę rozpoczyna i który tę sztukę zakończy, głos zza kulis jak głos samego Szekspira: „No, panie pułkowniku, może pobili nas oni, ale nas jeszcze nie zabili, co?”

I to również nie było ze strony Shreve'a kpina. I to również było barwą ochronną lekkomyślności, żeby zamaskować młodociany wstyd z powodu wzruszenia. Tak samo zresztą maskował się i Quentin. To właśnie taki wstyd był przyczyną posepnej zadumy Quentina i tego lekkiego tonu (zarówno u jednego, jak u drugiego), i wymuszonego blaznowania. Oni obaj w tym zimnym pokoju (teraz zrobiło się zupełnie zimno) poświęconym nauce, rozumowaniom naukowym, które ostatecznie były bardzo podobne do moralizowania Sutpena i demonizowania panny Coldfield – w tym pokoju nie tylko poświęconym tym rozumowaniom, ale nawet i zarezerwowanym na to, i słusznie, skoro właśnie tu, a nie gdzie indziej, te rozumowania (ta logika i ta moralność) mogły wyrządzić najmniej szkody – oni obaj przywarci plecami do oparc swoich krzesel, jak gdyby bronili ostatniego okopu, może nawet, nie zdając sobie z tego sprawy, przekornie mówili „nie” temu missisipijskiemu cieniowi powstałemu z opowiadania Quentina, cieniowi, który kiedyś za życia działał i reagował zgodnie z tym swoim minimum logiki i moralności i który umierając sam uciekał wreszcie od tego, ale po śmierci, już na tę logikę i moralność przecież obojętny i całkowicie odporny, w jakiś sposób stał się tysiącokrotnie bardziej potężny i żywy. Shreve swymi słowami ani nie zamierzał, ani nie wyrządził mu żadnej krzywdy, bo Quentin nawet chwili nie poczekał, nawet się nie zająknął, porywając Shreve'a w dalszy ciąg swego opowiadania natychmiast: bez przecinka czy dwukropka, czy kropki.

– ...żadnego zapasowego pocisku, żeby ryzykować wstrzeliwanie się w cel, więc wypłoszył cel następny tak, jak się wypłasza królika z głogowych zarośli, ciskając grudkę zeschniętego błota. Może tą grudką był pierwszy sznurek paciorków ze sklepiku, który on prowadził do spółki z Washem, wściekły na klientów: tych czarnuchów i to białe tałatajstwo; często wyrzucał ich wszystkich, zamykał drzwi na klucz i zapijał się na umór. I może sam Wash doręczał te paciorki, powiedział ojciec, tenże Wash, który czekał przy bramie owego dnia na jego powrót z wojny, a przedtem po jego odjeździe z pułkiem mówił ludziom, że on (Wash) pilnuje domu i Negrów pana pułkownika, powtarzając to tak długo, że wreszcie sam w to uwierzył. Babcia opowiadała, że Negrzy Sutpena

dowiedzieli się, co on mówi, i zaczęli go zatrzymywać na ścieżce, kiedy szedł z domku rybackiego na bagnach, gdzie Sutpen swego czasu pozwolił mu zamieszkać z wnuczką (miała wtedy jakieś osiem lat). Za dużo było tych Negrów, żeby sam jeden mógł ich zbić czy choćby zaryzykować bijatykę z nimi; więc kiedy go pytali, czemu nie poszedł na wojnę, tylko im mówił: „Złazić mi z drogi, wy czarnuchy!”

A oni wtedy śmieli się już zupełnie wyraźnie i pytali jedni drugich (tylko że niejedni drugich, ale właśnie jego): „Kto to na nas mówi czarnuchy?”

A on rzucał się na nich z kijem, a oni umykali, ale tylko z zasięgu kija, i nawet wcale nie żli, tylko z gębami rozdziawionymi w tym głośnym śmiechu.

Ale on pomimo to nadal nosił ryby i ubitą (czy może ukradzioną) przez siebie zwierzynę, i warzywa do dużego domu i chociaż to było wtedy prawie całe utrzymanie pani Sutpen i Judith (i Clytie również), Clytie nawet nie chciała z tym koszykiem go wpuszczać do kuchni, tylko mówiła: „Stać tam, ty biały. Bliżej nie podchodź. Nie wolno ci było włączyć w te drzwi, jak był pan pułkownik, to i teraz tu nie włącz.”

To się zgadzało z prawdą, tylko że, zdaniem ojca, w tym była pewnego rodzaju duma: on, Wash, nigdy nie próbował wejść do dużego domu, chociaż wierzył, że gdyby chciał to zrobić, Sutpen na pewno by nie pozwolił go przepędzić; to było tak (powiedział ojciec), jak gdyby Wash sobie mówił: „Nie dlatego ja tam nie próbuję wleźć, żeby nie dać byle jakim czarnuchom możliwości do gadania, że to za wysokie progi na moje nogi, ale dlatego, że ja nie zamierzam doprowadzać, żeby pan Tom miał przeze mnie zmywanie głowy od małżonki.”

Ale obaj z Sutpenem popijali razem w tej altanie w niedzielne popołudnia, a w dni powszednie widywał Sutpena (tę pyszną figurę, jak go nazywał) na karym ogierze w galopie po plantacji; ojciec powiedział, że w takich chwilach Wash serce miał spokojne i pełne dumy. Może jemu, Washowi, się wydawało, że ten cały świat, gdzie czarnuchy przez Boga stworzone, jak to wiedział z Biblii, i przekleństwem Boga skazane na zbydłecenie i niewolniczą służbę u wszystkich ludzi o białej skórze, żyją w lepszych warunkach, lepiej mieszkają, a nawet lepiej są odziane niż on i jego wnuczka – że ten cały świat, po którym on, Wash, chodzi zawsze w echach szyderczego, urągliwego czarnego śmiechu, to tylko sen i złudzenie; że jedyną rzeczywistością jest świat zupełnie inny, świat, gdzie oto na karym koniu czystej krwi galopuje (mówił ojciec) jego, Washa, własne samotne bóstwo. Myślał może, mówił ojciec, że skoro Biblia również powiada, że wszyscy ludzie są stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, to przecież przynajmniej w oczach Boga wszyscy stanowią obraz ten sam; więc patrzył na Sutpena i myślał: „Pyszny, dumny mężczyzna. Gdyby sam Pan Bóg miał zstąpić z niebios i jeździć konno po tej zwyczajnej ziemi, to, ani chybi, by sobie umyślił, że właśnie tak będzie wyglądać.”

Może to nawet sam Wash doręczył ten pierwszy sznurek paciorków; ojciec powiedział, że może również doręczał każdą z tych wstążek później w ciągu następnych trzech lat, kiedy ta dziewczyna dojrzewała tak szybko, jak zazwyczaj dojrzewają takie dziewczyny; a już jeżeli nawet nie on sam doręczał te prezenty, to i tak wiedział

o nich i poznawał każdą każdziutką wstążkę, jaką zobaczył u wnuczki, choćby nawet wnuczka mu kłamała, skąd i w jaki sposób ją ma, czego zresztą prawdopodobnie nie robiła, bo przecież nie mogła nie wiedzieć, że Wash od trzech lat dzień w dzień patrzy na te wstążki w sklepowej gablocie, znanej mu jak własna kieszeń. Nie tylko on znał te wstążki, znali je wszyscy inni, ci klienci i wałkonie biali i czarni, którzy przysiadając, przykucając pod gankiem sklepiku gapili się, kiedy wnuczka tamtędy przechodziła, niezupełnie wyzywająca i niezupełnie skurczona ze strachu, i niezupełnie pyszniąca się tymi wstążkami i paciorkami, niezupełnie, ale prawie; po trosze właśnie taka: zuchwała, posepna i trwożliwa.

Ale ojciec powiedział, że prawdopodobnie Wash serce miał nadal spokojne nawet i później, kiedy już zobaczył tę sukienkę i porozmawiał o tym z wnuczką teraz już chyba poważnie, patrząc na nią, skrytą, butną, ale i zalęknioną, kiedy mu powiedziała (jeszcze zanim zdążył zapytać – może zbyt natarczywa, zbyt chętna do wyjaśnień), że to panienka Judith dała jej tę sukienkę, pomogła jej uszyć: i ojciec powiedział, że on, Wash, może właśnie wtedy raptownie sobie uświadomił, że kiedy mijał tych ludzi na sklepowym ganku, oni gapili się i na niego także, więc już na pewno wiedzieli to, czego w jego dotychczasowym mniemaniu tylko się domyślali. Ale jeszcze i teraz serce miał wciąż spokojne, powiedział ojciec, i z miejsca urywając te wyjaśnienia i protesty, odpowiedział wnuczce, jeżeli w ogóle coś odpowiedział: „No już. Jeżeli pan pułkownik i panienka Judith byli łaskawi ci to dać, ani chybi pamiętałaś podziękować, co?”

Nie był zaniepokojony, powiedział ojciec, tylko skupiony, poważny: i ojciec powiedział, że tego samego dnia po południu dziadek pojechał w jakiejś sprawie do Sutpena. W sklepiku od frontu nie było nikogo, więc dziadek już miał wyjść i wracać do domu, kiedy usłyszał ich głosy z izby za sklepem; podchodząc tam, nienaumyślnie podsłuchał tę rozmowę, zanim zdążył dać znać o swojej obecności wołaniem na Sutpena. Nie widział ich, nawet nie dotarł do miejsca, skąd mogliby usłyszeć jego kroki, ale opowiadał później, że sobie dokładnie wyobrażał ich w tej izbie: Sutpen już kazał Washowi podać dzban, a potem Wash się odezwał i Sutpen czekając, żeby Wash wypełnił jego polecenie, zaczął się odwracać, zanim pojawił w pełni znaczenie słów Washa, po czym już je pojmując, na pół odwrócony, znieruchomiał nagle, jak gdyby stanął dęba. Z głową odrzuconą spojrział na Washa, a Wash tam stał, również wyprostowany, nie unізony uparty i spokojny, bez cienia służalczości. Sutpen zapytał: „Sukienka? No więc co z tego?”

Dziadek opowiadał, że to głos Sutpena zabrzmiał krótko i ostro, nie głos Washa; że głos Washa był tylko bezbarwny i spokojny, wcale nie pokorny, tylko cierpliwy i rozwlekły.

„Na dwudziesty rok już idzie, jak znam pana pułkownika, i nigdy tak nie było, żebym nie posłuchał, jak pan pułkownik kazał mi coś zrobić. A przecież mam już sześćdziesiąt lat, a ona to dopiero piętnastoletnia dziewczuszka.”

„Myślisz, że ja skrzywdziłbym jaką dziewczynę? Ja, taki stary jak ty?”

A Wash na to:

„Gdyby pan pułkownik był kto inny, to bym powiedział, że pan pułkownik taki stary jak ja. A stary czy niestary, nie dałbym jej zatrzymać tej sukni ani nic innego, co by było z ręki pana pułkownika. Ale pan pułkownik nie taki jak inni.”

„Jak to nie taki?”

I dziadek opowiadał, że Wash na to nic, więc dziadek zawołał znowu, ale żaden z nich nie usłyszał; a potem odezwał się Sutpen: „To dlatego mnie się boisz.”

A Wash powiedział: „Ja się nie boję. Bo pan pułkownik jest dzielny. I to nie jest tak, że pan pułkownik był dzielny przez jakąś jedną tam sekundę czy minutę, czy godzinę w swoim życiu, co to pan pułkownik aż dostał od generała Lee ten dokument do pokazywania. Ale pan pułkownik jest dzielny tak samo, jak pan pułkownik żyje i oddycha. Mnie tam nie trzeba żadnego biletu od nikogo, żebym to wiedział. I wiem, że wszystko, czego pan pułkownik się tknie swoimi rękami, czy to będzie pułk żołnierzy, czy nieuczona dziewczuszka, czy tylko ogar... to już na pewno pan pułkownik robi z tym tak, jak się należy.”

A potem dziadek nagle usłyszał, że Sutpen porusza się gwałtownie, i powiedział dziadek, że sobie wtedy pomyślał, przypuścił, że on się zastanawia nad tym, co Wash ma na myśli, ale Sutpen powiedział tylko: „Daj no dzban!”

„A już, panie pułkowniku” – powiedział Wash.

Tak, więc nadeszła tamta niedziela w rok po tej rozmowie, a w trzy lata po tym, jak Sutpen zaproponował pannie Coldfield, żeby najpierw spróbowali i jeżeli to będzie żywy i zdrowy chłopak, to wtedy się pobiorą. Niedziela przed świtem... a ponieważ klacz miała właśnie się ożrebić po karym ogierze, więc kiedy Sutpen wyszedł z domu tak wcześnie, Judith myślała, że on idzie do stajni. Co i ile Judith wiedziała o swoim ojcu i wnuczce Washa – nie wiadomo: ile, chcąc nie chcąc, musiała się dowiedzieć z tego, co na pewno wiedziała Clytie (może Clytie jej o tym mówiła, a może nie). Bo przecież wszyscy biali i czarni w okolicy dobrze wiedzieli – każdy wiedział, kto choć raz widział tę dziewczynę przystrojoną w paciorki i wstążki ze sklepiku. Nie wiadomo też, ile wnuczka nie chciała wyjawić Judith w czasie mierzenia i szycia tej sukienki (ojciec powiedział, że istotnie to

Judith tym się zajęła; wnuczka nie skłamała Washowi; one obie siedziały same przez całe dni w ciągu mniej więcej tygodnia tam w tym dużym domu; o czymś musiały rozmawiać, o czymś Judith musiała mówić, kiedy ta dziewczyna kręciła się przy niej w tych jedynych szmatach, jakie posiadała i nazywała bielizną, i posepna, skryta, czujna, coś jej odpowiadała na pytania chyba dotyczące spraw, na które Judith może próbowała przymykać oczy, a może nawet nie próbowała, bo tego przecież nie wiadomo).

Więc w tamtą niedzielę dopiero w porze obiadowej, kiedy Sutpen nie wrócił, Judith sama poszła czy też wysłała Clytie do stajni i dopiero wtedy się okazało, że klacz wprawdzie ożrebiła się w nocy, ale Sutpena wcale tam nie ma. Dopiero koło godziny czwartej czy piątej po południu znalazła Judith jakiegoś chłopaka, któremu zapłaciła pięć centów za to, żeby poszedł do tego starego rybackiego domku i zapytał Washa, gdzie jest Sutpen. Chłopiec pogwizdując wyszedł zza węgła zmurszałej chaty i wtedy zobaczył może najpierw kosę, może najpierw zwłoki wśród chwastów, przez Washa jeszcze nie skoszonych. Wrzasnął wtedy i podniósł oczy: w oknie chaty Wash siedział i patrzył na niego. A potem chyba już po tygodniu złapano tę Murzynichę akuszerkę i ona opowiedziała, jak to było: nawet nie wiedziała wtedy o świcie, że Wash tam jest, kiedy usłyszała tętent konia, a potem kroki Sutpena; Sutpen wszedł do izby i stanął nad siennikiem, na którym leżała ta dziewczyna z noworodkiem, i powiedział: „Penelopa... (to właśnie była ta klacz) mi się dziś ożrebiła. Diabelnie pyszny żrebak. Będzie z niego wykapany obraz jego taty, z czasów, kiedy na nim jechałem na Północ w sześćdziesiątym pierwszym, pamiętasz?”

I mówiła ta stara Murzynicha, że odpowiedziała: „Tak, panie.”

A on wtedy wskazał szpicrutą na siennik i zapytał: „No? Niech diabli porwą twoją czarną skórę: ogier czy klaczka?”

A kiedy ona mu powiedziała, stał tam przez jakąś minutę w ogóle się nie poruszając, z tą szpicrutą przy nodze w paskach słonecznego blasku ze szczeliny w ścianie, siwy, z brodą jednak wcale nie posiwiął. Ta starucha opowiadała, że zobaczyła wtedy jego oczy, a potem błysk zębów, i że już wtedy od razu by uciekła, tylko że nie mogła, bo nogi nie chciały jej dźwigać; a potem on znów spojrzął na tę dziewczynę na sienniku i powiedział: „No, Milly, to fatalnie, że nie jesteś klaczą jak moja Penelopa. Gdybyś była klaczą, dałbym ci w stajni przyzwoity boks.”

I odwrócił się, i wyszedł. Tylko że ona, ta starucha, nawet wtedy jeszcze nie mogła się poruszyć, więc nawet nie wiedziała, że tam przed chatą jest Wash, dopóki nie usłyszała, jak Sutpen mówi: „Odsuń się. Nie dotykaj mnie, Wash.”

A potem głos Washa, cichy: „A ja się dotknę pana pułkownika.”

I znów Sutpen, teraz już ostro: „Odsuń się, Wash.”

A potem usłyszała świst tej szpicruty, ale co do tej kosy, to już nie wiedziała, czy było ją słycać, czy nie, bo właśnie wtedy stwierdziła, że już może się ruszyć, wstać i uciec z chaty w chwasty, więc uciekła...

– Poczekaj – powiedział Shreve. – Poczekaj. Chcesz mi powiedzieć, że on wreszcie miał syna, którego tak pragnął, i pomimo to on...

– ...Wash przewędrował te trzy mile tam i z powrotem jeszcze przed północą, żeby sprowadzić tę starą Murzynicę do wnuczki, a potem siedział na wałącym się ganku, aż nadszedł świt i z chaty przestały dolatywać krzyki wnuczki, przy czym on nawet raz usłyszał pisk tego niemowlęcia. Siedział tam i czekał na Sutpena. I nawet wtedy, powiedział ojciec, serce miał spokojne, chociaż wiedział, co będzie się mówiło już o zmroku w każdej chacie w całej okolicy, tak samo jak wiedział, co się mówi już od czterech czy pięciu miesięcy, odkąd stan wnuczki (którego on zresztą nie usiłował ukryć) nie mógł już ulegać żadnej wątpliwości:

„Wash Jones wreszcie przycisnął do muru starego Sutpena. Dwadzieścia lat mu to zabrało, ale wreszcie go przycisnął tam, gdzie Sutpen będzie musiał flaki wypruć albo pisać.”

To właśnie, powiedział ojciec, on sobie myślał, czekając tam na ganku, gdzie ta stara czarnucha kazała mu siedzieć, dokąd go wyrzuciła. Może siedział nawet przy tym słupie, o który była oparta rdzewiejąca już od dwóch lat kosa, kiedy z chaty dolatywały miarowe jak bicie zegara krzyki wnuczki. Ale serce miał spokojne, bez trwogi; i ojciec powiedział, że może wtedy, gdy on tam siedział we mgle nieporadnych myśli (tej swojej moralności, która w dużym stopniu była podobna do moralności Sutpena i która mu mówiła, że na przekór wszystkim faktom i obyczajom, i w ogóle wszystkiemu, to on właśnie ma rację), we mgle jakoś zawsze rozbrzmiały tętentem galopującego konia, nie tylko w tych dawnych, już zapomnianych czasach pokoju, ale i potem, w ciągu tych czterech lat wojny, kiedy jemu, Washowi, chociaż tego galopu nie widział, dudnił ten tętent w uszach tym waleczniej, tym bardziej jak gromy... więc ojciec powiedział, że może Wash wtedy na ganku wreszcie znalazł odpowiedź i może wreszcie na tle żółtego nieba świtu objawił mu się wyzwolony obraz pysznego, dumnego mężczyzny na pysznym, dumnym ogierze, w pół-skoku, w środku galopu, przy czym ta jego nieporadna, zamglona myśl również się wyzwoliła, nie stając się jednak, powiedział ojciec, żadnym usprawiedliwieniem czy wyjaśnieniem, czy pociechą, czy wymówką, ale tak jak ów obraz będąc samotną, samą przez się zrozumiałą apoteozą ponad wszelkim człowieczym zbrukaniem: „On jest większy niż oni wszyscy, ci Jankesi, co nas pozabijali i naszych, co jemu zabili żonę i zrobili wdowę z jego córki, i przegnali jego syna z domu, i ukradli mu czarnuchów, i zniszczyli mu ziemię; on jest większy niż to całe hrabstwo, o które tak się bił, a ono

w zapłacie za jego dzielność doprowadziło go do tego, że on musi teraz sprzedawać w małym wsiowym sklepiku, żeby zarobić na chleb; on jest większy niż ta cała pogarda i wyrzeczenia, co mu je hrabstwo dało jak ten kielich goryczy z Biblii. A ja... jakże ja bym mógł przez te dwadzieścia lat tak blisko przy nim żyć bez tego, żeby on mnie nie wyuczył i nie zmienił. Może ja nie jestem taki wielki jak on i może ja wcale nie galopowałem na koniu, ale przynajmniej przez cały czas włókłem się za nim wszędzie, gdzie on galopował. Ja i on, my razem, możemy zrobić wszystko, byleby tylko on mi pokazał, jak mam robić to, czego on chce ode mnie.”

I może, kiedy tam stał przy ogierze, trzymając uzdę po wejściu Sutpena do chaty, wciąż jeszcze miał w uszach ten tętent, wciąż jeszcze widział ten wyłaniający się przed nim obraz, tę pyszną postać, która przejeżdża obok, galopuje przez wcielenia, przez kamienie milowe lat, znaczące czas do osiągnięcia szczytu, owego szczytu wszelkiego życia, galopuje niezmiennie, wieczyście, nieśmiertelna pod szablą wzniesioną, pod podartym od kul sztandarem, spadając jak piorun z jakiegoś nieba o żółtej burzowej barwie; stał tam i słyszał słowa Sutpena do jego wnuczki, to powitanie, pytanie i pożegnanie zarazem. Ojciec powiedział, że Wash chyba nie czuł nawet ziemi pod nogami, kiedy patrzył na wychodzącego Sutpena z tą szpicrutą w ręce, i myślał spokojnie jak we śnie: „Ja przecież nie mogłem słyszeć tego, co wiem, że słyszałem. To pewne, że nie mogłem.” I myślał: „To on dlatego zerwał się dzisiaj tak wcześnie. To ten żreback. Nie ja ani moja wnuczka. Nawet nie to jego rodzone małe.”

Może nie tylko nie czuł żadnego gruntu pod nogami, żadnej stałości, ale i nie słyszał własnego głosu w chwili, kiedy Sutpen zobaczył jego twarz (twarz człowieka, który w jego, Sutpena, oczach przez dwadzieścia lat nie zrobił kroku nie na jego rozkaz, tak samo jak ten kary ogier) i przystanął.

„Pan pułkownik powiedział, że gdyby ona była klaczą, to by jej dał pan pułkownik przyzwoity boks w stajni.”

I może nawet nie słyszał głosu Sutpena, gwałtownego, ostrego: „Odsuń się. Nie dotykaj mnie.”

Tylko, że chyba słyszał, bo odpowiedział: „A ja się dotknę pana pułkownika.”

A Sutpen jeszcze raz powtórzył: „Odsuń się, Wash.”

A potem ta starucha usłyszała świst szpicruty.

Były tylko dwa uderzenia tą szpicrutą: dwie pręgi zobaczyli na twarzy Washa tegoż wieczora. Może te dwa uderzenia nawet powaliły go na ziemię; może właśnie podnosząc się, niechcący położył rękę na kosie...

– Poczekaj – powiedział Shreve. – Na Chrystusa, poczekaj. Chcesz mi powiedzieć, że on, demon...

– ... i siedział Wash przez cały dzień w tym okienku, z którego widać było drogę; prawdopodobnie zaraz po odłożeniu tej kosy wszedł do chaty, gdzie może wnuczka na sienniku zapytała go grymaśnie, co to było przed chwilą, na co on jej odpowiedział: „Co? Jaka awantura, kochaneczko?”

I może próbował ją namówić, żeby coś zjadła, może boczek – bo przyniósł boczek ze sklepiku w sobotni wieczór – a może cukierka, próbując ją skusić tym lepkiem farbowanym klajstrem za pięć centów, owiniętym w pasiasty papierek; może i sam coś zjadł i dopiero potem usiadł przy oknie, skąd widać było te zwłoki i kosę w chwastach – usiadł i wyglądał na drogę. Bo tam przecież był, kiedy z pogwizdywaniem wyszedł zza węgła chaty ów chłopak, który go zobaczył. On, mówił ojciec, na pewno wiedział, że to nastąpi, jeszcze zanim się ściemni. Przeczuwał, czuł, jak oni już się wybierają konno ze strzelbami i psami – ci ciekawi, ci mściwi – panowie z rodzaju Sutpena, którzy jadali przy Sutpena stole kiedyś dawno, kiedy on, Wash, nie podchodził do dużego domu bliżej niż do tej altany z winogronami w ogrodzie warzywnym; panowie, którzy kiedyś przewodzili, pokazywali innym, mniejszym od siebie, jak trzeba się bić na polu walki, i może tak samo jak Sutpen mieli dowody na piśmie podpisane przez generałów, że to właśnie oni są najdzielniejsi z dzielnych; panowie, którzy tak samo jak Sutpen galopowali w dawnych czasach butni i dumni na swoich wspaniałych koniach po swoich wspaniałych plantacjach i którzy tak samo jak Sutpen byli przedmiotem podziwu i nadziei, i narzędziem rozpacz i żalości. Ci panowie teraz się spodziewają, że właśnie od takich jak oni Wash będzie uciekał. A przecież on, Wash, wie dobrze, że nie ma ani od czego, ani do czego uciekać; bo to by była tylko ucieczka od jednego tłumu chępliwych złych cieni do innego tłumu cieni zupełnie podobnych, ponieważ oni (ci panowie) są tacy sami wszędzie na całej znanej mu ziemi, a on przecież jest już za stary, już za stary na to, żeby uciec gdzieś dalej, choćby nawet uciekał – w żadnym wypadku uciec by im nie zdołał, bez względu na to, ile mil, jak długo by biegł; człowiek po sześćdziesiątce nie pobiegnie daleko, aż tak daleko, żeby pozostawić za sobą granice tej ziemi, na której tacy jak oni żyją i stanowią ład i porządek. Ojciec powiedział, że Wash wtedy może po raz pierwszy w życiu zaczął pojmować, jak to było możliwe, że Jankesom czy jakiegokolwiek innej armii udało się ich pokonać – tych najlepszych ze wszystkich, tych dumnych i dzielnych, tych uznanych i wybranych chorążych odwagi, honoru i dumy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a on ich wyczuwał już zupełnie blisko; prawdopodobnie, powiedział ojciec, wydawało mu się nawet, że ich słyszy: te wszystkie głosy, ten ich szept jutro, pojutrze i za trzy dni, niezależnie od wściekłości, jaka ich dzisiaj, natychmiast ogarnęła.

„Stary Wash Jones przewalił się nareszcie. Myślał, że ma Sutpena w ręku, ale Sutpen

go wykiwał. Myślał, że Sutpena ma, ale to właśnie on, stary Wash Jones, został wykiwany.”

A potem może nawet krzyknął głośno, powiedział ojciec, może wrzasnął: „Ale ja się nigdy tego nie spodziewałem, panie pułkowniku! Pan pułkownik przecież wie, że ja nigdy.”

Aż może wnuczka poruszyła się niespokojnie i znów go zawołała z rozdrażnieniem, i wtedy on podszedł do niej, uspokoił ją, po czym znów powrócił do tej rozmowy z samym sobą, chociaż teraz już ostrożniej i ciszej, skoro Sutpen i tak przecież był tam pod oknem dostatecznie blisko, żeby słyszeć.

„Pan pułkownik wie, że ja nigdy. Pan pułkownik wie, że ja nigdy nic się nie spodziewałem od żadnego człowieka na świecie i o nic nigdy nie prosiłem żadnego człowieka na świecie, ale od pana pułkownika to się spodziewałem. A nigdy o to nie prosiłem. Miarkowałem sobie, że nie trzeba; tylko sobie mówiłem: „Przecież nie trzeba. Czy trzeba, żeby taki człek jak Wash Jones jeszcze się pytał i miał ślepo nie wierzyć takiemu, co o nim sam generał Lee powiedział na wypisanym własną ręką bilecie, że on jest dzielny?”

Dzielny (i może znów krzyknął głośno, znów się zapominając): „Dzielny! Lepiej, gdyby żaden z nich już nie wrócił w roku sześćdziesiąt piątym.” I myślał: „Lepiej, gdyby tacy jak on i tacy jak ja nigdy się nie urodzili na tym świecie. Lepiej, gdyby wszystkich nas, co tu zostali, wymiotło z tej ziemi, niż gdyby jakiś inny Wash Jones miał jeszcze kiedyś zobaczyć, jak całe jego życie odłupuje się od niego i kurczy jak uschła łupina rzucona w ogień.”

A potem oni nadjechali. Słuchał zapewne, jak nadjeżdżają drogą, słyszał te konie i psy, widział te latarnie, bo już było ciemno. Major De Spain, który był wtedy szeryfem, zeskoczył z konia i zobaczył zwłoki, chociaż opowiadał później, że jeszcze wtedy nie zauważył Washa ani nawet nie wiedział, że on tam jest, dopóki Wash nie odezwał się do niego spokojnie z tego okna, prawie prosto w twarz: „To pan major?”

De Spain kazał mu wyjść z chaty. Opowiadał później, że Wash głosem zupełnie spokojnym odrzekł, że zaraz wyjdzie, tylko że ten głos Washa był jednak zbyt cichy, zbyt spokojny; tak dalece zbyt cichy i zbyt spokojny, że major De Spain, jak później opowiadał, przez chwilę nawet nie zdawał sobie sprawy, że ten głos jest właśnie taki „zbyt”.

„Już zaraz. Tylko muszę dopatrzeć wnuczki.”

„Już my jej dopatrzemy – powiedział De Spain. – Ty wyjdź.”

„A już, panie majorze. Już zaraz.”

Więc czekali na niego przed ciemną chatą, a nazajutrz, jak opowiadał ojciec, co

najmniej ze sto osób przypomniało sobie o tym rzeźnickim nożu Washa – tej jedynej rzeczy w Washa niechlujnym życiu, którą Wash, jak było wiadomo, starannie chował, z której był dumny, o którą dbał, bo to był nóż ostry jak brzytwa. Tylko że kiedy oni sobie o tym nożu przypomnieli, było już za późno. Więc wtedy, czekając tam przed tą chatą, nie wiedzieli, do czego Wash się zabiera. Usłyszeli, jak on idzie w głąb tej ciemnej chaty, a potem usłyszeli głos wnuczki, rozdrażniony, grymaśny: „Kto to? Niech dziadek zapali lampę.”

A potem jego głos: „Nie trzeba światła, kochaneczku. To tylko chwila.”

Wtedy major De Spain wyciągnął pistolet i powiedział: „Ty, Wash! Wychodź stamtąd.”

Ale Wash, nie odpowiadając, wciąż jeszcze szeptał do wnuczki: „Gdzie jesteś?”

A grymaśny głos odpowiedział: „Przecież tu. Gdzie bym miała być? Co to...”

Wtedy major De Spain zawołał: „Jones!”

I już wchodził tam na te połamane schodki, kiedy się rozległ krzyk wnuczki.

Wszyscy obecni tam mężczyźni twierdzili później, że słyszeli w tej właśnie chwili zgrzyt tego noża na szyjach ich obojga, ale major De Spain nie słyszał. Wiedział tylko, opowiadał, że Wash wyszedł już na ganek, więc odskoczył przed Washem w tył, zanim się zorientował, że Wash biegnie wcale nie ku niemu, tylko na krawędź ganku, tam, gdzie poniżej leżały zwłoki; nie zorientował się jednak, że Washowi chodzi o tę kosę. Odskakując jeszcze parę kroków do tyłu, zobaczył, jak Wash się pochyła, a potem znów prostuje. Teraz Wash ruszył już na niego. Właściwie to na nich wszystkich, powiedział major De Spain; biegł prosto w ich latarnie, tak że widzieli nad jego głową tę podniesioną kosę; widzieli jego twarz i jego oczy też, kiedy z kosą podniesioną sunął prosto w latarnie, w lufy strzelb, sunął bezszelestnie, bezgłośnie, kiedy major De Spain w biegu cofając się przed nim, krzyczał: „Jones! Stój! Stój! Bo zabiję! Jones! Jones! Jones!”

– Poczekaj – powiedział Shreve. – Chcesz mi powiedzieć, że on wreszcie miał tego syna, którego tak pragnął, wreszcie po tych wszystkich trudach, i pomimo to odwrócił się na pięcie i...

– Owszem. Pragnął syna. Wtedy w tamto popołudnie w kancelarii dziadka mówił dziadkowi i tłumaczył zupełnie tak, jak mógłby tłumaczyć arytmetykę Henry’emu w czwartej klasie: „Rozumiesz pan, nic więcej nie pragnę, tylko mieć syna. Co wydaje mi się, kiedy patrzę na moich współczesnych, wymaganiem wobec natury i okoliczności bynajmniej nie wygórowanym.”

– Dasz mi wreszcie dojść do słowa? – zapytał Shreve. – Więc on po to zadał sobie trudu z tym synem, żeby już go wreszcie mając, tam za ścianą chaty tak przerobić dziadka tego syna, że aż ten dziadek zabił najpierw jego, a potem i to dziecko także?

– Co? – zapytał Quentin. – To przecież nie był syn. To była dziewczynka.

– Aha – powiedział Shreve – ...no, chodź. Wyłaźmy już z tej cholery lodówki i kładźmy się spać.

VIII

Dziś już nie będzie żadnych głębokich wdechów. Okno nadal pozostanie zamknięte ponad mroźnym pustym dziedzińcem, za którym wszystkie okna w przeciwległej ścianie z wyjątkiem może dwóch czy trzech są ciemne; wkrótce zegar na wieży wydzwoni północ dwunastoma dźwiękami melodyjnie i spokojnie, cienko, czysto, kryształowo w ostrym, nieruchomym, (bo śnieg przestał padać) powietrzu.

– Więc staruszek wysłał czarnucha po Henry'ego – powiedział Shreve – i Henry przyszedł do biblioteki, i staruszek mu wyłożył: „Oni nie mogą się pobrać, bo on jest twoim bratem.”

A Henry na to: „Ojciec kłamie.”

Z miejsca; właśnie tak prędko: tak bezzwłocznie jak światło się zapala po naciśnięciu kontaktu. A staruszek siedział tam i nawet się nie poruszył, i nie uderzył go, więc Henry już nie powtórzył: „Ojciec kłamie”, bo wiedział, że to nie jest kłamstwo. Powiedział tylko: „To nieprawda”, a nie: „Ja w to nie wierzę” – tylko właśnie: „To nieprawda”, bo może teraz znów zobaczył twarz staruszka, i na tej twarzy – demona czy nie demona – malowało się teraz coś w rodzaju żalu i litości nie nad sobą samym, tylko nad Henry'm, bo Henry był tylko młody, a on (staruszek) wiedział, że jeszcze ma w sobie tę odwagę, a nawet i tę całą bystrość też...

Shreve stał przy stole – znów naprzeciwko Quentina, chociaż teraz nie siedział. Stał w palcie krzywo pozapinanym na płaszczu kąpielowym, potężny i bezkształtny jak rozczochrany niedźwiedź, kiedy tak wpatrywał się w Quentina (południowca, w którym krew krążyła zbyt szybko, żeby stygnąć, może podatniejsza do wyrównania zmian temperatury, może dlatego, że pod cieńszą skórą). Quentin siedział w fotelu zgarbiony, z rękami wepchniętymi w kieszenie, jak gdyby chciał się nimi otulić i ogrzać; wyglądał dziwnie wątko, a nawet mizernie, w świetle tej lampy, w różanej łunie, z której uleciało już wszelkie ciepło, wszelkie wrażenie przytulności. Dwa nikle zwiewne obłoczki ich oddechów rozsnuwały się po zimnym pokoju, gdzie teraz byli nie oni dwaj, ale oni czterej: bo ci dwaj, którzy tu oddychali, przestali być sobą, Quentinem i Shreve'em, połączeni teraz z tamtymi dwoma więzią niklejszą, a zarazem silniejszą, chociaż niewidzialną, niż więź łącząca bliźnięta – byli sercem i krwią młodości.

Shreve, o kilka miesięcy młodszy od Quentina, miał lat dziewiętnaście. Wyglądał dokładnie na swój wiek: należał do ludzi, których właściwego wieku nigdy się nie wie, bo wyglądają tak w każdym calu na swoje lata, że to aż się wydaje niemożliwe; aż patrząc na nich człowiek dochodzi do wniosku, że ten on czy ta ona być w tym wieku, na jaki wygląda, nie może, tylko po prostu wykorzystuje swój wygląd na to, żeby podawać wiek

falszywie; więc nigdy się nie wierzy w wiek przez nich podawany z czystej uległej desperacji, jak również nie wierzy się nikomu innemu, kto potwierdza, że tak jest naprawdę. Shreve miał lat dziewiętnaście i dość siły, dość chęci, żeby przeżywać życie za dwóch, za dwa tysiące, za wszystkich ludzi. W tej chwili nie za tych dwóch siedzących w uniwersyteckim saloniku w Nowej Anglii, ale za tamtego jednego w bibliotece w missisipijskim domu przed sześćdziesięciu laty – w bibliotece ozdobionej gałązkami ostrokrzewu i jemioly w wazonach na parapecie kominka i wetkniętymi za obrazy na ścianach, wieńczącymi, koronującymi obrazy, jak przystało na tę porę roku i na ten dzień, przy czym jedna gałązka (a może dwie) zdobiła również fotografię matki z dwojgiem dzieci, tę grupę rodzinną na biurku, przy którym siedział ojciec, kiedy do biblioteki wszedł syn. Oni – Quentin i Shreve – myśleli teraz tak, jak musiał Henry wspominać tę chwilę, kiedy słowa ojca przebrzmiały w powietrzu, a on jeszcze nie zdążył w tym gwałtownym wstrząsie pojąć ich pełnej treści i znaczenia; widział wtedy na pewno przez okno za ojcem ogród – widział, jak siostra idzie z ukochanym milcząc, skłaniając głowę, cicha, zasluchana, i jak ten ukochany pochyla się nad nią, gdy kroczą tak powoli w harmonijnym rytmie znaczonej nie przez oczy, lecz przez serca same, które spokojnym biciem narzucają takt; jak oboje znikają za krzakiem czy krzewem utkanym w gwiazdki białych delikatnych kwiatów – za jaśminem, spireą czy może powojem, albo może za strojnym w bezwonne różyczki nie dające się zrywać krzewem Cherokee. Były to nazwy, jakich Shreve chyba jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, kwiaty, jakich nigdy nie widział, a przecież już owiało go to powietrze, pożywka dla fantazji ich obu. I tutaj w Cambridge, na Uniwersytecie Harvardzkim, nie odgrywał roli fakt, że wtedy w tamtym ogrodzie także była zima, a więc nie mogło być żadnych kwiatów i liści, choćby nawet widziało się z okna, że ktoś tam spaceruje, co zresztą było raczej nieprawdopodobne, skoro jak wynikało z dalszego rozwoju wypadków, w tamtym ogrodzie także już zapadła noc. Ale to nie odgrywało roli, bo to przecież działo się bardzo dawno, nie, to nie odgrywało roli dla nich obu (dla Quentina i dla Shreve'a), tak wyzwolonych z cielesności jak ten ojciec, co niegdyś wydał wyrok i zakaz, jak ten syn, co zadał kłam i wyrzekł się ojca, jak ten ukochany, co nie protestował, i jak ta ukochana, co nie była w żałobie.

Wyzwoleni z cielesności, nie ruszając się z miejsca mogli natychmiast bez żadnych nudnych przejść przenieść się od tego kominka, z tego ogrodu już od razu na osiodłane konie kłusujące z tętentem po twardych, zamarzniętych koleinach traktu w tę dawną noc grudniową i w ten świt ospały Bożego Narodzenia, i w ten dzień spokoju, radości, ostrokrzewów, dzwonów dobrej woli i bierwion w kominkach. To nie tamci dwaj w tamtych czasach czy któryś z tamtych dwóch, ale oni wszyscy czterej odjeżdżali teraz na tych dwóch koniach w nieprzeniknioną ciemność; i to też nie miało znaczenia, jak

wyglądali i jak nazywali sami siebie bądź byli nazywani przez innych – to też nie miało znaczenia, dopóki ta krew krążyła – ta krew nieśmiertelna, wartka, wiecznie współczesna, krew odporna na mijanie czasu, krew tych, którzy potrafili wznieść honor ponad leniwą ugodowość i ponad miłość, i ponad tłuste, łatwe i spokojne życie w pohańbieniu.

– A Bon nie wiedział, że jest synem Sutpena – powiedział Shreve. – Wtedy w bibliotece staruszek się nie poruszył, więc Henry już nie powtórzył: „Ojciec kłamie”, tylko powiedział: „To nieprawda.” A staruszek mu na to: „Więc go zapytaj. Zapytaj Charlesa.” I wtedy już Henry wiedział, że właśnie o tym ojciec myślał przez cały ten czas i że właśnie to miał na myśli on sam, mówiąc, że ojciec kłamie. Bo staruszek powiedział przez to nie tylko: „On jest twoim bratem”, ale: „On przez cały czas wie, że jest bratem twoim i twojej siostry.” W rzeczywistości jednak Bon nie wiedział. Posłuchaj... pamiętasz, jak to ujął twój ojciec? Że on, ten stary facet, ten demon, chyba ani razu nawet przez chwilę się nie zastanawiał, w jaki sposób tamtej żonie udało się go odszukać, wytropić... i chyba nigdy się nie zastanawiał, co ona porabia przez cały ten czas, przez te całe trzydzieści lat od owego dnia, kiedy on uregulował z nią wszystkie swoje rachunki i dostał pokwitowanie już raz na zawsze (w jego mniemaniu), i zobaczył na własne oczy, że ta sprawa została ostatecznie przekreślona (w jego mniemaniu), podarta, rozrzuciona na cztery wiatry: ani razu nie zastanawiał się nad tym przez trzydzieści lat i dopiero potem zaczął się dziwić, dlaczego ona to zrobiła, dlaczego chciała i zdołała go wytropić. Zgadza się, prawda? No, więc ona na pewno tego Bonowi nie powiedziała. Ona by tego nie chciała mu powiedzieć, może przekonana, że on... ten demon, będzie myślał, że ona już dawno o tym powiedziała. Czy może dlatego, że nie nadarzyła się jej odpowiednia sposobność. Może jej po prostu nigdy na myśl nie przyszło, że trzeba będzie temu komuś tak jej bliskiemu, jak to samotne dziecko zrodzone z jej własnego ciała, jednak opowiedzieć, jak ona została wzgardzona i jak cierpiała. Albo może wielokrotnie już mu o tym mówiła, jeszcze zanim on podrośł na tyle, żeby rozumieć słowa; toteż kiedy w końcu był duży i rozumiał wszystko, co się do niego mówi, jej się mogło wydawać, że on o tym wie od dawna. Może mu to przedtem mówiła tak często i tak dobitnie, że te słowa już w ogóle straciły dla niej cały sens, skoro ten sens zgoła nie był jej przecież potrzebny, toteż doszła do stanu, w którym, myśląc, że to mówi, milczała, a znów, kiedy wydawało się jej, że milczy, to naprawdę było nie milczenie, tylko ta nienawiść i ta wściekłość, i ta bezsenna, ciągła pamięć. Albo może ona nie chciała, żeby on dowiedział się o tym przed czasem. Może specjalnie go tresowała na godzinę i chwilę, której przewidzieć nie potrafiła, ale która w jej przekonaniu miała nadejść na pewno. Bo dla niej ta chwila nadejść musiała, inaczej ona by tak jak ta ciotka Rosa podawała

w wątpliwość, że się w ogóle urodziła; musiała nadejść chwila, kiedy on (Bon) stanie u boku swego ojca (nie twarzą w twarz) tam, gdzie przeznaczenie czy szczęśliwa gwiazda, czy sprawiedliwość, czy jak tam ona sobie to coś nazywała, dokona reszty (i rzeczywiście dokonało, lepiej, niżby ona sama to obmyśliła czy w najśmielszych nadziejach bądź nawet w snach sobie wymarzyła – chociaż, jak powiedział twój ojciec, jej nawet to nie mogło zaskoczyć, bo przecież ona była kobietą). No, więc tresowała go osobiście, prowadziła za rękę, sama go myła i karmiła, i kładła do łóżka, dawała mu cukierki i zabawki, dostarczała wszelkich innych dziecinnych radości i rozrywek, i potrzebnych rzeczy w odmierzanych dawkach jak lekarstwo – zawsze osobiście; nie dlatego, żeby musiała to robić, bo przecież stać ją było na to, żeby zaangażować dwanaście nianiek, kupić sto niewolnic za te pieniądze, tę forszę, jakiej on (demon) dobrowolnie się wyrzekł dla niej, żeby wyrównać swoje rachunki moralne; była jak ów milioner z anegdoty, który może sobie pozwolić na tuzin stajennych i pachołków, ale który ma tylko jedną służącą, jednego konia, jedną przed oczami chwilę, jeden zespół serca i mięśni, i woli nastawiony na tę jedną chwilę; podobnie jak ów milioner w kombinezonie cierpliwie, w pocie czoła i w stajennym gnoju opiekował się swoim jedynym koniem, tak ta matka wychowywała syna tylko po to, żeby mu w pewnej chwili powiedzieć: „On jest twoim ojcem. To on porzucił ciebie i mnie, odmawiając ci swego nazwiska. A teraz do dzieła!”

A potem miała usiąść z założonymi rękami i pozwolić to wykończyć Panu Bogu – wszystko jedno jak: pistoletem, nożem czy torturą; zabójstwem czy żalostí, czy udręką; boską było rzeczą pokierować tym strzałem czy też obrócić to koło tortur. Jezu, jego prawie można zobaczyć: taki malec, który już się dowiedział, już przewidywał, jeszcze zanim potrafił pamiętać własne imię czy nazwę rodzinnego miasta, jeszcze zanim nauczył się wymawiać to imię, tę nazwę poprawnie. Nieraz matka go odciągała od zabawy i brała w objęcia mocno, z zacieklą miłością (albo tym, co w jego mniemaniu uchodziło za miłość) trzymając go u swych twardych, sztywnych kolan, pochylając nad nim twarz, która wyryła mu się w pamięci, jeszcze zanim miał pamięć, jako coś, co czuwało nad wszystkimi zwierzęcymi uciechami podniebienia, żołądka i wnętrzości, nad ciepłem i nad przyjemnościami, i nad bezpieczeństwem; i uważał te przerwy w zabawie za jeszcze jedno zwykłe życiowe zjawisko, kiedy niczym jastrząb spadała na niego ta twarz w jakimś rozgorzałym bezruchu; prawie jak gorączka malowała się na niej wściekła, wręcz niemożliwa do zniesienia, nigdy nie wybacząca zawziętość (nie gorycz i nie rozpacz: tylko nieubłagana wola zemsty za kiedyś doznaną krzywdę), a on widział w tym jeszcze jeden objaw miłości ssaków i wcale nie wiedział, o co tu, do diabła, chodzi. Za młody był, żeby jak zgrzeblem wyczesać z tej furii i nienawiści, i tego zadyszanego, karkołomnego pośpiechu jakiegokolwiek skojarzenia i wnioski. Ani tego nie pojmował, ani go to nie

obchodziło: był tylko ciekawy, tworząc sobie (bez niczyjej pomocy, bo któż miał mu dopomóc?) własne pojęcia o tym Porto Rico czy Haiti, czy gdziekolwiek tam to było, skąd podobno pochodził; niejasno sobie wyobrażał, że właśnie stamtąd przyszedł na ten świat, podobnie jak prawowierne dzieci wyobrażają sobie, że przyszły na świat z nieba albo że przyniósł je bocian czy coś w tym rodzaju, z tą tylko różnicą, że jego problem był inny; bo na przykład ty nigdy nie myślałeś o tym, że wrócisz tam, skąd cię przyniósł bocian (przynajmniej twoja matka z pewnością nie miała zamiaru tam cię oddać; i może zresztą sam, kiedy dojdiesz do wieku matki, też będziesz przerażony każdą swoją myślą, która choć trochę ci zapachnie życzeniem powrotu tam, skąd na ten świat przyszedłeś). W twoim wypadku chodziło nie o to, żebyś wiedział, kiedy i jak stamtąd przyszedłeś na świat, ale o to żebyś wiedział, że już stamtąd uciekłeś, i ta sama potęga, która stworzyła tamto miejsce, żebyś je znienawidził i chciał się stamtąd wyrwać, sprawiła również, że się stamtąd wydostałeś, że możesz je nienawidzić już z daleka w ciszy i jednostajności (choć niezupełnie w tym, co ty byś nazwał spokojem): w twoim wypadku chodziło o to, żebyś Panu Bogu dziękował za fakt, że już nie pamiętasz tamtego miejsca, chociaż jednocześnie nie wolno ci (może byś nie miał odwagi) kiedykolwiek o nim zapomnieć. On chyba nawet nie wiedząc, kiedy, uznał za pewnik, że wszystkie inne dzieciaki też nie mają ojców, że wszystkim innym dzieciakom też ktoś codziennie albo prawie codziennie przerywa zabawę, te wszelkie nieszkodliwe zajęcia, przy jakich ani się nikomu nie przeszkadza, ani nawet nie myśli się o nikim – ktoś o wiele większy i silniejszy, więc trzeba minutę czy może pięć minut wytrzymać w uścisku tego kogoś pod czymś w rodzaju pękniętego wodociągu, w wylewie niepojętej furii, gwałtownej tęsknoty, mściwej, wściekłej zazdrości. Uznał za pewnik, że te uściski stanowią część dzieciństwa, coś, co matki wszystkich dzieci otrzymały poprzednio od swoich matek, które ze swojej strony otrzymały to w jeszcze dalszej przeszłości, i że ciągnie się takie przekazywanie od nieskończoności, od samych czasów tego Porto Rico czy Haiti, czy co tam to jest, skąd na świat przychodzą wszyscy ludzie, ale gdzie nikt z ludzi nigdy nie mieszka. Uznał też za pewnik, że i on, kiedy dorośnie, będzie musiał z kolei przekazać to swoim dzieciom (może właśnie wtedy i tam, myśląc o tym, doszedł do wniosku, że to jednak za duży kłopot i fatyga, więc postanowił czy przynajmniej poczuł nadzieję, że nie będzie miał dzieci). Był przekonany, że nikt pod słońcem nie ma ojca ani żadnego prywatnego Porto Rico czy Haiti, tylko wszyscy na świecie mają matki, które ich wychowują – te twarze w niemal wymiernych odstępach czasu spadające jak jastrzębie, wprost z jakiejś pradawnej ciemności pełnej uraz i zniewag, jakich w życiu nikt, żaden człowiek z krwi i kości, sam nawet nie doznawał, tylko po prostu je odziedziczył: wszyscy chłopcy z krwi i kości, którzy chodzą po świecie i oddychają, powstali z jednego i tego samego uniknięcia

mętnej i niejasnej sprawy ojcostwa, a więc są połączeni braterstwem powszechnym i wszechobecnym na tej ziemi...

Quentin i Shreve wpatrywali się w siebie – raczej spode łba, nad nikłymi obłoczkami pary swych spokojnych, równych oddechów, które miarowo wsnuwały się w powietrze, zimne teraz jak w grobowcu. Dziwnie się wpatrywali – ze spokojem, z głębokim skupieniem, nie jak dwaj młodzi chłopcy, ale prawie tak, jak mogliby patrzeć na siebie dziewczę i chłopiec i młodzianka dziewczyna; było w ich wzroku jakieś ciche, niczym nie osłonięte poszukiwanie, jakieś obciążenie odwieczną obsesją młodości – nie ową obsesją wleczenia się czasu zawadzającego swoim ciężarem, ową obsesją, z jaką żyją ludzie starsi – u nich dwóch to była obsesja płynności czasu, tych chyżych, w ucieczce migających pięt wszystkich minionych bezpowrotnie chwil piętnastego i szesnastego roku życia.

– A potem on już podrośł – powiedział Shreve – i puścił się fartucha matki wbrew jej woli (może również i wbrew własnej woli; może wbrew woli ich obojga), i nawet go to nie obchodziło. Zorientował się, że matka coś zamyśla, ale to go też nie obchodziło; nie przejmował się nawet tym, że nie wie, co to może być; starszy teraz, orientował się, że ona dotychczas go kształtowała i hartowała, chcąc, żeby został narzędziem do wykonania czegoś, co własną ręką ona nieubłaganie zamierza wykonać. Może nawet stwierdził jakoś (sam), że swoimi sztuczkami zdołała mu ten kształt i hart nadać, ale to też go nie obchodziło, bo prawdopodobnie już zdążył się nauczyć, że istnieją tylko trzy rzeczy, i nic więcej – oddychanie, przyjemność i mrok; a bez pieniędzy przecież nie może być przyjemności, a bez przyjemności nawet samo oddychanie byłoby tylko jakimś czysto protoplazmicznym wzięwaniem i prostracją ślepego praustroju w mrokach przed początkiem światła. A on miał pieniądze, mógł na pieniądze zawsze liczyć, bo wiedział, że ona wie, że tylko pieniędzmi można go ugłaskać i zmusić, żeby dobiegł do mety, kiedy nadejdzie ten dzień Wielkich Wyścigów, a znów ona skąpić mu nie miała odwagi i wiedziała, że on o tym wie; może ją nawet szantażował, wyciągał od niej pieniądze po prostu tak: „Dawaj mi forszę na wszystko, czego mi potrzeba, to ja jeszcze nie zapytam dlaczego i za co.”

Czy też może ona była tak pochłonięta tym doglądaniem go jak wyścigowego konia, że już nie miała kiedy myśleć o pieniądzach – ona, która prawdopodobnie i przedtem nigdy nie miała czasu na to, żeby o nich pamiętać czyje liczyć, czy zastanawiać się, ile tego tam jest, w tych wolnych chwilach pomiędzy napadami nienawiści i wściekłości. Więc w wydawaniu pieniędzy powściągał go tylko ten radca prawny, ten adwokat. Ale on (Bon) prawdopodobnie jeszcze przed wszystkim innym nauczył się, że w każdej chwili może iść do matki i raz na zawsze adwokata wykończyć, podobnie jak ów koń milionera może nie więcej niż raz pokazać się milionerowi z odrobiną nadprogramowego potu na

grzbiecie, żeby już nazajutrz mieć nowego dżokeja. To oczywiste, że nad majątkiem czuwał adwokat, ten adwokat wyciągający forszę od własnej prywatnej obłąkanej milionerki, która prawdopodobnie nie interesowała się tymi pieniędzmi nawet na tyle, żeby na czekach przedkładanych jej do podpisu zobaczyć, co tam już jest wypisane. Od niepamiętnych dla niego czasów ten to adwokat knuł z jego matką plany, knuł plany na dzień, kiedy on, chłopiec, młodzieniec, ma zostać zamieniony za życia w urodzajną glebę – w próchnicę, przy czym adwokat już i tak na własną rękę orał, obsiewał i zbierał plony zarówno z niego, jak i z jego matki, jak gdyby ta zamiana w próchnicę była już faktem dokonanym. Ten to adwokat miał może jakąś tajną szufladę w skrytce i tajny dokument w tej szufladzie, może nawet mapę, w którą dla orientacji niczym generał podczas kampanii wbijał kolorowe szpilki, i miał te wszystkie notatki zapisane szyfrem.

„Dziś Sutpen sfinalizował obrabowywanie pijanego Indianina ze stu mil dziewiczej ziemi, wart. 25 000 \$. Dziś o godzinie 2.31 wyszedł z bagna z ostatnimi balami do budowy domu, wart, łącznie z ziemią 40 000 \$. Dziś o godzinie 7.52 ożenił się. Groźba wyjawienia bigamii wart. na razie chyba żadna, chyba że znajdzie się szybko nabywca na ten dom i ziemię. Mało prawdopodobne. Niewątpliwie złączył się z żoną tegoż wieczora. Dajmy na to jeden rok.” A potem, może też z datą i z godziną: „Syn, wart. sama przez się, ewentualna, chociaż nieprawdopodobna, wymuszona sprzedaż domu i ziemi plus wart. krescencji minus 1/4 dla dziecka.

Wartość uczuciowa dwukrotnie większa razy zero plus wart. krescencji. Dajmy na to 10 lat i ewentualnie jeszcze jedno albo więcej dzieci. Wartość sama przez się, wymuszona sprzedaż domu i zmeliorowanej ziemi plus aktywa płynne minus część należna dzieciom. Wartość uczuciowa dwukrotnie większa razy roczny przybytek na każde dziecko plus wartość sama przez się, plus aktywa płynne, plus bieżący kredyt rolniczy” – i może w tym miejscu również z datą: „Córka”.

I może nawet było widać ten znak zapytania zawisły w powietrzu po napisaniu tego słowa, i może nawet jeszcze trzy razy to słowo zabrzmiało: „Córka? Córka? Córka?” – przeciągle, przeciągle nie dlatego, że ciągnęła się ta myśl adwokata, ale dlatego, że, przeciwnie, ta myśl zatrzymała się w miejscu, trochę się cofając i trochę rozszerzając jak struga wody zatrzymana przytkniętym w poprzek kijem, rozszerzając się i wznosząc wokół niego w tym pokoju czy gdziekolwiek tam to było, gdzie on mógł się zamykać na klucz i zasiadać spokojnie, żeby pieniądze, które Bon wydawał na ładacznice i na szampana, odejmować od pieniędzy, które matka Bona jeszcze posiadała, i żeby sobie obliczać, ile z tych pieniędzy pozostanie nazajutrz i w następnym miesiącu, i w przyszłym roku czy też w tym czasie, kiedy Sutpen już tak dojrzeje, że będzie go można zerwać; i dumał melancholijnie o ciężkiej gotówce, jaką Bon wyrzuca na swoje konie i ubrania,

i na szampana, i na hazard, i na kobiety (on, adwokat, chyba by wiedział pierwszy, na długo przed matką, również

o oktoronce i o tym nieformalnym małżeństwie, gdyby to w ogóle było jakakolwiek tajemnicą; może nawet miał szpiega w tej sypialni, tak samo jak, zdaje się, miał szpiega u Sutpena; może sam napuścił tę oktoronkę, mówiąc sobie tak, jak się mówi o psie: „On mi się zaczyna włóczyć. Trzeba mu uwiązać kłodę u szyi. Nie powróż: tylko kłodę lekką, ale taką, żeby nie mógł się dostać na żadne ogrodzone podwórko”).

Tak, więc nikt inny, tylko ten adwokat usiłował w granicach rozsądku czy też odwagi, powstrzymać go od wydawania pieniędzy, za daleko jednak nigdy się nie posuwał, bo wiedział, że wystarczy, by ten syn poszedł do matki, a natychmiast ten koń wyścigowy, jeżeli tylko zechce, dostanie złoty żłób, a i nowego dżokeja także, o ile dżokej dotychczasowy nie będzie miał się na baczności. Liczył więc adwokat pieniądze i wyobrażał sobie, co zachapie przy tym tempie za parę lat, i dręczył się jak na krzyżu rozpięty między tym zagadnieniem i drugim: sam siebie krzyżował pomiędzy swymi dwoma zagadnieniami: czy nie byłoby rozsądniej umyć ręce od sprawy złowienia Sutpena na wędkę, zgarnąć pieniądze, które są w tej chwili, i ulotnić się z nimi do Teksasu. Tylko że kiedykolwiek przychodziło mu to na myśl, natychmiast musiał myśleć o tych wszystkich pieniądzach, które Bon już zdążył wydać, i żałować, że nie wyjechał do Teksasu dziesięć lat temu albo pięć lat temu, albo bodaj w zeszłym roku, na czym wyszedłby o niebo lepiej. Więc może wieczorami, kiedy czekał, aż okno zszarzeje, mówił sobie tak, jak mówiła sobie ta ciotka Rosa, że samym faktem, że oddycha, musiałby zaprzeczyć faktowi, że się w ogóle urodził (czy też może wolałby się nie urodzić), gdyby nie to, że z każdym Nowym Rokiem ta wartość „sama przez się” u Sutpena wzrasta dwukrotnie.

No, więc wracając do tego słowa „córka” – jak woda cofająca się od kija, wznosiła się ta myśl i rozszerzała wokół niego spokojnie, łagodną światłością, a on tam siedział rzeczywiście w białej łunie jasnowidzenia (albo może to był drugi zmysł, wzrok albo wiara w ludzkie nieszczęście czy w ludzkie szaleństwo, czy jak tam sobie chcesz to nazwać) widząc nie tylko to, co ewentualnie mogłoby się stać, ale i to, co naprawdę stać się miało; ale on nie chciał w to drugie uwierzyć – nie dlatego, że to spadło na niego jak olśnienie, ale dlatego, że on sam, żeby w to uwierzyć, musiałby mieć w sobie miłość i honor, odwagę i dumę; wierzył natomiast w to, co ewentualnie mogłoby się stać, nie dlatego, że to było logiczne i możliwe, ale dlatego, że to byłoby rozwiązaniem najniezwyklejszym dla wszystkich zamieszanych w to osób; a chociaż on był niedowiarkiem i nie dałoby się go przekonać o istnieniu grzechu czy cnoty, tchórzostwa czy odwagi, nie pokazując mu tego namacalnie w postępowaniu żywych ludzi, tak samo

jak nie dałoby się go przekonać o śmierci nie pokazując mu trupa, to jednak wierzył w nieszczęście, bo rygorystyczne, zawile, zakurzone, eunuchowate przeskolenie, jakie odebrał, już go nauczyło pozostawiać sprawy szczęścia i radości ludzi Panu Bogu, który w zamian wszystkie ludzkie niedole i szaleństwa, i nieszczęścia odstępuje wszom i pchłom rojącym się w prawniczych dziełach Littletona i Coke'a. A tymczasem ta matka, ta stara Sabina...

Wpatrywali się w siebie – spode łba. Teraz mówił Shreve, chociaż pomijając nieznaczną różnicę wynikłą ze stopni szerokości geograficznej, jakie ich dzieliły (różnicę nie w tonacji, tylko w pewnych zwrotach i doborze słów), równie dobrze mógłby mówić to zarówno jeden, jak i drugi, i w pewnym sensie mówili to obaj razem: obaj myśleli teraz jak jeden, więc głos w danej chwili mówiący wyrażał przeciw tę samą wspólną myśl, sprawiał po prostu, że ta myśl stawała się dosłyszalna, zwokalizowana; oni obaj ze skrawków i strzępów starych opowieści i gadek stwarzali teraz wspólnie ludzi, którzy może nigdy i nigdzie nie istnieli – stwarzali cienie, które były nie tylko cieniami istot z krwi i kości, niegdyś żyjących i zmarłych, ale również cieniami cieni (przynajmniej dla jednego z nich, dla Shreve'a), cichymi jak ich oddechy widzialne w obłoczkach pary. Zegar na wieży zaczął teraz wydzwaniać północ melodyjnie, powoli, dźwiękami słabo dolatującymi przez zamknięte, śniegiem zapieczętowane okno.

– ...ta stara Sabina, która prawdopodobnie nawet za cenę swego życia nie potrafiłaby tobie czy temu adwokatowi, czy rodzonemu synowi, czy komukolwiek bądź innemu powiedzieć, czego ona w ogóle chce, czego się spodziewa, na co ma nadzieję, skoro kobiety nie mają przecież potrzeby chcieć ani spodziewać się czegokolwiek konkretnie, więc ona tylko ogólnie chciała, spodziewała się, miała nadzieję (a zresztą twój ojciec powiedział, że kiedy się w sobie nosi rzetelną, mocną nienawiść, to już nawet żadna nadzieja nie jest potrzebna, bo wystarczy karmić się samą tą nienawiścią)...No, więc ta stara Sabina (jeszcze właściwie nie taka stara, tyle że zaniedbana, bo ona na pewno się opuściła i było z nią tak, jak na przykład z parostatkiem czystym i naoliwionym, i z zapasem najlepszego węgla, ale z częściami mosiężnymi nie wypolerowanymi, a drewnianymi nie wyszorowanymi, bo szkoda na to fatygi; po prostu nie dbała o swoją powierzchowność. Nie była gruba: zbyt szybko spalała w sobie tłuszcz, żeby się roztyć, stapała go natychmiast po przełknięciu, pomiędzy przełykiem a żołądkiem; jedzenie nie sprawiało jej żadnej przyjemności, jadła z musu, tak samo jak ubierała się z musu; zużywanie się starej garderoby i konieczność kompletowania nowej była dla niej jeszcze jedną dodatkową niewygodą; i żadnej przyjemności nie sprawiał jej widok tej wspaniałej sylwetki, tego szyku, jakiego on...

Żaden z nich nie powiedział: „Bon”...

– ...zadawał w pięknych pantalonach leżących jak ulane na jego nogach i w pięknych surdutach leżących jak ulane na jego barkach; tak samo jak nie sprawiał jej przyjemności fakt, że on ma więcej zegarków i spinek do mankietów, i pięknej bielizny, i koni, i powozików z żółtymi kołami (już nie mówiąc o dziewczynach) niż większość innych młodych ludzi; to była dla niej taka sama nieunikniona przykra konieczność, z którą trzeba się godzić, zanim jej się na coś przyda, jak przedtem jego ząbkowanie czy ospa wietrzna i cały okres dorastania i rozwijania się tego wątłego chłopca)...

No, więc ta stara Sabina otrzymywała kłamliwe sprawozdania od adwokata niczym meldunki przysyłane do sztabu z pola bitwy; może je doręczał specjalny czarnuch, który wyczekiwał na nie w przedpokoju u adwokata, nie mając nic innego do roboty poza noszeniem tych sprawozdań może raz na dwa lata, może pięć razy na dwa dni, w zależności od tego, kiedy ją zaczynała swędzić potrzeba wiadomości i nękania adwokata... meldunki, komunikaty o tym, że już depczemy jemu (Sutpenowi) po piętach w Teksasie czy w Missoury, czy może w Kalifornii (Kalifornia była świetna: tak daleko; i wygodna: dowód zawarty w samym oddaleniu, konieczność uwierzenia na słowo) i że dogonimy go już lada dzień, więc niech się szanowna pani nie martwi. Więc ona nie, ona wcale się nie martwiła: ona tylko kazała zaprzęgać konie do powozu i jechała do adwokata. Wpadała tam w tej swojej czarnej sukni, w której tak wyglądała, jakby utkwiała w stłamszonej rurze od pieca, i może nawet nie w kapeluszu, a w chustce na głowie, tak że brak jej było już tylko ścierek i wiadra – wpadała tam i mówiła: „On nie żyje. Ja wiem, że on nie żyje, więc jak on może, jak on może nie żyć.”

Nie miała jednak na myśli tego, co ta ciotka Rosa: „Gdzie też oni znaleźli czy wynaleźli kulę, która zdołałaby go zabić.” Nie, stara Sabina chciała przez to powiedzieć: „Jakże jemu pozwolono umrzeć nie zmuszając go przedtem do przyznania, że zbłądził i cierpi nad tym, i żałuje.”

Więc w ciągu dwóch następnych sekund już go prawie mieli w swoich rękach (on, adwokat, pokazywał jej autentyczny list, którego ona nie potrafiła przeczytać, bo był pisany po angielsku, a który przyszedł dopiero, co, więc on, adwokat, akurat miał do niej wysłać czarnucha z tym listem, kiedy ona wchodziła. Przy czym adwokat już tak się wprawił w dopisywaniu koniecznej aktualnej daty na liście, że odwrócony plecami robił to łącznie z wyjęciem tego listu z teczki w ciągu dwóch sekund... Więc już go doganiali, byli już tak blisko niego, że mieli pełną satysfakcję, że on żyje; taką satysfakcję, zaiste, że zanim ona zdążyła rozsiaść się w tej kancelarii, adwokatowi się udawało wyprawić ją z powrotem do karety i do domu – znów tam, gdzie pośród florenckich zwierciadeł i paryskich draperii, i pokrowców haftowanych w bukieciki jeszcze bardziej wyglądała na posługaczkę przybyłą, żeby szorować podłogi, w tej czarnej sukni, której nawet za czasów

świetności tego łacha przed pięcioma czy sześcioma laty za nic by nie włożyła jej kucharka. Siadała tam trzymając, ściskając list, którego przeczytać nie potrafiła (może jedyne słowo, jakie w nim rozpoznawała, było „Sutpen”), w jednej ręce, drugą ręką odgarniając z czoła powróż tłustych szpakowatych włosów. Nie patrzyła na ten list tak, jakby go czytała, nawet gdyby go umiała przeczytać, tylko spadała na niego jak jastrząb, rzucała się wzrokiem, jak gdyby dano jej tylko sekundę na przeczytanie go od deski do deski – sekundę, zanim ten list, na razie nienaruszony pomimo napaści jej spojrzenia, zapali się i spłonie, zostanie pożarty przez ogień, a ona, nie zdążywszy go przeczytać, będzie siedziała trzymając w dłoni tylko czarny, zwęglony płatek papieru, rozpadający się w popiół.

A on (żaden z nich, ani Shreve, ani Quentin, nie powiedział „Bon”)... przyglądał się jej wtedy. Był już dość duży, więc się nauczył, że to, co dotychczas uważał za dzieciństwo, wcale dzieciństwem nie jest, że wszystkie inne dzieci powstały z matek i ojców, że to tylko z nim jest zupełnie inaczej – on powstał kilkakrotnie: najpierw, w owej pierwszej chwili, jaką sobie zapamiętał, i potem znów, kiedy doszedł do punktu przemiany z dzieciaka w chłopca, i potem znów, kiedy przestał być chłopcem i zaczął być mężczyzną – za każdym razem stwarzało go na nowo jakieś porozumienie pomiędzy jakimś adwokatem a jakąś kobietą, która karmiła go i myła, i kładła do łóżka, i wynajdywała nadzwyczajne przysmaczki dla jego podniebienia, i dbała o jego przyjemności, robiąc to wszystko, jak mu się przedtem wydawało, tylko dlatego, że to jest właśnie on, a nie kto inny; potem jednak, kiedy podrośł, przekonał się, że to wcale nie jego ona myła, karmiła cukierkami i radościami – wcale nie jego, tylko kogoś, kogo jeszcze nawet nie było, kogo ona jeszcze nawet nie widziała, a kto miał być kimś zupełnie innym niż on, ten chłopiec – kto miał się zjawić, wybuchnąć jak dynamit, niszczyć ten dom i tę rodzinę, i może nawet całą społeczność... a to wszystko przez te listy, przez ten stary spokojny papier, który może by powinien ulatywać bez celu leciutko na wietrze albo być starymi, beztroskimi trocinami, albo starymi chemikaliami wciąż jeszcze w ciszy, w ciemności, w spokojnej ziemi, jak przedtem, zanim ten wścibski facet z dziesięciokrotnie powiększającymi szklami przyszedł i odkopał je, i splamił, wypaczył i wymiesił jak w dzieźce... No, więc stwarzało go porozumienie między tą kobietą a najętym radcą prawnym (teraz już zdawał sobie sprawę, że ta kobieta, odkąd pamiętał, planowo tresowała go na jakąś chwilę, która miała nadejść i minąć, teraz już widział, że wtedy będzie dla niej wart mniej więcej tyle co żyzna próchnica; i teraz już zdawał sobie sprawę, że ten adwokat, odkąd pamiętał, orał i obsiewał, nawadniał, użyźniał go i zbierał z niego plony, jak gdyby on już był tą próchnicą). No, więc on może leniwie oparty o kominek patrzył na matkę, wspaniale ubrany, w woni haremowych kadzideł tego, co można by nazwać „łatwa świętość”;

przyglądał się jej, kiedy patrzyła na ten list, i nawet przy tym nie myślał: „Widzę moją matkę naga”, bo przecież, gdyby nienawiść była nagością, to dla niej, która chodziła w nienawiści już od tak dawna, ta nienawiść stałaby się ubraniem, przystroiłaby ją, podobnie jak skromność przystraja człowieka...

No, więc on w rezultacie pojechał. Pojechał na te studia mając lat dwadzieścia osiem. I nawet nie wiedział, zresztą wcale go to nie obchodziło, dlaczego i kto z nich dwojga – matka czy adwokat – zdecydował, że on powinien się kształcić. Od dawna już się orientował, że matka coś knuje i że adwokat coś knuje, ale ani się o to nie troszczył, ani nie próbował się dowiedzieć, o co im chodzi. Wiedział tylko, że matka coś knuje za wiedzą adwokata, ale że adwokat coś knuje bez wiedzy matki. I wiedział, że adwokat nie ma nic przeciwko temu, żeby matka zdobyła to, co chce zdobyć, z tym jednak zastrzeżeniem, że i on (adwokat) upiecze swoją pieczeń o sekundę wcześniej albo przynajmniej jednocześnie z matką. Więc pojechał na studia. Powiedział: „Dobrze”, i pożegnał się z tą oktoronką, po czym pojechał na studia – on, któremu przez dwadzieścia osiem lat nikt nigdy nie powiedział: „Rób to, co robią inni. Wykonaj to zadanie na godzinę dziewiątą rano jutro czy w piątek, czy w poniedziałek.” Może oni, matka i adwokat (ale raczej chyba sam adwokat), wykorzystali nawet i tę oktoronkę – tę lekką kłodę (nie postronek) uwiązaną mu u szyi przez adwokata, żeby nie mógł wskoczyć na jakieś ogrodzone podwórko, gdzie potem furтка mogłaby się zatrzasnąć. Może matka dowiedziała się o tej oktoronce i o dziecku, i o tej ceremonii ślubnej – może nawet odkryła więcej, niż adwokat odkrył (albo mu się zdawało, że odkrył: bo adwokat uważał jego (Bona) wprawdzie za tępaka, ale nie za kompletnego głupca), więc wezwała go do siebie, a on przyszedł i znów leniwie oparł się o kominek, może już nawet wyczuwając, co wisi w powietrzu, co się stało, jeszcze zanim ona zaczęła mówić. Opierał się tam leniwie z tym wyrazem twarzy, który można by było nazwać uśmiechem, tylko, że to nie był uśmiech, ale po prostu coś, czego nie można przejrzeć ani za co nie można zajrzeć. A ona patrzyła na niego i może znów to tłuste pasmo szpakowatych włosów opadało jej na twarz, a ona nawet się nie fatygowała ich odgarnąć, bo teraz przecież patrzyła tylko na niego, a nie na żaden list, teraz na niego rzucała się wzrokiem pełnym natarczywości, niepokoju i lęku, który starała się jednak zataić, skoro nie mogła mu powiedzieć, że on tym swoim związkiem z oktoronką sprzeniewierzył się spiskowi, bo dotychczas przecież nic mu o tym spisku nie powiedziała, a i teraz, w tej chwili, też by się na to nie odważyła. A on patrzył na nią spoza swojego uśmiechu, tylko, że to nie był uśmiech, ale coś, za co nie wolno było zajrzeć; patrzył na nią i nie wypierał się wcale: „No to co? Czemuż by nie? Przecież wszyscy młodzi ludzie to robią. I ta ceremonia też. Dziecka nie było w programie, ale teraz, kiedy je mam... To zresztą wcale niezłe dziecko.”

A ona patrzyła na niego, wpatrywała się, nie mogąc mu powiedzieć tego, co jej się cisnęło na usta, już nie mogąc, bo za długo to odkładała. Więc powiedziała mu tylko tak, jak powiedzieć mogła: „Ale ty. Ty to co innego.”

A on (ona nie potrzebowała nawet tak mówić. On by i tak wiedział, bo przecież już wiedział, dlaczego ona go wezwwała, nawet jeżeli nie znał tych jej planów powziętych, jeszcze zanim dorósł do tego, żeby w miłości czy bez miłości wziąć sobie kobietę, nawet jeżeli z tych jej planów nic sobie nie robił): „Czemuż by nie? Zdaje mi się, że kiedyś, prędzej czy później, mężczyźni muszą się żenić. A tę już znam i wiem, że w razie czego ona mi nie sprawi żadnego kłopotu. A to całe zawracanie głowy z ceremonią ślubną już i tak się stało. A co do takiej błażostki jak ta kropla krwi murzyńskiej...”

Nie potrzebował wdawać się w dłuższą rozmowę, mówić dużo, nie potrzebował powiedzieć: „wydaje mi się, że przyszedłem na świat, na którym jest tak mało ojców, że mam wskutek tego za dużo braci do znieważania i hańbienia, póki żyję, a przeto za dużo potomków do przekazania im w spadku mojej małej cząsteczki krzywdy, kiedy już żyć nie będę.”

Zamiast tego powiedział tylko: „Kropla krwi murzyńskiej”, popatrzył na jej twarz, na tę jej desperacką natarczywość i trwożę, i odszedł, może na pożegnanie całując ją w policzek, może w rękę ciężącą na jego dłoni nieruchomo, sprawiającą pod jego ustami wrażenie martwej ręki po tym całym rozpaczliwym chwytaniu się to tej, to innej deski ratunku; może wychodząc stamtąd pomyślał: „Ona zaraz pojedzie do niego (do adwokata); gdybym zaczekał jeszcze pięć minut, zobaczyłbym ją już w chustce. Więc prawdopodobnie wieczorem mógłbym już wiedzieć... gdyby mnie to choć trochę obchodziło.”

I może rzeczywiście już wiedział wieczorem, a może nawet wcześniej, jeżeli oni zdołali go odszukać i zawiadomić o swojej decyzji, bo ona rzeczywiście pojechała do adwokata. A to właśnie była woda na młyn adwokata. Może jeszcze zanim ona się rozgadała, jemu już zaczęło płonąć w umyśle łagodne światło tej białej luny, zupełnie jak po podkręceniu knota w lampie naftowej; może on nawet ujrzał wtedy w powietrzu własną rękę dopisującą coś do tych tajnych notatek w tym miejscu, gdzie to „Córka? Córka? Córka?” nie zostało wyraźnie napisane. Bo może tym właśnie przez cały czas kłopotał się, gryzł i przejmował, bo już od chwili, kiedy jego milionerka wymogła na nim przyrzeczenie, że on nigdy w żadnym razie nie zdradzi jej synowi, kim jest ten jej były mąż, ten ojciec, on tylko czekał i zastanawiał się, jak to zrobić, może wiedząc, że gdyby przyrzeczenia nie dotrzymał i zdradził, to ten syn może by w to uwierzył, a może nie uwierzył, ale z całą pewnością poszedłby zapytać o to matkę, a wtedy on (adwokat) wpadłby z kretesem nie dlatego, żeby wyrządził tym jakąś krzywdę, bo to przecież żadną

krzywdą by nie było, jako że w niczym nie mogłoby zmienić sytuacji, ale dlatego, że rozzłościłby swoją klientkę paranoiczkę. Może myślał o tym, kiedy siedział w swoim gabinecie nad dodawaniem i odejmowaniem tych pieniędzy i dodawaniem jeszcze tego, co oni wyciągną wreszcie od Sutpena (nigdy się nie martwił, co tamten robi, jak się dowie; prawdopodobnie już dawno zaszczyił syna swej milionerki uznaniem go wprawdzie za ograniczonego czy zbyt bezwolnego na to, żeby podejrzewać czy dowiedzieć się na własną rękę, kim jest jego ojciec, ale przecież nie aż takiego głupca, który by nie potrafił wykorzystać możliwości nastęrczającej mu się z powodu tego ojca, gdyby ktoś już mu wskazał właściwą drogę – może, gdyby kiedykolwiek przysłała adwokatowi do głowy myśl, że temu młodemu jednak nie pozwoli z takiej drogi skorzystać miłość czy honor, czy cokolwiek bądź innego pod niebiosami, czy choćby znajomość prawa, to on, adwokat, samym faktem, że oddycha, zaprzeczyłby faktowi, że się urodził)... może tym właśnie dręczył się przez ten cały czas: w jaki sposób doprowadzić jego albo gdzieś, gdzie on musiałby się dowiedzieć sam, albo gdzieś, gdzie ten ojciec czy ta matka musieliby mu to powiedzieć. Więc teraz, może jeszcze zanim ona na dobre wyszła z jego kancelarii czy już przynajmniej zaraz po jej odejściu do karety otworzył tę skrytkę i zajrzał do tej tajnej szuflady, i upewnił się, że to właśnie na tym uniwersytecie stanowym w Missisipi kształci się Henry, po czym jego ręka wpisała stanowczo, równiutko, i chyba nawet w miejscu owych nie wpisanych słów: „Córka? Córka? Córka?”, notatkę teraz też z datą: „R. 1859. Dwoje dzieci. Dajmy na to, 1860, dwadzieścia lat. Majątek powiększony przez lat dwadzieścia o 100% rocznie, wartość sama przez się plus aktywa płynne, plus nabyty kredyt rolniczy. Wart. w przybl. w roku 1860 – 100 000 \$. Problem. Groźba wyjawienia bigamii: tak czy nie. Możliwa odpowiedź: nie. Groźba wyjawienia kazirodztwa, prawdopodobna odpowiedź: tak.” Po czym ręka, zanim postawiła kropkę, jeszcze się cofnęła i wykreśliła słowo „prawdopodobna”, wpisując zamiast tego słowo „na pewno” i podkreślając je.

Ale jego to też nic a nic nie obchodziło, on po prostu powiedział „dobrze” i zgodził się na te studia uniwersyteckie. Bo może już wiedział, że matka ani nie wie, ani nigdy nie będzie wiedziała, czego chce, więc dlatego on jej nigdy nie zdoła pokonać (może już się nauczył od oktoronki, że, tak czy owak, nigdy nie można kobiet pokonać i jeżeli jest się dość mądrym i nie lubi się kłopotów i krzyku, to lepiej w ogóle tego nawet nie próbować), i wiedział również, że adwokatowi chodzi wyłącznie o pieniądze, tylko pieniądze; więc on, byleby tylko ustrzegł się od złudzenia, że uda mu się pokonać wszystkich, byleby tylko pamiętał, że ma siedzieć cicho i być czujny, to przecież jakoś zdoła to pokonać przynajmniej w części. Więc powiedział „dobrze” i pozwolił matce zapakować te piękne ubrania i piękną bieliznę do walizek i kufrów, i może nawet wybrał się opieszale do

kancelarii i patrzył tam na adwokata z tym czymś, co można by nazwać uśmiechem, kiedy adwokat mu napomykał o umieszczeniu jego wierzchowców na statku i może o nabyciu jeszcze jednego czarnucha do posług osobistych, i o pieniądzach na ten czas, i w ogóle; a on nic, tylko patrzył spoza tego uśmiechu na adwokata, który z ojcowskim patosem perorował mu o studiach, o kulturze, o łacinie i grece, o tym wszystkim, co go niewątpliwie wyposaży, co da mu odpowiedni polor na to stanowisko, jakie on niewątpliwie osiągnie w życiu. Mówił też i o tym, że człowiek wprawdzie może nabyć wiedzę wszędzie, nawet we własnej bibliotece, oczywiście człowiek o silnej woli, ale że przecież jest coś, jakaś cecha szczególna w kulturze, którą może dać tylko klasztorna, mnisia monotonia tej... no, powiedzmy sobie, dość niepozornej i małej (ale wysokiej klasy, wysokiej klasy) uczelni... A on (żaden z nich, ani Shreve, ani Quentin, nie powiedział „Bon”, przy czym ani przez chwilę obaj nie mieli najmniejszej wątpliwości, kogo Shreve ma na myśli, mówiąc „on”) słuchał grzecznie, w milczeniu, w tej swojej masce nieprzeniknionej, i wreszcie zapytał, może nawet przerwał adwokatowi dwornie, uprzejmie – bez cienia ironii, bez cienia sarkazmu: „Jak pan mecenas powiedział?... że co to za uczelnia?” Po czym nastąpiło dużo zagadywania, żeby nie słychać było szelestu papierów na biurku, kiedy szukał kartki, na której miał zapisaną tę nazwę, chociaż uczył się jej na pamięć już od pierwszej rozmowy o tym z jego matką.

„Uniwersytet stanu Missisipi w...”

Gdzie to jest, jak tyś to powiedział, Quentin?

– W Oxford – powiedział Quentin. – To mniej więcej czterdzieści mil od...

– ...”w Oxford” – odrzekł mu wreszcie adwokat.

A potem te papiery na biurku znów leżały spokojnie, bo adwokat znów przemawiał: że to mała uczelnia założona zaledwie przed dziesięciu laty i na pewno nic go tam nie będzie odrywało od studiów (sama mądrość, do jakiej on się będzie dobierał, jest tam dziewicą czy już przynajmniej panienką nie bardzo nagabywaną), i będzie miał tam sposobność do obserwowania dotychczas mu nie znanego życia na prowincji kraju, w którym czeka go wspaniała przyszłość (jeżeli się przyjmie, że ta wojna, teraz już bez wątpienia nieunikniona, zakończy się pomyślnie, na co wszyscy mamy nadzieję, co w ogóle nie ulega żadnej wątpliwości) – kraju, w którym on niechybnie zostanie wielkim człowiekiem, reprezentując potęgę ekonomiczną, kiedy matka jego oczy zamknie. A on słuchał w tej swojej masce, słuchał, aż wreszcie zapytał: „Więc pan mecenas nie zaleca obrania sobie prawa za profesję?”

I teraz adwokat umilkł, ale tylko na chwilę, nie na długo: może nawet nie dość dostrzegalnie, żeby to w ogóle dało się nazwać milczeniem, i też spojrział na niego.

„Nie przyszło mi do głowy, że panu mogłoby odpowiadać prawo.”

A on na to: „Ćwiczenia z rapierem też mi nie odpowiadały. Ale przypominam sobie co najmniej jedną okazję w życiu, kiedy byłem zadowolony z tego, że jednak dość dużo ćwiczyłem.”

A adwokat – płynnie, spokojnie: „W takim razie ze wszechmiar niechże to będzie prawo. Pańska matka się zgo... będzie zadowolona.”

„To dobrze” – powiedział on.

Nie powiedział „do widzenia”, nawet o tym nie pomyślał. Może nawet nie powiedział „do widzenia” tej oktoronce w odpowiedzi na jej łzy i lamenty czy może kurczowe czepianie się jej magnoliowych jedwabistych rąk rozpaczliwie oplatających się wokół jego kolan; powyżej (powiedzmy), o jakieś trzy i pół stopy ponad jej rękami – tymi bezkostnymi, stalowymi kajdanami – był ów wyraz na jego twarzy, który nie był uśmiechem, tylko czymś, czego przejrzyć nie wolno. Bo kobiet się nie pokona: zwiewa się tylko od nich (i dzięki Bogu, że można zwiać, uciec od tej skłębionej, grubej, gęstej, serowatej jedności, która zalega ziemię-jedności, w której mężczyźni i kobiety parami są poszeregowani, powtykani jak kołki; niechaj wszystkim nad tą ziemią bogom dzięki będą za to, że te kołki męskie, zastrzone i pozbawione bioder, tkwią luźno i wyslizgują się łatwo, kiedy obciążone komorą naboju biodra mocno trzymają kobiety na uwięzi). Nie powiedział „do widzenia”, powiedział „dobrze” i pewnej nocy wszedł pomiędzy pochodniami na kładkę parowca. Prawdopodobnie odprowadził go tam tylko adwokat, i to nie żeby mu życzyć szczęśliwej podróży, ale żeby się upewnić, czy on rzeczywiście wsiada na statek. I nowy, specjalnie kupiony czarnuch otworzył walizy w kajucie, rozłożył te piękne ubrania, a panie już się zbierały w jadalni okrętowej na kolacji, a mężczyźni już popijali w barze przed kolacją; on jednak nie. On stał sam, może z cygarem, na pokładzie przy poręczy, i patrzył, jak to miasto płynie, mruga i migocze światłami, coraz bardziej osuwając się w dal; a potem wszelki ruch ustał i statek zawisł nieruchomo u samych gwiazd na dwóch linach dymu wypełnionego iskrami, wzbijającego się z dwóch kominów. I nie wiadomo, o czym on wtedy myślał, jakie rzeczowe snuł rozważania, co odrzucał – on, który już od lat wiedział, że jego matka coś knuje i że adwokat coś knuje; i chociaż orientował się, że adwokatowi chodzi tylko o pieniądze, orientował się tak samo, że adwokat w granicach swoich wiadomych męskich możliwości będzie prawie tak samo niebezpieczny jak matka ze swoimi niewiadomymi możliwościami kobiecymi, i teraz to: uczelnia, uniwersytet, a on ma już dwadzieścia osiem lat. I nie tylko to: dlaczego nie jakiś inny, ale właśnie ten uniwersytet, o którym on nigdy dotąd nie słyszał, którego przed dziesięciu laty jeszcze w ogóle nie było? Przy czym wiedział, że to nikt inny, tylko adwokat wybrał mu tę uczelnię. Jak trzeźwo, z jakim skupieniem, nieomal ze zmarszczonymi brwiami zadawał sobie pytanie: „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego to

właśnie ta uczelnia ze wszystkich innych?” Może oparty tam w samotności o poręcz pomiędzy sapaniem pary a maszynami statku prawie dosięgał odpowiedzi na to pytanie, uświadamiając sobie, że części składowe tej łamigłówki czekają, prawie czyhają tuż poza zasięgiem jego ręki, pokręcone nie do rozplątania i nie do rozpoznania, a przecież już bliskie ułożenia się we wzór, żeby jak w świetle błyskawicy od razu, za jednym zamachem odkryć mu znaczenie całego życia, całą jego przeszłość – Haiti, dzieciństwo i tego adwokata, i tę kobietę, która jest jego matką. I może nawet objawi mu się treść tego listu leżącego teraz w worku z pocztą gdzieś w ciemnościach pod jego stopami, pod pokładem, w miejscu gdzie on teraz stoi – tego listu zaadresowanego nie do Thomasa Sutpena w Setce Sutpena, ale do wielmożnego pana Henry’ego Sutpena, uniwersytet stanu Missisipi pod Oxfordem w stanie Missisipi. Pewnego dnia później Henry pokazał mu ten list (pokazał ten list jemu, który nie tylko nie miał żadnego widzialnego ojca, ale przekonał się, że już w niemowlęctwie otoczyła go jakaś bezsennie czuwająca klika, że ta klika najwidoczniej uwzięła się, żeby mu wpoić przekonanie, że on nigdy ojca nie miał, że jego matka wyłoniła się na świat prosto z otchłani, ze stanu błogosławionej amnezji dającej słabym zmysłom schronienie przed bezbożnymi, ciemnymi siłami i mocami, jakim słabe ciało ludzkie stawić oporu nie może – wyłoniła się stamtąd, zbudziła już w ciąży, krzycząc, wrzeszcząc, miotając się nie w okrutnej męce połogu, ale w proteście przeciwko znieważeniu jej nabrzmiąłych lędźwi; i że on sam wcale nie został spleciony w ciele matki przez ów proces naturalny, ale został w jej ciało wmaszany, a potem z jej ciała wymazany przez ten odwieczny, nieśmiertelny, piekielny męski pierwiastek wszelkiego nieokiełzanego strachu i wszelkiej ciemności). Kiedy Henry pokazał mu ten list, to nie była żadna łagodna światłość powoli rozszerzającej się łuny, ale błysk, olśnienie, buchnięcie jasności. Stał tam i patrzył na niewinną twarz młodzika młodszego prawie o lat dziesięć i jakaś cząstka jego istoty mówiła: „On ma przecież moje czoło, moją czaszkę, moją szczękę, moje ręce” – a inna cząstka mówiła: „Zaraz. Zaraz. Jeszcze nie możesz wiedzieć. Jeszcze nie możesz wiedzieć, czy to, co widzisz, jest tym, na co rzeczywiście patrzysz, czy tylko tym, co ci się wydaje. Zaraz. Zaraz.”

A był to ten list, który on... – tym razem już nie Bona miał na myśli Shreve, a przecież znów się zdawało, że Quentin bez trudności czy wysiłku natychmiast pojmuje, o kim jest mowa – ...napisał może zaraz po dokonaniu zapisków w tej swojej kronice w miejscu tych nie napisanych słów: „Córka? Córka? Córka?”, myśląc sobie przy tym: „Za żadne skarby świata on jeszcze nie może się dowiedzieć, nie wolno mu jeszcze nic mówić, póki on się tam nie dostanie i z tą córką...”

Bo chociaż on już dawno zapomniał o młodej miłości własnych młodych lat, zresztą, nawet gdyby nie zapomniał, to i tak by już w to nie wierzył, również i miłość chciał teraz

wykorzystać, tak samo jak by w razie potrzeby wykorzystał odwagę i dumę, przy czym myślał teraz nie o żadnych przytłumionych porywach młodej, dzikiej, natarczywej krwi ani o lekkich dłoniach łaknących dotknięcia, ale tylko o tym, że ten uniwersytet w Oxford jest oddalony od Setki Sutpena zaledwie o jeden dzień konnej jazdy, i o tym, że Henry już się na uniwersytecie zadomowił – co myśląc, może po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu ten adwokat nawet uwierzył w Boga.

„Szanowny Panie!

Nazwisko niżej podpisanego nie jest Ci znane, jak również nie są Ci znane ani jego stanowisko, ani warunki życiowe, pomimo całej ich wartości, płynącej z faktu zacności osób, w których cieniu niżej podpisany żyje – wartości (tuszę) tak niewątpliwej, że uzasadnia ona nadzieję, iż niżej podpisany będzie miał kiedyś zaszczyt zobaczyć się z Panem osobiście. Jest to wartość przynależna, a zarazem rzetelnie przyznawana dwóm osobom zacnego rodu i stanowiska społecznego, z których to osób jedna – owdowiała matka, przebywa w owym odosobnieniu, jakie przystoi jej wdowiemu stanowi oraz pozycji w mieście, gdzie list niniejszy jest datowany, druga zaś z tych osób, młody dżentelmen, jej syn, albo już jest, w chwili kiedy Ty, Panie, czytasz list niniejszy, albo wkrótce potem się zjawi jako petent przed tą samą Ławą Wiedzy i Mądrości, przed którą jesteś i Ty sam. Właśnie to w jego imieniu pozwalam sobie list niniejszy napisać. Nie, z pewnością nie dopuszczę do tego, by ta pani, jego matka, oraz sam ten młody dżentelmen podejrzewali, że użyłem tego określenia pisząc nawet do kogoś, Szanowny Panie, kto jest latoroślą tak znakomitego rodu w tym hrabstwie, z jakiego Tobie pochodzić przypadło w fortunnym udziale. Zaiste, lepiej byłoby dla mnie w ogóle tego listu nie pisać. Atoli piszę, już napisałem i odwołać się tego nie da; jeżeli dostrzeżesz, Panie, w tym liście coś, co ma posmak pokory, to proszę to przyjąć łaskawie za pochodzące nie od tej matki i z pewnością nie od syna, ale wypływające spod pióra kogoś, kto na swoim skromnym stanowisku radcy prawnego i zarządzającego interesami wyżej wymienionej pani i młodego dżentelmena pełen jest lojalności i wdzięczności wobec tych, których wspaniałomyślność zaopatruje go (nie zwierzam się z tego; ja to głoszę) w chleb powszedni i ciepło, i dach nad głową już od tak dawna, że musiały się on tej wdzięczności i lojalności nauczyć, nawet gdyby przedtem takich uczuć nie znał. Ta właśnie lojalność i wdzięczność doprowadziła niżej podpisanego do działania, którego środki nie dorównują zamierzeniom, a to z tej przyczyny, że niżej podpisany jest tylko tym, czym jest i czym się mieni, a nie tym, czym być by pragnął. Przeto proszę to poczytać, Szanowny Panie, nie za bezpodstawne natręctwo, jakim ten list może mógłby się wydać, ani nie za roszczenie, byś znosił kogoś ze względu na kogoś nieznanego, ale zechciej to przyjąć, Szanowny Panie, jako list wprowadzający (aczkolwiek niezdarny),

zaadresowany do jednego młodego dżentelmena, którego pozycji nie trzeba ani wyszczególniać, ani przypominać w miejscu, gdzie list ten czytany będzie, a pisany z myślą o drugim młodym dżentelmenie, którego pozycja nie wymaga ani wyszczególniania, ani przypomnienia w miejscu, skąd ten list został wysłany.”

Nie powiedział: „Do widzenia.” Powiedział: „Dobrze” – on, który miał już tak wielu ojców, że zabrakło zarówno miłości, jak i dumy na to, by mógł kochać i być kochanym, chlubić się i być chluba... tak wielu ojców, że zabrakło zarówno honoru, jak i hańby na to, by mógł je dzielić i przekazywać je w spadku; on, dla którego (jak dla kota) każde miejsce na świecie było jednakowo dobre, czy to kosmopolityczne wielkie miasto Nowy Orlean, czy sielankowa wieś w Missisipi, czy jego własne odziedziczone i do odziedziczenia lampy florenckie i pozłacane sedesy, i oprawne zwierciadła, czy mała prowincjonalna, deskami zabita uczelnia istniejąca niecałe lat dziesięć; szampan w buduarze oktoronki czy whisky na skromnym stole w mniszej celi studenckiej w towarzystwie tego młodego wieśniaka, tego sielskiego dziedzica, który prawdopodobnie do czasu przybycia na studia nawet dwunastu nocy nie spędził poza ojcowskim domem (o ile nie były to może noce, kiedy leżał przy ognisku w puszczy, nasłuchując, jak psy tropią zwierzynę). Ten młodzik naśladował teraz bezwiednie jego sposób ubierania się, jego postawę, wymowę i w ogóle wszystko, a raz wieczorem nad butelką palnął nagle... nie, nie palnął; to, co powiedział, to było takie trafianie po omacku. A on (ten kosmopolita prawie o dziesięć lat od młodzika starszy, rozwalający się w jednym z tych swoich jedwabnych szlafroków, zdumiewających, damskich dla tego młodzika) patrzył tylko, jak młodzik gwałtownie się czerwieni, a jednak nie odwraca głowy i patrzy mu prosto w oczy, trafiając po omacku, wypalając nagle zupełnie bez związku z ich dotychczasową rozmową: „Gdybym miał brata, to bym nie chciał, żeby to był młodszy brat.”

A on, ten kosmopolita, zapytał: „Co?”

A młodzik: „Właśnie. Chciałbym, żeby był starszy ode mnie.”

A on, kosmopolita: „Żaden syn ziemianina nie chce mieć starszego brata.”

A młodzik: „Nie żaden. Ja chcę – i patrzył prosto w oczy tamtego, ezoterycznego sybaryty, wyprostowany, szczupły, ze szkarłatnym rumieńcem na twarzy, (bo był młody), ale z głową podniesioną wysoko i zuchwale: – Właśnie. i chciałbym, żeby był podobny do ciebie.”

A tamten na to: „Naprawdę? Whisky stoi przy tobie. Pij albo podaj.”

– A teraz – powiedział Shreve – będziemy mówić o miłości. – Ale tak samo jak przedtem nie potrzebował zaznaczać, kogo ma na myśli mówiąc „on”, tak samo i teraz nie potrzebował mówić tego, co powiedział, ponieważ żaden z nich przez cały czas nie myślał o niczym innym; to wszystko, o czym mówili dotychczas, stanowiło konieczny wstęp,

niezbędny, zanim zacznie się mówić o tej miłości, a przecież nie było w tej chwili nikogo, kto mógłby to zrobić za nich, nagrabić tych liści przed rozpaleniem ogniska. Dlatego właśnie dla żadnego z nich nie miało znaczenia, który to opowiada, ponieważ osiągnięciem celu, drogą do celu było nie tylko samo opowiadanie, ale zarazem i jakaś szczęśliwa więź nieomal małżeńska pomiędzy opowiadaniem i słuchaniem, taka, że zarówno jeden z nich, jak i drugi, zanim wysunął jakieś żądanie czy wymagania, z góry pobłażał, przebaczał i zapominał drugiej stronie zarówno wszelkie potknięcia w tworzeniu tego cienia, tego przedmiotu opowiadania (w którym właściwie żyli), jak i potknięcia w słuchaniu, przesiewaniu i odrzucaniu fałszu, zachowywaniu tylko tego, co wydawało się prawdziwe albo pasujące do powziętych z góry wyobrażeń, a to wszystko tylko dlatego, żeby wreszcie dojść do tej miłości, gdzie może być paradoks i niekonsekwencja, ale gdzie nie mogło już być żadnych błędów ani fałszu.

– Więc teraz miłość. On na pewno już wiedział o Judith wszystko, zanim ją zobaczył po raz pierwszy. Wiedział, jak ona wygląda, czym się zajmuje w tym odosobnionym prowincjonalnym światku kobiecym, o którym nawet mężczyźni z rodziny nie mieli wiedzieć za dużo; na pewno dowiedział się tego wszystkiego nie zadając Henry'emu ani jednego pytania. Jezu, musiało się w nim dobrze gotować. Musiały być wieczory i wieczory, kiedy on uczył Henry'ego walczenia się w szlafroku i miękkich pantoflach, takich, jakie noszą kobiety, w oparach nikłej, chociaż zgoła niedwuznacznej woni perfum, jakich używają kobiety, i z cygarem nieomal tak cieniutkim, że mogłaby je palić kobieta, a przecież przy tym wszystkim zachowywał się z taką zabójczą pewnością siebie, że tylko najzuchwalsi mężczyźni swawolnie zrobiliby takie porównanie (uczył Henry'ego, bez żadnego wysiłku, żeby go nauczyć, szkolił go, grał rolę mentora, chociaż potem może nawet i z wysiłkiem; kto wie, ile razy patrzył może na twarz Henry'ego i myślał nie o tym, że „gdyby nie wmieszał się w to zaczyn tej obcej krwi, której nie mamy wspólnie, to przecież on by miał zupełnie moją czaszkę, moje czoło, moje oczodoły i kształt szczęki, i podbródek, i trochę moich myśli kryjących się za tą twarzą; a on ze swojej strony mógłby zobaczyć te własne szczegóły w mojej twarzy, gdyby tylko umiał tak patrzeć, jak patrzę ja”.

Nie, on o tym nie myślał, on myślał inaczej: „A przecież poza tą twarzą kryje się zamazana trochę przez tę obcą krew, tę domieszkę konieczną na to, by on istniał, twarz mężczyzny, który ukształtował nas obu z tych ślepych mroków przypadku, jakie nazywamy przyszłością: oto... oto... w każdej chwili, sekundzie przeniknę poza tę twarz jakimś straszliwym napięciem woli, jakąś straszliwą potrzebą i usunę z niej ten obcy zaczyn, i wtedy spojrzę nie na twarz mojego brata, o którego istnieniu nie wiedziałem, więc nigdy nie odczuwałem jego braku, ale na twarz mojego ojca, którego nieobecność

zawsze rzucała cień na pogrobostwo mojego ducha, taki cień, że uciec przed nim nie było można.”

I nieraz patrząc na tę ochoczość, w której nie było ani trochę uniżoności, i na tę pokorę, która nie wyrzekała się dumy – na to duchowe zaofiarowanie własnego, ja” w formie podświadomego naśladowania całego sposobu bycia – może myślał: „Przecież ja wszystko, co chcę, mogę zrobić z tym chętnym ciałem i kośćmi: z tym ciałem i kośćmi, i duchem, które wyrosły z tego samego korzenia co moje ciało, moje kości i mój duch. Tylko że one wykiełkowały w ciszy, w spokoju, w zadowoleniu i wzrastały w nieustannym, choćby nawet zawsze tym samym, jednostajnym słonecznym blasku, podczas gdy to, co ten nasz ojciec przekazał mnie, kiełkowało w nienawiści, w zniewadze, w nieubłaganej zawziętości i wzrastało w cieniu... Przecież wszystko mógłbym ulepić z tej posłusznej, ochoczej gliny... wszystko, czego sam ojciec ulepić nie zdołał. Jakież dobre możliwości mogłyby, muszą być w tej krwi, a jednak nie ma nikogo, kto by rozwinął je we mnie, dopóki jeszcze czas.”

Albo też, co on musiał przeżywać, kiedy może sobie mówił, że to bzdura, że to na pewno nieprawda; że takie zbiegi okoliczności zdarzają się tylko w powieściach; i wtedy w tym swoim znużeniu, w tym fatalizmie, on, ten niepoprawny kot, który samotnie chodził własnymi drogami – myślał: „Ten młokos, ten hreczkosiej, ten bękart. Jakże ja się go pozbędę?”

A potem odzywał się w nim ten głos, ten drugi głos: „Ty wcale nie chcesz się go pozbyć.”

A on: „Właśnie. Ale ja go rzeczywiście uważam za hreczkosieja, bękarta”.)

I te dni, te popołudnia, kiedy obaj jeździli konno (wjeździe konnej Henry go też naśladował, pomimo, że na pewno jeździł konno lepiej od niego; może nie z tym czymś, co ten kosmopolita nazwałby fasonem, ale przecież siedział w siodle tak naturalnie, jak chodził, i potrafił dosiąść każdego konia, jeździć wszędzie, brać każdą przeszkodę), a on wtedy na pewno widział, jak sam grzęźnie i pogrąża się w wartkim, niekonkretnym potoku opowiadań Henry’ego, przeniesiony w jakiś świat z czarodziejskiej baśni, w świat, w którym nie istnieje nic poza nimi trojgiem (bo to już byli oni troje: on i Henry, i ta siostra, chociaż on jej nigdy nie widział i może nawet nie był ciekaw). Jechał konno obok Henry’ego tylko słuchając, nie potrzebując zadawać żadnych pytań, żeby w jakikolwiek bądź sposób podtrzymać opowiadania tego młodzika, który nawet nie podejrzewał, że on i ten mężczyzna przy nim mogliby być braćmi; który każdym zaczerpnięciem tchu powtarzał: „Odtąd dom mój i mojej siostry będzie twoim domem, a życie moje i mojej siostry twoim życiem.”

A on (Bon) zastanawiał się – albo może wcale się nie zastanawiał – jak by to było

w odwróconych warunkach, gdyby Henry był tym obcym, a on (Bon) tym synem, dziedzicem, czy wtedy on (Bon) wiedząc to, co już podejrzewał, mówiłby tak samo, jak mówi teraz Henry; a potem wreszcie dał się zaprosić, powiedział: „Dobrze. Pojadę z tobą na Boże Narodzenie.” Nie po to, żeby zobaczyć tę trzecią istotę zamieszkującą baśniowy świat Henry’ego, nie po to, żeby zobaczyć tę siostrę, bo ona nie była ważna – tyle tylko że o niej słuchał. Dał się zaprosić, bo pomyślał: „Więc wreszcie zobaczę jego, chociaż chyba zostałem wychowany tak, żebym nigdy na to nie liczył, i już nawet nauczyłem się żyć bez niego.” I wyobrażał sobie, jak tam wejdzie do tego domu i zobaczy człowieka, który go spłodził, i wtedy będzie już wiedział na pewno; to będzie ten błysk, olśnienie, ta chwila niewątpliwego rozpoznania dla niego i dla ojca, i on wtedy będzie wiedział już raz na zawsze. I może myślał:

„Nie chcę nic więcej. Nawet nie trzeba, żeby on mnie uznał za syna; dam mu do zrozumienia, że to niepotrzebne, że ja wcale się tego nie spodziewam, że on nie robiąc tego wcale mnie nie zrani... dam mu to do zrozumienia, kiedy tylko on mi da poznać, że jestem jego synem.”

I może myślał, może znów z tym wyrazem twarzy, który można by nazwać uśmiechem, ale który był nie uśmiechem tylko czymś, za co zajrzeć on by nie pozwolił nawet temu hreczkosiejowi, bękartowi: „W każdym bądź razie jestem synem mojej matki; tak samo jak matka nie wiem, czego chcę.”

Dokładnie wiedział jednak, czego chce; chodziło tylko o wypowiedzenie tego, o dotknięcie choćby skrycie, w tajemnicy – żywe dotknięcie tej ręki pulsującej jeszcze, zanim on się urodził, tą samą krwią, która została mu przekazana, żeby pulsować i w nim także i żeby z kolei on przekazał ją dalej, żeby krążyła głośnym warem w czyichś żyłach, w czyimś ciele jeszcze i wtedy, gdy to pierwsze ciało, a potem i jego własne ciało będą już dawno w ziemi.

Więc kiedy nadeszło Boże Narodzenie, ruszył konno w tę czterdziestomilową drogę razem z Henry’em do Setki Sutpena. Henry nie przestawał mówić, wciąż jeszcze w tęgowym uniesieniu, w tej bańce mydlanej lekkiej i pełnej, w jakiej przebywał, żył, bezcielesny, nawet się poruszał z nimi dwojgiem: ze swoim przyjacielem i ze swoją siostrą, której ten przyjaciel jeszcze nigdy nie widział i o której (choć on, Henry, tego nie wiedział) jeszcze nigdy nie pomyślał, słuchając opowiadań o niej zagłuszanych bardziej natarczywymi myślami. Prawdopodobnie Henry nawet nie spostrzegł, że im bardziej zbliżali się do domu, tym mniej tamten mówił, tym mniej miał do powiedzenia na jakikolwiek temat i tym mniej (tego już z pewnością Henry nie wiedział) słuchał. No więc przyjechali tam i on wszedł do tego domu, i może ktoś, patrząc na niego wtedy, zobaczyłby na jego twarzy wyraz właśnie taki, jaki on sam widywał przedtem na twarzy

Henry'ego – wyraz tego całkowitego poddania, zaofiarowania siebie, pełen pokory, a przecież i dumy. I może on sobie mówił: „Nie tylko nie wiem, czego chcę, ale najwidoczniej jestem także o wiele młodszy, niż myślałem.”

I stanął twarzą w twarz z człowiekiem, który może był jego ojcem, ale nie stało się nic – nie dał się odczuć żaden wstrząs, żaden gorący prąd przy dotknięciu tej ręki, żaden prąd tak szybki, że nawet słowa nie zdążyłyby go powstrzymać – zupełnie nic. I spędził tam dziesięć dni nie tylko jako ów ezoteryczny sybaryta, stalowe ostrze w jedwabnej wzorzystej pochwie, galant, ideał Henry'ego, ale również jako dzieło sztuki, odlew i zwierciadło mody, za jakie uznała go pani Sutpen (tak powiedział twój ojciec) upierając się (czyż nie tak powiedział twój ojciec?), że on właśnie tym jest. (Przy czym nawet gdyby nikt inny spośród nich czworga go sobie nie upatrzył, ona i tak chętnie by to dzieło sztuki kupiła za cenę, jaką była jej rodzona córka Judith, czyż nie tak powiedział twój ojciec?) Tym dziełem sztuki pozostał dla niej aż do chwili, kiedy zniknął zabierając ze sobą Henry'ego, żeby nie pokazać się jej już nigdy, a potem wojna i zgryzota, i złe odżywianie tak wypełniły jej dni, że wkrótce może nawet nie pamiętała, że kiedykolwiek o nim zapomniała. (A ta dziewczyna, ta siostra, ta dziewica – Jezu, kto wie, co ona wtedy zobaczyła, kiedy ci dwaj podjechali aleją do domu-jakie modlitwy, jakie myśli dziewczęce i marzenia, uskrzydłone treścią listów Henry'ego, frunęły nagle w rzeczywistość z tej jakiejś tam baśniowej krainy, żeby oblec się nie w twardą zbroję z hartownego żelaza, ale w jedwabie tragicznego Lancelota prawie trzydziestoletniego, znużonego, przesyconego wszelkimi możliwymi doświadczeniami i rozkoszą.)

I nadszedł dzień odjazdu, a on wciąż jeszcze nie otrzymał ani znaku; odjeżdżali obaj z Henry'm, a on wciąż jeszcze nie otrzymał ani znaku – niczego więcej nie było na tej twarzy przy rozstaniu niż wówczas, gdy patrzył na nią po raz pierwszy, jeszcze może wierząc (chcąc wierzyć), że nie trzeba żadnego znaku, bo na pewno sam zobaczyłby prawdę, gdyby nie ten gęsty zarost; nic nie było w tych oczach, które patrzyły na jego twarz i widziały ją dokładnie, bo przecież on nie miał zarostu, więc ze swojej strony musiały tę prawdę zobaczyć, chociaż nie rozbłysły, pomimo to on i tak wiedział, że ma na twarzy tę prawdę, bo wiedział, że tamten ją zobaczył – wiedział to tak samo, jak Henry miał wiedzieć w następne Boże Narodzenie, że ojciec nie kłamie, czego już dowodem był sam fakt, że ojciec nic nie powiedział, niczym nie zareagował na zarzut kłamstwa. Możliwe, że on nawet myślał, zastanawiał się, czy przypadkiem ta broda nie została zapuszczona specjalnie, dla niepoznaki, w przewidywaniu takiej właśnie chwili. „A jeżeli tak, to po co? dlaczego? – myślał: – Ale dlaczego? Dlaczego?”, bo przecież on chciał tak mało i potrafiłby zrozumieć, gdyby tamten chciał, żeby to pozostało między nimi; chętnie, radośnie by się zgodził na utrzymanie tego w tajemnicy, choćby nawet nie

rozumiał, po co to komu potrzebne – i coraz głębiej brnął w to: „Mój Boże, jestem młody i nawet o tym nie wiedziałem; oni mi nawet nie powiedzieli tego, że jestem młody.” I szarpała nim rozpacz pełna wstydu, jaką odczuwa ten, kto musi patrzeć, jak jego rodzony ojca męstwo zawodzi.

I myślał: „To mnie powinno było zawieść męstwo. Mnie, mnie, a nie jego, który przekazał mi tę krew swoją i naszą wspólną, zanim zostałem znieprawiony czymś, co było w krwi mojej matki, a czego on ścierpieć nie mógł.”

– Poczekaj! – Shreve nagle krzyknął, chociaż Quentin mu nie przerywał; musiało jednak coś być w ciągłym jeszcze przygnębieniu Quentina, jakaś gotowość do zabrania głosu, bo to: „Poczekaj!”, nastąpiło, zanim Quentin zdążył otworzyć usta. – Poczekaj. Bo, rozumiesz, on na nią nawet nie spojrział. Och, widział ją, owszem, miał do tego mnóstwo sposobności, czy chciał tego, czy nie chciał, musiał ją widzieć, bo pani Sutpen już dobrze tego pilnowała w ciągu tych dziesięciu dni spotkań na osobności zaplanowanych, przygotowywanych i przeprowadzanych jak kampanie dzielnych generałów z podręczników szkolnych – tych spotkań w bibliotekach i w salonach, i na popołudniowych przejażdżkach bryczką. Wszystko to zostało obmyślane jeszcze przed trzema miesiącami, kiedy pani Sutpen przeczytała pierwszy list Henry’ego ze wzmianką o nim, aż wreszcie może i Judith także zaczęła się czuć jak ta druga z pary złotych rybek w akwarium; więc nawet próbował bawić ją rozmową, chcąc nie chcąc rozmawiać z tą wieśniaczką, która prawdopodobnie nigdy dotąd nie widziała żadnego młodego czy starszego mężczyzny, wcześniej czy później nie pachnącego końskim nawozem; rozmawiał z nią tak, jak rozmawiał z tą starszą paniusią na złożonych krzesłach w salonie, z tą tylko różnicą, że w tym pierwszym wypadku cały ciężar konwersacji spoczywał na nim, a w drugim nawet dla niego było niemożliwością wymknąć się spod potoku wartkiej paplaniny i pozostawało mu tylko czekać, aż Henry przyjdzie i wreszcie go uwolni. Może jednak już w tym czasie o niej, o Judith, myślał: może myślał chwilami, kiedy sobie mówił: „To nie może być tak; on nie mógłby na mnie patrzeć w ten sposób codziennie i nie dać mi żadnego znaku, że tak jest, gdyby tak było.” – I nawet sobie mówił: „Z nią by mi łatwo poszło.”

Zupełnie tak, jak zostawiając szampana na stole przy kolacji i idąc do bocznego kredensu po whisky, przypadkiem widzi się po drodze szklanę cytrynowego sorbetu na tacy i się mówi: „To też można by wziąć przy okazji, tylko, po co?” Czy odpowiada ci takie porównanie?

– Ale to nie jest miłość – powiedział Quentin.

– A niby, dlaczego nie? Bo posłuchaj. Co to ci opowiadała ta starca, ta ciotka Rosa? Że są pewne rzeczy, które po prostu muszą być, bez względu na to, czy w rzeczywistości

są, czy ich nie ma... po prostu muszą być, cholernie bardziej niż te inne rzeczy, które może są rzeczywiste, tylko że, czy one są, czy ich nie ma, guzik nas obchodzi. Więc tutaj właśnie tak było. Ale on jeszcze nie miał na to czasu. Jezu, on musiał wiedzieć, że to nastąpi. Adwokat nie mylił się, on wcale nie był głupcem; sęk jednak w tym, że on nie był takim „niegłupcem”, za jakiego miał go adwokat. On musiał wiedzieć, że to nastąpi. Tak właśnie jak z tym sorbetem, kiedy się przechodzi koło tacy i nagle się wie, że chociaż się podejdzie do kredensu po whisky, to przecież jutro rano będzie się miało cholerną ochotę na sorbet; a potem sięga się po whisky i wie się już na pewno, że to właśnie teraz, w tej chwili, nie czekając jutra, już się ma na ten sorbet ochotę; czy też może nawet się już nie podchodzi do kredensu i chociaż może nawet się spojrzeć na butelkę do połowy napelnioną szampanem wśród brudnej porcelany Havilland i wymiętych adamaszkowych serwetek na stole po kolacji, zupełnie nagle już się wie, że nawet do tego szampana wcale nie ma się chęci wrócić. Odpada nawet wybór, konieczność wyboru pomiędzy tym szampanem czy whisky a tym cytrynowym sorbetem, tylko zupełnie nagle (to było wiosną tam w tym kraju, gdzie on wiosny jeszcze nie znał; sam powiedziałeś, że na północy Missisipi jest klimat trochę ostrzejszy niż w Luizjanie; więc to była wiosna z dereniami i z fiołkami, i tymi wczesnymi kwiatami, bez zapachu, ale słońce jeszcze nie nagrzało ziemi i noce były trochę chłodne, i ściśnięte, lepkie pąki na topolach i na drzewach judaszowych, i na klonach były takie twarde jak sutki młodych dziewczyn, i nawet w cedrach było coś młodego, a on jeszcze nigdy dotąd tego nie widział)... więc tylko stwierdza się ni stąd, ni zowąd, że już nie chce się nic, tylko właśnie ten sorbet, i że przedtem też, i już od dawna nie chciało się nic innego, więc, że to dobrze, że ta czarka stoi tam, na tej tacy właśnie po to, żeby ją wziąć... że jest tam dla ciebie. Nie po to, żeby wziął ją każdy pierwszy lepszy, ale właśnie po to, żebyś wziął ją ty. I nawet z daleka patrząc na tę czarkę już się wie, że to będzie jak kwiat, ale niech sięgnie po niego inna ręka, kwiat będzie kolczasty, bo on jest tylko dla ręki twojej. Ale on nie był do tego przyzwyczajony, jako że we wszystkich innych czarkach, które kiedykolwiek przedtem miał na tacach, był nie sorbet, tylko szampan czy już przynajmniej jakieś kuchenne wino.

Zresztą kryło się w tym coś więcej. Świadomość tego, co podejrzewał, co uważał za możliwe, niepewność, czy tak jest rzeczywiście, czy nie jest. I któż może powiedzieć, czy to nie chodziło o przyczajoną w tej miłości możliwość kazirodztwa, bo któż (z tych, co nie mają sióstr; nie wiem, jak jest z innymi) będąc zakochanym nie odczuł częściej ulotności związku cielesnego, któż nie musiał sobie uświadomić, że kiedy to krótkie wszystko się kończy, trzeba wyjść z pogorzelniska tak samo miłości, jak rozkoszy, zebrać te swoje rupiecie – te kapelusze i spodnie, i buty, które się ciągnie ze sobą przez świat – i odejść, skoro bogowie pobbłają temu i robią to też, uprawiając owo senne niewymierne

spółkowanie, które wznosi ich też w bezpamiętliwość wysoko ponad nakładającą pęta, wyświechtaną chwilę; pojęcie „nie było”, „jest”, „było” – to tylko produkt uboczny, nieważki, rozdęty balon na miarę słoni i wielorybów; ale może gdyby w tym był i grzech, ludziom nie byłoby wolno uciekać, rozłączać się i powracać. Zgadza się?

Urwał. Teraz bez trudu można by pojąć jego opowiadanie. Quentin mógłby teraz mówić, ale nie mówił. Siedział jak przedtem skulony, zgarbiony, z rękami w kieszeniach spodni, z głową opuszczoną, na pozór dziwnie mniejszy, niż był rzeczywiście, i to pomimo swego wysokiego wzrostu i smukłości, która jeszcze teraz, chociaż miał już dwadzieścia lat, pozostała w nim jakimś śladem, ostatnim niejako echem chłopięctwa. To znaczy, wydawał się w tej chwili mniejszy w porównaniu z tym krągłym serafinem, Shreve'em, który siedząc naprzeciw niego wyglądał jednak młodziej niż on, choćby tylko, dlatego, że zajmował o wiele więcej miejsca swą korpulentną osobą – podobnie jak pulchny chłopiec dwunastoletni, chociaż waży o dwadzieścia czy trzydzieści funtów więcej od jakiegoś chłopca czternastoletniego, wygląda jednak młodziej niż ten czternastolatek, który kiedyś był pulchny tak samo, ale stracił to, sprzedał (nieważne, czy dobrowolnie, czy nie) za ów stan dziewictwa ni to chłopięcy, ni dziewczęcy.

– Nie wiem – powiedział Quentin.

– Dobrze – powiedział Shreve. – Może i ja też nie wiem. Tylko że, Jezus, kiedyś na pewno człowiek się zakocha. Przecież inaczej to nie da rady. To byłoby zupełnie tak, jakby Pan Bóg zesłał na świat Jezusa i dopilnował, żeby On miał narzędzia ciesielskie, ale nie dał mu żadnego materiału do obróbki. Nie wydaje ci się?

– Nie wiem – powiedział Quentin.

Nie poruszył się. Shreve spojrzał na niego. Nawet kiedy milczeli, ich oddechy lekko i cicho parowały w tym grobowcowym powietrzu. Odkąd zegar na wieży wydzwonił północ, upłynęło już sporo czasu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to nie ma dla ciebie znaczenia? – Quentin nie odpowiedział. – Zgadza się. Nie mów, czy tak. Bo ja bym i tak wiedział, że kłamiesz... Dobrze więc. Słuchaj. Bo on jeszcze nigdy dotąd nie potrzebował martwić się o miłość, bo to do niego zawsze przychodziło samo. Może wiedział, że ciąży nad nim wyrok losu, klątwa... tak jak ci mówiła ta ciotka Rosa, że pewne rzeczy po prostu muszą być, bez względu na to, czy rzeczywiście są, czy ich nie ma – po prostu dla zbilansowania ksiąg handlowych, żeby dopisać „Zapłacone” na dawno zapisanej stronie i żeby ją ten ktoś tam, kto tę księgę prowadzi, mógł wyrwać, wyrzucić, spalić. Może on już wtedy wiedział, że cokolwiek by zrobił ten staruszek, w dobrej woli czy złej, to i tak nie staruszek będzie musiał płacić za to, bo przecież teraz, kiedy staruszek jest już bezsilnym bankrutem z powodu swego wieku, któż ma za niego płacić, jeżeli nie jego synowie, jego potomstwo,

bo tak to się przecież załatwiało w tych dawnych czasach, prawda? Ten stary Abraham, lat pełen i słaby, i niezdolny już do dalszych psot, wreszcie przyskrzyniony, a kapitanowie i poborcy podatkowi powiadają: „Starcze, chwal Pana.”

A Abraham im rzecze: „Chwała niech będzie Panu, wychowałem syny wokół mnie, iżby nosili brzemień nieprawości i prześladowań moich. Zaprawdę, może nawet iżby odebrali stada owiec i wołów moich z rąk grabieżcy, iżby spoczęły oczy moje na mych dobrach i ruchomościach, na potomstwie ich i moich potomkach, co rozmnożą się po stokroć, kiedy dusza moja wyjdzie ze mnie.”

On wiedział przez cały czas, że sprawa tej miłości załatwi się sama. Może właśnie dlatego nie potrzebował o niej myśleć w ciągu tych trzech miesięcy od września do Bożego Narodzenia, kiedy Henry mu o Judith opowiadał, każdym swym przydechem powtarzając: „Jej życie i moje życie są po to, żeby istnieć w kręgu twojego życia i żeby twoim życiem się karmić.”

Nie potrzebował marnować czasu na tę miłość już po tym, jak się zbudziła, po tym, jak wybuchła niczym strzelba rozrywająca się w rękach strzelca; mało tego, on nie fatygował się nawet pisać do niej jakichkolwiek listów (z wyjątkiem tego ostatniego), które ona by uznała za warte zachowania; mało tego, on w rzeczywistości wcale się jej nie oświadczył, nie dał jej żadnego pierścionka, który pani Sutpen pokazywałyby wszystkim naokoło. Bo i nad Judith był też ten wyrok losu; i jej klątwą był tenże sam stary Abraham, taki już stary i słaby, że nikt by nie chciał przyjąć jego osoby jako wyrównania długu; może on nawet nie musiał czekać na to Boże Narodzenie, nie musiał jej zobaczyć, żeby wiedzieć, że ta miłość przyjść musi; może to właśnie wynikało samo przez się z opowiadań Henry’ego, które on przez trzy miesiące słyszał, wcale ich nie słuchając.

„Nie słyszę teraz opowiadania o młodej dziewczynie, o dziewicy; słyszę opowiadanie o wąskim, uroczym, ogrodzonym dziewiczym poletku, już zaoranym i już podzielonym na zagony tak, że mnie pozostaje tylko posiać w nim ziarno i wypielegnować je, żeby znów było równe to poletko.”

Zobaczył ją w to Boże Narodzenie i wiedział to już na pewno, a później zapomniał o tym, wrócił na uniwersytet nawet nie pamiętając, że już zapomniał, bo wtedy nie miał na to czasu; może dopiero pewnego dnia tamtej wiosny, o której opowiadałeś, nagle zatrzymał się i z całym spokojem powiedział: „Dobrze. Chcę pójść do łóżka z tą, która może jest moją siostrą. Dobrze.”

A później i o tym też zapomniał. Bo nie miał czasu; to znaczy, właściwie nie miał nic innego, tylko czas, bo musiał czekać. Ale nie na nią. Sprawa tej miłości była już załatwiona. Musiał czekać na załatwienie tej drugiej sprawy. Może myślał, że to będzie w tym worku z pocztą, za każdym razem kiedy ten Negr-pocztylion przyjeżdżał z Setki

Sutpena i Henry wierzył, że on czeka na list od niej; może on tak myślał: „Więc pewnie napisze. Wystarczyłoby, żeby napisał: «Jestem twoim ojcem. Spal to.» I ja bym to zrobił. A jeżeli nie aż tak, to żeby chociaż przysłał kartkę, świstek z tym jednym słowem: «Charles», napisanym jego własną ręką; ja bym już wiedział, co to znaczy, i on by nawet nie potrzebował prosić mnie, żebym to spalił. Albo kosmyk swoich włosów, albo obrzynek swego paznokcia, a ja bym od razu poznał, że to właśnie jego; bo teraz już wierzę, że przez całe życie wiedziałem, jak wyglądają jego włosy i paznokcie, i zawsze mógłbym poznać ten kosmyk, ten obrzynek wśród tysiąca innych.”

Ale nic nie przychodziło, a on wysyłał do niej list co dwa tygodnie, a ona mu odpisywała odwrotną pocztą, i może on myślał: „Gdyby któryś z moich listów do niej wrócił nie otwarty. To byłby znak.”

Ale i to się nie stało. A potem Henry zaczął go prosić, żeby spędził parę dni w Setce Sutpena przed wyjazdem na wakacje do domu, i on się zgodził. Powiedział sobie.

„To Henry dostanie ten list, ten list z wiadomością, że moja wizyta jest im nie na rękę. Więc on najwidoczniej nie ma zamiaru uznać mnie za syna, ale przynajmniej zmuszony przeze mnie przyzna, że jego synem jestem.”

Żaden taki list jednak do Henry’ego nie przyszedł. Ustalono datę przyjazdu i zawiadomiono o tym rodzinę w Setce Sutpena, i nawet wtedy taki list nie przyszedł, a on myślał: „Więc to będzie teraz. Krzywdziłem go; może on właśnie czeka na mój przyjazd.” I może serce w nim wtedy podskoczyło, może sobie powiedział: „Tak, tak. Wyrzeknę się jej; wyrzeknę się miłości i w ogóle wszystkiego; to mała cena, mała, nawet gdyby on mi w zamian powiedział: «Już nigdy więcej nie patrz na mnie, weź moją miłość i to, że cię uznaję za syna w tajemnicy, i odejść.» I ja usłucham, odejść; nawet go nie zapytam, co moja matka zrobiła takiego, że to aż usprawiedliwia jego postępowanie w stosunku do niej i do mnie.”

Więc ten dzień nadszedł i obaj z Henry’em znów przejechali te czterdzieści mil i wjechali w bramę parku, i podjechali aleją do domu. On wiedział, kogo tam zastanie – tę kobietę, którą przejrzał od razu, na pierwszy rzut oka, i tę dziewczynę, którą przejrzał, jeszcze zanim ją zobaczył, i tego mężczyznę, na którego patrzył codziennie przez cały czas tamtych ferii Bożego Narodzenia, patrzył w jakiejś trwożnej żarliwej potrzebie, ale bez skutku, bo wcale go nie przeniknął. Przecież po niespełna sześciu godzinach jego pierwszej wizyty w Setce Sutpena matka odwołała Henry’ego na bok, żeby usłyszał nowinę o zaręczynach siostry, chociaż ten narzeczony zdążył zaledwie skojarzyć imię Judith z twarzą jej córki; więc prawdopodobnie zanim oni, wracając z tych ferii na uniwersytet, dojechali do Oxford, Henry sam nawet o tym nie wiedząc już mu powiedział, co matka sobie umyśliła (a Henry przedtem mu nieraz mówił, co on, Henry,

sobie umyślił), więc może przed drugą wizytą w Setce Sutpena... (To już był czerwiec, a co tam się dzieje w czerwcu w północnym Missisipi, jak tyś to opowiadał? Te magnolie kwitnące i te drozdy, i w pięćdziesiąt lat od tamtych czasów, kiedy oni poszli walczyć i walczyli, i wszystko przegrali, i wrócili do domu, ten uroczysty dzień, to święto poległych – i ci weterani w schludnych, wyczyszczonych, odprasowanych szarych mundurach z rzekomo brązowymi medalami, które nigdy, od samego początku, nie miały żadnego znaczenia, i te wybrane młode dziewczyny w białych sukienkach przepasanych karmazynowymi szarfami, i orkiestra gra Dudeland, a te wszystkie trzęsące się starowiny tak wrzeszczą, że można by pomyśleć, że tchu im zupełnie zabraknie na to, żeby się przedostać na defiladę, przejść przez miasto czy choćby usiąść na trybunach)... Więc to już był czerwiec i magnolie, i drozdy w księżycowej poświacie, i firanki leciutko się wzdymały w czerwcowym powietrzu: zakończenie roku akademickiego i ta muzyka, skrzypce i triangle w sali wśród wirujących, kołyszących się krynolin; a Henry miał trochę w czubie, więc powinien powiedzieć: „Żądam, żebyś mi wyjawiał, jakie masz zamiary wobec mojej siostry.”

Ale tak nie powiedział, tylko może się zaczerwienił nawet w tej księżycowej poświacie; oblany rumieńcem stał jednak prosto, bo kiedy ma się w sobie dość dumy na to, żeby być pokornym, nie trzeba się płaszczyć (on przecież za każdym razem, kiedy oddech mu przechodził przez struny głosowe, powtarzał: „Oboje należymy do ciebie. Rób z nami, co chcesz.”) Powiedział inaczej: „Dawniej myślałem, że może znenawidzę mężczyznę, na którego będę musiał patrzeć codziennie, kiedy każdy jego ruch i postępek, i słowo będą mi mówiły: «Widzę, dotykam twoją siostrę, tak jak ty jej nigdy nie zobaczysz, nigdy nie dotkniesz.» Ale teraz już wiem, że go znenawidzę na pewno, i właśnie dlatego chcę, żebyś tym mężczyzną był ty.”

I wiedział, że tamten od razu zrozumie, co on, Henry, ma na myśli, co chce, usiłuje przez to powiedzieć. I myślał, mówił sobie (Henry): „To nie dlatego, że on jest starszy ode mnie i że pamięta więcej: ale to dlatego, że z własnej i nieprzymuszonej woli oddałem mu życie swoje i życie Judith, i teraz to już wszystko jedno, czy wiedziałem wtedy, co robię, w chwili kiedy to robiłem...”

– To jeszcze nie jest miłość – powiedział Quentin.

– Dobrze – powiedział Shreve. – Ty tylko słuchaj...Przebyli te czterdzieści mil i wjechali w bramę parku, i zsiadli z koni przed domem. A tym razem Sutpena tam nawet nie było. I nawet Ellen nie wiedziała, dokąd wyjechał, szeroko, spokojnie wyjaśniając, że on się udał do Memphis czy może nawet do Saint Louis w jakimś interesie; a Henry’ego i Judith nie obchodziło to znów aż tak bardzo, więc tylko on odgadł, dokąd wyjechał Sutpen – odgadł i mówił sobie: „Oczywiście, nie miał pewności; musiał tam pojechać,

żeby się upewnić.”

Teraz mówił to sobie już głośno, głośno i szybko, żeby zagłuszyć tę drugą myśl:

„Ale jeśli przypuszczał, to dlaczego mi nie powiedział? Ja bym na jego miejscu to zrobił, najpierw bym z tym przyszedł właśnie do niego – ja, który mam tę samą krew, jakkolwiek by ta krew została zepsuta i skażona tym, co było w matce.” Zagłuszając tę myśl, głośno i szybko mówił sobie: „Tak jest, jak jest; pojechał teraz może po to, by tam na mnie zaczekać; nie zostawił tutaj żadnej wiadomości dla mnie, bo przecież tamci jeszcze nic nie powinni podejrzewać; a zresztą on wie, że ja i tak od razu będę wiedział, gdzie on jest, kiedy zobaczę, że jego tu nie ma.”

I myślał o nich dwojgu: o tej chmurnej mściwej kobiecie, będącej jego matką, i o ponurym, twardym jak opoka mężczyźnie, który przez dziesięć dni przyglądał mu się z niezmienną obojętnością. Wyobrażał sobie, jak patrzą na siebie ci dwoje w posepnym rozejmie po prawie trzydziestu latach, kiedy tam siedzą teraz w tym bogatym barokowym salonie, w tym domu, zwanym przez niego domem rodzinnym, skoro tak już jest, że chyba każdy musi mieć jakiś dom rodzinny; wyobrażał sobie, jak ten mężczyzna, z całą pewnością jego ojciec, siedzi tam w salonie i nawet teraz nie jest pokorny (jego syna, napelniało to dumą), i nawet teraz nie mówi: „Zbłądziłem”, tylko mówi: „Przyznaję, że tak jest.”

Jezu, tylko pomyśl, co się przez te dwa dni działo w jego sercu, kiedy ta stara paniusia w każdej minucie rzucała mu Judith w objęcia, bo przecież już od Bożego Narodzenia poufnie po całym hrabstwie głosiła nowinę o ich zaręczynach... Czy twój ojciec nie opowiadał, że wiosną ona nawet zabrała Judith do Memphis, żeby jej kupić wyprawę ślubną? A Judith ani nie zgadzała się na te matczyne intrygi, ani się im nie opierała, tylko po prostu była, po prostu istniała i oddychała obecnością jego, tak samo jak Henry – ten Henry, który może pewnego ranka tej wiosny obudził się i w łóżku, nieruchomy, spisał duchowy inwentarz, dodał te liczby, sporządził bilans i powiedział: „Dobrze. Usiłuję zamienić się w to, czym, jak mi się zdaje, on chce, żebym był; on może ze mną zrobić wszystko, co mu się podoba; wystarczy, żeby powiedział, co mam zrobić, a ja to na pewno zrobię; nawet gdyby żądał, żebym zrobił coś, co by było niezgodne z honorem.”

Ale Judith sobie takich rzeczy nie mówiła, bo przecież kobiety są na tyle mądre, że takich spraw nie rozpatrują pod kątem honoru; ona sobie po prostu powiedziała: „Dobrze. Zrobię wszystko, czego tylko on mógłby ode mnie zażądać, wszystko, bo on na pewno nigdy nie zażąda ode mnie nic, co ja bym uważała za niezgodne z honorem.”

Więc tak to się układało (może tym razem on ją nawet pocałował, i to był pierwszy pocałunek w jej życiu, a ona była zbyt niewinna na to, żeby się lękać czy wstydząć, czy

choćby tylko wiedzieć, że on gra z nią na zwłokę. Może po tym pocałunku, patrząc na niego, poczuła jakieś spokojne bezbarwne zdumienie, skoro ten ukochany pocałował ją po raz pierwszy właściwie nie inaczej, niżby ją pocałował brat, gdyby oczywiście bratu strzeliło do głowy ni stąd, ni zowąd pocałować ją w usta).. więc kiedy minęły te dwa dni i on znów wyjechał, a Ellen pisnęła do niej: „Co takiego? Żadnych zaręczyn, żadnego pierścionka?”, ona, Judith, była tak zdumiona, że nawet nie potrafiła nic skłamać, bo po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że przecież on wcale się jej nie oświadczył... Pomyśl tylko, co działo się w jego sercu, kiedy jechał nad Rzekę i potem już na tym parowcu, kiedy spacerował po pokładzie tam i z powrotem, czując, jak te maszyny w kotłowni z każdym dniem, z każdą nocą coraz bliżej i bliżej niosą go do tej chwili, na którą – teraz to już musiał wiedzieć na pewno – czekał nieustannie, odkąd podrósł i zaczął cokolwiek pojmować. Oczywiście musiał sobie powtarzać bardzo szybko i bardzo głośno: „O nic więcej nie chodzi: on po prostu chce się najpierw upewnić.” Musiał to sobie powtarzać, żeby zagłuszyć tę dawną myśl: „Ale dlaczego w ten sposób? Dlaczego nie tam u siebie w Setce Sutpena? On przecież wie, że ja nigdy nie wysunę żadnych roszczeń do żadnej części tego, co on teraz posiada, a co uzyskał za cenę tylko jemu wiadomych ofiar i wytrwałości, i wzdardy (tak oni mi mówili, nie on, oni mówili). On przecież tak dobrze wie, że nie miałby ze mną żadnych kłopotów, akurat tak samo jak wie, że ja bym nigdy nie posądził go o to, że on mógłby się czymś takim kierować...on, bezwzględny, ale wspaniałomyślny, bo wszystko, co przedtem oboje z matką posiadali, oddał matce i mnie, żeby wynagrodzić to, że się jej odrzekł.”

Zagłuszał tamtą myśl, ale nie dlatego, że go bolała, oburzała i trzymała w zawieszeniu tak bardzo już niepotrzebnym – jego własne doznania już nie były istotne; przestała być ważna ta irytacja czy nawet udręka; nie chciał tylko, żeby tamta myśl mu przypominała, że on na miejscu Sutpena tak by nie postąpił, a przecież w jego żyłach płynie ta sama sutpenowska krew, jakkolwiek ją skaziło to coś, czym była czy co popełniła jego matka...

Coraz bliżej był celu podróży, aż wreszcie to zawieszenie i oszołomienie, i pośpiech, i w ogóle wszystko stopiło się niejako, zamieniło się w uległość wobec losu, i on już tylko myślał: „Dobrze. Dobrze. Nawet w ten sposób. Nawet jeżeli on chce to zrobić właśnie w ten sposób. Przyrzeknę mu, że już nigdy jej nie zobaczę. I już nigdy nie zobaczę jego.”

A potem dojechał do domu. I wcale się nie dowiedział, czy Sutpen tam był, czy nie był. Nie dowiedział się. Wierzył w to, ale pewności nie miał. Od matki, tej samej chmurnej nieuleczalnej paranoiczki, z jaką się pożegnał we wrześniu, nie zdołał niczego dowiedzieć się określną drogą, a wprost zapytać nie śmiał. Nawet zręczne pytania adwokata, których ukryty sens on już potrafił zrozumieć (na przykład: jak mu się podoba na tym uniwersytecie? i jak mu się podobają tamtejsi ludzie czy też może zgoła mu się nie

podobają? i czy nawiązał jakieś stosunki towarzyskie z ziemiańskimi rodzinami w tamtych okolicach?), nawet te pytania stanowiły wtedy dla niego jeszcze jeden dowód, że Sutpen w Nowym Orleanie nie był albo, jeżeli był, to przynajmniej adwokat nic o tym nie wie; ponieważ on sądził teraz, że zgłębił plan adwokata i że już wie, dlaczego adwokat zaczął od wysłania go właśnie na ten uniwersytet. Nic w tych pytaniach nie świadczyło o tym, że adwokat dowiedział się od tamtego czasu czegoś nowego. (A zresztą, on niewiele mógł się zorientować z tej swojej rozmowy z adwokatem, bo to była rozmowa bardzo krótka – najkrótsza z wyjątkiem tej jednej, która odbyć się miała w rok później, kiedy już Henry przyjechał do Nowego Orleanu, i która miała być w istocie nie tylko najkrótszą, ale ostatnią z ich wszystkich rozmów.) Bo adwokat nie miał odwagi zaryzykować pytania wprost – zupełnie tak samo, jak on nie miał odwagi wprost zapytać matki. Bo chociaż adwokat uważał go raczej za głupca niż za ograniczonego tępaka, to jednak nigdy ani przez chwilę nie myślał, że on będzie aż takim głupcem, jakim miał się później okazać. Więc on nie powiedział adwokatowi nic, a adwokat też nic nie powiedział jemu, i tak przeszło to lato, i znów nadszedł wrzesień, a adwokat (tak samo jak i matka) wciąż jeszcze go nie zapytał, czy on chce wracać na uniwersytet. Więc w końcu on sam musiał powiedzieć, że zamierza tam wrócić; mówiąc o tym, może już nawet sobie uświadomił, że przegapił to posunięcie, bo na twarzy adwokata nie malowało się nic prócz przyzwolenia płatnego pełnomocnika. Tak więc wrócił na uniwersytet, gdzie już czekał Henry (och, jeszcze jak czekał), który mu nawet nie powiedział: „Nie odpisywałeś na moje listy. Nie napisałeś nawet do Judith”, bo przecież już dawno oświadczył: „To, co my oboje, ja i moja siostra, mamy, i to, czym my oboje, ja i moja siostra, jesteśmy, należy do ciebie.”

Ale może teraz on napisał do Judith, wysyłając ten list przez pierwszego Negrapocztyliona jadącego do Setki Sutpena. Może jej napisał, że tego lata w ogóle nic się nie działo, więc on nie miał o czym pisać i dlatego się nie odzywał. Kto wie, czy wypisując wyraźnie atramentem swoje imię i nazwisko: „Charles Bon”, na tej kopercie, nie myślał: „On będzie musiał to zobaczyć. Może odeśle to z powrotem” – i myślał: „Jeżeli ten list wróci, może nic już nie będzie mogło mnie powstrzymać, więc może wreszcie będę wiedział, co zrobić.”

Ale ten list nie wrócił. Nie wróciły również i następne. I minęła jesień, i znów nadeszło Boże Narodzenie, i znów oni dwaj wyruszyli do Setki Sutpena. I tym razem Sutpena nie było w domu – wybrał się na plantację czy do miasteczka, czy może na polowanie... gdzieś tam, więc go nie było, kiedy przyjechali, a Bon wiedział, że wcale nie spodziewał się go zastać, i mówił sobie: „Teraz. Teraz. Teraz. To nastąpi teraz. To nastąpi tym razem, a ja jestem młody, młody, bo wciąż jeszcze nie wiem, co zrobić.”

Więc może wtedy o zmierzchu w ogrodzie nie robił nic, tylko po prostu czekał (bo wiedział, że Sutpen już wrócił i jest teraz w domu; to było jak powiew wiatru, jakiś ciemny chłód, który na niego powiał, a on wtedy przystanął na ogrodowej alejce, poważny, spokojny, czujny, i zapytał się w myśli: „Co? Co to jest?” A potem już wiedział, co to jest; wyczuwał, jak tamten wchodzi do domu, a potem już pozwolił płucm wypuścić zdławiony oddech i zaczął teraz oddychać cicho, łatwo, głęboko, i serce miał spokojne). Dalej spacerował z Judith po ogrodzie, rozmawiając z nią dwornie, szarmancko, machinalnie (a Judith myślała wtedy to samo, co myślała po tym pierwszym pocałunku: „Więc to na tym polega? Więc to jest miłość?” Jeszcze raz jak pałką nieomal ogłuszona rozczarowaniem, ale pomimo to nadal nieugięta i z głową podniesioną wysoko), rozmawiał z nią i czekał, mówił sobie: „Może on mnie nawet wezwie. Przynajmniej mi to powie.”

Chociaż już wiedział, jak jest naprawdę: „On jest teraz w bibliotece. On wysłał Negra po Henry’ego. Już Henry wchodzi do biblioteki.”

Wiedział to z taką pewnością, że może nawet zatrzymał się wtedy, spojrzął na Judith z tym wyrazem twarzy, który teraz już był uśmiechem, i ujmując ją za łokcie, odwrócił powoli, łagodnie w kierunku domu.

„Idź teraz – powiedział. – Chcę być sam, żeby myśleć o miłości.”

A ona poszła zupełnie tak samo, jak tamtego dnia przyjęła ten pocałunek – poszła może czując jeszcze dotknięcie jego dłoni, krótkie i przelotne, na swoich plecach. A on stał, patrząc na dom, dopóki nie wyszedł stamtąd Henry. Obaj wtedy patrzyli na siebie przez chwilę, a potem bez słowa odwrócili się nagle i poszli przez ogród i przez podwórze do stajni, gdzie może był któryś z Negrów; może sami osiodłali te dwa konie i czekali na powrót tego Negra z dwiema na nowo zapakowanymi torbami podróżnymi. I może nawet wtedy on nie zapytał: „Ale nie kazał mi nic powiedzieć?”

Shreve urwał. To znaczy, o ile im obu, Shreve’owi i Quentinowi, było wiadomo, przestał mówić już dawno, nawet w ogóle mówić nie zaczynał, skoro i tak nie odgrywało roli (być może, żaden z nich nie był świadomy tego rozróżnienia), który z nich dwóch to wszystko opowiada. Więc teraz to już nie tamci dwaj, ale oni czterej na dwóch koniach jechali w tę dawną Wigilię Bożego Narodzenia poprzez grudniowe mroki po zamrzniętych, twardych koleinach traktu. Oni czterej, a potem tylko oni dwaj: Charles-Shreve i Henry-Quentin, przy czym obaj wiedzieli, że Henry myśli: „On (na myśli ma ojca) zabija nas wszystkich” – nie myśląc jednak wcale, ani przez sekundę: „On (Bon) na pewno wiedział albo przynajmniej podejrzewał przez cały ten czas. Dlatego postępował tak, jak postępował, dlatego przez to lato mi nie odpisywał i do Judith nie pisał; dlatego nie oświadczył się Judith.”

Bo oni obaj wiedzieli, że ta myśl przyszła Henry'emu do głowy już przedtem, kiedy, wyszedłszy z domu, podchodził do Bona, kiedy obydwaj z Bonem patrzyli na siebie nie mówiąc ani słowa, kiedy szli do stajni i siodłali te konie, lecz to już minęło i Henry tę myśl przełknął, bo jeszcze nie wierzył, jakkolwiek dobrze wiedział, że ojciec nie skłamał, jakkolwiek już na pewno z rozpaczą zrozumiał tajemnicę własnego stosunku do Bona, instynktownych swych uczuć już od tamtej chwili, kiedy zobaczył Bona po raz pierwszy w życiu – chwili, od której minął rok i trzy miesiące; wiedział, a przecież jeszcze nie chciał w to uwierzyć.

Więc to oni czterej jechali na dwóch koniach przez tamtą noc grudniową, a potem przez dzień Bożego Narodzenia roziskrzony szronem, rozdzwoniony dzień święta w stanie Missisipi; jak pariasi mijali domy plantatorów, odświętne, z gałązkami ostrokrzewu wszędzie zdobiącymi kołatki na frontowych drzwiach, z jemiolą zwisającą psotnie z żyrandoli, z wazami grogu, ponczu i grzanego piwa na stole w każdym hallu; jak pariasi mijali kwatery murzyńskie z nieruchomości, strzeliście prostymi smugami błękitnawego dymu z bielonych kominów. Przyjechali nad Rzekę, wsiedli na parowiec. Na parowcu też było Boże Narodzenie, też ostrokrzew, jemiola, też poncz, grzane piwo; może... na pewno była kolacja świąteczna, wielki bal po kolacji, lecz przecież nie dla nich: oni dwaj teraz stali w ciemności i w zimnie przy poręczy pokładu ponad czarną wodą, ciągle jeszcze bez słowa, bo o czym tu mówić; oni dwaj (oni czterej) w tym okresie próbnym, w tym stanie zawieszenia z wyroku Henry'ego, który wprawdzie już wiedział, lecz jeszcze nie wierzył, który jechał świadomie, by naocznie sprawdzić, dowieść samemu sobie to, czego stwierdzenie miało być równoznaczne ze śmiercią dla niego, jak uważali Quentin i Shreve.

Więc we czterech wysiedli w Nowym Orleanie, dużym, wspaniałym mieście nie znanym Henry'emu (jego całe kosmopolityczne doświadczenie poza pobytem na uniwersytecie sprowadzało się prawdopodobnie do jednej czy dwóch podróży do Memphis, gdzie towarzyszył ojcu przy zakupywaniu niewolników albo bydła). Lecz Henry teraz nie miał czasu, żeby zwiedzać, Bon teraz nie miał czasu, żeby oprowadzać – Bon, którego pan Compson nazywał fatalistą, który jednak (zdaniem Quentina i Shreve'a) przyjął wyrok i plany Henry'ego uległy wcale nie przez fatalizm, ale dlatego, że nie tylko nie wiedział, co Henry zamierza, lecz nawet nie dbał o to, bo przecież od dawna sobie uświadamiał, że sam jeszcze nie wie, co uczyni.

Oni czterej siedzieli w przepysznym salonie, w tej barokowej, dusznej, stęchłej wspaniałości, wymyślonej przez Shreve'a i prawdopodobnie zgodnej z prawdą; a ta dziewczyna z twierdzy wśród trzciny cukrowej, ta córka plantatora z Haiti – Francuza, kobieta, którą ojciec, pierwszy teść Sutpena, podawał za Hiszpankę (drobna i źle ubrana,

z byle jak zwiniętym kokiem swych kruczonych włosów, grubych, szorstkich jak końskie, gdzieśgdzie przetkanych już pasmami siwizny, miała cerę żółtą jak stary pergamin, zwiotczałą i pomarszczoną, worki pod oczami, oczy czarne, bezwzględne, które stanowiły jeden jedyny szczegół jej powierzchowności nie świadczący o wieku, bo błyszczały, pałały wciąż młodą pamięcią tej istoty, również tylko wymyślonej przez Shreve'a i Quentina, ale prawdopodobnie kiedyś rzeczywistej tak samo jak ten salon)... więc ona, ta kobieta, nic im nie mówiła, bo nie musiała mówić, bo już powiedziała, choćby przez to, że zamiast zapytać Henry'ego: „Więc mój syn się zakochał w pańskiej siostrze, prawda?” – rzekła tylko: „Więc ona się w nim zakochała” – po czym, siedząc tam, śmiała się ochryple, zimno, a Henry patrzył na nią niezdolny do kłamstwa, choćby nawet chciał skłamać, niepotrzebnie zresztą, bo ona nie czekała na „tak” albo „nie”. Oni czterej tam byli w tym salonie w Nowym Orleanie w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym, tak samo jak w pewnym sensie oni czterej byli w tym jak grobowiec zimnym pokoju w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym w stanie Massachusetts.

I Bon może Henry'ego wtedy zaprowadził, bo to istotnie mogło być prawdopodobne, z wizytą do metresy, do tej oktoronki i do swojego dziecka – tak jak opowiadał pan Compson, chociaż ani Shreve, ani Quentin nie sądzili, żeby ta wizyta uczyniła na Henrym aż tak silne wrażenie, jak to sobie pan Compson wyobrażał. W istocie Quentin nawet nie powtórzył Shreve'owi tego, co opowiadał ojciec; przełknął to w tamten upalny wrześnieowy zmierzch, nawet nie słysząc, podobnie jak Shreve by do tego nie przywiązywał żadnej wagi, skoro oni obaj teraz uważali, zapewne również i w tym mając rację, że oktoronka z dzieckiem stanowiła dla Henry'ego po prostu jeszcze jeden szczegół życia Bona, godny nie tyle zazdrości, ile naśladowania, coś, o co sam Henry niewątpliwie spróbowałby się postarać, gdyby tylko istniała po temu możliwość, gdyby tylko był na to czas i spokój – spokój, a raczej pokój, nie ten między ludźmi jednego szczepu, jednej narodowości, ale ów pokój, jaki mogliby zawrzeć dwaj młodzi ludzie z prawdą faktu, który zbić się nie da, a z którym pragną walczyć, takiego jednak pokoju przecież być nie mogło, bo zarówno Bon z Henrym, jak z Quentinem Shreve nie byli na tym świecie pierwszymi młodymi, co sądzą (a przynajmniej działają w myśl tego), że wojny wybuchają czasami wyłącznie po to, żeby rozwiązać pewne osobiste, beznadziejnie zawikłane problemy młodości.

– No, więc ta stara Sabina zadała Henry'emu tylko jedno pytanie, a potem siedząc tam zaczęła się śmiać, więc on już wiedział, już obaj „wtedy wiedzieli. I teraz nastąpiła tylko krótką, ta najkrótsza ze wszystkich rozmowa z adwokatem. Bo adwokat przecież go obserwował, może nawet był jeszcze jakiś list w ciągu tej drugiej jesieni, kiedy adwokat czekał, żeby coś się działo, a na pozór nie działo się nic. (I może to właśnie adwokat był

powodem, dla którego on nie pisał do Henry'ego i Judith tego lata; bo jakże miał pisać, jeżeli te listy od Henry'ego wcale do jego rąk nie dochodziły?) Więc może adwokat napisał tej jesieni list do Bona – ze dwie, a może trzy strony od „pokornego sługi” i te de, i te de, sprowadzające się do trzynastu słów: „Ja wiem, że jesteś głupcem, ale ciekaw jestem, jak dalece głupcem się okażesz.”

Przy czym Bon przynajmniej na tyle nie był głupcem, że nie potrzebował sprowadzać tej epistoły do tych trzynastu słów. No, więc adwokat go obserwował jeszcze nie zaniepokojony, tylko mocno zirytowany, dając mu mnóstwo czasu na złożenie wizyty w kancelarii, dając mu na to może nawet cały tydzień (już zdołał gdzieś przyłapać Henry'ego i chociaż Henry nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, sporo się od niego dowiedzieć, zanim przyłapał również i Bona, i to może tak skutecznie, że nawet Bon nie wiedział od razu, co nastąpi). To była krótka rozmowa. Teraz już pomiędzy nimi nie było żadnych tajemnic; tyle tylko że prawda nie została wypowiedziana. Adwokat siedział przy biurku (może nawet nad tą tajną szufladą, nad tą księgą, w której właśnie skończył dodawać narosłe od zeszłego roku procenty, równoważąc je pomiędzy wartością samą przez się a miłością i dumą i podwajając ich wysokość) – rozżalony, zirytowany, ale w gruncie rzeczy spokojny, ponieważ nie tylko już wierzył w to, że ma w ręku wszystkie sprężyny, ale zarazem jeszcze nie wierzył w to, że Bon jest aż takim głupcem, jakkolwiek w pewnej chwili skłonny był już posądzić go o tępotę czy przynajmniej zacofanie. No, więc adwokat patrzył na niego i mówił gładko i płynnie, skoro teraz wszystko między nimi już się wyjaśniło i skoro teraz już wiedział, że Bon wie wszystko, co kiedykolwiek miał wiedzieć czy też wiedzieć powinien, żeby wymierzyć ten główny, ostateczny cios.

„Czy pan wie o tym, że ma pan wielkie szczęście, młodzieńcze? Podczas gdy większość z nas, nawet jeśli szczęśliwym trafem znajdzie okazję do pomszczenia krzywd, musi płacić za to w dolarach żywą gotówką. A pan jesteś nie tylko w sytuacji następującej ci okazję do zemsty, do oczyszczenia imienia twojej matki, ale jeszcze w dodatku ten balsam, którym ukoisz pan jej ranę, będzie miał specjalną dodatkową wartość dającą się przełożyć na kategorie tych rzeczy, jakich młody człowiek potrzebuje, jakie mu się słusznie należą, a jakie bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie podoba, niestety możemy osiągnąć tylko za ciężkie dolary.”

A Bon nie zapytał: „Co pan mecenas chce przez to powiedzieć?”, i jeszcze się nie poruszył; to znaczy, adwokat jeszcze sobie nie uświadomił, że on jest już gotów do ruchu, więc mówił dalej płynnie i spokojnie: „I coś więcej niż to, niż ta zemsta... do tego jeszcze, że tak powiem, deserek, ten popołudniowy bukietek, ten bezwonny kwiat łąki, którego się przy tym zerwać nieomieszka, a który tak samo dobrze może przecież kwitnąć w klapie pańskiego surduta, jak i w klapie surduta kogoś innego: ta... jak wy, młodzi powiadacie?”

ta... ładna szelmutka:..”

A potem zobaczył Bona przed sobą – może zobaczył go czy może tylko usłyszał jego kroki. A potem z tym pistoletem (typu derringer czy kawaleryjskim, czy z rewolwerem, cokolwiek to tam było) skulił się, oparł o ścianę za przewróconym krzesłem i zawarczał: „Odsuń się pan. Stój! – A potem krzyknął: – Ratunku! Ratunku! Ratu...!”

A potem już tylko wydawał nieartykułowane wrzaski, słysząc i czując, jak mu trzeszcza kości, zanim wreszcie zdołał jakoś uwolnić palce przyciśnięte do tego pistoletu i kręgi karku również, kiedy Bon bił go na odlew to w jeden, to w drugi policzek, może nawet usłyszał, jak Bon mówi: „Przestań pan. Cicho. Nie pokaleczę pana.”

Czy też może to ten prawnik, który w nim, w adwokacie, siedział, powiedział mu to „cicho”, a on usłuchał, i również ten prawnik kazał mu usiąść na znów porządnie ustawionym krześle i oprzeć się, niemal położyć na biurku. I również ten prawnik ostrzegł go, że zamiast powiedzieć: „Zapłacisz mi za to”, znacznie bezpieczniej jest spokojnie oprzeć się o biurko, obmacywać wykreconą rękę i owijać ją w chustkę do nosa, kiedy Bon stał tam patrząc na niego, trzymając ten pistolet przy udzie, niedbale dwoma palcami za lufę, i mówił: „Jeżeli pan mecenas uważa, że potrzebna jest panu satysfakcja, to oczywiście, pan mecenas wie...”

A adwokat, rozparty tam, przyłożył teraz tę chustkę do policzka.

„Pomyliłem się. Nie zrozumiałem pańskich uczuć w tej sprawie. Proszę o przebaczenie.”

A Bon na to: „Załatwione. Jak pan mecenas sobie życzy. Przyjmę albo przeprosiny, albo kulę w łeb, jak pan woli.”

A adwokat (na policzku miał lekki, już znikający czerwony ślad, ale to było wszystko: nic w głosie, nic w oczach): „Widzę, że pan chce otrzymać pełne zadośćuczynienie za moje niefortunne mylne podejście... nawet, powiedziałbym, śmieszne. Nawet gdybym czuł, że racja jest po mojej stronie, (czego zresztą nie czuję), to i tak musiałbym się uchylić od przyjęcia pańskiej propozycji. Nie dorównałbym panu na pistolety.”

A Bon zapytał: „A na noże albo rapiery także nie?”

A adwokat na to płynnie i spokojnie: „Na noże i na rapiery także nie.”

Więc adwokat nawet nie potrzebował mówić: „Zapłacisz mi za to”, bo Bon już to sobie powiedział w jego imieniu – Bon, który, stojąc tam z tym nie nabitym pistoletem, może myślał: „Ale tylko na noże, na pistolety, na rapiery on mi nie dorówna. Więc ja go nie mogę pokonać. Potrafiłbym go zastrzelić. Zastrzeliłbym go tak samo bez żadnych wyrzutów sumienia, jak bym zastrzelił jadowitego węża albo człowieka, który by mi przyprawił rogi. Ale pomimo to on by mnie jeszcze pokonał.” I myślał: „Tak, on mnie rzeczywiście już pokonał”, a tymczasem... tymczasem...(– Słuchaj! – krzyknął Shreve. –

Ja wiem, kiedy adwokat go pokonał. To było w dwa lata później, kiedy ranny w ramię on leżał w sypialni w tym obcym prywatnym domu w Cornth po bitwie pod Pittsburgh Landing. Właśnie wtedy dostał list od oktoronki (może do tego właśnie listu była dołączona ta fotografia jej i dziecka) ze skomleniem o pieniądze i z wiadomością, że adwokat ostatecznie wyjechał do Teksasu czy do Meksyku, czy gdzieś tam, i że ona (oktoronka) nie może tu znaleźć jego matki, więc niewątpliwie ten adwokat jego matkę zamordował, zanim ukradł te wszystkie pieniądze, bo przecież akurat było w stylu ich obojga uciec albo wzajemnie się pozabijać, nie pozostawiając oktoronce żadnego zaopatrzenia.)

...więc właśnie i jeden, i drugi już wiedział. I, Jezu, pomyśl tylko o nim, o Bonie, który chciał to wiedzieć już tak dawno i właściwie powinien chcieć wiedzieć jeszcze dawniej, jeszcze wtedy, gdy mu mogło się wydawać, że nie miał w ogóle żadnego ojca, tylko zrodził się z porozumienia pomiędzy tą kobietą, która nigdy nie pozwalała mu się bawić z innymi dziećmi, a tym adwokatem, który tak dalece zawiadywał sprawami tej kobiety, że nawet jej mówił, czy i kiedy ma kupić kawałek mięsa albo bochenek chleba – zrodził się z porozumienia tych dwojga ludzi, przy czym nie było ani chęci spółzenia go, ani rozkoszy, ani bólów porodowych. Może gdyby on tylko od samej matki bądź tylko od samego Sutpena dowiedział się prawdy, w ogóle by nie doszło do tego, co się stało. A tymczasem Henry miał ojca i pewność, i zadowolenie, i wszystko, a przecież to właśnie Henry'emu oni oboje powiedzieli prawdę, której jemu, Bonowi, nie powiedział nikt. I tylko pomyśl o Henry'm, który w pierwszej chwili powiedział, że to jest kłamstwo, a potem, już wiedząc, że to nie jest kłamstwo, wciąż jeszcze sobie powtarzał: „Nie wierzę.”

I znalazł nawet w tym: „Nie wierzę”, dosyć siły, żeby się odrzec rodzinnego domu i rodziny dla poparcia swojego wyzwania, a potem, po tej szermierce, kiedy już sobie dowiedział, że jego twierdzenie jest fałszem, uznał, że tym bardziej nie wolno mu wracać do domu; Jezu, tylko pomyśl o tym brzemienu, jakie on musiał dźwigać – on, zrodzony z dwojga metodystów (albo jednej długiej, niezwykłej Unii metodystów), wychowany na głębokiej prowincji północnego Missisipi i stojący teraz wobec możliwości sankcjonowania kazirodztwa, właśnie kazirodztwa ze wszystkich najgorszych nieszczęść, jakie los mógł trzymać dla niego w zapasie, właśnie tego, przeciwko czemu buntowało się całe jego dziedzictwo, wszystkie zasady, w których go wychowano. Stał wobec możliwości sankcjonowania kazirodztwa, i to wiedząc, że ani kazirodztwo, ani te wszystkie jego zasady wcale tej sprawy nie rozwiążą. Więc może kiedy wyszli z domu tamtego pierwszego wieczora w Nowym Orleanie i spacerowali po ulicach, a Bon wreszcie zapytał: „No? I co dalej?”

Henry odpowiedział: „Zaraz. Zaraz. Daj mi się z tym oswoić.”

A może minęło parę dni, po których Henry oznajmił: „Nie. Tobie nie wolno. Nie wolno.”

I to właśnie wtedy Bon powiedział: „Zaraz. Jestem twoim starszym bratem. I ty do mnie mówisz: «Nie wolno ci?»”

I może minął tydzień, może Bon zabrał Henry'ego z wizytą do tej okoronki, a Henry spojrzął na nią i zapytał: „Czy to ci nie wystarcza?”

A Bon odpowiedział: „Chcesz, żeby wystarczało?”

A Henry na to: „Zaraz. Zaraz. Muszę mieć czas, żeby się z tym oswoić. Musisz mi dać czas.”

Jezu, tylko pomyśl, jak Henry musiał z nim rozmawiać w ciągu tej zimy, a potem tej wiosny, kiedy Lincoln już został wybrany na prezydenta i w Alabamie odbył się ten zjazd, i stany południowe zaczęły się wycofywać z Unii. A potem w Stanach Zjednoczonych było dwóch prezydentów i telegraf przyniósł wiadomość o Charleston, więc Lincoln wysłał swoje wojska w pole i już się stało: już nieodwołalnie była wojna. Henry i Bon już postanowili się zaciągnąć, nawet nie radząc się wzajemnie – oni, którzy, tak czy owak, by się zaciągnęli, nawet gdyby w ogóle się nie znali, a już z tym większą gotowością zrobili to teraz, bo ostatecznie nie chce się przecież marnować czegoś takiego jak wojna... Pomyśl tylko, i na pewno ze sobą rozmawiali, i Henry pytał: „A czy ty musisz się z nią ożenić? Czy ty naprawdę musisz?”

A Bon: „On powinien był powiedzieć to mnie. On powinien był powiedzieć to mnie. Mnie osobiście. Ja postępowałem wobec niego lojalnie i honorowo. Czekałem. Teraz już wiesz, dlaczego czekałem. Dałem mu wszelką sposobność po temu, żeby mi sam powiedział. Ale tego nie zrobił. Gdyby powiedział, to ja bym się zgodził mu przyrzec, że już nigdy nie zobaczę się ani z tobą, ani z nią, ani z nim. Ale on nie powiedział. Myślałem na początku, że to dlatego, że on nie wie. A potem już wiedziałem, że on wie, i wciąż jeszcze czekałem. Ale on mi nie powiedział. On tylko powiedział tobie, a mnie kazał zawiadomić, żebym się wynosił, tak jak przez czarnucha odprawia się żebraka albo włóczęgę. Czy ty tego nie widzisz?”

A Henry mówił: „Ale Judith. Nasza siostra. Pomyśl o niej.”

A Bon: „Dobrze. Mam pomyśleć o niej. No, więc co?”

Bo oni obaj wiedzieli, jak Judith postąpi, kiedy się dowie o tym; bo oni obaj wiedzieli, że kobiety kierują się honorem i dumą prawie we wszystkim, tylko nie w miłości. Więc Henry powiedział: „Tak. Widzę. Rozumiem. Ale ty musisz dać mi czas, żebym się z tym oswoił. Jesteś moim starszym bratem, więc przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić.”

Tylko pomyśl o nich, o tych dwóch. Bon nie wiedział, co robi, a musiał udawać, że wie; a Henry wiedział, co robi, a musiał udawać, że nie wie. A potem znów było Boże Narodzenie, a potem rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty pierwszy, a oni nie mieli od Judith żadnych wiadomości, bo przecież Judith nie mogła wiedzieć, gdzie oni są, skoro Henry jeszcze nie pozwolił Bonowi do niej napisać; a potem dowiedzieli się o tej kompanii, o tej Legii Akademickiej już organizującej się w Oxford, a, kto wie, może właśnie tylko na to czekali. Więc parowcem udali się znów na północ. Może tam było na tym statku jeszcze weselej i huczniej niż w dzień Bożego Narodzenia, jak to zawsze w prologu wojny, zanim jej teatr zapełni się głodnymi i rannymi, i wdowami, i sierotami. Ale oni i w tej wesołości też nie brali udziału, tylko stali tam na pokładzie znów nad pieniącą się przy statku wodą. Może dopiero po paru dniach tej podróży Henry nagle powiedział, nagle wykrzyknął: „Ale przecież królowie to robili! Nawet książęta! Był przecież ten książę lotaryński, miał na imię Jan któryś tam. Przecież on się ożenił ze swoją siostrą. Papież go wyklął, ale to nie szkodziło! To nie szkodziło! Byli nadal małżeństwem. Nadal żyli. Nadal się kochali! – A potem dodał, znów głośno, szybko: – Ale ty musisz poczekać! Musisz dać mi czas! Może ta wojna to załatwi, więc już my nie będziemy potrzebowali!”

I może tutaj twój staruszek jednak miał rację; więc pojechali do Oxford, nie zahaczając po drodze o Setkę Sutpena, i zaciągnęli się do tej kompanii, a potem gdzieś się ukryli, żeby czekać na jej wymarsz, i wtedy Henry pozwolił Bonowi napisać do Judith list; wysłali ten list przez posłańca, czarnucha, który zakradł się nocą do kwater niewolników w Setce Sutpena i dał go pokojówce Judith, a Judith w odpowiedzi przesłała tę fotografię w medalionie. A potem pojechali dalej, wyprzedzili kompanię i czekali, aż kompania skończy szyc sztandary i rozjeżdżać się po całym stanie zegnając dziewczyny, i wreszcie wyruszy w pole.

Jezu, tylko pomyśl o nich. Bo on wiedział, co Henry robi, zupełnie tak samo jak zawsze wiedział, co Henry sobie myśli, już od tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy spojrzeli na siebie. Może wiedział, co Henry robi, tym lepiej, że nie wiedział, co robi on sam, i czuł w dodatku, że wiedzieć tego nie będzie aż do chwili, w której zniemacka bomba pęknie, a on dopiero wtedy sobie uświadomi, że jednak przez cały czas o tym wiedział; dlatego więc nawet nie potrzebował się kłopotać o siebie i w ogóle nic nie miał do roboty, tylko patrzył, jak Henry usiłuje pogodzić to, co on, jak to Henry wiedział, na pewno robi, z tymi wszystkimi głosami swojego dziedzictwa i wychowania, które mówiły: „Nie. Nie. Nie możesz. Nie wolno ci. Nie zrobisz tego.” Może już nawet byli w ogniu bitwy wśród rozrywających się pocisków, może już leżeli w oczekiwaniu na rozkaz natarcia, kiedy Henry znów wykrzyknął: „Ale ten książę lotaryński przecież to zrobił. Musiało być

mnóstwo ludzi na świecie, którzy to robili... ludzi, o których się nawet nie wie, którzy może cierpieli za to i po śmierci poszli do piekła. Ale jednak zrobili to i teraz to nie ma żadnego znaczenia; nawet ci, o których nam wiadomo, są teraz tylko nazwiskami, więc to już nie ma żadnego znaczenia.”

A Bon patrzył na niego, słuchał i myślał: „To dlatego, że ja sam nie wiem. co zrobię. On wie, że ja nie jestem zdecydowany, chociaż nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że wie. Może gdybym teraz mu powiedział, że to zrobię, on by już wreszcie się zdecydował i powiedział: «Nie wolno ci”.

Więc może twój staruszek miał tym razem rację, może oni rzeczywiście myśleli, że wojna to załatwi, uwalniając ich od decyzji, albo przynajmniej Henry żywił taką nadzieję, bo może twój staruszek miał rację i co do tego, że Bona to nic a nic nie obchodziło. Bo odkąd te dwie osoby, które ojca mu dać mogły, ojca mu odmówiły, już nic nie było dla niego ważne, ani zemsta, ani miłość, ani w ogóle nic, skoro on wiedział, że ani zemsta by go nie zaspokoila, ani miłość by nie była pociechą. Może nawet to nie Henry mu nie pozwolił pisać do Judith, ale on sam z własnej woli do niej nie pisał tylko, dlatego, że go nie obchodziło absolutnie nic, nawet to, że sam jeszcze nie wie, jak postąpi. A potem zaczął się następny rok i on był już oficerem, i już szli na Shiloh, ciągle nie wiedząc nic. W marszu znów rozmawiali, kiedy on, oficer, pozostał nieco w tyle, żeby się zrównać z szeregiem. I Henry znów krzychał, chociaż starał się zniżyć zrozpaczony, natarczywy głos: „Czy jeszcze nie wiesz, co zrobisz?!”

A on patrzył na Henry’ego przez chwilę z tym swoim wyrazem twarzy, który mógłby być uśmiechem: „No, a gdybym tak ci powiedział, że nie zamierzam do niej wrócić?”

A Henry, idąc tam przy nim, dźwigając plecak i muszkiet, długi łącznie z bagnetem na osiem stóp, zadyszał się pod jego spojrzeniem.

„Teraz często jestem przed tobą; w czasie marszu i w natarciu zawsze będę przed tobą.”

A Henry dyszał: „Przestań! Przestań!”

A on patrzył na Henry’ego z tym słabym, nikłym uśmiechem, nie uśmiechem na ustach i w oczach.

„I czy kiedykolwiek ktoś się o tym dowie? Ty sam nie będziesz musiał wiedzieć, bo skąd miałbyś pewność, czy jakaś kula jankeska nie trafiła mnie dokładnie w tej sekundzie, w której ty pociągnąłeś za cyngiel... czy nawet wcześniej...”

A Henry dyszał i patrzył, wpatrywał się w niego i zęby mu błyskały, krople potu wystąpiły na twarz, a rękę na kolbie muszkietu zaciskał tak mocno, że aż mu zbiełały knykcie. I mówił zdyszany: „Przestań! Przestań! Przestań! Przestań!”

A potem Shiloh i ten drugi dzień, i przegrana bitwa. Brygada wycofywała się przez

Pittsburgh Landing... I słuchaj! – wykrzyknął Shreve.

– Poczekaj no, poczekaj! – Wpatrując się w Quentina sam teraz dyszał, jak gdyby nie tylko dysponował tymi jego cieniami w wymyślonym przez siebie wątku, ale musiał tchnąć w nie oddech, żeby mu były posłuszne.

– Bo twój staruszek tutaj już nie miał racji! Powiedział, że to Bon był ranny, a to przecież wcale nie Bon. Bo kto twojemu staruszkowi o tym powiedział? Kto powiedział o tym Sutpenowi albo twojemu dziadkowi? Przecież nie było wiadomo, który z nich dwóch został ranny. Sutpen nie wiedział, bo przy tym nie był, i twój dziadek też przy tym nie był, bo sam został w tym czasie ranny i stracił rękę.

Więc kto im powiedział? Przecież nie Henry, bo Sutpen widział się z Henry'm tylko raz i może nawet nie mieli wtedy czasu rozmawiać o ranach, a zresztą rozmowa o ranach w armii konfederackiej w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym byłaby czymś podobnym do rozmowy górników w kopalni węgla o pyłe węglowym. I przecież nie Bon mu powiedział, bo Sutpen w ogóle już się z nim nie widział, bo był śmiertel... więc to nie Bon był ranny, ale Henry; Bon wreszcie znalazł Henry'ego i pochylił się, żeby go podnieść, a Henry zaczął się szamotać, opierać, prosić: „Zostaw! Daj mi umrzeć! Wtedy już nie będę musiał wiedzieć.”

A on na to: „Więc ty chcesz, żebym do niej wrócił.”

A Henry leżał tam, szamocząc się i dysząc, z kroplami potu na twarzy, z krwią na zębach pod przygryzioną wargą, a on powiedział: „Powiedz, że chcesz, żebym do niej wrócił. Może wtedy tego nie zrobię. Powiedz to.”

A Henry wciąż się szamotał i koszula mu nasiąkała wciąż świeżą czerwienią, zęby błyskały, pot spływał po twarzy, aż on wziął Henry'ego za rękę i przerzucił go sobie przez plecy...

Najpierw oni dwaj; potem oni czterej; teraz znów oni dwaj. Ten pokój był naprawdę jak grobowiec przesycony jakąś zastołą, martwą stęchlizną chłodniejszą niż wszelki zwykły chłód, rozfalowany i żywy. A przecież z tego pokoju wciąż jeszcze nie wychodzili, chociaż w odległości niecałych trzydziestu stóp czekały na nich ciepłe łóżka. Quentin nawet nie włożył palta, które już dawno spadło z poręczy krzesła, gdzie położył je Shreve, i leżało teraz na podłodze. Trwali w tym zimnie. Obaj je znosili, zdawałoby się, w jakimś rozmyślnym masochistycznym uniesieniu, biczując się tą przykrą okolicznością natury fizycznej, przeistoczoną w rozterki i udrękę duchową tamtych dwóch młodych sprzed pięćdziesięciu lat, a raczej sprzed czterdziestu ośmiu lat, a później sprzed czterdziestu siedmiu, a później sprzed czterdziestu sześciu, aż był już rok sześćdziesiąty piąty.

... kiedy te zagłodzone i rozbite wojska w odwrocie idąc znowu przez stan Alabama i stan Georgia, zbliżając się do Karoliny, spychane coraz dalej nie przez tę zwycięską

armię, ale tym wzbierającym, z obu stron rozlanym przypiływem ciągle nowych nazw przegranych bitew: Chickamauga i Franklin, i Vicksburg, i Corinth, i Atlanta – owych bitew przegranych nie dlatego, że nieprzyjaciel miał stale liczebną przewagę, zapasy się kończyły, brakło amunicji, ale również dlatego, że generałowie tych wojsk generałami zostali nie dzięki wyszkoleniu w metodach współczesnej strategii czy dzięki swym taktycznym szczególnie zdolnościom, lecz byli dowódcami na mocy boskiego prawa rozkazywania ludziom: „Wy tam idźcie!”, prawa, jakie im nadał sam ich absolutny dawny system kastowy; czy też może dlatego, że tych generałów śmierć zabrała z pola zbyt nagle, zbyt szybko, zanim mieli czas na to, żeby się nauczyć, jak powinien wyglądać atak koncentryczny i jak po trochu rzucać do walki odwody, skoro wszczynając bitwy byli przestarzali niczym Ryszard Lwie Serce, du Guesclin czy Roland; generałowie w wieku może lat trzydziestu, może dwudziestu ośmiu czy trzydziestu dwóch – w pióropuszcach, w opończach podbitych szkarłatem – potrafili zdobywać okręty wojenne natarciem kawalerii, lecz nie mieli zboża ani mięsa dla wojska, ani nawet kuli; potrafili pokonać trzy osobne armie, i to w czasie nie dłuższym niż jakieś trzy dni, lecz wyrwali deski z rodzimych swych płotów na ogień, by gotować mięso zrabowane z wędzarni także rodzimych; z garstką ledwie żołnierzy chytrze podpalali i niszczyli wrogowi skład intendencji z zapasami wartości miliona dolarów, a już następnej nocy ginęli od kuli sąsiada, przyłapani w łóżku z jego żoną.

Oni dwaj, oni czterej, teraz znów oni dwaj, w opowiadaniu Shreve’a i Quentina – ci dwaj, ci czterej i znów ci dwaj w tej rozmowie na froncie: ten jeden, który jeszcze nie wiedział, co robi, ten drugi, który wiedział już, co zrobić musi, a przecież z tym wciąż jeszcze nie mógł się pogodzić – ten Henry podający się za autorytet w problemach kazirodztwa i rozprawiający o Janie Lotaryńskim, jak gdyby z nadzieją, że może mu się uda z zaświatów wywołać tego potępionego, wyklętego ducha, który mu osobiście powie, że ma rację, tak jak ludzie przed Henry’em nieraz próbowali, tak jak ludzie po Henry’em też próbować będą wywoływać Boga z niebios albo diabła z piekieł po to, by Bóg czy diabeł ich usprawiedliwił z czegoś, co chcą uczynić posłusznymi swym własnym natarczywym gruczołom...

Ci dwaj, ci czterej, ci dwaj patrzyli na siebie w tym pokoju zimnym jak grobowiec: Shreve, Kanadyjczyk, dziecko zadymek śnieżnych i mrozów, w tej chwili okutany w płaszcz kąpielowy i w palto z kołnierzem postawionym; Quentin, południowiec, delikatna, smętna latorośl deszczu i parnego upału, w świetnym na tamten klimat, przywiezionym z Missisipi lekkim ubraniu i bez palto, bo jego palto (tak jak to ubranie cienkie i nie nadające się na mróz) leżało na podłodze, skąd dotychczas nawet się nie pofatygował go podnieść. (...rok sześćdziesiąty czwarty: już właśnie ta zima; wojska już

się cofnęły przez stan Alabama do Georgii i już blisko był stan Karolina, a Bon, oficer, myślał: „Albo nas tutaj złapią i do cna wykończą, albo nas wyratuje jakoś Stary Joe; wtedy prawdopodobnie nawiążemy łączność z wojskami generała Lee jeszcze przed Richmond i przynajmniej będziemy mieli ten przywilej, że się poddamy z nimi!”

A potem dnia pewnego, zupełnie zniecka, pomyślał czy też sobie przypomniał, że przecież utworzony w Jefferson pułk, gdzie jego ojciec jest teraz pułkownikiem, niewątpliwie wchodzi w skład korpusu Longstreeta, więc może w tej chwili zaczęło mu się zdawać, że ten cały odwrót odbywa się jedynie po to, by wprowadzić go znowu w zasięg ojca, by ojciec mógł mieć jeszcze jedną sposobność. Może mu się zdawało, że w końcu wie teraz, dlaczego do tej pory się nie zdecydował, co chce zrobić – i może przełomie pomyślał: „Mój Boże, jestem młody, jestem jeszcze młody... nawet po takich czterech latach młody”, ale tylko przełomie, bo może od razu, nawet nie milknąc dla nabrania tchu, powiedział: „No więc dobrze, jestem jeszcze młody. I nie przestaję wierzyć przynajmniej w to jedno – przynajmniej w to jedno, że on teraz jest inny, nie taki jak dawniej, że zmieniła go wojna, te wszystkie cierpienia, cztery lata, gdy z trudem starał się utrzymać tych żołnierzy przy życiu, gotowych do walki po to, by przefrymarczyć ich ciała i krew za jak najwięcej ziemi po najwyższej cenie – wierzę, choć wiem, że jego i tak nic nie zmieni. To właśnie tam i teraz on na pewno powie nie: «Wybacz mi», lecz powie: «Jesteś moim synem. Moim najstarszym synem. Uchronij swoją siostrę. Zejdź nam wszystkim sprzed oczu.”

A potem rok nastąpił sześćdziesiąty piąty. Tym resztkom wojsk Zachodu nie zostało nic prócz zdolności odwrotu, cofania się stale, powoli i uparcie pod ogniem muszkietów i pod ostrzałem armat. Może oni już nawet przestali odczuwać brak żywności i butów, płaszczy i wszystkiego, może dlatego właśnie on mógł tak napisać o tych zdobytych skrzyniach lakieru do pieców, jak napisał w ostatnim swym liście do Judith, kiedy już ostatecznie wiedział, co ma zrobić, i powiedział Henry’emu, a Henry wykrzyknął: „Dzięki Ci, o Boże!”

Oczywiście dziękował nie za kazirodztwo, ale za to, że wreszcie obaj coś uczynią, że on sam coś uczyni, choćby to coś było zarówno odrzeczeniem się nieodwołalnym dziedzictwa duchowego zasad, w których wzrastał, jak zgodą na wieczyste swoje potępienie; i może teraz przestał nawet opowiadać o lotaryńskim księciu, bo już mógł powiedzieć: „To nie jest ani twoje, ani jego piekło, ani piekło papieża, tam gdzie my pójdziemy. To jest piekło mej matki i rodziców matki, i jej dziadków, pradziadków, prapradziadków także; nie tylko ty tam pójdziesz, ale my we troje, nie, my wszyscy we czworo. Więc przynajmniej będziemy razem, wszyscy razem, tam gdzie jest nasze miejsce, bo nawet w wypadku, gdyby jedynie ojciec nasz został skazany, my powinniśmy

przecież pójść tam za nim także, skoro my wszyscy troje nie jesteśmy niczym, tylko trzema złudami, które spłodził on – a złudzenia człowieka są częścią człowieka, tak jak i ciało jego, i kości, i pamięć. Więc razem tam będziemy w tych męczarniach piekieł, może nie potrzebując już wcale pamiętać miłości i porubstwa; bo może w tych mękach nie można sobie nawet przypomnieć, dlaczego właśnie tam się trafiło. A jeśli nie będziemy już pamiętać o tym, męczarnie te nie będą chyba takie straszne.”

A potem się znaleźli w stanie Karolina – ten styczeń i ten luty w sześćdziesiątym piątym. Wszystko, co z nich zostało, cofało się teraz nieomal już od roku; odległość do Richmond była już znacznie mniejsza niż przebyta droga, a odległość do kresu mniejsza niż do Richmond. Ale dla Bona teraz to nie stanowiło przestrzeni między nimi a końcową klęską – to zmniejszała się przestrzeń pomiędzy nim samym a tym pułkiem, tą chwilą, tą właśnie godziną: „On mnie nawet nie będzie musiał prosić o to, bo dotknę jego ręki i zaraz mu powiem: «Niech się ojciec nie martwi. Ona już na pewno nigdy mnie nie zobaczy”

A potem nastał marzec i wciąż Karolina, i wciąż jeszcze ten odwrót powolny, uparty, i to nasłuchiwanie w kierunku północnym, bo z żadnej innej strony nic nie było słyhać, bo w każdej innej stronie wszystko już ucichło, bo już nie spodziewali się usłyszeć więcej niż tylko tę wiadomość z Północy, że koniec. A potem (on, oficer, wiedział, słyszał o tym, że Lee sporo oddziałów odkomenderował do nich jako posiłki – może nawet znał nazwy tych kilku pułków oraz ich numery, jeszcze zanim przybyły) nagle dnia pewnego zobaczył swego ojca. Może po raz pierwszy Sutpen go rzeczywiście nie widział i może on po raz pierwszy wtedy mógł sobie powiedzieć: „To po prostu, dlatego, że mnie nie zobaczył.” Tak że aż musiał stanąć na drodze Sutpena, żeby mu dać sposobność, wytworzyć warunki. I wtedy po raz drugi spojrział na tę twarz kamienną, bez wyrazu, z oczami jasnymi i przesywającymi, w których nic nie było – żadnego błysku, lśnienia, absolutnie nic. A przecież w swoich własnych rysach na tej twarzy zobaczył, że go tamten widzi i poznaje. I więcej nic. To wszystko. I dalej już nic; i może on odetchnął z tym wyrazem twarzy, który chyba dałoby się nazwać uśmiechem, i pomyślał spokojnie: „Przecież mógłbym go zmusić. Mógłbym iść do niego i zmusić go.”

Lecz wiedział, że tego nie zrobi, bo raz na zawsze wszystko już było skończone. I może to się stało tejże samej nocy czy może po tygodniu, gdy się zatrzymali (bo nawet Sherman, wciąż im depczący po piętach, czasami jednak nocą musiał się zatrzymać), gdy ogniska płonęły przynajmniej dla ciepła, skoro przynajmniej ciepło niedrogo kosztuje i wciąż jest niespożyte. Wtedy to Bon powiedział: „Henry – i powiedział: – To już nie potrwa długo, i nic nie zostanie. Pozbawieni będziemy nawet przywileju cofania się powoli z jakiegoś powodu tylko w imię honoru i tych resztek dumy. I Bóg nas też opuścił;

najwidoczniej nie ma Go przy nas od lat czterech, tylko że nie przyszło Jemu na myśl nas o tym jakoś zawiadomić. I nie tylko nie mamy butów i odzieży, ale nawet ich wcale nie potrzebujemy, i nie tylko nie mamy nigdzie żadnej ziemi ani sposobu na to, by zdobywać żywność, ale nawet nic jadać nie potrzebujemy, skoro już potrafimy i bez tego żyć; więc jeśli nie ma Boga i nie trzeba strawy i odzieży, i dachu żadnego nad głową, to na czym mogą oprzeć się honor i duma, czego mogą się trzymać i po co rozkwitać? A bez honoru, dumy nic już nie jest ważne. Tylko że jest w człowieku coś, co wcale nie dba o honor i o dumę, a pomimo to żyje, nawet się cofa tym marszem od roku właśnie po to, by żyć. Prawdopodobnie nawet, gdy wszystko się skończy, nawet gdy sama klęska się rozwieje, to «coś» jeszcze nie będzie nieruchomo siedzieć w promieniach słońca, czekając na śmierć, ale podąży w lasy na poszukiwania, do jakich sama tylko wytrwałość i wola nie zdołałyby nigdy nikogo pobudzić – na kopanie korzonków, zdobywanie żarcia; to «coś», co jest w człowieku – stare i bezmyślne, marzyć nie umiejące, choć wrażliwe ciało, które nawet nie widzi najmniejszej różnicy pomiędzy dnem rozpaczki a zwycięstwem. Henry...”

A Henry zaczął mówić: „O dzięki Ci, Boże.” Dyszał i wciąż powtarzał: „O dzięki Ci, Boże”, i: „Charles, już mi nie tłumacz. Po prostu to zrób.”

„Więc mnie upoważniasz? Jako jej brat udzielasz swego zezwolenia?”

A Henry: „Brat? Brat? Przecież ty jesteś starszy. Dlaczego mnie pytasz?”

A Bon: „Nie jestem starszym bratem. Bo on mnie nie uznał. Bo on mnie tylko ostrzegł. Brat i syn to ty. Czy udzielasz mi swego zezwolenia, Henry?”

A Henry wtedy: „Napisz do niej. Napisz. Napisz.”

Więc Bon wtedy napisał po tych czterech latach, a Henry ten list Bona przeczytał i wysłał.

Ale z odwrotu jeszcze nie zrezygnowano, więc oni nie udali się w ślad za tym listem. Wciąż jeszcze się cofali powoli, uparcie, nasłuchując z Północy, kiedy to się skończy. Bo trzeba mieć straszliwą siłę charakteru na to, by przegrywając z czegoś zrezygnować, a oni się cofali tak wolno już rok; więc teraz nie zostało im nic, nawet wola – tylko zakorzeniony mocno nawyk życia pomógł im to przetrwać.

A potem pewnej nocy znów się zatrzymali, ponieważ znów zatrzymał się generał Sherman; jakiś ordynans idąc wzdłuż linii biwaku wreszcie znalazł Henry’ego i powiedział:

„Sutpen, pan pułkownik was wzywa do swego namiotu.”

– Więc tyś tam się wyprawił – powiedział Shreve – z tą starą, z tą ciotką Rosą tamtego wieczora, i ta stara Murzynicha, Clytie, usiłowała was zatrzymać, a raczej zatrzymać ją; złapała cię za rękę i mówiła: „Niechże panicz jej nie da iść tam na górę.”

Ale tobie też się nie udało zatrzymać tej ciotki Rosy, bo ona była taka silna dzięki tej

swojej czterdziestopięcioletniej nienawiści, jakby przez te całe czterdzieści pięć lat żywiła się surowym mięsem i w ogóle, kiedy Clytie przez czterdzieści pięć czy pięćdziesiąt lat tylko rozpaczała i czekała, a ty... zaczyna się od tego, że tyś tam się wcale nie wpraszał. Więc tobie też się nie udało jej zatrzymać, a potem zobaczyłeś; że to, co się kotłowało w Clytie, to wcale nie złość ani nawet nie nieufność, tylko strach, groza. Chociaż ona, Clytie, nie powiedziała ci tego aż tyloma słowami, bo jeszcze to zachowywała w tajemnicy, bo strzegła pamięci człowieka, który przecież był jej ojcem także, i strzegła tego dotychczas nie pogwałconego, próchniejącego mauzoleum wygasłego rodu... więc ona ci tego nie powiedziała aż tyloma słowami, tak samo jak ci nie powiedziała, że była w tamtym pokoju tamtego dnia, kiedy przy zwłokach Bona Judith wyjęła z jego kieszeni ten medalion ze swoją fotografią, który mu dała; nie powiedziała ci, to po prostu samo wyszło na jaw, samo wyniknęło z tego jej strachu, z tej grozy, już po tym jak puściła twoją rękę i złapała z kolei za rękę tę ciotkę Rosę, a ciotka Rosa odwróciła się i odtrąciła ją od siebie, i weszła na schody, Clytie rzuciła się za nią znowu, ale tym razem ciotka Rosa zatrzymała się i odwróciła na drugim stopniu schodów, i walnęła ją pięścią zupełnie tak, jakby to zrobił mężczyzna, a potem poszła dalej po schodach na górę; a Clytie leżała tam na podłodze, taka starowina osiemdziesięcioletnia, maleńka, niewiele ponad pięć stóp wzrostu... leżała tam jak kupka czystych szmat, więc tyś podszedł i wziął ją za rękę, żeby pomóc jej się podnieść, a ta jej ręka była jak kij, taka lekka i sucha, i łamliwa; a ona, Clytie, spojrzała na ciebie, i wtedy właśnie zobaczyłeś, że to nie jest wściekłość, tylko strach, i to w dodatku wcale nie strach murzyński, bo ona przecież nie bała się o siebie, ale o to coś, co tam było na górze, a co ona ukrywała już prawie od czterech lat, ale ona ci tego nie powiedziała słowami, bo nawet w tym strachu zachowywała to w tajemnicy; jednakże ci powiedziała albo przynajmniej ty sam ni stąd, ni zowąd już to wiedziałeś...

Shreve znów urwał. To nie szkodziło, bo w tej chwili i tak nikt go nie słuchał. Może nawet on to sobie uświadamiał. A potem nagle już nikt mu nie odpowiadał, chociaż tego może sobie nie uświadamiał. Bo teraz żadnego z nich w tym pokoju nie było. Obaj byli w stanie Karolina. Czas się cofnął o czterdzieści sześć lat i w tej chwili to już nawet nie byli oni czterej, tylko coś jeszcze bardziej złożonego, skoro obaj się stali Henry'm Sutpenem i obaj się stali Bonem – każdy z nich składał się z tamtych dwóch, obaj razem, a nie każdy poszczególnie, składali się z każdego z tamtych dwóch; czując nawet zapach tego dymu, który rozwiął się i zniknął przed czterdziestu sześciu laty...

... dymu z tych biwakowych ognisk rozpalonych w sosnowym zagajniku, gdzie siedzą lub leżą wychudzeni żołnierze w podartych mundurach, rozmawiając ze sobą, ale nie o wojnie, wszyscy dziwnie (a może i wcale nie dziwnie) zwrócenii w jedną stronę, w kierunku Południa, tam gdzie dalej w ciemnościach czuwają pikiety – pikiety, które

patrząc teraz na południe, widzą ten pełgający blask ognisk jankeskich i horyzont w połowie ujęty w te łuny nikłe i niezliczone – może dziesięciokrotnie tam więcej jest ognisk niż tu nawet żołnierzy. A pomiędzy jednymi i drugimi, w środku (z jednej strony pikiety buntowników, z drugiej ogniska federalne), także patrzą w ciemność posterunki Jankesów. Linie pikiet tak blisko, że jedni i drudzy mogą słyszeć okrzyki: „Stój! Kto idzie?”, z mroków, gdy po przeciwnej stronie od czujki do czujki chodzą oficerowie. A potem te okrzyki cichną – oni przeszli – i ktoś tam się odzywa ostrożnie, niegłośno, niewidzialny wśród nocy, a przecież go słychać: „Hej! ty, buntownik!”

„Aha!”

„Gdzie, chłopcy, idziecie?”

„Na Richmond.”

„I my także. Nie pójdziemy razem? Nie zaczekacie na nas?”

„Zaczekamy na was.”

Żołnierze wokół ognisk nie słyszą tych rozmów, ale wyraźnie słyszą cichy głos ordynansa, który od ogniska do ogniska przechodząc pyta o Sutpena. Więc mówią, gdzie jest Sutpen, i ordynans staje przy wskazanym ognisku, rozżarzonej kłodzie, i znowu monotonicznie klepie tę formułkę: „Sutpen? Szukam Sutpena!”

Aż Henry, siadając, odzywa się: „Tu jestem.”

Chudy i obszarpany, ma twarz zarośniętą. Z powodu tych ostatnich czterech lat wojennych, które się rozpoczęły, gdy jeszcze nie zdążył ojcu dorównać wzrostem, jest niższy o dwa cale, niż się zapowiadał; brak mu trzydziestu funtów do właściwej wagi, jaką może mieć będzie w kilka lat po wojnie, jeżeli oczywiście tych czasów dożyje.

„Tu jestem. O co chodzi?”

„Pan pułkownik wzywa.”

Ordynans z nim nie wraca, więc on idzie sam w ciemnościach wiejską drogą – drogą poślubioną, pociętą i ubitą tam, gdzie dziś przed zmierzchem przetaczały się działa. I dochodzi wreszcie do tamtego namiotu, jednego z niewielu namiotów oficerskich. Ściana z brezentu nikło rozjaśniona blaskiem świecy płonącej wewnątrz i na tle tej ściany sylweta wartownika; słowa: „Stój! Kto idzie?”

„Sutpen – melduje Henry stając przed namiotem. – Pan pułkownik mnie wzywał.”

Wartownik mu wskazuje gestem, żeby wszedł. Henry się schyla w wejściu; brezent już opada poza jego plecami. Z polowego krzesła już ktoś wstaje – jedyny człowiek tu w namiocie – i stoi przy tym stole nad płomykiem świecy, rzucając cień wysoki, olbrzymi, zwałisty na jasne płótno ściany. Henry saltuje szaremu rękawowi z błyszczącym galonem pułkownika; w zarysie widać z boku brodę, nos sterczący i kosmyk szpakowatych włosów. On (Henry) nie poznaje na razie tej twarzy, ale to nie dlatego, że

przez cztery lata jej nie widział i teraz też się nie spodziewał jej zobaczyć tu właśnie – po prostu dlatego, że na tę twarz nie patrzy. Tylko salutuje mankietowi z galonem i stoi na baczność, póki tamten nie mówi: „Henry.”

Nawet teraz Henry się nie podrywa. Stoi tak – oni obaj stoją tak i patrzą wciąż jeden na drugiego. Wreszcie starszy chce podejść, lecz się spotykają już pośrodku namiotu. Ściskają się, całują, zanim Henry wie, że poruszył się z miejsca, musiał się poruszyć pociągnięty tą więzią krwi, która w odbiciu jednej przelotnej chwili obala przeszkody i niesie pojednanie, chociaż nie przebacza jeszcze (i może nawet nigdy nie przebaczy). Ojciec patrzy w twarz syna ujmując ją w dłonie.

„Henry – mówi. – Mój synu.”

A potem siadają na oficerskich krzesłach po dwóch stronach stołu, rozdzieleni tym stołem (z rozłożoną mapą) i tą płonąca świecą.

„W Shiloh byłeś ranny. Powiedział mi pułkownik Willow” – mówi Sutpen.

„Tak, proszę ojca” – odpowiada Henry.

Już chce powiedzieć: „Charles mnie stamtąd wyniósł”, ale nie mówi tego, pewny już, co będzie. Nawet nie myśli teraz: „O tym liście chyba mu Judith nie pisała, więc może to Clytie jakimś cudem zdołała przesłać mu wiadomość, że Charles pisał do Judith.” On wcale tak nie myśli. Jest dla niego rzeczą logiczną, naturalną, że ojciec powinien wiedzieć o tej decyzji przez niego powziętej wraz z Bonem, bo to przecież sprawiła więź krwi, że Bon się zdecydował napisać do Judith, a on, Henry, się zgodził, więc ojciec to wiedzieć musi w tej samej chwili, gdy to nastąpiło po całych czterech latach. I teraz to nadchodzi nieomal dokładnie tak, jak to przewidywał przez cały ten czas.

„Widziałem Charlesa Bona, Henry” – mówi Sutpen.

A Henry nic nie mówi. To już będzie zaraz. Nic nie mówi i tylko wpatruje się w ojca. Oni obaj tak siedzą w tych szarych mundurach o barwie zeschniętych liści – płonie jedna świeca, szorstki namiot oddziela ich od ciemnej nocy, w której naprzeciw siebie czuwają pikiety, a znużeni żołnierze śpią pod gołym niebem w oczekiwaniu świtu i znów strzelaniny, i znów rozkazu marszu, tego znużonego, powolnego odwrotu; a przecież w ciągu jednej sekundy ten namiot, ta świeca i te szare mundury, i wszystko rozplywa się w powietrzu i oto jest znów biblioteka świątecznie przystrojona w zieleń, w gałązki ostrokrzewu, tam w Setce Sutpena w to Boże Narodzenie sprzed czterech lat wojny. Stół w namiocie przestaje być stołem polowym do rozkładania mapy i jest teraz biurkiem, ciężkim rzeźbionym meblem z różanego drzewa – na biurku fotografie matki z dwojgiem dzieci, właśnie z nim, z jego siostrą. Przy biurku siedzi ojciec. Za ojcem jest okno wychodzące na ogród, tam gdzie Judith z Bonem kroczą alejką wolno, harmonijnie, w takt bicia serca, gdy oczy patrzą w drugie oczy.

„Ty mu pozwolisz, Henry, ożenić się z Judith.” Henry wciąż nic nie mówi. Wszystko już zostało wypowiedziane przedtem. On ma już za sobą cztery lata zażartej walki, skutek której – nieważne, czy to było zwycięstwo, czy klęska – zyskał spokój, choćby tym spokojem była przeważnie rozpacz.

„On się ożenić z nią nie może, Henry.”

Teraz już Henry mówi:

„Ojciec mi to powiedział cztery lata temu. Ja ojcu wtedy także powiedziałem. A teraz... teraz przecież to nie potrwa długo, a potem nie zostanie nam nic: ani honor, ani duma, i nawet Boga też nie będzie, skoro Bóg nas opuścił cztery lata temu, tylko że Mu nie przyszło na myśl nam powiedzieć o tym, że nas opuszcza. I nie tylko nie będzie butów i odzieży, ale nawet potrzeby posiadania tego. I nie tylko nie będzie nigdzie żadnej ziemi, żeby z niej wyrwać żywność, ale i potrzeby spożywania posiłków. A kiedy już się nie ma Boga i honoru, i dumy, wszystko w świecie przestaje być ważne oprócz tego starego bezmyślnego ciała, którego nie obchodzi, czy to była klęska, czy to było zwycięstwo. Ono nawet nie umrze: wyjdzie w pola, w lasy, kopać jakieś korzonki, zbierać jakieś zielsko... Więc tak. Postanowiłem. Czy to brat, czy nie, ja już postanowiłem. Pozwolę. Pozwolę.”

„On się ożenić z nią nie może, Henry.”

„Nie może. Sam mówiłem przedtem, że nie może, ale wtedy się jeszcze nie zdecydowałem. Nie chciałem mu pozwolić. Ale potem przecież miałem aż cztery lata, by zdecydować. Pozwolę mu. Pozwolę.”

„On się ożenić z nią nie może, Henry. Powiedziano mi, ojciec jego matki mówił, że to córka Hiszpanki. Uwierzyłem mu. Dopiero później, kiedy on się już urodził, dowiedziałem się, że jego matka jest Mulatką.” Ani też nie mógł Henry powiedzieć, że nie wie, jak wychodził z namiotu Wszystko zapamiętał. Wie, że się schylił w przejściu, minął wartownika; wie, że wracał pociętą, poźłobioną drogą, potykając się w mroku na tych koleinach. Po obu stronach drogi ogniska wygasły, zamieniły się teraz w rozżarzone węgle, tak że żołnierzy trudno odróżnić od ziemi, na której oni leżą pogrążeni we śnie.

„Jest późno – myśli Henry. – Już po jedenastej. A jutro znowu dalsze osiem mil odwrotu. Gdyby tylko nie było tych przeklętych armat... Czemu wreszcie tych armat Stary Joe, do diabła, nie odda Shermanowi? Wtedy można by robić dwadzieścia mil dziennie. Wtedy można by w końcu połączyć się z Lee. Lee przynajmniej to robi, że się zatrzymuje w tym odwrocie i walczy...”

Henry wie, że tak myślał, i zamiast powrócić do swojego ogniska, nagle stanął w mroku, w samotności i w ciszy oparł się o sosnę.

Spokojnie i wygodnie tam stał tak oparty, z głową w tył odchyloną, spoglądając w górę na obdarte strzępiaste gałęzie, bez ruchu rozciągnięte jak jakiś ornament z żelaza

na tle chłodnych, iskrzących się gwiazd przedwiosennych. I myślał: „Mam nadzieję, że on nie zapomni pułkownikowi Willow podziękować za to, że nam oddał swój namiot na czas tej rozmowy.”

I nie myślał, co zrobi, ale myślał o tym, co zrobić będzie musiał. Bo teraz już wiedział: teraz to zależało od samego Bona – od tego, jak postąpi Bon, czy Bon go zmusi swym postępkami do takiej, nie innej reakcji, skoro on, Henry, wiedział już, co wtedy zrobi.

„Więc muszę iść do niego – pomyślał. – Jest późno, już na pewno po drugiej. Wkrótce będzie świt.”

A potem już świtało czy prawie świtało i było bardzo zimno; chłód chłostał przez odzież cienką, wytartą, włatach – chłostał przez to coś, czym jest niedożywienie, zmęczenie, bezsenność-chłostał przez bierny nawyk życia, co zastąpił wolną wolę przetrwania. Gdzieś już się rozjaśniało przynajmniej na tyle, by Henry mógł rozróżnić twarz śpiącego Bona, który wśród innych leżał w kocach pod swym płaszczem; gdzieś już się rozjaśniało przynajmniej na tyle, by Bon wyrwany ze snu poznał jego twarz (czy też może go poznał po dotknięciu ręki), bo Bon bez słowa wstaje, nie pytając o nic, narzuca płaszcz na siebie, podchodzi do ognia tłącego się za ledwie i nogą rozżarza te węgle znowu w płomień, kiedy Henry mówi: „Czekaj.”

Bon już bez ruchu patrzy na Henry'ego. Widzi twarz jego teraz. Mówi: „Zmarzniesz, Henry. Już zmarzłeś. Wcaleś nie spał, prawda? Masz to. Włóż.”

I zdejmując płaszcz z ramion. Daje go Henry'emu.

„Nie” – mówi Henry.

„Owszem. Bierz. Ja wezmę koc.”

I Bon teraz tym płaszczem otula Henry'ego, idzie do legowiska ze skłębionych koców i narzuca na siebie koc jak pelerynę, po czym siadają z boku na zwałonym drzewie.

Wschód jest szary, niedługo będzie pierwiosnkowy, a potem rozplómi się czerwienią, ogniem, i znów się zacznie żmudny i znużony marsz – ten odwrót od zagłady, ten powrót wprost w klęskę, choć jeszcze nie tak zaraz. Jeszcze oni mają trochę czasu, by siedzieć na tym pniu przy sobie. Powoli się zakrada blada światłość świtu. Jeden z nich siedzi w płaszczu, tamten drugi w kocu. Ich głosy są niewiele głośniejsze niż świt budzący się tak cicho.

„Więc to nie kazirodztwo ty nie możesz znieść. Tylko związku z tą rasą.”

Henry nic nie mówi.

„I on nawet nie przesłał wiadomości dla mnie? Nie polecił przez ciebie, bym do niego przyszedł? W ogóle ani słowa, ani słowa dla mnie? Więc to już było wszystko, co on musiał zrobić teraz, dzisiaj, i wtedy przed czterema laty, i w jakiegokolwiek chwili przez ten

cały czas? Więc to już było wszystko? Przecież on by wcale nie potrzebował prosić mnie czy żądać. Sam bym się ofiarował. Powiedziałbym jemu: «Nigdy jej nie zobaczę», zanim on by zdążył żądać tego ode mnie. On naprawdę nie musiał tak postąpić, Henry. Nie potrzebował mówić ci, że jestem Negrem, po to, by mnie powstrzymać. On i bez tego mógłby mnie powstrzymać, Henry.”

„Nie! – krzyczy Henry. – Nie! Nie! Ja... ja...”

Podrywa się; mięśnie mu na twarzy grają; Bon widzi jego zęby w rozchylnych ustach wśród miękkiego zarostu brody i policzków i lśnienie jego białek, jakby oczy same nagle wyrwać się chciały z ciasnych oczodołów, tak samo jak dech jego chce się wyrwać z płuc. Henry dyszy i dyszy. Dyszenie ustaje, oddech został wstrzymany, oczy także spokojniej patrzą już na Bona; głos Henry’ego w tej chwili brzmi niewiele głośniejszym niż wydech: „Powiedziałeś – on mógłby być ciebie powstrzymać. Co chcesz przez to powiedzieć?”

Teraz Bon nic nie mówi. Siedzi na tym pniu i patrzy w twarz Henry’ego nad nim pochyloną. Henry pyta, wciąż głosem niewiele głośniejszym niż wydech:

„Ale teraz? Chcesz powiedzieć, że...”

„Właśnie. Bo cóż innego mogę zrobić teraz? Dałem mu wolną rękę. Całe cztery lata czekałem...”

„Pomyśl o niej. Nie o mnie; o niej pomyśl, Charles.”

„Myślałem. Cztery lata. O tobie i o niej. Teraz myślę o sobie.”

„Nie, nie-mówi Henry. – Nie... nie..”

„Więc nie mogę?”

„Nie wolno ci.”

„Któż zdoła mnie powstrzymać?”

„Nie – mówi Henry. – Nie, nie.”

I znów spokojnie Bon się wpatruje w Henry’ego, znów widzi jego białka, siedząc tam i patrząc z tym wyrazem na twarzy, który może dałoby się nazwać uśmiechem. Ręka Bona się wsuwa na chwilę pod koc. I trzymając pistolet za lufę, Bon kolbą podaje go Henry’emu.

„Więc zrób to teraz” – mówi.

Henry patrzy na jego rękę z pistoletem; teraz nie tylko dyszy, lecz trzęsie się cały; i mówi głosem wcale nie brzmiącym jak wydech – zdławionym i zduszonym, duszącym jak wdech: „Jesteś moim bratem.”

„Ależ nie, nie jestem. Jestem Negr, który będzie sypiać z twoją siostrą. Jeśli mnie nie powstrzymasz... ty, Henry.”

Henry chwyta pistolet, wydziera go nagle z ręki Bona i z pistoletem staje nad nim,

wciąż zdyszany. I znów Bon widzi białka wywróconych oczu, siedząc na pniu bez ruchu, patrząc na Henry'ego z owym nikłym wyrazem na ustach i w oczach, może nawet uśmiechem. „Zrób to teraz, Henry” – mówi Bon.

A Henry się okręca jak przy rzucie dyskiem i ciska ten pistolet daleko od siebie, po czym znów się pochyła nad Bonem i dysząc chwyta go za ramiona

„Nie wolno ci – powtarza. – Nie wolno! Czy słyszysz?”

A Bon się nie porusza w uścisku tych rąk. Siedzi na pniu bez ruchu, z tym nikłym, zastygłym grymasem – głos ma cichy, jeszcze łagodniejszy niż pierwsze tchnienie świtu na gałęziach sosen.

„Ty jednak będziesz musiał mnie powstrzymać, Henry.”

– I on wcale nie zwiął – powiedział Shreve. – Mógłby zwiąć, ale nawet nie próbował. Jezu, może on nawet przyszedł do Henry'ego i powiedział:

„Jadę, Henry.”

I może wyruszyli tam razem, klucząc przed jankeskimi patrolami, przejeżdżając bok przy boku tę całą drogę powrotną do Missisipi, prosto aż do bramy parku: bok przy boku i dopiero tam przy tej bramie jeden z nich pojechał kawałek naprzód, a drugi pozostał nieco w tyle; dopiero tam przy tej bramie Henry spiął konia i prześcignął Bona, i zastąpił mu drogę, i wyciągnął pistolet; a Judith i Clytie usłyszały ten strzał i może gdzieś tam na podwórzu za domem kręcił się Wash Jones, więc i on tam był, żeby pomóc Clytie i Judith wnieść go do domu i położyć na łóżku, a potem pojechał do miasteczka zawiadomić tę ciotkę Rosę. I ciotka Rosa, kipiąc, przyjeżdża tam natychmiast, jeszcze w to samo popołudnie, i zastaje przed tymi zamkniętymi drzwiami Judith bez jednej łyzy, stojącą tam z metalowym medalionem, który ona, Judith, dała jemu ze swoją fotografią, tylko, że w medalionie była teraz fotografia nie jej, a okoronki z tym dzieciakiem. A twój staruszek i tego też nie wiedział: czemu ten czarny skurwysyn musiał wyciągnąć stamtąd tę jej fotografię i włożyć na to miejsce fotografię okoronki. Nie wiedział tego, więc jakiś tam powód sobie wymyślił. Ale ja wiem. I ty wiesz także. Wiesz? Wiesz, prawda?

Wpatrzył się spode łba w Quentina, pochylony teraz nad stołem, ogromny i bezkształtny jak niedźwiedź, w powijkach tego płaszcza kąpielowego i palta.

– Nie wiesz? To było dlatego, że on sobie powiedział: „Jeżeli Henry nie myśli naprawdę tego, co mówi, to wszystko będzie dobrze; i będę mógł tę fotografię wyjąć i zniszczyć. Ale jeżeli on rzeczywiście zamierza zrobić to, co powiedział, to będzie jedyny sposób, w jaki będę mógł jej powiedzieć: «Nie byłem nic wart; nie żałuj mnie!» „Zgadza się? Nie? Zgadza się, na Boga?”

– Owszem – powiedział Quentin.

– Chodź – powiedział Shreve. – Wylaźmy już z tej lodówki i kładźmy się spać.

IX

W łóżku w ciemnościach wydawało się na razie, że jest jeszcze zimniej niż przedtem, jak gdyby z tej jednej jedynej żarówki, zanim Shreve zgasił światło, rozchodziło się jednak jakieś słabiutkie ciepło, a teraz, kiedy go zabrakło, żelazna nieprzenikniona ciemność ścięła się lodowato z żelaznym zimnem pościeli, wokół nich zziębniętych w luźnej i cienkiej nocnej bieliźnie. Ale potem ta ciemność, jak gdyby mogąc już oddychać, odeszła: ukazało się otwarte przez Shreve'a okno, stało się widoczne na tle bladej nieziemskiej poświaty śniegu, a krew, zduszona w pierwszej chwili ciężarem tej ciemności, napłynęła swobodniej i zaczęła krążyć w żyłach coraz szybciej.

– Uniwersytet stanu Missisipi – zabrzmiał głos Shreve'a w ciemności na prawo od Quentina. – Bayard połykał przestrzeń czterdziestu mil (bo to było czterdzieści mil, prawda?); wydzierane z puszczy dumne honory akademickie, co semestr odbijające się jak czkawka.

– Owszem – powiedział Quentin. – Oni byli już dziesiątym rocznikiem absolwentów, od czasu kiedy ten uniwersytet został założony.

– Nie wiedziałem, że w stanie Missisipi mogło być wtedy nie tylko dziesięć roczników, ale nawet dziesięciu studentów, którzy by kształcili się jednocześnie.

Quentin nic na to nie powiedział. Leżał w milczeniu, patrząc na prostokąt okna, czując, jak rozgrzana krew krąży mu w żyłach, w rękach, w nogach. I teraz, chociaż już było mu ciepło (pomimo że wtedy, gdy mu było zimno przedtem w tym zimnym pokoju, trząsał się wprawdzie bez przerwy, ale raczej nieznacznie), tu w tej chwili nagle zaczął dygotać całym ciałem tak gwałtownie i niepowstrzymanie, że nawet słyszał, jak łóżko pod nim skrzypi, że nawet Shreve to odczuł (usłyszał) i odwrócił się, uniósł na łokciu, żeby spojrzeć na Quentina. A Quentin, o dziwo, czuł się zupełnie dobrze. Czuł się nawet świetnie, leżąc tam i czekając ze spokojną ciekawością na następny gwałtowny, nieoczekiwany atak tego dygotania.

– Jezu, aż tak ci zimno? – zapytał Shreve. – Chcesz, żebym cię okrył płaszczami?

– Nie – powiedział Quentin. – Nie jest mi zimno. Jest mi dobrze. Świetnie.

– Więc dlaczego tak się trzęsiesz?

– Nie wiem. Nic na to nie mogę poradzić. Ale świetnie się czuję.

– To dobrze. Ale mi powiedz, kiedy będziesz chciał te płaszcze. Jezu, gdybym ja miał przyjechać z Południa aż na dziewięć miesięcy w ten klimat, to bym się chyba wściekł. Zresztą, może bym wcale z Południa tu nie przyjeżdżał, gdybym mógł na Południu zostać. Czekaj. Słuchaj. Ja wcale nie próbuję silić się na jakieś dowcipasy. Ja tylko próbuję to całe Południe zrozumieć, jeżeli to w ogóle możliwe, tylko nie wiem, jak by ci tu

powiedzieć, o co mi chodzi. Bo, widzisz, tam u was jest coś, czego w moich stronach ludzie nie mają. Albo też, jeżeli i my to kiedykolwiek mieliśmy, to już tyle wody od tego czasu upłynęło, że nie zostało nic, na co patrzyłoby się dzień w dzień i co by kazało nam o tym pamiętać. My nie żyjemy wśród pokonanych dziadków i uwolnionych niewolników (czy może ja to zrozumiałem na opak, i to właśnie wasi ludzie zostali uwolnieni, a czarnuchy przegrały?), i wśród kul karabinowych w jadalniach, i tak dalej, pośród tego wszystkiego, co by nam stale przypominało, co by nam wiecznie mówiło, żebyśmy nigdy nie zapominali. Co to jest? To dziwne coś, w czym wy żyjecie, czym oddychacie jak powietrzem. Jakaś próżnia napełniona gniewem i dumą, i chwałą widm, wydarzeniami sprzed lat pięćdziesięciu. Jakieś pierworództwo, które przechodzi jak ordynacja z ojca na syna i z ojca na syna i nie pozwala nigdy wybaczyć generałowi Shermanowi, tak że już na wieki wieków, jak długo dzieci waszych dzieci będą miały własne dzieci, nie będziecie niczym innym, tylko potomkami długiej linii pułkowników poległych w szarży Picketta pod Manassas, zgadza się?

– Pod Gettysburgiem – powiedział Quentin. – Ty nie możesz tego zrozumieć. Żeby to zrozumieć, trzeba się tam urodzić.

– Więc gdybym się tam urodził, to bym rozumiał? Quentin nie odpowiedział.

– A ty to rozumiesz?

– Nie wiem – powiedział Quentm. – Tak, oczywiście, ja to rozumiem.

Oddychali w ciemności. Po chwili Quentin powiedział: – Nie wiem.

– Właśnie. Ty nie wiesz. Nie wiesz nawet, jak to było z tą starką, z tą ciotką Rosą...

– Panną Rosą – powiedział Quentin.

– Dobrze. Nie wiesz nawet, jak to z nią było. Wiesz tylko tyle, że ona ostatecznie nie chciała być widmem, że prawie po pięćdziesięciu latach ona nie potrafiła się pogodzić z tym, że zmarły demon mógłby spoczywać w spokoju. Nawet po pięćdziesięciu latach nie tylko poderwała się, żeby tam pojechać i zakończyć coś, czego jeszcze, jak się przekonała, nie dopięła na ostatni guzik, ale w dodatku zdołała nawet znaleźć sobie kogoś, kto z nią tam pojechał, i wtargnęła tam do zamkniętego domu tylko dlatego, że instynkt czy coś takiego powiedziało jej, że to jeszcze nie jest skończona sprawa. Wiesz coś o tym więcej?

– Nie – powiedział Quentin spokojnie.

Poczuł smak tego kurzu. Nawet teraz, kiedy twarz owiewało mu mroźne, czyste, przesycone śniegiem powietrze Nowej Anglii, poczuł smak, zapach kurzu tamtej pozbawionej tchu (a raczej tchnącej żarem jak z pieca) wrześniowej nocy w Missisipi. Nawet poczuł zapach tej staruszki przy nim w bryczce, zapach stęchlizny i kamfory wokół jej szala i nawet tę duszną bezwonność czarnego bawełnianego parasola, w którym (odkrył to dopiero później, kiedy tam już zajechali) ona miała ukrytą siekierkę i latarkę

elektryczną. Znowu czuł zapach tego konia; znowu słyszał żalną, skrzypliwą skargę lekkich kół bryczki w nieważkim, wszędzie przenikającym kurzu i wydawało mu się teraz, że znowu ma ten kurz suchy i miałki na wilgotnej od potu skórze i że znowu słyszy, jak wielkie, głębokie westchnienie udręczonej spiekotą ziemi wzbija się ku wolnym, ponad prawami wszelkiego ciężenia, wysoko roziskrzonym gwiazdom. I teraz ona mówiła po raz pierwszy od chwili, kiedy wyruszyli z Jefferson, od chwili kiedy nie czekając, żeby on jej pomógł, wspięła się na siedzenie bryczki z tą niezdarną, niepewną, rozdygotaną skwapliwością (myślał, że ta ochoczość wypływa z lęku, z niepokoju, dopóki nie stwierdził, że całkowicie się mylił). Przysiadła w samym kąciku siedzenia, mała w tym zatęchłym szalu, z ręką kurczowo zaciśniętą na parasolu, pochylona do przodu, jak gdyby się jej wydawało, że w ten sposób będzie mogła przybyć do celu wcześniej, przybyć tam natychmiast po koniu, jeszcze przed Quentinem, zanim przecucie zdąży ją przestrzec, że lepiej tego jej pragnienia nie spełniać, lepiej nie zaspokajać tej potrzeby serca. – No – powiedziała – Jesteśmy w Dominium. Na tej ziemi jego i Ellen, i potomstwa Ellen. Zabrali to im, o ile mi wiadomo. A jednak wciąż jeszcze ta ziemia należy do niego, do Ellen i do jej potomstwa.

Ale Quentin już to wiedział. Jeszcze ona się nie odezwała, kiedy sobie powiedział: „No, jesteśmy tu”, i (jak niejednokrotnie w to długie gorące popołudnie w dusznym, ciasnym półmroku domu panny Coldfield) doznał wrażenia, że gdyby tylko zatrzymał bryczkę i posłuchał, z pewnością by usłyszał tętent i zobaczyłby już lada chwila tego jeźdźca na karym ogierze w galopie, przelatującego drogą przed nimi – jeźdźca, który na własność posiadał tu kiedyś wszystko, co było widać z jakiego bądź miejsca: te lary i penaty, każdy liść i gałąź, i każde tu źdźbło zboża, ślad kopyt, stóp ludzkich deptających tę ziemię, wszystko, co tylko mogło mu przypomnieć (jeśli chciałby zapominać o tym), że on jest tutaj panem wszechwładnym, potężnym w oczach tego wszystkiego i w swych własnych też. A potem poszedł walczyć, żeby to ocalić, ale przegrał tę wojnę i wrócił do domu, żeby ujrzeć, że przegrał coś więcej niż wojnę, chociaż jeszcze nie wszystko; więc sobie powiedział: „W każdym razie zostało mi przynajmniej życie”, lecz to nie było życie, to już była starość oddychająca grozą, pogardą i lękiem, i wściekłym oburzeniem; wszystkim, co pozostało, by patrzeć na niego z czcią niezmiennie poddańczą, była ta dziewczyna, którą on przedtem widział jeszcze jako dziecko, która na pewno zawsze zerkała z ukrycia, z drzwi czy z okna, gdy tylko przejeżdżał tamtędy, i patrzyła na niego jak na Pana Boga, skoro cokolwiek znała i widziała w życiu, należało do niego. Może on nawet czasem tam się zatrzymywał w dawnym domku rybackim i prosił o wodę, a ona brała wiadro i szła całą milę do źródła i z powrotem, by przynieść mu stamtąd wodę świeżą i chłodną, przy czym nawet na myśl nie przyszło jej powiedzieć: „Nie ma wody

w wiadrze”, tak jak by nie mówiła tego Panu Bogu; więc on nie wszystko przegrał, póki dech miał w piersi.

Teraz Quentin znów zaczął oddychać ciężko, chociaż przez jakiś czas leżał przecież spokojnie w tym ciepłym łóżku – oddychać ciężko w tę czystą, miętową, ze śniegu rozsnuwającą się ciemność.

Ona (panna Coldfield) nie pozwoliła mu wjechać w tę bramę. Powiedziała nagle:

– Niech Quentin zatrzyma.

I poczuł wtedy na ramieniu jej rozdygotaną rękę, i pomyślał: „Ależ ona się boi.” Słyszał teraz jej przydechy, słyszał jej głos nieomal kwilący niepewnością, a przecież pełny jakiejś nieugiętej determinacji: – Nie wiem, co robić. Nie wiem, co robić.

(„A ja wiem – pomyślał. – Wracać do miasteczka, położyć się spać.”) Ale nie powiedział tego. Patrzył na dwa ogromne, nadgniłe słupy tej bramy w blasku gwiazd – słupy, pomiędzy którymi już nie kołysały się żadne wrota – i zastanawiał się, z której też strony Bon z Henry’em tu podjechali tamtego dnia, zastanawiał się, co wtedy mogło rzucać ten cień, którego Bon nie miał minąć za życia – czy to było jakieś drzewo jeszcze teraz żywe, z liśćmi rozwijającymi się na wiosnę i opadającymi na jesieni, czy też drzewo dawno już ścięte i zużyte na opał wiele lat temu albo może po prostu uschłe; czy może to był jeden z tych dwóch słupów... myślał o tym i pragnął, żeby Henry jakimś cudem znalazł się tu teraz i zatrzymał pannę Coldfield,

I zawrócił ich z tej drogi... i mówił sobie, że gdyby Henry był tu teraz, to nikt by nie usłyszał żadnego strzału.

– Ona będzie próbowała mnie zatrzymać – skomlała panna Coldfield. – Ja wiem, że ona będzie próbowała. I może tak daleko od miasteczka ona tutaj sama o północy nawet pozwoli temu Murzynowi... A Quentin nawet nie ma przy sobie pistoletu? Prawda?

– Nie mam, proszę pani – powiedział Quentin. – Co ona tu ukrywa? Co to może być? I czy to komu co szkodzi? Wracajmy, proszę pani.

Nie odpowiedziała na to. Tylko oświadczyła: – To właśnie muszę stwierdzić.

Pochylona na siedzeniu bryczki, rozdygotana, zerkała teraz w aleję pod łukiem gałęzi drzew, wiodącą tam, gdzie powinna znajdować się spróchniała skorupa tego domu.

– I teraz będę musiała to stwierdzić – zaskomlała panna Coldfield z jakąś zdumioną litością nad samą sobą. Poruszyła się nagle. – Niech Quentin wysiada – szepnęła zbierając się do opuszczenia bryczki.

– Zaraz – powiedział Quentin. – Podjedźmy do domu. To jeszcze pół mili.

– Nie, nie – szepnęła i znów w napiętej srogości tych syczących słów zabrzmiała ta sama dziwna, pełna lęku, a przecież nieubłagana determinacja, jak gdyby ona, panna Coldfield, musiała tam iść i stwierdzić to coś, co podejrzewała, nie dlatego, że sama tak

chce, ale dlatego, że jest jakimś bezradnym narzędziem w ręku kogoś czy czegoś dobrze poinformowanego. – Niech Quentin tu uwiąże konia. Prędko!

Wysiadła, kurczowo ściskając w ręku parasol, wyturlała się z bryczki niezdarnie, zanim zdążył jej pomóc. Zdawało mu się, że jeszcze słyszy jej zdyszane kwilenie, kiedy stała przy jednym z tych słupów i czekała, aż on sprowadzi klacz z drogi i omota lejce naokoło drzewka w zarośniętym chwastami rowie. Tak blisko stała przy tym słupie, że w ogóle jej nie widział w ciemnościach: odeszła stamtąd i zrównała się z nim dopiero w chwili, kiedy skręcał w bramę; wciąż jeszcze posapywała urywanie, z tym kwileniem idąc przy nim po koleinach alei wjazdowej pod hakowatym sklepieniem drzew. Mroki tam były gęste, potknęła się; podtrzymał ją, żeby nie upadła. Wzięła go pod rękę kurczowo, sztywno, twardo i bez czucia, jak gdyby jej dłoń, jej palce były zbitą masą sprężonego drutu.

– Muszę wziąć Quentina pod rękę – zaskomlała cicho. – A Quen-tin nawet nie ma przy sobie pistoletu... Zaraz – szepnęła. Zatrzymała się. Odwrócił się od niej, więc jej nie widział, ale słyszał jej przyspieszony oddech, a potem szelest sukni. A potem poczuł, że ona mu coś wpycha w rękę. – Proszę – szeptała. – Niech Quentin to weźmie.

To była siekierka; nie widział, ale przecież namacał – siekierka z ciężkim, startym od użycia trzonkiem i z ciężkim, wyszczerbionym, zardzewiałym ostrzem.

– Co? – zapytał.

– Niech Quentin to weźmie! – szepnęła, syknęła. – Quentin przecież nie ma przy sobie pistoletu. A to już jest coś

– Ha – powiedział. – Zaraz.

– No – szepnęła. – Musi Quentin podać mi ramię. Tak się trzęsę. Ruszyli dalej. Ona ucepiona jego ramienia, on z tą siekierką w drugiej ręce.

– W każdym bądź razie to nam chyba pomoże dostać się do domu – szeptała potykając się przy jego boku, nieomal go ciągnąc za sobą. – Ja po prostu wiem, że ona gdzieś tu jest i na nas patrzy – zakwilila. – Czuję ją. Ale byleśmy tylko doszli do domu, dostali się do domu...

Zdawało się, że ta aleja nie ma końca. On, Quentin, znał ten park. Kiedyś przechodził tę odległość od bramy do domu jeszcze jako dzieciak, chłopak, w czasach kiedy odległości robiły na nim wrażenie naprawdę olbrzymich (po latach długa mila z czasów chłopięcych staje się czymś krótszym niż przestrzeń, którą przelatuje rzucony kamień), a przecież zdawało mu się teraz, że ten dom nigdy nie ukaże się jego oczom; aż się przyłapał na tym, że powtarza jej słowa: „Bylebyśmy tylko doszli do domu, dostali się do domu.” I natychmiast się opanowując powiedział sobie jednym tchem.

„Nie boję się. Tylko nie chcę być tutaj. Tylko nie chcę wiedzieć o tym, cokolwiek

ona tu ukrywa.”

Ale przecież wreszcie doszli do domu. Majaczył zwalistą masą, kwadratowy i olbrzymi, z poszarpanymi, na pół zburzonymi kominami i z dachem nieco zapadniętym; w pewnej chwili, kiedy tam szli, widać było na wylot przez ten dom strzęp nieba z trzema gorejącymi gwiazdami zupełnie tak, jak to by nie był dom, tylko płaska namalowana na płótnie dekoracja, w której zrobiła się dziura; kiedy podeszli bliżej, nieomal buchnął na nich spod domu jak z pieca ciężki zmartwiały upał; zdawał się parować z jakąś srogą opieszałością, przesycać się zapachem nędzy i rozkładu, jak gdyby ten budulec, to drewno, z którego ten dom został zbudowany, było ciałem. Panna Coldfield dreptała teraz truchtem u jego, Quentina, boku, trzymając na jego przedramieniu rękę drżącą, a przecież wciąż wczepioną w jego rękaw, mocno, sztywno, bez czucia. Nie mówiła nic, żadnymi słowami, tylko kwiliła nieustannie, prawie jęczała głośno. Na oślep szła teraz po ciemku, więc musiał ją poprowadzić tam, gdzie odgadywał schodki, a potem musiał ją przed tymi schodkami zatrzymać, szepcząc, sycząc, nieświadomie przedrzeźniając jej własny napięty, nieprzytomny pośpiech: – Zaraz. Tędy. Ostrożnie teraz. Stopnie są przegniłe.

Prawie podniósł ją, wniósł na te schodki, ujmując ją od tyłu za oba łokcie tak, jak się podnosi dziecko; poczuł jakąś dziwną, wściekłą, nieubłaganą i dynamiczną siłę przechodzącą jak prąd z jej sztywnych łokci do jego dłoni i w górę po rękach do ramion; teraz, leżąc w tym łóżku w stanie Massachusetts, przypomniał sobie, co wtedy pomyślał, co nagle pojął, co sobie powiedział: „Jak to, przecież ona wcale się nie boi. Nie wiem, co to jest. Ale ona się nie boi.” I poczuł wtedy, jak ona się wymyka z jego rąk, a potem usłyszał jej kroki na werandzie i dogonił ją już w chwili, kiedy zdyszana stała przy niewidocznych frontowych drzwiach.

– A teraz co? – zapytał szeptem.

– Wyłamać je – szepnęła. – One pewnie są zamknięte, zabite gwoździami. Quentin ma tę siekierkę. Trzeba je wyłamać.

– Ale...-zaczął.

– Wyłamać je! – syknęła. – To dom Ellen. Ja jestem jej siostrą, jedyną żyjącą jej spadkobierczynią. Wyłamać je. Prędko.

Pchnął drzwi. Nie poruszyły się. Ona dyszała przy jego boku.

– Prędko – powiedziała. – Wyłamać je.

– Ale, proszę pani – powiedział. – Ale pani posłucha.

– Niech Quentin mi da tę siekierkę.

– Zaraz – powiedział. – Czy naprawdę pani chce tam wejść?

– Wejdę tam – zakwiliła. – Niech Quentin mi da tę siekierkę.

– Zaraz – powiedział.

Przeszedł przez werandę, ostrożnie macając w ciemnościach ścianę, posuwając się powoli, bo nie wiedział, gdzie deski podłogi mogą być przegniłe czy nawet dziurawe. W ten sposób doszedł do okna. Okiennice były zasunięte i najwidoczniej zaryglowane, a przecież ustąpiły niemal natychmiast pod ostrzem siekierki i prawie bez hałasu – słabo i niedokładnie musiał zamknąć to okno ktoś stary chyba i wątpy, kobieta czy jakiś nieporadny mężczyzna – ostrze siekierki wsunęło się już pod ramę okienną, zanim on, Quentin, odkrył, że w tym oknie wcale nie ma szyby, więc można wejść przez pustą ramę. A potem stał tam przez chwilę zmuszając się do wejścia i tłumacząc sobie, że przecież wcale się nie boi, ale po prostu nie chce wiedzieć, co tam może być wewnątrz.

– No? – zapytała panna Coldfield od drzwi. – Otworzył Quentin?

– Tak – powiedział; nie szeptał, chociaż i nie mówił głośno; ciemny pokój za oknem, przed którym stał, powtórzył jego głos echem tępym i zarazem dudniącym, jakie się zwykle rozlega w nieumeblowanych pokojach.

– Niech pani tam zaczeka. Zobaczę, czy mi się uda otworzyć te drzwi.

„Więc teraz już muszę tam wejść” – pomyślał wspinając się na parapet. Wiedział, że ten pokój jest pusty; powiedziało mu o tym echo jego głosu, a przecież posuwał się tutaj powoli i ostrożnie, tak samo jak posuwał się po werandzie – macał ręką ścianę, zakręcił w rogu pokoju i wreszcie tak doszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł do hallu; nieomal mu się zdawało, że słyszy oddech panny Coldfield tuż za ścianą, przy której teraz się posuwał do drzwi frontowych. Było smoliście czarno: nie widział nic, wiedział, że nic nie zobaczy, a przecież stwierdził, że powieki i mięśnie oczu aż go bolą z wysiłku zobaczenia czegokolwiek w tych ciemnościach przez wirujące mu na siatkówkach czerwone plamy. Szedł dalej; wreszcie poczuł pod ręką drzwi i teraz już naprawdę usłyszał, jak panna Coldfield kwili i oddycha za tymi drzwiami, kiedy on macał w poszukiwaniu klamki. I nagle usłyszał za sobą trzask zapalanej zapalniczki, głośny w ciszy jak eksplozja, jak wystrzał z rewolweru; jeszcze przed zablęśnięciem tego maleńkiego płomyczka poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła; przez chwilę nawet nie mógł się poruszyć, chociaż jakiś głos zdrowego rozsądku już ryknął mu w głębi czaszki: „To przecież dobrze. Gdyby to miało być coś złego, to on by nie zapalił zapalniczki.” A potem odzyskał władzę w nogach i odwrócił się, żeby zobaczyć jakąś małą, do gnoma podobną istotę w chustce na głowie i w szerokich spódnicach, zobaczył tę steraną kawową twarz z oczami wpatrzonymi w niego i tę zapalniczkę w kawowej lalczynej ręce uniesionej ponad głową. A potem już nie patrzył na nią, tylko na płomyk jej zapalniczki, zsuwający się coraz bliżej jej palców; spokojnie patrzył, jak ona się wreszcie porusza i zapala drugą zapalniczkę od tej pierwszej, a potem się odwraca; zobaczył wtedy przy ścianie koziół do piłowania drewna i na tym

koźle lampę, której szkiełko ona właśnie podniosła, żeby przyłożyć zapalną do knotu. Przypomniał to sobie teraz, leżąc w tym łóżku w stanie Massachusetts i szybko oddychając – teraz, kiedy ten pokój i cisza uleciały znowu. Przypomniał sobie, że ona wtedy nie powiedziała do niego ani słowa, nie zapytała; „Ktoś ty?”, ani: „Czego tu chcesz?”, tylko po prostu podeszła do drzwi – podeszła tam z pękiem olbrzymich staroświeckich kluczy, tak spokojnie, jakby przez cały czas wiedziała, że ta godzina przyjść musi i że żaden opór nie zda się na nic – i otworzyła drzwi cofając się trochę, kiedy panna Coldfield przestępowała próg. Ani ona (Clytie), ani panna Coldfield nie odezwały się do siebie słowem, zupełnie tak, jak gdyby Clytie tylko spojrziała na tamtą i od razu wiedziała, że słowa też nie zdadzą się na nic; to właśnie do niego, do Quentina, odwróciła się wtedy, położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała: – Niech jej panicz nie da iść tam na górę.

I może, kiedy spojrziała na niego, też już wiedziała, że i to na nic się nie zda, bo natychmiast się odwróciła i pobiegła za panną Coldfield. Złapała ją za rękę i powiedziała.

– Tam na górę nie, Rosie.

Ale panna Coldfield odtrąciła jej rękę i poszła dalej ku schodom (a on teraz zobaczył, że ona trzyma tę swoją latarkę elektryczną. Przypomniał sobie, że pomyślał: „To też musiało być w parasolu, razem z siekierką”). A Clytie powiedziała: – Rosie.

I znów pobiegła za panną Coldfield, która odwróciła się już na schodach i zwała Clytie na podłogę pełnym, mocnym ciosem, zupełnie tak, jakby to zrobił mężczyzna. A potem odwróciła się i poszła na górę. Ona (Clytie) leżała na tej gołej podłodze w osypującym się tynku pustego hallu jak mała, bezkształtna kupka cichych, czystych szmat. Kiedy do niej podszedł, zobaczył, że jest zupełnie przytomna, że oczy ma szeroko otwarte i spokojne; stojąc nad nią pomyślał: „Tak. To tylko ona się boi.”

Kiedy ją podnosił, miał wrażenie, że podnosi garść chrustu ukrytą w tych szmatach, taka była lekka. Nie mogła stanąć o własnych siłach; świadomy pewnego słabego ruchu bądź zamiaru ruchu w jej członkach, musiał ją podtrzymywać, dopóki nie uprzytomnił sobie, że ona chce usiąść na najniższym stopniu schodów. Pomógł jej usiąść.

– Kto panicz jest? – zapytała.

– Jestem Quentin Compson – odpowiedział.

– Tak. Pamiętam dziadzia panicza. Niech panicz pójdzie tam na górę i każe jej zejść na dół. I każe jej stąd iść. Co by on nie zrobił, to i tak przecież ja i Judith, i on jużeśmy za to zapłacili. Niech panicz pójdzie i sprowadzi ją na dół. Niech panicz ją stąd zabierze.

Więc wszedł na schody, na te wytarte, gołe drewniane stopnie przy popękanej, łuszczącej się ścianie – na te schody z poręczą poprzerwaną w miejscach brakujących słupków. Obejrzał się wtedy – miał to zapamiętać – i zobaczył, że ona wciąż jeszcze siedzi

w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił, i że w hallu poniżej stoi (nawet nie słyszał jego kroków) barczysty młody jasnoskóry Murzyn w koszuli i w czystym wypłowiałym kombinezonie, z rękami obwisłymi, bez śladu zdziwienia, w ogóle bez żadnego wyrazu na brunatnej, zidiociałej, rozdziawionej gębie. Przypomniawszy sobie, jak wtedy pomyślał: „Ta latorośl, ten dziedzic, ten spadkobierca prawny, (choć nie oczywisty)”; i usłyszał kroki panny Coldfield, jednocześnie widząc coraz bliższe światło latarki w hallu na pierwszym piętrze. Panna Coldfield podeszła i minęła go, przy czym potknęła się lekko, ale odzyskała równowagę i popatrzyła na niego wzrokiem takim, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu – oczami szeroko otwartymi i nieprzytomnymi jak oczy lunatyczki na tle twarzy, która zawsze była woskowoblada, ale w tej chwili miała w sobie jakąś wprost niesamowitą bezkrwistość. Pomyślał wtedy: „Co? Co to znaczy? To nie jest szok. I to przecież ani nie było, ani nie jest lękiem. Więc to może triumf?”

Panna Coldfield minęła go i poszła dalej. Usłyszał, jak na dole Clytie mówi do Murzyna: – Zabierz ją do bramy, do bryczki. I stojąc tam pomyślał: „Powinienem z nią iść”, a potem: „Ale teraz i ja też muszę zobaczyć.”

Będę musiał. Może jutro będę tego żałował, ale muszę zobaczyć.”

A potem, kiedy wrócił już na dół (pomyślał wtedy: „Może mam teraz taką samą twarz, jak ona miała przed chwilą, ale u mnie to nie jest triumf”), w hallu była tylko Clytie, która wciąż jeszcze siedziała w pozycji takiej, w jakiej ją zostawił. Nawet na niego nie spojrzała, kiedy przechodził. Nie dogonił też panny Coldfield i tego Murzyna. Za ciemno było na to, żeby iść szybko, chociaż teraz słyszał, jak oni idą gdzieś przed nim. Panna Coldfield szła ze zgaszoną latarką. Przypomniawszy sobie, jak wtedy pomyślał: „Przecież teraz ona chyba nie boi się palić światła.” Niemniej nie zapaliła tej latarki, więc zaczął się zastanawiać, czy ona trzyma tego Murzyna pod rękę; zastanawiał się nad tym, dopóki nie usłyszał bezbarwnego, rozlazłego, obojętnego głosu: – Lepiej przeleźć tędy.

Jej odpowiedzi nie usłyszał, chociaż był już tak blisko nich, że słyszał (albo może zdawało mu się, że słyszy), jak ona kwili, dyszy, odycha. A potem usłyszał jakiś inny odgłos i domyślił się, że ona się potknęła i upadła; nieomal widział, jak ten barczysty Murzyn z rozdziawioną gębą zatrzymuje się na swej drodze i patrzy w kierunku, z którego doszedł odgłos tego upadku, czekając nie wiadomo na co, bez żadnego zainteresowania, bez żadnej ciekawości, kiedy on (Quentin) już z pośpiechem biegł naprzód, biegł ku tym dwóm głosom.

– Ty, czarnuch. Jak ty się nazywasz?

– Mnie się nazywa Jim Bond.

– No, pomóżże mi wstać! Przecież nie jesteś żaden Sutpen! Więc nie masz powodu zostawiać mnie tu leżącej w tym błocie.

Kiedy już zatrzymał bryczkę w Jefferson przed jej furtką, tym razem nie poruszyła się z gotowością, żeby wysiąść sama. Siedziała tam, dopóki on nie wysiadł i nie podszedł do bryczki od jej strony; nawet nie drgnęła, ściskając ten swój parasol w jednej ręce, a siekierkę w drugiej, dopóki nie odezwał się do niej. Wtedy dopiero się poruszyła; pomógł jej wysiąść, a raczej zсадził ją z bryczki; była prawie tak lekka jak Clytie; kiedy zrobiła krok, wydawało się, że to idzie nakręcona lalka, więc ją podtrzymał, wszedł z nią w furtkę, po czym podprowadził ją krótkim chodnikiem do tego jej lalczyego domu; zapalił dla niej światło i spojrzał na tę zastygłą lunatyczną twarz z szeroko otwartymi ciemnymi oczami, kiedy ona, wciąż jeszcze ściskając w rękach parasol i siekierkę, stała tam w szalu, w czarnej sukni pochłapanej błotem po tym swoim upadku i w czarnej budce, która jej się przekrzywiła na głowie również podczas tego upadku.

– Czy już dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Tak – powiedziała. – Tak. Dobrze. Dobranoc.

„Nie «dziękuję», tylko «dobranoc»„ – pomyślał wychodząc już z tego domu, oddychając teraz głęboko i szybko; w drodze, w biegu nieomal do bryczki, myślał: „Jezu, Jezu, Jezu”, i wdychał szybko, z trudem to ciemne, zmartwiałe, gorące jak wyziew z pieca nocne powietrze pod wiszącymi wysoko, wściekle roziskrzonymi gwiazdami.

W domu było już zupełnie ciemno; kiedy tam podjeżdżał, zakręcał w tę uliczkę, a potem w podwórko stajenne, jeszcze podcinał klacz batem. Wskoczył z bryczki, wyprzągł klacz, po czym gwałtownie zerwaną z niej uprząż rzucił w wozowni, nawet się nie zatrzymując, żeby ją porządnie powiesić; pocił się, oddychał szybko i z trudem; do domu puścił się pędem. Nic na to nie mógł poradzić. Miał dwadzieścia lat; nie bał się, bo to, co tam zobaczył, w żaden sposób nie mogło mu wyrządzić krzywdy, a przecież biegł; nawet już w tym ciemnym, tak dobrze sobie znanym domu jeszcze biegł po schodach na górę do swojego pokoju, a potem z pośpiechem zaczął się rozbierać, wciąż jeszcze spocony, wciąż jeszcze zdyszany.

„Powiniennem się wykąpać” – pomyślał; a potem nago już leżał w łóżku i miarowym ruchem wycierał się zerwaną z siebie koszulą, ale nadal pocił się i dyszał; był w takim stanie, że czując, jak mięśnie w oczach bolą go i napinają się w ciemnościach, jeszcze ściskając w garści tę już prawie suchą koszulę, powiedział: – Ja spałem.

Bo to było zupełnie tak, jakby spał: nie było żadnej różnicy pomiędzy jawą a snem, kiedy znów szedł po tym hallu na pierwszym piętrze wśród luszczących się ścian pod spękany sufitem – szedł ku nikłemu światłu padającemu z ostatnich drzwi, a potem zatrzymał się tam i powiedział: – Nie, nie – a potem: – Tylko że ja muszę. Muszę.

I wszedł, wkroczył do tego ogołoconego, zatęchłego pokoju z okiennicami też zamkniętymi tak jak okiennice na dole i z drugą lampą rzucającą mętne światło

z niezdarnie skleconego stołu; czy na jawie, czy we śnie, to i tak było to samo: łóżko, poźółkłe prześcieradła i powłoczka na poduszce, mizerna, poźółkła twarz z zamkniętymi, niemal przezroczystymi powiekami, chude ręce skrzyżowane na piersi, tak jakby ten człowiek był już nieboszczykiem; na jawie czy we śnie, to i tak było to samo i pozostanie to samo, jak długo on, Quentin, będzie żył: – Więc pan jest?...

– Henry Sutpen. – I jest pan tutaj?...

– Cztery lata.

– Więc wrócił pan do domu?..

– Żeby umrzeć. Tak.

– Żeby umrzeć?

– Tak. Żeby umrzeć. – I jest pan tutaj?...

– Cztery lata. – Więc pan jest?...

– Henry Sutpen.

W pokoju było już zupełnie zimno; zegar na wieży już lada chwila miał wydzwonić godzinę pierwszą; to zimno było teraz jakieś złożone, stężone i nagromadzone, jak gdyby już się przygotowywało na tę martwą chwilę przed nadejściem świtu.

– I ona czekała trzy miesiące na to, żeby tam wrócić i zabrać go stamtąd – powiedział Shreve. – Dlaczego ona z tym czekała?

Quentin nie odpowiedział. Sztywno, nieruchomo leżał na wznak, czując tę zimną noc Nowej Anglii na swojej twarzy, czując, jak ciepła krew krąży mu po zdrętwiałym ciele, po zdrętwiałych kończynach: oddychał ciężko, ale powoli, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w okno naprzeciw siebie, i myślał: „Już nigdy spokój. Już nigdy spokój. Już nigdy. Już nigdy. Już nigdy. Już nigdy.”

– Nie sądzisz, że to dlatego, że ona wiedziała, co się stanie, kiedy ona to komukolwiek powie, podejmie jakiegokolwiek kroki... że ona wiedziała, że wtedy już będzie po wszystkim, że to wszystko już się dla niej skończy i ta nienawiść też... nienawiść jak trunek czy wywar odurzający, którym poila się już od tak dawna i tak systematycznie, że nie miała odwagi zaryzykować odcięcia tego dopływu nienawiści niszczyć źródła, wyrwać korzeni i nasienia tego maku, z którego sobie parzyła ten wywar. Zgadza się?

Quentin nie odpowiedział.

– Ale wreszcie się z tym pogodziła dla jego dobra, żeby go ocalić, przywieźć do miasteczka, gdzie lekarze mogliby go może uratować; więc wreszcie to wyjawiała i wzięła ambulans i ludzi, i pojechała tam. A stara Clytie może właśnie na to czekała, może wyglądała z któregoś z okien na piętrze już od trzech miesięcy; i może nawet twój staruszek miał rację tym razem, mówiąc, że ambulans zakręcający w bramę wydał się jej właśnie tym czarnym wozem, którego przybycia bała się już od trzech miesięcy tak

bardzo, że nie tylko sama czuwała, ale i tego młodego Negra też postawiła na warcie... wydał jej się ten ambulans właśnie tym czarnym wozem, który przyjechał, żeby zabrać Henry'ego do więzienia, gdzie biali go powieszają za zastrzelenie Charlesa Bona. Myślę, że na jej rozkaz ten Negr miał tam w schowku pod schodami pełno drzewa do podpałki i śmieci przez te całe trzy miesiące, chociaż nawet nie rozumiał tego, nie wiedział, po co to wszystko... i miał tam naftę, i w ogóle już od trzech miesięcy... miał aż do tej godziny, w której mógł zacząć to swoje wycie.

Zegar na wieży wydzwonił godzinę pierwszą. I zaraz odezwał się drugi zegar w mieście, i trzeci...

Shreve urwał, jak gdyby czekał, aż one skończą wydzwaniać, czy może ich słuchał. Quentin leżał też cicho, jak gdyby też słuchał, chociaż on ich nie słuchał: tylko słyszał je nie słuchając, tak samo jak słyszał Shreve'a wcale go nie słuchając ani mu nie odpowiadając. Aż wreszcie bicie zegarów przebrzmiało w lodowatym powietrzu delikatnymi, nikłymi dźwiękami, melodyjnymi jak dzwonienie kryształu. A on, Quentin, i tamto też widział, chociaż wtedy tam wcale nie był... widział ten ambulans i pannę Coldfield siedzącą pomiędzy kierowcą i tym drugim człowiekiem, może zastępcą szeryfa – pannę Coldfield chyba w szalu i może nawet i tym razem z parasolem, chociaż chyba już bez żadnej siekierki i latarki elektrycznej w fałdach tego parasola. Widział, jak ambulans wjeżdża w bramę parku i lawiruje ostrożnie na poślizniętej, zamrożonej (teraz już częściowo w błocie odwilży) alei wjazdowej; i może najpierw odezwało się to wycie czy może to ten zastępca szeryfa albo ten kierowca, albo może nawet ona krzyknęła pierwsza: „Pali się!”

Chociaż nie, ona nie mogła tego krzyknąć – ona raczej powtarzała: „Prędeży! Prędeży!”, i teraz też wychylona na siedzeniu do przodu – mała, zaciekła, posępna, nieubłagana staruszka, niewiele większa niż dziecko. Ale ambulans nie mógł jechać szybciej tą aleją; niewątpliwie Clytie przewidziała to, liczyła na to; upłynęły, więc dobre trzy minuty, zanim podjechali do domu, do tej potwornej, jak pieprz suchej skorupy już przesączającej dym przez szczeliny w wypaczonym oszalowaniu, jak gdyby to była jakaś klatka z siatki drucianej, wypełniona wyciem, za którym gdzieś się czaiło coś ludzkiego, bo chociaż to brzmiało jak ryk bydłęcy, przecież wiązało się w jakąś mowę ludzką, chociaż nawet powód tego na pozór był nieludzki. Zastępca szeryfa i kierowca wyskoczyli z ambulansu, panna Coldfield wyturlała się za nimi i poszła, a raczej też pobiegła na werandę, gdzie dołączył do nich ten ryczący czarnuch z rozdziawioną gębą, wyzierając jak widmo z kłębow dymu; zastępca szeryfa nawet się odwrócił i podbiegł do niego, ale on cofnął się, uciekł, chociaż to wycie ani nie przycichło, ani nawet się nie oddaliło. Więc pobiegli na werandę, też prosto w ten dym. Panna Coldfield wrzeszczała ochryple:

„Okno! Okno!”

Wrzeszczała do tego drugiego, do kierowcy, który już stał przy drzwiach; ale tym razem drzwi nie były zamknięte, ustąpiły od razu i buchnęło na nich gorąco z hallu. Cała klatka schodowa była już w ogniu. A przecież oni musieli pannę Coldfield trzymać. Quentin to nieomal widział; jak ta lekka, chuda, zaciekła istota walczyła z milczącą, zażartą pasją, jak wpijała się paznokciami, drapała i kasała tych dwóch mężczyzn, którzy ją trzymali, którzy ją ściągnęli ze schodów i wywlekli przed dom, kiedy przeciąg wlatujący przez otwarte drzwi zdawał się jak proch wybuchać wśród płomieni, aż wreszcie cały dolny hall zniknął w dymie. On, Quentin, nieomal to widział, widział, jak ten zastępca szeryfa ją trzyma, w czasie, kiedy szofer wycofuje ambulans sprzed domu w bezpieczne miejsce, po czym wraca tam do nich... te trzy twarze, wszystkie teraz trochę nieprzytomne, bo i ci dwaj już musieli jej, pannie Coldfield, uwierzyć... oni troje wpatrzni w skazany dom; a potem na chwilę może Clytie ukazała się wysoko w tym oknie, z którego pewnie stale wyglądała przez te trzy miesiące, w dzień i w nocy, na bramę parku – ta twarz tragicznego gнома pod czystą chustką na głowie na tle czerwonego ognia – przelotnie mignęła pomiędzy dwoma kłębami dymu, patrząc na nich z góry już może nawet nie z triumfem i już nawet nie z rozpaczą – możliwe, że już nawet pogodna ponad zewnętrznym parapetem okna, zanim dym znów ją zasłonił wirującym kłębem. A on, Jim Bond, ten dziedzic ostatni z ich rodu, też to teraz widząc zawył już jak człowiek, skoro nawet on teraz mógłby powiedzieć, dlaczego wyje. Ale oni nie zdołali go złapać. Słyszeli go; doznawali wrażenia, że on w ogóle od nich się nie oddala, ale nie zdołali przybliżyć się do niego i może nawet w porę nie potrafili się zorientować, skąd to wycie do nich dochodzi. Ci dwaj – kierowca i zastępca szeryfa – musieli zresztą trzymać szamoczącą się pannę Coldfield; Quentin nieomal ją widział, ich wszystkich troje tam widział. Chociaż tam wtedy nie był, po prostu widział teraz, jak ona się szamocze i walczy niby kukielka w jakimś koszmarnym śnie, bezszelestnie, z odrobiną piany na ustach, z twarzą nawet w tym słonecznym blasku zarumienioną ostatnim płomieniem pożogi, w chwili kiedy dom z pomrukiem grzmotu zapadał się w ciszę rozdieraną tylko wyciem obłąkanego Murzyna.

– No i ta ciotka Rosa wróciła do miasteczka tym ambulansem, ale już nie w szoferce, tylko wewnątrz na noszach – powiedział Shreve.

Quentin milczał; nawet nie poprawił Shreve’a, że „panna Rosa”. Tylko leżał tam wpatrzony w okno, nawet nie poruszając powiekami, i wdychał chłodną, miętową, śniegiem przypatynowaną ciemność.

– Wróciła prosto do łóżka – powiedział Shreve – bo już wszystko było skończone, już nie zostało nic, już nie było tam nic oprócz tego chłopaka idioty, który czał się wokół

popiołów i czterech wypalonych kominów i wył, wył, póki ktoś tam nie przychodził i stamtąd go nie przepędzał. Nie można go było złapać i nikt, zdaje się, nie mógł, nie potrafił go odegnać gdzieś dalej; on tylko na chwilę przestawał wyć, a zaraz potem znów go było słycać. No, i ona umarła.

Quentin milczał wpatrując się w okno; a potem już nawet nie mógł powiedzieć, czy widzi to prawdziwe okno, czy blade odbicie okiennego prostokąta, chociaż po chwili okno znów zaczęło się wyłaniać z ciemności. Zaczęło się wyłaniać i przyjęło kształt tej złożonej przez połowę stronicy w tymże samym jakimś uskrzydleniu urągającym wszelkiemu prawu ciężenia, przyjęło ten kształt, powoli stając się tym listem przysłanym wprost z letniego zmierzchu w Missisipi, pełnego wistarii i zapachu cygara, i błyskających w mroku tu i ówdzie świetlików.

– To Południe – powiedział Shreve. – To Południe. Jezu. Nic dziwnego, że wy tam wszyscy przeżywacie samych siebie o lata i lata, i lata...

List stawał się coraz wyraźniejszy; on, Quentin, już wkrótce, już za chwilę będzie mógł odczytać te słowa, a nawet prawie już, nawet już.

– Mając dwadzieścia lat jestem starszy od wielu ludzi, którzy już umarli – powiedział Quentin.

– To żadna sztuka – powiedział Shreve. – Spróbuj być starszy od takich, co mają dwadzieścia jeden lat. Bo takich na pewno jest mniej niż takich, którzy umarli.

Teraz on (Quentin) już mógł to przeczytać, mógł to skończyć – to pochyłe, kapryśne pismo ojca, te rzędy liter wysuwające się z Missisipi, rozrzedzone odległością, wsuwające się w ten żelazny śnieg.

„...a może zresztą można. Chyba nikomu nie zaszkodzi wierzyć, że jeżeli ona od czegoś uciekła, to w każdym razie nie od przywileju odczuwania zniewagi i zdumienia, i nieugiętej woli nieprzebaczenia nigdy, ale przeciwnie, pozyskała sobie to miejsce czy też doszła do tej rubieży, gdzie przedmioty zarówno jej oburzenia, jak i współczucia są już nie widmami, ale prawdziwymi ludźmi zdolnymi naprawdę odbierać nienawiść jej i litość. Nikomu nie zaszkodzi mieć taką nadzieję. Widzisz, napisałem «mieć nadzieję», a nie «tak myśleć». Niechaj więc to będzie nadzieja – że ten jeden nie ucieknie od wyrzutów, na jakie niewątpliwie zasługuje, że tym innym już nie zabraknie współczucia, za jakim, miejmy nadzieję (bo przecież my mamy nadzieję), przez cały czas tam tęsknili, choćby tylko z tego powodu, że i tak lada chwila mają to współczucie otrzymać, czy chcą, czy nie chcą.

Pogoda była piękna, chociaż było zimno i oni tam musieli kilofami rozłupywać zmarzniętą ziemię, żeby wykopać grób, a przecież w jednej z tych grud wyrzuconych z głębi dołu zobaczyłem czerwonego robaka, niewątpliwie jeszcze żywego, w chwili kiedy

tę grudę odrzucano, chociaż po południu już zamarzł.”

– Więc trzeba było Charlesa Bona i jego matki na to, żeby się pozbyć starego Toma, i trzeba było Charlesa Bona i oktoronki na to, żeby się pozbyć Judith, i trzeba było Charlesa Bona i Clytie na to, żeby się pozbyć Henry’ego, i trzeba było matki Charlesa Bona i babki Charlesa Bona po to, żeby się pozbyć Charlesa Bona. Z tego więc wynika, że na to, żeby się pozbyć jednego Sutpena, trzeba było zawsze aż dwóch Negrów. Zgadza się?

Quentin nie odpowiedział. Zresztą Shreve najwidoczniej żadnej odpowiedzi teraz nie potrzebował, bo mówił dalej, niemal nie robiąc żadnej przerwy: – To w porządku, to nawet świetnie; to wyczyszcza zupełnie tę całą księgę rachunkową, więc nawet można by podrzeć te wszystkie stronicie i wszystkie je spalić, gdyby niejedna rzecz... A wiesz, co to takiego?

Może tym razem miał nadzieję na odpowiedź albo może milczał przez chwilę tylko dla mocniejszego podkreślenia swoich słów, ponieważ żadnej odpowiedzi nie otrzymał.

– Chodzi o to, że przecież jeden Negr został. Jeden sutpenowski Negr został. Oczywiście, nie możecie go złapać i nawet nie zawsze go widzicie, a już na pewno nigdy nie będziecie go mogli w żaden sposób wykorzystać. Ale jeszcze go tam macie. Jeszcze go czasem słyszycie nocą. Zgadza się?

– Owszem – powiedział Quentin.

– Więc wiesz, co ja myślę?

Teraz rzeczywiście spodziewał się odpowiedzi i otrzymał ją.

– Nie – powiedział Quentin.

– A chcesz wiedzieć, co myślę?

– Nie – powiedział Quentin.

– Więc ci powiem. Myślę, że z czasem ci Jimowie Bondowie zdobędą całą zachodnią półkulę. Oczywiście, to się stanie już niezupełnie w naszych czasach i oczywiście, kiedy oni się rozprzestrzeniają ku biegunom, to na pewno zbieleją jak te króliki i ptaki podbiegunowe, żeby nie odbijać się tak ostro na tle śniegu. Ale to wciąż jeszcze będzie Jim Bond; więc za parę tysięcy lat ja, który teraz patrzę na ciebie, również będę pochodził z lędźwi królów afrykańskich. A teraz chcę, żebyś mi powiedział jeszcze tylko jedno: Dlaczego ty czujesz taką nienawiść do Południa?

– Nie czuję nienawiści do Południa – powiedział Quentin szybko, od razu, natychmiast. – Nie czuję nienawiści do Południa. – „Nie czuję nienawiści do Południa – pomyślał dysząc w tym zimnym powietrzu, w tej żelaznej ciemności Nowej Anglii. – Nie! Nie! Nie czuję nienawiści! Nie czuję nienawiści do Południa!”

Chronologia

1807 r. Thomas Sutpen urodził się w górach zachodniej Wirginii. Biedni biali pochodzenia szkocko-angielskiego. Liczna rodzina.

1817 r. Rodzina Sutpenów wyruszyła na wybrzeże w stanie Wirginia, Sutpen miał lat dziesięć.

1818 r. W stanie Tennessee urodziła się Ellen Coldfield. 1820 r. Sutpen uciekł z domu. Miał lat czternaście.

1827 r. Sutpen ożenił się po raz pierwszy na Haiti.

1828 r. Goodhue Coldfield przeniósł się do hrabstwa Yoknapatawpha (Jefferson) w stanie Missisipi – matka, siostra, żona i córka Ellen.

1829 r. Charles Bon urodził się na Haiti.

1831 r. Sutpen dowiedział się, że jego żona jest z pochodzenia Murzynką. Odrzekł się jej i dziecka.

1833 r. Sutpen pojawił się w hrabstwie Yoknapatawpha w stanie Missisipi. Nabył ziemię, rozpoczął budowę domu.

1834 r. Clytemnestra (Clytie) urodziła się niewolnicy Murzynie.

1838 r. Sutpen ożenił się z Ellen Coldfield.

1839 r. Henry Sutpen urodził się w Setce Sutpena. 1841 r. Judith Sutpen urodziła się w Setce Sutpena. 1845 r. Rosa Coldfield urodziła się w Jefferson.

1850 r. Wash Jones z córką wprowadził się do opuszczonego domku rybackiego na plantacji Sutpena. 1853 r. Milly Jones urodziła się córce Washa Jonesa.

1859 r. Henry Sutpen poznał Charlesa Bona na uniwersytecie stanu Missisipi, Judith poznała go tegoż roku w Boże Narodzenie w Setce Sutpena. Charles Etienne St.-Valery Bon urodził się w Nowym Orleanie.

1860 r. Boże Narodzenie: Sutpen zabronił zawarcia małżeństwa Judith z Bonem, Henry odrzekł się swego pierworódtwa i odjechał wraz z Bonem.

1861 r. Sutpen, Henry i Bon wyruszyli na wojnę.

1862 r. Ellen Coldfield umarła.

1864 r. Goodhue Coldfield umarł.

1865 r. Henry zabił Bona przy bramie parku w Setce Sutpena. Rosa Coldfield przeniosła się do Setki Sutpena.

1866 r. Sutpen zaręczył się z Rosą Coldfield. Obraził ją. Rosa Coldfield powróciła do Jefferson.

1867 r. Sutpen nawiązał romans z Milly Jones.

1869 r. Urodziło się dziecko Milly. Wash Jones zabił Sutpena.

1870 r. Charles E. St. V Bon pojawił się w Setce Sutpena.

1871 r. Clytie przywiozła Charlesa E. St. V. Bona do Setki Sutpena, gdzie odtąd już mieszkał.

1881 r. Charles E. St. V. Bon powrócił z żoną Murzynką.

1882 r. Jim Bond urodził się w Setce Sutpena.

1884 r. Judith i Charles E. St. V. Bon umarli na ospę.

1910 r. Wrzesień Rosa Coldfield z Quentinem znajdują Henry'ego Sutpena, który ukrywa się w Setce Sutpena. Grudzień Rosa Coldfield wyjeżdża do Setki Sutpena, żeby przywieźć Henry'ego do miasteczka. Clytie podpala dom.

Genealogia

THOMAS SUTPEN

Urodzony w roku 1807 w górach zachodniej Wirginii Jedno z licznych dzieci białej biedoty pochodzenia szkocko-angielskiego. W roku 1833 założył plantację Setkę Sutpena w hrabstwie Yoknapatawpha w stanie Missisipi. Ożenił się (po raz pierwszy) z Eulalią Bon na Haiti w roku 1827; (po raz drugi) z Ellen Coldfield w Jefferson w stanie Missisipi w roku 1838. Major, następnie pułkownik... pułku piechoty missisipijskiej, C.S.A. Umarł w Setce Sutpena w roku 1869.

EULALIA BON

Urodzona na Haiti, jedyne dziecko właściciela plantacji trzciny cukrowej na Haiti, z pochodzenia Francuza. Wyszła za mąż za Thomasa Sutpena w roku 1827. Rozwiodła się z nim w roku 1831. Zmarła w Nowym Orleanie. Data śmierci nieznana.

CHARLES BON

Syn Thomasa i Eulalii Bon Sutpen. Jedyne dziecko. Kształcił się na uniwersytecie stanu Missisipi, gdzie poznał Henry'ego Sutpena, z którego siostrą, Judith, następnie się zaręczył. Szeregowiec, później porucznik... kompanii (Legii Akademickiej)... pułku piechoty missisipijskiej, C.S.A. Zmarł w Setce Sutpena w roku 1865.

GOODHUE COLDFIELD

Urodził się w Tennessee. Przeprowadził się do Jefferson w stanie Missisipi w roku 1828 i założył małe przedsiębiorstwo handlowe. Zmarł w Jefferson w roku 1864.

ELLEN COLDFIELD

Córka Goodhue Coldfielda. Urodzona w Tennessee w roku 1818. Wyszła za Thomasa Sutpena w Jefferson w stanie Missisipi w roku 1838. Zmarła w Setce Sutpena w roku 1862

ROSA COLDFIELD

Córka Goodhue Coldfielda. Urodzona w Jefferson w roku 1845 Zmarła w Jefferson w roku 1910.

HENRY SUTPEN

Urodzony w Setce Sutpena w roku 1839 – syn Thomasa i Ellen Coldfield Sutpen. Kształcił się na uniwersytecie stanu Missisipi. Szeregowiec... kompanii (Legii Akademickiej)... pułku piechoty missisipijskiej, C.S.A. Zmarł w Setce Sutpena w roku 1910.

JUDITH SUTPEN

Córka Thomasa i Ellen z Coldfieldów Sutpen. Urodzona w Setce Sutpena w roku 1841. Zaręczono ją z Charlesem Bonem w roku 1860. Zmarła w Setce Sutpena w roku

1884.

CLYTEMNESTRA SUTPEN

Córka Thomasa Sutpena i Murzynki niewolnicy. Urodzona w Setce Sutpena w roku 1834. Zmarła w Setce Sutpena w roku 1910.

WASH JONES

Miejsce i data urodzenia nieznane. Osadnik zamieszkały w opuszczonym domku rybackim należącym do Thomasa Sutpena, zausznik Sutpena, człowiek do wszystkiego w posiadłości Sutpena pod nieobecność Sutpena w domu w latach 1861-65. Zmarł w Setce Sutpena w roku 1869.

MELICENT JONES

Córka Washa Jonesa. Data urodzenia nieznana. Rzekomo zmarła w jakimś domu publicznym w Memphis.

MILLY JONES

Córka Melicent Jones. Urodzona w roku 1853. Zmarła w Setce Sutpena w roku 1869.

BEZIMIENNE NIEMOWLĘ

Córka Thomasa Sutpena i Milly Jones. Urodzona i zmarła tego samego dnia w roku 1869 w Setce Sutpena.

CHARLES ETIENNE DE SAINT-VALERY BON Jedyne dziecko Charlesa Bona i jego kochanki okoronki, której nazwisko nie jest nam znane. Urodzony w Nowym Orleanie w roku 1859. Ożenił się z Murzynką pełnej krwi o nieznanym nazwisku w roku 1879. Zmarł w Setce Sutpena w roku 1884.

JIM BOND (BON)

Syn Charlesa Etienne de Saint-Valery Bona. Urodzony w Setce Sutpena w roku 1882. Zniknął z Setki Sutpena w roku 1910, udając się w niewiadomym kierunku.

QUENTIN COMPSON

Wnuk najbliższego przyjaciela Thomasa Sutpena w hrabstwie Yoknapatawpha. Urodzony w roku 1891. Kształcił się na Uniwersytecie Harvardzkim w latach 1909-1910. Umarł w Cambridge w stanie Massachusetts w roku 1910.

SHREVLIN McCANNON

Urodzony w Edmonton, Alberta, w Kanadzie, 1890. Kształcił się na Uniwersytecie Harvardzkim w latach 1909-1914. Kapitan-lekarz w brytyjskiej Armii Królewskiej – Kanadyjskie Wojska Ekspedycyjne we Francji w latach 1914-1918. Obecnie praktykujący chirurg w Edmonton, Alberta.